

Słodka  
morska  
bryza

BARBARA  
DELINSKY

Świat Książki

# BARBARA DELINSKY

Słodka  
morska  
bryza

Z angielskiego przełożyła  
Grażyna Woźniak

  
Świat Książki  
wydawnictwo

**Dla Eve,  
z życzeniami ogrodu pełnego magicznych kwiatów, ziół i saren**



## Prolog



Charlotte Evans była przyzwyczajona do braku luksusów. Jako wolny strzelec podróżowała za niewielkie pieniądze, zbierając materiały do artykułów, których inni nie chcieli pisać. Mogła to robić, ponieważ nie była wybredna, jeśli chodzi o poziom życia. W ciągu ostatnich dwunastu miesięcy zmagala się z kurzem podczas pisania artykułu o hodowcach słoń w Kenii, z mrozem, gdy pisała o białych niedźwiedziach w Kolumbii Brytyjskiej, i z muchami, kiedy zbierała materiały do tekstu o rodzinie nomadów w Indiach.

Wiedziała, że poradzi sobie również z irlandzką mgłą, która przenikała wszystko: dzinsy, buty, a nawet gruby rybacki sweter. Pożyczyła go od kobiety, u której się zatrzymała na tej najsłabiej zaludnionej spośród trzech wysp Aran, i chociaż w sypialni Charlotte znajdował się kominek, ciepła woda była w niewielkim kamiennym domu towarem deficytowym. Charlotte marzyła o gorącym prysznicu, porządnym wypraniu ubrań i chociaż jednym słonecznym dniem.

Przyjechała tu, by zebrać materiały o najmłodszym pokoleniu dziewiarek z wyspy Inishmaan, w mistrzowski sposób wykorzystujących tradycyjne wzory. Patrząc na swój sweter, potrafiła już opisać ścieg ryżowy, powtarzające się motywy, lewe i prawe oczka oraz wzory warkoczowe. Nadszedł czas, żeby się stąd wynieść. Powinna wrócić do domu i napisać artykuł do „Vogue Knitting” przed wyjazdem do australijskiego buszu i napisaniem tekstu o ręcznie robionej aborygeńskiej biżuterii dla „National Geographic”. Ale jakoś nie mogła się rozstać z wyspą.

Pierwszym powodem była właścicielka domu – Charlotte nigdy wcześniej nie spotkała równie życzliwej osoby – a drugim samo rękodzieło. Chociaż Charlotte nie robiła na drutach, mogła się godzinami przypatrywać tym pogodzonym ze sobą i światem kobietom, które wzbudzały w niej zazdrość, ponieważ ona nie miała korzeni. Były mniej więcej w jej wieku – mogłyby być koleżankami ze szkoły – i próbowały ją nauczyć dziergania. Charlotte tłumaczyła sobie, że już samo to wystarczy, by zostać tu na dłużej.

Ostatecznie jednak to wyspa nie pozwalała jej wyjechać. Charlotte pokochała wyspy z chwilą, gdy spędziła swoje pierwsze wakacje na jednej z nich. Miała wtedy osiem lat. Jako trzydziestoczterolatka nadal była wrażliwa na aurę wyspiarskiego życia – wrażenie izolacji i oderwania od realnego świata pozwalające nabrać dystansu do zmartwień i pogrążyć się w marzeniach.

Charlotte popatrzyła w kierunku horyzontu, czy raczej tam, gdzie zobaczyłaby horyzont, gdyby nie gęsta mgła, która nadawała jej skórze połysk i zwiększała objętość włosów. Zanurzyła palce w wilgotnych ciemnych lokach i przesunęła się na postrzępionym klifie, kierując wzrok nieco na południe.

Właśnie tam, na dalekim krańcu Atlantyku, znajdowało się Maine i chociaż jej wyspa i ta tutaj leżały na tym samym oceanie, dzieliły je lata świetlne. Podczas gdy Inishmaan była szaro-brązowa, a na słabych, sztucznie stworzonych przez człowieka glebach rosły tylko najbardziej wytrzymałe niskopienne rośliny, żyzną Quinnipeague porastały strzeliste sosny, nie wspominając już o obfitości warzyw, kwiatów i nieprawdopodobnie rozbuchanych ziół. Charlotte uniosła głowę, zamknęła oczy i zaczerpnęła wilgotnego irlandzkiego powietrza z odrobiną drzewnego dymu przywianego przez zimną bryzę. Quinnipeague również pachniała drzewnym

dymem, gdyż wczesnym rankiem bywało tam chłodno nawet latem. Jednak około południa woń dymu ustępowała miejsca zapachowi lawendy, drzew balsamowych i traw. Jeśli wiało od zachodu, czuć było zapach smażonych potraw z Chowder House, jeśli z południa – ziemistą woń kolonii małży, a jeśli z północnego wschodu – czystą woń słodkiej morskiej bryzy.

O tak, po przeciwnej stronie Atlantyku leży Maine, rozmyślała Charlotte, otwierając oczy i próbując przeniknąć tę ogromną odległość mimo gęstej mgły. Był kwiecień i niezależnie od tego, gdzie się znajdowała, myślała o Quinnipeague, planując letnie wakacje.

Tak było kiedyś, ale postanowiła nigdy więcej do tego nie wracać. Spaliła za sobą ten most dziesięć lat temu jednym nieprzemyślanym krokiem. Nie miała odwrotu, chociaż czasami szczerze tego żałowała. Brakowało jej letniej atmosfery Quinnipeague, całkowitego odcięcia się od reszty świata. Tęskniła za bułeczkami z homarem, które nigdzie indziej tak nie smakowały. Jednak przede wszystkim tęskniła za Nicole, która swego czasu była jej bliska niczym siostra. Pomimo usilnych starań z nikim nie udało jej się nawiązać równie serdecznej przyjaźni.

Możliwe, że właśnie to trzymało Charlotte na wyspie. Tutejsze kobiety potrafiły się ze sobą przyjaźnić. Były niezależne i samowystarczalne. Z kilkoma z nich Charlotte nadawała na dokładnie tych samych falach i przeczuwała, że nie tracą ze sobą kontaktu.

Czy na pewno? Być może.

Stąpająca twardo po ziemi cząstka Charlotte musiała przyznać, że pewnie tracą. Chociaż zarabiała na życie piórem, w pisaniu listów była kiepska. Za dzień czy dwa pozostawi za sobą Inishmaan, wróci na Brooklyn, a stamtąd...? Poza Australią miała w planach podróż do Toskanii i Bordeaux. Zbieranie materiałów w tym drugim miejscu było o tyle kuszące, że zamierzała przy okazji odwiedzić Paryż. Mieszkało tam kilkoro jej przyjaciół: pisarz, plastyczka zajmująca się ceramiką i niedoszła projektantka mody, której ubrania były zbyt uduchowione, żeby trafić w masowe gusta, lecz nadrabiała to sympatycznym usposobieniem.

Czy spędzi lato równie przyjemnie jak na Quinnipeague? Nie.

Ale sama sobie wybrała takie życie.

\*

Nicole Carlysle żyła w stanie błogiej nieświadomości tego, co wydarzyło się dziesięć lat wcześniej. Miała za to mnóstwo bieżących problemów, z których nikomu się nie zwierzała, i na tym właśnie polegał jej największy kłopot. Nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, co ją trapi. Nikt nie mógł wiedzieć, co oznacza brak emocjonalnego wsparcia i jakże potrzebnej rady. Julian nalegał, żeby nic nikomu nie mówiła, a Nicole przystała na to z miłości do niego. Była jego podporą, a jaka kobieta nie chciałaby o sobie usłyszeć, że jest podporą swojego mężczyzny? Ciężar, który nosiła na barkach, był jednak ogromny. Zwariowałyby, gdyby nie blog. Niezależnie od tego, czy pisała o lokalnym wytwórcy sera, nowo otwartej ekologicznej restauracji czy wykorzystaniu nowego gatunku egzotycznego owocu, który właśnie pojawił się na rynku, każdego dnia godzinami jeździła po Filadelfii i okolicach w poszukiwaniu materiałów. Wraz z nadejściem wiosny tematów przybywało.

Tym razem jednak, siedząc przed iMakiem w gabinecie Juliana, zajmowała się czymś zupełnie innym. Z tego pokoju – w przeciwieństwie do większości pomieszczeń ich mieszkania w osiemnastopiętrowym apartamentowcu – nie rozciągał się widok na rzekę Schuylkill. W gabinecie nie było okien, ściany pokrywały mahoniowe półki zastawione książkami medycznymi, które Julian odziedziczył po ojcu lub zebrał, zanim zostały wydane w postaci elektronicznej. Nicole też miała swoje półki, chociaż było ich zdecydowanie mniej. Wypełniały je powieści, z którymi nie potrafiła się rozstać, i książki poświęcone sposobom spędzania wolnego czasu, które były dla niej źródłem wiedzy i inspiracji.

Nicole była dobrze zorganizowana, więc papiery leżące po lewej stronie komputera – notatki, wydruki komentarzy od fanów, prośby o wsparcie promocyjne od dostawców – tworzyły schludny stosik. Za nimi leżał aparat fotograficzny podłączony do portu USB, a w ceramicznej miseczce po prawej stronie komputera pysznił się dopiero co sfotografowany bohater jej najnowszego wpisu na blogu: główka kalafiora purpurowego, wciąż otulona zielonymi liśćmi. Skórzana kanapa, fotel i szezlong wypełniały pokój zapachem olejku cytrynowego i staroci.

Jednak to nie ten zapach zaprzętał jej myśli, kiedy przeczytała napisane przez siebie słowa: „Często jeżdżę na targ. Uwielbiam kupować świeże warzywa od rolników, ale oferowane przez nich zioła nie umywają się do tych z wyspy. To właśnie przyprawy tworzą smak jedzenia z Quinnie – przyprawy i świeżość. Wypiarze z Quinnepeague uprawiali organiczną żywność i gotowali z niej lokalne potrawy na długo przed powstaniem ruchu »z pola prosto na stół«, lecz to właśnie zioła grały pierwsze skrzypce. Nie mogę pisać o wyspiarskiej kuchni, nie wspominając o miejscowych ziołach. I o ludziach. W tym miejscu muszę pomyśleć o Tobie, Charlotte. Jadłaś gulasz z homara Dorey Jewett i smażone małże Mary Landry i zawsze tak lubiłaś kompot Bonnie Stroud, który co roku przynosiła na kolację z okazji Dnia Niepodległości. Ci ludzie nadal tam są. Każdy z nich ma swoją historię. Chciałabym umieścić niektóre z tych postaci w książce, ale lepiej mi wychodzi pisanie o jedzeniu niż o ludziach. Za to Ty robisz to świetnie, Charlotte. Ciągłe wyszukiwanie Twojego nazwisko w Google’u i pojawia się ono w najlepszych czasopismach podróżniczych”.

Nicole przerwała pisanie i zamyśliła się nad tymi artykułami, przypatrując się odbiciu swoich oczu w monitorze komputera. Były zielone jak morze ze zmartwienia i od zastanawiania się, czy przyjaciółka przyjmie jej propozycję. Charlotte była profesjonalną dziennikarką, z pewnością przyzwyczajoną do pisania pod własnym nazwiskiem. Nicole będzie się z nią musiała podzielić zyskami, a zaliczka nie była wysoka. Jeśli książka sprzeda się dobrze, pojawią się pieniądze, lecz na razie mogła jej zaproponować niewielką kwotę plus mieszkanie i wyżywienie w jednym z najładniejszych domów na wyspie – oraz wspólne czytanie i rozmowy, czyli wszystko to, na czym spędzały czas, zanim życie weszło im w paradę.

Nicole kilka razy zmieniała brzmienie listu. W końcu, zmęczona analizowaniem każdego słowa, napisała bez ogródek: „Potrzebuję Cię, Charlotte. Książka kucharska z Quinnie będzie do niczego bez Twojego wkładu. Wiem, że jesteś zajęta, ale mam czas do piętnastego sierpnia, więc w grę nie wchodzi całe lato, poza tym możesz znaleźć na wyspie ciekawe tematy do swoich artykułów. Nie będziesz żałowała, obiecuję”.

Podniosła wzrok znad monitora, dostrzegła stojącego w drzwiach Juliana i od razu poczuła znajome ciepło. Działo się tak za każdym razem, kiedy ją na czymś przyłapywał, odkąd zobaczyła go pierwszy raz w Starbucksie w Baltimore dwanaście lat wcześniej. Była wtedy świeżo upieczoną absolwentką studiów ochrony środowiska w Middlebury i uczyła się zawodu, przygotowując materiały prasowe dla miejscowej organizacji rolniczej. W nadziei, że uda jej się popracować podczas popołudniowej przerwy, odstawiła swoje duże karmelowe frappuccino z bitą śmietaną na stolik, nie zwracając uwagi na otoczenie. Dopiero gdy otworzyła laptopa, zdała sobie sprawę, że na stoliku obok stoi identyczny komputer, otworzony pod dokładnie takim samym kątem. Julian zauważył to kilka sekund wcześniej i uśmiechał się do Charlotte wyczekująco.

Był chirurgiem, przyjechał z Filadelfii na seminarium na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa i emanował milczącą siłą. Przez ostatnie cztery lata owa siła była wystawiana na ciężką próbę, a mimo to, patrząc na stojącego w drzwiach męża, Nicole wiedziała, że Julian nadal ją w sobie ma. Mimo niewysokiego wzrostu zachowywał królewską prezencję, nawet teraz, pewnie dzięki regularnym ćwiczeniom. W ciągu minionego roku czy dwóch posiwiiał, ale nawet po dniu

spędzonym w szpitalu był przystojnym czterdziestosześcioletkiem. Zmęczonym, jak zawsze ostatnimi czasy, ale przystojnym.

Julian podszedł do żony, starając się uśmiechnąć.

– Spisujesz wrażenia z wczorajszego wieczoru? – zapytał.

Odwiedzili z przyjaciółmi nową restaurację. Dla Nicole był to służbowy wieczór; poprosiła, żeby każdy z gości zamówił inną potrawę i ocenił ją, a potem skrzętnie notowała ich komentarze.

Zanim zdążyła pokręcić głową, stanął nad nią, opierając się biodrem o biurko, tuż przy klawiaturze.

– W takim razie chodzi o książkę kucharską – stwierdził z wszystkowiedzącym uśmiechem. – Zawsze masz tę minę, kiedy myślisz o Quinneeague.

– I świętym spokojem. Mamy kwiecień. Będziemy tam już za dwa miesiące. Jedziesz ze mną, prawda?

– Przecież ci obiecałem.

– Ale bez entuzjazmu. To dla nas szansa, Jules – dodała, poważniejąc. – Potrzebujemy tego, choćby na tydzień. – Wróciła myślami do przyjemniejszych wspomnień. – Pamiętasz, jak pojechałeś tam po raz pierwszy? Powiedz prawdę, nie cierpiałeś tego miejsca.

Brązowe oczy Juliana pojaśniały z rozbawienia.

– A co tu lubić? Zapomnianą przez Boga i ludzi wysepkę pośrodku Atlantyku...

– Oddaloną niespełna dwadzieścia kilometrów od brzegu.

– Na jedno wychodzi. Skoro nie było tam szpitala, równie dobrze mogła dla mnie nie istnieć.

– Bałeś się, że będą tam same polne drogi i że nie znajdziesz sobie nic do roboty.

Julian cicho się zaśmiał. Pomiędzy żeglowaniem, łowieniem ryb, małży i homarów, wieczorami filmowymi w kościele i porankami w kawiarni, nie mówiąc już o kolacjach jedzonych w domu, na mieście albo u przyjaciół, Nicole nie pozwalała mu się nudzić.

– Pokochałeś to miejsce – podpuszczała go żona.

– Owszem. Jest doskonale. Zupełnie inny świat. – Jego oczy posmutniały. –

Rzeczywiście, wyjazd bardzo nam się przyda, maleńka. – Ujął twarz żony w dłonie i pocałował ją.

To był smutny pocałunek. W nadziei, że uda jej się odpędzić ten nastrój chociaż na kilka chwil – szczególnie że zawsze podniecało ją, kiedy mówił do niej „maleńka” – Nicole wyciągnęła ręce do Juliana, lecz ten chwycił je, przycisnął do ust i zwinnie przesunął się za jej plecy. Obejmując żonę, z policzkiem przy jej włosach, przeczytał słowa na monitorze komputera.

– No nie – westchnął. – Charlotte.

– Tak. Naprawdę jej potrzebuję.

Julian odsunął się, żeby spojrzeć Nicole w oczy.

– Wcale nie, Nicki. Możesz napisać tę książkę sama.

– Wiem o tym – powtórzyła po raz kolejny. – Ale Charlotte jest uznaną dziennikarką i jej historia też wiąże się z Quinneeague. Jeśli dołączymy jej opowieści o mieszkańcach do moich o jedzeniu, książka będzie dużo lepsza.

– Przecież Charlotte od dziesięciu lat nie postawiła stopy na wyspie – odparł Julian ze spokojem, który świadczył o jego dobrym rozeznaniu w sytuacji.

Och, Julian posiadał rozległą wiedzę, był pionierem w swojej dziedzinie i świetnie znał się na ludziach. Jednak Nicole nie zamierzała tak łatwo ustąpić.

– Znasz lepszy pretekst, żeby ją tam ściągnąć? Poza tym skoro ty wyjedziesz po tygodniu, a mamy w ogóle nie będzie, niech przynajmniej Charlotte dotrzyma mi towarzystwa.

Julian milczał przez chwilę. Nicole wiedziała, co powie, zanim jeszcze padły te słowa:  
– Charlotte okazała się kiepską przyjaciółką. Nazywała twojego tatę swoim przybranym ojcem, a nawet nie pofatygowała się na jego pogrzeb.

– Była wtedy w Nepalu. Nie zdążyłaby wrócić na czas. Ale zadzwoniła. Była równie przybita jak my wszyscy.

– A czy później też do ciebie dzwoniła? – zapytał, chociaż oboje znali odpowiedź.

– Mejlujemy.

– Często? Nie. Poza tym to ty do niej piszesz. Odpowiedzi Charlotte są krótkie i zdawkowe.

– Ma mnóstwo pracy.

Julian dotknął jej policzka.

– Nie widziałyście się od dziesięciu lat. Wasze drogi się rozeszły. Jeśli chcesz ją ściągnąć na wyspę, żeby odbudować waszą przyjaźń, możesz się bardzo rozczarować.

– Brakuje mi jej. – Julian sprawiał wrażenie nieprzejednanego, więc dodała: – Nie chodzi o to. Przynajmniej ci, że jej nie powiem. – Przybrała błagalny ton. – Pomyśl o tych wszystkich zbiegach okoliczności, Jules. Piszę książkę kucharską, ty wyjeżdżasz na miesiąc do Północnej Karoliny, mama nie chce przyjechać do Quinnepeague i potrzebuje kogoś, kto spakuje rzeczy. Jakbym miała na to ochotę... Już sama ta czynność będzie okropna, ale przebywanie tam samotnie, bez ciebie? To ostatnie lato, kiedy dom należy do nas, a Charlotte jest dla mnie częścią związanych z nim wspomnień.

Julian milczał.

– Nawet nie wiesz, gdzie jej szukać.

– Nikt nie wie. Charlotte żyje na walizkach. Właśnie dlatego piszę e-mail. Może go przeczytać wszędzie. I zawsze mi odpisuje.

Julian miał jednak rację co do długości odpowiedzi. Charlotte niewiele pisała o swoim życiu. Jednak od samego początku tego projektu Nicole wyobrażała sobie, że jej przyjaciółka weźmie w nim udział. O tak, Charlotte znała Quinnepeague jak własną kieszeń. Ale znała też Nicole, a ta pilnie potrzebowała się z nią zobaczyć. Przeżywali z Julianem trudne chwile. Czułe momenty, dawniej tak częste, zdarzały się im coraz rzadziej. Miesięczne szkolenie lekarzy z Duke w technice, w której Julian był ekspertem, pozwoli mu się oderwać od zmartwień. A Nicole? Ona potrzebowała towarzystwa Charlotte. Łączyły je miłe wspomnienia; przyjaciółki zawsze nadawały na tych samych falach. Charlotte była jedyną nadzieją Nicole na odrobinę rozrywki tego lata.

Julian założył żonie długi kosmyk włosów za ucho. Na jego twarzy malował się ból. Nicole ponownie wyciągnęłaby do niego ręce, gdyby nie objął dłońmi jej twarzy.

– Nie chcę, żebyś cierpiała – powiedział, pocałował żonę w czoło i lekko się odsunął. – Myślisz, że Charlotte przyjmie zaproszenie?

Nicole się uśmiechnęła. Przynajmniej tego była pewna.

– Oczywiście. Nieważne, ile czasu minęło. Charlotte uwielbia Quinnepeague. Nie oprze się tak silnej pokusie.



# Rozdział 1



Quinnipeague leżała osiemnaście kilometrów od lądu. Przy populacji liczącej mniej niż trzysta osób do zaopatrzenia wyspy wystarczała przyplływająca codziennie łódź pocztowa, która transportowała również produkty spożywcze i garstkę pasażerów, bez samochodów. Jako że Charlotte po raz pierwszy w życiu była dumną posiadaczką samochodu, wykupiła miejsce na promie. Na pokład wsiadła w Rockland we wtorek, czyli jeden z trzech dni w tygodniu, kiedy kapitan przepływał obok Vinalhaven i zawijał do wysepek takich jak Quinnipeague. Nicole zaproponowała, że zapłaci za jej bilet lotniczy, ale Charlotte latała wszędzie, a to lato miało być inne.

Jeździła starym jeepem wranglerem, kupionym od znajomej znajomego za ułamek pierwotnej ceny. Drżąc z podniecenia, złożyła dach i rozkoszowała się podmuchami ciepłego czerwcowego powietrza w drodze z Nowego Jorku. Cieszyła się na tę podróż. Po pracowitych dwóch miesiącach wreszcie miała wolne, mogła się wyciszyć, ochłonać i może nawet znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego zgodziła się spędzić ostatnie lato na Quinnipeague. Przecież obiecała sobie, że ze względu na bolesne wspomnienia nigdy więcej tam nie pojedzie.

Miała jednak i dobre wspomnienia, które wróciły do niej, gdy przeczytała w Irlandii wiadomość od Nicole. Odpisała natychmiast, obiecując, że zadzwoni do niej tuż po powrocie do Nowego Jorku. I zrobiła to, gdy tylko znalazła się na lotnisku, jeszcze z kolejki po odbiór bagażu.

Oczywiście, że przyjedzie, zapewniła przyjaciółkę. Po pierwsze z powodu Boba. Nie pojechała na pogrzeb, ponieważ nie miała odwagi stawić czoła nieżyjącemu ojcu Nicole po tym, jak srodze go zawiodła – jak zawiodła ich wszystkich. Miała więc wyrzuty sumienia wobec Nicole zarówno z powodu swojej nieobecności na pogrzebie, jak i z powodu zdrady.

Jednak poczucie obowiązku nie było jedynym powodem, dla którego przyjęła zaproszenie. Drugim była ulga; Nicole sama wyciągnęła do niej dłoń. I nostalgia – Charlotte tęskniła za beztruskimi wakacjami. A także samotność, bo choć spędzała życie wśród ludzi, żaden z nich nie był jej tak bliski jak kiedyś Nicole.

I jeszcze książka kucharska. Nigdy nie pracowała nad książką i w zasadzie z nikim nie współpracowała przy żadnym projekcie, chociaż ten wydawał się bułką z masłem, skoro większość odpowiedzialności spoczywała na barkach Nicole. Kiedy Charlotte myślała o osobach, z którymi powinna przeprowadzić wywiad, jako pierwsza przychodziła jej do głowy Cecily Cole. Skoro już mowa o ważnych postaciach, Cecily pod wieloma względami uosabiała wyspiarską kuchnię, ponieważ to właśnie jej zioła czyniły potrawy wyjątkowymi. Musiała być najważniejszą bohaterką tej książki. Rozmowa z nią będzie czystą przyjemnością.

Charlotte przydałoby się nieco rozrywki, odpoczynku i magii, a na Quinnipeague można było znaleźć to wszystko. Nawet teraz, kiedy prom na zmianę zanurzał się we mgle i z niej wypływał, rzeczywistość to pojawiała się, to znikwała. Thomas Wolfe napisał kiedyś *Nie ma powrotu*, lecz Charlotte modliła się, żeby nie miał racji. Spodziewała się pewnej dozy skrępowania; w ciągu dziesięciu lat ścieżki przyjaciółek zdążyły się rozejść i trudno było liczyć na to, że od razu wrócą do tego, co dawniej je łączyło. Szanse byłyby jeszcze mniejsze, gdyby Nicole wiedziała o jej zdradzie. Z drugiej strony, gdyby przyjaciółka wiedziała, nie zaprosiłaby

Charlotte na wyspę. W Nicole Carlisle nie było krztyny przewrotności.

Charlotte wychyliła się przez barierkę biegnącą wzdłuż burty i wstrzymała oddech. Czy to możliwe, żeby...

Ale nie, to tylko złudzenie, szybko wchłonięte przez mgłę.

Charlotte minęła puste ławki i mocno chwyciła się relingu na dziobie promu.

Oczekiwanie wzbierało w niej od chwili wyjazdu z Nowego Jorku i gwałtownie wzrosło w New Haven, a później w Bostonie. Zanim dotarła do Portland, zaczęła żałować swojej decyzji, ale to się zmieniło, kiedy zjechała z autostrady w Brunswick i jechała dalej wzdłuż wybrzeża. Bath, Wiscasset, Damariscotta – cieszyły ją nazwy tych miejscowości, podobnie jak widok łodzi, domów nad brzegiem oceanu i przydrożnych stoisk. „Małże smażone w całości”, głosił napis na jednym z nich, lecz oparła się pokusie. Małże podawane w Quinipeague były zbierane kilka godzin przed podaniem na stół, a niebiańsko lekkie ciasto przyprawiano natką pietruszki i tymiankiem. Żadne inne smażone małże nie mogły się z nimi równać.

Prom wznosił się na fali, lecz płynął spokojnie. Chociaż powietrze było rześkie i wiał silny wiatr z drobinkami morskiej wody, Charlotte nie mogła się zmusić, żeby wejść pod dach. Kiedy statek wypłynął z Rockland, zawiązała wokół talii sweter i mimo że spięła włosy, kilka loków zdołało się wydostać i powiewało teraz na wietrze. Charlotte wpatrywała się w ocean. Niektórzy uważali wody północnego Atlantyku za zimne i nieprzyjazne, ale ona miała odmienne zdanie. Turkusowe, szmaragdowe, niebieskozielone – żaden kolor fal nie podobał jej się tak bardzo jak szaroniebieski. Sprawilo to siedemnaście wakacyjnych letnich pobytów na wyspie.

Musiała zrobić zdjęcie tym falom.

Ale nie. Nie chciała, by cokolwiek oddzieliło ją od tego widoku, nawet obiektyw aparatu.

W ciągu ostatnich tygodni wyobrażała sobie tę chwilę dziesiątki razy, więc wydawało jej się, że jest przygotowana, lecz kiedy wyspa wreszcie wyłoniła się z mgły, Charlotte przeszył dreszcz. W miarę rozwiewania się oparów wyostrzały się elementy krajobrazu, które tak dobrze pamiętała: postrzępione skały, korony drzew, restauracja Chowder House wznosząca się na granitowym masywie opasanym dwiema drogami, które spływały łagodnie od strony miasteczka w kierunku wybrzeża, niczym symetryczne wstęgi schodów w eleganckiej willi.

Poza tym w Quinipeague nie było nic eleganckiego; wyboiste dróżki i podniszczone nabrzeże portowe. Jednak wysepka wcale nie miała być elegancka, tylko autentyczna. Okienne służyły praktycznemu celowi – zamykano je, by się chronić przed silnym wiatrem, a kiedy były otwarte, często wisiały przekrzywione. Drewno miało szarą barwę, przywiązane do ściany rybackiego domku boje były jaskrawe mimo łuszczącej się farby, a mewy, które przysiadły na wysokich palach, zostawiały po sobie kredowobiałe ślady.

Kiedy prom zbliżył się do brzegu, Charlotte zaczęła odróżniać zacumowane w porcie żagłówki od motorówek. Łodzi do połowu homarów było mniej, niż zapamiętała, podobnie jak poławiaczy, chociaż ci, którzy zostali, pewnie i tak wypłynęli w morze, żeby wybierać pułapki, stąd widok zacumowanych w porcie pontonów.

Puls jej przyspieszył, gdy zobaczyła biegnącą wzdłuż brzegu postać, i w tym momencie złe wspomnienia zostały zmiecione do morza. Charlotte zaczęła szaleńczo wymachiwać rękami.

– Hej, Nicki! Jestem tutaj!

Tak jakby na promie byli jacyś inni pasażerowie. Jakby Nicole mogła jej nie dostrzec lub jakby mogła usłyszeć jej krzyki przez hałas silnika i odgłos fal rozbijających się o pale. Mimo to Charlotte nie mogła się powstrzymać. Znow była dzieckiem, które przebyło samotnie drogę z Wirginii z duszą na ramieniu i wreszcie dotarło na miejsce. Była nastolatką, zaprawioną podróżniczką z Teksasu, uradowaną widokiem najlepszej przyjaciółki. Studentką, która przyjechała autobusem z New Haven na wakacje z rodziną, by opowiedzieć jej o swoich

studiach, przyjaciółach i marzeniach.

Nikt na nią nie czekał w żadnym z miejsc, które odwiedziła w ciągu dziesięciu lat od tamtych pamiętnych wakacji, kiedy Nicole i Julian wzięli ślub.

Widząc na brzegu podekscytowaną Nicole, Charlotte zalała tak potężna fala ulgi, że wybaczyła przyjaciółce nieśmiałość, uległość i ugodowość, które uczyniły z niej taką łatwą ofiarę zdrady – cechy, dzięki którym Charlotte przez lata rozgrzeszała się z tego, co zrobiła.

Ale to był zupełnie nowy dzień. Wisząca w powietrzu mgła nie zdołała przyćmić czerwieni i błękitu łodzi. Podobnie jak zapach wodorostów nie stłumił aromatu grillowanych potraw w Chowder House. Przystępując z nogi na nogę, Charlotte przycisnęła dłonie do ust, żeby się uspokoić, podczas gdy prom zwolnił i z irytującą precyzją i zgrzytem przekładni zawijał do portu. Charlotte przesunęła się, by nie stracić z oczu przyjaciółki.

Nicole jak zawsze wyglądała pięknie. Była drobna i gdy tak stała na brzegu, sprawiała wrażenie wyjątkowo smukłej. Zawsze stylowa, tym razem miała na sobie obcisłe džinsy i skórzaną marynarkę. Wiatr szarpał jej apaszką, która kosztowała pewnie więcej niż cała letnia sfatygowana garderoba Charlotte, pochodząca głównie ze sklepu L.L. Bean, której używała od lat. Najbardziej szykowne były jej baleriny kupione trzy lata wcześniej na paryskim targu.

Rufa promu wreszcie dotknęła nadbrzeża. Gdy tylko kapitan rozpiął łańcuchy i opuścił trap, Charlotte ruszyła przed siebie. Zarzuciła Nicole ramiona na szyję i zawołała:

– Wyglądasz lepiej niż kiedykolwiek! Wprost zjawiskowo!

– Ty też – odrzyknęła Nicole, mocno tuląc przyjaciółkę. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Nie zdołała opanować łez.

Charlotte stała ze ściśniętym gardłem, również bliska płaczu. Minęło dziesięć lat, w ich życiu wiele się zmieniło, a jednak obie były jednakowo przejęte. Chwytając się cudownych wspomnień ich wspólnych wakacji, Charlotte przez chwilę nic nie mówiła, obejmując Nicole, aż ta wreszcie roześmiała się przez łzy. Starła je z twarzy i uważnie przyjrzała się Charlotte.

– Ani trochę się nie zmieniłaś – oznajmiła głosem, który Charlotte tak świetnie pamiętała, wysokim, wręcz dziecięcym. – Nadal uwielbiam twoje włosy.

– Wciąż nie mogę sobie z nimi poradzić, ale twoje też mi się podobają. Skróciłaś je.

– W zeszłym miesiącu. Mam głos dziesięciolatki, ale chciałabym przynajmniej wyglądać jak dorosła kobieta.

Proste włosy koloru blond zawsze spływały jej na plecy. Teraz, obcięte na pazia, okalały twarz, podkreślając zieleń oczu Nicole, błyszczących od łez i nagłego niepokoju.

– Jak ci minęła podróż?

– Dobrze.

– Spędziłaś za kółkiem wiele godzin, a nie jesteś do tego przyzwyczajona...

– I właśnie dlatego chciałam to zrobić. Podróż była naprawdę przyjemna. Nicki, zawsze wyglądałaś świetnie, ale ta fryzura wyjątkowo do ciebie pasuje.

Charlotte mogłaby się przy niej poczuć jak szara myszka, gdyby nie to, że wiele kobiet wydawało majątek, żeby mieć takie włosy jak ona. Poza tym jej głos, niezbyt wysoki i wyróżniający się, pomagał jej zachować pewność siebie.

Nicole przyglądała się butom Charlotte.

– Cudne. Kupiłaś je w Paryżu?

Charlotte szeroko się uśmiechnęła.

– Gdzież by indziej?

– A sweter? Nie jest z Paryża, ale wygląda bosko. Tak autentycznie. – W głosie Nicole zabrzmiało nerwowe podniecenie. – Gdzie go kupiłaś? Muszę mieć taki sam.

– Przykro mi, skarbie. Dostałam go od pewnej Irlandki.

– Idealnie pasuje do tego miejsca. Czerwiec był wyjątkowo ponury i pochmurny. Powinnam była cię ostrzec, ale bałam się, że nie przyjedziesz.

– Zdążyłam się przyzwyczaić do niepogody. – Charlotte spojrzała w kierunku wzgórza. – Wyspa wygląda dokładnie tak samo jak dawniej. – Za barem Chowder House znajdował się po lewej stronie sklep spożywczy, a po prawej poczta. Oba budynki były długie i niskie, żeby nie zagrażały im podmuchy wiatru. – Jakby nic się nie zmieniło.

– Bo to prawda. Mamy za to w domu Wi-Fi. Podłączyłam się w zeszłym tygodniu.

– Tylko dla nas dwóch? – wołała się upewnić Charlotte.

Nicole powiedziała, że Julian spędzi z nią tydzień poprzedzający przyjazd Charlotte i opuści wyspę przed jej przybyciem. Gdyby postanowił zostać, zmieniłoby to charakter jej wizyty, sprawiając, że przyjaźń dwóch kobiet mogłaby zawisnąć na włosku.

Jednak Nicole nie straciła zimnej krwi.

– Hej, zasługujemy na to. Poza tym jeśli przestanę zamieszczać wpisy na blogu, ludzie stracą zainteresowanie, przestaną mnie odwiedzać i nie będę miała komu polecić naszej książki kucharskiej. Odkąd zgodziłaś się mi pomóc, mam pewność, że wszystko się uda. Dziękuję ci, Charlotte – powiedziała z głębi serca. – Wiem, że masz ważniejsze rzeczy do roboty.

Charlotte już miała ją zapewnić, że wcale tak nie jest, lecz przeszkodził jej szorstki głos kapitana promu:

– Halo! – Mężczyzna wskazał kciukiem w kierunku jeepa. – Zamierza go pani stąd zabrać?

– Och! – Roześmiała się. – Przepraszam.

Uwolniła Nicole z uścisku, wbiegła z powrotem na pokład promu i usiadła za kierownicą. Zanim uruchomiła silnik, Nicole wślizgnęła się na miejsce pasażera i przesunęła dłoń po wysłużonej desce rozdzielczej.

– Zapłacę ci za niego.

Charlotte posłała jej zdziwione spojrzenie i ruszyła.

– Za ten samochód? Nie ma mowy.

– Nie kupiłabyś go, gdyby nie moja książka, a na pewno nie przyjmiesz ode mnie pieniędzy za pomoc.

– Właśnie dlatego że to twoja książka. Ja jestem tylko uczestniczką tej przejażdżki. – Roześmiała się z własnego dowcipu. – Uwierzysz, że to mój pierwszy w życiu samochód? – Zjechała do portu. – Czy to się dzieje naprawdę?

– Absolutnie tak – odparła Nicole, nagle poważniejąc. – Poradziłaś sobie na autostradzie?

– Jakoś tu dotarłam. – Charlotte pomachała kapitanowi. – Dziękuję! – Wyjechała z portu w ślimaczym tempie. Kiedy znalazła się na drodze, zatrzymała samochód, poprawiła się na siedzeniu i postanowiła rozprawić z pierwszym z duchów przeszłości. – Przykro mi z powodu twojego taty, Nicki. Chciałam być na pogrzebie, ale nie mogłam.

Nicole jakby przybyło lat.

– Może dobrze się stało – odparła ze smutnym uśmiechem. – Zjawiło się mnóstwo osób. Nie miałam czasu, żeby zebrać myśli.

– Zawał?

– I to rozległy.

– Miał wcześniej problemy z sercem?

– Żadnych.

– To straszne. Jak się czuje Angie?

Matka Nicole. Charlotte zadzwoniła również do niej, a Angie powiedziała to, co należało powiedzieć w takiej sytuacji: „Tak, to wielka tragedia, on ciebie też kochał, miło, że

zadzwońska”. Sprawiała wrażenie rozkojarzonej.

– Kiepsko – potwierdziła jej obawy Nicole. – Byli tacy zakochani, a tata kochał Quinneapolis. Jego rodzice kupili ten dom, kiedy był mały. To tutaj oświadczył się mamie. Zawsze powtarzali, że gdybym była chłopcem, nazwaliby mnie Quinn. Mama nie może się zmusić do przyjazdu na wyspę. Dlatego postanowiła sprzedać dom. Nie chce nawet spakować rzeczy. Wszystko tutaj kojarzy jej się z ojcem.

– Hop, hop! – rozległ się wesoły głos. – A któż to przyjechał?

Po schodach Chowder House schodziła pulchna kobieta w fartuchu narzuconym na podkoszulek i szorty. Dorey Jewett przejęła interes po ojcu kilka lat po tym, jak Charlotte zaczęła spędzać wakacje na wyspie, i to ona sprawiła, że bar dorównywał najlepszym restauracjom w mieście. Dorey miała błyszczącą skórę osoby, która całymi dniami pracuje w zaparowanym pomieszczeniu, lecz kurze łapki od śmiechu i mrużenia oczu zdradzały, że dobiega sześćdziesiątki.

– Missy mówiła, że się do nas wybierasz. Jak ty wydorósłaś!

Dorey całe życie spędziła w Maine i mówiła z charakterystycznym wyspiarskim akcentem. Charlotte była nim urzeczona.

– Gdy przyjechałam tu po raz ostatni, miałam dwadzieścia cztery lata. Nie byłam dzieckiem.

– Ale spójrz tylko na siebie. Ładny sweter! – Entuzjazm kobiety sprawił, że Charlotte ponownie się roześmiała. – A Missy? Cóż, widywałam ją przez wszystkie te lata, ale mówię ci, że przy was wyglądałyśmy jak kocmołuchy. – Uniosła brwi. – Jesteście głodne? Mam gorący chowder[1].

*Czau-da* – pomyślała radośnie Charlotte. Było późne popołudnie, a ona umierała z głodu. Jednak Nicole uwielbiała gotować i to do niej należała decyzja.

Nicole wychyliła się przez okno i powiedziała do Dorey:

– Poproszę dwie porcje na wynos, z chlebem kukurydzianym i młodymi pędami paproci.

– Zdążyłyście w ostatniej chwili – wyjaśniła Dorey. – Pewien sprzedawca usiłował mnie przekonać, że powinnam pakować pędy w folię i zamrażać, ale wtedy nie byłyby takie pyszne. Mam je tylko dlatego, że sprowadziłam ostatnie sztuki z północy, a sezon uprawy bardzo się w tym roku opóźnił. Skończyłyby się tydzień temu, ale interes nie idzie mi w tym roku zbyt dobrze, bo benzyna podrożała. Zresztą i tak mało kto zapuszcza się na wyspę przy tak silnym wietrze. A wam nie będzie za zimno? – zapytała, chociaż sama miała gołe ręce i nogi.

Jednak Charlotte nadal była skoncentrowana na swoim pustym żołądku.

– Czy mogłabyś dorzucić jeszcze kilka małży?

– Już się robi. Podjedźcie na górę, zaraz przyniosę zamówienie.

1 *Chowder* — zupa rybna z owocami morza (przyp. tłum).

## Rozdział 2



Wyspa była długa i wąska, wiała się na powierzchni oceanu niczym sympatyczna, łagodna kobra. Jej szeroka głowa, zwrócona w stronę lądu i wzniesiona do góry, osłaniała centrum miasteczka. Kiedyś była to rybacka wioska. Przy jej wąskich uliczkach nadal mieszkała garstka poławiaczy homarów i małży, chociaż właścicielami nieruchomości byli głównie miejscowi świadczący usługi napływowym mieszkańcom, których domy ciągnęły się w części wyspy tuż za głową kobry. Byli wśród nich artyści, biznesmeni i programiści komputerowi, którzy ściągnęli na wyspę zwabieni ciszą i spokojem.

Przez pozostałą część Quinipeague biegła droga wzdłuż błotnych równin, osłoniętych plaż i skalnych urwisk. Przy piaszczystych ścieżkach prowadzących do letnich domków stały skrzynki na listy, które teraz, w końcu czerwca, ledwie było widać spomiędzy krzewów dzikich róż i geranium.

Dom Nicole był przedostatni, oddalony jedenaście kilometrów od przystani i trzy od koniuszka ogona kobry. Chociaż mniej okazały niż niektóre z nowszych domów, wybudowanych po ostatniej wizycie Charlotte, był to piękny piętrowy biały dom, z szerokimi tarasami, czarnymi okiennicami i przybudówkami po obydwu stronach. Urządzono w nich sypialnie dla gości, które podczas szczególnych okazji, takich jak ślub Nicole, mieściły nawet do dwudziestu osób.

Główny budynek przeznaczony był dla rodziny. Sypialnie znajdowały się na piętrze, zaś parter, by lepiej wykorzystać widok, przebudowano i składał się teraz z dwóch przestronnych pokoi: jadalni i salonu. Obydwa wychodziły na szeroki taras od strony morza.

Podczas gdy życie kuchenne kręciło się wokół dębowego stołu, salon umeblowano w taki sposób, by jak najlepiej wykorzystać kamienny kominek wysoki do sufitu. Właśnie tu postanowiły zjeść kolację Charlotte i Nicole, siedząc obok siebie na podłodze, przy dużym kwadratowym stoliku kawowym. Nicole uparła się, żeby podać jedzenie na pięknej zastawie, i sfotografowała je, zanim zaczęły jeść. Potem odłożyła aparat na bok i rozwinęła serwetkę.

Serwetki były dobrane kolorystycznie do kanap, poduszek i dywanów; w żywych odcieniach błękitu i zieleni, kontrastujących ze snującą się na zewnątrz mgłą. Drwa w kominku zajęły się ogniem, salon powoli zaczęło wypełniać przyjemne ciepło i zapach chowderu. Nicole zdjęła marynarkę i poluzowała apaszkę, która opadła na jej jedwabną koszulę. Charlotte poszła za przykładem przyjaciółki i pozbyła się swetra.

Niewiele rozmawiały, Charlotte wydawała głównie pomruki zachwyty nad jedzeniem. W pewnej chwili, przełknąwszy najbardziej soczystego małża, jakiego w życiu jadła, zapytała ze śmiechem:

– Jakim cudem to jest takie pyszne?

Jej elegancka przyjaciółka odłożyła łyżkę, wypila ostatnie krople zupy prosto z miski i otarła usta.

– Dorey twierdzi, że sekretem doskonałego chowderu jest zamarynowanie składników w garnku na dzień przed ugotowaniem, co mogłoby się wydawać błędem, skoro małże smakują najlepiej usmażone tuż po wykopaniu. Moim zdaniem sekret tkwi w szczypiorku. – Zajrzała niepewnie do pustej miseczki. – Albo w bekonie, albo pietruszce. – Uniosła wzrok znad

naczynia. – A może w maśle? Dorey gotuje chowder w stylu charakterystycznym dla Maine, dodaje raczej mleko niż śmietanę, więc to ono tak błyszczy.

Charlotte podeszła do sprawy prościej.

– A może chodzi o to, że dawno nie jadłyśmy jej zupy? – zapytała, lecz Nicole szybko pokręciła głową.

– Jadłam ją dwa dni temu. Stołuję się u Dorey przez całe lato i jej chowder smakuje mi równie dobrze w sierpniu i w czerwcu.

– Czyli nadal przyjeżdżasz tu na całe lato? – zdziwiła się Charlotte.

Zawsze dostawała jednego czy dwa e-maile z Quinipeague – krótkie wakacyjne pozdrowienia świadczące o tym, że Nicole o niej pamięta – myślała jednak, że po ślubie przyjaciółki jej pobyty na wyspie się skróciły. Julian z pewnością nie mógł zostawić szpitala na trzy miesiące.

– Owszem. Zaczęłam przyjeżdżać z dziećmiakami – Julian miał dwoje dzieci z poprzedniego małżeństwa – bo inaczej zanudziłyby się w Filadelfii, a to miejsce było dla nich idealne. Weszło mi to w nawyk. Kiedy dzieci dorosły i poszły do pracy, nadal tu przyjeżdżałam. Julian wpada na weekendy, czasem uda mu się wyrwać na cały tydzień. Podobnie jest z Kaylin i Johnem. Rodzice lubią mieć towarzystwo. – Skrzywiła się. – To znaczy lubili. – Rozejrzała się po salonie i dodała smutno: – Trudno będzie to wszystko zostawić.

Charlotte ścisnęła jej ramię. Wiedziała, że dom był tylko częścią „wszystkiego”. Chodziło również o Boba. Każdą wolną przestrzeń zajmowały zdjęcia, wiele z nich przedstawiało właśnie jego, w różnym wieku. Nie można było nazwać tego domu kapliczką, raczej miejscem hołdu, chociaż Charlotte wiedziała, że Nicole nadal przeżywa żalobę.

Przez chwilę milczały, delektując się jedzeniem. Charlotte skończyła jeść zupę i małże i zabrała się do pędów paproci. W niektóre lata przyjeżdżała na wyspę zbyt późno, żeby móc się nimi nacieszyć, ale tego smaku nie dało się zapomnieć.

Wytarła palce serwetką koloru mchu, sięgnęła po kieliszek z winem i wygodnie oparła się o krawędź kanapy.

– Czuję obecność twojego taty. Był cudownym człowiekiem. Pewnie nie poszłabym na studia, gdyby mnie do tego nie zmotywował. Nie zostałabym dziennikarką. Nie miałam pojęcia, czym jest etyka zawodu.

Bob Lilly był prawnikiem i chociaż uwielbiał spędzać wakacje na Quinipeague, każdego ranka wstawał o świcie i przeglądał korespondencję z poprzedniego dnia. Podczas ostatniego pobytu Charlotte na wyspie w domu znajdował się faks, komputer z dostępem do internetu i telefon. Przed wybraniem się na żagle Bob załatwiał sprawy swoich klientów. Charlotte pamiętała, że czasem musieli czekać, aż skończy, a kiedy wreszcie do nich dołączał, wyłuszczał im szczegóły sprawy, tłumacząc, dlaczego była tak pilna.

– Był dla mnie wzorem, jak nikt inny.

Nicole przyklękła, wyciągnęła rękę przez stół, poprawiła grubą świecę umieszczoną w szerokim szklanym świeczniku, po czym znów usiadła na dywanie.

– Twoi rodzice odeszli zbyt wcześnie.

Po przyjeździe do domu Charlotte rozpuściła włosy; teraz odgarnęła je palcami i zaczęła wspominać zmarłych rodziców. Używali życia, pochłonęli sobą. Charlotte studiowała na pierwszym roku Yale, kiedy oboje zginęli w wypadku samochodowym, do którego mogłoby nie dojść, gdyby nie byli tak pijani.

Upiła łyk wina, przez chwilę zastanawiając się, jak by to było, gdyby żyli dłużej. Nie potrafiła sobie jednak wyobrazić pozytywnego rozwoju zdarzeń. Charlotte twardo stąpała po ziemi.

– Oni nigdy nie byli dla mnie wzorem, Nicki. Czasami próbuję ich idealizować, bo przecież zginęli, ale zawsze przypominam sobie, że w ich życiu panował kompletny chaos. Brali ślub trzykrotnie, w tym dwa razy ze sobą, a w międzyczasie wdawali się w romanse, rozwodzili się i trwonili pieniądze. Potrafili odgrywać różne role, na przykład szanowanych najemców domu obok waszego w Baltimore, ale tylko na krótką metę. Kiedy moi rodzice poznali twoich, dopiero co wyrzucono ich z mieszkania w Wirginii, o czym agentka nieruchomości rzecz jasna nie miała pojęcia. W tamtych czasach nie istniały sposoby, żeby sprawdzić czyjąś historię; ona miała do wynajęcia elegancki dom, a tu proszę bardzo, zjawili się moi rodzice. Angie i Bob szybko ich przejrzeni, ale nie dali nic po sobie poznać. Dlaczego?

– Ze względu na ciebie.

– Mówię poważnie.

– Ja też. Cieszyli się z naszej przyjaźni. Podobało im się, że ich podziwiasz. Dostrzegli w tobie potencjał. Poza tym twoi rodzice organizowali świetne grille. Nadal pamiętam smak tamtych żeberek.

– Skradzionych pewnie ze stoiska garmażeryjnego w supermarkecie – wymamrotała Charlotte. Czują się skrzepowana pochwałami, wzbudzającymi w niej jeszcze większe poczucie winy, które tak bardzo próbowała stłumić.

– Jesteś dla nich zbyt surowa.

Charlotte pozwoliła włosom opaść na ramiona i dała spokój błędom swoich rodziców.

– Pewnie masz rację. Zresztą nawet jeśli ukradli te żeberka, to przy okazji poznałam ciebie, więc to nie mogło być takie złe.

Polubiły się od samego początku. Gdy przez rok były sąsiadkami, stały się nierozłączne. Kiedy Charlotte się wyprowadziła, często nocowała u Nicole, i oczywiście spędzały wspólnie wakacje na Quinipeague.

– Moi rodzice nie wiedzieliby, czym mnie zająć – ciągnęła Charlotte. – W porównaniu z nimi twoi świetnie sobie radzili.

– Oni też na tym korzystali. Zyskałam siostrę w czasach, gdy moja mama przechodziła kolejne poronienia. Twoja obecność tutaj pozwoliła mi się pogodzić z faktem, że nie będę miała rodzeństwa. Poza tym ufali tobie bardziej niż dziewczynom z wyspy. – Nicole szeroko otworzyła oczy, bezskutecznie usiłując stłumić śmiech. – Pamiętasz Crystal i Brandy?

Charlotte również się roześmiała.

– Dziwaczka Brandy. U nikogo nie widziałam tylu kolczyków. Co się z nią stało?

– Pracuje jako fryzjerka na kontynencie, a Crystal nadal mieszka na wyspie. Poślubiła Aarona Deegana, który poławia homary razem z ojcem. Mają piątkę dzieci.

– Aż piątkę? No, no. A Beth Malcolm? Była taka bystra. Zawsze się bałam, że się zaprzyjaźnicie i przestanę ci być potrzebna.

– Żartujesz? Byłam zbyt nieśmiała, żeby się z nią bawić. Nie kolegowałam się z dziećmi z wyspy, dopóki ty się nie pojawiłaś. Byłaś znacznie odważniejsza niż ja. Przy tobie stałam się bardziej przebojowa. Moi rodzice byli tym zachwyceni.

– Beth kochała książki – przypomniała sobie Charlotte. – Co teraz czytasz?

– *Salt*, opowieść o...

– Maine! – przerwała jej radośnie Charlotte. – Ja też! Była na wyprzedaży na lotnisku JFK, kiedy wracałam z Australii, i jak zobaczyłam na okładce wyspę, nie mogłam jej nie kupić.

– To nie nasza wyspa...

– Nie, ale można ją poczuć, posmakować, niemal dotknąć. Nie jesteś zachwycona tą książką?

Nicole szeroko się uśmiechnęła.



– Zachwyca mnie w niej wszystko: miejsce akcji, bohaterowie, cała ta magia.

Charlotte miała identyczne odczucia i nie była tym wcale zaskoczona. Zawsze podobały im się te same książki. Dawniej godzinami siedziały na plaży, czytając, podczas gdy fale rozbijały się o brzeg.

Z drugiej strony od tamtego czasu upłynęło dziesięć lat. Kiedy Charlotte budowała domy w San Salvadorze po trzęsieniu ziemi i w La Placie po przejściu huraganu, Nicole urządziła luksusowy apartament w Filadelfii. Kiedy Charlotte tułała się po zapadłych dziurach, pisząc o doktorach, farmerach i artystach, Nicole siedziała w dzielnicy Center City, pisząc blog na temat jedzenia. *Salt* okupował co prawda listy bestsellerów, ale fakt, że czytały tę książkę jednocześnie, był dowodem, że wiele nadal je łączy.

– Na początku myślałam, że autorem jest kobieta – odezwała się Nicole. – Chris Mauldin może być równie dobrze nazwiskiem męskim, jak i żeńskim. W książce nie ma zdjęcia, a notka biograficzna tego nie ujawnia.

Charlotte też się nad tym zastanawiała. Sceny erotyczne były jednocześnie namiętne i czułe. Nie знаła mężczyzn, którzy potrafiliby się tak kochać. Pewnie także dzięki tym opisom powieść zyskała tylu fanów. Chris Mauldin stworzył wizję miłości, o jakiej marzyli czytelnicy, a przynajmniej Charlotte. Nie była pewna, czy Nicole również, ale nie śmiała jej o to zapytać.

– Cóż, jeśli nawet chciał ukryć, że jest mężczyzną, to potem dał sobie spokój. Znalazłam go w internecie i od razu odkryłam, że to jednak on. Czy ktokolwiek zna jego prawdziwe nazwisko?

– Fora milczą na ten temat. Moim zdaniem to część jego fenomenu. Zastanówmy się: wydał tę książkę sam...

– Tylko w formie elektronicznej – przerwała jej Charlotte, zlizując z palców okruszki chleba kukurydzianego. – Na moim egzemplarzu w twardej oprawie jest wielkie logo wydawnictwa.

– Racja, ale *Salt* przez wiele tygodni okupował listy e-bestsellerów, zanim Mauldin sprzedał prawa do publikacji. Wyobrażasz sobie, jakim musi być geniuszem marketingu? Potrafił wykorzystać internet i to zupełnie anonimowo. Mógł to zrobić z każdego miejsca na Ziemi.

– Anonimowość jest jednym z powodów fenomenalnego sukcesu tej książki. Jedna wielka niewiadoma. Oto jakiś tajemniczy gość spełnia nasze fantazje, a my nie mamy pojęcia, kim jest, gdzie mieszka, ani jak wygląda.

– Czy to ma jakieś znaczenie? – zapytała Nicole. – Zaczarował mnie od pierwszej strony. Jakie wspaniałe pierwsze zdanie: „Każdy człowiek pragnie miłości, jeśli zdoła pokonać strach przed obnażeniem”. Lubimy go, bo jest szczerzy. Przynajmniej ja. – Wstała z podłogi i dołożyła drewna do ognia. – Lubię go, bo nie boi się obnażyć, okazać słabości i być może zostać zraniony. Powiem ci jednak, że sama nigdy bym go nie skrzywdziła. Kupię każdą z jego książek i mówię to, chociaż jestem dopiero w połowie *Salt*.

Charlotte nie przeczytała nawet tyle.

– Pracuje nad kolejną powieścią?

– Mam nadzieję, chociaż to też trzyma w tajemnicy. Jedno jest pewne: rozłożył konkurencję na łopatki. Marzy mi się podobny sukces. – Podniosła się sprzed kominka. – Nie wstawaj. Pójdę po deser. – I już jej nie było.

– Gdzie mam go niby zmieścić? – zawołała za nią Charlotte. Nicole nie dokończyła pędów paproci ani małży, za to była w ciągłym ruchu, spalając tę niewielką ilość jedzenia.

– Poradzisz sobie – dobiegł z kuchni jej głos, razem z dźwiękiem otwierania i zatraskiwania drzwi lodówki. – Nie mogłabym cię poczęstować kupnym obiadem, nie dodając niczego od siebie. – Wróciła z miseczkami pełnymi drobnych posiomek. – Pierwsze w tym

sezonie. Zebrałam je dziś rano.

– Przy drodze? – zapytała Charlotte, którą zalała fala wspomnień. Nicole zawsze potrafiła znaleźć najwięcej poziomki, jakby jej oczy były zdolne wypatrzeć maleńkie czerwone punkty pod liśćmi z odległości piętnastu metrów. Zdarzało jej się krzyknąć: „Zatrzymaj samochód!” w najmniej spodziewanym momencie, by zebrać garść owoców lub zapełnić nimi torebkę.

– Nie. Jedna z rodzin mieszkających bliżej przystani ma pola owoców. Rozkręcili drobny biznes: teraz sprzedają poziomki, a niedługo również jagody. Nie używają środków chwastobójczych, pozwalają krzewom dziko rosnąć. Zaglądam do nich przy każdej okazji.

– Są takie małe – zdumiała się Charlotte, choć wiedziała, że będą miały bardzo intensywny smak. – Zbieranie musi być strasznie pracochłonne.

– W tym cała zabawa – odparła Nicole z uśmiechem, relaksując się na samą myśl.

Podobnie Charlotte. I rzeczywiście, udało jej się zmieścić deser. Włożyła do ust poziomkę i przez chwilę rozkoszowała się jej smakiem, zanim wróciła do tematu.

– Może tobie też się uda.

– Co się uda?

– Rozłożyć konkurencję na łopatki. Czytałam twojego bloga, Nicki. Pod każdym postem są setki komentarzy. Ilu masz znajomych na Facebooku?

– Siedemdziesiąt tysięcy – odparła z dumą. Zebrała miseczki po zupie i znów wyszła do kuchni. – Napijesz się cappuccino?

– Nie, dziękuję. Jesteś niesamowita, Nicki.

– To zasługa ekspresu do kawy, nie moja.

– Miałam na myśli bloga.

Charlotte wybrała bardziej tradycyjną drogę: studia dziennikarskie na Yale i rok kursu podyplomowego na Kolumbii. Wszystko to było bardzo bezpieczne, więc właśnie dlatego, żeby nie zaśnieść, wyjechała jako internetowa korespondentka do Afganistanu, gdzie ciągle było niebezpiecznie. Po sześciu miesiącach jej kontrakt się skończył, wróciła do Stanów i poświęciła się działalności charytatywnej, zaś dawne koszmary powoli zacierały się w pamięci. Pisanie było dla niej terapią. Między pisaniem artykułów w Appalachach – lub wśród społeczności usiłujących odbudować swoje życie po huraganie czy pożarze – i artykułów o Afganistanie zwróciła na siebie uwagę redaktorów naczelnych czasopism, którzy zaczęli u niej zamawiać teksty.

Charlotte podążała ścieżką kariery, którą wybrała przed nią rzesza innych dziennikarzy. Jednak to Nicole – ta skromna Nicole – przecierała nowe szlaki.

– Jak ci się udało zdobyć taką popularność? – zawołała Charlotte.

W kuchni przez chwilę panowała cisza. W końcu dobiegło z niej krótkie:

– Niezbadane są ścieżki Pana.

– Chcę wiedzieć, jak to się stało – nalegała Charlotte. – Nicole, przyjdiesz tu wreszcie i usiądziesz?

Wróciła z niewielką ceramiczną miseczką, z której nałożyła na owoce coś znacznie gęstszego niż śmietana.

– Zabaglione z dodatkiem ulubionego rieslinga taty – oznajmiła swoim wysokim głosem.

– Zapomniałam, ile win tu zgromadził.

– Ale psychota! – Zapominając o poziomkach, Charlotte spróbowała sosu. – Mmmm! – Oczywiście gdyby połała nim owoce, smakowałby jeszcze lepiej.

Już miała się zabrać do jedzenia, kiedy Nicole pisnęła:

– Zaczekaj!

Ponownie zerwała się z podłogi, chwyciła aparat, przestawiła kieliszki i zrobiła kilka

fotek. Siedziały teraz na kanapie, w kominku płonęła kolejna kłoda drewna. Nicole nie jadła, popijała tylko cappuccino, wpatrzona w ogień.

Charlotte wyczuła jej melancholijny nastrój.

– Myślisz o Bobie? – Sos przyrządzony z dodatkiem jego ulubionego wina musiał przywołać wspomnienia.

– I o Julesie – odparła z nagłym rozrzewnieniem Nicole. – Podarował mi ekspres do cappuccino kilka lat temu, gdy byliśmy tu razem na wakacjach. W domu mamy taki sam. Dawniej każdego ranka robił mi cappuccino i przynosił do łóżka. – Posłała Charlotte ukradkowe spojrzenie i szybko dodała: – Teraz nie ma na to czasu.

Charlotte poczuła ukłucie zazdrości. Nie chodziło o Juliana, lecz o odwzajemnioną miłość.

– Tęsknisz za nim.

– Tak. – Nicole szybko wzięła się w garść. – Stąd ten blog.

– Mów dalej – zachęciła ją łagodnie Charlotte.

Nicole wyprostowała się i oblizwała usta.

– Wiesz, że uwielbiam gotować i przyjmować gości.

– Czerpiąc inspiracje z „Martha Stewart Living”.

W domu zawsze można było znaleźć ten magazyn. Nawet teraz na stoliku kawowym leżało kilkanaście numerów. Drugi stosik tworzyły egzemplarze „New England Home”, „Summer Cottage” i „Cooking Light”[2], ale kolekcja Marthy Stewart była zdecydowanie bogatsza.

– To moja biblia – przyznała Nicole. – Nadal mnie inspiruje, ale ponieważ nigdy nie mam w domu dokładnie tych składników, które są potrzebne do zrobienia pieczonej kaczki czy zupy rybnej, lub wszystkich elementów stroika na stół, efekt jest zawsze nieco inny niż w przepisie. Julian i ja zapraszaliśmy na kolacje różnych ludzi – lekarzy, członków zarządu szpitala, przyjaciół i ich znajomych – którzy później prosili mnie o przepis, pomoc przy ułożeniu jadłospisu albo pytali, jak zrobić kompozycję z polnych kwiatów czy gdzie kupić ekologiczną wołowinę. Po pewnym czasie pomyślałam, że byłoby fajnie stworzyć miejsce, w którym umieszczałabym różne informacje, żeby wszyscy mogli z nich korzystać. I zaczęli do mnie pisać ludzie, których nie znałam. Najczęściej pytali o żywność organiczną, lokalną i uprawianą samodzielnie.

– To gorące tematy.

– Nie myślałam o tym, kiedy zaczęłam bloga, lecz zanim stworzyłam tę stronę, większość moich postów kręciła się wokół jedzenia i kupowania organicznej żywności, wspierania lokalnych gospodarstw i sklepów oraz korzystania z restauracji, które postępowały tak samo, bo właśnie o to pytali mnie ludzie. Zaczęłam jeździć z Julianem w jego podróże służbowe, więc pisałam już nie tylko o Filadelfii, lecz także o Seattle, Denver i Chicago. Było jeszcze Quinnepeague. Miejscowi nie nadali temu żadnej nazwy, ale żyli zgodnie z zasadą „z pola prosto na stół”, jeszcze zanim powstał ten ruch. Nie nazywali swoich produktów organicznymi, ale mówili wprost, że nie używają sztucznych nawozów i pestycydów, dzięki czemu ich żywność jest pyszna i bezpieczna. Chyba można powiedzieć, że idea organiczności została we mnie zaszczepiona. Studiowanie ochrony środowiska w Middlebury było logicznym tego następstwem, ale mówię ci, dopiero dzięki blogowaniu na temat Quinnepeague wszystko ułożyło się w całość. To coś niesamowitego, Charlotte. Właśnie te wpisy są najczęściej komentowane. Ludzie chcą czytać o lokalnych gospodarstwach, ręcznie robionych produktach i kurczakach z wolnego chowu, a na tym właśnie opiera się idea „z pola prosto na stół”.

– Stąd nazwa twojego bloga: Nickidostołu.com. – Charlotte nie mogła wyjść z podziwu. –

Ilu ludzi czyta teraz twoje posty?

– Łącznie pewnie około trzydziestu tysięcy.

– A na Twitterze?

– Podobnie.

Charlotte zaniemówiła z wrażenia.

– To niesamowite, Nicki – odezwała się w końcu. – I to po jakim czasie?

– Po sześciu latach. Najbardziej pracowite były ostatnie cztery. – Nicole znowu wstała z podłogi i ruszyła do kuchni. – Mam ciasteczka.

– Jestem najedzona! – zawołała Charlotte, ale ledwie skończyła mówić, w salonie pojawiła się Nicole z talerzem czekoladowych ciasteczek z migdałami.

– Z cukierni. – Nicole usiadła na kanapie i sięgnęła po filiżankę.

Charlotte wzięła ciasteczko, lecz go nie ugryzła.

– Czy twój tata wiedział o książce?

– Wiedział, że rozmawiam z wydawcą. Byłby zachwycony, że mi się udało. –

Zmarszczyła brwi i dodała cicho: – Myślę o twoich rodzicach, którzy nigdy cię nie wspierali, i zaraz o mnie i moim tacie. Mieć tak bliską relację z rodzicem to wielkie szczęście.

– Nadal jesteś szczęściarą. Masz Juliana, jego dzieci i Angie. Zazdroszczę ci. Ja nie mam nikogo, kto by mi dawał oparcie.

– Nieprawda – odparła Nicole z lekkim uśmiechem. – Kochasz wolność. Kochasz przygody. To ja potrzebuję oparcia. – Wstała i zawahała się, sięgając po poziomkę. – Najadłaś się?

– Tak. – Jednak zanim zdążyła powiedzieć Nicole, żeby usiadła i się zrelaksowała, ta zaczęła zbierać naczynia. – Skończyłaś pisać artykuł o Australii? – zapytała.

– Skończyłam. – Charlotte zebrała kieliszki po winie i serwetki i poszła za przyjaciółką do kuchni. – Poważnie. Prowadzisz niesamowite życie. Wolność ma swoje wady. Czasem oddałabym wszystko za prawdziwy dom. Ty masz stabilizację. Nie mogę uwierzyć, że zbliża się wasza dziesiąta rocznica ślubu. Planujecie ją uczcić w szczególny sposób?

– Być może. A co z Francją?

– Przełożyłam ją, polecę tam na jesieni. Za to ty musisz jakoś uczcić waszą dziesiątą rocznicę.

– Byliśmy w Paryżu dwa lata temu – odparła Nicole, pakując naczynia do zmywarki. – Julian miał tam wykład.

Julian Carlisle był wybitnym specjalistą w dziedzinie kardiologii prenatalnej i genialnym chirurgiem. Kiedy brał ślub z Nicole, uważano go za wschodzącą gwiazdę medycyny. Charlotte domyślała się, że Paryż nie był jedynym miejscem, do którego jeździł na wykłady.

– Jak często podróżujecie razem?

– Co kilka miesięcy. – Jej zielone oczy rozbliły. – Masz ochotę na spacer?

– Dokąd?

– Gdzie tylko zechcesz.

Po całym dniu za kierownicą i po obfitej kolacji Charlotte spodobał się ten pomysł.

– Na plażę – zdecydowała.

Wyszły z domu i zeszły z tarasu po dwóch szerokich kamiennych stopniach. Brzeg był skalisty, jak to nad Północnym Atlantykiem, a jedyną miękką rzeczą pod stopami była trawa wyrastająca pomiędzy kamieniami. Nawet piasek nad brzegiem oceanu był zbity i pełen kamyków. Mimo to plaża miała swój urok. Na tym polegało surowe piękno natury. Fale się cofnęły, odsłaniając połacie wodorostów. Zwabione rybim zapachem mewy z piskiem pikowały w dół, wyławiając żyjątka z zielonej płataniny.

Ponieważ nadal było widno, przyjaciółki ruszyły w kierunku krańca wyspy. Brzeg był tu jeszcze bardziej kamienisty, fale silniejsze, a powietrze rześkie. Bryza szarpała włosy, szaliki i trawę. Nicole wsunęła rękę pod ramię Charlotte. Szły jak w dzieciństwie i przez chwilę Charlotte czuła się jak mała dziewczynka uciekająca sama przed sobą.

Kiedy minęły miejsce, w którym spędziła noc z Julianem, ucieczka stała się mroczniejsza. Charlotte nigdy nie wspominała szczegółów tamtej chwili. Oboje wypili za dużo wina, byli zmęczeni, a w powietrzu wisiała gęsta mgła. Później przez długie tygodnie dźwigali na barkach ciężki bagaż. Charlotte była świadoma, że popełnili gigantyczny błąd. Następnego ranka Julian przysięgł jej, że dochowa tajemnicę, a Charlotte skwapliwie się na to zgodziła.

W jego życiu nic się nie zmieniło. Miesiąc później poślubił Nicole i kontynuował swoją karierę. Wmówił sobie, że tamto zdarzenie nie miało miejsca.

Charlotte też próbowała. Nie byli w sobie zakochani, nie rozpamiętywali wspólnej nocy. Popełnili wielki błąd, wykazali się brakiem silnej woli i chociaż Charlotte mogła obwinać swoich rodziców o to, że nie dali jej dobrego przykładu, w gruncie rzeczy winiła wyłącznie siebie. Co prawda inicjatywa wyszła od Juliana, ale ona nie zrobiła nic, żeby go powstrzymać.

Czując na sobie ciężar poczucia winy, który dźwigała od dziesięciu lat, wyswobodziła rękę, niby po to, by wyminąć usypisko kamieni. Kiedy zrównała się z Nicole, nie wzięła jej drugi raz pod rękę.

– Jak się miewa nasz doktor?

– W porządku – odparła wesoło Nicole. – Jest bardzo zajęty.

– Nadal pracuje do późna?

– Mhm.

– Nie przeszkadza ci to?

– Julian kocha swoją pracę. A ty, Charlotte? Spotykasz się z kimś?

– Z nikim szczególnym. Nie odpowiedziałas mi: nie przeszkadza ci jego pracoholizm?

– Jak mógłby przeszkadzać? – odpowiedziała Nicole pytaniem na pytanie. – Jest w szczytowym okresie swojej kariery. Daje wykłady, bierze udział w dyskusjach, a nawet występuje w telewizji; zresztą nic dziwnego, skoro jest przystojny i wygadany. Dzwonią do niego jako do eksperta – pokazała palcami cudzysłów – w dziedzinie chirurgii prenatalnej.

– Wszyscy się o niego biją – skwitowała jej słowa Charlotte i szybko dodała: – Cieszę się. Martwiłam się, że utknie tu na dobre, jeśli nie przyjadę.

Pozwoliła sobie na subtelny przytyk. Nieobecność Juliana mogła się okazać całkiem niewinna; mało który mężczyzna czułby się dobrze w towarzystwie dwóch kobiet piszących książkę kucharską. Jeśli Nicole wiedziała o zdradzie, nie ujawniła się z tym podczas żadnej z wcześniejszych rozmów.

I rzeczywiście, sprawiała wrażenie oburzonej sugestią przyjaciółki.

– O nie! Chętnie by się z tobą spotkał, ale chciał być w Duke na tydzień przed przyjazdem nowych lekarzy i musiał się przygotować.

– Jestem zdumiona, że postanowił zostawić szpital na cały miesiąc.

Nicole machnęła ręką.

– Przecież chodzi o uczenie, jego konik. Zaczekaj. – Wyciągnęła z kieszeni wibrującą komórkę, spojrzała na wyświetlacz i odebrała telefon, szeroko się uśmiechając. – Hej! Tak, dotarła bez najmniejszych kłopotów. Co takiego? – Zasłoniła wolne ucho. – Przepraszam, ocean głośno huczy. To świetnie! Pekin? Jasne, że powinienes. Kochanie, właśnie spacerujemy po plaży; czy mogę do ciebie zadzwonić po powrocie do domu? – Słuchała przez chwilę z pochyloną głową. – Och – mruknęła, przyspieszając kroku i dodała coś, co zabrzmiało jak „cholera”, chociaż Nicole rzadko przeklinała. – W porządku, zadzwonię. Kocham cię.

Skończyła rozmowę, schowała telefon do kieszeni i szła przed siebie ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Chociaż Charlotte miała dłuższe nogi niż Nicole, musiała przyspieszyć, żeby dotrzymać jej kroku.

– Wszystko w porządku?

Nicole uniosła głowę i popatrzyła na Charlotte pustym wzrokiem.

– Zaprosili go do Chin. Julian obawia się konfliktu interesów, ale wszystko się ułoży. – Powiedziała to niezbyt pewnie, lecz zanim Charlotte zdążyła o cokolwiek zapytać, popatrzyła w niebo. – Ściemnia się.

– Będzie padać?

– Albo tylko zmierzcha. – Twarz Nicole się rozjaśniła. – Pamiętasz, jak przychodziliśmy tutaj, kiedy zapadał zmrok?

– No jasne. – Charlotte się uśmiechnęła. – Kusiłyśmy los, wypuszczając się za każdym razem nieco dalej, czyli coraz bliżej gospodarstwa Cole'ów. – Zmrużyła oczy, starając się wypatrzeć we mgle słupek graniczny. – Cecily Cole jest na samym szczycie mojej listy. Nie mogę się doczekać, żeby z nią porozmawiać.

Cecily uprawiała zioła w ogrodzie swojego domu na krańcu Quinnepeague, lecz była kimś więcej niż zwykłą zielarką. Jej rośliny miały czysty smak i potężną moc, a Cecily świetnie знаła ich zastosowanie w kuchni i medycynie. W razie potrzeby zawsze zjawiała się z odpowiednim lekiem. Była to jasna strona Cecily Cole. Ale istniała też ciemna, a przynajmniej tak twierdzili mieszkańcy wyspy. Kiedy dopadała ich zgaga, zaklinali się, że to jedno z ziół Cecily wymierza im karę za to, że obrazili swoje żony. Drobną kobietką z siwymi włosami spływającymi na plecy jak jedwabista chusta była jednocześnie obiektem uwielbienia i strachu.

– Dobry Boże. – Nicole wpatrywała się w przyjaciółkę. – Ty nic nie wiesz. Cecily zmarła pięć lat temu.

Charlotte stanęła.

– Zmarła? Przecież to ona była najważniejszą postacią na wyspie. Jak możemy napisać tę książkę bez niej?

– Zioła pozostały. Chowder i małże były przecież smaczne jak nigdy.

– Tak, ale nie można mówić o wyspiarskiej kuchni, nie wspominając o Cecily.

– Nadal możemy ją wspominać. Po prostu nie możemy z nią porozmawiać. Zresztą nigdy nie mogliśmy.

Charlotte nie wiedziała, co powiedzieć. Cecily była legendarną postacią i zawsze otaczała ją aura tajemnicy. Przybyła na wyspę w wieku dwudziestu lat (lub osiemnastu, a może dwudziestu dwóch – różne były wersje opowieści) po nieszczęśliwie zakończonym romansie z zamożnym mieszkańcem kontynentu. W zależności od tego, kto opowiadał jej historię, Cecily sama postanowiła opuścić stały łód albo została z niego wywieziona, wszyscy jednak byli zgodni co do tego, że zapłaciła za dom pieniędzmi dawnego kochanka. Przywiozła ze sobą rośliny, wraz z ziarenkami tajemnicy, i żyła spokojnie na swoim krańcu wyspy. Jej kontakty z wyspiarzami ograniczały się do wypraw po zakupy i dostarczania ziół mieszkańcom, którzy akurat byli w potrzebie. Z natury nieufna, Cecily nie zapraszała gości do swojego domu. Krążyła plotka, że rzuciłaby klątwę na każdego, kto ośmieliłby się wejść na jej teren.

Jednak Charlotte wiedziała, że to tylko ludzkie gadanie, a książka kucharska wydawała jej się idealnym pretekstem, żeby odwiedzić staruszkę.

– Chyba powinnymy już wracać – powiedziała Nicole.

Charlotte pisała artykuły o wielu budzących grozę postaciach, na przykład Indianinie z Martha's Vineyard, który twierdził, że jest potomkiem uzdrowiaczy z plemienia Wampanoag,

czego dowodził szereg dokonanych przez niego cudów.

Cecily Cole? Mogła być dla niej nie lada wyzwaniem i nieocenionym źródłem informacji. Jednak co się stało, to się nie odstanie.

– Skoro Cecily nie żyje, nie będzie nam mogła pomóc – stwierdziła Charlotte. – Powinnyśmy sprawdzić, czy jej zioła nadal tam rosną.

– Nie robiłabym tego – ostrzegła ją Nicole. – W domu mieszka teraz syn Cecily.

– Myślałam, że siedzi w więzieniu.

– Już nie. Ścigajmy się. – Nicole zawróciła w kierunku domu.

– Wykopał zioła, czy zostawił je w ziemi?

– Nie mam pojęcia.

– Ktoś musi wiedzieć.

– Cóż, ja nie zamierzam o to pytać – odparła Nicole. – Złe fluidy są ostatnią rzeczą, jakiej mi teraz potrzeba.

Charlotte bacznie przyjrzała się przyjaciółce. Niebo w istocie się zachmurzyło, jednak widziała w rysach Nicole napięcie, które wydawało się zupełnie nie pasować do tak niewinnej twarzy.

Podobnie jak pełne skrępowania machnięcie ręką.

– Wiesz, co mam na myśli: śmierć taty, sprzedaż domu...

– Byłby zachwycony, że pisziesz książki.

– Przydałoby mi się jego wsparcie.

Charlotte objęła Nicole ramieniem.

– Masz mnie. Będę przy tobie, dopóki ta książka nie powstanie.

Nicole uśmiechnęła się i w jej oczach błysnęły łzy, chociaż równie dobrze mogło to być odbicie oceanu.

– Wiesz, że cię kocham.

Charlotte uściśnęła ją, lecz chwilę później posłała Nicole zaczepne spojrzenie. Puścili się biegiem wzdłuż plaży, omijając kryjące się w piasku przeszkody. Dotarły do domu zziąbane i szczęśliwe.

Kiedy weszły na schody, na tarasie włączyło się oświetlenie, które wskazało im drogę do kuchennych drzwi. Nicole zatrzymała się i pociągnęła nosem.

– A to dziwne – zauważyła, idąc w kierunku bocznego ogrodu, gdzie na krańcu oświetlonej części trawnika majaczyły goździki i róże. – Byłam tu rano. Lawenda jeszcze nie kwitła. Jest zdecydowanie za zimno. Ale jak mogłam nie poczuć tego zapachu?

Charlotte też go wcześniej nie czuła, za to teraz woń była odurzająca. Lawenda stała w pełnym rozkwicie, strzeliste gałązki obsypane fioletowymi kwiatkami wyglądały tak delikatnie, jakby miały się lada chwila złamać pod naporem wiatru, ale najwyraźniej były mocniejsze, niż się wydawało.

– Widocznie odpłynęłam gdzieś myślami – powiedziała Nicole. – Lawenda wygląda doskonale. – Chwilę później zaczęła obcinać sekatorem gałązki i podawać Charlotte, która upajała się ich zapachem. W końcu wyprostowała się, zamknęła oczy i głęboko się zaciągnęła. – Ach, coś niesamowitego! – Nicole wzięła od Charlotte połowę kwiatów i śpiewnie oznajmiła: – Te są do twojej poszewki na poduszkę, a tamte do mojej.

– Nie musimy ich najpierw zasuszyć?

– I stracić większość zapachu? Lawenda ma właściwości uspokajające. Zamierzam je w pełni wykorzystać.

Charlotte nie potrzebowała uspokojenia, czy raczej nie miała na nie ochoty. Chciała się cieszyć nową nadzieją. Otrzymała drugą szansę, by udowodnić, że potrafi być lojalną

przyjaciółką. Nie liczyła na to po dziesięciu latach rozłąki i ukrywania strasznego sekretu. Spodziewała się skrępowania, podejrzliwości, milczenia, tymczasem jej przyjazd tutaj okazał się – w przeciwieństwie do oceanu – gładki.

Poza tym wyjechała z Nowego Jorku o świcie i spędziła wiele godzin za kierownicą, więc była wykończona. Nie miała pojęcia, czy lawenda wywołała u niej coś więcej niż tylko uśmiech na twarzy. Chwilę po tym, jak przyłożyła głowę do poduszki, zapadła w sen tak głęboki, że nie usłyszała ani jednego słowa rozmowy, którą Nicole prowadziła w sypialni na końcu korytarza.

2 Czasopisma poświęcone urządzeniu domu i kulinariom (przyp. tłum.).



## Rozdział 3



Nicole była kłębkim nerwów. Już wcześniej miała ochotę zadzwonić do Juliana – chciała z nim porozmawiać od razu na plaży – ale nie mogła tego zrobić w obecności Charlotte. A kiedy wróciły do domu, jak miała się zachować? Wymknąć się do łazienki, żeby porozmawiać z nim o sprawach życia lub śmierci, po czym wrócić do przyjaciółki jak gdyby nigdy nic?

– Hej – odezwała się, gdy Julian odebrał telefon. – Przepraszam. Myślałam, że Charlotte nigdy się nie położy. Powiedz mi jeszcze raz, co się stało.

– Straciłem czucie w lewej nodze – odparł cicho Julian – gdy spróbowałem wstać po zebraniu.

Czyli na oczach znajomych lekarzy i pielęgniarek. Co za koszmar.

– Usiadłem z powrotem i sięgnąłem po komórkę, jakby ktoś do mnie dzwonił. Ludzie wyszli z sali. Czucie wróciło po kilku minutach, ale nigdy wcześniej nie miałem nic podobnego.

– Możliwe że noga po prostu ci zdrętwiała – powiedziała Nicole z nadzieją. – Mnie się to ciągle zdarza, a skoro po kilku minutach wszystko wróciło do normy...

– Straciłem w niej czucie, Nicky. To nie był skurcz ani zdrętwienie. Wniosek z tego taki, że lekarstwo nie działa.

– Może potrzeba więcej czasu – nie ustępowała Nicole.

– Minęły trzy miesiące. Leki albo działają, albo nie.

– Może drętwienie kończyn jest skutkiem ubocznym przyjmowania leku. Często je miewasz.

– Zanik czucia to nie skutek uboczny, lecz objaw.

– Ale minie. – Nicki musiała w to wierzyć. Julian konsultował się z lekarzem, przyjmował najlepsze leki.

– Nowe objawy nigdy nie zwiastują nic dobrego.

– Dzwoniłeś do Petera?

Peter Keppler był neurologiem i prowadził gabinet w Nowym Jorku, do którego Julian mógł przyjeżdżać w pełnej tajemnicy.

– Jego zdaniem to może być fałszywy alarm, ale zacznym się bać.

Julian miał stwardnienie rozsiane. Diagnozę postawiono przed czterema laty i chociaż odczuwał ciągle zmęczenie, pozostałe objawy, przede wszystkim problemy z widzeniem i dreszcze, były sporadyczne i dość łagodne. Mimo to diagnoza stanowiła potworny cios dla chirurga u szczytu kariery, szczególnie że w jego specjalizacji najmniejszy błąd mógł spowodować uszkodzenie płodu. Tuż po usłyszeniu diagnozy Julian wycofał się więc z zawodu, który kochał. Kiedy teraz wchodził na salę operacyjną, robił to wyłącznie po to, by uczyć innych chirurgów techniki, która przyniosła mu sławę. Nikt tego nie kwestionował; był to naturalny etap w jego błyskotliwej karierze. Nicole o tym wiedziała, lecz i tak cierpiała, widząc, jak bardzo jej mąż tęskni za samodzielnym operowaniem. Ratowanie życia nienarodzonym dzieciom potrafiło zawrócić w głowie. Julian nie miał jednak wyboru. Gdyby nadal operował, wiedząc o swojej słabości, ryzykowałby nie tylko życie pacjentów, lecz także swoją reputację i szacunek do samego siebie.

Kontrolowanie choroby było dla niego sprawą najistotniejszą i dlatego wypróbował wszystkie znane metody leczenia, lecz żadna z nich nie zmniejszyła częstotliwości pojawiania się symptomów. Nicole było tym ciężej, że Julian uparł się, by zachować swoją chorobę w tajemnicy. Nikt w szpitalu nie miał o niej pojęcia, więc Nicole nie mogła rozmawiać na temat stanu męża z przyjaciółmi, swoim lekarzem czy choćby z matką.

– Peter jest najlepszy – zauważyła. – Zawsze możesz spróbować innej metody.

Jednak Julian stracił wolę walki. Nicole słyszała to w jego głosie.

– Kończą nam się możliwości – wymamrotał. Wiedział co mówi. Był naukowcem; przeczytał wszystkie materiały poświęcone stwardnieniu rozsianemu, znał każdą teorię i wyniki badań.

Nicole poślubiła optymistę, więc teraz nie wiedziała, jak się zachować.

– Jutro przylecę do domu – oświadczyła.

– Nie. Powinnaś zostać na wyspie.

– Powinnam być przy tobie.

– Chcę być sam. – Już wcześniej to powtarzał i chociaż starał się złagodzić swoje słowa, zawsze raniły jego żonę. – Kocham cię, skarbie, ale czasami tak bardzo koncentruję się na tobie, że zapominam o tym, czego sam potrzebuję. Teraz zależy mi na tym, żebyś została na wyspie i pisała książkę. – Zawiesił głos, zastanawiając się nad czymś. – Nie powiedziałaś jej, prawda?

– Kazałeś mi obiecać, że tego nie zrobię – odparła Nicole przygnębiona. – Wiesz, jakie to trudne? I niezręczne? Było kilka okazji, kiedy mogłam jej powiedzieć, na przykład kiedy dotarło do mnie, że Charlotte nie wie o śmierci Cecily Cole, która byłaby ważną postacią w naszej książce. Pewnie byłam zbyt zajęta myśleniem o twojej chorobie, żeby jej o tym wcześniej powiedzieć. A tak właściwie to komu mogłaby się wygadać, Jules? Charlotte nie zna twoich znajomych. Można jej powierzyć sekret, podobnie jak twoim dzieciom. – Syn Juliana miał osiemnaście lat, córka dwadzieścia jeden. – Minęły cztery lata i widzieliśmy się w tym czasie wiele razy. Nie sądzisz, że będą się czuły zranione, kiedy się wreszcie dowiedzą?

– A więc powinienem im powiedzieć teraz i pozwolić, by zamartwiali się, że wkrótce umrę albo że sami kiedyś zachorują? Nie ma badań, które by to potwierdziły. Co niby mieliby zrobić?

– Wspierać cię. I mnie przy okazji też.

Julian nie skomentował tego.

– Chciałem ci tylko powiedzieć o nodze – powiedział w przygnębieniu.

– Chcę ci pomóc, Julianie. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Niewiele.

– Jesteś moją opoką – zapewniła go pół żartem, pół serio. Solidność Juliana była jedną z pierwszych cech, które w nim pokochała. Wiedział, czego chce, i potrafił to osiągnąć.

– Opoki nie mają drgawek ani nie tracą czucia w sali pełnej kolegów.

– Bycie opoką to stan umysłu. Zwykle jesteś optymistą.

– W takim razie możliwe, że jestem tylko człowiekiem! – wybuchnął, lecz w ułamku sekundy się uspokoił. – Och, skarbie, nie chcę cię kłócić. Nienawidzę siebie, kiedy ogarnia mnie taki nastrój. Po prostu nie mogę zrozumieć własnego ciała. Nie wiem, dlaczego reaguję negatywnie na najlepszy z leków. Pojawia się zadyszka, nadciśnienie, drętwienie kończyn, więc zmieniamy leki, biorę inną pigułkę, rezygnuję z soli, częściej się rozciągam, zaczynam ćwiczyć jogę. Nie mogę operować. Jestem doskonałym chirurgiem, a nigdy już nie wezmę do ręki skalpela. Co mi zostało? Mój image. Chcę być przynajmniej postrzegany jako okaz zdrowia. Jednak im dłużej to trwa, tym większe jest ryzyko, że wszyscy dowiedzą się o mojej chorobie, a wtedy... pffff.

– Zawsze będziesz mógł uczyć – powiedziała Nicole, chociaż do oczu napłynęły jej łzy. – Możesz się zająć badaniami naukowymi i pisać artykuły. Masz genialny umysł, którego nigdy nie stracisz.

Wreszcie powiedziała coś, co podniosło Juliana na duchu.

– Wiem – odparł. – Po prostu czasem jestem zmęczony. – Wziął głęboki oddech. – Nie o takiej przyszłości marzyłeś, co?

Rzeczywiście, nie o takiej. Starła się tego nie robić, ale trudno było nie czytać w internecie o postępowaniu SM i nie wyobrażać sobie, co już niedługo czeka Juliana. Stwardnienie rozsiane nie odbierało życia, tylko sprawność, czasem w okrutny sposób. A ona, jako żona Juliana, była całkowicie bezradna.

– Pozwól mi przyjechać do domu – poprosiła znowu. – Zostałeś zupełnie sam. Ja przynajmniej wiem o twojej chorobie.

– Nie chcę litości.

– Nigdy się nad tobą nie litowałam – odparła. – Jesteś niesprawiedliwy. Mogę gotować, robić zakupy, płacić rachunki...

– Płacenie rachunków to moja działka. Może i zarabiam teraz mniej, ale nadal jestem żywicielem rodziny. Nie sadzaj mnie na wózek, Nicole. Nadal jestem sprawny.

– Nie powiedziałam...

– Zajmij się swoimi sprawami i pozwól mi zrobić to samo.

– Nie na tym polega małżeństwo.

Przez chwilę milczał, po czym westchnął.

– Mój Boże, nie prosiłem się o to. Po prostu staram się jakoś żyć.

– Ja też. Kocham cię.

– Miłość nie uleczy drżenia. Pozwól, że skoncentruję się na tym, co może mi pomóc, okej? Zadzwońę później, pa.

\*

Później, czyli po dwudziestu minutach. Nicole spędziła je, siedząc na łóżku; kołysała się w przód i w tył, z boku na bok, usiłując się uspokoić i wymyślić sobie jakieś zajęcie. Na dźwięk komórki aż podskoczyła.

– Przepraszam – odezwał się cicho Julian. – Nie powinienem się na tobie wyżywać.

Oczy Nicole ponownie napełniły się łzami.

– Chcę ci tylko pomóc.

– Wiem, ale to najtrudniejsze wyzwanie, przed jakim stanąłem. Od zawsze wiedziałem, że chcę być chirurgiem. Nie marzyłem o niczym innym. – Rozmawiali już o tym niejednokrotnie. Za każdym razem, gdy Julian rozpoczynał ten temat, Nicole pozwalała mu się wyzalić. – Mój ojciec nadal operuje, a ma sześćdziesiąt osiem lat. Wiem, wiem. Jest ortopedą, nie operuje płodów, ale i tak potrzebuje pewnej ręki. Ja zamierzałem pracować jeszcze przez dwadzieścia lat. Miałem odkrywać nowe formy chirurgii prenatalnej. To miał być dopiero początek. – Zamilkł, by po chwili zapytać: – Jesteś tam?

– Tak.

– Wydajesz się bardzo milcząca.

Nicole mogła powiedzieć, że w przeciwieństwie do większości chirurgów osiągnął bardzo wiele, opracowując przełomową technikę operowania, a jeśli chodzi o ojca Juliana – wiedziałby, że jego syn nie ponosi odpowiedzialności za swoją chorobę. Julian postanowił mu jednak nic nie mówić, pozbawiając się ojcowskiego wsparcia.

A teraz zaczynał się nad sobą litować, do czego zresztą zdaniem Nicole miał prawo.

- Nicole?
- Nie wiem, co chciałbyś ode mnie usłyszeć.

Westchnął.

- Chyba niewiele możesz zrobić.

Od niedawna ich małżeństwo było dla Nicole powodem równie silnego przygnębienia co choroba Juliana.

– Moi pacjenci mogliby mnie nauczyć, jak sobie radzić z chorobą – mruknął Julian. – Czym jest frustracja, strach. Wcześniej nie znałem tych uczuć. To poniżające.

Nicole te uczucia знаła. Przez ostatnie cztery lata powtarzała sobie jak mantrę: Wszystko jest w porządku, leki w końcu zadziałają, ciągle pojawiają się nowe metody walki z SM. Ale powoli przestawała w to wierzyć. Wiedziała, co może ją czekać w przyszłości, i to nie choroba przerażała ją najbardziej. Potrafiła znieść chorobę Juliana, nie wiedziała tylko, czy on jest do tego zdolny.

– Pekin dobrze ci robi. – Spróbowała go podnieść na duchu. Zaproszenie go tam z wykładem było nie lada wyróżnieniem.

Juliana jednak dopadły wątpliwości.

- Nie wiem, czy tak daleka podróż jest bezpieczna.

Lęk był czymś nowym i nie wróżył niczego dobrego.

– Wykład ma się odbyć w szpitalu. Peter może dopytać o nazwisko tamtejszego specjalisty od SM.

Julian przez chwilę milczał.

- Miło było się spotkać z Charlotte? – zapytał w końcu.

Nicole nie wierzyła, że naprawdę go to interesuje, ale odetchnęła z ulgą, że zmienili temat.

– Bardzo. W ogóle się nie zmieniła. Nadal świetnie się dogadujemy. Czytamy nawet tę samą książkę.

- Ugotowałaś dla niej kolację?

– Zamierzałam, ale spotkałyśmy w porcie Dorey, zaczęłyśmy rozmawiać o chowderze i nie zdołałyśmy się oprzeć pokusie. Przyjechałyśmy do domu i zjadłyśmy kolację przed kominkiem. A ty gdzieś wychodziłeś?

- Nie, kupiłem kurczaka w Whole Foods. Jak pogoda – wciąż zimno?

- Jak diabli. A u ciebie?

- Ciepło i wilgotno.

- Szkoda, że wyjechałeś – powiedziała Nicole.

Dawniej wybrały się ze znajomymi do restauracji; tęskniłyby za nią do tego stopnia, że nie chciałby jeść kolacji sam w domu. Teraz się ukrywał, ale nie ośmieliła się tego powiedzieć na głos.

- Muszę się przygotować na Północną Karolinę.

- Mogłeś to zrobić na Quinnepeague, a później polecieć prosto do Północnej Karoliny.

Charlotte chętnie by się z tobą zobaczyła.

– Nieee. Mam tu za dużo spraw do załatwienia. Muszę się przekonać, czy nie wróci zanik uczucia.

- Dasz mi znać?

- Nie zadzwonisz, żeby to sprawdzić?

Czuła, że się z nią droczy, ale nie widziała nic śmiesznego w jego pytaniu.

– Jeśli zadzwonię, naskoczysz na mnie, więc się nie ośmielę, ale to nie znaczy, że nie będę o tobie myślała przez cały czas.

- Wydawało mi się, że zapraszasz Charlotte, by zająć myśli czymś innym.
  - Bo to prawda. Ale jesteś moim mężem i wszystko we mnie krzyczy, że powinnam być teraz w Filadelfii, a nie na Quinneeague, jednak nie chcesz mi na to pozwolić, więc może mógłbyś dla mnie zrobić chociaż tyle?
  - A jeśli akurat będziesz z Charlotte?
  - Powiem, że nie mogę rozmawiać.
- Julian milczał przez chwilę.
- Dobrze, skarbie, zadzwonię – powiedział wreszcie.

\*

Nicole zakończyła rozmowę i rozplakała się. Ostatnio często jej się to zdarzało pod nieobecność Juliana; morze cichych, bezradnych, zalęknionych łez. W końcu płacz ustępował, tak jak teraz. Wydmuchała nos i otarła oczy. Nagle zauważyła leżącą na poduszce lawendę. Podniosła gałązki, przyłożyła je do nosa i zaciągnęła się głęboko ich zapachem.

Dwa wdechy oczywiście nie pomogły, a im bardziej starała się zrelaksować, tym bardziej się denerwowała. Wstała z łóżka, włożyła szlafrok i miękkie kapcie, ostrożnie otworzyła drzwi, żeby nie obudzić skrzypieniem Charlotte, i zeszła po schodach. W kuchni zaparzyła sobie herbatkę z passiflory. Obracając w dłoniach słoik z liśćmi czekała, aż napar nabierze mocy. Herbatka była miejscowym specjałem parzonym z rośliny, która rzadko rosła w Nowej Anglii, ale występowała na Quinneeague. Ten naturalny środek uspokajający był jednym ze skarbów Cecily Cole.

Herbata nadal się parzyła, kiedy Nicole doszła do wniosku, że jest głodna. Wyjęła z szafki słoik dżemu truskawkowego, który też pochodził stąd, przygotowany poprzedniej jesieni przez jedną z wyspiarek. Odkręciła pokrywkę, zdjęła warstwę wosku, sięgnęła po łyżeczkę i spróbowała dżemu prosto ze słoika. Zamknęła oczy, koncentrując się na zmyśle smaku, co spotęgowało przyjemność. Truskawki i... wanilia? Otworzyła oczy i wpatrywała się w zawartość słoika, póki nie dojrzała między truskawkami pojedynczego ziarenka. A więc zgadła. Ziarenka wanilii pochodziły z rośliny, która rosła na Quinneeague, chociaż nie istniała ku temu żadna logiczna przyczyna. Jej kwiaty były tu bardziej żółte niż gdzie indziej, a ziarenka miały znacznie intensywniejszy smak.

Wyłożyła na talerz porcję dżemu i kilka krakersów, postawiła go na szerokim dębowym stole, ale nie od razu przy nim usiadła. W roztargnieniu przeciągnęła dłonią po zakonserwowanym drewnie. Uwielbiała ten stół. Gdyby mieli z Julianem większe mieszkanie i mogła zabrać stąd jeden mebel, wybrałaby właśnie ten. Krzesła wiązały się ze szczęśliwymi wspomnieniami i nadziejami na posiadanie trójki, a może nawet czwórki dzieci. Jako jedynaczka Nicole marzyła o licznej rodzinie, a Julian się na to godził. Jednak w dniu swojego ślubu Nicole miała tylko dwadzieścia cztery lata, Kaylin i John, którzy u nich pomieszkiwali, właśnie wkraczali w wiek dojrzewania. Nicole i Julian mieli sporo na głowie, nim zaczęli się starać o dziecko, lecz zamiast wiadomości o ciąży pojawiła się diagnoza Juliana.

Ojciec Nicole marzył o wnukach. Szczególnie w ostatnich latach zagadywał: „I co, złotko, masz dla nas dobre wieści? Twoja matka i ja chętnie zaopiekujemy się wnukiem”.

Bob też nie wiedział o chorobie Juliana.

Gardło Nicole boleśnie się zacisnęło. Nie chciała znowu płakać, więc usiadła na krześle, otworzyła laptopa i zalogowała się na Nickidostolu.com. Prowadzenie bloga było dla niej formą ucieczki. Nieraz myślała o tym, że gdyby nie choroba Juliana, nie miałyby tej strony, a co za tym idzie kontraktu na napisanie książki – i byłaby taka szczęśliwa. Jednak w obecnej sytuacji blog okazał się dla niej prawdziwym wybawieniem. Czym miałyby się zajmować w środku nocy, gdy

nie mogła spać? Pisanie o tym, co dobrze znała, było dziesięć razy lepsze niż wyobrażanie sobie tego, o czym nie miała pojęcia. A niewątpliwie znała się na restauracjach, targach, tworzeniu kompozycji kwiatowych i planowaniu menu. Były to bezpieczne, pogodne tematy.

Dzisiaj na blogu pojawiły się pytania od czytelników oraz kobiety kryjącej się pod nickiem Sparrow, która założyła jej blog, a teraz odpowiadała na rozmaite prośby, począwszy od zamieszczenia na stronie informacji o nowych inicjatywach farmerskich, a na współpracy z innymi blogami skończywszy. I tak słodka mała Nicole, której nigdy nie pociągał własny biznes, zyskała pracownicę. Znalazły się też firmy, które płaciły jej za zamieszczanie na blogu reklam. Z początku były to firmy z Filadelfii, lecz z biegiem czasu blog Nicole zyskał ogólnokrajowy zasięg i zaczął przynosić zyski. Wydanie książki było czymś bardziej opłacalnym, ale dzięki zyskom z reklam blog stał się samowystarczalny, podobnie jak działalność, którą na nim opisywała.

Tego wieczoru pytania od czytelników były proste: jakie rodzaje sałat podawać do lasagne, jak przechowywać limonki, w jaki sposób ozdobić wizytówki wskazujące gościom miejsca podczas przyjęcia z okazji rocznicy ślubu. Nicole zaproponowała odpowiednio sałatkę z buraków, lodówkę i czekoladkę, z której będzie wystawać karteczka z nazwiskiem. Odpisała też Sparrow, że nie ma nic przeciwko reklamowaniu na swoim blogu strony internetowej oferującej wołowinę, lecz odmówiła firmie sprzedającej mrożone przystawki. Znała jej działalność i nie chciała być z nią kojarzona. Pieniądze były ważne, lecz Nicole miała swoje zasady.

„Płacenie rachunków to moja działka – powiedział Julian. – Może i zarabiam teraz mniej, ale nadal jestem żywicielem rodziny”. A co będzie, jeśli to się zmieni? Nicole odsunęła od siebie tę myśl. Jednak między innymi dlatego zdecydowała się napisać książkę. Chciała mu pomóc.

Choć nie chorowała na SM, na samą myśl zaczęły jej – o ironio! – drżeć ręce.

Utworzyła nowy wpis i zaczęła stukać w klawisze, chociaż dopiero po chwili jej palce odnalazły właściwy rytm. „Dzisiaj przyjechała do mnie Charlotte, ale nie wspomnieliśmy słowem o książce. Mamy na to mnóstwo czasu. Póki co skupiłyśmy się na sobie. Opowiadałam wam o Charlotte, Charlotte Evans? – Wkleiła link do ostatniego artykułu Charlotte. – To właśnie ona pomoże mi przy pisaniu książki. Poznałyśmy się jako ośmiolatki, co czyni naszą współpracę tak szczególną. Charlotte to jedna z tych przyjaciółek, z którymi świetnie się rozumiemy nawet po długiej rozłące. Nasze losy potoczyły się zupełnie inaczej – ja mam męża, ona nie, ja jestem domatorką, ona żyje na walizkach, ale odkąd tu przyjechała, nie możemy się nagadać. Czytamy nawet tę samą książkę – *Salt*. Czy któraś z was miała okazję po nią sięgnąć?”

Opisała przyjazd Charlotte i poświęciła kilka słów Dorey, ponieważ swoimi letnimi wpisami chciała wzbudzić zainteresowanie książką. W przeszłości wielokrotnie pisała na temat Quinipeague, chociaż robiła to bardziej z miłości niż ambicji... ale czy jest coś złego w ambicji? „Przywieźliśmy jedzenie z przystani, ale nie mogłam go tak po prostu postawić na stole przy kominku. Znaście mnie – liczy się piękne podanie, co wcale nie jest trudne, jeśli ma się pod ręką odpowiednie materiały. Tutaj mam ich pod dostatkiem, ponieważ moja matka lubiła się otaczać pięknymi przedmiotami, co pewnie po niej odziedziczyłam. Wykorzystałam plecione podkładki wrzosowego koloru. Naczynia i serwetki – broń Boże nie papierowe – były ciemnoniebieskie. Uwielbiam płótno, czy raczej len. Wiem, że nienawidzicie prasować, ale jeśli kupicie dużo serwetek i zaczekacie, aż zbierze się większa ich liczba po praniu, wówczas wyciągnięcie deski do prasowania nie będzie zbyt wielką fatygą”.

Przeczytała ostatnie słowa i zamyśliła się, opuściwszy dłonie na podolek. Julian lubił lniane serwetki. Lubiał też świece i świeże kwiaty. Jego pierwsza żona była typem kobiety interesu, która spędzała kilka wieczorów w tygodniu poza domem, a nawet kiedy w nim

przebywała, nie miała ochoty gotować. Julian pragnął, by jego druga żona okazała się domatorką. Czy to staroświeckie? Może i tak. Jednak Nicole uwielbiała prowadzić dom, wspierać swojego męża i niczego więcej nie pragnęła. Jej matka postępowała tak samo, a ona brała z niej przykład.

Słowa na monitorze zamazały jej się przed oczami. Przeskoczyła myślami do przyszłości, w której Julian nie będzie w stanie pracować, podróżować, cieszyć się życiem. Zamrugnęła, niepewnie zaczerpnęła powietrza i zmusiła się do myślenia o Charlotte, kolacji i prezentacji potraw.

„Co jeszcze? – napisała. – Na stoliku leżą stosiki książek, stoi kilka lamp huraganowych i świec. Nie zapaliłam ich. To by była przesada, skoro w kominku trzaskał ogień, a słońce wciąż świeciło. I tak wyglądały pięknie, nawet niezapalone. Oceńcie sami”. Nicole wstała od stołu, poszła po aparat, podłączyła go do laptopa i załadowała zdjęcia stołu, książek, świec i nakryć. Nie chcąc się rozpraszać, pisała dalej: „Ludzie zwykle podają do owoców morza białe wino, ale ponieważ jest lato, a nasza kolacja składała się głównie ze skorupiaków, nie trzymałyśmy się sztywno zasad. Znalazłam w piwnicy butelkę doskonałego pinot noir”.

Napisała na ten temat jeszcze kilka słów, wgrała następne zdjęcia jedzenia i wina, i podzieliła się przepisem na sos zabaglione z dodatkiem rieslinga. Natrafiwszy na zdjęcie Charlotte, wyprostowała się i zamyśliła. Długie, gęste, falujące brązowe włosy i – jak zwykle – zbyt poważny wyraz twarzy. Charlotte wyglądała dobrze. Dojrzała, ale korzystnie. Jej skóra nie była przesadnie wypielęgnowana ani poddana liftingom. Charlotte nigdy nie korzystała z podobnych zabiegów, nie było jej na to stać, i chociaż teraz pewnie mogłaby sobie na nie pozwolić, postanowiła tego nie robić; i słusznie. Nie wyglądało na to, żeby ich potrzebowała.

W przeciwieństwie do Nicole. Ostatnio jej oczy sprawiały wrażenie zmęczonych, włosy straciły blask. Czasami, zamartwiając się o Juliana, czuła się jak staruszka. Zaczęła więc farbować włosy na nieco jaśniejszy kolor, kupiła nowe kosmetyki do makijażu, chodziła do kosmetyczki i manikiurzystki – byle tylko odzyskać dawną formę.

Charlotte miała szczęście. Nie przejmowała się spieczonym na słońcu nosem ani spierzchniętymi na wietrze ustami. I właśnie dlatego nigdy jej to nie spotykało. Nicole zazdrościła jej tej beztroski, chociaż może łatwo było ją zachowywać, mając tak niewiele do stracenia. Nicole mogła stracić dom, męża, styl życia. Charlotte nigdy tego nie posiadała.

Czy trudniej jest marzyć o tym, czego się nie ma, czy też żyć w strachu przed utratą wszystkiego?

Nicole nie знаła odpowiedzi, ale wyczuła w tym pytaniu nutkę rozczulania się nad sobą. I pomyśleć, że o to samo miała żal do Juliana.

Pełna skruchy, skoncentrowała uwagę z powrotem na monitorze. To prawda, Charlotte nie miała męża ani dzieci. Brakowało jej na to czasu, skoro jeździła po całym świecie, szukając tematów. W porównaniu z tym Quinnipeague wypadło blade. Nicole miała szczęście, że Charlotte zgodziła się tu przyjechać. Postanowiła, że miło spędzą czas mimo widma SM.

I tu pojawiała się kwestia śniadania. Co powinna podać: francuskie tosty czy frittatę? Zdecydowanie to drugie.

Znów wstała od stołu i przełożyła niewielką paczuszkę z zamrażalnika do lodówki. Był to wędzony na wyspie łosoś, najdelikatniejszy, jakiego w życiu jadła. Wędzony łosoś nie pochodził od Cecily Cole, ale suszona bazylija i tymianek, które Nicole zdjęła ze stojaka na zioła, już tak. Wyjęła z szafki zapakowaną próżniowo paczkę suszonych na słońcu pomidorów i odłożyła ją na blat, obok ziół. Frittata, gorące ciasteczka i sałatka owocowa. A do tego koktajle mimoza i kawa. Brzmiało świetnie. Może zjedzą śniadanie na tarasie?

Nie, na tarasie nie, chyba że wiatr niespodziewanie się ociepli. Zjedzą w kuchni, w otoczeniu świeżo zerwanych kwiatów. Z pewnością przyda się więcej lawendy. Kobiety nigdy

nie miały dosyć lawendy, liliowca czy tawułki, które nie powinny jeszcze zakwitnąć, ale wczoraj rano zdawały się bliższe rozkwitnięcia niż lawenda, więc a nuż...

Nicole usiadła przy komputerze i dokończyła post, nadając mu tytuł: „Oprawa przede wszystkim”. Podpisała, opatrzyła datą i opublikowała na stronie. Surfowała jeszcze przez chwilę po sieci, sprawdzając, czy na jej ulubionych stronach z informacjami o wiejskim jedzeniu nie pojawiły się nowe posty, lecz niewiele się zmieniło od poprzedniego dnia. Zabrała więc ze stołu egzemplarz *Salt*, usiadła w salonie z filiżanką herbaty i o brzasku zabrała się do lektury.



## Rozdział 4



Charlotte zbudził dźwięk fal i zapach słodkich herbatników. Przepelniał ją spokój. Po części zawdzięczała to lawendzie w poszewce na poduszkę, której zapach nadal czuła, była jednak przekonana, że to coś więcej. Czas spędzony na wyspie był dla niej ważny – i w dzieciństwie, i teraz.

Wreszcie mogła odkupić swoje winy i w dodatku przysłużyć się książce.

Chodziło jednak o coś jeszcze. To lato mogło się okazać punktem zwrotnym w jej życiu, bo z jakiego innego powodu byłaby tak spokojna i szczęśliwa?

Oczywiście może to tylko jej pobożne życzenia. Podobnie czuła się w lutym w Rio, gdzie miała zbierać materiały do artykułu o sambie, a skończyła w slumsach, ucząc dziewczynki pisać, i latem w Szwecji, z mężczyzną, o którym myślała, że jest tym jedynym. Obie wyprawy były wspaniałe, lecz za każdym razem Charlotte wracała do domu sama, jak zawsze.

Miała jednak pewność, że wróciła na wyspę w odpowiednim momencie swojego życia.

Wstała z łóżka i podeszła do okna, z którego rozciągał się widok na północno-wschodni pas plaży, gdzie wieczorem spacerowały z Nicole. Poranna mgła się uniosła, fale uderzały o brzeg, w oddali majaczyła łódź rybacka, a przynajmniej tak zdawało się Charlotte. Wyteżając wzrok, dojrzała żagiel. A więc nie była to łódź rybacka. Chwilę później żagiel zniknął. Statek widmo. Cóż za ekscytująca myśl! Charlotte potrafiłaby osnuć niejedną opowieść wokół takiego statku. Przyciskając dłoń do zimnego parapetu, uśmiechnęła się. Była mistrzynią wymyślenia historii, w przeszłości ciągle to robiła. W dzieciństwie wyobraźnia była jej ucieczką.

Tu, na wyspie, nie musiała uciekać. Zamiast statku widma wybrała gorące ciasteczka Włożyła bluzę na podkoszulek i spodenki od pizamy, naciągnęła wełniane skarpety i podążyła za zapachem.

\*

Godzinę później Charlotte była najedzona po uszy. Frittata, gorące ciasteczka, pokrojone kiwi i winogrona, dwie mimozy i mnóstwo kawy – Nicole kusiła ją dokładkami, nie pozwalając ruszyć się z miejsca. Charlotte czuła się rozpieszczana, jak zawsze, gdy gościła na wyspie. Nicole matkowała jej tak samo jak Angie. Krążyła między kuchenką, lodówką i ekspresem do kawy, ciągle w ruchu.

Nie przestawała też mówić. Wspomniała o wpisie na blogu, który dopiero co zamieściła, i projekcie okładki, którą przesłał jej wydawca, lecz był to tylko wstęp do rozmowy o pracy Charlotte. Wyglądało na to, że Nicole przeczytała wszystkie jej artykuły. Zawstydziła tym przyjaciółkę, która przez wszystkie te lata nie interesowała się jej życiem. Teraz chciała nadrobić zaległości, na co Nicole nie zamierzała jej pozwolić.

Kiedy przyjaciółka po raz kolejny ruszyła w stronę zlewu, Charlotte chwyciła jej dłoń.

- W głowie mi się kręci, gdy na ciebie patrzę, Nicki. Usiądź wreszcie.
- Przepraszam. Lubię się krzątać – wyjaśniła ze skruchą Nicole.
- Naczynia mogą poczekać. Chcę z tobą porozmawiać.
- Przecież rozmawiamy.

– Nie o tym, o czym bym chciała. – Złagodziła wydźwięk swoich słów, potrząsając dłonią przyjaciółki. – Chcę się dowiedzieć czegoś więcej o twoim życiu.

Nicole sprawiała wrażenie przypartej do muru.

– O moim życiu? Jest cudowne.

– Moje też. I na tym poprzestańmy. – Popatrzyła przekornie na Nicole, która odwzajemniła spojrzenie, by po chwili się roześmiać.

– Nic się nie zmieniłaś. Ta sama czupurna Charlotte. – Przyjaciółka nie spuszczała z niej wzroku, więc Nicole wreszcie usiadła na swoim miejscu. – Co chcesz wiedzieć?

– Zaczniemy od Kaylin i Johna – zaproponowała Charlotte. – Masz z nimi bliski kontakt?

Nicole uśmiechnęła się z czułością.

– Bardzo. Julian i ja dzielimy się opieką nad nimi z Monicą... a właściwie dzieliliśmy się, bo oboje są już pełnoletni. Jesienią Kaylin rozpocznie ostatni rok studiów na Penn, a John drugi rok na Haverford, ale przez całą szkołę średnią wiecznie przesiadywali u nas.

– Mieszkacie w domu czy w mieszkaniu?

– W mieszkaniu. Planowaliśmy kupić dom, ale Kaylin bardzo lubiła się bawić w Eloise w wieżowcu, a Johnny biegać po korytarzach, poza tym mieszkaliśmy ledwie dziesięć minut drogi od Moniki, która miała dom z ogrodem, a na wakacje przyjeżdżaliśmy tutaj. Moi rodzice byli zachwyceni, dzieciaki ich uwielbiały. Bardzo przeżyły śmierć taty.

Charlotte w to nie wątpiła. Bob był jedną z najzycziwszych osób, jakie знаła. Od samego początku traktował dzieci Juliana jak własne wnuki, chociaż liczył na kolejne. Sporo na ten temat rozmawiali przed ślubem Nicole i Juliana.

I dlatego Charlotte – szczerza jak zawsze – zapytała:

– Dlaczego nie mieliście więcej dzieci?

– Mieliśmy już dwójkę do wychowania.

– Zawsze chcieliście mieć też wspólne.

– Nie ma pośpiechu. Wiem – machnęła lekceważąco ręką – mam trzydzieści cztery lata, ale to bez znaczenia. Całe to gadanie o zegarze biologicznym to pic na wodę. Współczesne kobiety rodzą dzieci po czterdziestce. Jest ich całe mnóstwo. Sama znam trzy takie kobiety.

Tłumaczenie Nicole wydało się Charlotte zbyt żarliwe.

– Macie problem?

– Z zająciem w ciążę? Nie. Będziemy mieli dzieci. Na razie po prostu cieszymy się sobą.

– Skoro Kaylin i John studiują, a Julian ma czterdzieści sześć lat, to na co tu czekać?

– Charlotte, jesteś nieznośna jak moja matka!

Charlotte nie pozwoliła się tak łatwo zbyć. Musiała wiedzieć, czy z małżeństwem Nicole jest wszystko w porządku.

– Julian chyba nie zmienił zdania, co?

– Oczywiście, że nie – zapewniła Nicole. – On też marzy o dzieciach. – Spojrzała za okno i momentalnie się rozjaśniła. – Słońce wyszło zza chmur. Wypijmy kawę na tarasie. – Zanim Charlotte zdążyła odpowiedzieć, Nicole poszła do sieni. Po chwili wróciła z dwiema parkami i chociaż gesty miała energiczne, jej oczy zaszyły mgłą. – Te kurtki należały do rodziców. Planuję je oddać do kościoła. Tam na pewno będą wiedzieli, komu się przydadzą. Weź kurtkę mamy, tę czerwoną.

– Jestem wyższa niż ty. Daj mi kurtkę Boba...

Jednak Nicole mocno ścisnęła większą niebieską parkę.

– Potrzebuję jej – powiedziała cicho.

Charlotte wzięła czerwoną kurtkę i kubki z kawą, a Nicole zabrała ciasteczka. Chwilę później były już na tarasie wyłożonym granitowymi płytami pochodzącymi z Maine, które

tworzyły łukowaty wzór naśladowujący wybrzeże. Na prawo od prowadzących na plażę schodów stały dwa ciężkie drewniane fotele zwrócone w kierunku morza. Bliżej domu, osłonięty przed wiatrem, stał stół ze szklanym blatem i metalową konstrukcją, przy którym dawniej tak często jadały posiłki. Był świeżo wypolerowany i otoczony krzesłami.

Na końcu tarasu stały trzy leżaki. Przyjaciółki przyciągnęły dwa z nich bliżej domu, pod pergolę, która za miesiąc miała się pokryć pąkami łososiowych róż.

Obejmując dłońmi ciepły kubek, Charlotte podciągnęła nogi, by schować je pod kurtkę, i zwróciła się do Nicole:

– Jesteś szczęśliwa?

Oczy Nicole rozblęły nad kubkiem kawy.

– Szczęśliwa?

– Jako żona Juliana.

– Oczywiście.

– Dobrze cię traktuje?

– Jest aniołem. Dlaczego pytasz?

Charlotte chciała wierzyć, że Julian kocha Nicole, dochowuje jej wierności i że nic związanego z tamtą okropną nocą nigdy więcej się nie powtórzyło.

– Z czystej ciekawości. Zawsze byłaś energiczna, ale teraz wydajesz się zdenerwowana.

– Mówiłam ci, mam tyle spraw na głowie: śmierć taty, dom, książkę.

– Mam nadzieję, że nie chodzi o Juliana. Chciałabym mieć pewność, że jesteś szczęśliwa.

Nicole zerwała się z leżaka i, tonąc w parce Boba, przemierzyła taras.

– Byłabym szczęśliwa, gdyby ogrodnik porządnie wykonywał swoją pracę, ale spójrz tylko na ten bałagan.

Uklękała przy rosnącym na krawędzi tarasu cyprysie i zaczęła obrywać brązowe listki z dolnych gałęzi.

– Myśli, że tego nie zauważymy, ale nie chodzi tylko o wygląd, lecz także zdrowie rośliny. Jeśli ma się rozwijać, trzeba obrywać stare gałązki.

– Czy George Mayes nadal ci pomaga? – Charlotte zapamiętała go jako mężczyznę z charakterem, który równie często zjawiał się w pracy trzeźwy co podchmielony, ale niezależnie od swojego stanu miał niezawodną rękę do roślin.

– Próbuje – odparła Nicole, szukając suchych gałązek – ale jest już po osiemdziesiątce, więc jego syn, Liam, robi większość prac. – Włożyła do kieszeni to, co udało jej się oberwać, i wróciła na leżak. – Liam nie radzi sobie tak dobrze jak ojciec, ale potrzebuje pieniędzy, a na Quinipeague nie ma zbyt wielu ogrodników. No i jest Rose. – Żona George'a, matka Liama, Cheryl i Kate, babcia gromadki wnucząt, nie wspominając już o prawnukach. – Jej surówka z białej kapusty nadal nie ma sobie równych. – Rozejrzała się. – Gdzie moja kawa? – Wypatrzyła ją obok cyprysa i znów wstała z leżaka. – Nie wiem, w czym tkwi sekret: w nasionach selera czy dressingu – ciągnęła po powrocie – ale musimy wspomnieć o Rose w naszej książce. Surówka Mayesów smakuje wyśmienicie.

Charlotte szczerzej opatulila się parką. Wspomnienie wywołało na jej twarzy uśmiech.

– O tak. I pomyśleć, że robiła ją dla całego miasteczka. Zawsze wyobrażałam sobie jej wnuki ustawione w szeregu i szatkujące kapustę przy długim blacie, jak pomocnicy Świętego Mikołaja.

Nicole się roześmiała. Miło było usłyszeć ten dźwięk.

– Raczej wnuczki. Chłopcy zajmowaliby się cięższymi pracami. Mayesowie są tradycyjną rodziną, w przeciwieństwie do niektórych mieszkańców wyspy. Zaczekaj, aż poznasz napływowych. Ludność wyspy staje się coraz bardziej zróżnicowana. – Wstała i poszła

w kierunku ogrodu.

– Co ty wyprawiasz? – zawołała Charlotte, zdumiona tym, że jej przyjaciółka nie potrafi usiedzieć na miejscu.

– Sprawdź kwiaty! – odrzyknęła Nicole. – Mama będzie chciała wiedzieć, czy zakwitły goździki. Lizantus wystrzeli wkrótce, będzie miał ciemniejszy odcień fioletu niż lawenda. Niech tylko mama się o tym dowie. – Zwróciła się w stronę leżaka. – A tak swoją drogą, myślę, że sekretem sałatki Rose jest gorczyca.

– Gorczyca?

– No tak, nasiona tej rośliny.

– Czy Cecily Cole ją uprawiała?

– Na pewno.

Charlotte szeroko się uśmiechnęła.

– Co było do udowodnienia.

Nicole się zaśmiała.

– To niczego nie dowodzi. Nie mamy pewności, których ziół Rose dodaje do surówki.

– Zapytamy ją. Musimy koniecznie obejrzeć ogrody Cecily – zdecydowała Charlotte – i zrobić zdjęcia. Ta kobieta jest matką wyspiarskiej kuchni.

– Powiedz to jej synowi.

– Nie omieszkam.

– Ten człowiek ma broń i strzela do mew dla sportu.

Charlotte się skrzywiła.

– Co on ma przeciwko mewom?

– Nie wiem, ale nie zamierzam tego sprawdzać. Rośliny Cecily rozprzestrzeniły się po całej wyspie. Możemy zdobyć potrzebne składniki od innych osób.

– Ale to jej ogród jest ich źródłem – nie ustępowała Charlotte, gdy Nicole ponownie wstała. – Dokąd znowu?

– Zimno mi – oznajmiła swoim dziewczęcym głosem. – Chcę się ubrać.

– Weź koc. Tu jest tak pięknie. – Charlotte głęboko zaczerpnęła powietrza. –

Niesamowite jest to powietrze, aż słodkie.

– Charlotte, powietrze jest słone, a na niebie nie ma słońca. – Nicole posłała nienawistne spojrzenie kłębiącym się chmurom. – Miałam szczerą nadzieję, że się rozpozodzi, inaczej nie proponowałabym kawy na tarasie. Słońce poprawia humor, a tego mi właśnie potrzeba. Powinnyśmy pojechać do miasteczka – rzuciła przez ramię, idąc w stronę domu. – Pokazać wszystkim, że jesteśmy.

\*

Nicole nie potrafiła usiedzieć w miejscu. Charlotte nie mogła się pozbyć wrażenia, że jej przyjaciółka przed czymś ucieka i że tym czymś jest... ona. Zdarzały się momenty, gdy Nicole nie potrafiła spojrzeć jej w oczy, co mogło oznaczać, że wie o niej i Julianie i jakoś stara się z tym żyć.

Charlotte ubrała się i zaproponowała, by pojechać jej samochodem, lecz Nicole uparła się wziąć starego SUV-a jej rodziców, który wprawił ją w refleksyjny nastrój.

– Tata nigdy się nie martwił, kiedy jeździłam po wyspie – przypomniała sobie. – Jest tu tylko jedna droga, więc nie można się zgubić ani rozpędzić, bo pełno na niej wybojów.

– Nigdy jej nie łątaję? – zapytała Charlotte, podskakując; nie miała kierownicy, której mogłaby się przytrzymać.

– Niezbyt często. To nie jest priorytet tutejszych władz. Jesteśmy rozpieszczonymi

mieszczuchami. Myślałam o tym, by podarować ten samochód Eleanor Bailey w ramach podziękowania. Przynosiła nam te miniaturowe ciasteczka krabowe, pamiętasz je? Wiedziała, że były przysmakiem taty.

– Moim też. Musimy zdobyć przepis.

Nicole milcząco wpatrywała się w przednią szybę, zaciskając dłonie na kierownicy, aż zbieleły jej knykcie.

Charlotte dotknęła jej ramienia.

– Dobrze się czujesz?

Nicole kiwnęła głową, odchrząknęła i wróciła do rzeczywistości.

– Myślę o tacie.

– I tylko o nim...?

Nicole spiorunowała ją wzrokiem.

– A o kim jeszcze?

– O mnie – zebrała się na odwagę Charlotte. – Czy na pewno chcesz, żebym ci pomogła?

Nicole wyglądała na przestraszoną.

– Nie chcesz tu być. Masz lepsze rzeczy do...

– Lepsze niż to? – nie pozwoliła jej dokończyć Charlotte. – Nic nie jest lepsze! Jestem zaszczycona, że mogę ci pomóc w pisaniu książki.

– W takim razie nic więcej nie mów – upomniała ją łagodnie Nicole. – Doskonały z nas tandem. I niech ci nie przychodzi do głowy stąd wyjeżdżać – dodała żarliwie.

Odkupienie wina – przyszło do głowy Charlotte. Jej druga myśl była bardziej przykra.

– Może przywołuję zbyt wiele wspomnień?

– Jakby można je było powstrzymać... Przynajmniej mam się komu wyplakać.

– Obiecujesz, że nie będziesz się krępowała?

– Tak, ale wszystko jest w porządku, naprawdę.

\*

Na początku rzeczywiście tak było. Zatrzymały się na poczcie, teoretycznie po to, by poinformować naczelnika o przyjeździe Charlotte, ale ponieważ przyrządził najlepszego na wyspie duszonego homara i zawsze znał najświeższe plotki, warto było się z nim przywitać.

Później przyszedł czas na bibliotekę i sklep żelazny prowadzony przez bibliotekarza i jego żonę, która gotowała świetny makaron z małżami i serem, więc i tym razem upiekły dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Żadna z wizyt nie była krótka. Charlotte zdążyła zapomnieć, że czas na wyspie płynie inaczej niż w każdym innym miejscu na Ziemi. Wypiarze nie zadowalali się zdawkowym „hej, miło cię znów zobaczyć”. Niezależnie od tego, co właśnie robili, wrzucali drewno do żeliwnego pieca, stawali przy nim, żeby się ogrzać i uciąć sobie pogawędkę, a wtedy nie można było tak po prostu odwrócić się na pięcie i odejść. Oczywiście chcieli rozmawiać o Bobie, a Nicole uprzejmie przyjmowała ich kondolencje. Jednak to Charlotte, której nie widzieli od wielu lat, stanowiła dla nich prawdziwą atrakcję. Pytali, gdzie teraz mieszka, kiedy się przeprowadziła, czy ma męża i dzieci. Kiedy Nicole wspominała o dziennikarskiej karierze przyjaciółki, byli ciekawi, skąd taki pomysł na życie, czy nie przeszkadzają jej ciągle podróże i jak jej się podobało w Paryżu, Belize lub na Bali.

Chwilami bywało to męczące. Na przykład w salonie fryzjerskim, do którego postanowiły wstąpić, ponieważ właścicielka słynęła ze śniadaniowych kiszów. Kiedy weszły do salonu, fryzjerka była spowita wonną mgiełką do układania włosów. Właśnie skończyła czesać jedną klientkę i zaczynała następną. Trzy kobiety zarzuciły Nicole i Charlotte pytaniami – chciały

wiedzieć wszystko.

Charlotte zaczynała już mieć dosyć, gdy przeniosły uwagę na Nicole.

– Jesteś taka chuda, podtuczmy cię tego lata. Nie widziałam twojego męża w zeszłym tygodniu. Nadal próbuje uleczyć cały świat?

– Owszem – powiedziała Nicole, biorąc Charlotte pod rękę i dodała: – Czas na nas.

Wpadniemy później. Do zobaczenia.

Gdy tylko wyszły z salonu, mocniej ścisnęła przyjaciółkę i burknęła:

– Nadal próbuje uleczyć cały świat? To miało być śmieszne? Raczej obraźliwe. Dlaczego ludzie nie trzymają języka za zębami, skoro nie umieją powiedzieć nic miłego?

Charlotte zaskoczyły jej słowa.

– To był tylko żart. – Kiedy Nicole nie zareagowała, Charlotte postanowiła załagodzić sytuację. – Dobrze, że stamtąd wyszłyśmy. Zwykle to ja zadaję pytania, trudno się przyzwyczaić do zamiany ról. Zjadłabym coś. Czy w kawiarence nadal podają babeczki?

Nicole przez chwilę dochodziła do siebie, nim odpowiedziała:

– Jasne.

– Masz ochotę?

– Pewnie.

\*

Quinnie Café była tak urocza jak we wspomnieniach Charlotte. Na obitych ciemnym drewnem ścianach wisiały pamiątki z czasów wielorybnictwa, lecz największą atrakcją tego miejsca były okna wychodzące na morze. Okna pod markizami otwierano, gdy tylko pogoda na to pozwalała. Jednak tego ranka najprzyjemniejszy zdawał się żeliwny piec. Zapach płonących polan unosił się nad fotelami, pięcioma okrągłymi stolikami i krzesłami z mocnego brzoźowego drewna oraz ladą, wzdłuż której stały stołki barowe. Stoły sprawiały wrażenie nowych, podobnie jak wiszące nad nimi lampki, jednak największą zmianą od ostatniej wizyty Charlotte była duża liczba gniazdek elektrycznych. Przy dwóch stolikach siedzieli ludzie z laptopami, nowi mieszkańcy wyspy, w których Nicole rozpoznała redaktora „Times’a” i programistę komputerowego.

Kawiarnia przylegała do sklepu, ale oddzielały ją od niego półki pełne sfatygowanych czasopism, gier planszowych i zabawek, więc ci, którzy pili kawę, mogliby pozostać niezauważeni przez robiących zakupy, gdyby nie Bev Simone, właścicielka sklepu. Tym razem też rozpuściła wici, kto do niej przyszedł, lecz najpierw streściła Charlotte wydarzenia ostatnich dziesięciu lat na wyspie: wszystkie narodziny, pogrzeby i śluby.

– Ale wesele Nicole i Juliana było zdecydowanie najlepsze – zakończyła. – Nadal o nim gadamy. – Ścisnęła Nicole za ramię. – Twój tatuś, świeć Panie nad jego duszą, potrafił wyprawić przyjęcie. Tworzycie taką piękną parę, ty i pan doktor. Kiedy wraca?

– Nie jestem pewna – odparła Nicole bez mrugnienia okiem. – Ma napięty grafik. Mam nadzieję, że w sierpniu.

– Nadzieja może nie wystarczyć – zauważyła Bev.

Nicole nie przestała się uśmiechać.

– Na nic więcej nie mogę liczyć.

– Julian jest bardzo zajęтым człowiekiem – dodała Charlotte, a Bev, najwyraźniej to wystarczyło.

Słyszając w oddali dźwięk dzwonka, wróciła do sklepu. Ale jej misja jeszcze się nie skończyła. Uważała Nicole i Charlotte za gwiazdy – „będą pisały książkę o nas, właśnie o nas!” – więc zachęcała wszystkich klientów sklepu, żeby się z nimi przywitali.

Posypały się kolejne pytania, szczególnie do Charlotte, której długo tu nie widziano. Zadowolona, że zostawiono ją w spokoju, Nicole kursowała po bułeczki, cappuccino, łyżeczki do kawy, noże do smarowania babeczek dżemem i serwetki.

Później zjawiła się Beth Malcolm, której Charlotte tak bardzo bała się przed laty. Beth uczyła w szkole, a ponieważ właśnie rozpoczęły się wakacje, mogła wpaść do kawiarni w środku tygodnia, w ciągu dnia, z egzemplarzem *Salt* pod pachą.

– Jestem chyba ostatnią osobą na Quinnepeague, która tego nie przeczytała – powiedziała. Nicole i Charlotte wymieniły porozumiewawcze spojrzenie. – A wy? Już po lekturze?

– W trakcie – odparła Charlotte.

– I jak wam się podoba?

– Bardzo.

– Czy to nie jest niesamowite? – zapytała, gwałtownie zwracając się w stronę Nicole. – Widziałam w telewizji Juliana. Na początku go nie poznałam. Miał na sobie garnitur i wyglądał bardzo poważnie, ale w dobrym tego słowa znaczeniu, od razu było wiadomo, że wie, o czym mówi, a tydzień temu spotkałam go na wyspie, ubranego w koszulkę i szorty. Żona elektryka, no wiesz, tego, który kładł u ciebie kable, urodziła dziecko w kwietniu i zanim to się stało przez chwilę myśleli, że ma problem z serduszkiem, więc wszyscy rozmawiali o tym, jakie cuda Julian robi dla wcześniaków.

– Płodów.

– To dla nas prawdziwe święto, gdy przyjeżdża na wyspę. Kiedy wraca?

Nicole przewróciła oczami w kierunku Charlotte. Gdyby ta jej tak dobrze nie знаła, mogłaby uznać tę minę za lekceważącą, ona jednak wiedziała, że przyjaciółka wzywa pomocy.

– Wszyscy o to pytają – powiedziała Charlotte do Beth. – Julian ma nadzieję, że uda mu się jeszcze wpaść latem, ale ma mnóstwo pracy...

– Poza tym – wtrąciła Nicole podniesionym głosem – jeśli przyjedzie, to na wakacje. Nie będzie chciał, żeby ludzie śledzili każdy jego krok. Będzie mu zależało na prywatności.

– Która jest specjalnością tej wyspy – wtrąciła szybko Charlotte, słysząc rozdrażnienie w głosie przyjaciółki. – Ile dzieci uczy się w tutejszej szkole?

Beth opowiadała przez chwilę o szkole, a później o dwójce własnych dzieci i mężu, którego poznała na studiach i sprowadziła na wyspę. Był rzeźbiarzem, tworzył arcydzieła z metalu i walczył o to, żeby ktoś dostrzegł wreszcie jego talent. W końcu Beth powiedziała:

– Obiecałam mu drożdżówkę. Muszę lecieć. Hej, mamy później spotkanie klubu książki, może wpadniecie?

– Omawiacie *Salt*? – zapytała Charlotte z zainteresowaniem.

– Nie, tę książkę czytam z czystej ciekawości. Mamy na tapecie *Caleb's crossing*, też o wyspie.

Charlotte czytała tę książkę.

– Może zajrzemy – powiedziała, machając Beth na pożegnanie. Zapytałaby Nicole, czy zna ten tytuł, gdyby nie przerażenie, z jakim jej przyjaciółka przypatrywała się drożdżówce. – Co się stało?

– W tych babeczkach są porzeczkki – jęknęła Nicole. – Nieuprawiane na wyspie.

Charlotte zaniepokoiła panika w jej głosie, której przyczyną nie mogły być porzeczkki. Nicole, którą znała, była oazą spokoju. Albo się zmieniła, albo działo się z nią coś niedobrego, i nie chodziło o Boba. Gdyby o nim myślała, byłaby smutna, nie spanikowana.

Skończyły jeść, niewiele się do siebie odzywając. Bev przysłała im jeszcze jedną klientkę, która jednak nie była szczególnie rozmowna. Gdy tylko odeszła, wymknęły się z kawiarni.

I wtedy wpadły na wydawcę lokalnej gazety, który rozjaśnił się na ich widok, lecz szybko

skoncentrował całą uwagę na Nicole.

– Słyszałem dobrą wiadomość. Piszesz książkę?

– Książkę kucharską – poprawiła go Nicole ze sztucznym uśmiechem.

Charlotte nagle przyszło do głowy, że jej przyjaciółka sprawia wrażenie zaszczutej.

Poprzedniego wieczoru też to zauważyła.

– Gratuluję – powiedział mężczyzna – chociaż nie jestem zaskoczony. Zawsze było w tobie coś szczególnego. I w twoim mężu. Chętnie usiadłbym z wami i porozmawiał o twojej książce kucharskiej i o jego pracy. Kiedy się u nas zjawi? Napisałbym o was artykuł na pierwszej stronie. A tak przy okazji, przykro mi z powodu Boba. Będzie nam go brakowało.

Nicole kiwnęła głową. Nie mrugnęła przy tym okiem ani nie przestała się uśmiechać.

Dziennikarzowi usta się nie zamykały.

– Spodobałby mu się mój pomysł na artykuł poświęcony waszemu małżeństwu, opatrzone zdjęciami. Myślisz, że Julian się zgodzi? No jasne, że tak. Gazeta ukazuje się tylko na Quinnie, a on kocha to miejsce. – Sięgnął w stronę klamki. – Żona obiecała mi makaron z homarem i serem, a ja nigdy jej nie odmawiam. Jeśli zależy wam na najlepszych przepisach na wyspie, będziecie potrzebowały również tego. Powiem jej. Ucieszy się, że o niej napiszecie. Daj mi znać, kiedy doktor ustali termin przyjazdu. Wpadnę do waszego domu, który sam nadawałby się na temat artykułu, ale teraz mamy w nim was, parę gwiazd: książka, telewizja. Jesteście parą jak z żurnala. Jak z żur-na-la – powtórzył, wymachując przy każdej sylabie pięścią, zanim wszedł do sklepu.

Charlotte myślała o tym samym, lecz Nicole posłała jej kwaśne spojrzenie.

– Pamiętam ten makaron – warknęła – i jeśli ta kobieta chce, żeby jej przepis znalazł się w książce, musi najpierw dodać do niego coś, co odróżniłoby go od pozostałych przepisów na makaron z homarem i serem! – Charlotte odciągnęła ją od sklepu, ale Nicole narzekała dalej. – Para jak z żurnala? Para jak z żurnala?! Ten człowiek nie ma pojęcia, o czym mówi. – W jej głosie brzmiała wściekłość. – Na rynku są miliony książek kucharskich i powstaje drugie tyle, a Julian poświęca więcej czasu uczeniu niż operowaniu. Para jak z żurnala? Gówno prawda!

Język, ton, postawa Nicole były tak niespodziewane, że Charlotte była zdumiona. Zanim jednak zdążyła się odezwać, przyjaciółka odeszła szybkim krokiem, minęła samochód i ruszyła w dół ulicy.

– Dokąd idziesz? – zawołała za nią Charlotte.

Nicole zatrzymała się i rozejrzała. Skręciła w prawo i szła dalej, w kierunku skupiska skał z widokiem na przystań. Latem turyści jadali na nich lunch, ale w tak chłodny dzień na skałach nie było żywej duszy. Charlotte przyszło do głowy tylko jedno: Nicole zamierzała się rzucić do morza.

Podbiegła do niej i chwyciła przyjaciółkę za ramię, zanim ta zdążyła się wdrapać na skały.

– Co się dzieje?! – krzyknęła, teraz na dobre przestraszona.

Nicole miała wytrzeszczone oczy i skórę jasną jak jej włosy.

– Nic! Wszystko w porządku!

Charlotte nią potrząsnęła.

– Co się dzieje, Nicki?

Nicole nerwowo przycisnęła dłonie do głowy.

– Proszę, powiedz mi – odezwała się łagodnie Charlotte.

– Nie mogę – szepnęła błagalnie Nicole. – Nie mogę.

– Jestem tu, żeby ci pomóc. Chcę ci pomóc. To nie może być nic strasznego.

– Stwardnienie rozsiane nie jest straszne?! – wybuchła Nicole.



Charlotte gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Jesteś chora?

– Julian!

\*

Ostatnie słowo rozbrzmiało głośnym echem. Nicole rozejrzała się, jakby szukała tego, kto je wypowiedział, bo gdyby zrobiła to ona, dopuściłaby się najgorszej zdrady.

Tylko że jedyną osobą w zasięgu wzroku była Charlotte, która nie mogła mieć pojęcia o chorobie, a gdyby nawet, nie wykrzyczałaby jej tego prosto w twarz. Charlotte była wstrząśnięta.

Nicole poczuła się tak, jakby jakaś część niej umarła.

– Julian jest chory? – szepnęła Charlotte, obejmując ramiona przyjaciółki.

Nicole nie potrafiła tego powtórzyć. Julian nie chciał, by komukolwiek o tym mówiła, a szczególnie Charlotte. Czy wyraźnie jej o to nie poprosił poprzedniego wieczoru? I właśnie złamała obietnicę. Nie chciała tego zrobić, lecz to bez znaczenia.

Julian poczuje się zraniony, zawiedziony, wściekły. Ich małżeństwo przechodzi ciężkie chwile, a jej zdrada na pewno nie poprawi sytuacji. Pomyślała, że po prostu się nie przyzna, co oznaczało kolejny sekret, i poczuła, że zalewa ją fala rozpacz. Osuwając się na kolana, rozplakała się.

## Rozdział 5



Charlotte była jak ogłuszona. Ze wszystkich możliwych wyjaśnień tego, co się działo, choroba ani przez chwilę nie przeszła jej przez myśl. Pamiętała Juliana jako przesadnie aktywnego i dbającego o siebie mężczyznę. Był zbyt zaangażowany i sławny... Cóż za absurdalny argument! Sławni ludzie ciągle zapadali na rozmaite choroby. Ciągłe umierali.

Nie żeby Julian miał umrzeć. Ze stwardnieniem rozsianym da się żyć. Charlotte była o tym przekonana. Jednak SM jest chorobą przewlekłą i jak każda z takich chorób nieodwracalnie zmienia życie.

Charlotte przykucnęła i objęła Nicole, która nie pozwoliła sobie na zbyt długą chwilę słabości. Odsunęła się od przyjaciółki i powiedziała drżącym, lecz nieznoszącym sprzeciwu głosem:

– Nie wolno ci nikomu o tym powiedzieć, Charlotte. Obiecuj, że tego nie zrobisz.

Jej oczy były przenikliwie zielone.

– Obiecuję.

– Absolutnie nikomu. Jeśli Julian dowie się, że ci powiedziałam, rozwiedzie się ze mną.

– Nie robi tego. Kocha cię.

Nicole wyciągnęła z kieszeni chusteczkę.

– Kiedyś byłam tego pewna, ale ostatnio się zmienił. – Przycisnęła chusteczkę do nosa. – Dawniej był otwarty, spokojny i pewny siebie, i nadal taki jest w stosunku do wszystkich poza mną. Przy mnie daje upust swoim lękom. Tylko ja wiem o jego chorobie... a teraz także ty.

Charlotte nic z tego nie rozumiała.

– To niemożliwe, przecież jego ojciec jest lekarzem. – Przypomniała sobie spotkanie z doktorem Carlisle'em seniorem na weselu Nicole i Juliana. Chociaż nie był tak elokwentny jak Julian, potrafił zaimponować.

– Nie wie ani jego ojciec, ani matka – odparła Nicole. – Tylko lekarze Juliana, ale oni nie mieszkają w Filadelfii. Doskonale rozumiem, że jego przyszłość zależy od tego, by ludzie nie wiedzieli o chorobie, ale czy zdajesz sobie sprawę, jakie to dla mnie trudne?

Charlotte spróbowała to sobie wyobrazić. Ona była niezależna, ale Nicole? Jej przyjaciółka bardziej polegała na innych ludziach. Jak miała sobie poradzić bez ich wsparcia?

– Od jak dawna wiesz?

Nicole otarła łzy z oczu.

– Od czterech lat.

– Co?! Dobry Boże! I na dodatek przeżyłaś śmierć Boba. Angie musiała być zdruzgotana.

– Posłuchaj mnie, Charlotte: mama o niczym nie wie.

– Przecież to twoja matka.

Nicole wpatrywała się w nią bez słowa.

– Nie pozwolił ci powiedzieć nawet matce? – zapytała z niedowierzaniem Charlotte, po czym podniosła przepaszającą dłoń. – Nie powinnam go krytykować. Nie wiem, co bym zrobiła na jego miejscu. – Usiłowała to jakoś zrozumieć. – Myślałam... myślałam, że jesteście w separacji, bo Julian ma romans, czy coś w tym rodzaju.

– Julian? Każdy, ale nie on. Jest wobec mnie całkowicie lojalny, za to ja... Puściłam farbę już drugiego dnia.

– Nie powinnaś była czekać nawet tyle – skarciła ją Charlotte. – Należało mi o tym powiedzieć, jak tylko przyjechałam. – Była zszokowana. – I przez te cztery lata nikt niczego nie zauważył?

– W tym właśnie rzecz. Zmęczenia nie widać, a właśnie ono najczęściej mu doskwiera, reszta objawów pojawia się i znika. Patrząc na niego, nikt nie dostrzega problemu. – Jej głos niebezpiecznie się podniósł. – Jednak to postępuje. Julian nie reaguje na leki, więc wiemy, co go czeka. Czasami myślę, że jestem strasznie samolubna, bo objawy nadal są łagodne, ale pomyśl, czym on się zajmuje. Jest chirurgiem operującym najdrobniejsze organizmy i jeśli w niewłaściwym momencie zadrży mu dłoń, może się to skończyć katastrofą. Teraz nie operuje, tylko wykłada i umiera wewnętrznie, o czym nikt nie ma pojęcia. Zupełnie jakby prowadził dwa życia: jedno publiczne, w którym wszystko układa się normalnie, i drugie potajemne, pełne lęku i złości. – Zawiesiła głos, jej oczy znów napełniły się łzami. – Nie powinnam ci była mówić, ale nigdy nie miałyśmy przed sobą tajemnic, i jesteśmy na wyspie, gdzie wszyscy pytają mnie, kiedy Julian wróci. – Z trudem łąpała powietrze. – Kazał mi obiecać, że ci nie powiem. Czy zachowałam się nielojalnie?

I znów to słowo. Charlotte mogłaby powiedzieć to i owo na temat lojalności Juliana, ale nie tego potrzebowała teraz Nicole, a Charlotte chciała jej pomóc. Zdecydowała się więc załagodzić sytuację.

– To nie był brak lojalności, Nicki, tylko samoobrona. Jesteś człowiekiem, masz uczucia i potrzeby. Byłaś święta, że tak długo trzymałaś to w tajemnicy. – Przyciągnęła Nicole, tak że obie siedziały teraz oparte plecami o kamień, i poprosiła: – Opowiedz mi o wszystkim.

Gdy Nicole już zaczęła mówić, nie mogła skończyć. Gromadząca się w niej przez cztery lata rozpacz wreszcie znalazła ujście. Snując swoją opowieść, Nicole przeżywała wszystko na nowo: moment, w którym Julian powiedział jej o wynikach badań, wizytę u lekarza w Nowym Jorku, który przedstawił im plan leczenia, później kolejną wizytę, gdy pierwsza terapia zawiodła i rozpoczęto drugą, huśtawkę nadziei i rozczarowania, nadziei i zniechęcenia, i przez cały ten czas długie noce spędzane przy komputerze na poszukiwaniu informacji o stwardnieniu rozsianym.

Daleko w dole trzeszczały zacumowane w porcie łodzie. Fale obmywały molo, chatę rybacką, brzeg. Chociaż głąz chronił je przed podmuchami wiatru, bryza mieszała się z drzewnym dymem dolatującym ze wszystkich budynków w zasięgu wzroku. Wiatr przynosił ukojenie. Dla Nicole bardziej kojące okazało się jednak zrzucenie ciężaru. Julian byłby wściekły, ale ona rzeczywiście była tylko człowiekiem. Zbyt długo koncentrowała się na jego potrzebach i teraz przyszła kolej na nią.

Charlotte nie oceniała, tylko słuchała. Nie nazwała Nicole zepsutą ani samolubną, kiedy ta krzyczała, że to niesprawiedliwe, bo Julian miał przed sobą taką obiecującą przyszłość i „dlaczego to spotkało właśnie nas?!”. Nie upiększała rzeczywistości, tak jak by to zrobiła matka Nicole. Zadawała krótkie i konkretne pytania. Później Charlotte usiadła za kierownicą – zastąpiła w tej roli Nicole, i to też było cudowne – i odwiozła je do domu, podczas gdy przyjaciółka kończyła swoją opowieść.

– To czysta ruletka. Musimy znaleźć terapię, która spowolni rozwój choroby Juliana i nie przyprawi go przy okazji o zawał.

– Czy już go to spotkało?

– Jeszcze nie, ale tylko dlatego, że lekarze uważnie go obserwują. Po zażyciu pierwszej dawki jednego z leków siedział w szpitalu przez sześć godzin, po czym jego serce tak zwolniło,

że lekarze nie zdecydowali się na podanie następnej dawki. Oto cała historia. Niektóre z najbardziej obiecujących kuracji wywołują u Juliana tak negatywną reakcję, że musi je przerwać. To ogranicza możliwości. Jeśli żadna metoda nie zadziała, czeka nas... Boże, to okropne. Kiedy wyobrażam sobie, jak może wyglądać nasze życie za kilka lat, ogarnia mnie panika. Staram się nie myśleć, ze względu na Juliana, ale nie potrafię przed tym uciec, wiesz? Julian wraca do domu i jest przybity. Wyobraża sobie, że to tylko kwestia czasu, kiedy w nieodpowiedniej chwili zdarzy się coś złego. Zrezygnował już z operowania, ale nikt nie zna powodu, więc szpitale nadal się o niego dopominają. Poza tym – dodała szybko – Julian lubi występować w telewizji i na scenie przed tysiącem lekarzy. Uwielbia być zapraszany do Londynu, Paryża i Pekinu. Każdemu sprawiałoby to przyjemność. Ale kiedy ludzie dowiedzą się, że jest chory, przestaną w niego wierzyć i telefon zamilknie.

– Jak poważne są nawroty?

– Niezbyt ciężkie. Trwają dzień czy dwa, wtedy Julian odwołuje swoje zajęcia w Filadelfii, wsiadamy w pociąg i jedziemy się spotkać z jego lekarzem w Nowym Jorku.

– Zażywa kortykosteroidy?

Nicole była zaskoczona.

– Skąd wiesz?

– Pisałam artykuł na temat niewielkiej kliniki na angielskiej wsi...

– Czytałam go, dotyczył raka.

– Tak, ale później przez pewien czas spotykałam się z jednym z tamtejszych lekarzy, który specjalizował się w SM. Związek był kiepski, ale przy okazji wiele się nauczyłam. Kortykosteroidy stosuje się w razie nawrotów choroby.

– Rzeczywiście pomagają – przyznała Nicole – ale nie można ich brać wiecznie. Julian musi przede wszystkim znaleźć lek, który zapobiegnie nawrotom. Problem z SM polega na tym, że terapia skuteczna dla jednej osoby u innej może zawieść. Słyszymy podnoszące na duchu historie o nowym leku, a potem okazuje się, że Julianowi on wcale nie pomaga albo wręcz mu szkodzi.

Były już z powrotem w domu, leżały na tarasie na jednym leżaku, tak jak wtedy, gdy miały osiem lat. Sączyły gorącą herbatę w ciepłych promieniach słońca, kiedy Charlotte zapytała:

– A co z jogą?

Nicole czuła ulgę – ogromną ulgę – że wreszcie może o tym porozmawiać, i to z kimś tak bliskim. Popatrzyła na przyjaciółkę.

– Twój doktorek był chyba niezłym gadułą.

– Mówił głównie o sobie – odparła Charlotte, tylko trochę rozbawiona. – Przynajmniej jego opowieści o SM były ciekawe. Wspominał, że joga może stanowić alternatywną terapię.

– Dla nas to nie alternatywa, lecz uzupełnienie leków. Julian nie chce ryzykować.

Podobnie z dietą. Jest parę badań dowodzących, że makrobiotyka może pomóc, więc Julian po prostu uważa na to, co je. Zawsze tak było. Poza tym ćwiczy i biega. – Nicole podchwyciła zdumione spojrzenie Charlotte. – Oczywiście zdarzają mu się upadki, o które obwinia buty, bieżnię lub krawężnik. To mnie przeraża. – Była przestraszona nawet gdy o tym opowiadała, chociaż w tej chwili strach był mniej obezwładniający niż zwykle. Izolacja potęgowała problemy, ale teraz wiedziała o nich Charlotte. – Julian wychodzi pobiegać, a ja czekam, aż zjawi się policja, by powiedzieć, że się przewrócił i wpadł pod samochód.

– Nie możesz się tak zadrećzać.

– A co mam zrobić? Wiem, że zachowuję się samolubnie; wielu ludzi jest w gorszej sytuacji niż...

– Daj spokój, Nicki. Nigdy więcej tak nie mów. – Charlotte popatrzyła przyjaciółce

prosto w oczy. – Ból pozostaje bólem. Masz prawo go odczuwać. Nie prosiłaś się o to.

– Ale kiepsko sobie radzę. Nie mam pojęcia, co robić. Powiedz mi, Charlotte. Chcę mu pomóc, ale nie wiem jak. Julian twierdzi, że kręcę się w kółko, ale to dlatego, że chcę mu ulżyć. Mówię niewłaściwe słowa... zachowuję się niewłaściwie. Jestem zbyt słaba.

Charlotte wyglądała na szczerze zdumioną.

– Żartujesz? Kogoś innego na twoim miejscu sparaliżowałby strach, ale nie ciebie. Zobacz, co zrobiłaś przez ostatnie cztery lata: pomagałaś Angie, matkowałaś Kaylin i Johnowi, prowadziłaś bloga tak dobrze, że zdobyłaś kontrakt na książkę. Nie oceniaj się zbyt surowo.

Nicole miała z tym jednak problem. W towarzystwie Juliana starała się trzymać fason, lecz gdy zostawała sama, zamartwiała się wszystkim.

– Dzięki blogowi zapominam o SM. Julian chyba miał rację: potrzebowałam się oderwać od tego wszystkiego. Nalegał, żebym podpisała kontrakt. Całkowicie mnie wspiera. – Mówiła coraz bardziej żarliwie. – Ta książka musi się okazać sukcesem, Charlotte. Och, nie ze względu na mnie, nie zależy mi na sławie, ale jeśli pierwsza książka dobrze się sprzeda, będą następne. – Z nadzieją w głosie wymieniała kolejne tytuły: – *Nickidostolu serwuje potrawy z Quinnipeague, Chicago, San Francisco, Nowego Orleanu*. Zapewniłoby mi to... Nie sławę, ani nawet nie zapomnienie o problemach... Poczucie bezpieczeństwa. – Wypowiedziała te słowa pod wpływem impulsu i dopiero potem się nad nimi zastanowiła. – Jestem zepsuta. Wydawało mi się, że Julian zawsze będzie miał pracę.

– Bo to prawda.

– Ale nie będzie zarabiał tyle pieniędzy co przedtem – powiedziała, zdając sobie sprawę ze znaczenia tych słów. – Nie mogę z nim o tym porozmawiać. Wpada w szał, kiedy zaczynam ten temat. Ale jeśli żadna z terapii nie skutkuje i jego stan się pogorszy... Potrzebuję źródła dochodu, Charlotte. Wiem, że piszę książkę kucharską i nie spodziewam się kokosów, ale muszę ją dobrze sprzedać. – Nagle opadło ją zwątpienie. – Czy powinnam się przygotować na porażkę?

Charlotte się uśmiechnęła.

– Co zawsze powtarzał twój tata?

– Mierz wysoko, sięgaj daleko – odparła Nicole. – Ale spójrz tylko, co spotkało Juliana.

– Racja. Sięgnął po wspaniałą karierę i udało mu się. Mierzył w kochającą rodzinę i ją ma. Powiedziałabym, że całkiem nieźle mu wyszło.

– Okej, spełnił swoje marzenia – przyznała jej rację Nicole – ale co z moimi?

Zauważyła moment, w którym Charlotte zrozumiała to, co Nicole chciała jej powiedzieć – zdradził go błysk poważnych brązowych oczach.

– Czy to dlatego nie macie dziecka? Julian nie może uprawiać seksu?

Tydzień wcześniej Nicole byłaby oburzona jej bezceremonialnością, ale teraz już nie. Powiedziawszy jej o wszystkim, czuła tak wielką ulgę, że nie miałaby Charlotte za złe żadnego pytania.

– Ależ nie, nie w tym rzecz. Najgorsze jest to, że celowo zwlekaliśmy z ciążą. Kaylin i John potrzebowali uwagi i dali mi tak wiele w zamian! A teraz Julian boi się, że nie będzie w stanie ich utrzymać i wykształcić, że nie poradzi sobie fizycznie. Powtarzam mu, że znajdziemy jakiś sposób, że wielu ludzi z SM ma dzieci, ale on nie chce mnie słuchać.

– Czy ta choroba jest dziedziczna? – zapytała Charlotte.

– Nie wiadomo. Jest tak wiele niewiadomych, na przykład dlaczego choruje więcej kobiet niż mężczyzn, czy istnieje związek między SM i mononukleozą, dlaczego w północnej Ameryce notuje się więcej przypadków zachorowań niż na południu. Julian poddał się wszystkim możliwym testom, a lekarze i tak nie mają pojęcia, dlaczego zachorował. Nie chce o tym powiedzieć swoim przyjaciółom, rodzicom, ani nawet Kaylin i Johnowi. Twierdzi, że i tak mu

nie pomogą. Może ma rację. – Przez chwilę się nad tym zastanawiała, ale pewna rzecz nadal nie dawała jej spokoju. – Para jak z żurnala? Akurat. Może i sprawiamy wrażenie szczęśliwych ludzi sukcesu, ale nimi nie jesteśmy. Julian choruje, a ja jestem oszustką.

– Przestań!

– Piszę książkę kucharską, żeby wypełnić lukę w swoim życiu!

– Połowa świata funkcjonuje w ten sposób, Nicole. Zawsze pasjonowała cię kuchnia organiczna i gotowanie według zasady „z pola prosto na stół”. Wykorzystałaś swoje pasje w sposób kreatywny i przynoszący korzyści nie tylko tobie, lecz także innym.

Nicole słuchała tych słów, z całych sił starając się w nie uwierzyć. Właśnie dlatego sprowadziła Charlotte na wyspę. Ogarnięta falą wdzięczności, obserwowała przyjaciółkę, która wpatrywała się w morze, trzymając filiżankę herbaty. Była poważna, zatopiona w rozmyślaniach i Nicole doskonale to rozumiała, biorąc pod uwagę ciężar wyznań, którymi się z nią podzieliła. Sama z kolei od miesięcy nie czuła się tak lekko. Wiedziona impulsem, uściśniła Charlotte.

– Jestem prawdziwą szczęściarą, że cię mam. Twój przyjazd uratował mi życie.

– Co za melodramatyczne stwierdzenie.

– Mówię poważnie. Cieszę się, że ci powiedziałam. Jest mi o wiele lepiej, jakby cień na morzu nagle zniknął – powiedziała, czując obecność ojca. – Tata nam o tym opowiadał, pamiętasz? O czarnych plamach na wodzie, ciemnych i lodowatych? Cóż, właśnie przed nimi uciekłam. Nadal widzę cień, ale znalazłam się w znacznie jaśniejszym i cieplejszym miejscu. Dziękuję ci, Charlotte. Jesteś najlepszą przyjaciółką pod słońcem.

## Rozdział 6



Jesteś najlepszą przyjaciółką pod słońcem”. Charlotte wcale tak o sobie nie myślała. Podczas gdy ona podróżowała po świecie, beztrudnie przebijając w zleceniach, Nicole przechodziła w domu piekło. Czy gdyby Charlotte o tym wiedziała, zostałaby z nią? Oznaczałoby to spotkania z Julianem, na które ten niekoniecznie miałby ochotę.

Jednak teraz, kiedy Nicole zdradziła jej swój sekret, Charlotte dzieliła z nią jego ciężar. Chcąc się dowiedzieć wszystkiego na temat stwardnienia rozsianego, spędziła całe popołudnie na tarasie z laptopem, po części odświeżając swoją wiedzę, po części aktualizując informacje. Nie było już mgły, po niebie sunęły puszyste obłoki. Słońce ogrzewało jej nogi i ramiona, pozwalając się zrelaksować, lecz ciepło nie docierało zbyt głęboko. Postępy, które medycyna poczyniła w ciągu pięciu lat, odkąd Charlotte zerwała z Grahamem, brytyjskim lekarzem, wiązały się z nowymi lekami, teoriami, terapiami. Jednak na każdy post obwieszczający cudowne odkrycie przypadał drugi – demaskujący oszustwo, zaś temat skutków ubocznych powracał jak bumerang.

Później Charlotte natrafiła na informacje o przeszczepach komórek macierzystych. Graham uważał, że w przyszłości ta kuracja mogła przynieść dobre efekty, a z tego co przeczytała Charlotte wynikało, że w ciągu ostatnich kilku lat zdołano ją znacznie rozwinąć. Proces polegał na pozyskaniu dorosłych komórek macierzystych ze szpiku kostnego, tkanek lub organów wewnętrznych i wszczępieniu ich do organizmu w celu zastąpienia chorych komórek zdrowymi. U chorych na SM niewłaściwe działanie systemu odpornościowego powoduje uszkodzenie powłoki osłaniającej nerwy, co zaburza przesyłanie sygnałów elektrycznych przez mózg i rdzeń kręgowy. Właśnie to zaburzenie jest przyczyną objawów SM. Przeszczep miał zapewnić organizmowi świeże, nowe, zdrowe komórki, które wytworzyłyby zdrową otoczkę nerwów.

Obecnie największe nadzieje pokładano w przeszczepach autologicznych, czyli z wykorzystaniem komórek pacjenta, co miało zminimalizować ryzyko odrzucenia. Równie skuteczne mogły się okazać przeszczepy embrionalnych komórek macierzystych, chociaż nastroczały szereg problemów natury etycznej. Mniejsze wątpliwości wzbudzało użycie komórek macierzystych z krwi pępowinowej, chociaż sądząc po tym, co przeczytała Charlotte, pozostawało wciąż w fazie eksperymentów.

Wszystko to wydawało się przerażające. Charlotte z całych sił starała się ukryć swoje obawy podczas kolacji. Na szczęście Nicole, skoncentrowana na swojej książce, przygotowała zapiekankę z owocami morza według przepisu Chowder House. Nakryła do posiłku – jaskrawopomarańczowe maty na dębowym drewnie, serwetki w obręczach ozdobionych muszlami oraz wiekowe vouvray w kieliszkach z trawionego szkła – i znowu musiała sfotografować stół, zanim pozwoliła Charlotte skosztować jedzenia.

– Jak ci smakuje? – zapytała po dłuższej chwili. Malujące się na jej twarzy skupienie zdradzało, że rozkładała smak i strukturę dania na czynniki pierwsze, porównując ze sobą składniki i badając ich proporcje w stosunku do całości.

Taką właśnie Nicole znała Charlotte – skoncentrowaną na szczegółach, pamiętającą wszystkie wątki przeczytanych książek i potrafiącą wyjaśnić ich rolę w całej fabule. Charlotte,

która zwykle pędziła do przodu, nie oglądając się za siebie, na przemian kochała ją za to i nienawidziła jej.

Tym razem nie przepełniała jej ani miłość, ani nienawiść, lecz podziw. Nicole nie parła do przodu, tylko odsuwała na bok jedną rzecz, żeby skoncentrować się na innej.

Idąc za jej przykładem, Charlotte skoncentrowała się na potrawie.

– Smakuje mi homar i krab, małże są obłędne, za to krewetki wydają się...

– Przeprotowane – odpowiedziała Nicole.

– Ale kupiłaś je mrożone, prawda?

Nie chciała sugerować, że zostały przyrządzone niewłaściwie, nie zamierzała krytykować przyjaciółki, kiedy ta miała na głowie same problemy.

Nicole znów podniosła do ust łyżkę.

– Tak, były mrożone. Krewetki w tych okolicach łowi się od grudnia do kwietnia. W tym roku zamknęli sezon wcześniej, bo tak dużo ich złowili. – Zjadła kolejną krewetkę. –

Zdecydowanie stawia opór. Fenkuł jest dostatecznie chrupki, nie potrzeba więcej twardych składników. Może zamiast krewetek powinnam użyć dorsza?

– Dobry pomysł – odparła po namyśle Charlotte. – Za to sałatka jest przepyszna. Chleb też.

Nicole zamierzała wzbogacić każdy przepis w książce o propozycję podania – odpowiednio dobrany rodzaj sałatki, przystawki czy deseru. Nickidostołu.com słynęła właśnie z tego, jak również z prezentacji potraw; Nicole zadawała sobie wiele trudu, żeby pięknie nakryć do każdego posiłku i sfotografować efekt. Oczywiście nie czuła się zmęczona – to była jej pasja.

Naśladując przyjaciółkę, Charlotte odchyliła się na krzesło i objęła wzrokiem całość – kokilkę z na w pół zjedzoną zapiekanką i resztkę kremowego sosu z kawałkami owoców morza. Wypiarze nie lubili zagłuszać smaku morskich potraw zbyt wieloma dodatkami, stąd prosta sałatka i chleb. Za to w śmietanowym sosie znajdował się składnik od Cecily Cole.

– Dzięki pietruszce potrawa ma odpowiednią ilość zieleni.

– A kokilki dają oprawę w kolorze orzechowego brązu – zauważyła Nicole. – Kupiłam je w sklepie na wyspie kilka lat temu, całkiem niedrogo. A tak przy okazji, planuję zamieścić na końcu książki spis źródeł. Nie wszyscy mają dostęp do naszych produktów i nie możemy ich zapewnić czytelnikom, ale sklepy na wyspie oferują wysyłkę naczyn, a skoro wytwarzają je na miejscu...

– Masz na myśli Olivera Weeksa? – wtrąciła radośnie Charlotte. – Nadal je robi? Co za postać! Materiał na długi wywiad.

– Książka powinna opowiadać głównie o kucharzach.

– Oliver tworzy dla nich sprzęt.

– Nie wiem, czy mój wydawca zgodzi się na Olivera Weeksa.

– Przeprowadzę z nim wywiad dla siebie – oznajmiła Charlotte. – Niejedno czasopismo zamieści go z pocałowaniem ręki. Nadal mieszka na wyspie? No, no. I wciąż jest sam?

– Spotyka się z Alicią Dean.

Charlotte wyglądała na wstrząśniętą.

– Z Alicią Dean? Straszna z niej nudziara.

– Mówisz tak, bo on ci się podobał.

– Niezły był z niego przystojniak. A teraz jaki jest? – zapytała Charlotte z niepokojem.

– Pomarszczony.

– Naprawdę? Nie jest jeszcze stary.

– Jest w podobnym wieku co Julian, po czterdziestce.

Dziesięć lat starszy od nich; między innymi z tego powodu Charlotte nigdy poważnie nie



wzięła się za Olivera. Oczywiście z Julianem też nigdy nie flirtowała, ani nawet nie uważała, że jest przystojny. Nie obchodziło jej, czy był teraz pomarszczony i siwy – interesowało ją wyłącznie jego zdrowie. Do tej pory nie widziała związku pomiędzy tym, co się między nimi wydarzyło, a pociągami fizycznym. Czyżby zawiniła samotność? Pewnie tak. Dopiero co zerwała z kolejnym facetem, o którym myślała, że może się okazać tym jedynym, więc mogła śmiało dopisać złamane serce do listy powodów. Wino i zmęczenie dopełniły reszty.

– Alice przez kilka lat mieszkała na kontynencie – mówiła Nicole – więc ma w sobie teraz więcej życia. Zajmuje się PR-em w Izbie Gospodarczej.

– Izba Gospodarcza – powtórzyła Charlotte. – To dopiero ekscytująca organizacja, szczególnie że Quinnie nie cierpi turystów.

Nicole próbowała się nie roześmiać.

– Ci, którzy przyjeżdżają tylko na jeden dzień, są okej. Dorey przepada za nimi. – Wskazała na zapiekankę. – Da mi więcej przepisów z Chowder House, ale myślę, że już ten zasługuje, by znaleźć się w książce. Zapiekanki to podstawa wyspiarskiej kuchni.

I to nie tylko te z rybami i owocami morza, pomyślała Charlotte. Pamiętała zapiekanki z kurczakiem, wieprzowiną i wołowiną, chociaż tę ostatnią najczęściej jadała w postaci mielonej.

– Zapiekanka pasterska – odezwała się z nagłym zachwytem. – A na wierzchu tłuczone ziemniaki z chrzanem z ogrodu Cecily Cole. Myślisz, że jej syn nadal go uprawia?

Nicole uniosła ręce i oznajmiła wysokim głosem:

– Nie idź tam, Charlotte. Mało mam problemów?

– SM to nie problem, tylko zmartwienie.

Nicole zakryła dłońmi uszy.

– Nie chcę tego słuchać. Powinniśmy rozmawiać o książce. – Wstała od stołu, zabrała z kuchennego blatu teczkę i wyjęła z niej dwie kartki papieru. Jedną z nich przesunęła w kierunku Charlotte i powiedziała: – Oto tytuły rozdziałów, poczynając od *Brunchu*, na *Zapiekankach* skończywszy. Mojemu wydawcy zależy na rozdziałach poświęconych przystawkom i sałatkom. Zgodziłam się na *Przystawki*, ponieważ mogą zastąpić cały posiłek, jeśli porcje są dostatecznie duże, ale sałatki stanowią dodatek do dań, więc pojawiają się w kilku różnych miejscach. Poza tym dziesięć rozdziałów jest w sam raz.

Były wśród nich *Chowdery*, *Ryby*, *Drób i mięsa*, a także *Dodatki*, *Przekąski* i *Desery*. Czytając tytuły rozdziałów, Charlotte widziała przede wszystkim krzątającą się po kuchni Nicole, pichącą potrawy na potrzeby bloga i książki. Charlotte nie przepadała za gotowaniem, ale kiedy siedziała w domu, jadła. Gdy dopadały ją nuda lub stres, jadła. Tymczasem Nicole pracowała w domu, czasami musiała się nudzić, a już na pewno stresować, otaczała się jedzeniem, lecz była szczupła jak zawsze. Nerwowa krzątania musiała być równie skuteczna jak operacja zmniejszenia żołądka.

– A tutaj mamy ciekawe postacie – powiedziała Nicole, kładąc na stole drugą kartkę. – Mój wydawca nie zna Quinnipeague, więc sama zrobiłam listę najważniejszych osób na wyspie.

Charlotte popatrzyła na nazwiska, nagle porażona tym, jak nieważni byli ci ludzie – jak nieważny był cały ich projekt – w porównaniu z kwestiami takimi jak choroba czy niewierność. I przyjaźń. Przyjaźń zdecydowanie była czymś bardzo istotnym.

Błędnie interpretując minę Charlotte, Nicole szybko dodała:

– Nie musisz rozmawiać akurat z tymi osobami, jeśli nie chcesz. Po prostu przejrzałam tytuły rozdziałów i wypisałam osoby, które chciałabym zapytać o przepisy i które uznałam za interesujące, ale jeśli tobie nie wydają się ciekawe, nie zainteresują również moich czytelników, a twoja opinia to dobry papierek lakmusowy. Potraktuj tę listę wyłącznie jako sugestię.

– To twoja książka – odparła Charlotte, czując się najgorszą z przyjaciółek.

– Ale to ty zarabiasz na życie pisaniem.  
– To twoja książka – powtórzyła Charlotte z rozdrażnieniem. Gdyby Nicole więcej wymagała od Juliana, nigdy w życiu nie poszedłby za Charlotte na plażę. Koniec historii. – To ty znasz swoich czytelników i podpisałaś umowę. Nie wiem, czego oczekuje twój wydawca. Poza tym nie było mnie tu dziesięć lat, więc nie ja powinnam podejmować decyzje. Powiedz mi, z kim powinnam przeprowadzić wywiady, a ja to zrobię.

Nicole posmutniała.

Dopiero wtedy Charlotte zorientowała się, jak ostry był jej ton – a także jak zapiekły i jednostronny był jej gniew – i natychmiast złagodniała.

– Przepraszam. To pewnie zmęczenie.

– Raczej to, co powiedziałam ci dziś rano – jęknęła Nicole.

– Nie, po prostu przez ostatnich kilka miesięcy miałam sporo stresów... – odparła Charlotte. Oczywiście Nicole miała rację: chodziło o to, co jej powiedziała. – Ale naprawdę chcę, żebyś mną pokierowała, Nicki. Wiesz, co robisz.

Nicole nie wyglądała na całkowicie przekonaną, ale się nie spierała. Kiedy kończyły posiłek, przesłodziła listę, z coraz większą pewnością siebie wyjaśniając, dlaczego umieściła na niej akurat te nazwiska.

Charlotte udawała entuzjazm, chociaż nie miała pojęcia, jakim cudem Nicole tak bardzo dała się porwać temu projektowi. Z drugiej strony choroba Juliana nie była dla niej niczym nowym. Zdażyła się nauczyć robić dobrą minę do złej gry. Charlotte zawsze uważała, że jest twardsza niż Nicole. Teraz nie była już tego taka pewna.

Skończyły jeść kolację, posprzątały ze stołu, a Charlotte nadal myślała o SM. Czuła, że ma dużą wiedzę na temat tej choroby, ale nie bardzo wiedziała, co z nią zrobić. Chciała usłyszeć więcej na temat terapii, którym poddał się Julian. Cztery lata to za krótki czas, żeby wykorzystać wszystkie dostępne możliwości leczenia. Część postów na blogach pochodziła od pacjentów, którzy próbowali rozmaitych kuracji przez dwadzieścia lat.

Nicole nie wróciła jednak do tego tematu; kiedy zapadł zmrok, rozpaliła w kominku, sięgnęła po *Salt* i usadowiła się wygodnie na kanapie. Przeczytała więcej niż Charlotte, nie chciała więc rozmawiać o książce, by nie odbierać przyjaciółce przyjemności. Im bardziej natarczywe stawały się pytania Charlotte, tym bardziej stanowczo Nicole kręciła głową.

Charlotte sięgnęła po swój egzemplarz, lecz nawet lektura *Salt* nie zdołała powstrzymać jej umysłu od zapuszczania się w miejsca, w których nie chciała się znaleźć. Na każde trzy przeczytane strony dwie musiała przeczytać ponownie. Odłożyła książkę, poszła do pokoju i wróciła z robótką, chociaż nie miała pojęcia, dlaczego w ogóle przywiozła ją na wyspę. Za namową mieszkanek Inishmaan zaczęła dziergać sweter – według najprostszego ze ściegów, jak twierdziły – i udało jej się skończyć plecy. Doszła do wniosku, że z mniejszym kawałkiem pójdzie jej łatwiej, więc zaczęła rękaw. Czy było łatwo? Nie. Przyglądała się wzorowi, dziergała pół rzędu, pruć i zaczynała od nowa.

W końcu dała sobie spokój, usiadła na podłodze obok półki z książkami i przejrzała albumy ze zdjęciami. W pewnej chwili wstała, by pokazać Nicole zdjęcie ich dwóch jako trzynastolatek, niezdarnych i bardzo różnych od siebie, lecz Nicole tylko podniosła rękę i pokręciła głową, nie odrywając wzroku od tekstu.

Charlotte odłożyła album i wróciła na kanapę. *Salt* opowiada historię rybaka, jego psa oraz kobiety, która niespodziewanie pojawiła się w życiu mężczyzny i w której ten się zakochał. Wrażliwość każdego z bohaterów chwytала Charlotte za serce, jednak w tym momencie nawet miłość wydawała jej się nieważna. Skoncentrowała się więc na stylu pisania, związłym i oszczędnym, lecz jednocześnie melodyjnym, falującym niczym ocean.

Na myśl o oceanie zatęskniła za świeżym powietrzem. Zaznaczyła stronę skrzydełkiem obwoluty, odłożyła książkę i wstała z kanapy.

– Muszę się ruszyć. Pójdziemy na spacer?

Kiedy Nicole podniosła na nią wzrok, Charlotte dostrzegła w jej oczach łzy.

– Nie mogę teraz przerwać, jestem w bardzo ciekawym miejscu. – Przełknęła ślinę. – Poza tym chcę zadzwonić do Juliana. Idź sama. Zostawię otwarte drzwi.

\*

Opatuliwszy się zawstydzająco doskonałym swetrem rybackim i szalikiem, Charlotte wyszła przez kuchenne drzwi. Nie ruszyła jednak w kierunku plaży, by uniknąć bolesnego widoku miejsca, w którym na pewno pomyślałaby o Julianie. Nie miała ochoty myśleć o niczym.

Poszła szybkim krokiem do drogi i skierowała się na zachód, w stronę miasteczka. Po minucie zawróciła. Miasteczko było bezpieczne, ale ponieważ zależało jej na odwróceniu uwagi od problemów, ryzyko wydawało się czymś znacznie lepszym.

Minęła skrzynkę pocztową Lillych i przyspieszyła kroku, czując, jak rozgrzewają jej się mięśnie. Energia napędzana stresem? O tak. Jeśli chciała tej nocy zasnąć, musiała się jej pozbyć i solidnie zmęczyć. I pomyśleć, że „ta noc” była zaledwie ułamkiem czasu, który miała spędzić na wyspie.

Wyjedź stąd – odezwała się błagalnie jakaś jej część. Julian był chory, Nicole załamana, Charlotte dręczyły wyrzuty sumienia – od tego rodzaju napięcia zawsze uciekała. Łatwo było wymyślić powód, dla którego musiałyby wrócić do Nowego Jorku lub – jeszcze lepiej – wyjechać gdzieś, gdzie miałyby napisać artykuł. Mogła uciec najbliższym promem.

Mimo to szła dalej. Nie mogła wyjechać. Pomijając już fakt, że Nicole na nią liczyła, w grę wchodził jeszcze szacunek do samej siebie. Poza tym Charlotte cieszyła się na to ostatnie lato spędzone na Quinnipeague. Kochała tę wyspę.

Wiele się od tamtego czasu zmieniło – pomyślała, wzdrygając się. Odgarnęła niesforne włosy i schowała je pod szalik. Im dalej od miasteczka, tym bardziej przenikliwa zdawała się ciemność. Nie było tu samochodów, latarni, domków letniskowych, nie widać było nawet świateł w domu Nicole. Po obu stronach drogi rosły drzewa i rozciągały się pasy pól, za którymi znajdowało się skaliste wybrzeże, ukryte w mroku.

Charlotte dostrzegła jednak promyk nadziei. Za chmurami majaczył księżyc: srebrzył ich kontury i przepuszczał przez nie trochę światła. Promienie padały na wody oceanu, tworząc jaśniejsze plamy, które Charlotte mogła sobie jedynie wyobrazić. Słyszała za to przelewające się fale, które rozbijały się o skały i wracały do morza.

Gdy chodnik stał się zbyt popękany, zaczęła iść środkiem drogi. Jej koniec zawsze był zaniedbany – świadczył o tym, że Cecily nie zapraszała wyspiarzy na herbatkę. Brak napraw po jej śmierci oznaczał, że syn Cecily odziedziczył po niej charakter.

Zawróć – odezwał się błagalny głos w głowie Charlotte. Nicole miała rację; mogły się dowiedzieć wielu rzeczy na temat Cecily bez przychodzenia tutaj. Ale jak miała się oprzeć pokusie ponownego obejrzenia ogrodu? Szczególnie że w ten sposób mogłyby się przysłużyć książce.

Minęła szpaler brzoź z upiornie połyskującą korą. Kiedy tak wsłuchiwała się w dźwięk szeleszczących liści i nieustający szum fal, spłynęło na nią ukojenie. Mewy spały, więc nie było słyhać ich popiskiwania i nawet jeśli zacumowane przy brzegu łodzie wydawały jakieś dźwięki, to przystań znajdowała się zbyt daleko, żeby można je było usłyszeć.

Jedynym odgłosem było rytmiczne plaskanie podeszew jej sportowych butów o asfalt i... dziwny stukot. Zważywszy na późną porę, nie mógł to być dzięcioł, prędzej jakieś nocne zwierzę

szukające jedzenia, bardziej przestraszone obecnością Charlotte niż na odwrót. Na Quinipeague żyły jelenie i szopy, a także świstaki, oposy i krety.

Po każdym trzech, czterech stuknięciach następowała przerwa. W pewnym momencie Charlotte zatrzymała się, myśląc, że to może jej buty wydają ten dźwięk, lecz kiedy usłyszała go ponownie, ruszyła przed siebie. Im bliżej była domu Cole'ów, tym głośniejszy stawał się dźwięk.

Czy mogło to być skrzywienie kości albo taniec szkieletów? Tak gadały dzieciaki z wyspy. Dawniej Charlotte i Nicole im wierzyły, nie wystarczyło to jednak, żeby je odstraszyć. Bob i Angie zabronili im tutaj przychodzić, więc tym bardziej je ciągnęło. Oczywiście to Charlotte była prowodyrką zakazanych wypraw, lecz Nicole ochoczo jej towarzyszyła.

Charlotte zrobiło się chłodniej, więc naciągnęła rękawy swetra na zziębnięte dłonie. Zbliżała się właśnie do zakrętu, zza którego widziało się dom Cole'ów, i wraz z tym widokiem u nieproszonych gości pojawiał się strach przed Cecily. Jak jej zioła i napary posiadały szczególną, leczniczą moc, tak Cecily potrafiła wymierzyć sprawiedliwość. A przynajmniej tak mówiono na wyspie.

Czymże jednak było to gadanie, jeśli nie próbą zapewnienia sobie odrobiny rozrywki? Cecily nie żyła, a Charlotte zżerała ciekawość. Jeden rzut oka nie mógł być niebezpieczny.

Charlotte zwolniła kroku i minęła zakręt. Serce dudniło jej w piersi, co świadczyło o tym, że żyje, doświadcza przygody i łamie zasady, których i tak z natury rzadko przestrzegala. Kręciło ją w nosie, chociaż Charlotte nie wiedziała, czy to z powodu morskiej bryzy, rosnących w pobliżu sosen czy krążącej w jej żyłach adrenaliny.

Na końcu podjazdu zamajaczył dom Cecily: skromny, jednopiętrowy i zwieńczony kopułą, w której ponoć mieszkali nietoperze, jeśli wierzyć miejscowym dzieciakom. W zasięgu wzroku nie było jednak ani jednego nietoperza i nie dało się usłyszeć żadnych strasznych dźwięków. Górne okna oświetlał niezbyt przyjemny blask reflektora, zaś odgłos, który słyszała Charlotte, okazał się stukaniem młotka. Stojący na drabinie mężczyzna naprawiał okiennicę. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie późna pora.

Zaskoczona tym widokiem, Charlotte ruszyła długim podjazdem. Po piaszczystej drodze szło się łatwiej niż po dziurawym chodniku. Czyżby jednak zaproszenie? Spodobała jej się ta myśl. Dom sprawiał ponure wrażenie. Przydałby mu się gość, tłumaczyła sobie. Po obu stronach wysadzanego drzewami podjazdu rozciągał się ogród, w którym Cecily uprawiała swoje zioła. W ciemności Charlotte nie widziała, co teraz w nim rośnie; niskie rośliny równie dobrze mogły być ziołami i kwiatami, jak i chwastami. Coś czuła, lecz kombinacja zapachów była tak złożona, że jej niewycwiczony nos nie zdołał jej rozszyfrować. Wiatr zwiewał niesforne loki Charlotte na policzki i na oczy, odgarnęła więc włosy do tyłu, żeby lepiej widzieć.

Ogród Cecily. Czuła w nim energię, jednak mężczyzna pracujący na drabinie w środku nocy mógł się okazać niebezpieczny.

Sportowe buty pozwalały jej iść cicho. Dodatkowo Charlotte starała się stawiać kroki równocześnie z uderzeniami młotka. Kiedy mężczyzna przestał stukać i zajął się zawiasem przy okiennicy, Charlotte usłyszała za plecami szelest spłoszonego zwierzęcia.

Zaalarmowany tym dźwiękiem mężczyzna przestał pracować i odwrócił się. Musiał mieć koci wzrok, ponieważ miejsce, w którym stała Charlotte, nie było oświetlone. Nie poruszywszy nawet jednym mięśniem, obserwował, jak się zbliżała.

Leo Cole. Teraz go poznała: ciemne oczy, wystające kości policzkowe i kwadratowa szczęka. Pamiętała długie zmierzwiłone włosy, które teraz były schowane pod czapką. Miał na sobie podkoszulek i zachlapane farbą dżinsy. Dawniej wysoki i chudy jak szczapa, teraz był wysoki i postawny. Tylko wyraz jego ust się nie zmienił: nadal były pogardliwie zaciśnięte.

– Wtargnęłaś na teren prywatny – powiedział niskim i zachrypniętym głosem z akcentem

z Maine.

– Co robisz? – zapytała Charlotte, nie tracąc rezonu. Spotykała już bardziej onieśmielających ludzi niż on, i to w zdecydowanie mniej przyjaznych miejscach.

Leo powoli przeniósł wzrok z Charlotte na okno i z powrotem.

– A jak ci się wydaje?

– Naprawiasz dom po ciemku. – Wcisnęła osłonięte rękawami dłonie pod pachy. – Robisz to, żeby nie widzieć pękniętej szyby, czy po prostu jesteś lekkomyślny?

Cole przyglądał jej się jeszcze przez chwilę, po czym zatknął młotek za pasek i zszedł z drabiny. Podniósł z ziemi okiennicę i, nieco niezdarnie ze względu na jej ciężar, wdrapał się z powrotem na górę. Okiennica była szeroka, bardziej użyteczna niż dekoracyjna. Trzymał ją jedną ręką i po drodze przystanął dwa razy, żeby poprawić chwyt. Kiedy dotarł na szczyt drabiny, oparł okiennicę o szczebel, rozprostował palce i zabrał się do mocowania jej na zawiasach. Z pierwszym mu się udało, z drugim miał już problem. Charlotte doskonale wiedziała, na czym polega. Miała już do czynienia z okiennicami burzowymi. Trudno je zakładać w pojedynkę.

Ponownie oparłszy okiennicę o szczebel drabiny, Leo wyciągnął młotek zza paska, kilka razy uderzył w zawias, po czym raz jeszcze spróbował założyć okiennicę.

Obserwując jego zmagania, Charlotte przypomniawszy sobie różne szczegóły z przeszłości Leo Cole'a. Nie była ona kryształowa. Leo miał problemy i był uparty. Nigdy nie poznała go osobiście; bywała na wyspie tylko latem, a Cole zadawał się z innymi mieszkańcami niż ona. A właściwie, poprawiła się w myślach, nie zadawał się z nikim. Samotnik, za wszystko ponosił odpowiedzialność sam, a były to całkiem poważne przewinienia. Mówiono o kradzieżach samochodów, podrabianiu czeków i sprowadzaniu słodkich dziewcząt na złą drogę.

Ostatniego lata, które Charlotte spędziła na Quinnepeague, Leo Cole trafił do więzienia stanowego za sprzedawanie trawki. Plotka głosiła, że to Cecily ją hodowała. Oczywiście wyspiarze zgodnie temu zaprzeczyli. Nie chcieli, żeby federalni zagrozili ich leczniczym ziółkom. Leo wpadł za sprzedawanie marihuany na kontynencie. Czy nadal ją uprawiał? Charlotte nie wyczuwała w powietrzu zapachu trawki, skądinąd dobrze jej znanego.

Leo męczył się z dopasowaniem zawiasu.

– Pomóc ci?! – zawołała. Czyżby tęskniła za ryzykiem?

Leo prychnął.

– Potrzebne są cztery ręce, żeby to naprawić – stwierdziła.

– Wystarczą dwie.

Charlotte popatrzyła w kierunku kopuły. Nie widziała nietoperzy ani nie czuła obecności duchów. Jeśli nawet dusza Cecily kręciła się gdzieś w pobliżu, to nie ona rzuciła na Charlotte urok. Dziennikarka postanowiła zostać z wrodzonego uporu.

Leo Cole bacznie się jej przyglądał.

– Robiłam to już – powiedziała.

– Mhm.

– Budowałam domy.

– Czyżby? – Nie uwierzył jej.

– Sześć w El Salvador po trzęsieniu ziemi i przynajmniej drugie tyle w Maryland po przejściu tornada. Wiem, jak działają okiennice burzowe.

Mężczyzna nie spuszczał z niej wzroku.

– Wystarczy, że ktoś przytrzyma okiennicę – ciągnęła, odgarniając niesforne włosy – kiedy ty będziesz ją mocował na bolcach zawiasów.

– Naprawdę? Nie miałem pojęcia.

– Okej, może i miałeś. Ale mogłeś powiesić tę okiennicę i zejść z drabiny pięć minut temu. Nie jest ci zimno? – Charlotte była wdzięczna za każdy centymetr grubości swojego swetra. Żyłaste ramiona Cole’a nie były niczym osłonięte.

– Jestem mężczyzną.

Czekała, aż dokończy. Po chwili zapytała:

– I co z tego?

– Mężczyznom jest zawsze gorąco.

– Świetnie. – Wsunęła dłoń pod pachę, przybrała wygodniejszą pozycję i uśmiechnęła się.

– Zaczekam, aż powieszysz tę okiennicę. Może nauczę się, jak to się robi samemu.

Leo Cole najwyraźniej zrozumiał, że nic nie wskóra.

– W porządku – burknął. – Skoro jesteś taka mądra, będziesz miała okazję, żeby się wykazać. – Zszedł na ziemię, odstawił okiennicę, opierając ją o nogę, i wskazał gestem drabinę.

– Nie wciągnę jej na górę – uprzedziła Charlotte.

– Nie, ale jeśli wejdiesz na tę cholerną drabinę, przytrzymam okiennicę, a ty nasadzisz ją na zawiasy. Zakładając, że cokolwiek widzisz. Twoje włosy są jak siano.

– Dzięki – odparła pogodnie i chwyciła drabinę.

Byłoby wygodniej, gdyby mieli dwie. Nie podobał jej się pomysł wchodzenia na drabinę ze świadomością, że Cole jest tuż za nią. Będzie skazana na jego łaskę i niełaskę. Musiała mu coś jednak udowodnić.

Zaczęła się więc wspinać, oglądając się co kilka szczebli. Kiedy znalazła się na górze, poczuła dotyk ramienia Cole’a na tylnej części ud. Gdyby go nie знаła, pomyślałaby, że pilnuje, by nie spadła. Wiedziała jednak, że Leo Cole nie przejmuje się kobietami i po prostu się z nią droczy.

Charlotte nie lubiła, kiedy ktoś z nią pogrywał. Włosy wpadały jej do oczu, ale nie zamierzała dać mu satysfakcji i ich odgarnąć. Na szczęście miała wprawę w montowaniu okiennic. Cole przytrzymał ciężkie drewno, zaś ona z łatwością umocowała je na zawiasach. Chwila i gotowe.

Leo zszedł z drabiny. Zanim Charlotte dotknęła stopą ziemi, schował młotek do skrzynki z narzędziami. Gdy tylko zeszła z ostatniego szczebla, sięgnął po drabinę.

– Nie ma za co – powiedziała.

Posłał jej lekceważące spojrzenie.

– Jestem Charlotte Evans.

– Wiem. – Popatrzył na górną połowę drabiny, która złożyła się z trzaskiem. – Pisziesz książkę kucharską i chcesz skorzystać z ziół mojej matki. Zapomnij o tym.

Charlotte doszła do wniosku, że Cole – wysoki i śniady – w niczym nie przypomina swojej matki. Wypiarze twierdzili, że w dniu, w którym Cecily pojawiła się na Quinipeague, jej włosy miały srebrzystą barwę. Charlotte pamiętała je długie i rozwiane, a sama Cecily była tak drobna, że przypominała chochlika.

– Przykro mi z powodu jej śmierci.

– Jej ogród nie jest własnością publiczną.

– Jak odeszła?

Cole złożył drabinę i zaniósł ją za róg domu. Szczęk metalu zagłuszył szum przelewającej się fali. Drabina trafiła zapewne do garażu lub szopy, chociaż Charlotte nie słyszała dźwięku zamykania drzwi. Leo wrócił z pustymi rękoma, minął Charlotte i zaczął zbierać leżące na ziemi narzędzia.

Charlotte była przekonana, że puścił jej pytanie mimo uszu, gdy nagle uklęknął obok skrzynki z narzędziami i powiedział:

- Rozchorowała się.
- Na co? – Kiedy nie odpowiedział, dodała: – Była zielarką, powinna sobie jakoś pomóc. Cole odchylił się do tyłu i wsunął rękę do kieszeni.
- Zmarła w domu? Pochowaliście ją tutaj?

Wrzuciwszy garść gwoździ do skrzynki, wstał z ziemi, podszedł do słupka z przymocowanym do niego reflektorem i go wyłączył.

Niespodziewanie zapadła ciemność. Na szczęście zza chmur wyszedł księżyc. Kiedy oczy Charlotte przyzwyczały się do mroku, zobaczyła ogród. O tak, coś w nim rosło, i były to świeżo rozkwitłe rośliny, nie pozostałości z ubiegłego roku. Przy wyższych łodygach powbijano nawet paliki.

Z grządki po lewej stronie ogrodu wyskoczyło małe, tłuste zwierzątko. Przecięło ścieżkę i zniknęło pośród krzewów. Charlotte pewnie zapytałaby, co to było, gdyby nie dostrzegła sarny. Zwierzę obserwowało ich ze skraju lasu, jego płowe futro lśniło w blasku księżyca.

Charlotte zaniemówiła z wrażenia.

- Ale piękna! – szepnęła po chwili.
- Żałuj, że nie widziałaś jelonka.
- Gdzie?

Leo kiwnął brodą w stronę palików.

- Zostawia go tam, kiedy idzie szukać jedzenia.
- Po co miałyby szukać, skoro może sobie urządzić prawdziwą ucztę tu, na miejscu?
- Och, nie ruszyłaby tych roślin. Wie, że należą do mnie.

Charlotte popatrzyła na Cole’ę, lecz jeśli nawet w jego oczach czaił się uśmiech, ciemność skutecznie go zamaskowała.

- Mówisz poważnie?
- Musisz już iść – odparł twardo. – Mam dużo roboty.
- Racja – przyznała beczelnie Charlotte. – Masz pękniętą szybę w oknie, rozchybotane rynny i luźne gonty. Okiennice burzowe są w porządku, ale nie uchronią cię przed deszczem, skoro dach przecieka.

Leo Cole wyprostował ramię i wyciągnął je w kierunku drogi.

- Przecież tak dobrze się bawiliśmy – zaprotestowała.
- Mężczyzna wpatrywał się w nią bez słowa.
- Zróbmy tak. – Nie ustępowała. „Mierz wysoko, sięgaj daleko”. – Wrócę tu, żeby obejrzeć ogród. Tylko na jeden dzień. Później zniknę i nigdy więcej o mnie nie usłyszysz.
- Napstrykasz zdjęć swoim iPhone’em, żeby cały świat się dowiedział, co tu jest? Nie ma mowy. – Skinął brodą w kierunku drogi. – Działasz mi na nerwy. Niedźwiedź tego nie lubi.
- Niedźwiedź?
- Mój pies.
- Gdybyś miał psa, pogoniłby za sarną, jej młodym i tym małym tłustym czymś – odparła.

Leo Cole pstryknął palcami. Zza rosnącego przy domu krzaka wyłoniło się olbrzymie czarne zwierzę, podbiegło na masywnych łapach, zatrzymało się kilka metrów od Charlotte i wlepiło w nią dziki wzrok.

Charlotte nie bała się psów, lecz za nimi nie przepadała, a ten nie wyglądał, jakby miał przyjazne zamiary.

- W porządku – rzuciła lekko i cofnęła się kilka kroków. – Chciałam się tylko przywitać.

Pies nie spuszczał z niej wzroku. Jego uszy były czujnie postawione, a pysk tak wilgotny, że lśnił w blasku księżyca.

Charlotte cofnęła się jeszcze kilka kroków, żeby jasno dać do zrozumienia Niedźwiedziowi, jakie ma zamiary, po czym odwróciła się i ruszyła podjazdem z wysoko podniesioną głową. Nasłuchiwała dudnienia psich łap lub pobrząkiwania obroży, ale jeśli pies szedł za nią, zachowywał się bardzo cicho.

Nie odwróciła się, dopóki nie znalazła się po bezpiecznej stronie zakrętu, a i wtedy rzuciła tylko szybkie spojrzenie przez ramię. Nie zdziwiło jej, że droga okazała się pusta. Leo Cole nie życzył sobie jej towarzystwa, ale nie wyczuła w nim dzikiego gniewu ani nie wydał się jej niebezpieczny. W przeciwieństwie do psa. Leo pragnął tylko, żeby zostawiono go w spokoju.

Mogła to dla niego zrobić. Nie była zainteresowana tym mężczyzną.

Co innego ogród Cecily... Nie umiała przestać o nim myśleć. Jego obietnica była jak narkotyk, i bynajmniej nie chodziło o trawkę. Zapach, którego Charlotte nie potrafiła nazwać, oznaczał płodność, zdrowie i nadzieję. Musiała tam wrócić, i to nie z iPhone'em. Chciała użyć swojego nikona, zrobić zdjęcia w zbliżeniu, szerokokątnym obiektywem albo z użyciem zoomu, z daleka i z ukrycia, jeśli będzie trzeba. Dzięki jej zdjęciom ten ogród mógł ponownie ożyć. Wiedziała, że przy odrobinie wysiłku zdoła oddać jego zapach. Czytelnicy Nicole będą zachwyceni.

Podobnie jak sama Nicole. Przynajmniej to mogła dla niej zrobić.



## Rozdział 7



Charlotte nie powiedziała Nicole o swojej nocnej wizycie u Cole'ów, ponieważ wydarzyło się coś ciekawszego – przyszło lato. Wiedziała o tym, gdy tylko wstała z łóżka w czwartkowy poranek; zauważyła to po sposobie, w jaki prężyła się trawa na plaży, i słyszała w ospałym pokrzykiwaniu mew. Kiedy otworzyła okno, poczuła szczególny rodzaj ciepła Quinnie. To nie był lepki miejski upał, ale pieszczotliwy podmuch balsamicznej, słodkiej bryzy. Spędziwszy tu tak wiele wakacji, Charlotte wiedziała, jak szybko pogoda potrafi się popsuć, i postanowiła wykorzystać ulotne chwile ciepła.

Dlatego tuż po śniadaniu na tarasie, gdy przyjaciółki przypiekło słońce, Charlotte zaproponowała spacer na plażę. Nicole spojrzała na nią, przeniosła wzrok na ocean, uśmiechnęła się porozumiewawczo i wstała z miejsca.

Godzinę później, nie wspomniawszy słowem o księżce kucharskiej, jechały jeepem w kierunku miasteczka. Minęły kolonie małży i dotarły na Okers Beach. Na piaszczystym poboczu stały już zaparkowane dwa samochody; w weekend byłoby ich więcej. Domy takie jak dom Nicole miały własne plaże, ale większość z nich znajdowała się po północnej stronie. Okers, umiejscowiona na południu, w łukowatym wygięciu wyspy, oferowała mniejsze fale i delikatniejszy piasek, a także dostawy kanapek, frytek i napojów z Chowder House, chociaż kiedy Charlotte i Nicole przyjechały na plażę, od lunchu dzieliło je jeszcze wiele godzin.

Rzuciły torby na ziemię, rozstawiły niskie fotele plażowe, posmarowały się kremem do opalania i sięgnęły po swoje egzemplarze *Salt*.

– Dzisiaj ją skończysz – zauważyła Charlotte, widząc, jak niewiele stron zostało do przeczytania przyjaciółce.

Nicole się skrzywiła.

– Wiem. Staram się wolno czytać. Nie chcę kończyć.

Charlotte, która była dopiero w połowie, też się nie spieszyła z lekturą, i to bynajmniej nie z braku zainteresowania. Gdyby książka ją nudziła, zrezygnowałaby z niej; jeśli lektura jej nie wciągała, odkładała ją bez żalu. *Salt* pozwalał się delektować czytaniem.

– Na czym polega fenomen tej książki? – zapytała. – Fabuła wcale nie jest wyjątkowa. Z jednej strony mamy samotnego mężczyznę i jego psa. Z drugiej idealną kobietę na wakacjach. Razem próbują ułożyć sobie życie.

– W twoich ustach to brzmi banalnie.

– Ale kiedy on o tym pisze, już takie nie jest. Właśnie o to mi chodzi. Dlaczego właściwie czytamy tę powieść z zapartym tchem?

Nicole położyła dłoń na otwartej książce.

– Kochamy głównego bohatera. Jest taki bezbronny i naprawdę potrzebuje tej kobiety. Oczywiście jest w stanie mieszkać sam, robił to od lat, ale jego życie jest puste. – Zawiesiła głos, a po chwili cicho dodała: – Tęsknimy za tym. Każda z nas chce się czuć potrzebna.

Pomimo szumu fal Charlotte usłyszała w jej głosie smutek.

– Julian cię potrzebuje.

– Tak myślisz? Jeśli nie jestem mu potrzebna w takiej chwili, o czym to świadczy?

– Wyłącznie o tym, że on, podobnie jak ty, nie wie, jak sobie poradzić z tą sytuacją. Nie ma pojęcia, jak powinien zareagować.

Nicole pogłaskała książkę.

– Właśnie to nam się podoba w *Salt*. Ten mężczyzna wie, czego pragnie. Spędza całe dnie na łodzi do połowu homarów, ale wieczorem chce wrócić do swojej kobiety – zakończyła z rozczuleniem. – Ona jest jego spełnieniem marzeń. Czy to nie rozkoszne?

– I tak nie będą razem – uprzedziła ją Charlotte.

– Skąd wiesz? – zapytała w osłupieniu Nicole, po czym dodała oskarżycielsko: – Charlotte Evans, ty oszustko, przeczytałaś zakończenie!

– Wcale nie – zaprotestowała ze śmiechem Charlotte.

– W dzieciństwie zawsze to robiłaś i jesteś okropna, bo naprawdę chcę, żeby tych dwoje było razem. – Pacnęła Charlotte w ramię. – Zepsułaś mi całą przyjemność!

Nie przestając się śmiać, Charlotte uchyliła się przed kolejnym ciosem.

– Nie czytałam zakończenia, przysięgam. Po prostu rozumiem tę kobietę. Mieszka w Dallas, jest przyzwyczajona do blichtru, restauracji i sklepów. Jakim cudem miałyby zamienić to wszystko na życie na małej wysepce?

– Zwyczajnie, jeśli kocha go dostatecznie mocno.

– Ale z ciebie romantyczka.

– A z ciebie nie?

– Oczywiście, że tak – odparła po namyśle Charlotte. – Mnie też ta książka zachwycała. Powiedz mi, że wydarzy się coś, co pozwoli jej zostać – poprosiła z nadzieją.

– Nic ci nie zdradzę – odparła Nicole, opuściła okulary przeciwsłoneczne na nos i wróciła do lektury.

\*

O takim właśnie dniu marzyła Charlotte, kiedy zgodziła się przyjechać na Quinipeague. Razem z Nicole czytały, spacerowały po plaży i pływały, o ile pozwolił im na to zimny ocean. Przed przyjazdem furgonetki Chowder House na plaży pojawiło się więcej osób. Nicole знаła grono letników, z którymi serdecznie się witała, lecz większość czasu spędziła z Charlotte. Letnicy, którzy żyli w ciągłym biegu i tęsknili za świętym spokojem, nie zabiegali o towarzystwo. To miejscowi lubili plotkować.

Dzień pachnący olejkiem do opalania i morską wodą upłynął im pod znakiem błęgiego lenistwa. Kiedy słońce znalazło się w najwyższym punkcie nieba i przygrzewało najmocniej, przyjaciółki zabrały się do bułek z kotlecikami krabowymi i sosem tatarskim według specjalnej receptury Dorey.

– Wiedziałaś, że to Francuzi spopularyzowali sos tatarski – odezwała się Nicole, wycierając usta serwetką – który został tak nazwany na cześć Tatarów z Rosji i Ukrainy, i że w pierwotnej wersji zawierał biały ocet winny i kapary?

Charlotte odsunęła górną połowę bułki.

– Nie widzę tu kaparów.

– Dorey używa słodkich pikli, pietruszki i szczypiorku.

Za sprawą Cecily Cole, pomyślała Charlotte, ale nie powiedziała tego. Wrócili do jedzenia i odmierzanym ruchem fal chwil spokoju, niezmaconych rozmową o książce kucharskiej i Julianie. Kiedy Nicole skończyła czytać *Salt*, popłakała się. Raz po raz wzdychała „o mój Boże”, przyciskając dłoń do piersi, by uspokoić serce. Jednak nie zdradziła Charlotte zakończenia historii.

Po kolacji złożonej z dorsza w panierce z orzeszków pekan (przyrządzonego na próbę –

było to jedno z popisowych dań Chowder House i Nicole chciała się upewnić, że przepis się zgadza) Nicole pozwoliła przyjaciółce posprzątać kuchnię, a sama zatopiła się w lekturze nowej książki. Charlotte, która po przeczytaniu powieści lubiła jeszcze chwilę pobyc z jej bohaterami, była zdegustowana tym, że Nicole potrafi tak szybko odłożyć wszystkie te emocje na bok, ona jednak oszalała, że musi sobie zrekompenzować stratę. Był to eskapizm w najczystszej formie – ucieczka przed *Salt* i *SM*. Zgodnie z zapowiedzią Nicole szybko wciągnęła się w nową lekturę.

Charlotte wybrała się więc na spacer. Tym razem nie miała zamiaru iść do miasteczka; ruszyła w przeciwnym kierunku. Noc była łagodna, a krok Charlotte pewny. Wyłumaczyła sobie, że po dniu wypełnionym leżeniem, czytaniem i przede wszystkim jedzeniem przyda jej się trochę ruchu. Oczywiście była to prawda, lecz Charlotte ciekawiło również to, co działo się w domu za zakrętem.

Tej nocy szła w świetle księżycy, rozkoszując się łagodnym powietrzem i słodkim zapachem rozkwitających pąków. Wystarczył jeden ciepły dzień, żeby rosnące wzdłuż drogi krzewy nasyciły zapach morskiej soli wonią róż, która utrzymywała się przez całą drogę do zakrętu Cole'ów, gdzie zastąpił ją zapach sosnowej żywicy.

Na zakręcie Charlotte zwolniła kroku. Tym razem nic nie usłyszała i nie zobaczyła żadnych świateł. Dotarła do ogrodu, który też pachniał mocniej niż ostatnio. Musiały w nim rosnąć nie tylko zioła, lecz także kwiaty. Charlotte była gotowa się założyć mimo niewycwiczonego nosa.

Zatrzymała się i usiadła na samym środku podjazdu. W oddali za drzewami, skałami i domem przetoczyła się fala, lecz jej szum był tak stłumiony, że słyszała też dźwięki wydawane przez drobne zwierzęta. Wiewiórka przebiegła przez drogę, prężąc maleńki ogon. Żaba podskoczyła, zarechotała, dała susa i zniknęła w zaroślach.

Koncentrując wzrok na lesie, Charlotte pozwoliła oczom przyzwyczać się do ciemności i wkrótce zaczęła odróżniać pojedyncze drzewa – ach, jest i sarna! Wyprostowana i nieruchoma, przypominała gałąź drzewa. Obserwowała Charlotte, która wstrzymała oddech, zastanawiając się, czy sarna zaakceptuje jej obecność i czy poczęstuje się roślinami z ogrodu Leo Cole'a, skoro go tutaj nie ma. Nie zrobiła tego. Po pewnym czasie odwróciła się i bezszelestnie zniknęła między sosnami.

Charlotte najchętniej poszukałaby jelonka, ale to nie była jej ziemia i nie chciała zakłócać czyjegoś spokoju. Nagle usłyszała szczekanie psa. Dźwięk był stłumiony – Niedźwiedź siedział w domu i nie mógł się doczekać, aż zostanie wypuszczony i pogoni niechcianego gościa.

Charlotte siedziała na polnej drodze jak skamieniała, czekając, aż frontowe drzwi się otworzą. Jej wzrok powędrował w kierunku domu, skąd w każdej chwili mogła wyskoczyć czarna bestia. Co wtedy zrobi?

Ucieknij, ile sił w nogach.

Niedźwiedź nie pojawił się jednak ani w tej minucie, ani w ciągu kolejnych dwudziestu, bo tak długo siedziała na drodze, wdychając powietrze Cole'ów. Intrygująca mieszanka woni kwiatów i ziół, ciepła i mocna, zdawała się ją hipnotyzować. Spodziewała się, że jeśli nawet będzie chciała odejść, nogi odmówią jej posłuszeństwa.

Kiedy wstała, nogi wcale się pod nią nie ugięły. Wprost przeciwnie; były wypoczęte i pełne energii – zaniósł ją do domu z zadziwiającą szybkością. Charlotte zastanawiała się, czy jeśli wróci tu następnej nocy, blask księżycy pozwoli jej sfotografować zioła i czy jeśli znowu nikt jej nie zauważy, będzie mogła trochę tych ziół „pożyczyć”.

\*

Podzieliłaby się swoim planem z Nicole, gdyby po powrocie zastała ją w kuchni, ale

przyjaciółka już spała, a zanim Charlotte zeszła na dół w piątek rano, straciła na to ochotę.

Nicole dołączyła do niej późno, z laptopem pod pachą. Najwyraźniej zamiast spać, pracowała do białego świtu. Przeczytawszy informację w jednym ze swoich ulubionych czasopism rolniczych, zamieściła na blogu wpis dotyczący nowej uprawnej odmiany karczocha, tak delikatnej, że jego serce nadawało się do jedzenia na surowo. Uwielbiała się dzielić tego rodzaju nowinkami ze swoimi czytelnikami i dopiero kiedy skończyła pracę nad wpisem, doszła do wniosku, że zasłużyła na odrobinę rozrywki.

Spędzili więc kolejny ciepły dzień na plaży. Na ręcznikach wygrzewało się sporo osób; wczesnym rankiem do wyspy z głośnym buczeniem przybił prom i przywiózł ludzi na weekend, a ci od razu poszli się opalać. Mimo że starali się nie hałasować, na plaży zaroilo się od iPodów i słuchawek. Nicole ucięła sobie pogawędki z wieloma plażowiczami, z którymi znała się od lat, a nie widziała od jesieni.

Charlotte doszła do wniosku, że jej przyjaciółka odżyła. Była w swoim żywiole, otoczona ludźmi, i chociaż pojawiały się pytania o Boba i Juliana, dobrze sobie z nimi radziła. Przyjęła nawet zaproszenie na kolację od przyjaciół swoich rodziców.

– Ciebie też zapraszają – powiedziała Nicole, wyciągając się na ręczniku, ale Charlotte pokręciła głową. – Dlaczego nie?

– Nie przepadam za proszonymi kolacyjkami.

– Żartujesz? Byłabyś najciekawszą osobą na tym przyjęciu!

– Nie cierpię towarzyskich pogaduszek.

– Poradzisz sobie.

– Och, z pewnością, po prostu nie mam na to ochoty.

Nicole wyczuła, że Charlotte nie żartuje.

– No to odwiedzimy ich innym razem. Jesteś moim gościem, więc nie mogę cię zostawić samej.

– Oczywiście, że możesz – zapewniła ją Charlotte. – Lubisz McKenziech. Poza tym ta kolacja pomoże ci przełamać lody. Lepiej spotkać się z niektórymi osobami teraz niż ze wszystkimi podczas niedzielного brunchu. – Brunch u Bailey'ów organizowano co roku, niby z okazji początku lata, lecz tak naprawdę po to, by powitać na wyspie sezonowych mieszkańców Quinnie. Urządzano go w kościele i miał być pierwszą ogólnodostępną imprezą tego roku. Charlotte i Nicole musiały wziąć w nim udział. – Zresztą to twoi znajomi, nie moi. – Po chwili dodała lżejszym tonem: – Widzisz te główki na klifie?

Nicole popatrzyła w górę, na majaczące na dalekim krańcu plaży skały. „Główki” należały do miejscowych nastolatków, dla których godziny spędzone na klifie stanowiły swoisty rytuał przejścia.

– Nadal tam przesiadują.

– To już inna ekipa.

– Z pewnością, ale nadal chłoną widoki rozgrzanych słońcem ciał.

– Damskich ciał.

– A ty włożyłaś jednoczęściowy kostium. Gdzie się podziało twoje ukochane bikini?

– Riwiera Francuska – rzuciła Charlotte, a na widok podniesionych z ciekawości brwi

Nicole, dodała: – Bikini królowało wszędzie: na niektórych ciałach wyglądało świetnie, na innych okropnie. Jednoczęściowe kostiumy, choć rzadko spotykane, prezentowały się znacznie lepiej.

– Ale twoje ciało jest stworzone do bikini.

Charlotte wołała tego nie komentować.

– Nie tak jak twoje. Wyglądasz zjawiskowo, Nicki. Musisz pójść na tę kolację do

McKenziech. Wierz mi, będziesz gwiazdą wieczoru.

Nicole nachyliła się do Charlotte, żeby ta usłyszała ją mimo głośnych śmiechów i szumu fal. Jej oczy miały krystalicznie zielony kolor.

– Czy masz pojęcie, jak się cieszę, że tu jesteś? Pójdiesz ze mną? Proszę.

Charlotte z uśmiechem pokręciła głową.

– Po całym dniu spędzonym z tymi wszystkimi ludźmi? Wystarczy mi towarzystwa. Ty pójdiesz na kolację, a ja się wyśpię.

\*

Oczywiście wcale nie poszła spać. Miała zamiar, ale nie była zmęczona i tak naprawdę interesowało ją tylko jedno – fotografowanie ziół. Z nikonem na ramieniu szła drogą, którą znała tak dobrze, że zaczęła iść środkiem, jeszcze zanim w chodniku pojawiły się dziury. Nasłuchiwała stukania młotka lub szczekania psa, lecz słyszała tylko jednostajny szum fal, a kiedy minęła zakręt, zobaczyła ciemny dom skąpany w blasku księżyca.

Nie mogła użyć flesza, który nie tylko nie oddałby prawdziwych kolorów roślin, lecz także mógł zaalarmować Leo Cole'a. Pozostawało urokliwe światło księżyca, nadające roślinom srebrzystą poświatę. Charlotte miała pewną rękę i wystarczająco duże doświadczenie w robieniu zdjęć w plenerze, żeby wiedzieć, jak się odpowiednio ustawić.

Zanim jednak wszystko sobie przemyślała, poczuła mieszaninę zapachów, która odebrała jej trzeźwość umysłu. Dziwnie otępiała, wróciła dokładnie w to samo miejsce na podjeździe co poprzedniego wieczoru i usiadła. Zrób zdjęcia – rozległ się cichy głosik w jej głowie, ale nie miała na to ochoty. Zabierz trochę ziół – odezwał się ponownie głos, lecz i tym razem go zignorowała.

Była jak pogrążona w letargu.

Nie, nie w letargu.

Czuła się zrelaksowana, zadowolona i urzeczona.

Skrzyżowała nogi, położyła dłonie na udach, odchyliła głowę do tyłu, zamknęła oczy i głęboko zaczerpnęła powietrza. Bazylia? Mięta? Kolendra? Wyczuła nutę wszystkich trzech, ale też inne zioła, których nie potrafiła nazwać. A także zapach żywej ziemi i słodkiej morskiej bryzy. Cóż za rozkoszna chwila.

Nacieszywszy się nią, wyprostowała głowę i otworzyła oczy. Droga była pusta, lecz kiedy spojrzała w lewo, wśród roślin dostrzegła psa.

Zwierzę ruszyło w jej stronę; miało tak ogromne łapy, że Charlotte porzuciła myśl o ucieczce. Nie odbiegłaby daleko, poza tym wolała nie ryzykować kontaktu z psimi kłami. Wstrzymała oddech, zwierzę podeszło, obwąchało jej twarz, szyję i aparat. Miało mokry nos. Charlotte chciała się odsunąć, lecz nie odważyła się poruszyć.

– Dobry pies – rozległ się za jej plecami niski głos, lecz ona nie oderwała wzroku od Niedźwiedzia.

– Zawołaj go – poprosiła, ledwie poruszając ustami.

– On też nie lubi intruzów.

– Nie robię nic złego, tylko siedzę.

– Na mojej ziemi.

– Zawołaj psa, to sobie pójdę.

Pstryknął palcami – jeden raz, cicho – i pies ociężale się wycofał. Dopiero wtedy Charlotte ostrożnie się odwróciła. Leo Cole miał bose stopy, gołą głowę, ramiona i nogi. Ubrany był tylko w szorty i koszulkę bez rękawów. Cienie na twarzy podkreślały jego twarde rysy. Stojący przy jego nodze pies podejrzliwie przyglądał się Charlotte.

- Niezły aparat – stwierdził bezbarwnym głosem Cole.
- Prawie się z nim nie rozstaję.
- Stracisz go, jeśli spróbujesz zrobić zdjęcie.
- Nie ma mowy o zdjęciach, jest zbyt ciemno. Przytrzymaj psa.
- Skoro tak, to po co go zabrałaś?
- Przy drodze rosły kwiaty, które pięknie wyglądały w świetle księżyca.
- A ja jestem krasnoludkiem.

Parsknęła śmiechem. Był zdecydowanie zbyt wysoki i męski, żeby być którąkolwiek z magicznych istot, zwłaszcza że tuż obok niego stał toczący pianę z pyska pies. No, może nie toczył piany, ale wyglądał groźnie. Charlotte głęboko zaczerpnęła powietrza, usiłując zachować spokój.

- Medytowałaś? – zapytał Leo.
  - Nie. – Wstała powoli, żeby nie zdenerwować psa. – Po prostu... byłam. Tutejsze powietrze ma w sobie coś niezwykłego. Jest jak narkotyk.
  - Reprezentujesz Agencję Żywności i Leków?
  - Nie, autorkę książki kucharskiej.
- Sądząc po jego zaciśniętych ustach, uznał to za równie naganne.
- Taaak... Szukacie zdjęć i przepisów. Tutaj ich nie znajdziecie.
  - Dlaczego?
  - Powiem wszystkim, że sobie tego nie życzę.
  - Dlaczego mieliby cię posłuchać?
  - Bo uprawiam zioła.
  - Wydawało mi się, że wszyscy na wyspie to robią.
  - Tak, ale ich rośliny pochodzą od tych z ogrodu Cecyli i to ja mam nad nimi kontrolę. Charlotte nie dostrzegła związku.
  - Chcesz powiedzieć, że twoje rośliny decydują o tym, czy pozostałe rośliny na wyspie będą rosnąć? To niedorzeczne.
- Wzruszył ramionami, jakby nie dbał o zdanie Charlotte.
- A tak właściwie, co cię obchodzi nasza książka? – zapytała.
  - Nie potrzebuję rozgłosu. – Odsunął się i kiwnął znacząco kciukiem, na wypadek, gdyby nie zrozumiała przekazu.

Zapytałaby go jeszcze o Cecyli, zioła, o to, czym się zajmował na dalekim krańcu wyspy poza naprawianiem swojego domu po nocy, gdyby nie pies. I chociaż nie wydawał się groźniejszy niż poprzednim razem, wołała nie ryzykować. Leo wyraźnie jej tu nie chciał.

Charlotte nie bardzo wiedziała, jak ich wyminąć. Droga była wąska; gdyby poszła lewą stroną, znalazłaby się zbyt blisko psa. Jeśli prawą – zbyt blisko Cole'a.

Zastanawiała się, co jest bezpieczniejsze, kiedy Leo zapytał z lekkim rozbawieniem:

- Boisz się Niedźwiedzia?
- Kiedyś ugryzł mnie pies. – Nie było sensu zaprzeczać. Zawsze uważała, że lepiej być ostrożnym w kontakcie z nieznanym zwierzęciem. – Ta rasa uchodzi za łagodną, ale on nie wygląda zbyt przyjaźnie.

Mężczyzna dotknął głowy psa opuszkami palca. Najwyraźniej był to jakiś sygnał, ponieważ Niedźwiedź – nagle znudzony – odwrócił wzrok.

Charlotte nie miała pewności, czy znów na nią nie spojrzy i nie zaatakuje. Wybrała prawą stroną, wolno minęła Leo i wróciła tam, skąd przyszła.

– Co zrobiłaś?! – zapytała z niedowierzaniem Nicole.

Siedziały w kuchni i kończyły śniadanie dolewką kawy. Nicole opisała szczególnie po szczególe kolację u McKenziech – towarzystwo było wyśmienite, smażona polędwica wieprzowa z miejscowego gospodarstwa przyprawiona tymiankiem okazała się zadziwiająco dobra, chociaż nie był to jej ulubiony gatunek mięsa, stół zdobiła przepiękna kompozycja z dzikich kwiatów ułożonych w tykwie, o czym Nicole zdążyła już napisać na swoim blogu – i chciała się dowiedzieć, co porabiała Charlotte.

– Wybrałam się do domu Cole’ów.

– Co to znaczy? Poszłaś się rozejrzeć? Zadzwońska do drzwi?!

– Chyba nie mają dzwonka – odparła Charlotte. Siedziała z podciągniętymi nogami, opierając bosc stopy o krawędź krzesła, w dłoniach trzymała kubek. – Dom jest stary i zaniedbany. Leo naprawiał okiennicę. Pomogłam mu.

– Co?!

– Pomogłam mu.

– Leo cię widział? Charlotte, nie powinnaś tam chodźć. Wszycy na wyspie ci to powiedzą. Leo jest niebezpieczny.

Charlotte pamiętała, jak wspinała się po drabinie w środowy wieczór. Mógł ją wtedy zrzucić na ziemię lub dotknąć w niestosowny sposób, lecz tego nie zrobił. Pilnował jej, dopóki nie skończyła pracy, a później się wycofał. Następnego wieczoru był bardziej zdenerwowany, lecz po upływie kilku godzin jego zachowanie nie wydawało się już Charlotte tak wrogie.

– Nie sądzę. Byłam tam już trzy razy...

– Trzy razy?! Kiedy?

Charlotte poczuła lekkie ukłucie winy.

– Przez trzy ostatnie noce. To nic takiego, Nicki. Zwykły spacer. Dom Cole’ów znajduje się po prostu w odpowiedniej odległości od naszego.

– Leo to miejscowy zły chłopiec.

– Już nie jest chłopcem.

– Tym gorzej. Trzy noce, a ty nic mi nie powiedziałaś? Co jeszcze przede mną ukrywasz?

W tym momencie Charlotte poczuła ciężar wyrzutów sumienia. Jak miała odpowiedzieć na tak postawione pytanie?

– Leo ma psa.

– Psa – powtórzyła Nicole, kiwając z namysłem głową. – Nie znosisz psów.

– Tylko dlatego że ugryzł mnie dalmatyńczyk, ale najpierw mój ojciec go kopnął, więc tamten pies myślał, że został zaatakowany, i rzucił się na najsłabszą osobę w zasięgu wzroku, czyli na mnie. Spotkałam kilka miłych psów.

– Pies Cole’a nie może być miły.

– Tego nie wiesz – zwróciła jej uwagę Charlotte. – Kiedy do mnie podszedł, poczułam się zagrożona. Ale nie zaatakował. – Zawiesiła głos. – Czy kiedykolwiek widziałaś Leo z bliska?

– Nie. W dniu przyjazdu widziałam go w miasteczku. Był daleko, ale gdyby wzrok mógł zabijać, padłabym trupem.

Charlotte nie wyczuła w nim morderczych instynktów.

– Mnie nie wydał się taki zły.

– Jak wygląda?

Dopiero teraz się nad tym zastanowiła, przywołując w pamięci obraz Cole’a.

– Męsko.

– No jasne.

– Jest wysportowany.

– Umieśniony?

– Nie, po prostu... gibki.. I czysty – dodała, chociaż sama nie wiedziała, dlaczego akurat to słowo przyszło jej na myśl. Być może dlatego że dawniej nigdy nie był czysty, więc spodziewała się tego i teraz? Przy pracy na dachu zabrudził sobie ręce, ale nie nazwałaby go brudasem.

– Zauważyłaś więcej niż ja – odparła Nicole. – No jasne, że tak, miałaś przecież okazję mu się przyjrzeć. Pamiętasz te jego długie włosy?

– Teraz ma krótkie. Brązowe i lekko przetykane siwizną, chociaż może to tylko blask księżycy tak na nie padał. Ile on ma lat?

– Jest cztery, może pięć lat starszy niż my.

– Czyli przed czterdziestką. To by się zgadzało.

– Co miał na sobie? Kiedy widziałam go w zeszłym tygodniu, był ubrany na czarno.

– Wczoraj chyba też, chociaż to mógł być granat. Miał szorty.

– O rany – wycedziła Nicole. – Pewnie zsuwały mu się z tyłka.

– Wcale nie. Były z nylonu, długie, jak do gry w kosza, i trzymały się na właściwym miejscu.

– Czyli w talii.

– Na biodrach. – Cole ubierał się dość skromnie. – Szczupłych biodrach. Ma umięśnione ramiona. Czym on się właściwie zajmuje, Nicki? Musi coś jeść, więc potrzebuje pieniędzy. Nie sądzę, żeby Cecily zostawiła mu duży spadek, więc z czego żyje?

– Przez pewien czas pracował jako złota rączka – powiedziała Nicole. – Nigdy nie korzystaliśmy z jego usług, bo brzydko pachniał.

Charlotte zareagowała śmiechem.

– Kto tak twierdził?

– Wszyscy.

– No cóż, to się zmieniło. Przynajmniej ja nic nie czułam.

– Nawet jego psa?

– Nawet. Ma krótką sierść.

– Pitbul?

– Nie, jest za duży jak na pitbula. Wabi się Niedźwiedź.

– To by się zgadzało. Możesz mieć przez niego kłopoty, Charlotte – ostrzegła ją Nicole. – Mógłby cię oskarżyć o bezprawne wtargnięcie na jego teren i zmusić nas w sądzie, żebyśmy nie wspomnieli w naszej książce o Cecily. Albo pozwać mojego wydawcę o udział w zyskach.

– Nie zrobiłby tego.

– A jeśli naprawdę mocno zaleziesz mu za skórę – kontynuowała Nicole – może się postarać o zakaz sądowy, żebyśmy nie mogły wydrukować żadnego przepisu z wykorzystaniem jej ziół, a to by oznaczało koniec książki. Obiecuj mi, że będziesz się od niego trzymała z daleka.

– Jest i druga strona medalu – zauważyła Charlotte, myśląc o aparacie fotograficznym, o którym jeszcze nie wspomniała. – A jeśli uda mi się zakraść do jego ogrodu?

Nicole wyciągnęła rękę nad stołem i chwyciła jej dłoń.

– W jego ogrodzie nie ma nic, czego nie mogłybyśmy znaleźć gdzie indziej.

– Owszem, jest... – Możliwość zrobienia świetnych zdjęć, chciała powiedzieć Charlotte, ale Nicole nie pozwoliła jej dokończyć.

– Zioła? Rosną na całej wyspie. Nie potrzebujemy Leo Cole’a. Obiecujesz, że nie będziesz się do niego zbliżać?

– Są jeszcze korzenie.

– Masz na myśli pasternak, rzepę i buraki?



– Nie.

Charlotte w porę ugryzła się w język. Argument, że rośliny Leo kontrolowały swoje potomstwo, był idiotyczny i lepiej było nie wspominać o tym Nicole. Tylko jeszcze bardziej by się zdenerwowała. Poza tym Charlotte sama nie była pewna, czy właśnie to miała na myśli, mówiąc o korzeniach. To słowo po prostu jej się wyrwało, tak jak wcześniej „czysty”.

– Obiecujesz, Charlotte? – nie ustępowała Nicole. – Zrobisz to dla mnie?

\*

Charlotte przytaknęła. Nie była to co prawda przysięga na Biblię, ale i tak nie mogła się tego dnia wybrać do Cole’ów. Weekendy na wyspie dało się spędzać na wiele różnych sposobów. Niektóre wiązały się z jedzeniem, inne ze sportem, wyprzedażami garażowymi lub innymi rozrywkami. W ten weekend rozpoczynał się sezon letni, a ponieważ Nicole, dla dobra książki, chciała się spotkać z jak największą liczbą mieszkańców Quinnie, miały mnóstwo planów.

Zaczęły od wyprzedaży w bibliotece, na którą przyniosły torby pełne znalezionych w domu książek. Nicole czekało jeszcze wiele podobnych remanentów, ale z tym uwinęły się na tyle szybko, że emocjonalny wysiłek okazał się niewielki.

Z biblioteki przeniosły się na przyjęcie z grillem organizowane na pomoście, a właściwie na dwunastometrowej łodzi należącej do Susan Murray. Susan była dyrektorem zarządzającym firmy software’owej w Portland, co oznaczało, że chociaż nie mieszkała na wyspie przez okrągły rok, mogła tu wpadać tak często, jak tylko chciała. Była urodzoną menedżerką i uwielbiała imprezować, ale nie miała w sobie ani krztyny pretensjonalności. Jej łódź miała już swoje lata, a serwowane przez Susan menu jak zawsze składało się z hamburgerów, hot dogów, frytek i herbatników ze stopionymi piankami. Przepis na ciasteczka musiał się znaleźć w książce, podobnie zresztą jak postać Susan.

Po lunchu przyszła kolej na grę w softball na szkolnym boisku. Budynek szkoły był niewielki, prowadzono w nim zajęcia dla przedszkolaków i klas od pierwszej do piątej (starsze dzieci musiały jeździć do szkoły na kontynent), za to boisko stanowiło największą otwartą przestrzeń na całej wyspie. Rozgrywano jednocześnie dwa mecze, w jednym z nich uczestniczyła Nicole, w drugim Charlotte, a po wszystkim podano zimne napoje.

Wróciły do domu spocone, więc wzięły kąpiel, a potem siedziały na tarasie, owinięte ręcznikami, dopóki słońce nie zaczęło zachodzić na horyzont. Wtedy znów pojechały do miasteczka i zamówiły sałatki w Island Grill. W tym samym czasie w lokalu zjawiono się sześcioro sezonowych mieszkańców wyspy, żeby zjeść kolację. Później Nicole i Charlotte wybrały się do kościoła na wieczór filmowy. W tym tygodniu wyświetlano *Titanica*, którego wszyscy już widzieli, jednak specyficzna atmosfera – zapach gorącego popcornu wsypywanego do torebek przez pastora i jego żonę tak szybko, jak tylko pozwalała im na to maszynka do prażenia kukurydzy, warkot wentylatorów pod sufitem katedry i skrzypienie starych drewnianych krzeseł – miała nieodparty urok, któremu mało kto zdołał się oprzeć.

To właśnie w kościele organizowano wszystkie większe spotkania na wyspie. W sobotni wieczór oglądano film, w niedzielny poranek odbywała się msza, a po niej z szybkością, która nigdy nie przestała zadziwiać Charlotte, rozpoczynał się Brunch u Bailey’ów.

Kościół pękał w szwach od mieszkańców wyspy w wieku od kilku miesięcy do dziewięćdziesięciu lat, od osób przyjeżdżających tu regularnie co weekend, wczasowiczów i jednorazowych gości. Charlotte i Nicole przyszły tu ze względu na książkę i dla zabawy. Charlotte miała słabość do mniej konwencjonalnych mieszkańców Quinnepeague i chociaż niewielu z nich interesowało się jedzeniem, w związku z czym nie mogli zostać bohaterami

książki, pamiętała ich dobrze i chętnie odnowiła dawne znajomości.

Jedzenie podano na długich stołach. Godzinę wcześniej parafianie zajęli swoje miejsca, wypełniając szczerlnie rzędy krzeseł. Sposób podania potraw nie nadawał się do tego, żeby opisać go na blogu – królowały papierowe i plastikowe naczynia – a mimo to w żadnej ze swoich podróży Charlotte nie spotkała się z równie apetycznym poczęstunkiem. Były tam najprzeróżniejsze kisze, zapiekanki z francuskich tostów, ryba w panierce i jej ulubione rybne curry, a także mus z tuńczyka, ciasteczka łososiowe i kotleciki krabowe. Były również chowdery, podawane na wyspie przy każdej okazji, nie mówiąc już o przepysznych bułeczkach, rogalikach z żurawiną i muffinkach z tuńczykiem, kompocie, który bardzo lubiła, i czekoladowych ciągutkach z migdałem w środku, zapakowanych w papierki i ułożonych w misie. Wiedziała, że składniki tych ostatnich pochodziły z odległych części świata, jednak poza nimi prawie wszystko – nie licząc kawy – zostało złowione lub zebrane na wyspie.

Charlotte krążyła w tłumie, gawędząc z ludźmi, których nie widziała od dziesięciu lat. Umawiała się na wywiady, często razem z Nicole, która próbowała wszystkich dań, nieznacznie kręcąc głową lub potakując. W ten sposób dawała przyjaciółce znać, z którą z osób warto porozmawiać, a z którą nie.

Bawiły się tak dobrze, że zostały długo po tym, jak ludzie zaczęli się rozchodzić do domów. Przyjemny wieczór niespodziewanie się zakończył, kiedy w drodze powrotnej rozdzwonił się telefon Nicole. Był to Julian, który próbował się z nią skontaktować od kilku godzin. Naturalnie Nicole nie mogła usłyszeć dzwonka wśród panującego w kościele gwaru.

Julian miał problemy z oddychaniem. Był to jeden z rzadziej występujących skutków ubocznych leku, który właśnie przyjmował, i zazwyczaj szybko mijał. Tym razem było inaczej. Lekarz chciał zbadać Juliana w poniedziałek rano. Zamiast lecieć na południe, Julian postanowił wrócić pociągiem do Nowego Jorku i zasugerował Nicole, żeby się tam spotkali.

\*

Charlotte odwiozła Nicole do portu, skąd miała popłynąć łodzią do Rockland, pojechać taksówką do Portland i tam wsiąść w samolot do Nowego Jorku. Choć Nicole zdradziła jej niewiele szczegółów, Charlotte wyczuła ciężar jej troski.

– Zadzwonisz do mnie, gdy już się czegoś dowiesz? – zapytała, wyciągając z jeepa torbę Nicole.

– Będzie ciężko. Julian nie wie, że ci powiedziałam.

– Wiesz, że nie będę mogła się na niczym skupić. Wyślij mi SMS-a, albo zostaw Juliana na chwilę samego i zadzwoń.

– Spróbuję – obiecała Nicole i uścisnęła przyjaciółkę.

\*

W domu Charlotte nie mogła sobie znaleźć miejsca. Starła się odgonić natrętne myśli, ale trudno było się nie zastanawiać, co by było gdyby. *Salt* okazał się w tym pomocny; bohater książki naprawiał łódź, co wydało się Charlotte interesujące. Czytanie wymagało jednak skupienia, a ona była zbyt rozkojarzona.

Przez chwilę robiła na drutach. Przepyszne czekoladowe ciągutki z migdałem okazały się dziełem kobiety, która od niedawna mieszkała na Quinnepeague i prowadziła w miasteczku sklep z włóczkami. Charlotte zamierzała go odwiedzić, dokończyć pracę nad rękawem swetra i przestać się czuć jak kompletne beztalencie. Kończąc żeberkowany mankiet, popełniła błąd we wzorze Aran, spruła dwa rzędy, wydziergała je ponownie i odkryła, że trzy rzędy wcześniej opuściła oczko.

Sfrustrowana odłożyła robótkę i wyszła z domu. Przespacerowała się plażą, zamiotła taras, otworzyła laptopa i pierwszy raz od wielu dni sprawdziła, co słychać u jej znajomych na Facebooku i Twitterze.

Czekała na wschód słońca, lecz kiedy wreszcie nadszedł, Charlotte smacznie spała.

## Rozdział 8



Tym razem Leo Cole znalazł sobie inne zajęcie niż naprawa okiennic. Zbliżając się do jego domu, Charlotte od czasu do czasu słyszała trzask, jakby uderzał czymś o metal. Nie wiedziała, co to za dźwięk, dopóki nie minęła zakrętu i nie zobaczyła oświetlonego blaskiem reflektora spadzistego dachu. Stały przy nim dwie drabiny, pomiędzy którymi rozciągała się deska, a na niej stał Leo, odrywał gonty i wrzucał je, jeden po drugim, do ustawionego na dole kontenera.

Charlotte rozejrzała się za psem, lecz nigdzie go nie zobaczyła, więc wolno podeszła do Leo. Kiedy już znalazła się dostatecznie blisko, założyła ręce do tyłu i przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu. No tak, mówiła mu, że gonty są luźne. Jednak patrząc, jak pracuje, doszła do wniosku, że wiedział o tym już wcześniej. Sposób, w jaki je odrywał, świadczył o doświadczeniu. Jego ruchy były metodyczne i pewne. Od czasu do czasu stękał z wysiłku, kiedy przyszło mu oderwać wyjątkowo oporny gont, lecz poza tym był obojętny.

W pewnej chwili przerwał pracę, otarł pot z czoła, zaczepił łom o kolejny gont i sięgnął po butelkę wody. Wtedy właśnie dostrzegł Charlotte, chociaż gdyby bacznie mu się nie przyglądała, nie zorientowałaby się, że ją zauważył. Nawet nie drgnął ani też nie odwrócił się w jej stronę, po prostu zerknął w bok, popijając wodę. Kiedy skończył, wytarł usta wierzchem dłoni.

– Dlaczego nie dziwi mnie twój widok? – mruknął na tyle głośno, żeby go usłyszała, i wrócił do pracy.

W jego głosie brzmiała kpina, ale nie złość.

– Wiedziałeś, że masz problem z dachem.

– Tak. Zamówiłem nowe gonty miesiąc temu.

– Dlaczego pracujesz w nocy?

Cisza.

– Dlaczego chcesz wiedzieć? – zapytał po chwili.

– Interesują mnie ludzie. – Wzruszyła ramionami. – A może po prostu się nudzę.

Leo oderwał jeszcze kilka gontów i zrzucił je na ziemię, zanim odpowiedział:

– W nocy nie ma słońca, ani wiatru.

– Kiedy śpisz?

Spadł kolejny gont.

– Kiedy jestem zmęczony.

– Z badań wynika, że im mniej snu, tym większe ryzyko zawału.

– Badania kłamią – odparł Cole. – Bezsenność jest wywołana stresem, który podnosi ciśnienie, co prowadzi do zawału. Ja nie jestem zestresowany.

Mogłaby się z nim spierać, gdyby nie fakt, że to, co mówił miało sens. Może rzeczywiście pracował w nocy, a spał w dzień.

– Nie masz stałej pracy?

– Nie – odparł, nie przerywając roboty.

– Skąd wzięłeś pieniądze na gonty?

Popatrzył na nią z rozdrażnieniem.  
– A co cię to obchodzi?  
– Po prostu jestem ciekawa. – Rozejrzała się w poszukiwaniu skrzynki na narzędzia. –  
Jeśli masz drugi łom, mogę ci pomóc.  
Leo prychnął.  
– W tym stroju?  
– Jestem ubrana tak jak ty.  
Miała na sobie koszulkę na ramiączkach i szorty. Jego koszulka miała wystrzępiony dół,  
a spodenki były ciemne i luźne.  
– Nie masz roboczych butów.  
To akurat była prawda, lecz adidas Charlotte miały przyczepną podeszwę. Podniosła  
stopę, żeby mu to udowodnić, a kiedy zajął się kolejnym gontem, powiedziała:  
– Naprawdę mogę ci pomóc.  
– Zrywaniem gontów też się kiedyś zajmowałaś?  
– Owszem.  
Pracował jeszcze przez chwilę, po czym rzucił:  
– Mam tylko jeden łom. – Przesunął się i dodał: – Ale jeśli chcesz się na coś przydać,  
zbierz gonty, które upadły obok śmietnika.  
Reflektor oświetlał dach, więc ziemia była pogrążona w ciemności. Dopiero kiedy oczy  
Charlotte się przyzwyczaiły, zobaczyła rozrzucone przy domu gonty.  
Nie ruszyła się jednak z miejsca. Praca na drabinie to jedno, a czołganie się po ziemi  
z gołymi rękami i nogami – drugie.  
– Gdzie się podział twój pies? – zapytała.  
– Buszuje w krzakach.  
– Zaatakuj mnie?  
– Nie, jeśli pobierasz gonty i sobie pójdiesz.  
Licząc na to, że Leo potrafi zapanować nad psem, Charlotte zebrała naręczę gontów  
i wrzuciła je do śmietnika. Otrzeputując ręce, zawołała:  
– Co jeszcze mogę zrobić?  
– Odsuń się od kontenera, bo mogę cię trafić.  
– Nie trafiłbyś we mnie.  
Cole wydał z siebie odgłos podobny do śmiechu.  
– Gdybym starannie celował, nie miałabyś czego zbierać.  
Słuszna uwaga. Charlotte odsunęła się od kontenera, skrzyżowała ręce na piersi  
i przyglądała się, jak Leo pracuje. Zaczął się bardziej starać, bo wszystkie gonty lądowały teraz  
w śmietniku i nie miała nic do roboty. Po chwili usiadła na ziemi.  
– Obiecałaś, że sobie pójdiesz – burknął.  
– Ty to powiedziałeś, nie ja. – Nie zaspokoiła jeszcze swojej ciekawości, a psa jak na  
razie nie było widać. – Jak to jest trafić za kratki?  
Cole spiorunował ją spojrzeniem, ale nie zawołał Niedźwiedzia.  
– Głupie pytanie. Jest beznadziejnie. – Zerwał jeszcze kilka gontów i cisnął je do  
kontenera z większą siłą, niż było potrzeba. Jeden trafił na ziemię, ale Leo chyba tego nie  
zauważył. – Skąd wiesz, że siedziałem?  
– Ludzie gadali – odparła wyczekująco Charlotte, wstając z ziemi. Kiedy Leo cisnął  
następny gont, schyliła się po ten, który nie dosięgnął celu, i wrzuciła go do śmietnika.  
– Byłaś tu wcześniej?  
– Ranisz moje uczucia. Przez siedemnaście lat spędzałam na wyspie wakacje. Widocznie

nie zrobiłam na tobie wrażenia, skoro mnie nie zapamiętałeś.

Leo wyciągnął ramiona i sięgnął do położonych wyżej gontów.

– Niewiele pamiętam z dawnych czasów.

– Czy to przez ziółka Cecily?

Ściskając łom, Leo posłał Charlotte krzywe spojrzenie.

– Jednym z powodów, dla których pracuję w nocy, jest cisza. Jeśli chcesz tu zostać, musisz się zamknąć.

Przynajmniej nie kazał jej się wynosić, a to już postęp.

– Potrafię milczeć.

– Więc milcz, proszę. – Przesunął się w prawo, żeby zająć się ostatnim fragmentem dachu. – Poza tym mylisz się. Nie byłem wiecznie naćpany, tylko wkurzony.

– Poważnie? – Charlotte się zamyśliła. Pamiętała jego zawsze skwaszoną, a nie gniewną, minę. – Na co zmarła Cecily?

Leo pracował jeszcze przez chwilę. Charlotte doszła do wniosku, że zignorował jej pytanie, ale przeprowadzała już wywiady z niechętnymi osobami. Chciała go zapytać o coś łatwiejszego, kiedy zdecydował się odpowiedzieć:

– Na zapalenie płuc.

Charlotte była zaskoczona. Cecily powinna wiedzieć, jak wyleczyć zapalenie płuc.

– Myślałam, że na raka.

– Owszem, trafiła do szpitala z powodu raka, a później przyplątało się zapalenie płuc.

Charlotte słyszała już podobne historie. Nagle Leo wydał jej się bardziej ludzki.

– Przykro mi.

– Nie tak jak mnie – odparł i skrzywił się, natrafiwszy na oporny gont. – To ja zaciągnąłem ją do szpitala.

Na Quinnepeague nie było szpitala, musiało więc chodzić o szpital na kontynencie. W głosie Cole'a brzmiało poczucie winy.

– Dlatego zostałeś tutaj, żeby zająć się jej domem i ogrodem? – zapytała łagodnie Charlotte.

– Między innymi.

– To znaczy?

Popatrzył na nią, znowu rozgniewany.

– Nie masz innych zajęć?

– Właściwie to nie. – Siedziała bez ruchu i zrobiło jej się chłodno, rozwiązała więc rękawy bluzy przewiązanej w pasie. – Nicole wyjechała do Nowego Jorku. Zostałam sama w domu. – Okryła bluzą ramiona.

– Chyba nie powinnaś mi tego mówić – stwierdził.

– Dlaczego?

– Jestem niebezpieczny.

– Tak słyszałam – przyznała z wahaniem. Podczas tych czterech spotkań z Cole'em nie wydarzyło się nic niepokojącego.

– Ty tak nie uważasz?

Charlotte się uśmiechnęła.

– Znam karate.

Drgnięcie jego policzka mogło oznaczać uśmiech lub niechętny grymas. Leo zwiesił głowę, lecz po chwili się wyprostował, upił łyk wody i zszedł z drabiny.

Charlotte podniosła się z ziemi.

– Niedługo skończysz – powiedziała, spoglądając na kilka ostatnich niezerwanych

gontów. – Co wtedy?

Leo stanął w odległości wyciągniętego ramienia od Charlotte. Wydał jej się wyższy niż poprzedniego wieczoru, kiedy minęła go na podjeździe.

– Gdybyś kiedykolwiek kładła dach, tobyś wiedziała – zauważył i lekko klepnął dłonią w udo, co wywołało szelest w pobliskich krzakach.

Leo powinien teraz pokryć dach papą. Jednak na widok psa Charlotte tylko się uśmiechnęła, odwróciła na pięcie i odeszła.

Znajomość karate mogłaby ją obronić przed człowiekiem, ale przed psem? Nie wiedziała, który z nich – pies czy właściciel – jest bardziej niebezpieczny, i czy w ogóle ma się czego bać.

Jedno nie ulegało wątpliwości: żaden z nich nie był tak straszny jak choroba Juliana, o której myślała tym intensywniej, im bliżej była domu.

\*

Nicole wiedziała, co robić. Po wylądowaniu na LaGuardii pojechała taksówką do hotelu, w którym zawsze zatrzymywała się z Julianem. Hotel znajdował się w odległości krótkiego spaceru od szpitala, jednak tego wieczoru nawet tak niewielki wysiłek okazał się ponad jego siły. Duszności? Ucisk w klatce piersiowej? Były to możliwe skutki uboczne przyjmowania leków, lecz także klasyczne objawy zawału. Nicole podejrzewała, że Peter Keppler kazał Julianowi udać się prosto na oddział ratunkowy szpitala w Filadelfii, lecz ten odmówił.

Chociaż powtarzała sobie, że Julian jest lekarzem i odróżniłby reakcję na lek od zawału, była przerażona tym, co zastanie w hotelu.

Julian zameldował się wcześniej i przesłał żonie numer pokoju SMS-em, więc zaciągnęła walizkę prosto do windy. Po przejechaniu ośmiu pięter, nerwowym krokiem przemierzyła korytarz i delikatnie zapukała do drzwi. Modląc się, by jej mąż nadal żył, zaczęła nasłuchiwać. Julian był szczupłym mężczyzną i lubił chodzić boso, więc poruszał się bezszelestnie. Na dźwięk przesuwanej zasuwki i widok otwieranych drzwi Nicole załała falą ulgi.

Julian był błydy, ale nie siny i chociaż dało się po nim zauważyć zmęczenie, stał wyprostowany.

Charlotte wślizgnęła się do pokoju, zamknęła za sobą drzwi i objęła męża za szyję, ciesząc się, że nic mu nie jest. Gdy odwzajemnił jej uścisk, z ulgą pomyślała, że jednak jej potrzebuje.

W końcu się odsunęła i przyjrzała badawczo jego twarzy.

– Jak się czujesz?

– Lepiej.

– Ale nadal coś ci dolega: duszność czy ucisk w klatce piersiowej?

– I jedno, i drugie, ale naprawdę jest już lepiej. Co powiedziałaś Charlotte? – zapytał, a Nicole miała ochotę krzyknąć, że to nie o Charlotte powinien się w tej chwili martwić, tylko o siebie.

Julian miał jednak obsesję na punkcie dyskrecji, a skoro martwił się jej przyjaciółką, przynajmniej w tej jednej kwestii mogła go uspokoić.

– Powiedziałaś jej, że zmarł jeden z twoich kolegów i że chcę być z tobą na pogrzebie. Nauczyłam się przekonująco kłamać. – Czy nie to właśnie robiła? O tak, była świetną kłamczuchą. Gdyby Julian podejrzewał, że jego żona nie mówi prawdy, wypytywałby dalej, lecz on zapytał po prostu:

– Miałas przyjemny lot?

– Chyba tak. Nie zastanawiałam się nad tym. Myślałam tylko o jednym: że wejdziesz tu i...

– Nie mów tego, skarbie.

– Wiem, wiem – szepnęła ze skruczą. – Obudziłam cię? – Chociaż był ubrany, miał zmierzwiłone włosy i ciężkie powieki.

Julian pokręcił głową, zrobił minę, która miała świadczyć o tym, że nie zajmował się niczym ważnym, co pewnie oznaczało, że leżał na łóżku, wpatrywał się w sufit i zamartwiał tym samym, czym zamartwiała się jego żona.

– Dziękuję, że przyjechałaś – powiedział.

Nagle, nie wiedzieć czemu, Nicole ogarnęła wściekłość. Była jedynaczką, więc w dzieciństwie pobłażano jej na każdym kroku. Nie musiała się gryźć w język i chociaż życie nauczyło ją samokontroli, w chwilach silnego zdenerwowania nadal traciła nad sobą panowanie. Po długiej podróży, godzinach zadręczania się i miesiącach stresu słowa „dziękuję, że przyjechałaś” uderzyły w niewłaściwą strunę.

– A gdzie miałabym teraz być?! – krzyknęła. – Jesteś moim mężem. Powinnam być z tobą w Filadelfii. Troszczysz się o mnie, Julianie. Czy byłoby takie straszne, gdybym raz na jakiś czas to ja zaopiekowała się tobą?

– Nie możesz nic zrobić – powiedział Julian, odsuwając się od żony.

– Owszem, mogę – odparła Nicole. Próbowwała sobie tłumaczyć, że to nie jest odpowiedni moment, skoro Julian od dłuższego czasu czuje ucisk w piersi, tylko że to był odpowiedni moment. – Odsunąłeś się od wszystkich, którzy coś dla ciebie znaczą.

– Nieprawda. Wczoraj rozmawiałem z moimi rodzicami i regularnie kontaktuję się z przyjaciółmi.

– Ale nie mówisz im prawdy. Co my robimy? Jestem twoją przykrywką, Jules. Oboje wiemy, że jeśli jutro spotkamy w szpitalu twojego kolegę, będziemy udawać, że to ja jestem pacjentką. W porządku, jeśli masz się dzięki temu lepiej poczuć. Tylko że ja nie czuję się lepiej, bo jestem twoją żoną i ode mnie też się odsunąłeś. Czy tylko tym dla ciebie jestem: przykrywką?

Julian przyglądał się jej w milczeniu. Uspokój się, tylko pogarszasz sprawę, nie susz mi głowy, nie unos się. Nicole słyszała wszystkie jego niewypowiedziane uwagi.

Mąż odwrócił się do niej plecami, rozpiął koszulę, zdjął skarpetki i spodnie. Najczęściej w tym momencie zdejmował bokserki, odwracał się do żony i jego pożądanie widać było gołym okiem. U niektórych pacjentów SM pogarsza sprawność seksualną, ale nie u Juliana, a jednak on od wielu tygodni nie dopuszczał swoich potrzeb do głosu.

Nie mogli się kochać, skoro ścisła go w klatce piersiowej, niezależnie od tego, jak bardzo starał się zbagatelizować problem.

Patrząc na rozbierającego się Juliana, Nicole wspominała czasy, kiedy seks był dla nich czymś oczywistym, kiedy wystarczyło, że nazwał ją „maleńka” – cóż za szowinistyczne słowo w ustach naukowca! – by rozpałcić płomień.

Nicole czuła pożądanie.

Jednak tego wieczoru Julian nie zdjął bokserów. Położył się do łóżka, wyłączył lampkę nocną i zamknął oczy.

\*

Peter Keppler był skrupulatny. Nicole zawsze to w nim ceniła. Po całym dniu badań miał dostatecznie dużo danych, żeby podjąć mądrą decyzję. Nicole i Julian siedzieli w jego gabinecie, podobnym do sali badań. Nicole nie miała powodów do narzekania – jej zdaniem Julian wyglądał lepiej niż poprzedniego dnia. Zawsze tak było w towarzystwie Petera. Wreszcie mógł przenieść ciężar odpowiedzialności na cudze barki. Poza tym dobrze przespał noc, przytuliwszy się do żony. Nicole nie wiedziała, czy zrobił to świadomie, lecz i tak się cieszyła.

Starala się nie denerwować, kiedy Peter przeglądał wyniki badań. Dobre wieści były



takie, że sercu Juliana nic nie dolegało. Codzienne zapiski prowadzone przez niego w Filadelfii wykazały jednak, że występowanie objawów choroby wcale się nie zmniejszyło.

– Zmienimy kombinację leków – zdecydował Peter. – Nie podobają mi się te efekty uboczne.

– Mniejsza o efekty uboczne – odparł Julian tonem eksperta. – Martwi mnie nieskuteczność tych leków. Po trzech miesiącach powinna być widoczna poprawa. Skoro nie działają na mnie nawet najnowocześniejsze i najlepsze leki, to oznacza, że jestem w poważnych tarapatach.

Neurolog wydał z siebie krótki dźwięk, coś pomiędzy chrząknięciem i śmiechem.

– Lekarze to najgorsi pacjenci. Zawsze wiedzą lepiej.

– Wiesz, że mam rację – nie ustępował Julian. – Dłonie drżą mi coraz częściej.

A drętwienie kończyn? Pół biedy, kiedy siedzę, ale co się stanie, kiedy będę akurat szedł z kolegami?

Peter uważnie mu się przyglądał.

– Przykro mi, że nie mogę cię zoperować, ale nie na tym polega leczenie SM. Twój stan jest stabilny. Jeden nowy objaw nie ma większego wpływu na terapię.

Nicole zgadzała się z lekarzem. Z tego, co czytała, wynikało, że potrzeba znacznie więcej niż trzech miesięcy, żeby lek na tę chorobę zaczął przynosić efekty.

Julian był innego zdania.

– Jeden nowy symptom to o jeden za dużo – powiedział. – Mój stan się pogarsza. To moje życie i widzę, że zmierza w niewłaściwym kierunku.

– Cierpisz na SM – przypomniał Peter. – Gdybyś nie przyjmował leków, objawy choroby byłyby znacznie dotkliwsze. – Nicole w myślach przyznała mu rację, a neurolog mówił dalej: – Z niektórymi pacjentami pracowałem przez dziesięć lat, zanim znaleźliśmy drogę do remisji. Ty i ja szukamy jej dopiero od czterech.

– Zmierzamy w złym kierunku – powtórzył z uporem Julian.

\*

Charlotte przez cały ranek porządkowała zbieraninę kubków, talerzy nie od kompletu, serwetek, obrusów piknikowych i plastikowych sztućców. Nicole machnęła ręką na zawartość kredensu – zawsze wołała porządną zastawę od naczyń jednorazowych, więc miała zamiar uprzątnąć cały ten majdan. Charlotte doszła do wniosku, że przynajmniej w tym może jej pomóc.

Zapełniwszy dwie wielkie torby, zawiozła je do kościoła. Ani przez chwilę nie rozstawała się z telefonem, lecz Nicole nie zadzwoniła. Z aparatem leżącym na tylnym siedzeniu samochodu pojechała na farmę Anny McDowell Cabot, która hodowała kury dostarczające jajka do wielu wyspiarskich specjalistów. Anna była pulchną kobietą, miała kaczki chód i lubiła gdakać jak jej kury, lecz to gdakanie było całkiem ciekawe. Jako rodowita wyspiarka wiedziała o Quinipeague więcej niż którykolwiek z jej mieszkańców. Trajkotała o zmianach zachodzących na wyspie i – ponieważ Charlotte uparcie sprowadzała rozmowę na właściwe tory – wpływie, jaki owe zmiany wywarły na lokalną kuchnię.

Anna uważała Cecily Cole za świętą, gdyż to ona nauczyła ją leczyć zżagę za pomocą ziół, ale kiedy Charlotte wspomniała o jej synu, nabrała wody w usta.

– Młody Cole ceni sobie prywatność.

– Niegrzeczny z niego chłopak.

– Niegrzeczny? – zastanowiła się Anna. – Raczej niezrozumiany.

– Przez kogo?

– Swego czasu przez wszystkich. Był nieszczęśliwym dzieckiem, a teraz po prostu trzyma

się na uboczu.

- Czym się zajmuje?
  - Och – kobieta westchnęła przeciągle – tym i owym.
- Charlotte niewiele to powiedziało.
- Nadal uprawia zioła Cecily.
  - Leo tego nie robi – odparła z chytrym uśmiechem Anna. – Te zioła rosną same.
  - A on je sprzedaje?
  - Nic mi na ten temat nie wiadomo.
  - W takim razie dostarcza je potrzebującym, tak jak kiedyś Cecily?
  - Pewnie tak.
  - W zamian za jedzenie?
- Anna zmarszczyła czoło.
- Skąd to pytanie?

Charlotte nie chciała sugerować, że kieruje się osobistymi pobudkami, skoro nie brakowało jej tych zawodowych.

– Cecily nie żyje od pięciu lat, a jej zioła nadal mają się świetnie. Zbieramy z Nicole materiały do książki kucharskiej. Jak mogłabym nie zapytać o zioła?

– Wiesz co mówią o ciekawości i piekle? – zachichotała farmerka.

Oczywiście, że wiedziała. Bob Lilly ostrzegął ją, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła, chociaż bardzo lubił z nią rozmawiać i nigdy nie odmówił odpowiedzi na żadne z jej pytań. Spacerując i gawędząc z Anną, Charlotte zrobiła mnóstwo zdjęć i była zadowolona z przeprowadzonego wywiadu. Kobieta dostarczyła jej istotnego dla książki ogólnego zarysu wyspiarskiej kuchni. Pozostałe osoby z listy mogły dopowiedzieć Charlotte szczegóły.

Opuszczała farmę Cabotów pełna entuzjazmu. Chcąc się nim podzielić z Nicole, wysłała jej krótki SMS. Kiedy nie doczekała się odpowiedzi, ogarnął ją niepokój i spróbowała zadzwonić, lecz przyjaciółka nie odebrała telefonu.

\*

Dopiero późnym popołudniem, kiedy już wrócili do hotelu, żeby się spakować, Nicole mogła zadzwonić do Charlotte. Nie chciała pisać SMS-a; wolała usłyszeć jej kojący głos. Julian poszedł wziąć prysznic – powiedział, że chce z siebie zmyć zapach szpitala. Nicole stanęła w najdalszym kącie sypialni i pochyliła się nad telefonem, nie odrywając wzroku od drzwi łazienki.

– To ja – powiedziała przyciszonym głosem. – Nie mogę długo rozmawiać. Julian bierze prysznic. Jedziemy na LaGuardię, żeby złapać samolot do Chicago.

– Chicago? – zaniepokoiła się Charlotte. – A co z Raleigh-Durham?

Nicole wreszcie mogła się z kimś podzielić swoją frustracją.

– Odłożyliśmy to na kilka dni. Ja też nie jestem zachwycona z powodu Chicago.

Z Julianem wszystko dobrze. To nie był zawał, tylko problemy z lekami. Jego lekarz chce zmienić dawki i poczekać, aż terapia zacznie działać, ale mój mąż jest niecierpliwy. Lecimy do Chicago na konsultację.

– Czyżby w Nowym Jorku nie było innych specjalistów?

– Są, ale Julian zna różnych lekarzy i wie, że ten, do którego lecimy, wypróbowuje rozmaite terapie.

– Jakiego rodzaju? – zapytała Charlotte z jeszcze większym niepokojem, ale nawet ten niepokój podzielała uspokajająco na Nicole, która szukała u innych potwierdzenia własnych lęków.

– Ten lekarz wierzy w skuteczność przeszczepu komórek macierzystych. – Na sam dźwięk tych słów Nicole przewróciło się w żołądku. Przycisnęła dłoń do brzucha, żeby się uspokoić. – Julian jest gotów spróbować wszystkiego, jeśli istnieje chociaż cień szansy, że kuracja zadziała. Śmiertelnie mnie to przeraża, Charlotte, ale widzę, że Julian jest zdesperowany. – Szum prysznicza zamilkł. Nicole wyprostowała się i rzuciła do słuchawki: – A więc wywiad z Anną się udał?

– Julian chce sięgnąć po radykalne środki? – rozległ się w telefonie głos Charlotte, lecz zanim Nicole zdążyła odpowiedzieć, Julian otworzył drzwi łazienki. Wycierając się ręcznikiem, wszedł do sypialni i posłał żonie pytające spojrzenie.

– Właśnie mówiłam Charlotte, że nie wrócę wieczorem – wyjaśniła Nicole.

Charlotte głośno westchnęła.

– W porządku. No cóż, dostałaś mojego SMS-a. Anna okazała się świetnym rozmówcą.

– Dała ci przepis na zapiekankę jajeczną? – zapytała beztrosko Nicole. – Właściwie nie wiem, dlaczego ją tak nazywa, skoro najważniejsze składniki to szynka, cukinia i grzyby, ale trzeba przyznać, że niesamowicie ją przyprawia. Podała ci listę ziół?

– Tak.

– Świetnie. Jak tylko wrócę, wypróbuję jej przepis. – Charlotte nie mogła się już tego doczekać, i nie miało to nic wspólnego z jedzeniem. Jej przyjaciółka potrzebowała wytchnienia od kłopotów. – Umówiłaś się na wywiad z Melissą Parker? – zapytała Nicole.

Melissa zaopatrywała w ciasta Chowder House, Island Grill i Quinnie Café. Jej sylwetka musiała się znaleźć w książce, zresztą Nicole przekazała Charlotte listę przepisów Melissy, które chciała w niej umieścić.

– Jutro – odparła Charlotte. – A więc lecicie jeszcze dzisiaj?

– Tak. Rodzina przeżywa teraz ciężkie chwile. – Nicole powróciła do swojego fałszywego alibi. – Ugotuję im trochę jedzenia, na pewno się przyda.

– Jak długo zostanieie w Chicago?

Julian odstawił szkodliwy lek i wiedział, że jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo, więc nie powinien zabawić w Chicago dłużej niż jeden dzień. Będzie wolał wrócić do Duke, zanim jego koledzy zaczną coś podejrzewać. Poza tym konsultacja miała być czysto informacyjna. zaproponował nawet, że poleci sam, ale wtedy Nicole martwiłaby się, że ominie ją coś ważnego. Zależało jej na Julianie i chciała usłyszeć każde słowo lekarza.

– Przylecę w środę – obiecała. – Poradzisz sobie beze mnie?

## Rozdział 9



Charlotte przyciskała telefon do brzucha jeszcze długo po zakończeniu rozmowy. Nie tylko Nicole się bała. Spośród eksperymentalnych kuracji leczących SM przeszczepy komórek macierzystych wydawały się najbardziej obiecujące, szczególnie przeszczep komórek macierzystych z krwi pępowinowej. Pochodzą one z krwi, która pozostaje w pępowinie po jej odcięciu, a następnie po odsączeniu trafia do banku krwi, gdzie się ją zamraża i przechowuje na wypadek, gdyby była potrzebna w przyszłości. W przeciwieństwie do komórek macierzystych pochodzących z embrionów, ta metoda nie wzbudzała wątpliwości natury etycznej. Badania laboratoryjne i szpitalne przeprowadzane na całym świecie dowodziły, że komórki macierzyste z krwi pępowinowej mają zdolność odradzania się w organizmach chorych osób i ich leczenia.

Takie były fakty. Nicole z pewnością je znała.

Charlotte wiedziała jednak coś, o czym jej przyjaciółka – i Julian – nie mieli pojęcia. Skutki wyznania im prawdy mogłyby się okazać katastrofalne.

Przez chwilę siedziała na ławce na plaży, zadręczając się tą myślą. Ciepłe oceaniczne powietrze rozwiewało jej włosy i pieściło skórę. Obserwowała mewę nurkującą w płytkiej wodzie za zdobyczą, a później parę bojowników przerzucających kamyki w poszukiwaniu krabów. Powtarzała sobie, że morze jest wieczne. Życie płynęło bezustannie, niezależnie od doświadczanych przez ludzi tragedii.

Niewielka to pociecha.

Charlotte postanowiła sobie poprawić humor i wybrała się do Chowder House na bułkę z homarem i frytki. Po powrocie do domu poszła na plażę, wyjadając z papierowej torebki ostatnie okruszki.

Poczuła się lepiej? Nie. Jeśli już, to gorzej – jak okropna, w dodatku gruba, przyjaciółka.

Potrzebowała długiego spaceru. Szła w kierunku miasteczka tak szybko, jak tylko pozwalał jej na to pełny żołądek. Po pewnym czasie zaczęła biec. Nie była urodzoną biegaczką. Zawsze chciała uprawiać ten sport, lecz miała problemy z kolanami. Po tej przebieżce na pewno też dadzą się we znaki.

Jacuzzi w sypialni Angie i Boba pomogłoby jej na te dolegliwości. Nicole i Angie nie miałyby nic przeciwko temu, żeby Charlotte z niego skorzystała, ale ona nie mogła tego zrobić. Była zdrajczynią w najgorszym znaczeniu tego słowa – zdradziła Nicole, Angie i Boba, a nawet Juliana.

Jestem złym człowiekiem. Jeśli Leo Cole też taki jest, zasługujemy na siebie – pomyślała, związując niesforne włosy, i ruszyła w stronę krańca wyspy. Ogarnęło ją tak silne poczucie winy, że nie docierały do niej żadne dźwięki – szum fal, pohukiwanie sowy, plaskanie własnych stóp – póki nie dotarła do zakrętu przed domem Cole'ów i nie usłyszała stukania młotka.

Jeszcze zanim go zobaczyła, wiedziała, że Leo będzie przybijał papę do konstrukcji dachu. Przesuwając się na prowizorycznym rusztowaniu, rozwijał rolkę od lewej do prawej i w regularnych odstępach przybijał papę gwoździami.

Przez chwilę obserwowała go niezauważona. Jak na chuligana miał całkiem ładne nogi i zgrabny tyłek, chociaż nosił zbyt luźne szorty, żeby można to było w pełni podziwiać.

– Potrafisz się posługiwać młotkiem? – zawołał w końcu.

A jednak ją zauważył.

– Czy potrafię? – mruknęła lekceważąco, dając do zrozumienia, jak brzmi odpowiedź.

Cole wskazał gestem drugą drabinę. Kiedy wdrapała się na górę, sięgnął po nową rolkę papy, umocował jej brzeg, podał Charlotte młotek i puszkę gwoździ.

Istnieją różne rodzaje papy. Leo wybrał dość grubą ze względu na wiejące na wyspie wiatry. Charlotte czuła się niepewnie, dopóki nie rozwinęła i nie przymocowała sporego jej kawałka, lecz nie miała zamiaru się skarżyć.

– Podasz mi nóż? – zapytała, docierając do krawędzi dachu.

Cole podał jej rozgrzany ciepłem swojego ciała nóż. Charlotte zaczęła układać papę, póki nie dotarła do miejsca, w którym pracował Leo. Mężczyzna dotknął jej ramienia. Charlotte przesunęła się, żeby łatwiej mu było połączyć krawędzie. Układali kolejne rzędy, aż dotarli do kopuły, przy której praca wymagała większej bliskości. Ich ramiona i nogi zetknęły się więcej niż raz, co zresztą okazało się całkiem przyjemne.

Powietrze trwało w bezruchu. Cole miał rację: po zmroku wiatr ustawał. A może ucichł tylko tej nocy, zwiastując kolejny długi letni dzień? Chociaż Charlotte związała włosy, zdawały się jej ciężkie i spocone. Nie tylko jej było gorąco. Reflektor oświetlał strużki potu na twarzy i szyi Leo. Mężczyzna często przerywał pracę, żeby je wytrzeć.

– Gotowe – powiedział wreszcie, obrzucając uważnym spojrzeniem ich wspólne dzieło, po czym zebrał swoje rzeczy i zaczął schodzić na dół. Gdy tylko Charlotte do niego dołączyła, złożył obydwie drabiny i poszedł je schować. Wrócił z dwiema butelkami wody: jedną podał Charlotte, z drugiej łąpczywie się napił.

Charlotte czuła się już lepiej, jakby zdołała coś osiągnąć, udowodnić. Popatrzyła w kierunku dachu, ciemnego i gładkiego w świetle reflektora.

– Kupiłeś dobrej jakości papę – zauważyła.

– Jeśli nie robi się czegoś jak trzeba, to po co w ogóle zawracać sobie głowę?

Charlotte się uśmiechnęła.

– Niedawno przeczytałam podobne zdanie w pewnej książce. Bohater buduje łódź i chce użyć najlepszych materiałów, na które musi bardzo długo czekać, ale nie zadowala się byle czym.

Leo wlepił w nią wzrok. Charlotte posłała mu zdziwione spojrzenie.

– Coś nie tak?

– Czytasz to badziewie?

– Jakie badziewie?

– *Salt*.

Ogarnęło ją rozbawienie.

– Co ty możesz wiedzieć o *Salt*?

– Wszyscy o niej gadają.

– Czytasz książki?

Cole zmarszczył brwi.

– Czasami.

– Ale nie *Salt*, bo nie jest tego warte? Tak dla twojej wiadomości – Charlotte postanowiła bronić książki – nie uważam jej za badziewie. Moim zdaniem jest dobrze napisana i opowiada świetną historię.

Leo przyglądał jej się jeszcze przez chwilę, po czym odparł:

– Podobnie jak *Moby Dick*. W więziennej bibliotece było mnóstwo egzemplarzy.

– A więc pozwalali wam czytać. Nieźle.

Cole uśmiechnął się krzywo.

- Nauczyłem się też otwierać zamki i odpalać samochód, zwierając kable.
- Będę uważać na swojego jeepa. Słyszałam, że okradłeś kiedyś kościelną skarbonkę.
- Nikt mnie na tym nie przyłapał – odparł wymijająco.

Charlotte spojrzała niepewnie w stronę domu.

- Skąd bierzesz pieniądze na naprawy?
- Z malwersacji.

Charlotte nie miała zamiaru w to uwierzyć.

- Czy kiedykolwiek zmusiłeś dziewczynę do seksu?
- Nie było potrzeby. Same chciały.
- Zrobiłeś któreś dziecko?

– Nie jestem taki głupi – mruknął i najwyraźniej mając dość tej rozmowy, poszedł w kierunku domu, żeby wyłączyć reflektor, po czym szybkim krokiem oddalił się przez ogród. Idąc, ściągnął koszulę przez głowę.

– Dokąd się wybierasz? – zawołała Charlotte, obserwując jego oświetlone blaskiem księżyca nagie plecy.

- Popływać. Wracaj do domu. – To powiedziawszy, zniknął w ciemnym lesie.

Charlotte nie zamierzała tego zrobić. Chciała się dowiedzieć, gdzie pływał Leo. Jeśli się nie myliła, ścieżka prowadziła do miejsca, w którym brzeg był skalisty i niebezpieczny. Nigdy nie zapuszczały się tam z Nicole. Podobnie jak dziurawy chodnik przy drodze, ta część plaży wysyłała jasny sygnał, żeby trzymać się od niej z daleka.

Teraz jednak Charlotte miała szansę się tam dostać z innej strony. Skoro Leo mógł pójść skrótem przez las, ona również. Już chciała ruszyć za nim, kiedy usłyszała szelest krzaków przy domu. Na widok psa wstrzymała oddech. Czarna bestia popatrzyła na nią, a później przeniosła wzrok na miejsce, w którym zniknął Leo. Charlotte nie miała pojęcia, o czym myśli Niedźwiedź, wiedziała tylko, że po chwili, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność, poszedł za swoim panem. Wolno – i ostrożnie, przeszło Charlotte przez myśl – oddalił się w kierunku lasu. Kiedy tak go obserwowała, nie wydawał jej się niebezpieczny. Nie pognął za sarną ani jelenkiem. Nie zaatakował Charlotte. Widziała, jak człapał noga za nogą. Możliwe, że był po prostu stary.

Nie zamierzała jednak ryzykować. Zaczekała, aż pies zniknie, zanim cicho ruszyła za nim. W powietrzu unosił się słodki zapach, lecz Charlotte koncentrowała się na ścieżce. Gałązki pękały pod stopami, szum fal stawał się coraz głośniejszy. Nagle jej oczom ukazała się, niczym światło na końcu tunelu, łacha mokrego piasku otoczona wielkimi głazami i mniejszymi płaskimi kamieniami. Podczas przyprływu piasek przykryłaby woda. Nawet teraz był mocno ubity. Leżały na nim ubrania Leo obok rozrzuconych bezładnie butów.

Charlotte z ukrycia obserwowała wodę. Światło księżyca odbijało się od łagodnie rozkołysanych fal. Dopiero po chwili wypatrzyła parę bladych ramion oddalających się od brzegu. Czy było to ryzykowne? Zdaniem Charlotte tak, ale Leo wiedział, co robi, i pewnie spędził w podobny sposób wiele nocy. Płynął bez wysiłku, wznosząc się i opadając na falach; wyglądało na to, że czuł się w wodzie równie komfortowo jak Charlotte na jego dachu.

Zaabsorbowana rytmem jego ruchów, sposobem, w jaki odwracał głowę, by zaczerpnąć powietrza, kopnięciami, którymi rozrywał tafłę wody, prawie wyzionęła ducha, gdy coś mokrego dotknęło jej nogi. Kiedy się odwróciła, pies mierzył ją groźnym spojrzeniem.

- Wszystko w porządku – szepnęła drżącym głosem. – Dobry Niedźwiedź.

Czy jego spojrzenie było złowrogie, czy tylko smutne? W promieniach księżyca przenikających przez korony drzew dostrzegła zmarszczki na czole psa i brązowe łaty wokół oczu i pyska.

Z bijącym sercem wyciągnęła rękę. Pies przez chwilę ją obwąchiwał. Nie zawarczał, nie

obnażył kłów ani się nie wycofał – wyraźnie liczył na więcej. Musnęła koniuszkami palców jego głowę, tak jak Leo podczas ich pierwszego spotkania. Futro między uszami psa okazało się krótkie i szorstkie, ale uszy sprawiały wrażenie aksamitnych. Charlotte dotknęła ich z ciekawości.

Niedźwiedź usiadł.

Serce Charlotte nadal waliło jak szalone, ale już nie ze strachu. Czuła przyciąganie księżycy, a wcześniej – kuszący zapach ogrodu. Zrobiło jej się gorąco.

– Pójdę popływać, dobrze? – szepnęła.

Pies ani drgnął, więc Charlotte ponownie spojrzała na morze. Ramiona Leo nadal majaczyły w oddali, ale mężczyzna płynął już do brzegu. Jeśli zamierzała do niego dołączyć, musiała się pospieszyć.

– Zostań – poleciła łagodnie psu i ruszyła w kierunku plaży, rzucając ostatnie spojrzenie za siebie, by upewnić się, że nie poszedł za nią. Księżyc jasno świecił, zamieniając ocean w feerię kontrastów: czerni i srebra, ciemności i blasku, dobra i zła. Takie też było życie Charlotte. Nie musiała tu być. Igrała z ogniem.

Nie powstrzymało jej to przed rozebraniem się do bielizny i wbiegnięciem do wody. Chociaż okazała się lodowato zimna i Charlotte na chwilę zabrakło tchu, nie cofnęła się. Zatrzymała się w wodzie sięgającej ud, zanurkowała w nadciągającej fali i pozwoliła jej się unieść. Zatrzymała się tylko na chwilę, żeby odnaleźć wzrokiem Leo, i płynęła dalej. Pokonywanie fal wymagało mnóstwo energii, więc szybko się rozgrzała. Płynęła równym rytmem, zanim niefortunnie otworzyła usta i prawie napiła się słonej wody. Wypluła ją, wyprostowała się i rozejrzała za Leo. Nie musiała daleko szukać. Cole przestał płynąć i uważnie ją obserwował. Ze swoimi ciemnymi włosami, oczami i mokrą bladą twarzą stanowił kolejny kontrast, do kompletu z resztą świata.

Odgarniając rękami wodę, Charlotte przypomniała sobie ostrzeżenia przed Leo Cole'em, ale nie przejmowała się nimi. Nawet jeśli Leo miał na swoim koncie złe uczynki, ona także. Co zaś się tyczy ryzyka, pewnego razu skoczyła na główkę ze skały w Acapulco. Nie było to nic przyjemnego i nie zamierzała tego powtarzać, ale przeżyła i nadal pamiętała tamten przypływ adrenaliny. Pływanie z Leo nie mogło się okazać bardziej niebezpieczne.

Kolejna fala zbliżyła ich do siebie. Charlotte nie wiedziała, czy Cole pomógł sobie rękami; oboje byli zanurzeni. Włosy Charlotte unosiły się na wodzie za jej plecami. Nad powierzchnię wystawała tylko jej głowa i ramiona. Machała nogami, żeby utrzymać się na wodzie.

Cole zatrzymał się na odległość ramienia i patrzył na nią chmurnym wzrokiem. Po chwili westchnął, czyżby z wysiłku? Raczej nie. Mogło to być pytanie, czego Charlotte po nim oczekuje, albo ostrzeżenie: „Przekraczasz granicę”. Najpewniej jednak stwierdzał oczywisty fakt: „Jesteśmy w tarapatach”.

Ale czy nie tego chciała? Jeśli nawet miała zapłacić wysoką cenę, to przecież nie pierwszy raz w życiu. Zresztą nie chodziło wyłącznie o nią, także o Cole'a. Jego spojrzenie wyraźnie mówiło: my.

Leo oplótł jej nogi swoimi, chwycił Charlotte za włosy i pocałował. Tym razem rzeczywiście zabrakło jej tchu. Po części księżyc, a po części ocean sprawiły, że ten pocałunek różnił się od wszystkich innych. Był natarczywy, ale nie bolesny – głęboki, tak jak tego potrzebowała. Zanim skończyli się całować, ramiona Charlotte obejmowały szyję Cole'a, nogi oplatały jego talię. Zimna woda powinna stłumić jego żądzę, ale tak się nie stało. Z kolejną falą pojawiło się kuszące pulsowanie.

Ciężko oddychając, Cole przyholował ich do brzegu. Ich nogi nadal obmywały fale, kiedy

położył Charlotte na piasku, uniósł jej pośladki i ściągnął jej majtki. Starła mu się pomóc, ale zdołała wyswobodzić tylko jedną nogę. Cole przytrzymał ją i popatrzył na Charlotte, jakby dawał jej ostatnią szansę i pytał „Wchodzisz w to?”.

– Tak – szepnęła, a wtedy i on wszedł.

Z odchyłoną do tyłu głową i zamkniętymi oczami zamarł na chwilę, która wydawała się Charlotte wiecznością, zanim ponownie na nią spojrzął. Wyglądał na zaskoczonego. Ona również. Nie była świadoma, że go pragnie, nie pożerała go wzrokiem, kiedy razem pracowali, ani o nim nie śniła. Jednak kiedy ich ciała się złączyły, Charlotte poczuła, że tego właśnie pragnęła.

Domagając się kolejnego pocałunku, przyciągnęła jego twarz do swojej. Oboje byli sobie spragnieni. Po chwili doznania okazały się tak silne, że Charlotte musiała głęboko zaczerpnąć powietrza. Fale oceanu spotęgowały ruchy Leo do tego stopnia, że z jej gardła wyrwał się krzyk.

Mężczyzna znieruchomiał.

– Boli?

Jej śmiech przeszedł w jęk. Pokręciła głową, skrzyżowała kostki i przyciągnęła go do siebie. Kochali się niespiesznie, a na koniec ich ciałami – jej czy jego? Charlotte nie miała siły ani ochoty się zastanawiać – wstrząsnął długi spazm rozkoszy.

Kiedy wreszcie Leo zsunął się na bok, Charlotte opadła bez tchu na piasek i zamknęła oczy, żeby nic jej nie rozpraszało. Cole leżał tuż obok, z nogą przerzuconą przez nogę Charlotte, dotykając brzuchem jej biodra. Charlotte nie zasnęła, chociaż czuła się tak rozluźniona, że była tego bliska. Po prostu leżała na piasku przez długą chwilę, całkowicie wyczerpana.

Nagle poczuła dłoń Cole’a sunącą po jej brzuchu powolnym, ostrożnym ruchem, który nie był erotyczny, i w mgnieniu oka wróciła do rzeczywistości. Szybko usiadła, odwróciła się do niego plecami i objęła kolana ramionami. Kiedy spojrzała za siebie, Leo leżał oparty na łokciu i przyglądał jej się spod zmarszczonych brwi.

– Masz dziecko – powiedział.

Charlotte przełknęła ślinę i pokręciła głową.

– Wyczułem rozstępy. – Nie ustępował.

Zawsze pamiętała o tym, żeby je ukryć. Jednocześnie kostiumy kąpielowe świetnie się do tego nadawały, podobnie jak jedwabne koszulki na ramiączkach. Jednak nigdy wcześniej seks nie pochłonął jej tak bardzo jak teraz, poza tym myślała, że w ciemności jej sekret będzie bezpieczny.

Oczywiście, że tego nie planowała. Przyszła do domu Leo, żeby się ukarać. Jednak ich seks nie miał nic wspólnego z karą. Cole nie był brutalnym kochankiem. Silnym, owszem, ale nie brutalnym. Seks z Leo okazał się... niesamowity. Nie taki miał być.

Przestraszona, rozejrzała się w poszukiwaniu swoich ubrań i szybko je włożyła. Leo siedział i przyglądał jej się bez słowa. Charlotte wsunęła mokre stopy w buty i ruszyła w kierunku ścieżki. Nie widziała psa, ledwie zarejestrowała dźwięk pękających pod stopami gałązek i nie czuła przyklepionego do mokrych włosów piasku. Szybko przecięła ogród, minęła podjazd i znalazła się na drodze. Nie odwróciła się ani razu, nie mogła tego zrobić. A kiedy dotarła do domu Nicole, zamknęła drzwi i osunęła się na podłogę.

Poszła do Cole’a, żeby uciec przed bałaganem we własnym życiu, i jeszcze bardziej w nim namieszała.

\*

Mogła zrobić tylko jedno. Gdy już zmyła z siebie ślady wieczoru, usiadła na kanapie na dole, owinęła się puszystym kocem, sięgnęła po *Salt* i uciekła w świat, w którym miłość



pokonywała wszystkie przeciwności losu.

A przynajmniej tak jej się wydawało. Po godzinie ogarnął ją niepokój. Kochankowie byli dla siebie stworzeni, należeli jednak do tak różnych światów, że tylko całkowita rewolucja w życiu jednego z nich mogłaby im pozwolić być razem. Nie zanosilo się na to. Autor doskonale sportretował swoich bohaterów – Charlotte czuła, że dobrze ich zna. Oboje pokonali milczenie i tajemnice, zmienili się nie do poznania, lecz nadal wiele ich dzieliło. Nie mogli się już bardziej zmienić i jednocześnie pozostać sobą.

Gdy napięcie stało się nie do zniesienia, Charlotte przeszła do kilku ostatnich stron, nad którymi rozkleiła się Nicole. Chwilę później zamknęła książkę, wsunęła ją pod poduszkę w rogu kanapy i z ciężkim sercem położyła się spać.

## Rozdział 10



Wtorkowe spotkanie w Chicago od początku było trudne. O ile Peter Keppler zawsze sprawiał wrażenie rozluźnionego, o tyle Mark Hammon był typem naukowca, szczupłym mężczyzną w okularach, który nie przepadał za pogaduszkami. Przestudiował kartę Juliana strona po stronie. Zmarszczył brwi, wrócił do jednej ze stron, zdjął okulary, potarł grzbiet nosa, spojrzął na Juliana, ponownie założył okulary i wrócił do lektury. Kiedy wreszcie się odezwał, wyraził poważną wątpliwość co do tego, czy Julian jest odpowiednim kandydatem do przeszczepu komórek macierzystych.

Nicole poczuła ulgę, którą szybko przyćmiło rozdrażnienie malujące się na twarzy jej męża.

– Twoim argumentem jest to, że leczę się dopiero od czterech lat – powiedział Julian – lecz z mojej wiedzy wynika, że terapia komórkami macierzystymi przynosi najbardziej obiecujące efekty we wczesnym stadium choroby. Jestem idealnym kandydatem.

Hammon nie wyglądał na przekonanego. Po chwili namysłu odparł:

– Występują u ciebie silne efekty uboczne. Powinniśmy zacząć od mniej ryzykownych form leczenia.

– Wszystko, co do tej pory stosowaliśmy, zawiodło.

Kiedy Hammon wymienił nazwy dwóch leków, których jeszcze nie próbowali, Julian machnął lekceważąco ręką.

– Skutki uboczne mogą się okazać gorsze niż sama choroba – przekonywał – a nadzieja na to, że leki zadziałają, jest mniejsza niż w przypadku komórek macierzystych.

– Biorąc pod uwagę twój stan i historię reakcji na leki, przeszczep autologiczny wydaje się bezpieczniejszy.

– Z użyciem moich własnych komórek? W przypadku innego pacjenta przyznałbym ci rację, ale ja przyjmowałem tak wiele leków, że wątpię, by moje komórki się nadawały, a badania, czy tak jest, zabiorą nam tylko cenny czas. Nie mamy go zbyt wiele, Mark. Jeśli istnieje choćby cień szansy na ocalenie mojej kariery, musimy działać od razu. Chcę podjąć leczenie, które da mi realną szansę, i mam świadomość wiążącego się z tym ryzyka.

Hammon zmarszczył czoło i wsunął okulary głębiej na nos.

– Masz świadomość? A ja widziałem to na własne oczy. U niektórych pacjentów po przeszczepie następuje niekontrolowany wzrost komórek, w wyniku czego powstają nowotwory. U innych leki, które podajemy, by osłabić układ odpornościowy i zapobiec odrzuceniu przeszczepionych komórek, okazują się toksyczne dla organizmu. Jeden z moich pacjentów zmarł po podaniu chemioterapii.

– A jeśli znajdziemy odpowiedniego dawcę?

– Nawet wtedy. – Lekarz zajrzał do historii choroby. – Nie widzę informacji o zgodności tkankowej z członkami rodziny.

Julian nic nie powiedział.

– Rodzice? Dzieci? – zapytał lekarz, włączając Nicole do rozmowy.

– Nie przebadali się – odparła, posyłając nerwowe spojrzenie Julianowi, który dał jej

bezgłośnie znać, by nie mówiła nic więcej.

Hammon potarł czoło; logicznie rzecz biorąc, przebadanie członków rodziny powinno być pierwszym krokiem.

– A co z komórkami macierzystymi z krwi pępowinowej? – zapytał Julian. – Moje dzieci urodziły się, jeszcze zanim zaczęto ją zamrażać, ale nawet jeśli teraz się przebadają, to właśnie komórki macierzyste z krwi pępowinowej dają największą nadzieję. Nie wymagają pełnej zgodności tkankowej i zawierają regulatorowe limfocyty T, które potrafią zlikwidować uszkodzenia i być może nawet odwrócić bieg choroby. Dowodzą tego wyniki twoich badań.

– To prawda, ale użycie komórek z krwi pępowinowej wiąże się w twoim przypadku z jeszcze większym ryzykiem odrzucenia. Przeszczep może się dla ciebie okazać śmiertelnie niebezpieczny.

– Mógłbym pojechać do Meksyku – zagroził Julian.

Hammon nawet nie mrugnął okiem.

– Jesteś na to zbyt mądry.

– Z pewnością – wtrąciła Nicole, przerażona samą myślą. Rozpaczliwie szukając innych rozwiązań, zwróciła się do lekarza: – A gdyby Julian wypróbował inną standardową terapię, która też zawiedzie? Jeśli choroba nadal będzie postępować, czy rozważysz przeszczep komórek macierzystych od dawcy?

Nie chciała żadnych eksperymentalnych terapii i kropka, ale jeśli Julian był aż tak zdeterminowany, próbowała je przynajmniej odwlec w czasie.

– Mógłbym, ale taka forma leczenia będzie nadal ryzykowna. – Spojrzał na Juliana. – Udar, zakażenie całego organizmu, paraliż... każda z tych rzeczy będzie gorsza niż twój obecny stan. Masz sprawny umysł, czeka cię wiele lat aktywności, czy to na sali operacyjnej, czy poza nią. Poza tym nie tylko ja prowadzę badania. Za sześć miesięcy albo za rok będziemy wiedzieć więcej.

– On ma rację – próbowała przekonać męża Nicole. – Sześć miesięcy cię nie zbawi.

Julian odwrócił się w jej stronę.

– Sześć miesięcy to dla mnie wieczność. Jak możesz tego nie rozumieć? – Popatrzył na nią z urazą i ponownie zwrócił się do Hammona, lecz do Nicole dotarło niewiele z tego, co mówił, nie zabrała też więcej głosu. Została uciszona, jakby ktoś ją spoliczkował.

Spędzili w gabinecie jeszcze pół godziny. Zanim wyszli, Nicole uściśnęła dłoń lekarza, lecz żołądek miała zawiązany na supeł. Ze strachu? Zmartwienia? Tak, ale i ze złości. Przekonywała samą siebie, że nie ma prawa jej odczuwać, bo Julian walczy o życie, a ona tylko jeszcze bardziej go zdenerwowała, lecz nie potrafiła przyjąć tego wyjaśnienia. Julian też nie wszystko rozumiał i nie była w stanie dłużej tego ignorować.

Wchodząc do windy, chwycił ją za łokieć, a kiedy wyszli na ulicę, wyciągnął ją z tłumu pieszych i zaprowadził w ustronne miejsce przy granitowej ścianie.

– O co chodziło tam w gabinecie? – zapytał z nietypowym dla siebie rozgorączkowaniem.

– Czy naprawdę musiałas mnie upokorzyć w obecności mojego kolegi?

Powiedziałyby, że odwdzieczył jej się tym samym, ale nadal czuła się urażona.

– Przyznałam mu tylko rację.

– Stanęłaś po jego stronie. Nie tego potrzebowałam.

– Pojechałbyś do Meksyku i poddał się zabiegowi w jakiejś szemranej klinice? Jules, tu nie chodzi wyłącznie o ciebie.

Puścił jej słowa mimo uszu.

– Cholera, Nicole, czy ty nic nie rozumiesz? Eksperymentalne terapie przeprowadza się na wyraźne życzenie pacjenta i nie można pokazać lekarzowi, że samemu nie wierzy się w ich

skuteczność. Uwierz mi, kotku, wiem, jak to działa. Lekarz ufa swojej technice, ale zanim przeprowadzi kurację określoną liczbę razy, nie wie, czy i na których pacjentów zadziała. Pierwsi pacjenci to ochotnicy, gotowi podjąć ryzyko. Stając po stronie Hammona, wszystko zepsułaś.

– Boję się – wyznała Nicole, starając się rozładować napięcie, podobnie jak w gabinecie lekarza, lecz i tym razem jej się nie udało.

– Ty się boisz? A co ja mam powiedzieć? To nie jest spacer po parku. Znam ryzyko, lecz alternatywa jest dużo gorsza. To nie ty możesz wszystko stracić!

Julian odwrócił się gwałtownie i odszedł szybkim krokiem w stronę hotelu. Nicole musiała podbiegać co kilka metrów, żeby za nim nadążyć, ale Julian był tak podminowany, że nie zwracał uwagi ani na swoją żonę, ani na to, że jego chód stał się lekko chwiejny.

Nicole jednocześnie współczuła mężowi i była na niego wściekła. Julianowi groziło coś więcej niż tylko utrata zdrowia. Ich małżeństwo wisiało na włosku, i to nie z winy Nicole. Starła się zrozumieć, co czuje mąż, łagodzić sprawy, za co nigdy jej nie pochwalili. Potrzebował kozła ofiarnego i tym właśnie dla niego była – jakby to z jej winy zachorował na stwardnienie rozsiane.

Oboje chcieli, żeby jego choroba zniknęła, ale nie było to możliwe, a im dłużej Julian nie chciał się z tym pogodzić, tym bardziej stawał się nieszczęśliwy. Życie nie zawsze układało się zgodnie z planem. Niektórzy potrafili z godnością przyjmować przeciwności losu. Zachowanie Juliana tylko pogarszało sprawę.

W hotelu spakowali się, wymeldowali i pojechali taksówką na lotnisko. Nie rozmawiali, poza chwilą, kiedy tłumaczyli kierowcy, jak dojechać do terminali, z których odlatywali – on do Filadelfii, ona do Portland. Nicole nie zaproponowała, że polecą z nim do domu, i to nie tylko z powodu strachu przed odmową. W tamtym momencie bardziej niż Juliana i kolejnej kłótni potrzebowała wyrozumiałej Charlotte.

Wysiadła z taksówki jako pierwsza. Kiedy samochód zatrzymał się przy krawężniku, Julian wyciągnął rękę i ścisnął dłoń żony. Próbowła się uśmiechnąć, ale nie potrafiła. Bała się o swoje małżeństwo, lecz buzował w niej gniew, którego wcześniej nie odczuwała, i nie wiedziała, jak sobie z nim poradzić. Wysiadła z samochodu nachmurzona, odebrała walizkę od kierowcy i postawiła ją na chodniku, po czym wsunęła głowę do taksówki.

– Tak dla twojej wiadomości – zwróciła się do Juliana drżącym głosem – grubo się mylisz. Kocham cię. Jesteś moim mężem, moim życiem. Jeśli cię stracę, nic mi nie zostanie.

Z obawy przed tym, że się rozplacze, zatrzasnęła drzwiczki, złapała uchwyt walizki i odeszła, ciągnąc ją za sobą.

\*

Tego dnia Charlotte była świadoma każdego skrawka swojego ciała, ale postanowiła nie myśleć o Leo. Z powodu milczenia Nicole stawało się to coraz łatwiejsze. Charlotte miała mnóstwo powodów do zmartwień. Zawsze sama rządziła swoim życiem – jako dziecko niezaangażowanych emocjonalnie rodziców, jako osiemnastolatka wyjeżdżająca do college'u z pełnym stypendium i wreszcie jako ciężarna dwudziestoczterolatka ukrywająca swój sekret przez całym światem.

Teraz jej przyszłość zdawała się zależeć od czegoś, nad czym nie miała kontroli. Skupiła się więc na tym, co umiała kontrolować. Rano przez kilka godzin kończyła pracę nad wywiadem z Anną McDowell Cabot. Pojechała na farmę, zadała kilka dodatkowych pytań i – nie doczekawszy się telefonu od Nicole – spotkała się z Melissą Parker. Anna była kobietą po siedemdziesiątce i mieszkała na Quinnipeague od urodzenia, Melissa natomiast przeprowadziła się tu po ślubie jako trzydziestolatka. Dziesięć lat później pracowała jako cukiernik. Ponieważ przed poznaniem męża studiowała w Nowym Jorku, szybko znalazły z Charlotte wspólny język.

Obecnie pracowała w domu wyposażonym w nowoczesną kuchnię i to właśnie tam Charlotte przeprowadziła z nią wywiad.

Chociaż mieszkańcy Quinnie w wieku poniżej trzydziestki ustawiali się w kolejce po jej czekoladowe ciasteczka z orzechami makadamia, specjalnością Melissy były ziołowe brioski, których świeżo wyjęta z pieca partia leżała na blacie kuchennym, czekając na przyjazd Charlotte. Naturalnie skosztowała ich, ale na tym się nie skończyło. Melissa zachwalała rosnącą na wyspie szalwię, więc Charlotte spróbowała szalwiowego rogalika, później bułeczki posypanej rozmarynem i bazylią, a na koniec pachnącej tymiankiem babeczki. Melissa uważała, że od przyjazdu na wyspę jej piekarskie umiejętności znacznie się poprawiły, zaś zioła Cecily miały w tym swój nieoceniony udział.

– Spotkałaś ją kiedykolwiek? – zapytała Charlotte, zastanawiając się, czy dowie się czegoś nowego od osoby, która nie mieszkała od urodzenia na Quinnipeague.

– Kilka razy. Była uroczą, powściągliwą kobietą.

– Powściągliwą, czyli tajemniczą?

Melissa przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Ceniła sobie prywatność. Sądzę, że nie miała przyjaciół w konwencjonalnym znaczeniu tego słowa. Nie potrafiłam hodować jej ziół. Próbowałam, ale się nie przyjęły. Mój ogród jest zbyt zacieniony, a gleba wilgotna.

– Pewnie rozgniewałaś czymś Cecily – powiedziała Charlotte pół żartem, pół serio. – Albo Leo. Znasz go? – Nie mogła się powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

– Nie. Nie chcę mu zakłócać spokoju.

– Założę się, że doskwiera mu samotność. Musi czasem zaglądać do miasteczka. Nie wyłowił przecież gontów z morza.

– Jestem pewna, że kupuje jedzenie w sklepie na wyspie.

– Z nikim się nie przyjaźni?

Melissa wzruszyła ramionami.

– Ani nie podróżuje?

– Podróże? – Melissa parsknęła śmiechem. – Leo nigdy nie rusza się z wyspy.

Charlotte była zaskoczona.

– Nigdy? – zdziwiła się, zastanawiając się, jaki człowiek zniósłby ten rodzaj samotności. Nawet całoroczni przyjezdni, którzy żyli w przyjaźni z mieszkańcami wyspy, wybierali się od czasu do czasu na kontynent. – Można go wynająć do pracy?

– Kiedyś było można. Myślę, że teraz też. Jest naprawdę bardzo sprawny.

Charlotte nie zamierzała tego komentować.

– A co robi z ziołami Cecily? – zapytała, bo jego ogród był pełen skarbów, a Cole nie wyglądał na kucharza.

– To ciekawe pytanie – przyznała Melissa. – Właściwie nie wiem. Może je sprzedaje, chociaż nie mnie. Kupuję zioła od Shari Bowen; gleba w jej ogrodzie jest bardziej przepuszczalna, poza tym wiem, że Shari potrzebuje pieniędzy. Myślę, że Cecily właśnie tak to sobie zaplanowała.

Charlotte czuła, że nie może dłużej wypytywać o Leo, nie wzbudzając podejrzeń, więc po prostu kiwnęła głową. Jeśli chodziło o mistyczne zdolności Cecily, Melissa mówiła to samo co inni.

\*

Telefon nadal milczał. Po wyjściu od Melissy Charlotte sprawdziła, czy jest włączony, upewniła się, że ma zasięg, potrzęsnęła komórką i czekała. Na próżno.

Sfrustrowana wróciła do jeepa. Jechała właśnie przez miasteczko w kierunku drogi, kiedy na ganku małego domu wypatrzyła ciemnofioletową markizę z pomarańczowym napisem „Artykuły dziewiarskie”.

Marząc o pysznych ciągutkach z migdałem, które z pewnością podniosłyby ją na duchu, Charlotte zaparkowała obok kilku innych samochodów. Sklep mieścił się w salonie, który od podłogi aż po sufit wypełniały kosze z włóczką w ilości, której Charlotte nigdy by się nie spodziewała na tak małej wyspie. Włóczka wyglądała równie apetycznie jak robione przez jej właścicielkę cukierki.

Charlotte zaczekała, aż pozostali klienci zostaną obsłużeni, i przedstawiła się właścicielce. Isabel Skane, kobieta o gruszkowatej sylwetce, różowych policzkach i wściekle rudych włosach, miała kojący głos. Jej sklep również emanował spokojem, począwszy od pastelowych kolorów, poprzez miękką fakturę włóczki aż po łagodną muzykę jak w salonie spa. Charlotte przejrzała asortyment oraz katalogi z wzorami, złożyła zamówienie, poczęstowała się cukierkiem ze stojącej przy kasie misy, włożyła go do ust, wzięła drugiego na drogę i poszła do samochodu.

\*

Po powrocie do domu zabrała się do spisywania wywiadu. Kiedy Nicole wreszcie do niej zadzwoniła, brzmienie jej głosu przeraziło Charlotte.

– Co się stało?

– Och, Charlotte. – Nicole była załamana.

Jej przyjaciółka przestraszyła się, że Julian dostał zawału i trafił do szpitala na oddział intensywnej terapii, ale usłyszała w tle zapowiedzi, które dobrze знаła.

– Jesteś na lotnisku? – spytała.

– Tak – odparła Nicole słabym głosem. – Julian poszedł do swojej bramki, ja do swojej. Czy to nie poetyckie? – westchnęła cicho. – Co za koszmar.

– Opowiedz mi o tym.

– Jutro. Teraz nie mam siły. – Takie wyznanie z ust rozmownej zazwyczaj Nicole brzmiało naprawę niepokojąco. – Mój lot ma potworne opóźnienie. Gdzieś na wschodzie popsuła się pogoda, więc nie lądują żadne samoloty. – W tle rozległ się kolejny komunikat. Nicole przez chwilę milczała, w końcu odezwała się zmęczonym głosem: – Wreszcie. Ogłosili odlot mojego samolotu. Problem w tym, że nie dotrę do Portland przed dziesiątą, czyli w Rockland będę po północy, a na wyspie dopiero jutro rano.

– Będziesz się miała gdzie zatrzymać w Rockland?

– Mają tam kilka przyjemnych pensjonatów. Przenocuję w którymś z nich.

– Jesteś pewna?

– Nie mam wyboru.

\*

Charlotte popłynęłaby po nią, ale łodzie kursujące między kontynentem a Quinipeague pływały tylko za dnia. Zdarzały się wprawdzie rejsy o zachodzie słońca, jednak przed zapadnięciem zmroku wszystkie łodzie zawijały do portu.

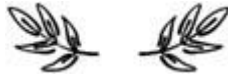
Charlotte była ciekawa szczegółów wizyty Juliana u lekarza. Czekanie było okropne, lecz to, co przeżywała Nicole musiało być znacznie gorsze. Co mogła zrobić Charlotte, żeby poprawić przyjaciółce humor?

Gdyby była cukiernikiem, upiekłaby czekoladowe ciasteczka z orzechami makadamii. Skoro jednak nie umiała piec – ciasteczka nie byłyby zresztą niczym nowym dla takiej smakoszki

jak Nicole – spisała wywiad z Melissą, potem dopracowała wywiad z Anną i wydrukowała oba. Nicole na pewno się ucieszy.

Odłożywszy wydruki na kuchenny stół obok wazonu, który zamierzała rano nappełnić świeżymi kwiatami, wzięła głęboki oddech, oparła ręce na biodrach i wyjrzała przez okno. Ignorowanie problemu udawało się dopóty, dopóki miała coś do roboty, ale właśnie skończyły jej się zajęcia. Choć zmrok jeszcze nie zapadł, nie mogła czekać ani chwili dłużej. Musiała porozmawiać z Leo.

## Rozdział 11



Charlotte ruszyła w drogę, czując jednocześnie strach i podniecenie. Wiatr zdawał się silniejszy niż przedtem, szumiał w liściach drzew, chłodził jej nogi i ręce. Charlotte z niepokojem spoglądała w niebo. Na zachodzie kłębiły się chmury, pewnie te same, które opóźniły lot Nicole. Powietrze już stało się wilgotniejsze, przez co włosy Charlotte zyskały na objętości. Czowała wyraźny morski zapach.

Rezygnując ze spaceru, wróciła do domu, przebrała się w dżinsy i wskoczyła do jeepa. Chwilę później zaparkowała tuż za zakrętem prowadzącym do domu Cole'a.

Tego wieczoru powinien kłaść na dachu sklejkę, ale nie zdążyło się jeszcze ściemnić. Poza tym nadciągała burza i Charlotte nie wiedziała, czy Leo w ogóle będzie pracował.

Kiedy wyszła zza zakrętu, zobaczyła dom w świetle dnia. Okiennica, którą naprawił Leo, jako jedyna wisiała prosto. Pokryty papą dach tworzył jednolitą gładką powierzchnię, ale reszta budynku rozpaczliwie domagała się farby. Dom był w opłakanym stanie. W przeciwieństwie do otaczających go roślin. Nawet przy pochmurnej pogodzie Charlotte dostrzegła feerię tętniącej życiem zieloności.

Kiedy zapytała Leo o miejsce pochówku Cecily, nie odpowiedział. Teraz zaczęła podejrzewać, że prochy rozsypało w ogrodzie, nawożąc nimi rośliny i przy okazji wzmacniając aurę otaczającej Cecily tajemniczości.

Idąc przez podjazd, Charlotte badawczo przyglądała się frontowym oknom. Tam, gdzie za życia Cecily wisiały zasłony, teraz znajdowały się żaluzje, i chociaż nie były zasłonięte, niewiele zdołała przez nie zobaczyć. Czowała za to woń ogrodu i nagle zatrzymała się, wdychając słodki zapach, który przywołał wspomnienie poprzedniej nocy, kiedy szła skrótem na plażę. Podążając za wonią, zatrzymała się na końcu ogrodu, blisko lasu, gdzie zarośla były niemal tak wysokie jak ona. Nie rosły tutaj żadne zioła, kwitły tylko krzewy o drobnych białych kwiatach z gwieździstymi, gładkimi w dotyku płatkami i przenikliwym zapachu. Kiedy przyłożyła je do nosa i zaciągnęła się ich wonią, jej serce zabiło mocniej.

Przestraszona, wytarła dłonie o dżinsy. Nie wiedziała, co chce jej przekazać Cecily, lecz poczuła, że zaczyna tracić nad sobą kontrolę. Przyjechała tutaj w konkretnym celu i nie był to seks. Odsunęła się od kwiatów i ruszyła w stronę domu. Niespodziewanie z zarośli wyłonił się Niedźwiedź. Charlotte poczuła mocno zakorzeniony strach, który szybko się ulotnił, kiedy pies zbliżył się do niej z uniesionym pyskiem i proszącym wzrokiem. Niedźwiedź był rozkosznym psim staruszkiem, którego nie należało się bać.

W przeciwieństwie do jego pana. Charlotte nie wiedziała, czego się po nim spodziewać.

Dom nie miał ganku, tylko podest, do którego prowadziły trzy schodki. Na drzwiach wisiała zardzewiała kołatka. Charlotte potrzebowała trochę czasu, żeby wziąć się w garść i dodać sobie odwagi zapachem ziół, których woń była teraz silniejsza niż zapach białych kwiatków. Usiadła na środkowym schodku, ze stopami na ziemi. Niedźwiedź ułożył się obok niej. Charlotte oparła łokcie na kolanach, pogłaskała psa między uszami i przesunęła opuszkami palców po fałdach na jego czole. Zwierzę przymknęło oczy z zadowolenia.

Niespodziewanie za domem rozległ się głośny gwizd. Niedźwiedź nadstawił uszu,



spojrzał z niepokojem w tamtą stronę i ponownie przeniósł wzrok na Charlotte.

– Jest ze mną! – zawołała do Leo.

Na dźwięk zbliżających się kroków niepewnie uniosła wzrok. Chodziło nie tylko o rozstępy, lecz także o seks. Jedno i drugie było faktem, na który nie miała wpływu.

Jak na potencjalnego złoicyńcę Leo był wyjątkowo porządnie, ogolony i ostrzyżony. Pozbył się brody, teraz jego twarz pokrywał tylko cień zarostu. Czy można go było nazwać atrakcyjnym? Wystające kości policzkowe i mocna szczęka, które w młodości świadczyły o trudnym charakterze, teraz dodawały mu męskości. Podobnie jak jego dojrzałe ciało, które tłumaczyło fizyczną stronę tego, co wydarzyło się ubiegłej nocy. Ale to ta druga strona najbardziej niepokoiła Charlotte.

Twarc Leo niewiele zdradzała, lecz w jego oczach malowała się niepewność. Widząc je po raz pierwszy w pełnym świetle, Charlotte uzmysłowiła sobie, że nie są czarne, lecz ciemnoniebieskie i czujnie patrzą to nią, to na psa.

– Domyśliłaś się już, co? – zapytał.

Charlotte pogłaskała Niedźwiedzia po głowie.

– Ile ma lat?

– Zabrałem go ze schroniska po swojej pierwszej odsiadce. Zdaniem weterynarza miał wtedy trzy lata.

Leo wyszedł z więzienia dziesięć lat temu.

– Jak długo żyją psy tej rasy?

– Od dziewięciu do dwunastu lat. To kundel z domieszką rottweilera. Kundle żyją dłużej niż psy rasowe. Na to liczę. – Stał dwa metry od niej i uparcie jej się przyglądał. – Mój sekret już znasz. Na czym polega twój?

Charlotte zmusiła się, żeby nie odwrócić wzroku. Była mu winna prawdę.

– Rzeczywiście urodziłam dziecko – przyznała cicho – ale je oddałam.

– Dlaczego?

– Nie miałam męża, za to jego ojciec miał żonę. – Wypowiadając te słowa na głos, poczuła się zepsuta do szpiku kości. Niedaleko pada jabłko od jabłoni; była równie bezmyślna i zdeprawowana jak jej rodzice, chociaż ze wszystkich sił starała się nie powtarzać ich błędów. Zadręczała się tą myślą przez ostatnie dziesięć lat.

– Dlaczego poszłaś do łóżka z żonatym facetem?

– Wtedy jeszcze nie był żonaty, tylko zaręczony. – Przelknęła ślinę. – Z moją najlepszą przyjaciółką.

Czekała, aż zacznie ją oceniać, lecz jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

– Kochałaś go?

– Broń Boże. Właśnie to jest najgorsze. Poszliśmy do łóżka ten jeden jedyny raz i dla żadnego z nas nie miało to znaczenia. Po prostu za dużo wypiliśmy.

Leo nie odrywał wzroku od jej oczu.

– Wczoraj nie wypiliśmy nawet kropli.

– No cóż... – W tym momencie odwróciła wzrok. – To druga rzecz, która mnie w tym wszystkim przeraża.

– Przestraszyłaś się, bo zobaczyłem rozstępy?

Nagle coś ją zastanowiło.

– Skąd wiedziałeś, co to jest? – zapytała.

Leo wydawał się taki pewny swoich słów, a przecież nikogo nie miał. Nie był żonaty, nie miał dzieci, przynajmniej nie na Quinnipeague. Czyżby miał rodzinę gdzieś poza wyspą?

– Dawniej spędzałem weekendy na skarpie. – Nad Okers Beach. – Z lornetką.

Z lornetką!

– Łobuz z ciebie – odparła Charlotte. – Wiesz, że chłopcy nadal tam chodzą? Widziałyśmy ich w zeszły weekend. Faktycznie, niektóre kobiety nie ukrywają swoich rozstępów.

– Ty je ukrywałaś. – Drażył temat. Może i słusznie, chociaż Charlotte nie było łatwo o tym rozmawiać.

– Nikomu ich nie pokazuję – przyznała – ani o tym nie opowiadam.

– Mnie powiedziałaś.

– Musiałam, po tym, co się wydarzyło.

– To był tylko seks.

Charlotte poczuła się urażona.

– To, co nas połączyło, było prawdziwe. Skoro tego nie zauważyłeś, zmarnowałam czas, rozmyślając o tym przez całą noc. To coś więcej niż seks. Nie pytaj mnie co, bo sama nie wiem, na razie przychodzi mi do głowy tylko jedno słowo, żeby to opisać: prawda.

Wyraz twarzy Leo zmienił się; odmalowała się na niej złość, która udzieliła się również Charlotte.

– W porządku – odezwał się niskim, zaciętym głosem. – Porozmawiajmy szczerze. Po co tu przyjechałaś?

Zaskoczył ją jego ton.

– Masz na myśli dzisiejszy wieczór?

– Nie. Wszystkie wieczory, począwszy od środy.

– W sobotę mnie nie było – zauważyła potulnie.

– Po co w ogóle tu przyszedłaś? – Nie ustępował. – Oto zjawiasz się w moim domu: idealna kobieta potrafiąca naprawić dach, jakby ktoś specjalnie cię przeszkolił, żebyś mnie uwiodła. Chodzi o książkę kucharską? Moje zioła?

Charlotte się wyprostowała.

– Uwiodła?! Nie planowałam tego. Nie zrozumiałeś, co powiedziałam? Kiedy byłam tu ostatnim razem, popełniłam wielki błąd. Dlaczego miałabym chcieć popełnić następny? – Dotarło do niej, że powiedziała więcej, niż powinna, lecz nie mogła już cofnąć tych słów. Prawda? Jeszcze jaka! Przyglądała mu się jeszcze przez chwilę, później wstała, zwiesiła głowę i przycisnęła dłoń do czoła. – Nic z tego nie będzie. Ściemnia się. Powinam już iść.

– Nie rób tego – odparł szybko Cole, tonem, który mógł świadczyć o jego wrażliwości. Kiedy Charlotte odważyła się podnieść wzrok, Leo przyglądał jej się w napięciu. – Po prostu musiałem wiedzieć.

– Czy cię wykorzystuję? – zapytała. – Gdyby tak było, czy zdręczałabym się tym, co zrobiliśmy? – Zastanawiała się przez chwilę. – Być może „zdręczanie się” jest zbyt mocnym słowem. Czuję się zagubiona. Ja tak nie postępuję, Leo. Nie romansuję po całym świecie, a jeśli martwisz się, że mogłam zająć w ciążę, to niepotrzebnie. Zabezpieczam się. Znam konsekwencje lekkomyślności.

– Dziecko nie jest żadną konsekwencją – odparł jeszcze bardziej gardłowym głosem Cole.

Ku przerażeniu Charlotte jej oczy wypełniły się łzami – nie mogła powstrzymać ani ich, ani cisnących się na usta słów.

– Owszem jest, jeśli rozwija się w tobie przez dziewięć miesięcy, jeśli czujesz, jak się w tobie porusza, rodzisz je, trzymasz w ramionach i kochasz, mimo że jest całe we krwi, i dokładnie w chwili kiedy myślisz, że jednak go nie oddasz, zjawia się pielęgniarka i je zabiera, i masz świadomość, że nigdy więcej go nie zobaczysz... – Zabrakło jej tchu. Obejmując ramionami brzuch, zmusiła się, żeby się uspokoić.

Leo nie odzywał się przez długą chwilę.

– Usiądź – odezwał się wreszcie i dodał cicho: – proszę.

Usiadła głównie dlatego że i tak daleko by nie uszła. Nogi miała jak z waty, podobnie jak całe ciało, pewnie wyczerpane biegiem, który wcześniej sobie zafundowała, chociaż napięcie emocjonalne pewnie też zrobiło swoje. Rzadko rozmawiała o dziecku. W zasadzie nigdy. Prawdę powiedziawszy, nieczęsto też o nim myślała. Jej córka miała porządną rodziców. Korzystała z życia, którego Charlotte nie byłaby w stanie jej zapewnić. Biorąc to wszystko pod uwagę, podjęła słuszną decyzję.

Leo usiadł na drugim końcu stopnia, zostawiając między nimi wolną przestrzeń. Pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach, skrzyżował ręce i utkwiał wzrok w podjeździe.

– Sięgnęłaś po przekonujące argumenty.

Charlotte przyglądała się Niedźwiedziowi. Obecność psa działała na nią dziwnie kojąco.

– Nie zależało mi na tym. Zwykle muszę się bardzo postarać, żeby kogoś przekonać.

– Masz na myśli pisanie. Wyszukałem twoje nazwisko w internecie. Od dawna jesteś dziennikarką. Zawsze chciałaś pisać?

Już miała mu odpowiedzieć, kiedy coś ją zastanowiło.

– Wyszukałeś mnie? – Spojrzała na niego z ukosa. – Masz tu połączenie z internetem?

– A ty nie masz?

– Owszem, ale nie prowadzę pustelniczego życia w domu na końcu wyspy.

– Nie jestem... pustelnikiem. – Sprawiał wrażenie skrępowanego. – Surfuję w internecie.

Wiem, co się dzieje na Quinnipeague. – Wyprostował się i oparł łokcie na wyższym stopniu. Nie była to może nonszalancka poza, lecz Charlotte nigdy nie widziała go tak rozluźnionego. – Jak długo redagujesz swoje artykuły?

– Póki nie jestem z nich zadowolona.

– Skąd wiesz, że są dobre?

– Po prostu wiem. To część mojego zawodu. Nie uważam się za najlepszą pisarkę na świecie, ale za wybredną czytelniczkę na pewno. Kiedy po raz kolejny czytam swój artykuł i czuję, że temat ożył, wiem, że skończyłam.

Leo przez chwilę zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Później jego czoło zmarszczyło się jak u Niedźwiedzia.

– Czy zdarza ci się poświęcić dużo czasu jakiemuś fragmentowi, a później i tak wyrzucić go do kosza?

– Tak.

– Bo twój wydawca twierdzi, że tekst jest kiepski?

– Bo ja tak twierdzę.

– A jeśli wydawca domaga się wprowadzenia poprawek, które uważasz za złe?

– Złe?

– Takie, które skompromitowałyby cię jako autorkę. Zdarzyło ci się coś takiego?

Charlotte nie musiała się długo zastanawiać.

– Tak jak wtedy, gdy wydawczyni kazała mi sfabrykować artykuł?

– Zrobiłaś to?

Spojrzała na niego przez ramię.

– Nie. Co prawda ta kobieta nigdy więcej mnie już nie zatrudni, ale nie szkodzi. Są inne gazety.

Kiedy Leo ponownie zapatrzył się na podjazd, Charlotte uważnie przyjrzała się jego profilowi. Półmrok złagodził rysy, które sprawiały wrażenie zadziwiająco inteligentnych jak na faceta, który ponoć nie był bystry. A co z jego obyciem? Surfował po sieci, ale to raczej nie

czyniło go mistrzem towarzyskich pogaduszek. Charlotte знаła jednak wiele obytych w świecie osób, które potrafiły ją zapytać wyłącznie o to, ile artykułów rocznie pisze.

Leo Cole okazał się niespodzianką. Zaskoczył ją ubiegłego wieczoru na plaży, kiedy przestraszył się, że zrobił jej krzywdę. W gruncie rzeczy nie miała bladego pojęcia, jaki jest.

Popatrzył na nią, otrząsając się z zamyślenia.

– Co teraz? – zapytał.

– To znaczy?

– Chcesz pójść na plażę i się pieprzyć? – Gdy to mówił, kącik jego ust zadrżał. A więc miał też poczucie humoru?

– Nie – odparła, chociaż bez przekonania.

– Dlaczego?

– Po pierwsze nie lubię tego słowa. Po drugie oboje powinniśmy pamiętać o tym, że nie jestem łatwa. A po trzecie zaraz będzie padać.

– Nieprawda, popada dopiero rano.

– Skąd wiesz?

– Mam w domu stację pogodową, która daje cogodzinny odczyt i nigdy się nie myli.

Spodziewała się czegoś bardziej związanego z naturą, na przykład że kiedy zbliża się burza, zioła pochylają się pod odpowiednim kątem.

– Stacja pogodowa i komputer. Patrząc na twój dom, trudno uwierzyć, że jest w nim coś, co pochodzi z dwudziestego pierwszego wieku. Powiedz mi jeszcze, że masz sześćdziesięciodwucalowy telewizor z płaskim ekranem.

Leo pokręcił głową i spojrzał w górę.

– Ściemnia się. Chcesz mi pomóc przybić sklejkę do dachu?

\*

Charlotte nie mogła odmówić. Leo po raz pierwszy poprosił ją o pomoc! Wykazał się sprytem? O tak! Kawałki sklejkę o wymiarach metr dwadzieścia na dwa czterdzieści były prawie tak nieporęczne jak okiennica przeciwburzowa. To zadanie było stworzone dla dwojga.

Przystawiwszy dwie drabiny do dachu, wdrapali się na rusztowanie i położyli pierwszy kawałek sklejkę. Charlotte przytrzymała ją prosto, a Leo przymocował drewno kilkoma strzałami gwoździarki. Drugi i trzeci kawałek też ułożyli w mgnieniu oka. Charlotte chętnie by się z nim zamieniła, ale mieli tylko jedną gwoździarkę, a Leo nie kwapił się, żeby ją oddać. Pozwoliła mu na tę manifestację męskości w ramach podziękowania za to, że ułatwił jej rozmowę, która mogła być znacznie trudniejsza.

Podczas pracy nie odzywali się do siebie. Charlotte nawet to odpowiadało. Przez cały dzień biła się z myślami, i chociaż problem nie zniknął, praca z Leo przyniosła jej wytchnienie.

Byli już prawie na szczycie dachu, kiedy zawibrował jej telefon. Nicole przysłała SMS, że jej samolot wylądował w Portland. Kiedy Charlotte skończyła czytać, zauważyła, że Leo jej się przygląda.

– Kto to? – zapytał.

– Nicole. – Schowała telefon z powrotem do kieszeni.

– Nadal w Nowym Jorku?

– Właśnie wraca na wyspę.

Kiedy podniosła wzrok, Leo patrzył na jej usta. Szybko wrócił do pracy, lecz Charlotte nie mogła się skupić. Poza tym, że zauważył rozstępy na jej brzuchu, był wprawnym kochankiem. Ciekawiło ją, w jaki sposób zwykle zaspokajał swoje potrzeby.

– Masz dziewczynę? – zapytała.

– Nie. – Wbił kilka gwoździ. – A ty masz chłopaka?  
– Nie.  
– Dlaczego?  
– Za dużo podróżuję.  
– Gdzie jest twój dom? – zapytał.  
– Mam mieszkanie w Nowym Jorku.  
– Nicole się w nim zatrzymała?  
– Nie. Była ze swoim mężem. Moje mieszkanie jest na Brooklynie i byłoby za małe dla dwóch osób. Zresztą stać ich na hotel na Manhattanie.

I co im po pieniądzach, pomyślała. Nie można za nie kupić szczęścia. Nadal pamiętała smutek w głosie Nicole.

Położyli jeszcze dwa kawałki sklejki, zanim Charlotte przysłała do głowy pewna myśl. Bohater *Salt* popłynął nocą po swojego przyjaciela. Leo nie był co prawda bohaterem, lecz mieszkał na wyspie. Był sprawny, świetnie pływał, a skoro był dostatecznie męski, żeby władać gwoździarką, musiał wiedzieć to i owo na temat żeglowania.

– Potrafisz sterować łodzią?

W odpowiedzi usłyszała prychnięcie. Uznała je za potwierdzenie, więc mówiła dalej:

– Potrzebuję twojej pomocy. Nicole będzie musiała spędzić noc w Rockland, jeśli po nią nie popłyniemy.

Cole sprawiał wrażenie rozbawionego.

– My?

– Nie mogę płynąć sama, a ty jesteś mi coś winien.

– Za co?

– Pomogłam ci naprawić dach. Masz może łódź? No tak... – Przypomniała sobie. – Przecież nie ruszasz się z wyspy.

– Kto tak twierdzi? – zapytał wyraźnie urażony.

Charlotte nie zamierzała sprowadzić klątwy Cole'ów na Melissę.

– Nieważne.

– Ważne jak cholera. – Odwiesił gwoździarkę i spojrzał na Charlotte. Tym razem patrzył jej w oczy, nie na usta, lecz i tak to poczuła. Jego ciemnoniebieskie oczy były głębokie i dumne.  
– Wiem, jak się dostać na kontynent. Jeśli nie ruszam się z wyspy, to nie dlatego, że nie mogę, tylko dlatego że nie chcę. Mogę cię tam zabrać.

Chciała mu uwierzyć. Sprowadzenie Nicole na wyspę jeszcze tej nocy byłoby odpowiedzią na jej modlitwę.

– Jak?

– Na latającym dywanie – odparł, unosząc kącik ust, a po chwili dodał: – O której Nicole będzie w Rockland?

– O północy.

– A która jest teraz? – Na jego owłosionym nadgarstku nie było zegarka.

– Kwadrans po dziesiątej.

– Pomożesz mi skończyć, pójdziesz po samochód i odbierzesz mnie z zakrętu.

Wydawszy polecenie, przyłożył gwoździarkę do sklejki i wrócił do pracy.

Charlotte zakładała, że Leo ma samochód; zachodziła w głowę, jakiej był marki, ile miał lat i czy Leo wstydzi się z niego korzystać. Nie żeby to miało większe znaczenie. Nie musiała wracać do domu po jeepa. Stał zaparkowany na drodze, tuż za zakrętem.

Podeksytowana myślą, że pomoże Nicole, wysłała jej SMS i wzięła się do pracy.

Leo schował drabiny, wszedł do domu tylnymi drzwiami – bez słowa wyjaśnienia czy zaproszenia – i wrócił po krótkiej chwili, ubrany w wełnianą czapkę i dżinsy. Spodnie były stare i idealnie dopasowane. W tylnej kieszeni Charlotte dostrzegła wypukłość, pewnie portfel, ale nie zauważyła kluczy. Kiedy Leo wsiadł do jepea, przesunęła siedzenie do tyłu, żeby zrobić mu miejsce na nogi.

Zimny wiatr targał jej włosy. Pewnie martwiłaby się, że będzie padać, gdyby nie ufała Leo. Znał się na tutejszej pogodzie jak nikt inny i miał po swojej stronie Cecily. Nie przebrał się w nic cieplejszego. „Mężczyznom jest zawsze gorąco”, wyjaśnił. Mimo to zastanawiała się, czy nad wodą nie robi mu się zimno. Jej samej nie było zbyt ciepło nawet na ładzie. Kiedy tylko zaparkowała na molo, sięgnęła po leżący na tylnym siedzeniu rybacki sweter.

W porcie nie było żywej duszy. Poza kilkoma osobami zmywającymi naczynia w knajpkach Quinipeague spało.

– Spotkamy się na przystani – odezwał się Leo i poszedł w kierunku tylnego wejścia do Chowder House. Trzasnęła siatkowymi drzwiami, wszedł do środka, a po chwili wrócił z torbą pełną jedzenia na wynos i kluczykami. – Kolacja – wyjaśnił i, nie mówiąc ani słowa na temat kluczyków, zaprowadził Charlotte do przystani.

Charlotte nie miała pojęcia, czyją łódź pożyczyli, lecz była stosunkowo nowa i bez wątplenia porządnie wykonana. Leo bez większego wysiłku odwiązał liny, odpłynął od pomostu, po czym uruchomił silnik i łódź ruszyła w bezksiężycową noc. Na widok niknącej w oddali wyspy Charlotte zrobiło się słabo. Światła od czasu do czasu padały na skrawek mgły, ale poza tym łódź ociążale sunęła po falach.

Charlotte stanęła przy Leo i spróbowała wypatrzeć horyzont.

– Skąd wiesz, dokąd płyniemy? – zapytała wreszcie, przekrzykując wiatr.

– Już to robiłem – odkrzyknął. – Jesteś zdenerwowana?

– Owszem. Nic nie widzę.

Leo nacisnął guzik, włączając GPS.

– Jesteśmy tutaj. – Wskazał punkt na ekranie. – A twoja przyjaciółka tam.

Charlotte przyjrzała się wyświetlaczowi. Jeśli nawigacja działała poprawnie, płynęli we właściwym kierunku.

– Gdzie torba? – zapytał Cole.

Charlotte wyciągnęła ją spod siedzenia i otworzyła. Zapachu, który się z niej wydobył, nie dało się pomylić z niczym innym.

– Kąski krabowe? – zapytała podekscytowana. Był to jeden ze smakołyków Dorey Jewett: maleńkie kawałki krabowego mięsa smażone na maśle. Nie dodawała do nich żadnych ziół, posypywała je tylko bułką tartą z krakersów, żeby wchłonęła nadmiar masła, dzięki czemu wygodniej się je jadło.

– Poczęstujesz się?

Charlotte chętnie by się skusiła.

– Nie, nie. Jestem po kolacji.

– Wystarczy dla dwojga – powiedział Cole, wsadził rękę do torebki i zaczął wrzucać kąski do ust. Nie przewracał oczami w ekstazie, lecz na jego twarzy malowało się zadowolenie.

Charlotte przyglądała mu się, przełykając ślinę, aż wreszcie westchnęła i sięgnęła do torebki. Leo miał rację: jedzenia wystarczyło dla obojga. Rozkoszowała się każdym kęsem, zastanawiając się, czy tak właśnie Leo wyobraża sobie randkę. Kiedy skończyli jeść, zgmiotła torebkę, wcisnęła ją do bocznego schowka, żeby nie wywiał jej wiatr, i wróciła na miejsce obok niego.

Ze względu na ryk silnika i huk fal rozbijających się o kadłub łodzi nie zawracali sobie głowy rozmową, ale było coś ekscytującego w samym staniu u boku Leo Cole'a, z włosami rozwiewanymi przez wiatr. Jedno było jasne: Leo czuł się u steru łodzi równie pewnie jak na dachu swojego domu. Nie przeszkadzały mu wichry, ciemność ani świadomość, że jego los zależy od małego ekranu na desce rozdzielczej.

W zaskakująco krótkim czasie na horyzoncie zamajaczyły światła Rockland. Leo z wielką wprawą zwolnił, wziął zakręt i pozwolił, by fale poniosły łódkę przez kilka ostatnich metrów w kierunku czekającej w porcie Nicole – samotnej, kruchej postaci, z bagażem przy boku i ciężarem zmartwień na przygarbionych ramionach.

Charlotte wygramoliła się z łódki i przytuliła przyjaciółkę. Nicole się rozplakała. Nic nie mówiła, tylko cichutko łkała przez chwilę, która ciągnęła się jak wieczność. W końcu odsunęła się od Charlotte, otarła policzki wierzchem dłoni i rozejrzała się za walizką na kółkach.

– Wsadził ją do łodzi – wyjaśniła łagodnie Charlotte. Dopiero w tym momencie Nicole zorientowała się, kim jest tajemniczy „on”.

Szeroko otworzyła zapłakane oczy.

– Leo Cole? – zapytała bezgłośnie i, patrząc na nią z przerażeniem, szepnęła: – Obiecałaś. Ale Charlotte już prowadziła ją do łodzi.

– Porozmawiamy o tym jutro. Teraz powinnaś się jak najszybciej znaleźć w domu.

## Rozdział 12



Większą część nocy Charlotte spędziła w salonie, nerwowo rozważając wszystkie możliwe scenariusze, bo nie potrafiła się zająć niczym innym. Chciała czytać, lecz nie mogła się skoncentrować, chciała pisać, lecz brakowało jej weny. W końcu sięgnęła po robótkę i wróciła do dziergania rękawa swetra, by po kilku centymetrach zorientować się, że pomyliła splot. Przyjrzała się wzorowi, warkoczom na swetrze, jeszcze raz wzorowi, aż wreszcie z niechęcią odłożyła robótkę.

Przez cały czas nasłuchiwała głosu Nicole, lecz jedynym dźwiękiem, jaki do niej dochodził, był odgłos zacinającego deszczu o świecie, który smagał kamienie na tarasie, przyginał do ziemi trawę na plaży i mieszał się z falami oceanu. Charlotte pomyślała, że zapowiada się dobry poranek na rozmowę, lecz kiedy Nicole wreszcie zeszła na dół, wyglądało na to, że rozmowa była ostatnią rzeczą, o jakiej marzy. Miała bladą twarz, przyklepnięte włosy i sięgnęła po kawę z taką miną, jakby na nic więcej nie miała siły.

– Spałaś chociaż trochę? – zapytała Charlotte, gdy już obie trzymały parujące kubki.

Nicole była wyjątkowo milcząca.

– Prawie wcale.

– Zjesz coś?

Pokręciła głową ze smutnym uśmiechem i upiła łyk kawy.

Deszcz bębnił o szyby. Jego ziemisty zapach mieszał się z aromatem mocnej kawy, tworząc kombinację, która pewnie byłaby kojąca, gdyby Charlotte nie czuła się taka podminowana.

– Było aż tak źle?

Kiwnięcie głową, kolejny łyk kawy.

– Co się stało? – drażyła Charlotte.

Nie odrywając oczu od kubka, Nicole ponownie uniosła go do ust. Potem go odstawiła, usiadła głębiej w fotelu i wreszcie popatrzyła na przyjaciółkę.

– O co chodzi z tym całym Leo Cole’em?

Charlotte wołałaby porozmawiać o zdrowiu Juliana, lecz Nicole najwyraźniej chciała to odwlec.

– Pomogłam mu, więc mi się odwdzieczył. Nie mam pojęcia, od kogo pożyczył łódź, ale potrafi nią sterować.

– Od Haydena Perry’ego – odparła Nicole. – Ciągłe gadali z tatą o łodziach. Ciekawe, czy Hayden wie, że Cole ją pożyczył.

– Na pewno. Leo dostał klucze od Dorey, a ona nie dałaby ich byle komu. Poza tym przepłynęliśmy trzydzieści pięć kilometrów na pełnym gazie, więc i tak zauważałby ubytek paliwa.

Nicole wyglądała na zamyśloną. Marszcząc brwi, sięgnęła po leżące na blacie wydruki wywiadów i przekartkowała je, nie czytając. Podniosła wzrok na Charlotte.

– Czy to znaczy, że teraz ty jesteś dłużniczką Leo?

– Nie. To on mi się zrewanżował za pomoc w naprawie dachu.



– Pozwoli ci się rozejrzeć po ogrodach Cecily?  
– Pracuję nad tym. – Był to jej główny cel. – Postanowiłam się z nim zaprzyjaźnić. Nie sądzę, żeby miał wielu przyjaciół. – Z drugiej strony nie spodziewała się również tego, że szanowany mieszkaniec wyspy pożyczycy swoją cenną łódź komuś takiemu jak Leo Cole. – To dziwne – dodała, głośno myśląc. – Czasami wydaje mi się, że on tylko udaje łobuza. Można z nim porozmawiać na poziomie, tak jak z tobą czy ze mną.

Nicole westchnęła.

– Rozmowy na poziomie nie zawsze wystarczają. – Jej oczy napełniły się łzami. – Moje małżeństwo przeżywa kryzys i nie tylko ja tak uważam. Wczoraj wieczorem, gdy wylądowałam w Portland, zadzwoniła do mnie Kaylin. Rozmawiała z Julianem i wie, że coś jest nie tak. Jej zdaniem Julian sprawia wrażenie wycofanego. Użyła dokładnie tego słowa: „wycofany”. Zapytała mnie, czy nie popełnił przypadkiem błędu w sztuce i nie wytoczono mu procesu albo czy nie sprzedano szpitala i nie przeniesiono go gdzieś indziej. Kiedy powiedziałam, że nie, zapytała, czy się rozwodzimy. – Nicole wyglądała na wstrząśniętą. – Naprawdę zadała mi to pytanie.

– Wyraziła tylko swoje największe obawy, Nicki. Nie musi wierzyć w to, że którakolwiek z nich się ziści.

– A niby dlaczego nie? Prawda jest taka, że Julian rozwiódł się z jej matką, więc równie dobrze może się rozwieść ze mną. Za drugim razem jest łatwiej.

– W niczym nie przypominasz Moniki. Wypełniasz lukę w życiu Juliana. On cię kocha.

– Po tym, co się wydarzyło wczoraj, nie jestem tego pewna – wyznała Nicole. Już sam ton jej głosu, cichy, beznamietny, świadczył o tym, że problem jest poważny. – Czuję się tak, jakby i mnie próbował odepchnąć.

– Może usiłuje się bronić.

– Przede mną?!

– Może buduje wokół siebie mur, z obawy, że go zostawisz.

– Dlaczego miałabym to zrobić?

– Bo jesteś młoda i zdrowa i pragniesz dziecka.

Nicole się wyprostowała.

– Mylisz się, Charlotte. Nie zostawiłabym go. W jednej sekundzie pojechałabym za nim do Karoliny Północnej. Odłożyłabym pisanie książki, a gdyby mój wydawca się wycofał, znalazłabym innego. Julian o tym wie. Powtarzałam mu to wiele razy.

Jednak Charlotte nie przestała analizować sytuacji, w jakiej znalazł się Julian.

– Monica go porzuciła. Wybrała karierę. Być może Julian obawia się, że z powodu jego choroby odejdziesz do młodszego mężczyzny. Albo się boi, że twoja książka odniesie wielki sukces i nie będziesz go wcale potrzebowała.

– Nigdy nie rzuciłabym Juliana dla kariery – zaproponowała Nicole – a już na pewno nie zostawiłabym go z powodu choroby. Nie na tym polega małżeństwo, przynajmniej dla mnie, a skoro ty tego nie rozumiesz, może właśnie dlatego nie wyszłaś za mąż! – wyrzuciła z siebie. Chwilę później ogarnęły ją wyrzuty sumienia. – Przepraszam, Charlotte. – Chwyciła przyjaciółkę za rękę i mocno trzymała. – Nie powinnam była tego mówić. Zachowałam się okropnie.

Charlotte rozumiała jej zdenerwowanie i nawet ucieszyła się, widząc u Nicole przejawy złości i gniewu, a nie tylko bezgranicznego smutku. Poza tym Nicole poruszyła ważną kwestię.

– Nie mam męża, bo nie potrafię znaleźć idealnego faceta – powiedziała cicho.

– Żaden facet nie jest idealny.

– Tak, ale jeśli nie wierzysz w to przynajmniej na początku, jesteś na straconej pozycji. Mniejsza już o moich rodziców; połowa moich znajomych jest po rozwodzie.

– I to cię przeraża?

– Przeraża mnie – powiedziała ze spokojem Charlotte, otwierając serce przed Nicole tak jak przed nikim innym – że stracę grunt pod nogami, zostanę zraniona i będę musiała układać sobie życie na nowo.

Prawda była taka, że nie miała nosa do mężczyzn. Ci, z którymi się umawiała, okazywali się chronicznymi podrywaczami albo byli żonaci. Być może wybierała nieodpowiednich partnerów z obawy przed poważnym związkiem.

Długo się nad tym zastanawiała. Mieszkała i podróżowała samotnie, egzystowała na obrzeżach życia innych osób, miała więc dużo czasu na zastanawianie się, dlaczego to, czego pragnie najbardziej, jest poza jej zasięgiem. Nie brakowało jej też czasu, by wmówić samej sobie, że wcale tego nie pragnie, chociaż tak do końca nie zdołała się przekonać.

Charlotte westchnęła.

– Ale to nie twoje zmartwienie, Nicki. Cierpiałam tu katusze, czekając na twój powrót. Powiedz mi, co się wczoraj wydarzyło – poprosiła błagalnym tonem.

Zmiana tematu pomogła. Nicole wypila łyk kawy i wygodnie usadowiła się w fotelu.

– Julian zgodził się na nową kombinację leków.

Charlotte odetchnęła z ulgą.

– To chyba dobrze?

– Sama nie wiem. – Nicole utkwiała wzrok w kawie. – Nowy lek powinien powstrzymać system odpornościowy przed niszczeniem mieliny, która otacza nerwy, bo jeśli mielina niszczeje, nerwy nie komunikują się z mózgiem; właśnie na tym polega SM – ostatnie zdanie wypowiedziała jednym tchem, jakby przeczytała opis choroby setki razy, odkąd postawiono Julianowi diagnozę.

Charlotte wiedziała, na czym polega SM, ale pozwoliła przyjaciółce mówić.

– Nowa terapia oznacza codzienne zastrzyki – zakończyła Nicole, unosząc wzrok znad kubka. – Dla Juliana to nie problem, jest przecież lekarzem.

– Jakie mogą być skutki uboczne?

– Uszkodzenie wątroby. Będzie ją trzeba stale kontrolować, ale Julian jest gotowy podjąć to ryzyko. Jego zdaniem siedzi beczynnienie i czeka, aż choroba całkiem go pokona. – Przyłożyła rękę do czoła w geście rezygnacji. – Zawsze był na bieżąco z najnowszymi osiągnięciami medycyny, więc uważa ryzyko za coś naturalnego. Podjął już decyzję. Chce spróbować przeszczepu komórek macierzystych. Zamierza przyjmować ten drugi lek wyłącznie po to, by udowodnić lekarzowi, że jest nieskuteczny. Założę się, że w tym momencie wydzwania do lekarzy z pytaniem, czy nie potrzebują królika doświadczalnego. Nie przejmuję się, że ryzyko odrzucenia przeszczepu jest w jego wypadku bardzo duże, i nadal nie chce o niczym powiedzieć swoim rodzicom i dzieciom, którzy mogliby być jego dawcami.

– W takim razie rozważa przeszczep dorosłych komórek?

– Właściwie to nie. – Nicole westchnęła pokonana. – Chce wykorzystać komórki z krwi pępowinowej.

Charlotte była przerażona.

– Już teraz?!

– Ma dosyć próbowania kolejnych leków. Wydaje mu się, że tylko traci czas. Stało na tym, że chce powstrzymać objawy i odwrócić bieg choroby. Komórki macierzyste z krwi pępowinowej mogą mu to zapewnić.

– Ale nie muszą.

– Wiem o tym, ale kiedy wspominam o ryzyku, Julian mówi, że to jego życie, chociaż nie ma racji. – Nicole pochyliła się do przodu. – Nie rozumie, że chodzi także o moje życie – dodała

żarliwie. – Nie dopuszcza do siebie myśli, co dla mnie znaczyłoby, gdybym go straciła. Przeszczep komórek może z niego zrobić warzywo.

Charlotte odczekała chwilę, zanim powiedziała:

– Albo go wyleczyć.

Była ciekawa, co się wydarzyło, i wolałaby, żeby Julian nie rozważał przeszczepu komórek macierzystych z krwi pępowinowej, ale przeczytała dostatecznie dużo artykułów na ten temat, by wiedzieć, jak wielkie nadzieje wiązano z tą metodą. Nie mogła oszukiwać Nicki.

– Tak – przyznała Nicole, ponownie opadając z sił.

– Jak bardzo jest zdeterminowany?

– Nie przestanie szukać, dopóki nie znajdzie lekarza, który zgodzi się przeprowadzić przeszczep.

Charlotte ścisnęło w żołądku. Jeśli Julian podejmie decyzję o przeszczepie, będzie miała moralny obowiązek powiedzieć mu o dziecku. Bardziej zgodny dawca mógłby mu uratować życie. Ale wtedy Nicole pozna prawdę.

Charlotte mogła wymóc na Julianie obietnicę, że nie wyzna żonie prawdy. Powie jej tylko, że lekarz znalazł odpowiedniego dawcę w banku krwi pępowinowej. Jednak to by było kłamstwo prawie tak samo złe jak to, co zrobili.

– Rozmawiałaś z nim dzisiaj?

– Nie. Pisaliśmy do siebie SMS-y. Zapytałam go, czy wszystko w porządku. Odpisał, że tak. Ani słowa więcej. Julian oddała się także od mnie. Kto mu jeszcze został?

Na pewno nie ja, pomyślała Charlotte. Nie pragnęła Juliana Carlisle'a, chciała go tylko uratować dla swojej najlepszej przyjaciółki, która mogłaby przestać nią być, gdyby poznała prawdę. Charlotte postanowiła zrobić wszystko, żeby do tego nie dopuścić. Chwyliła zimną rękę Nicole.

– W porządku. Oto, co powinnaś zrobić: pisz do niego często, ale niech to będą krótkie, jedno- lub dwuzdaniowe wiadomości. Niech wie, że go kochasz i o nim pamiętasz. Nie pozwól mu się od ciebie oddalić. Trwaj przy nim.

– A jeśli nie odpowie na moje SMS-y? – zapytała Nicole przygnębionym głosem.

Charlotte pamiętała ten głos jeszcze z czasów dzieciństwa, kiedy to Nicole chowała się w cieniu i unikała kontaktów z ludźmi. Tamta Nicole dawno zniknęła, zastąpiona przez pewną siebie, świadomą własnej wartości osobę, na którą wychowali ją rodzice. Dowodem na to było wszystko, co udało się jej osiągnąć w ciągu ostatnich czterech lat, mimo wiszących nad nią ciemnych chmur. Od czasu do czasu Nicole miała prawo do regresu. Odpowiedź na jej pytanie była jednak oczywista. Charlotte nie musiała nic mówić, wskazała tylko na laptopa, kuchenkę i wydruki wywiadów.

\*

Nicole zajęła się rozdziałem poświęconym słodyczom. Na jej liście znajdowały się ciasta brzoskwinowe, rabarbarowe i dyniowe, które miały się pojawić podczas corocznego pikniku na skarpie z okazji Dnia Niepodległości czwartego lipca; wiedziała, że kucharze z wyspy będą mieli pod ręką swoje przepisy. Poza ciastami zależało jej na przepisie na jagodowy cobbler, pieczone jabłka z kruszonką, indiański pudding z melasy, czekoladowe ciągutki z migdałem Isobel Skane i oczywiście ciasteczka brownie z orzechami makadamii Melissa Parker.

Jako autorka książki i kucharka, Nicole odpowiadała za zbieranie i testowanie przepisów. W niektórych należało zmienić proporcje składników, lecz ona miała w tym doświadczenie. Innych w ogóle nie trzeba było sprawdzać, pod warunkiem, że ufała autorowi i osobiście skosztowała przygotowanej przez niego potrawy. Potrzebowała pisemnych pozwoleń na

wykorzystanie przepisów w książce. Oznaczało to ponowne wizyty u autorów, po ugotowaniu potrawy lub uważnej lekturze przepisu. Miała zatem podwójny powód, żeby od razu zabrać się do pracy.

Ranek spędziła w miasteczku. Mieszkańcy wyspy uwielbiali plotkować, na szczęście o sobie i swoich przepisach, a nie o Nicole. Była zachwycona tym, co mówili. Wpadłszy na pomysł umieszczenia na marginesach wskazówek od tych autorów, których sylwetki nie znajdują się w książce, robiła szczegółowe notatki. I chociaż w południe wróciła do domu z mniejszą liczbą kartek, niż się spodziewała, do jednej z nich dołączono ćwierć litra jagód, z których, korzystając z przepisu autorki, upiekła aromatyczny cobbler.

Polała go jogurtem i zjadła na lunch.

Popołudnie spędziła na wklepywaniu przepisów do komputera, odpowiadanie na pytania czytelników i pisanie o nowym internetowym sklepie, w którym można było kupić organiczny cynamon i gałkę muszkatołową. Zamierzała ich użyć jeszcze tego samego popołudnia, sprawdzając przepis na indiański pudding. Obydwie przyprawy pochodziły z tropikalnych roślin, które – mimo cudownych mocy Cecyli – nie rosły na wyspie, ale skoro indiański pudding był tu cenionym deserem, Nicole nie zamierzała z niego rezygnować. Do puddingu tradycyjnie dodawało się jabłkową melasę z rosnących na wyspie owoców. Przepis, który dostała Nicole, wspominał o gotowej melasie, znacznie łatwiej dostępnej, ale na pewno mniej smacznej. Nicole postanowiła zapytać Bev Simone, skąd brała prawdziwą jabłkową melasę.

Tymczasem Charlotte przeprowadzała wywiad z Susan Murray, która przyплыnęła na Quinipeague z okazji Dnia Niepodległości i stanowiła dobry przykład osoby regularnie zwabianej na wyspę przez pyszne jedzenie i doskonałą zabawę. Susan była zaszczyczona, że może przekazać Charlotte swój przepis na herbatniki ze stopionymi piankami. Nicole upiekła je wieczorem i zjadła wspólnie z przyjaciółką, razem z indiańskim puddingiem.

\*

Charlotte i Nicole obudziły się z ciężkimi żołądkami w czwartkowy poranek, zapowiadający kolejny pochmurny dzień, i skoncentrowały się na *Rybach*. Kiedy Charlotte rozmawiała z naczelnikiem poczty o pochodzeniu, sposobie gotowania i składnikach jego duszonego homara, ponoć najlepszego w całym Maine, Nicole wybrała się po przepisy na glazurowanego łososia, łupacza zapiekanego z pesto i panierowanego dorsza z dodatkiem majeranku, specjalnej odmiany miętowego cząbrzu dostępnej wyłącznie na Quinipeague i szafwii.

Na kolację usmażyła panierowanego dorsza; zioła kupiła w sklepie na wyspie, zaś świeżo filetowaną rybę – rankiem w porcie. Zmieniła tylko ilość przypraw, by zrekompensować osobom mieszkającym poza wyspą brak miętowego cząbrzu. Poza tym uznała przepis za idealny i opublikowała go na blogu, zanim położyła się spać.

Opowiedziała też o nim Julianowi. Od powrotu do Karoliny Północnej dzwonił do niej każdej nocy przed zaśnięciem, co chyba oznaczało, że jej krótkie wiadomości odniosły pożądany skutek, i chociaż w jego głosie pobrzmiwało zmęczenie, rozmawiali o pracy, nie o chorobie. Julian był zadowolony ze swoich osiągnięć, Nicole również. Miesiąc rozłąki zapowiadał się bardzo pracowicie.

\*

Praca okazała się wybawieniem także dla Charlotte. Chociaż piątkowy ranek był już słoneczny, nie czuła pokusy, żeby oderwać się od obowiązków. Zapomniawszy o Leo, Julianie, Nicole i komórkach macierzystych, pozwoliła się pochłonąć pracy. Im więcej rozmawiała

z Nicole, tym bardziej ambitny wydawał się ich projekt, a zbieranie surowego materiału było dopiero początkiem. Każda sylwetka musiała zostać opisana, a opis zredagowany i opatrzony odpowiednio przygotowanymi zdjęciami. Zadaniem Nicole było skomponowanie menu, o czym Charlotte nie miała bladego pojęcia, lecz to na niej jako zawodowej dziennikarce spoczywał obowiązek złożenia wszystkiego w całość. Pracy było mnóstwo jak na tak krótki czas, który mógł się jeszcze skrócić, jeśli Nicole będzie musiała niespodziewanie dołączyć do Juliana.

Ponieważ właśnie zaczynał się długi weekend, zdecydowały się zająć rozdziałem *Brunch*. Weekendowi przyjezdni ściągali na Quinipeague około południa, lecz rodowici wyspiarze zwykle wstawali razem ze słońcem, można więc było z nimi pracować już od siódmej. Przynajmniej taki był plan poprzedniego wieczoru; niestety Nicole zasnęła po tym, jak pracowała do późna w nocy.

Mimo to o ósmej były już w drodze do miasteczka. Nicole jeździła po wyspie w poszukiwaniu przepisów na zapiekankę rybną, małe w cieście i łososiową tartę, a Charlotte usiadła w Chowder House z Dorey Jewett, która poza tym, że zawsze przynosiła wybór chowderów na coroczny brunch u Bailey'ów, miała być najważniejszą postacią książki.

Siedziały w kuchni, chociaż w przypadku Dorey trudno było mówić o „siedzeniu”. Ubrana w swój zwykły roboczy strój: podkoszulek, szorty i fartuch, bezustannie siekała warzywa, klarowała masło lub doglądała pracy chłopca, który obierał małe zebrane zaledwie kilka godzin wcześniej. Nawet o tej porze w kuchni unosił się zapach chowderu gotującego się w wielkich metalowych garnkach.

Tak jak Anna Cabot przysłużyła się wyspiarskiej kuchni w ogólnym jej pojęciu, Dorey tworzyła historię restauracji na Quinipeague, począwszy od pierwszego rybnego stoiska na moło, przez prymitywną budkę z hamburgerami na skarpie, krótko istniejącą jadłodajnię przy Main Street, aż po obecny bar i kawiarnię. Naturalnie najwięcej czasu zajęła Dorey opowieść o ewolucji, jaką przeszedł Chowder House. Wszelkie zasługi przypisywała swojemu ojcu, nieżyjącemu od blisko dwudziestu lat. Wszyscy wiedzieli, że to Dorey wprowadziła lokal w dwudziesty pierwszy wiek, ale jej lojalność wobec rodziny była ujmująca. Ujawniła się ona szczególnie mocno, gdy Charlotte zapytała Dorey o rolę, jaką w jej gotowaniu odegrała Cecily.

Przerywając siekanie, Dorey nagle straciła cierpliwość.

– Jewettowie gotowali na wyspie na długo przed tym, jak Cecily przysłała na świat. Świetnie sobie radziliśmy z naszymi własnymi ziołami. – Opuściła nóż z głośnym brzękiem.

Charlotte postanowiła zmienić temat.

– W takim razie porozmawiajmy ogólnie o kuchni wyspiarskiej. Nie możesz zaprzeczyć, że zioła odegrały w niej ważną rolę.

– Rzeczywiście – przyznała Dorey, chociaż szybkość, z jaką siekała cebulę, świadczyła o jej podenerwowaniu. – Niektórzy z twoich „kucharzy” nie zasługują na to miano. Ich przekazywane z pokolenia na pokolenie potrawy zawdzięczają cały swój smak ziołom.

– Ale sama też używasz ziół Cecily, prawda?

– Hej, nie jestem głupia! Jeśli potrzebujesz świeżej bazylii lub tymianku, na wyspie jest tylko jedno ich źródło, i nie mówię o ogrodzie Cecily. Mam zioła Cole'ów we własnej szklarni. Lepszych nie znajdziesz na całej wyspie. – Zsunęła poszatowaną cebulę do miski szeroką częścią ostrza i otarła pulchnym ramieniem łzawiące oczy. – Chodzi mi tylko o to, że przepisy Jewettów to coś więcej niż zioła.

Charlotte właśnie myślała o tym, że skłonność do rywalizacji to jedna z cech Dorey, których do tej pory nie zauważyła, kiedy poznała kolejną. Ni stąd ni zowąd kobieta zapytała:

– Kim jest dla ciebie Leo Cole?

– Słucham?

– Płynęliście razem łodzią Haydena Perry’ego we wtorek w nocy.

Charlotte powinna była wiedzieć, że Dorey pilnuje tego, co się dzieje w porcie o każdej porze dnia i nocy. Tym razem jednak miała dobre wytłumaczenie.

– Poprosiłam go, żeby odebrał ze mną z Rockland moją przyjaciółkę, Nicole.

Kobieta badawczo jej się przyglądała. Ton jej głosu złagodniał, chociaż wyraz oczu nadal był poważny.

– Leo nie miał łatwego życia. Cecily nie sprawdziła się jako matka. Teraz wreszcie wyszedł na prostą. Martwię się, że możesz mu zaszkodzić.

Charlotte się roześmiała.

– Ja?

– Tamtej nocy zachowywał się inaczej niż zwykle. Polubił cię.

– Ja też go lubię.

– Dlaczego?

Charlotte otworzyła usta, lecz po chwili je zamknęła i zaczęła się zastanawiać nad swoimi uczuciami. W końcu przyznała zdezorientowana:

– Nie mam pojęcia.

– A powinnaś – ostrzegła ją Dorey. – To nie jest mężczyzna, którego można wodzić za nos.

– Bo jest niebezpieczny? Wszyscy tak twierdzą, ale ja tego nie wyczuwam. Kim on właściwie jest?

– Co masz na myśli?

– Żółtą rączką? Stolarzem? Ogrodnikiem?

– Nie wiesz?

– Nie. Rzadko rozmawiamy o osobistych sprawach. Myślę, że i jemu, i mnie odpowiada to milczenie.

Dorey sapnęła, odzyskując dobry humor.

– No cóż, niewiele wiem o milczeniu. Moje życie wypełnia zgiełk. Gdybym go nie lubiła, zajęłabym się czymś innym niż prowadzenie tego zoo. – Sięgnęła po następną cebulę. – Muszę wracać do pracy. Masz jeszcze jakieś pytania?

– Właściwie to tak. Co się stało z ojcem Leo?

– Miałam na myśli pytania dotyczące lokalu. O sprawy związane z Leo będziesz musiała zapytać jego. Wiem, że wypytyujesz też innych, ale jedno musisz wiedzieć, paniusiu – dodała, dźgając powietrze końcem noża. – Niezależnie od tego, czym się zajmuje Leo, urodził się i wychował na wyspie, a my potrafimy się nawzajem chronić.

Charlotte podniosła rękę w obronnym geście.

– Zrozumiałam.

– I dobrze. Nikt tu nie chce jego krzywdy.

\*

Charlotte nie trzeba było dwa razy powtarzać. Ona spędzała na wyspie lato, Leo mieszkał tu na stałe. Mógł być najgorszym z najgorszych, ale Quinnipeague było jego domem. Wypiarze o tym pamiętali. Czarna owca czy nie, zawsze staną po jego stronie.

Dumając nad tym, jakie to miłe, wyszła z Chowder House na słońce. Była dziesiąta trzydzieści. Przed kawiarnią ustawił się rząd pick-upów, co oznaczało, że miejscowi chcieli wykorzystać ostatnie godziny spokoju przed pojawieniem się weekendowych turystów. Charlotte przyjrzała się samochodom, ale nie dostrzegła wśród nich SUV-a Nicole. Zastanawiając się, czy przyjaciółka mogła go zaparkować w innym miejscu, rozejrzała się wokoło. Wtedy właśnie

zauważyła Leo opartego o granatowego pick-upa, który stał zaparkowany na końcu wąskiego podjazdu przy bibliotece.

Charlotte mocniej zabiło serce. Z rękami w kieszeniach dzinsów i skrzyżowanymi w kostkach nogami, sprawiał wrażenie, jakby zwyczajnie sobie stał i zabijał czas – gdyby nie te ciemne oczy, w których nie było cienia nonszalancji. Te ciemne oczy były wpatrzone w Charlotte.

Ruszyła w jego stronę spokojnym krokiem, by nie zwracać na siebie uwagi, chociaż w pobliżu nie było żywej duszy. Leo zaparkował w dyskretnym miejscu. Ich relacja – jakkolwiek by ją nazwać – była potajemna.

Zbliżywszy się do niego, Charlotte uśmiechnęła się i rzuciła ciche „cześć”. Leo nie odpowiedział, tylko przycisnął ją do furgonetki, przyłożył płasko dłonie do szyby po obu stronach jej głowy i pocałował. Był to ich pierwszy pocałunek od czasu poniedziałkowej nocy. Charlotte momentalnie przeniosła się na plażę, gdzie leżała naga w świetle księżyca, podniecona jego zachłannymi pocałunkami. Oplotła ramionami jego szyję, żeby nie upaść, chociaż Leo na pewno by na to nie pozwolił. Przyciskał jej ciało do samochodu, osłaniając przed światem. Kiedy wreszcie, po długim pocałunku, podniósł głowę, Charlotte brakowało tchu.

Jego oczy były szeroko otwarte i miały barwę nocnego nieba. Nie mogła oderwać od nich wzroku.

– Za co ten pocałunek? – zapytała szeptem.

– Chciałem się przekonać, czy nie śniłem – odparł niskim, chrapliwym głosem.

Nie musiał dodawać, o jaki sen chodziło. Słyszała to w jego urywanym oddechu, czuła w dotyku dolnej części jego ciała, której wciąż od niej nie oderwał.

Ciemnoniebieskie oczy błędziły po jej twarzy.

– Nie przyszłaś do mnie.

– Byłam z Nicole. Potrzebowała mojej pomocy.

– Przy pisaniu książki?

– Nie tylko. Poza tym dzień był pochmurny. W deszczu nie można kłaść gontów, a teraz musisz zaczekać przynajmniej jeden dzień, aż sklejka wyschnie.

– A więc nie wybierasz się do mnie dziś wieczorem?

– To zależy od Nicole. Jeśli pójdzie na kolację do przyjaciół, będę mogła przyjść.

– Jestem twoim planem B.

– Zdaniem Nicole nawet planem Z. Boi się, że zniszczysz jej projekt.

Leo nic nie odpowiedział.

– Co jej o nas powiedziałaś?

– Że nie mam bladego pojęcia, co nas łączy. Bo to prawda. A ty wiesz?

– Nie. Wiem tylko, że pragnę więcej.

Podobnie jak Charlotte. Ujawszy twarz Leo w dłonie, tym razem to ona zaczęła go całować. Przez chwilę pozwolił jej grać pierwsze skrzypce, po czym przejął kontrolę nad sytuacją. Charlotte nie protestowała. Kiedy byli razem, nie potrafiła sobie wyobrazić lepszego miejsca. Leo znowu się odsunął, a ona, zamiast zapragnąć więcej, poczuła spokój, jakby znalazła się w domu. Z pełnym zadowolenia westchnieniem zamknęła oczy i oparła czoło o jego policzek.

– A to za co? – zapytał schrypniętym głosem, powtarzając jej słowa. Charlotte wyprostowała się dopiero po chwili.

– Chciałam się tylko upewnić.

Z jego oczu nie dało się niczego wyczytać. W końcu zapytał:

– Podasz mi numer swojej komórki?

Zrobiła to, po czym wyswobodziła się z jego objęć i cofnęła o krok, żeby popatrzeć na

samochód.

– Jest twój?

Leo kiwnął głową.

– Ładny.

Samochód był przybrudzony, ale nowy, co nasuwało więcej pytań, których Charlotte nie miała ochoty zadawać. A więc Cole miał jakieś źródło utrzymania. Skoro jednak wyspiarze stali po jego stronie, nie mogło to być nic hańbiącego.

Charlotte odwróciła się z uśmiechem i ruszyła przed siebie. Uśmiech zniknął z jej twarzy, gdy zauważyła Nicole, która nadjechała z przeciwnej strony ulicy, zaparkowała przy frontowych drzwiach Chowder House i właśnie miała wejść do środka, kiedy ją dostrzegła. Stała przy masce samochodu i bacznie obserwowała granatowego pick-upa.

Czekała na przyjaciółkę, gniewnie marszcząc brwi.

– Całowałaś się z nim?

Charlotte wzruszyła ramionami.

– Na to wygląda.

– Całowałaś się z nim – powtórzyła Nicole, jakby nie była pewna, czy dobrze zrozumiała. Kiedy Charlotte kiwnęła głową, zapytała: – Czy coś was łączy? Oczywiście poza naprawianiem dachu?

Dobre pytanie. Charlotte przypomniała sobie słowa Leo: „Oto zjawiasz się w moim domu: idealna kobieta”, i Dorey: „Tamtej nocy zachowywał się inaczej niż zwykle. Polubił cię”. Do tej pory Charlotte mogła udawać, że chodziło wyłącznie o seks na plaży, ale dopiero co się z nim całowała. Ten pocałunek sprawił, że całkiem straciła głowę.

Leo był jej ucieczką, a nie tylko letnią przygodą, jak z początku myślała. Jej osobistą ucieczką od sprawy przeszczeputu i napiętych terminów.

Oczywiście nie mogła o tym powiedzieć Nicole. Po namyśle otworzyła drzwi i wdrapała się na siedzenie pasażera. Nicole przez chwilę na nią patrzyła, po czym okrążyła samochód i wsiadła, ale postanowiła nie dawać za wygraną. Gdy tylko włączyła silnik, powtórzyła pytanie:

– Czy coś was łączy?

– Tak.

– Co?

– Pociąg fizyczny.

– Prawdziwy czy tylko na potrzeby książki?

– Prawdziwy – odparła Charlotte. – Tym razem Leo słowem nie wspomniał o książce.

Chyba pogodził się z faktem, że ją piszemy.

– Dlatego że cię lubi?

– Być może. Albo po prostu wie, że nie wykradnę ziół Cecily. Nadal chcę im zrobić zdjęcia. Jej ogród jest naprawdę imponujący. – Przypomniała sobie białe kwiaty o niewiarygodnie pobudzającym zapachu i była ciekawa, jak się nazywają.

– Przespałaś się z nim?

Charlotte poczuła się tym pytaniem zawstydzona, więc odparła, że nie. W zasadzie nie skłamała; tamtej nocy nie zmrużyli przecież oka.

– Zamierzasz to zrobić?

– Dlaczego cię to interesuje?

– Bo się o ciebie martwię. To były więzień.

– Podobnie jak mój ojciec – odparła bez zastanowienia Charlotte.

– Nieprawda.

– Prawda. Oskarżono go o przemoc domową, spędził dziesięć dni za kratkami.



– Przemoc domową?  
– Wobec drugiej żony, która w przeciwieństwie do niego nie piła i potrafiła mu się postawić. Mój ojciec nie lubił pyskowania.  
Nicole wyglądała na przerażoną.  
– Nigdy mi o tym nie mówiłaś.  
– Nie było się czym chwalić.  
– Czy kiedyś podniósł na ciebie rękę?  
– Groził, że to zrobi.  
– Bił twoją mamę?  
– Nie. Schodziła mu z drogi, kiedy był zawiany.  
– Nie miałam pojęcia – powiedziała łagodnie Nicole. W milczeniu zjechały na drogę prowadzącą do Okers Beach. Dopiero kiedy mijaly kolonie małży, odezwała się: – Dziesięć dni to jednak nie to samo co cztery lata.

Charlotte nie miała ochoty o tym dyskutować.  
– Być może ojciec miał lepszego adwokata niż Leo. Chodzi mi tylko o to, Nicki, że ludzie trafiają do więzienia z rozmaitych powodów. Nie powinnyśmy oceniać Leo, dopóki nie poznamy jego wersji wydarzeń.

Nicole spiorunowała ją spojrzeniem.  
– Zamierzasz się tego dowiedzieć?  
– Owszem. Leo jest interesującym mężczyzną. Jest w nim tyle niewiadomych. Chcę się dowiedzieć, jaki jest naprawdę.

– A później?  
Charlotte głęboko zaczerpnęła powietrza.  
– Zrobię cudowne zdjęcia jego ogrodu do twojej książki, wrócę do Nowego Jorku, później polecę do Paryża i w inne miejsca, tam, gdzie zaprowadzi mnie praca. Właśnie tego uczy *Salt*, prawda?

Oczy Nicole rozbłysły.  
– Przeczytałaś do końca?  
– Nie. Dotarłam do momentu, w którym tak bardzo zżyłam się z bohaterami i bałam się złego zakończenia, że przeczytałam tylko kilka ostatnich stron.  
– Charlotte!  
– Nie mogłam się powstrzymać – oświadczyła bez cienia skruchy. – Odmawiam dalszego czytania tej książki, w ramach protestu!  
– Ale przecież dopiero co powiedziałaś, że postąpiłabyś tak samo jak bohaterka!  
– Tak, ale w prawdziwym życiu. Fikcja jest fikcją. Chris Mauldin złamał mi serce. To czysta manipulacja.  
– A moim zdaniem czysty geniusz – odparła Nicole, podjeżdżając pod dom.

\*

Charlotte nie spierała się z nią. Nie miała ochoty ciągnąć rozmowy o *Salt*, która mogłaby przywołać temat jej związku z Leo, a poza tym miała mnóstwo pracy. Nicole była zachwycona wywiadami z Anną i Melisą i poprosiła Charlotte, żeby jak najszybciej dostarczyła jej zapis rozmowy z Dorey. Miała zamiar zaimponować swojej wydawczyni postępami w pisaniu książki. Kiedy jednak zaczęła przeglądać świeżo zebrane przepisy, coś ją zaniepokoiło.

## Rozdział 13



Charlotte siedziała przy kuchennym stole, kiedy usłyszała ciche:

– Dziwne...

Przestała pisać i uniosła wzrok znad klawiatury.

Nicole stała przy blacie i ze zmarszczonym czołem przeglądała kartki z przepisami.

– Dlaczego w rybnym omlecie Rebekki nie ma tymianku? Zawsze był. To jeden z powodów, dla których jej omlet tak mi smakuje. I co to za tarta łososiowa bez natki pietruszki i kopru? Marie zawsze dodawała jedno i drugie. Kozi ser byłby mdły bez kopru, a natka dodaje potrawie koloru. – Ze zdumieniem przeczytała składniki kolejnego przepisu. Ekstrakt miętowy w ciasteczkach? A gdzie się podziała świeża mięta? – Popatrzyła z niepokojem na Charlotte. – Quinipeague słynie ze swoich ziół. To one miały grać pierwsze skrzypce w naszej książce. Bez nich tracimy to, co w tutejszej kuchni unikalne. Autorzy tych przepisów musieli się pomylić.

Charlotte poczuła na plecach zimny dreszcz. Wstała od stołu.

– Wszyscy?

Na stercie leżało kilkadziesiąt przepisów.

– Nie wszyscy. Niektóre przepisy się zgadzają. Ale co z tymi? I z tymi? – Nicole wyjęła kilka kartek zaznaczonych samoprzylepnymi karteczkami. – Dostałam je na początku tygodnia. Wszędzie jest ten sam problem: kupne produkty zamiast świeżych ziół albo całkowite pominięcie tych drugich. W dwóch czy trzech przepisach można by to uznać za przeoczenie, ale w ośmiu czy dziewięciu? Co tu się dzieje?

Charlotte sięgnęła po przepisy i dokładnie się im przyjrzała. Oryginalne kartki z przepisami były poplamione i pozaginane; te były czyste.

– Te przepisy dopiero co spisano. Może ich autorzy rzeczywiście coś przeoczyli?

Nicole pokręciła głową.

– Znam tych ludzi. Nie są bezmyślni. To celowe działanie.

– Myślisz, że sabotują własne przepisy?

– Raczej je chronią. Ktoś im kazał bronić sekretów wyspiarskiej kuchni. – Było jasne, kogo Nicole podejrzewa, jej zielone oczy mówiły wszystko.

– Myślisz, że to sprawka Leo – powiedziała Charlotte.

– A kogóż by innego?

– Dorey, Anny albo Melissy. – Każdą z nich wypytywała o Leo. – Wszystkie trzy starają się go chronić.

– Przed czym? – Nicole nie kryła sceptycyzmu.

Charlotte zastanawiała się nad odpowiedzią, lecz nie mogła się powstrzymać od przykrej konstatacji: skoro była w tę sprawę osobiście zaangażowana, jak miała zachować obiektywizm?

– A mnie już nie chronią? – zapytała z urazą Nicole. – Przez całe życie spędzałam tu wakacje. Ci ludzie kochają moją rodzinę; słyszałaś, co mówili w zeszłym tygodniu. Poza tym trudno ich nazwać nieśmiały. Skoro nie chcieli, żebym napisała tę książkę, mogli mi o tym powiedzieć. – Jej oczy pociemniały. – To na pewno Leo ich przekabacił. Od początku nie chciał, żebyśmy pracowały nad książką. Poproś go, żeby przestał. Są chwile, kiedy trzymam się resztką

sił. Ostatnią rzeczą, jakiej mi teraz potrzeba, są komplikacje. I to akurat teraz, kiedy nabraliśmy wiatru w żagle.

Rzeczywiście tak było, pomimo ciągłych zgryzot związanych z Julianem. Nicole niewątpliwie za nim tęskniła, a on odwzajemniał to uczucie, sądząc z jego częstych SMS-ów. *Jestem zmęczony, ale nic poza tym* – napisał jej ostatnio w odpowiedzi na pytanie o samopoczucie. Albo: *Właśnie skończyłem spotkanie z kilkoma znakomitymi chirurgami*, albo: *Nagrałem wypowiedź dla lokalnych wiadomości*. Charlotte domyślała się, że ich rozmowy telefoniczne również stały się cieplejsze, skoro gniew Nicole złagodniał. W przeciwieństwie do lęku, który czasem ją ogarniał. Nicole nie chciała o tym jednak rozmawiać. Kiedy Charlotte pytała ją, jak się czuje, tłumaczyła się zmęczeniem. Trzeba przyznać, że kiedy przyjeżdżały do miasteczka, tryskała energią i optymizmem. Praca nad książką pozwalała jej się skupić na czymś innym niż osobiste problemy. Nicole miała rację: nie potrzebowały, żeby ktoś rzucał im kłody pod nogi.

Charlotte wymyśliła proste rozwiązanie.

– Czy nie możesz sama dopisać potrzebnych ziół?

– Jeśli zmienię przepisy, autorzy nie dadzą mi zgody na publikację. Proszę, Charlotte, każ mu przestać.

– Nie sędzę, żeby to był on – powtórzyła Charlotte, chociaż ogarnął ją niepokój. Czy Leo nie wspominał o tym, że uniemożliwi im zebranie przepisów? „Powiem wszystkim, że sobie tego nie życzę”.

Ale to było zanim... ich relacja się zmieniła. Teraz wydawało się Charlotte niemożliwe, żeby Leo spełnił groźbę. Okazał jej tyle czułości na plaży w poniedziałkową noc i zrozumienia, kiedy następnego wieczoru siedzieli na ganku jego domu. A ich wczorajszy pocałunek? Był zbyt szczery.

– W takim razie jak to wytłumaczysz?! – zawołała Nicole, wymachując kartkami. – Mieszkańcy wyspy nie mieli wyrzutów sumienia, dając mi je. Jeśli celowo pominęli niektóre składniki, zrobili to bez skrępowania. Myśleli, że nie zauważę? – Posłała Charlotte błagalne spojrzenie. – Zadzwonisz do Leo?

– Nie mam jego numeru.

– Ktoś musi go mieć. Może Dorey.

– Myślisz, że mi go da? Jasno powiedziała, że nie powinnam zwracać mu głowy.

– I miała rację – odparła Nicole, tracąc nadzieję. – A nawet nie widziała, jak się całujecie.

Wybierasz się do niego w weekend?

– Nie wiem.

– Nie musisz mnie niańczyć.

– Wcale tego nie robię. Wolę spędzić ten czas z tobą. – Jakby na przekór własnym słowom, Charlotte pomyślała, że jeśli ma lepiej poznać Leo, powinna z nim spędzać znacznie więcej czasu niż teraz. Nie chciała jednak zostawiać przyjaciółki samej. – Czy Julian przyjedzie?

– Nie może – odparła cicho Nicole. – Uważa, że skoro jego koledzy lekarze nie mogą się wyrwać z miasta, to i on nie powinien, poza tym podróż jest dla niego zbyt męcząca. Pewnie ma rację. Z Raleigh-Durham do Quinnepeague jest kawał drogi. – Patrzyła na kartki z przepisami, coraz bardziej załamana. – Co z tym zrobimy?

\*

Odpowiedź była prosta: należało zacząć chodzić od drzwi do drzwi i nanosić poprawki w przepisach. Oznaczało to jednak stawianie ludzi pod ścianą bez próby dotarcia do źródła problemu. Jeśli ktoś wywierał presję na mieszkańców wyspy, trzeba było najpierw dotrzeć do tej

osoby.

Dom Leo wydawał się najlogicznym pierwszym tropem. Charlotte mogła tam pójść już w piątek wieczór, lecz coś ją powstrzymało. Możliwe, że był to omlet rybny, który Nicole przyrządziła ze świeżego halibuta, pozostałych składników z listy Rebekki Wilde i odpowiedniej ilości tymianku. Po zjedzeniu późnej kolacji i wypiciu butelki białego burgunda z zapasów Boba były tak rozleniwione, że energii starczyło im już tylko na obejrzenie *Przeminęło z wiatrem*.

Z drugiej strony możliwe że to strach powstrzymał Charlotte przed złożeniem Leo wizyty jeszcze tej samej nocy. Gdyby nie wycofał się ze swoich gróźb, nie mieliby przed sobą wspólnej przyszłości.

A może po prostu wolała odwlec moment poznania prawdy.

\*

Sobotni poranek okazał się mglisty. Nicole spędziła go głównie w kuchni, wypróbując najpierw przepis na zapiekankę z francuskich tostów, a później słynną zapiekankę jajeczną Anny Cabot. Na szczęście obydwie przepisy okazały się bezbłędne, o czym Nicole radośnie poinformowała Juliana w SMS-ie po tym, jak spróbowały potraw.

*Żadnych wieści w sprawie pozostałych przepisów?* – odpisał.

*Jeszcze nie.*

Charlotte zapewniała, że Leo wkrótce się z nią skontaktuje, a Nicole doszła do wniosku, że zbieranie następnych przepisów nie ma sensu, dopóki sprawa się nie wyjaśni.

Z jednej strony miała związane ręce. Z drugiej czuła się wyzwolona. Kiedy mgła się podniosła, usiadła z książką na tarasie.

Po południu Leo przysłał SMS: *W nocy będę naprawiał dach. Pomożesz mi?*

\*

Noc była pogodna i ciepła, więc Charlotte zdecydowała się na spacer. Zapadał zmierzch, kiedy wyszła zza zakrętu przed domem Cole'ów i zobaczyła Leo ustawiającego dwie drabiny. Jak zwykle był ubrany na czarno. Jego pas z narzędziami leżał na ziemi, a na palecie nieopodal stały pudła z gontami.

Charlotte zatrzymała się w połowie podjazdu. Czuła zapach ziół i białych kwiatów rosnących pod lasem, na lewo od niej. Broniąc się przed ich urokiem, pozostała na swoim miejscu.

Leo skończył ustawiać drabiny i już miał zacząć rozpakowywać pierwszą partię gontów, gdy zauważył Charlotte. Przez chwilę czekał, a gdy nie podeszła, przywołał ją gestem. W końcu sam ruszył w jej stronę.

– Coś się stało? – zapytał.

Charlotte kiwnęła głową.

– Zaczęłyśmy zbierać przepisy. Niektóre zawierają złe wskazówki na temat ziół.

– Jak to?

– Są suszone zamiast świeżych albo nie ma ich wcale, jakby ludzie na wyspie bali się o nich wspominać. Jakby ktoś im tego zabronił.

Leo wyglądał na rozbawionego.

– Naprawdę?

– To twoja sprawka?

Mężczyzna spoważniał.

– Nie.

– Groziłeś, że to zrobisz.

– Wtedy jeszcze myślałaś, że Niedźwiedź jest groźny.  
A więc to nie on? Charlotte bardzo chciała mu wierzyć.

– No cóż, na pewno nie zrobiła tego Cecily.

Leo prychnął.

– Jesteś pewna?

– Daj spokój, Leo. Duchy nie mówią ludziom, co mają robić.

– Nie w tradycyjnym tego słowa znaczeniu.

– Czyli?

– Legenda jest wciąż żywa.

Ostatnie zdanie zaintrygowało Charlotte.

– Co to znaczy?

– Ludzie wierzyli w różne rzeczy na temat Cecily. W większości nie mieli racji, ale spróbuj ich przekonać. Jeśli uważają, że moce Cecily mogą ich osiągnąć nawet zza grobu, nie będą jej chcieli denerwować.

– Dzieląc się przepisami z użyciem jej ziół? Dlaczego miałyby ją to zdenerwować?

Leo wzruszył ramionami.

– Sama ich zapytaj. Cecily nie była najmiłą osobą na świecie.

– Większość mieszkańców wyspy ją ubóstwia.

– Nie byli jej dziećmi – odparł kwaśno.

– Co ona ci zrobiła? – zdziwiła się Charlotte.

Przyglądał jej się przez chwilę, zanim odwrócił wzrok.

– Nie powinienem jej krytykować. Sam też nie byłem wzorowym synem.

– Co takiego zrobiła? – powtórzyła Charlotte, tym razem zwracając się do pleców Leo, który wszedł do ogrodu.

W połowie grządki pochylił się i zerwał drobne czerwone kwiatki z rośliny o strzałkowatych liściach. Włożył je do kieszeni i sięgnął po kolejne.

– Co to jest? – zapytała Charlotte, podchodząc do niego.

– Szczaw. – Spojrzał na nią przelotnie. – Znasz?

– Nie.

– Podobnie jak większość ludzi. Nie jest szczególnie efektowny – dodał z akcentem z Maine – ale świetnie smakuje. Z liści można zrobić pyszną kremową zupę albo udusić w nich rybę.

– Co zamierzasz zrobić z kwiatami? – zapytała, patrząc, jak upycha je w kieszeni.

– Wyrzucić. Szczaw pięknie rośnie, jeśli się o niego dba. Najwięcej smaku mają młode listki. Te czerwone pączki – zerwał jeszcze kilka – opóźniają ich wzrost. – Wyprostował się zrezygnowany i odezwał z akcentem bardziej charakterystycznym dla siebie niż dla Maine. – Wiem to wszystko, ponieważ uprawiałem jej ogród. Nie z wyboru. Jeśli odmawiałem pracy, nie dostawałem jeść.

Charlotte wolała być ostrożna z sądami.

– Chciała ci wpoić etykę pracy.

– Dziecku, które miało cztery, pięć, sześć lat? Uczyła mnie w domu, żeby mieć mnie na oku. Wymykałem się jej. Wskakiwałem na przyczepę pick-upa jadącego w kierunku miasteczka, a gdy już tam byłem, kradłem rozmaite drobiazgi: cukierki, chipsy, komiksy. Miasteczko było dla mnie całkiem innym światem. Ludzie łapali mnie i przywozili do domu, a ona kazała mi spać na dworze. Latem było nawet fajnie, gorzej zimą.

Charlotte spróbowała to sobie wyobrazić.

– Więziła cię tutaj?

– Niezupełnie. Spędzałem też czas na łodziach rybackich, które o świcie wypływały z portu. Widocznie myślała, że męskie towarzystwo będzie dla mnie dobre, bo mi tego nie zabraniała. Kiedy trochę podrosłem, rozwoziłem na rowerze jej paczki po całej wyspie. Trzeba przyznać, że pomogła wielu ludziom.

– Ale także znęcała się nad tobą. Nikt o tym nie wiedział?

– Skąd mieliby wiedzieć? Nikt do nas nie przychodził, a Cecily trzymała język za zębami. Zresztą podobnie jak ja. Była moją matką.

Ruszył na koniec grządki, bezwiednie muskając palcami mijane po drodze białe kwiatki. Charlotte poszła za nim.

– Jak to się stało, że w końcu poszedłeś do szkoły na wyspie? – zapytała.

Nie odpowiedział. Domyśliła się, że pomógł mu ktoś z zewnątrz.

– Nie bali się nadepnąć Cecily na odcisk?

– Wyspiarze owszem, ale nie władze na kontynencie.

– Opieka społeczna?

Po chwili wahania odparł:

– Coś w tym stylu. Cecily mnie kochała. Bała się, że mnie straci.

Zagryzł wargę, założył ręce za plecy, wsuwając czubki palców za pasek szortów, i zapatrzył się na las. Słońce już zaszło, księżyc jeszcze nie wzeszedł i drzewa zwały się w bezkształtną zieloną masę, w której łatwo byłoby się zgubić.

Leo nie wyglądał jednak na zagubionego. W pełni skoncentrowany, przeszedł kilka kroków i schylił się po leżącą na poszyciu złamaną gałąź. Przez chwilę uważnie jej się przyglądał, obrócił ją w palcach, wolno i z namysłem, i delikatnie rzucił ją w kierunku ogrodu.

– Po co ci ona? – zapytała Charlotte.

– Do strugania. Sosna jest miękkim drewnem, ale ma sporo sęków. – Sięgnął po inną gałąź i pokazał ją Charlotte. – Ta się nadaje, jest gładka.

– Co strugasz?

– Nic szczególnego. Nie jestem w tym najlepszy. Chodzi o samą czynność.

Tak jak z robieniem na drutach, przemknęło Charlotte przez głowę, ale odsunęła od siebie tę myśl.

– Mów dalej – poprosiła. – O swoim dorastaniu. Chętnie posłucham. – Popatrzył na nią.

Nawet w tak słabym świetle dostrzegła, czy może raczej wyczuła, jego bezbronność. –

Przyjaciele opowiadają sobie takie rzeczy – dodała na zachętę.

– Jesteśmy przyjaciółmi? – zapytał niepewnie.

– Tak.

– To dla mnie nowość. Nie mam przyjaciół. Nie umiałem się z nikim zaprzyjaźnić.

Trudno jej było w to uwierzyć. Wydawał się całkiem miłym facetem.

Musiał zauważyć wątpliwości Charlotte, ponieważ mocniej zacisnął palce na gałęzi.

– Miałem dziesięć lat, kiedy zacząłem chodzić do szkoły w miasteczku. Wcześniej nie bawiłem się z dziećmi. Nie miałem pojęcia, jak u diabła powinienem się zachować. Najwyraźniej zrobiłem coś nie tak. Cecily uznała to za potwierdzenie swojej teorii, że rośliny to jedyni przyjaciele, jakich potrzebuję, i że jeśli się je kocha, odwzajemniają się tym samym i pięknie rozkwitają. Rzeczywiście, rosły jak na drożdżach, i nadal rosną, chociaż nie powinny. – Popatrzył na grządki. – Tutejszy klimat jest nieodpowiedni dla większości tych roślin, więc może Cecily miała rację, przynajmniej w kwestii odwzajemnionej miłości. – Pochylił się, wypuścił z rąk gałąź i przecesał palcami żdźbła trawy. – Jak coś, co rośnie w cieniu, może być takie zielone?

Rzeczywiście, nawet nocą ogród Cecily był soczyście zielony, lecz Charlotte uderzyło coś

innego: sposób, w jaki Leo dotykał białych kwiatów i trawy.

– Ty kochasz rośliny.

Leo przykucnął.

– Owszem. Lubię się nimi zajmować.

Jego buty tonęły w zadziwiająco zielonej trawie.

– Dla niej?

– Dla siebie. Kiedyś próbowałem je zniszczyć – wyznał bardziej z poczuciem winy niż z dumą. – Tuż po jej śmierci. Byłem wściekły, że zmarła w szpitalu, jakby chciała mi pokazać, że nie miałem racji, więc wróciłem tutaj i ściąłem to wszystko. Była jesień. Większość roślin i tak już przekwitła, ale wykopałem je razem z korzeniami. Na wiosnę wszystkie się odrodziły: większe i mocniejsze.

– Czy to dzięki jej prochom? – zapytała Charlotte.

Leo wzdrygnął się i popatrzył na nią z niechęcią.

– Nie, do diabła. Nie skremowałem jej. Pochowałem Cecily na cmentarzu za kościołem.

Pomyślałem, że miejscowi będą ją chcieli odwiedzać. – Skrzywił się. – To też część legendy, wiesz? Pomagała tym ludziom. Ja byłem tylko posłańcem.

– Dała ci kiepską lekcję.

– Przecież rozdawała zioła za darmo. To ja je zacząłem sprzedawać. Nie wiedziała o tym, dopóki mnie nie przyłapała.

– Nie zauważyła, że ktoś podkrada jej marihuanę? – zdziwiła się Charlotte, spoglądając na ogród. – A właśnie, nie czuję jej zapachu.

Leo uśmiechnął się chytrze.

– To jedyna roślina, która nie odrosła. Matka nie chciała mnie kusić.

– A więc jednak uważasz, że zmarli mają wpływ na nasze życie?

– Nie. Cholera, sam nie wiem, ale jest coś poetyckiego w tej uschniętej marihuanie.

– Czułbyś pokusę?

– Nie. Ani żeby ją palić, ani sprzedawać.

Charlotte nie była zaskoczona. Nie wyglądał ani na dilera, ani tym bardziej na narkomana. W ciszy, która zapadła, rozmyślała tylko o tym, w jaki sposób Cecily wykorzystywała syna. „Nie sprawdziła się jako matka”, powiedziała Dorey. Charlotte nie kontynuowała z nią tego tematu, ale teraz mocno się nad jej słowami zastanowiła. Jej rodzice nie byli tacy źli, ich największą zbrodnią był brak zainteresowania. Poczula nowy rodzaj sympatii do Leo. Musiał walczyć z własną matką w domu, a później stawić czoło reszcie świata... Musiało mu być co najmniej tak ciężko jak jej.

Uklękła między kolanami Leo i zapytała:

– Masz ojca?

Mężczyzna prychnął.

– Cecily była dobrą kobietą, ale nie świętą. Niepokalane poczęcie to coś poza jej możliwościami.

– Wiesz kim on jest?

– O, tak.

– Często się widujecie?

– Nie. Ani on do mnie nie przyjeżdża, ani ja do niego.

– Gdzie mieszka?

– W Rockland.

Na kontynencie, a jednak tak blisko.

– Ale rozmawiacie ze sobą?

– Niechętnie. Nie traktował mojej matki jak należy. Zostawił ją, musiała mnie wychować sama. Podejrzewam, że cierpiała na chorobę dwubiegunową. Miała potworne huśtawki nastrojów. Było jej ciężko: z pieniędzmi, ze mną, z chorobą.

Jemu też było ciężko, pomyślała Charlotte, chociaż o tym nie wspomniał. Chcąc go pocieszyć – pokazać, że już nie jest sam – objęła Leo za łydkę.

– Ciągłe bierzesz jej stronę – powiedziała, ale Leo nie spuszczał wzroku z jej dłoni.

– Czy to oznaka litości?

– Nie.

– W takim razie czego?

– Po prostu chcę cię dotknąć.

– Jeśli to litość, zabierz rękę.

Nie zrobiła tego, a nawet lekko przesunęła dłoń, czując pod palcami dotyk ciepłej skóry porośniętej ciemnymi włosami.

Leo powoli się uspokoił.

– A jeśli chodzi o to, co powiedziałaś, nie biorę niczyjej strony. Po prostu staram się oddać Cecyli sprawiedliwość: pomogła wielu ludziom, to było jej powołanie.

– Dlatego opiekujesz się jej domem i ziołami.

– A co innego mi pozostało?

Charlotte wzięła sobie tę uwagę do serca. Nadal nie знаła wielu szczegółów jego dzieciństwa, nie mówiąc już o dorosłym życiu. Jedno wiedziała na pewno – siedział w więzieniu, ale wiele rzeczy ją zastanawiało. Na przykład to, dlaczego mówił jak zawodowy psycholog.

Ściskając jego nogę, zapytała:

– Ty mi to powiedz. Co jest dla ciebie ważne?

Zapatrzył się w nocny krajobraz.

– To. Mój dom.

– Nigdy nie chciałeś wyjechać?

– Jeździłem tu i tam. Wszędzie było gorzej niż na wyspie.

– Gdzie dokładnie?

Oczy zaszły mu mgłą.

– Kiedy wyszedłem z więzienia – powiedział ze złością, cofając się pamięcią o kilka lat – wysłali mnie na kontynent, do pracy na budowie. Moją szefową była kobieta, której nie podobało się, że nie chcę jej zerznąć. Kiedy oskarżyła mnie o sprzedaż narkotyków na budowie, zamknęli mnie z powrotem tak szybko, że nie zdążyłem powiedzieć słowa na swoją obronę.

Charlotte nie mogła w to uwierzyć.

– Byłeś winny?

– Nie, do cholery. Na szczęście prokurator odkrył prawdę i wróciłem na wyspę – dodał spokojniej. – Mieszkałem w starej szopie przy molo, miałem się różnych zajęć. Kiedy Cecily zachorowała i nie chciała wezwać pomocy, zadzwoniłem do lekarza więziennego. Był dla mnie kimś w rodzaju mentora, przynosił mi książki. Powiedział, że jeśli przywiozę matkę na kontynent, będzie na nas czekał w szpitalu, ale się nie zjawił.

– Zdradził cię – szepnęła.

– Można tak powiedzieć.

Wyczuła, że Leo określiłby tę sytuację inaczej, gdyby go do tego zachęciła. Był inteligentny i wrażliwy – nie po raz pierwszy dostrzegła w nim te cechy, ku własnemu zaskoczeniu.

Wolała jednak milczeć.

W końcu Leo pochylił się, wziął Charlotte za rękę i splótł swoje palce z jej palcami.



– W każdym razie to nie ja podburzyłem miejscowych, żeby wam nie pomagali. Nie podoba mi się zamysł waszej książki kucharskiej, ale nie zniszczyłbym ci tego projektu.

Po jego bezbronnym, szczerym spojrzeniu poznała, że mówi prawdę.

– W takim razie kto mógł to zrobić?

– Nie wiem.

– To jak mamy z nim walczyć?

– My?

Miała na myśli Nicole i siebie, ale podchwyciła myśl Leo.

– Szepnąłbyś miejscowym, że Cecily nie ma nic przeciwko naszej książce?

– Nie sądzę, żeby to pomogło. Nie czuję z nią więzi, Charlotte. Nawet nie odwiedzam jej grobu. Ludzie to wiedzą. Cecily i mnie łączyła miłość skażona nienawiścią.

– O właśnie – odezwała się Nicole, prostując się, i zabrała rękę. – Czegoś tu nie rozumiem. Dlaczego użyłeś takich słów?

Leo zmarszczył brwi.

– Bo to prawda.

– Ale skąd taki dobór słów: „miłość skażona nienawiścią”? Byłeś na terapii?

– Nie.

– To dziwne. Opisujesz dzieciństwo, po którym powinna ci zostać trauma, ale wydajesz się całkowicie zrównoważony. Mieszkasz tu sam, chociaż nie sprawiasz wrażenia odludka. Rzadko mówisz z akcentem typowym dla Maine, a jeśli już, to po chwili przestajesz, jakbyś o tym zapominał. Twoje słownictwo i sposób mówienia nie są takie jak u kogoś, kto nie skończył szkoły średniej. Twierdzisz, że nie masz przyjaciół, a rozmawiasz ze mną tak, jakbyś przez całe życie rozmawiał z bliskimi ci ludźmi. Potrafisz prowadzić dialog.

– Czytam książki – powiedział cicho.

– Jak my wszyscy...

– Dużo czytam – powtórzył bez mrugnienia okiem.

– Wydawało mi się, że zacząłeś dopiero w więzieniu.

Leo się rozluźnił.

– Dlaczego? – zapytał z chytrym uśmiechem.

– Słyszałam, że kiepsko sobie radziłeś w szkole.

– Delikatnie mówiąc, ale to nie dlatego, że byłem głupi. Nie podobała mi się panująca w szkole dyscyplina ani książki, które kazali mi czytać.

Charlotte się zamyśliła. To, co powiedział, pasowało do jego obrazu, który wreszcie zaczęła odkrywać.

– A więc już wtedy czytałeś?

– Powinienem za to podziękować Cecily. Oprócz roślin, kochała także książki.

Walczyłem z nią, bo jej książki też nie bardzo mi się podobały. Nazywała je swoim latającym dywanem, ale mnie ten dywan nigdzie nie chciał zabrać. Odleciałem dopiero wtedy, gdy jako pięcioletek ukradłem swój pierwszy komiks. Później przerzuciłem się na książki, aż w końcu trafiłem w dziesiątkę.

– To znaczy?

– Odkryłem bibliotekę. W dzieciństwie uwielbiałem tam kraść. Pracownicy o tym wiedzieli, ale odwracali wzrok, ze współczucia, a może strachu?

– Ale oddawałeś książki, kiedy już je przeczytałeś?

– Nie. Co by w tym było zabawnego?

– Leo!

– Przecież teraz bym ich nie ukradł. Wtedy książki były moim wybawieniem. Czytałem

całymi godzinami. Nigdy nie potrzebowałem dużo snu.

To dlatego naprawiał dach nocami. Pytanie tylko, co robił w dzień. Charlotte wołała go jednak nie zadawać, żeby nie popsuć miłej atmosfery.

– Co czytasz?

– Wszystko. Książki zawsze były moją ucieczką.

Charlotte przyglądała się jego twarzy. Chociaż częściowo ukryte w cieniu, szczęka i kości policzkowe rysowały się wyraźnie, a głębi oczu nie zdołała zamaskować nawet ciemność.

A może Charlotte po prostu zdawała sobie sprawę z jej istnienia. Podobnie jak z tego, że słowa Leo ogromnie ją poruszyły. Nadal muskała palcami jego skórę. To, że wpuścił ją do miejsca, do którego niewiele osób miało dostęp, uczyniło go w jej oczach jeszcze atrakcyjniejszym. Poczula, jak ściska się w niej serce.

Objęła dłońmi twarz Leo i niespiesznie go pocałowała. Unoszący się w powietrzu słodki zapach utwierdził ją tylko w przekonaniu, że dobrze postąpiła.

Kiedy w końcu ich usta się rozdzieliły, Leo wyszeptał schrypniętym głosem:

– Za co to?

– Po prostu cię lubię – odszepnęła. Wołałaby mu udzielić bardziej konkretnej odpowiedzi, ale ta najwyraźniej mu wystarczyła.

Przyciągnął ją do siebie tak, że objęła go kolanami, i odwzajemnił pocałunek, tym razem bardziej namiętnie. Charlotte zrobiło się cieplej w środku, kiedy Leo zdjął jej koszulkę i rozpiął biustonosz. Tamtej nocy na plaży przez cały czas miała go na sobie, lecz tym razem chciała poczuć dotyk jego ust na swoich piersiach. Wsunęła palce w jego włosy i jęknęła, domagając się kolejnych pieszczot.

Podobnie jak wtedy na plaży Leo zastygł w bezruchu.

– Przesadziłem?

– Wprost przeciwnie – wymruczała.

Pomógł jej zdjąć szorty, a ona tylko odsunęła jego spodenki, żeby mógł w nią wejść. Oboje zastygli w bezruchu, czoło przy czole, biorąc krótkie, urywane oddechy, i rozkoszując się chwilą, a gdy nabrali ochoty na więcej, Leo ułożył Charlotte na ziemi i zaczął się w niej poruszać.

Zabrał ją daleko, w miejsce dostępne wyłącznie dla nich, lecz kiedy było już po wszystkim, nie bał się powrotu. Był mocny i pewny siebie. Prawdziwy.

Siedzieli w ogrodzie przez długą chwilę. Leo, oparty plecami o drzewo, obejmował ramieniem Charlotte, która położyła głowę na jego piersi. Tors Leo był pięknie wyrzeźbiony, muskularny i emanował jego zapachem. Charlotte ogarnął spokój; mogłaby tam zostać na wieczność.

\*

Jednak Leo chciał tej nocy popracować na dachu.

– Skoro już tu jesteś – powiedział, gdy wdrapali się na swoje drabiny. Mieli układać gonty od lewej do prawej, z dołu do góry, w taki sposób, by na siebie nachodziły. – Jeden czy dwa młotki? – zapytał.

– Jeden – odparła. – Ja trzymam, ty przybijasz.

Robiła to już wcześniej i uważała ten sposób za najszybszy i najefektywniejszy. Leo układał gonty, ona je przytrzymywała, a on wbijał gwoździe. Przy ostatnim sięgała po kolejny gont. Kiedy już złapali rytm, praca szła im jak po maśle. Stali blisko siebie, ich nogi i ręce czasami się o siebie ocierały. Nie było w tym nic erotycznego, ale sprawiało im przyjemność.

– Cóż za nieseksowna czynność – zauważyła w pewnej chwili Charlotte, a Leo parsknął

śmiechem.

Nigdy wcześniej tego nie robił i Charlotte popatrzyła na niego ze zdziwieniem. On także sprawiał wrażenie zaskoczonego, więc powiedziała:

– To miły dźwięk.

– Tak myślisz?

Poczuła rozlewające się w sercu ciepło.

– Tak. – Pewnie by go pocałowała, gdyby nie stali na przymocowanym do dachu rusztowaniu. Nagle coś zaszeleściło w ogrodzie. Charlotte spojrzała przez ramię, wstrzymując oddech. – Jelonek. – Dostrzegła podskakujący w świetle księżyca, rozmyty kształt. – Co on robi?

– Goni wiewiórkę albo mysz.

– Nie powinien teraz spać?

– A ty zawsze spałaś, kiedy rodzice kazali ci się położyć?

Charlotte uśmiechnęła się na widok jelonka i poczuła za sobą nogę Leo.

– Boisz się, że spadnę? – zdziwiła się.

– Lepiej uważać niż później żałować.

Bob Lilly tak mawiał. Podobnie jak bohater *Salt*.

– Nic mi nie będzie – zapewniła go, ale przytrzymała się rusztowania, zanim odwróciła się w stronę ogrodu, ponownie słysząc szelest. Jelonek dokazywał teraz w najniższej rosnących roślinach.

Przez chwilę przyglądała mu się z rozbawieniem, gdy nagle coś jej się przypomniało.

– Gdzie jest Niedźwiedź?

– Śpi gdzieś w krzakach.

– Czy coś mu dolega?

– Nic, z wyjątkiem starości.

– Martwisz się o niego?

– Cały czas. To mój najlepszy przyjaciel.

Najlepszy zwierzęcy przyjaciel, mogłaby go poprawić Charlotte, lecz nie miała ochoty się spierać. Za każdym razem, gdy patrzyła na Leo – kiedy ich spojrzenia się krzyżowały – czuła rozlewające się w jej ciele ciepło. Być może połączyła ich czysta chemia, lecz Charlotte nigdy wcześniej nie czuła tego, co teraz.

\*

System się sprawdził. Leo miał wprawę w przesuwaniu drabin i układaniu gontów, więc pracowali błyskawicznie. Mimo to skończyli dopiero przed północą. Charlotte ziewała, kiedy ją odprowadzał, chociaż właściwie nie czuła senności. Zioła pogrążyły się we śnie, w przeciwieństwie do białych kwiatów, które podobnie jak Leo lubiły noc. W ciemności ich działanie stawało się jeszcze silniejsze.

– Na pewno nie chcesz, żebym cię odwiózł? – zapytał Leo, kiedy doszli do zakrętu.

– Na pewno.

Wolała oddzielić od siebie te dwa elementy swojego życia: Leo i Nicole, fantazję i rzeczywistość.

Powiedz mu dobranoc – pomyślała. – Pocałuj go w policzek, uściskaj na pożegnanie. Nadal jednak czuła zapach kwiatów, który popychał ją do czegoś więcej, więc nie zrobiła nic. Przez chwilę stali w milczeniu, patrząc na siebie.

– Zaczynam się martwić – odezwał się cicho Leo. – Pod koniec lata wyniesiesz się z wyspy, prawda?

– Zostało nam jeszcze dużo czasu.

- Ale później wyjedziesz.
- W połowie sierpnia – powiedziała lekkim tonem.
- W takim razie nie powinniśmy się angażować.

Roześmiała się.

- Jak ty to sobie wyobrażasz? Wmówimy sobie, że nic do siebie nie czujemy?

Wlepił wzrok w ziemię, a po chwili spojrział niepewnie na Charlotte. Nawet w ciemności z jego oczu dało się wyczytać pytanie, czy jest szansa na to, żeby została na wyspie.

Charlotte miała jednak swoje życie i przyjaciół w odległych zakątkach świata. Goniły ją terminy.

- Nie mogę – szepnęła z bólem.

Leo westchnął i kiwnął głową.

- W porządku. Po prostu chciałem wiedzieć.

To była rzeczywistość, ale przecież ich wspólne nocne godziny, księżyc, jelonki, niesamowity zapach nie były urojeniem. A może? Czy Leo nie powinien się z nią spierać, walczyć, błagać?

Rozdrażniona tym, że przyjął jej słowa do wiadomości i najwyraźniej nie cierpiał tak jak ona, Charlotte popatrzyła za siebie, w kierunku ogrodu, z którego dolatywała tajemnicza woń.

- Co tak pachnie?

– Ja?

- Nie, te białe kwiaty, które rosną w ogrodzie.

– Jaśmin – odparł nieśmiało.

– Jaśmin.

- To afrodyzjak.

Afrodyzjak... Zwiesiła głowę, po chwili ją podniosła i westchnęła.

- Niemądra jestem. Powinna się była domyślić.

## Rozdział 14



W sobotnią noc Nicole leżała w łóżku, nasłuchując, czy Charlotte nie wraca. Minęła dziesiąta, później jedenasta i zaczął ją ogarniać niepokój. Chciała się dowiedzieć, co miał do powiedzenia Leo na temat przepisów. Jeszcze bardziej interesowało ją to, co naprawdę łączyło go z jej przyjaciółką. Oby ich relacja nie zaszkodziła książce – Nicole miała wyznaczony termin i zamierzała go dotrzymać.

Okolo północy zmorzył ją sen. Kiedy się zbudziła, była druga. Wyrzwała na korytarz: frontowe światło było zgaszone, a drzwi do sypialni Charlotte zamknięte. Dobrze, że chociaż wróciła do domu. Nicole bała się, że Charlotte spędzi tę noc u Leo. Widok ich pocałunku podziałał na Nicki niczym kubek zimnej wody. Jej trzydziestoczteroletnia przyjaciółka mogła się bardzo różnić od tej sprzed dziesięciu lat. Z tego, co wiedziała na jej temat Nicole, obecna Charlotte miała kochanków w każdym miejscu, które odwiedziła.

Nicole młodo wyszła za mąż i nie miała wielkiego doświadczenia z mężczyznami, w przeciwieństwie do swoich przyjaciółek, których nigdy z tego powodu nie potępiała. Nie potępiała również Charlotte. Po prostu chciała ją mieć przy sobie, kiedy wszyscy inni od niej odeszli.

Leżąc samotnie w małżeńskim łóżku, postanowiła z samego ranka zadzwonić do Juliana. Kiedy rozmawiali wieczorem, wydawał się bardziej zmęczony niż zwykle, i martwiła się, czy nie wydarzyło się coś złego.

\*

Ostatecznie nie zadzwoniła do niego przez całą niedzielę, chociaż myślała o tym setki razy. Znała jego plany na ten dzień: poranny dyżur, brunch z zespołem szkolonych przez niego lekarzy i popołudnie z laptopem w cichej bibliotece uniwersyteckiej poświęcone na pisanie konspektów wykładów na semestr jesienny w Kalifornii. Zaplanował sobie na ten dzień wiele zajęć i Nicole nie chciała mu przeszkadzać.

Nie przestała się jednak zastanawiać, jak się czuje jej mąż, więc już o siódmej rano zadała mu to pytanie SMS-em. Odpisał, że za pięć minut zaczyna obchód. Niczego się nie dowiedziała. Była ciekawa, czy nowy lek działa, czy Julian odczuwa skutki uboczne i czy podjął jakieś kroki w sprawie przeszczepu komórek macierzystych. Chciała wiedzieć, czy zatrzymał się w miłym hotelu, z porządną obsługą. Przede wszystkim jednak interesowało ją, czy za nią tęskni, lecz i o to bała się zapytać.

\*

Po zdawkowej rozmowie telefonicznej z Julianem w niedzielę wieczorem wyobraźnia Nicole szalała. W poniedziałek rano zasypała go SMS-ami, lecz odpowiedzi okazały się do tego stopnia niesatysfakcjonujące, że postanowiła do niego zadzwonić. Starannie wybrała czas: zaczęła do późnego ranka, kiedy powinien być sam w swoim gabinecie, przed pójściem na lunch.

– Hej – rzuciła lekko do słuchawki i wstrzymała oddech.

– Cześć, maleńka. Jak się masz?

Jego radosny głos – oraz intymny sposób, w jaki się do niej zwrócił – sprawiły, że Nicole odważyła się zaczerpnąć powietrza.

– W porządku – odparła z ulgą. – Brzmisz lepiej niż wczoraj.

– Porządnie się wyspałem. U ciebie też wszystko w porządku?

– Tak, mamy cudowną pogodę. – Rozmawiali na błahe tematy, ale po wieczorze spędzonym na zamartwianiu się o męża Nicole była gotowa udawać, że ich życie jest szczęśliwe, pozbawione problemów, i cieszyć się tym, co nadal ich łączyło. – Kamienie na tarasie nagrzewają się od słońca, woda w oceanie też jest coraz cieplejsza. Szkoda, że nie mogłeś przyjechać – dodała z podekscytowaniem i bez wyrzutu.

– Też żałuję – odparł serdecznie Julian. – Skorygowałyście przepisy?

– Tak. – Nicole nie miała nic przeciwko zmianie tematu. Cieszyła się, że Julian interesuje się jej pracą. – Poranek spędziłyśmy w miasteczku. Leo nie chciał rozmawiać z miejscowymi, ale ci, do których same się zwróciłyśmy, zgodzili się poprawić swoje przepisy. Myślę, że Leo porozmawiał z jedną osobą, która przekazała jego słowa reszcie.

– Powiedzieli wam, dlaczego zmienili niektóre składniki?

– Podobno myśleli, że chcemy dostać przepisy, z których będą mogli skorzystać ludzie w całym kraju, ale to kiepskie wytłumaczenie, nie sądzisz? Tak jakby sami je od kogoś usłyszeli albo ustalili wspólną wersję.

– Mniejsza z tym, skoro problem się rozwiązał.

– O ile Leo w tym momencie odpuści. Charlotte nadal twierdzi, że nie miał z tym nic wspólnego, ale nie jest obiektywna. Ja mu nie ufam. Jeśli ze sobą zerwą, może nas zaatakować, żeby się na niej odegrać.

– Nicki, takie myślenie nie jest w twoim stylu.

Nicole westchnęła.

– Wiem, masz rację. Po prostu czasami się boję.

– Zdecydowałaś już, co zrobisz z ubraniami po ojcu?

Julian wrócił do tematu, który poruszyli w minionym tygodniu. Nicole było przyjemnie, że o tym pamiętał.

– Tak, ale mama ma inny pomysł. Zadzwoiła do mnie wczoraj wieczorem, już po naszej rozmowie. Miała długą listę pytań; na niektóre z nich umiałam odpowiedzieć, na inne nie. Byłoby nam znacznie łatwiej, gdyby była tu, na miejscu.

– To dla niej trudne.

– Dla mnie też, ale niektóre sprawy po prostu trzeba załatwić, a ona ma swoje zdanie na każdy temat. Wiesz, jak to się skończy, Jules. Mama tu nie przyjedzie i zostawi wszelkie decyzje mnie, a później będzie niezadowolona ze wszystkiego, co postanowię. Tak jak z ubraniami po tacie. Pomyślałam, że zawiozę je do sklepu z używaną odzieżą w Rockland. Nie chodzi o pieniądze, i tak zamierzałam je przekazać tutejszemu schronisku dla zwierząt. Tacie by to się spodobało. Kiedy powiedziałam o tym mamie wczoraj wieczorem, odparła że mam na razie nie ruszać jego ubrań, a później dodała, że pastor będzie wiedział najlepiej, co z nimi zrobić. Szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek przechadzał się po wyspie w ubraniach taty. Niezależnie od tego, kto by to był, i tak wyglądałby idiotycznie, jak przebrany za tatę. Książki, meble i sprzęty kuchenne to co innego, ale coś tak intymnego jak ubrania?

– Nie wydaje ci się, że to jednak zdanie mamy powinno być najważniejsze? – zapytał delikatnie Julian.

– Być może.

– Wszystko się jakoś ułoży, Nicki. Skoro udało się rozwiązać problem z przepisami,

pewnie przestałaś się martwić o książkę kucharską?

– To prawda. Charlotte świetnie sobie radzi z pisaniem o mieszkańcach. Przesłać ci kilka jej tekstów?

– Jasne – odparł, ale tylko po to, żeby sprawić żonie przyjemność. Nigdy nie interesował się udziałem Charlotte w pisaniu książki, wolał myśleć, że jest to wyłącznie dzieło Nicole, i za to również go kochała.

– A co u ciebie? – zapytała ostrożnie.

– Rozmawiałem z Grendjinem o mojej podróży do Pekinu.

Antoine Grendjin był dyrektorem szpitala. Dawniej grali razem w golfa, ale przestali to robić, odkąd Julian nabawił się przypadłości zwanej łokciem tenisisty. Przynajmniej tak powiedział Antoine'owi. Była to dobra wymówka – golfistom częściej doskwierał łokieć tenisisty niż łokieć golfisty. Przypadłość ta tłumaczyła również, dlaczego Julian zamienił operowanie na uczenie.

– Nie widzi problemu w tym, żebym wyjechał na tydzień – ciągnął Julian.

– Podpisałeś już kontrakt? – zapytała Nicole. Wykład zaplanowano na luty, Julian powinien już dostać papiery.

– Jeszcze nie. Mam je w gabinecie.

Nicole poczuła ukłucie niepokoju.

– Nie podpisałeś ich, bo nie wiesz, jak się będziesz czuł w lutym? Czujesz jakąś poprawę?

– Nie podpisałem umowy, bo miałem inne zajęcia – powiedział ostro i nieco spokojniej dodał: – A co z tobą? Jak sądzisz, kiedy skończysz pisać książkę, skoro udało się z przepisami?

– Do połowy sierpnia mam złożyć tekst. Wcześniej mi się nie uda. Kiedy już będę miała wszystkie przepisy i portrety mieszkańców od Charlotte, muszę zebrać materiały w całość, napisać wstęp i posłowie, ułożyć jadłospisy, zredagować książkę tak, żeby jej styl odpowiadał temu na moim blogu. Czasami się boję, że nie dam rady. Ja pisarką? To Charlotte zawsze była pewna siebie. Jest taka profesjonalna w tym, co robi!

– Podobnie jak ty.

– Ale w inny sposób. Ona wie, co to znaczy pracować pod presją czasu i jak to jest zobaczyć swoje słowa w druku.

– Ty też. Prowadzisz przecież bloga. Założę się, że czyta go więcej osób niż jej artykuły.

– No cóż, w każdym razie bardzo mi pomaga. Jednak czwartego lipca nie zamierzamy pracować – zmieniła temat. – Zjedzie się tu mnóstwo osób, Jules. Wszyscy, których lubisz. Mógłbyś się porządnie wyspać, popływać i odetchnąć od Duke. Na pewno nie przyjedziesz? Tęsknię za tobą. – Pilnowała się, żeby jej głos zabrzmiał lekko, nie chciała wiercić mężowi dziury w brzuchu. Nie była jędzą, tylko kochającą żoną.

– Może uda mi się przyjechać za tydzień czy dwa.

– Ale ten weekend będzie dłuższy: rozpocznie się już w czwartek – kusila. – Mógłbyś...

– Nie tym razem. Muszę kończyć, skarbie. Miłego opalania.

Odłożył słuchawkę, zanim zdążyła go zapytać, jak się czuje.

Ale jego głos brzmiał dobrze, a Nicole nie chciała przeciągać struny. Kiedy jednak skończyli rozmowę, zaczęła się martwić tym, co nie zostało powiedziane.

\*

Martwiła się w milczeniu – nie chciała się znowu skarżyć Charlotte, głównie dlatego, by nie roztrząsać wszystkiego na nowo. Nie było nic zabawnego w wypróbowywaniu nowych leków i czekaniu na poprawę, wypatrywaniu skutków ubocznych, modleniu się, by drzenie stopy okazało się jednorazowym epizodem, a nie symptomem. Charlotte również się niepokoiła,

a Nicole to widziała. Chroniła więc przyjaciółkę, nie poruszając w kółko tego samego tematu, lecz także chroniła siebie. Nie mogła być całkowicie pewna Charlotte, która przez dziesięć lat żyła własnym życiem, a teraz związała się z Leo Cole'em. Zdarzały się momenty, kiedy nie rozumiała swojej przyjaciółki, ale potrzebowała jej i nie mogła ryzykować, że ją straci.

Poza tym milczała przez cztery lata, chociaż nie z własnego wyboru. Milczenie z własnej woli było w porządku. Czuła się komfortowo wiedząc, że może porozmawiać z Charlotte, jeśli zechce, i nie dręczyło jej już poczucie winy. Nie zdradzała Juliana. Skoro on mógł robić wszystko, żeby przetrwać, to ona również.

Nicole robiła więc dobrą minę do złej gry. W poniedziałkowe popołudnie lepiły kubki na kole garncarskim Olivera Weeksa, wtorkowy poranek poświęciły rozdziałowi *Chowdery*, a popołudnie spędziły na plaży. Nicole uznała, że mieszanka pracy i zabawy wyjdzie im na dobre, chociaż pod maską zadowolenia skrywała niepokój. Wieczorne rozmowy z Julianem stawały się coraz krótsze, SMS-y od niego przychodziły wyłącznie w odpowiedzi na to, co sama napisała. Ciągle pytała go, jak się czuje, i pewnie go to irytowało, ale nie mogła się powstrzymać.

*Nie chcesz mi powiedzieć, jak się czujesz, więc wyobrażam sobie najgorsze* – napisała w końcu. *Status quo* – odpisał, co wcale jej nie uspokoiło.

Charlotte to wyczuła.

– Nie możesz sobie znaleźć miejsca – zauważyła w środę przy śniadaniu. – Kiedy ostatnio się tak zachowywałaś, straciłaś panowanie nad sobą przed dziesiątą. Powiedz mi, co się dzieje.

Wystarczyło jedno słowo, żeby Nicole podzieliła się z nią swoimi obawami, frustracją i gniewem. Nie dbała o to, że się powtarza. Charlotte nie spotykała się z Leo od soboty, więc Nicole miała wrażenie, że odzyskała przyjaciółkę.

– Mam poczucie nadciągającej katastrofy – zakończyła.

– Zabrzmiało melodramatycznie.

– Mówię poważnie. Mam przeczucie, że zdarzy się coś strasznego.

– Silniejszy niż przedtem?

Nicole zastanowiła się przez chwilę.

– Właściwie nie, ale katastrofa nie może wiecznie nadciągać, musi się w końcu wydarzyć, prawda?

– Nie – odparła Charlotte. – Stwardnienie rozsiane to przewlekła choroba. Można ją mieć latami, bez większych zmian.

Nicole wiedziała, że Julian nie zniósłby bezczynnego czekania, ale nie chciała tego powtarzać. Wolała uwierzyć słowom Charlotte.

– Masz rację.

– Niepotrzebnie się zamartwiasz.

– Rzeczywiście. I nie powinnam krytykować Juliana. Radzi sobie najlepiej, jak potrafi. – Wzięła głęboki oddech. – Już mi lepiej, dziękuję.

– Chcesz się wybrać do Rockland?

– Dzisiaj? – Nicole spodobał się ten pomysł. – Tak dla zabawy?

– Jasne! Przywiozłam za mało ubrań, poza tym jutro święto, więc promy będą częściej kursować. Napracowałyśmy się przy książce, zasłużyłyśmy na wolny dzień.

\*

Popłynęły porannym promem do Rockland i spędziły dzień na zakupach, oglądaniu kolekcji dzieł Wyetha, a po południu przed powrotem do portu zdążyły nawet pójść do kina w Strand. W innym otoczeniu Nicole łatwiej się było oderwać od problemów, chociaż co jakiś czas zerkała na telefon. Kiedy wróciły na Quinipeague, odżyły wszystkie jej zmartwienia.



\*

Nerwowy nastrój udzielił się także Charlotte. Nie wierzyła w nadciągającą katastrofę, lecz Nicole mówiła o tym z taką powagą, że Charlotte zaczęła się zastanawiać, czy na pewno o wszystkim wie. W Rockland Nicole czasem zachowywała się jak dawna rozszczebiotana Nicki, a czasem była dziwnie milcząca. Charlotte nie mogła jej zmusić do mówienia, ale mogła być blisko niej.

Kilka razy zdarzyło jej się odpłynąć myślami na widok mężczyzny w odpowiednim wieku i takiej sylwetce, że mógłby być ojcem Leo. Nie wspomniała o tym Nicole, która nadal czuła żal do Cole'a.

\*

Wróciły do domu późnym popołudniem. Właśnie wypakowywały rzeczy na blat, kiedy zadzwonił telefon Nicole. Serce zaczęło jej dudnić, jeszcze zanim dostrzegła na wyświetlaczu imię Juliana. Rzadko dzwonił o tak wczesnej porze.

– Cześć, Jules – powiedziała zaskoczona jego telefonem. Miała nadzieję, że zmienił zdanie i jednak postanowił przyjechać lub po prostu stęsknił się za żoną tak bardzo, że chciał usłyszeć jej głos. Kiedy długo się nie odzywał, zapytała z przestachem: – Wszystko w porządku?

– Wydało się – powiedział cicho.

– Co się wydało?

– Podczas spotkania w sprawie grantów z udziałem tuzina chirurgów zaczęła mi drzeć prawa ręka. Położyłem ją na kolanie, ale i tak wszyscy się zorientowali.

– Może nie zauważyli.

– Wpatrywali się w nią, Nicole. Chirurgzy są wyczuleni na drżenie rąk.

– Ale ci lekarze cię nie znają. Może pomyśleli, że to taka twoja maniera. – Naturalnie argument był absurdalny. Drżenie rąk to po prostu drżenie rąk. – Dobrze, że nie spotkało cię to przed twoim zespołem w Philly.

– Był tam Dan Ewing – dodał cicho Julian. – Przyleciał wczoraj wieczorem i też uczestniczył w spotkaniu. Zaczekał, aż wszyscy wyjdą, i zapytał wprost, a kiedy nie odpowiedziałem od razu, oznajmił, że wie od dawna, że coś mi dolega, ale nie jest pewien co. Więc mu powiedziałem. Nie miałem wyboru, Nicki. Udzielanie wymijających odpowiedzi to jedno, a kłamanie w żywe oczy to drugie.

– Rozumiem, ale Dan jest twoim przyjacielem – pocieszyła go Nicole. – Uszanuje twoją prywatność. Nie rozpowie o tym w szpitalu.

– Może i nie, ale jego obowiązkiem jest dopilnować, żeby dowiedziały się o tym odpowiednie osoby. Jest ordynatorem oddziału, spoczywa na nim wielka odpowiedzialność.

– Przecież nie operujesz od czterech lat.

– Chodzi o uczciwość. Powiedział, że powinienem poinformować Antoine'a. Przed chwilą do niego zadzwoniłem.

Nicole wzięła głęboki wdech.

– Mój Boże... I co powiedział?

– Strzelił mi pogadankę o kwestiach prawnych i etycznych, tylko że to nie była czcza paplanina. W każdym szpitalu postąpiono by ze mną podobnie.

– Nie może cię zwolnić.

– Może, ale tego nie zrobił. Okazał zrozumienie.

– Był zdenerwowany?

– Raczej osłupiały. Zadał mi dokładnie te pytania, które powinien. Ale przyjaźń ma swoje granice. Jako dyrektor szpitala musi wdrożyć pewne procedury.

– Jakie procedury?

– Chroniące szpital. Nie muszę odchodzić, wystarczy że nie będę miał nic wspólnego z leczeniem pacjentów. Wiąże się z tym trochę papierkowej roboty. Muszę poinformować o swoim stanie firmę ubezpieczeniową, udokumentować historię choroby. Jeśli zgłosi się do nas z roszczeniami któryś z moich pacjentów sprzed dwóch, trzech lat, będę mógł udowodnić, że już wtedy nie operowałem.

– To wszystko jest w twoich aktach, prawda?

– Tak, ale zebranie tego w całość będzie wymagać trochę pracy. Dobrze się zabezpieczyłem, Nicole. Byłem ostrożny jeszcze przed postawieniem diagnozy, bo nie ufałem swoim dłoniom – wyjaśnił drżącym głosem. – Rzecz w tym, że to już koniec. Muszę porozmawiać z tutejszym ordynatorem. Mogę go zapewnić, że nie zbliżyłem się do pacjentów, ale on też będzie miał na karku prawników. Możliwe, że mnie odprawi. – Westchnął. – Mój Boże. Jedno pociąga za sobą drugie: jeśli mnie odeślą, przestanę być zapraszany na konferencje, skończą się występy w telewizji. Moja kariera legnie w gruzach.

– Nie, Julianie – zaprzeczyła, chociaż jej oczy wypełniły się łzami. – Twoja kariera się nie skończy, tylko się zmieni.

– Na jedno wychodzi.

– Ale jak ty się czujesz? Nie powiedziałaś mi.

– Bo nie chcesz wiedzieć, jak się czuję.

– Owszem, chcę – odparła z uporem.

– Niech ci będzie. Czuję, że ten nowy lek na mnie nie działa. Zamiast poprawy widzę pogorszenie. Dzisiejszy atak trwał długo. Moja ręka leżała na kolanie i nie przestawała się trząść.

– Nicole przeknęła ślinę i już chciała coś powiedzieć, kiedy Julian dodał: – Gdyby ten lek miał zadziałać, widziałbym już efekty. Dużo na ten temat czytałem, skarbie. Dalsze czekanie na nic się nie zda, więc nie próbuj mnie przekonywać. Po wakacjach dzwonię do Hammona.

Przypomniawszy sobie jego wcześniejszą uwagę na temat Meksyku, Nicole odzyskała cień nadziei.

– To znaczy, że nie szukałeś w innych miejscach?

Przez chwilę milczał, wreszcie odezwał się cicho:

– Nie. Powiedziałem, że to zrobię, ale musiałem się zastanowić. To nie jest dla mnie łatwy wybór, Nicole, wbrew temu, co myślisz. Jestem świadomy ryzyka.

– Wiem o tym.

– Nie wiesz. Nie masz pojęcia, co czuję.

– Nie chcesz mi powiedzieć!

– Żaden mężczyzna nie przyzna się własnej żonie do tego, że się boi.

Nicole ścisnęło się serce.

– Masz prawo się bać. Ja też się boję! To żaden powód do wstydu.

– To jest powód do wstydu, jeśli strach cię paraliżuje. Nie chcę być sparaliżowany. Już wolę być królikiem doświadczalnym.

Na te słowa Nicole przewróciło się w żołądku.

– Julianie...

– Nie martw się. To nie stanie się jutro. Hammon będzie chciał najpierw wypróbować przeszczep autologiczny.

Użycie własnych komórek było mniej ryzykowne, lecz Nicole nadal czuła strach.

– Z czym to się wiąże?

– Możliwe że z niczym. Jeśli moje wyniki krwi nie będą dostatecznie dobre, ta metoda odpada.

– I co wtedy?

– Skorzystamy z komórek macierzystych dawcy.

Nicole dokładnie wiedziała, na jaki rodzaj komórek macierzystych zdecyduje się jej mąż.

– Chcesz wypróbować komórki macierzyste krwi pępowinowej, chociaż to terapia eksperymentalna! – krzyknęła.

– Nie mam nic do stracenia.

– Wprost przeciwnie – zaprzeczyła gorączkowo. – Kiepsko reagujesz na nowe formy leczenia. Lek nie przyniósł jeszcze poprawy, ale skoro dobrze go tolerujesz...

– Wcale nie. Mam żółtaczkę. Nawet Dan zauważył. To oznacza problemy z wątrobą, które już zaczynają się ujawniać w morfologii i jeszcze się pogorszą, jeśli nadal będę przyjmował lek.

Nicole nie miała pojęcia o gorszych wynikach badań krwi. Julian ukrył to przed nią, wiedząc, że wpadłaby w panikę, więc teraz starała się zachować spokój i jasność umysłu.

– A co mówi Keppler?

– Jeszcze mu nie powiedziałem. On mi już nie pomoże, Nicki. Mark sprawdzi banki krwi pępowinowej, żeby znaleźć dla mnie odpowiedniego dawcę.

– Musi istnieć inny lek...

– Próbowałem najlepszych.

– W takim razie coś niestandardowego.

Julian westchnął ze zniecierpliwieniem.

– Nie mówimy o uzależnieniu od nikotyny. Podjąłem już decyzję, Nicole. Chcę spróbować terapii wykorzystującej komórki macierzyste z krwi pępowinowej.

– Możesz umrzeć.

– Albo wyzdrowieć. W każdym razie przysłużę się badaniom medycznym. Spójrz na to z mojego punktu widzenia. Nie mogę już leczyć pacjentów, a w ten sposób będę mógł nadal coś z siebie dać.

Mój punkt widzenia, moi pacjenci; ja, ja, ja...

– A co ze mną? – zapytała Nicole. – Co z naszym małżeństwem?

– Nasze małżeństwo znaczy dla mnie bardzo dużo, maleńka, ale spójrz na mnie.

Przestałem się spełniać w roli męża. – Był tak przybity, gdy to mówił, że gniew Nicole w jednej chwili wyparował.

– Przylecę do ciebie – powiedziała. – Jeśli nie uda mi się załatwić biletu na dzisiaj...

– Nie rób tego – zabronił jej, by po chwili dodać: – Proszę. Muszę porozmawiać z Kaylin i Johnem i zadzwonić do rodziców. Wyjaśnienie im wszystkiego będzie dla mnie trudne. Chcę teraz pobyć sam.

Nicole próbowałyby go przekonać do zmiany decyzji, gdyby nie czuła się kompletnie zdruzgotana. Traciła Juliana i nie potrafiła nic na to poradzić.

## Rozdział 15



Charlotte stała jak wrośnięta w ziemię i prawie nie oddychała, starając się nie uronić ani jednego słowa. Nie powinna słuchać małżeńskiej rozmowy, ale tłumaczyło ją osobiste zaangażowanie. Poza tym Nicole mogła przecież wyjść z pokoju, chociaż Charlotte nie była pewna, czy jej przyjaciółka w ogóle zdaje sobie sprawę z tego, że nie jest w nim sama. Miała szklisty wzrok, gdy drżącą dłonią opuściła telefon.

Charlotte chwilę odczekała, a gdy nie mogła już dłużej wytrzymać, szepnęła:

– I co?

Nicole spojrzała na przyjaciółkę. Była blada jak płótno, jej oczy przybrały upiornie jasny odcień zieleni. Zwilżyła językiem usta i przełknęła ślinę.

Charlotte okrążyła stół i chwyciła Nicole za zimną dłoń.

– Co się stało?

Słyszała fragmenty rozmowy, ale nie mogła się domyślić reszty.

W oczach Nicole błysnęły łzy.

– To już koniec.

– Czego?

– Wszystkiego.

– Julian chce się zabić? – zapytała z przerażeniem Charlotte.

– Nie bezpośrednio, ale to, co zamierza zrobić, i tak doprowadzi go do śmierci. – Po jej policzkach spłynęły łzy. – Po prostu się poddał.

– Bo ktoś domyślił się prawdy...

Nicole przytaknęła. Sprawiała wrażenie odrętwiałej, co przeraziło Charlotte. Posadziła ją na krześle, usiadła obok, mocno chwyciła Nicole za ręce i zażądała:

– Opowiedz mi o wszystkim, Nicki.

Z gardła Nicole wyrwał się długi, drżący szloch. Łamiącym się głosem opowiedziała, co się stało. Pod koniec opowieści Charlotte przytuliła przyjaciółkę, starając się ją uspokoić, tak jak pierwszego ranka w miasteczku, ale tym razem bez powodzenia. Nicole trzęsała się na całym ciele, w jej oczach malowała się rozpacz, a po twarzy płynęły łzy.

– Nie mogę mu pomóc – szepnęła bezradnie. – Julian nie chce mi na to pozwolić. Czy to uczciwe, Charlotte? Czy nie powinniśmy podjąć tej decyzji wspólnie?

– Powinniście – przyznała Charlotte, chociaż w głowie miała gonitwę myśli. Skoro Julian postanowił wykorzystać komórki macierzyste z krwi pępowinowej, sama musiała podjąć pewną decyzję.

– Nic go nie obchodzi poza nim samym – jęknęła Nicole. – Nie poznaję tego człowieka.

– Kochasz go.

– Kochałam dawnego Juliana. – W oczach Nicole odmalował się szok, a po chwili strach.

– Masz rację. Kocham go. Zrobiłabym wszystko, żeby mu pomóc. Ale on mnie nie potrzebuje.

– To nieprawda...

– Nie chce mnie słuchać. Nie mogę mu pomóc.

– A jeśli się mylisz? – Charlotte rozpaczliwie pragnęła przywrócić przyjaciółce nadzieję.

– Może Julian słusznie chce spróbować zupełnie nowej terapii.

– Która go zabije!

– Wcale nie musi.

– Mówisz tak, jakbyś mogła temu zapobiec.

– Ja może nie, ale... – urwała. Nie była jeszcze gotowa, żeby wyznać prawdę. Raz wypowiedzianych słów nie da się cofnąć. Nie była nawet pewna, czy powinna to robić. Jednak przyjeżdżając na Quinipeague miała poczucie celu i musiała wierzyć, że zjawiała się tu właśnie z tego powodu.

– Ale co? – zawołała Nicole, by po chwili dodać błagalnym głosem: – Powiedz mi, Charlotte.

W ciągu tych kilku sekund, podczas których Nicole patrzyła na nią, jakby tylko ona mogła jej pomóc, Charlotte zmieniła zdanie wiele razy, kładąc ryzyko zranienia Nicole na jednej szali i możliwość ocalenia Juliana na drugiej. Ostatecznie zwyciężyła moralność. Ból da się uśmierzyć, śmierć jest czymś nieodwracalnym.

– Komórki macierzyste z krwi pępowinowej – wyrzuciła z siebie.

– Nie, nie! Właśnie tego chcę uniknąć! Nieważne, jak zgodny będzie dawca, organizm Juliana i tak odrzuci przeszczep. Do tej pory odrzucał wszystko. Gdybym miała dziecko, zamrozilibyśmy krew pępowinową i szanse byłyby większe, ale nie mamy dziecka.

– Za to ja mam – powiedziała bezgłośnie Charlotte, przerażona własnymi słowami.

Nicole patrzyła na nią oczami szeroko otwartymi ze zdziwienia.

– Co takiego?!

– Urodziłam dziecko – powtórzyła łagodnie Charlotte – i oddałam je do adopcji, ale zachowałam krew pępowinową, która pozostanie moją własnością aż do jego osiemnastych urodzin.

Nicole wydała z siebie pełne zniecierpliwienia westchnienie.

– To na nic. Nie możemy wykorzystać dowolnej krwi pępowinowej, licząc na to, że zadziała. Nie w przypadku organizmu Juliana.

Charlotte wpatrywała się w przyjaciółkę. Jeszcze miała szansę się wycofać – wystarczyło powiedzieć, że zaszła w ciążę po wyjeździe z wyspy.

Ale nie mogła tego zrobić. Byłoby to wierutne kłamstwo, a ona przez wszystkie te lata ani razu nie okłamała swojej przyjaciółki – słodkiej, niewinnej, wspaniałomyślniej Nicole. Katastrofa właśnie nadciągnęła. Jednak niezależnie od tego, jak bolesna miała się okazać prawda, życie nadal było najcenniejszą wartością ze wszystkich.

Nie wycofała się więc ze swoich słów, czekała tylko, aż Nicole pojmie ich sens.

\*

Nicole odezwała się dopiero po dłuższej chwili. Nie dlatego że nie domyśliła się prawdy, po prostu nie mogła w nią uwierzyć. Charlotte nie wyprowadziła jej jednak z błędu, a więc to była prawda. Potwornie, niewyobrażalnie zła.

– To dziecko Juliana?

Charlotte ledwie dostrzegalnie kiwnęła głową. Nicole wyprostowała się na krześle i przycisnęła dłoń do piersi.

– Urodziłaś Julianowi dziecko? Ty i Julian...?

– To się wydarzyło tylko raz, przed waszym ślubem.

Na jedną okropną chwilę Nicole stanęła przed oczami plątanina rąk i nóg, dwa splecione w uścisku ciała. Głośno odsuwając krzesło, zerwała się na równe nogi i cofnęła o krok.

– Ty i Julian?!

– To było nieporozumienie. Byliśmy pijani.

Nicole myślałaby, że się przesłyszała, gdyby nie malujące się na twarzy Charlotte poczucie winy. Zrobiła jeszcze kilka kroków w tył, pragnąc uciec od słów przyjaciółki, ale i tak dźwięczały jej w uszach. Nie mogąc złapać tchu, wpatrywała się w Charlotte, która nagle wydała jej się zupełnie obcą osobą. Charlotte i Julian? Jej mąż?

Przez chwilę wydawało jej się, że zemdleje, wystarczyło jednak, żeby Charlotte się do niej zbliżyła. Nicole ostrzegawczo uniosła rękę.

– Nie dotykaj mnie – szepnęła i wybiegła do salonu. Nogi nie chciały jej zanieść dalej. Padła na brzeg kanapy. Starła się zrozumieć sens wypowiedzianych przez Charlotte słów, ale myśli nie dawały się poskładać w logiczną całość, rozdarte pytaniami, które musiała natychmiast zadać.

Nicole poderwała się z kanapy i wróciła do kuchni. Charlotte nie ruszyła się z miejsca.

– Kiedy to się stało? – zapytała. Musiała to wiedzieć, choć nie była pewna dlaczego.

Charlotte wyglądała na przerażoną.

– Miesiąc przed ślubem. Dom przypominał cyrk: malowaliśmy sypialnie dla gości, przestawialiśmy meble i próbowaliśmy ustalić, gdzie powinien stanąć namiot.

Nicole pamiętała to wszystko jak przez mgłę.

– Której nocy?

– Chyba w sobotę, bo następnego dnia Julian wyjechał. Nie masz pojęcia, jak bardzo jest mi przykro...

– O której godzinie?

Charlotte się skrzywiła.

– Nie wiem. Wszyscy padaliśmy z nóg. Julian przygotowywał margarity.

– A gdzie ja wtedy byłam?

– Przez chwilę z nami. – Charlotte przełknęła ślinę. – A później poszłaś spać. Drinki uderzyły nam do głowy, więc przerzuciliśmy się na wino. Byliśmy pijani, Nicki. To dla nas nic nie znaczyło.

I to miało zmyć z nich winę? Nicole przyglądała jej się z niedowierzaniem. Niezdolna wypowiedzieć choćby jednego słowa, wyszła z kuchni, lecz po kilku sekundach wróciła. Miała więcej pytań. Dzięki ich zadawaniu jeszcze nie oszalała.

– Kiedy odkryłaś, że jesteś w ciąży?

– Dopiero po wyjeździe z wyspy.

– Jesteś pewna, że to było dziecko Juliana?

– Nie spałam z nikim przez dziesięć miesięcy.

– Dziesięć miesięcy – powtórzyła Nicole. – Dokładnie dziesięć. – Czyżby miała aż tylu mężczyzn? – Liczyłaś?

Charlotte wytrzymała jej spojrzenie.

– Nie tak, jak to sobie wyobrazasz. Po tamtej nocy byłam załamana. Upijanie się nie jest w moim stylu. Chciałam się dowiedzieć, dlaczego to zrobiłam, więc odcięłam się od świata. Pamiętam, że byłam wtedy bardzo samotna. Wy byliście tacy szczęśliwi, a ja całkiem sama.

– Angażowaliśmy cię we wszystko.

– Owszem, ale planowaliście wesele. Rok wcześniej robiłam to samo – może nie planowałam wesela, ale marzyłam o nim. Pojechałam do Szwecji, żeby napisać artykuł, poznałam pewnego mężczyznę i myślałam, że to ten jedyny.

Słowa przyjaciółki brzmiały jak kolejna wymówka. Nicole podeszła do nich sceptycznie.

– Nigdy o nim nie wspominałaś.

– Nasz związek się rozpadł. Nie mogłam na ten temat rozmawiać. Nie chciałam nawet

o tym myśleć. Co innego po kilku drinkach. Pewnie zastanawiałam się, czy postąpiłam słusznie, zrywając z tamtym mężczyzną, czy coś jest ze mną nie tak, skoro nie mogę znaleźć prawdziwej miłości, i czy kiedyś to ja pójdę do ołtarza.

– Więc postanowiłaś się przespać z moim mężem.  
– Nie, upiłam się. Rozpaczliwie pragnęłam, żeby ktoś mnie pożądał, nieważne kto.  
– Niezobowiązujący seks? Szybki numerek? Byłaś moją druhną, Charlotte. Jak mogłaś nią być po tym, co zrobiłaś?  
– Jak miałam ci powiedzieć? – zawołała Charlotte.  
– A jak mogłaś to przede mną ukryć? Zaszłaś w ciążę z moim mężem.  
– Twoim narzeczonym, poza tym dowiedziałam się o tym dopiero po weselu.  
Nie mogąc znieść jej widoku ani chwili dłużej, Nicole ruszyła do wyjścia, lecz zanim doszła do drzwi, kolejna straszliwa myśl kazała jej się odwrócić.  
– Czy Julian wiedział, że jesteś w ciąży?  
– Nie. Nie rozmawiałam z nim od dziesięciu lat, odkąd wyjechałam z wyspy.  
– Nie sądziłaś, że ma do tego prawo?  
– Zanim się dowiedziałam, byliście już małżeństwem. Nie mogłam ci tego zrobić.  
– A jednak zrobiłaś! – Nicole nie potrafiła się pozbyć myśli o ciąży. Rozplakała się, lecz po chwili przestała płakać i krzyknęła: – Jak mogłaś, Charlotte?! Wiedziałaś, że marzę o dziecku.  
– Nie planowałam tego! Ani tamtej nocy, ani dziecka. To był najtrudniejszy czas w moim życiu.

Podobnie jak ta chwila dla Nicole. Tylko gniew sprawiał, że jeszcze się trzymała.  
– Mam ci współczuć? – zapytała rozgoryczona, i to wbrew sobie. Ale jak miała nie czuć urazy? Charlotte urodziła dziecko, które należało się jej, Nicole. – Chłopiec czy dziewczynka? – zapytała cicho, nie mogąc wyrzucić z głowy obrazu niemowlęcia.  
– Och, Nicki, nie...  
– Mam nie pytać? Nie zastanawiać się? Jeśli nie teraz, to kiedy? – Jakaś część Nicole wierzyła, że dopóki będzie zadawać pytania, nie dopuści do siebie przerażającej świadomości wszystkiego, co się wydarzyło. – Chłopiec czy dziewczynka?  
– Dziewczynka.  
– Gdzie teraz jest?  
– W Waszyngtonie.  
– W mieście?  
– W stanie Waszyngton. To była adopcja ze wskazaniem. Rodzice czekali w szpitalu, kiedy ją rodziłam.  
– Czy nie uważałaś, że Julian też powinien tam być?  
– Był twoim mężem. To by cię zabiło.  
– Nie sądziłaś, że ma prawo zdecydować o losie własnego dziecka?  
Charlotte zacisnęła usta.

– Nie. Przez ostatni miesiąc schodziliśmy sobie z drogi, później wzięliśmy ślub, a ja wyjechałam. Juliana nie interesowało, czy mogłam zająć w ciążę. Żadne z nas nie chciało wracać wspomnieniami do tamtej nocy. – Jej głos stał się delikatniejszy, błagalny. – Cierpiałam, Nicole. Byłam w ciąży i strasznie się bałam. Rozważyłam każdą ewentualność. Wiedziałam, że byłabyś najlepszą matką na świecie, ale jak miałybyś wychować dziecko poczęte w taki sposób? A gdybym powiedziała Julianowi, musiałby ukryć przed tobą prawdę albo zaryzykować, że wasze małżeństwo się rozpadnie. Adopcja wydawała się jedynym słusznym wyborem.

– Trzymałaś ją w ramionach? – zapytała cicho Nicole. Ileż razy wyobrażała sobie, że tuli do siebie dziecko tuż po jego narodzinach!

- To nie...
- Trzymałaś?
- Przez chwilę.
- Nadałaś jej imię?
- Nie.
- Masz z nią kontakt?
- Nie.
- Ale zachowałaś krew pępowinową.  
Charlotte przytaknęła.
- Dlaczego?
- Na wypadek gdyby były potrzebne moim następnym dzieciom, jeśli będę je miała, albo

mnie.

– A co z dziećmi Juliana? – zapytała Nicole, myśląc o dzieciach, która sama mogłaby mu urodzić i które byłyby przyrodnim rodzeństwem tamtej dziewczynki. Pytanie zawisło między nimi bez odpowiedzi. – Czy twoi przyjaciele wiedzą?

– Jacy przyjaciele? Kiedy dowiedziałam się, że jestem w ciąży, robiłam badania w Appalachach. Nikogo tam nie znałam.

– Musieli zauważyć, że jesteś w ciąży.

– Do tego czasu zdążyłam wyjechać do Oregonu, gdzie zbierałam materiały do swojego pierwszego artykułu. Zostałam tam prawie do końca ciąży.

Sprawiała wrażenie zawstydzonej, ale to wcale nie pomogło Nicole. Gdzieś w tyle głowy zaświtała jej myśl o Julianie, kłamliwym Julianie, który ją zdradził.

Jednak to Charlotte miała na wyciągnięcie ręki i to ją chciała zranić.

– To, co zrobiłaś, można w pewien chory sposób wytłumaczyć. Twoi rodzice nigdy nie zachowywali się odpowiedzialnie. Nienawidziłaś ich za to.

– Owszem.

– A później zachowałaś się równie nieodpowiedzialnie. – Odrętwienie powoli zaczynało ustępować. Nicole objęła ramionami brzuch, próbując opanować drżenie. – Masz pojęcie, jak się teraz czuję? Myślałaś o tym?

Charlotte kiwnęła głową.

– Dręczyło mnie to przez dziesięć lat.

Uraza Nicole jeszcze się wzmocniła.

– Kochałam cię jak siostrę.

– A ja ciebie – odparła Charlotte. Opierała się łokciami o stół, była szczerą i skoncentrowaną na rozmowie. – Postąpiłam źle, Nicole. Nie chciałam, żebyś się o tym dowiedziała. Odkąd przyjechałam tu i dowiedziałam się o Julianie, modliłam się, żeby do tej rozmowy nie doszło. Ale skoro on potrzebuje tych komórek, jak mogłam ci nie powiedzieć?

– Mogłaś powiedzieć jemu – odparowała Nicole. – Dlaczego zaczęłaś ode mnie?

– Bo to na tobie mi zależy.

– I dlatego rozbiłaś mi małżeństwo?

– To ostatnia rzecz, jakiej bym chciała. Wyjechałam tuż po waszym ślubie i całkowicie wycofałam się z waszego życia. Ale w końcu mnie tu zaprosiłaś, a ja tęskniłam za tobą. Tak dobrze się rozumiałyśmy. Miałam nadzieję, że przeszłość jest już za nami i że uda nam się odzyskać to, co nas dawniej łączyło. Zrobiłam coś okropnego, Nicole. Jeśli te komórki przywrócą wam nadzieję, będę miała szansę odpokutować za wyrządzoną krzywdę.

– Doprawdy? – zapytała Nicole z mieszaniną wściekłości, niedowierzania i rozczarowania. Czują też pustkę. Zawsze sądziła, że tworzą z Julianem jedność, lecz oto



dowiedziała się o nim i... Charlotte. Nie miała pojęcia, gdzie w tym wszystkim było miejsce dla niej.

Charlotte nic nie powiedziała, przemówiła za to wściekłość Nicole.

– Urodziłaś dziecko mojego męża.

Charlotte nadal milczała.

– Nigdy ci tego nie wybaczę.

– Rozumiem – odparła Charlotte i dodała błagalnym tonem: – Ale posłuchaj mnie: tu nie chodzi o dziecko, tylko o komórki macierzyste, które mogą być dla was rozwiązaniem.

– Rozwiązaniem czego?! – wrzasnęła Nicole, czerpiąc siłę z buzującego w niej gniewu. – Myślisz, że uratują życie mojemu mężowi? W tym momencie mam go gdzieś, podobnie jak ciebie. Zdradziliście mnie oboje.

– Żadne z nas nie było świadome tego, co robi.

Nicole w to nie wierzyła. Mogła zrozumieć brak moralności u Charlotte, która nie miała najlepszych wzorców, ale Julian? Jej mąż? Chociaż miał wcześniej żonę i spotykał się z kilkoma innymi kobietami, zakładała, że był jej wierny, ale jeśli nie potrafił jej dochować wierności nawet w przededniu ślubu, to czego miała się po nim spodziewać?

Charlotte odsunęła się od stołu i zapytała słabym głosem:

– Chcesz, żebym wyjechała?

– Tak – odparła Nicole, lecz po chwili zmieniła zdanie.

Pomyślała o książce kucharskiej, z powodu której Charlotte się tu znalazła. Z jednej strony książka straciła dla Nicole znaczenie. Gotowanie, nakrywanie do stołu, dziesiątki tysięcy wielbicieli – w jednej sekundzie kariera przestała się dla niej liczyć. Z drugiej strony nic więcej nie miała, a Charlotte zobowiązała się jej pomóc. Poza tym wyrzucenie Charlotte z wyspy pozwoliłoby jej tylko uniknąć konsekwencji.

Jak powinna postąpić? Nicole nie potrafiła trzeźwo myśleć w tej płątanie emocji. Skołowana, powiedziała tylko: „Nie mogę na ciebie patrzeć”, odwróciła się na pięcie, minęła salon i uciekła schodami na górę.

\*

Charlotte czekała, aż jej przyjaciółka wróci. Z góry nie dobiegał żaden dźwięk – płacz, krzyki na Juliana ani nawet trzaśnięcie drzwiami. „Nie mogę na ciebie patrzeć”. Charlotte zasłużyła na te słowa, a nawet na więcej, lecz i tak poczuła się zraniona.

Szukając ukojenia w widoku oceanu, wyszła z domu kuchennymi drzwiami. Błyski fajerwerków na horyzoncie świadczyły o tym, że obchody Dnia Niepodległości właśnie się rozpoczęły, lecz Charlotte nie miała najmniejszej ochoty świętować. Przeszła przez taras, usiadła na stopniach prowadzących na plażę i objęła ramionami kolana. Był odpływ i woda pozostawiła szeroki pas piasku z porzrzucanymi wodorostami, za którym piętrzyła się fala, by po chwili spokojnie odpłynąć. Szum przelewającej się wody rozbrzmiewał wzdłuż wybrzeża Quinipeague. Charlotte starała się w tym dopatrzeć poezji: życie niczym fala na zmianę pędziło do przodu i ustępowało. Bob Lilly mówił o tym podczas pierwszych wakacji, które spędziła na wyspie jako ośmioletnia dziewczynka zamartwiająca się tym, co działo się w jej domu. Podczas najsamotniejszych chwil swojego życia czerpała siłę z jego głosu, słów i echa ukrytej w nich poezji.

Teraz jakoś nie chciały jej pomóc. Charlotte zdradziła również Boba. Zastanawiając się, czy rzeczywiście jest tak samo zdeprawowana jak jej rodzice, poczuła się gorzej niż kiedykolwiek. Zaczęła się lekko kołysać. Oparła głowę na kolanach i wsłuchiwała się w rytmiczne dudnienie oceanu, ale nawet w nim nie znalazła ukojenia.

Po pewnym czasie uniosła głowę. Minęła północ, ale Nicole pewnie i tak nie spała. Charlotte nie mogła do niej pójść, ale mogła czekać w salonie, choćby i całą noc, trwając na posterunku, gdyby tylko miało to pomóc jej przyjaciółce.

Kiedy ruszyła w kierunku domu, zgasły w nim światła. Charlotte zaniepokojona przeszła ciemnym tarasem do kuchennych drzwi i przekreśliła gałkę, ale drzwi nawet nie drgnęły. Sprawdziła przesuwane drzwi od tarasu i frontowe – z podobnym skutkiem.

Właśnie zastanawiała się, co powinna zrobić, gdy usłyszała w domu kroki. Wyobraziła sobie, jak Nicole otwiera drzwi i mówi, że ją rozumie, że ludzie popełniają błędy, a komórki macierzyste z krwi pępowinowej są spełnieniem jej modlitw.

Po chwili dotarło do niej, że Nicole poszła na górę i nie wpuści jej na noc do domu.

## Rozdział 16



Charlotte stała w ciemności, zastanawiając się, co powinna zrobić. Nie mogła nacisnąć dzwonka. Nicole nie zamknęła drzwi przez roztargnienie – wiedziała, że Charlotte jest na dworze, i nie chciała jej wpuścić do środka.

Czując się jak szumowina, usiadła na schodkach w bezksiężycową noc, objęła ramionami kolana i wbiła wzrok w nicość. Dziesięć lat wcześniej popełniła straszny błąd. Tego wieczoru najwyraźniej tylko pogorszyła sprawę. Wydawało jej się, że oferując pomoc, odkupi przynajmniej część swoich win, ale się myliła. Wszystko to, czego najbardziej się bała, właśnie się wydarzyło, i nie mogła na to nic poradzić.

Zastanawiała się, czy nie pojechać do portu, zaczekać tam i rano złapać pierwszy prom, ale nie miała pieniędzy ani nawet kluczyków do samochodu. Poza tym ucieczka to nie najlepsze wyjście z sytuacji. Przez całe życie uciekała z kolejnych nieprzyjemnych związków, lecz Nicole nie była niedobrym partnerem. Charlotte kochała ją jak siostrę.

Podniosła się ze schodów i spięta ruszyła przed siebie. Noc była chłodna. Ubrana w bluzkę i szorty, które miała na sobie w Rockland, trzęsła się z zimna, chociaż podejrzewała, że także z żalu. Przyspieszyła kroku.

Jednak już po pięciu minutach usiadła na poboczu drogi. Nie powinna odwiedzać Leo. Nie zasługiwała na ukojenie. Z drugiej strony nigdy wcześniej nie czuła się tak samotna. Nawet podczas tych wszystkich lat, kiedy nie widziała Nicole, miała świadomość, że rodzina Lillych gdzieś tam jest, tworząc jej emocjonalną podporę. Tym razem ich nie miała. Strata okazała się bardzo dotkliwa.

Charlotte nie była pewna, czy Leo ją zrozumie, ale nie miała gdzie się podziac.

Szła coraz szybciej, próbując uciec przed niewyobrażalnym smutkiem. W roztargnieniu nie zauważyła dziur w chodniku, dopóki nie wpadła w jedną z nich. Kuśtykała dalej, prawie nie zwalniając i napawała się bólem. Tuż przed zakrętem puściła się biegiem piaszczystą ścieżką. Nie zwracała uwagi na cienie roślin, zapachy, szelest liści ani nawet szum oceanu.

Wbiegła po schodkach na górę i ciężko oparła się o drzwi. Łapała krótkie, urywane oddechy, jej czoło, dłonie i klatka piersiowa stykały się z drewnem. Spojrzała na zegarek – pokazywał drugą dziesięć. W domu panowała cisza.

Nie powinna była tu przychodzić, ale nie mogła też odejść. Czuła, że jest w zupełnej rozsypce, w dodatku dygotała z zimna.

Delikatnie zapukała do drzwi i zaczęła nasłuchiwać. Nie dotarł do niej żaden dźwięk, więc zapukała ponownie. Tym razem gdzieś w głębi domu rozległo się szczekanie Niedźwiedzia. Zapukała po raz trzeci, nadal cicho. Odgłos szczekania rozległ się nieco bliżej. Drzwi się nagle otworzyły, a ona prawie się przewróciła. W ostatniej chwili złapała równowagę i popatrzyła w górę. Leo miał zmierzwione włosy, ale nie wyglądał na zaspanego. Stał boso, ubrany w podkoszulek i dżinsy.

Musiła wyglądać jak wariatka, z włosami sterczącymi we wszystkie strony i malującą się na twarzy rozpaczą, bo przez chwilę przyglądał jej się w osłupieniu, po czym wyszeptał z przestrachem „Jezu” i wciągnął ją do środka.

Kiedy drzwi się za nią zamknęły, oparła się o nie całym ciałem. Chwilę później nogi odmówiły jej posłuszeństwa i zsunęła się po drewnianej powierzchni na podłogę. Zasłoniła rękami twarz i rozplakała się. Z jej gardła wyrwały się niekontrolowane, urywane szloch, którym nie było końca. Przycisnęła twarz do kolan i objęła głowę rękami.

Leo położył jej dłoń na karku.

– Co się stało? – zapytał.

Jego dotyk wystarczył, żeby coś w niej pękło. Słowa były nieskładne, ale – podobnie jak łzy – płynęły nieprzerwanie. Zwierzyła mu się z najbardziej osobistych spraw: mówiła o sobie, Julianie, dziecku i Nicole.

Leo nic nie mówił, tylko słuchał. Kiedy Charlotte zabrakło słów, pomógł jej wstać, zaprowadził ją przez pogrążony w ciemności dom i położył do łóżka.

\*

Obudziło ją cudowne ciepło, bicie serca tuż pod jej uchem i dotyk ramienia na plecach. Bojąc się poruszyć, otworzyła oczy. W pokoju było ciemno, tylko przez szczelinę w zasłonach przedzierał się promień światła. Dopiero gdy jej oczy przyzwyczyły się do mroku, zrozumiała, gdzie jest. Szybko usiadła, przycisnęła prześcieradło do piersi, chociaż miała na sobie ubranie, i popatrzyła na sąsiednią stronę łóżka. Leo siedział oparty o zagłówek, z podłożonymi pod plecy poduszkami. Jego klatka piersiowa była naga, lecz nadal miał na sobie dzinsy. Ramię, którym jeszcze przed chwilą ją obejmował, leżało na prześcieradle, drugie założył sobie pod głowę. Oczy, w których odbijało się wpadające do pokoju światło, patrzyły prosto na nią.

Charlotte przypominała sobie wszystko – konfrontację z Nicole, bieg do domu Leo, swoje nieskładne wyznanie – i zrobiło jej się słabo.

– O mój Boże – jęknęła, myśląc najpierw o załamanej Nicole, później o Julianie, który pewnie ją przeklnie, i w końcu, z przerażeniem, o Leo. – Nie mogę uwierzyć, że powiedziałam ci to wszystko!

– Dlaczego? – zapytał cicho.

– Bo to takie osobiste sprawy. Znowu ją zdradziłam.

– Myślisz, że komuś o tym powiem?

– Nie wiem. Zrobisz to?

Przez chwilę przyglądał jej się z wymownie zaciśniętymi szczękami. Już myślała, że się na nią obraził, kiedy wstał z łóżka i rozsunał zasłony. Pewnie nadal by na niego patrzyła, gdyby nie rozejrzał się po pokoju, zachęcając ją do tego samego.

Wystrój sypialni okazał się niespodzianką. Sądząc po tym, jak dom prezentował się z zewnątrz, Charlotte spodziewała się czegoś skromnego, ale nic z tych rzeczy. Czarne, zgrabne łóżko królewskich rozmiarów kontrastowało ze ścianami pomalowanymi na śnieżną biel, zaś dywan stanowił elegancką kombinację tych dwóch kolorów. Okna i drzwi tarasowe wychodziły na ocean, w sypialni znajdowały się też szafy wnękowe, obrazy pokrywały ściany od podłogi do sufitu, a na jednej z nich, przy której leżał Niedźwiedź, wisiał ogromny telewizor z płaskim ekranem.

Jeśli kiedyś ta sypialnia należała do Cecyli, nie pozostał po niej nawet ślad. Wszystko tutaj było męskie i doskonale pasowało do Leo. Każdy sprzęt był nowy i wysokiej jakości, począwszy od pościeli, aż po dywan i dzieła sztuki, które nasuwały więcej pytań niż odpowiedzi. Charlotte popatrzyła na Leo ze zdziwieniem.

– Wszyscy mamy sekrety – zauważył smutno, otworzył drzwi tarasowe i wystawił głowę na zewnątrz.

Kiedy Charlotte do niego dołączyła, zaprowadził ją przez drewniany taras i starannie

utrzymany kawałek plaży na długi pomost, który wcinał się daleko w ocean. Przy jego końcu cumowała elegancka, smukła żagłówka z włókna szklanego i drewna tekowego, ze zwiniętymi żaglami.

Charlotte przypomniało się, że ten właśnie jacht widziała pierwszego ranka po przyplłynięciu na wyspę.

– Jest twój? – szepnęła w oszołomieniu.

Leo kiwnął głową. Sprawiał wrażenie bardziej skrępowanego niż dumnego. Kiedy Charlotte popatrzyła na niego pytająco, skierował ją twarzą w stronę domu.

Zaniemówiła z wrażenia. To nie mógł być ten sam dom, w którym naprawiali dach. Tamten był stary, ten lśnił nowością. Ściany tamtego pokrywała obłaząca brązowa farba, ten tworzyły zgrabnie ze sobą połączone bryły piaskowca. Tamten miał dwa piętra i przypominał pudełko, ten był jednopiętrowy, z wysokimi sufitami, kilkoma świetlikami i przybudówką po prawej stronie, tak idealnie wkomponowaną między drzewa, jakby stanowiła część lasu.

A jednak to był ten sam dom – Charlotte dostrzegła wznoszącą się za dachem sypialni kopułę – tylko że od strony oceanu przeszedł kompleksowy lifting.

– Kiedy...? – zapytała, nie bardzo wiedząc, od czego powinna zacząć.

– W tym roku.

– Zrobiłeś to wszystko sam?

– Miałem pomoc.

– Czyją?

– Miejscowych.

– A więc o tym wiedzą?

Dom stał w odludnej części wyspy i mało kto się tutaj zapuszczał.

– Niektórzy.

Nie mogła oderwać wzroku od domu, ale słysząc tajemniczy ton, przeniosła wzrok na Leo, który nerwowo przygryzał wargę, co oczywiście znów kazało jej się zastanowić, skąd wziął na to wszystko pieniądze. Jej pierwsza myśl brzmiała: napad na bank, bo skoro sprzedawał marihuanę, mógł się posunąć i do tego. Jednak podobnie jak w przypadku domu, Leo nie był taki, jak mogło się wydawać na pierwszy rzut oka. Czyżby oszustwa giełdowe...

– Skąd miałeś pieniądze na materiały, robociznę...? – spytała niepewnie.

Popatrzył na nią niemal ze strachem, lecz wyraz jego twarzy szybko się zmienił.

Zrezygnowany, ruszył pomostem w kierunku prawej części domu. Nie musiał długo czekać na Charlotte, która była tak ciekawa odpowiedzi, że szybko poszła za nim.

Podobnie jak w sypialni, ściana pokoju wychodząca na ocean była cała ze szkła i odbijała morski krajobraz tak skutecznie, że Charlotte nie widziała, co jest w środku, dopóki Leo nie otworzył drzwi. Spojrzała na niego. Ponownie przygryzł wargę, wyraźnie rozdarty. Skinął jednak głową, zapraszając ją do środka.

Charlotte zobaczyła długie półki zastawione książkami. Jedyną przerwę między regałami zajmowała potężna kserokopiarka. Środek pokoju zajmowało masywne biurko, które – podobnie jak półki z książkami – wyglądało na wykonane z drewna czereśniowego. Stał na nim komputer, otoczony papierami; część z nich była porządnie poukładana, część nie. Przy tym biurku ktoś pracował, pomyślała Charlotte i posłała Leo zdziwione spojrzenie.

Mężczyzna wsunął dłonie do kieszeni. Dżinsy przylegały do jego szczupłych bioder, nad którymi widać było nagi tors, lecz ramiona zdawały się dźwigać jakiś wielki ciężar. Wyraźnie podenerwowany Leo skinął głową w kierunku jednej z półek.

Charlotte przeniosła wzrok na regał. Nie była zaskoczona liczbą książek – Leo powiedział już, że lubi czytać. Kiedy jednak podeszła bliżej, jej uwagę zwrócił znajomy grzbiet. Wyciągnęła

książkę. *Salt*. I nie był to jedyny egzemplarz. Naliczyła jeszcze trzy – a w zasadzie sześć, razem z tymi, które ze zdumieniem zauważyła obok kopiarki. Przebiegła wzrokiem półki i dostrzegła trzy kolejne egzemplarze *Salt*, tym razem w miękkiej oprawie.

Tylko że *Salt* nie ukazał się jeszcze w miękkiej oprawie; gdyby tak było, zauważyłaby w księgarni na lotnisku.

Zaciekawiona, zdjęła z półki najpierw jeden, później drugi egzemplarz. Miały różne okładki, jakby ktoś nie mógł się zdecydować, którą z nich wybrać.

Ktoś...?

W jednej przepelnionej zdumieniem sekundzie przypomniała sobie rzucone mimochodem uwagi Leo, które skojarzyły jej się z książką, jego wiedzę na temat wyspiarskiego życia oraz fakt, że łódź w jego przystani przypominała tę, którą zbudował bohater książki, i wreszcie pogardę Leo dla *Salt*, która już wcześniej wydała się Charlotte podejrzana.

Popatrzyli na siebie.

– Ty?! – szepnęła z niedowierzaniem. – To ty jesteś autorem *Salt*?

Leo nic nie odpowiedział, nawet się nie uśmiechnął. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Usiłując poukładać sobie to wszystko, Charlotte przyłożyła dłoń do czoła.

– Sam ją wydałeś i wypromowałeś.

– To żadna filozofia.

Charlotte spojrzała najpierw na książkę, później na niego.

– Ty ją napisałeś? – powtórzyła ze zdumieniem.

Na policzkach Leo pojawił się rumieniec.

– Czy to aż takie nieprawdopodobne?

– Jeszcze jak! Mieszkańcy wyspy mówią o tobie jak o chuliganie, który strzela do mew. – Nagle coś sobie uzmysłowiła. – Oczywiście! To nieprawda. Oni cię chronią. – To jej nasunęło kolejną myśl. – Czy oni wszyscy wiedzą?

– Większość tak. Dostają pocztą książki i mnóstwo przekierowanych listów, a właściciel łodzi to straszny plotkarz.

– Dlaczego przekierowanych?

– Mam skrzynkę w Portland.

– Żeby nikt nie wiedział, gdzie mieszkasz.

– Nie zależy mi na rozgłosie.

– Takim jak ten, który mogłaby przynieść wyspie nasza książka kucharska?

– Tę potyczkę chyba już przegrałem – rzucił cierpko.

Charlotte poczuła tępy ból.

– Możliwe, że ja też. Nicole nie będzie już chciała mojej pomocy. – Nie mogła się jednak skupić na niczym innym niż tajemnica Leo Cole'a. Czując ciepło przy swojej nodze, położyła dłoń na głowie Niedźwiedzia, żeby nie stracić równowagi. – Napisałeś bestseller roku, a reszta świata nie ma o tym pojęcia. Zadziwiająco...

Leo nic nie powiedział. Najwyraźniej nie widział w tym nic dziwnego, za to czuł się lekko zagrożony faktem, że Charlotte dowiedziała się prawdy.

– Czy wydawca zna twoje prawdziwe nazwisko?

Leo pokręcił głową.

– Wszystkie sprawy załatwiam przez swojego adwokata w Bostonie.

– Nawet rozmowy telefoniczne?

– Nawet.

Charlotte się skrzywiła.

– Nie zależy ci na odrobinie sławy?

– Nie.

Cóż, przynajmniej wie, czego chce. Charlotte wzięła do ręki wszystkie trzy egzemplarze w miękkiej oprawie.

– Na którą okładkę się zdecydujesz?

– Jeszcze nie wiem. Twarda oprawa sprzedaje się na tyle dobrze, że zaczekam z wypuszczeniem miękkiej. A tobie która najbardziej się podoba?

Charlotte nie musiała się długo zastanawiać.

– Niebieska – powiedziała. Okładka przedstawiała ocean z unoszącą się na nim łódką. Widok robił na niej tym większe wrażenie, że nie wiedziała, czy patrzy na wschód czy zachód słońca. Odstawiła książki na półkę i ponownie zwróciła się do Leo: – Skąd wiedziałeś, jak to zrobić?

– To nie ja zaprojektowałem okładki, tylko mój wydawca.

– Mam na myśli pisanie. Sama męczę się nad dwunastostronicowym artykułem, a *Salt* ma czterysta osiemdziesiąt trzy strony.

Usta Leo drgnęły, chociaż właściwie nie był to uśmiech.

– Zapamiętałaś.

\*

– O, tak – odparła z pasją Charlotte. – Historia spodobała mi się tak bardzo, że kiedy zaczęłam się martwić losami bohaterów, opuściłam spory fragment i przeczytałam dopiero ostatnie strony. Zakończenie jest okropne.

– Jesteś na mnie zła?

– Oczywiście. Złamałaś mi serce. Lubię powieści ze szczęśliwym zakończeniem.

Prawdziwe życie jest wystarczająco smutne. – Znowu przypomniała sobie o Nicole. Odsunęła od siebie tę myśl i podeszła do biurka. Część notatek była napisana odręcznie, część wydrukowana na komputerze. Jedna ze stert wyglądała na korespondencję. – Listy od fanów? – zapytała.

Leo przytaknął.

Charlotte była pod wrażeniem. Chwilę później jej wzrok powędrował w stronę monitora.

– Czy to ciąg dalszy? – zapytała podekscytowana, marząc o szczęśliwym zakończeniu.

– Nie, *Salt* to zamknięty temat.

– Więc piszesz całkiem nową powieść? – spojrzała na nagłówek, który brzmiał: *Powieść numer dwa*.

Leo wcisnął dłonie głębiej do kieszeni.

– Kiepsko mi idzie.

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– *Salt* praktycznie napisał się sam. Tym razem idzie mi jak po grudzie. Możliwe, że z powodu braku czasu: promowanie *Salt* w internecie jest bardzo pracochłonne.

– Ale przecież nie potrzebujesz dużo snu – przypomniała.

– Nie chodzi o sen, tylko o strach.

– Przed czym?

– Przed tym, że druga książka okaże się do niczego.

– Co mówi twój wydawca? – Skinęła podbródkiem w kierunku monitora.

– Nic. Jeszcze mu jej nie pokazałem.

– Mogłabym ją przeczytać? – Mój Boże, to by na pewno zmiękczyło Nicole!

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo to nic niewarte. Myślę, że *Salt* powinien być moją pierwszą i ostatnią książką.  
– Przecież masz wielki talent.  
– Tak jak wielu ludzi, którzy nie mają pojęcia, co z nim zrobić. Mnie się po prostu udało.  
– Najwyraźniej trapiło go coś jeszcze. – Ale nie chodzi tylko o strach.  
– A o co?  
– Sukces. Fani, blogerzy, media... wszyscy domagają się części ciebie, a im większy odniesiesz sukces, tym większe stają się ich wymagania. Nie wyjadę z wyspy, żeby żyć jak pisarz.

Charlotte poznała Leo na tyle dobrze, żeby zrozumieć, co miał na myśli. Cenił prywatność. W zasadzie ona też ją ceniła, chociaż poczuła się zaskoczona tym odkryciem. Właśnie się nad tym zastanawiała, kiedy Leo zapytał:

– O czym myślisz?  
Usiłowała znaleźć odpowiedź pomimo rozkojarzenia. Dotknęła głowy Niedźwiedzia i powiedziała:  
– Napisałeś *Salt*. Nie jestem pewna, czy mi się to podoba.  
– Dlaczego?  
– Sama nie wiem. – Nie potrafiła tego wyjaśnić.  
– Powinnaś mnie polubić jeszcze bardziej. To oznacza, że jestem nadziany.  
Charlotte zbyła jego żart westchnieniem.  
– Pieniądze nic dla mnie nie znaczą. A to, że jesteś nadziany, wprost mnie przeraża.  
– Bo jesteś zazdrosna.  
– O co?  
– O mój sukces.  
– To niedorzeczne. Naszych zawodów nie da się porównać. Każde moje zlecenie jest inne. Jeżdżę w różne miejsca i rozmawiam z ludźmi. Nie chcę pisać książek, a przynajmniej nie powieści – dodała, przypominając sobie o książce kucharskiej.

– W takim razie co cię przeraża?  
Zamyśliła się nad tym. W Leo najbardziej podobało jej się to, że był samowystarczalny i silnie związany z wyspą. Charlotte mogła w przyszłości trafić do dowolnego zakątka świata, Leo nigdzie się nie wybierał. Był tu zakorzeniony. Uważała, że to kojące. Czowała się bezpiecznie na jego prywatnym krańcu wyspy.

Jak to pogodzić z ogólnokrajową sławą pisarza, a tym bardziej z jej przyszłością? Nie miała pojęcia.

– Lubiłam twoje życie, kiedy było prostsze – odparła bez owijania w bawełnę. – Prawdziwy świat jest skomplikowany, twój jest jasny i klarowny. Przynajmniej tak mi się wydawało. – Nie chciała odpowiadać na więcej pytań, więc sama zapytała: – Dlaczego powiedziałeś mi o tym wszystkim właśnie teraz?

– Wiem o tobie i o Julianie – odparł bez wahania. – Bałaś się, że komuś powiem, a teraz sama masz na mnie haka. To chyba niezłe zabezpieczenie, prawda?

\*

Zabezpieczenie. Charlotte nie była pewna, czy coś takiego w ogóle istnieje. Życie potrafiło zaskakiwać, niezależnie od ludzkich starań. Weźmy chociażby sytuację z Nicole. Julian mógł zachorować na każdą inną chorobę i wówczas tajemnica Charlotte by się nie wydała. W żadnym wypadku nie mogła przewidzieć, że Julian zachoruje na SM, bezskutecznie wypróbuje szereg terapii i zdecyduje się na ryzykowny przeszczep.

W drodze powrotnej do domu nie potrafiła przestać o tym myśleć. Leo zaproponował, że



ją odwiezie, ale odmówiła. Potrzebowała ruchu, świeżego powietrza i buforu bezpieczeństwa pomiędzy życiem swoim i Leo.

Na niewiele jej się to wszystko zdało. Przypomniała sobie, co odparł Leo, kiedy zapytała, czy może powiedzieć Nicole o *Salt*.

Wzruszył tylko ramionami.

– Masz na nią haka, więc nikomu się nie wygada.

– A więc tylko o to chodzi? – zapytała smutno Charlotte. – Żeby na każdego mieć haka?

– Nie ja to wymyśliłem. Życie nigdy nie jest takie, jak byśmy chcieli.

Charlotte zastanawiała się, czy Leo przygotowuje się na jej wyjazd, co z kolei kazało jej przemyśleć charakter ich związku. Nie potrafiła powiedzieć, co ich łączy, ani nawet co by chciała, żeby ich łączyło.

Kiedy znalazła się blisko domu, miejsce Leo w jej myślach zajęła Nicole. Charlotte przede wszystkim musiała się dostać do środka. Drzwi pewnie nadal były zamknięte, a Nicole wcale nie musiała ich otwierać. Równie dobrze mogła wystawić bagaże przyjaciółki za próg. Mimo to Charlotte wierzyła, że tak się nie stanie – nawet jeśli Nicole była na nią wściekła, nie powinna rezygnować z komórek macierzystych dla Juliana.

\*

Na schodach nie było walizek, a drzwi okazały się otwarte. Charlotte ostrożnie weszła do domu. Poczła zapach kawy i chociaż marzyła o filizance, uważała, że nie ma prawa się poczęstować. Drzwi mogły zostać otwarte wyłącznie po to, żeby Charlotte zabrała swoje rzeczy. Raczej nie była tu mile widzianym gościem.

Nicole siedziała w salonie. Nie podniosła się z miejsca, ani nawet się nie odwróciła, chociaż musiała usłyszeć szcęk klamki. Znad leżących na kanapie poduszek widać było tylko czubek jej głowy i potargane blond włosy. Siedziała naprzeciwko szeroko otwartych drzwi na taras, przez które wpadała morska bryza i widać było spienione fale.

Widok przyjaciółki ścisnął Charlotte serce. Nicole siedziała sztywno na kanapie, z podwiniętymi nogami i twarzą ściągniętą bólem.

– Tak mi przykro – odezwała się Charlotte ze ściśniętym gardłem. – Gdybym mogła cofnąć czas, zrobiłabym to. Tamta noc nic dla mnie nie znaczyła.

– Tym bardziej żałuję – wymamrotała Nicole. – Przynajmniej byłby z niej jakiś pożytek. Nic straconego, pomyślała Charlotte.

– Komórki macierzyste są wasze. Wystarczy jedno twoje słowo, żeby je wam przysłali.

Nicole nie zareagowała. Uniosła kubek, napiła się kawy i opuściła go z powrotem na kolana.

– Dlaczego zgodziłaś się pomóc mi przy pisaniu książki? – zapytała w końcu. – Chciałaś, żebym się o tym dowiedziała?

– Dobry Boże, nie! Sądziłam, że nigdy się nie dowiesz, i tylko dlatego się zgodziłam. Minęło dziesięć lat i umierałam z tęsknoty za tobą. Być może czułam, że jeśli ci pomogę, w jakimś stopniu zrekompensuję ci to, co zrobiłam.

– Nic mi tego nie zrekompensuje.

– Może masz rację. Powiedz mi, co mam zrobić. Wyjadę, jeśli chcesz.

Nicole odwróciła głowę w kierunku Charlotte, ale nie popatrzyła na nią.

– I będziesz miała problem z głowy? Nie. Teraz muszę myśleć o sobie. Książka kucharska to moja przyszłość. Obiecałaś mi pomóc. Jesteś mi to winna.

– To prawda – odparła Charlotte. Wiedziała, że łatwiej byłoby wyjechać, ale czuła, że tym razem nie może tak po prostu uciec. – Pomogę ci, w czym tylko będziesz chciała. –

Zawiesiła głos, a gdy Nicole upiła kolejny łyk kawy, zapytała łagodnie: – Powiedziałaś Julianowi?

– Nie.

Zdziwiło ją to. Już same komórki macierzyste stanowiły wystarczający powód do rozmowy, nie wspominając o romansie. Poprzedniego wieczoru Nicole była tak wściekła, że powinna krzyczeć na Juliana przez całą godzinę.

Jednak teraz, siedząc na kanapie, wydawała się inna: opanowana i wyciszona.

– Powiedziałaś mojej matce – odparła ze spokojem. – Nie o tobie, tylko o chorobie Juliana. Wybiera się na wyspę. Przynajmniej jedna dobra rzecz.

Charlotte kochała Angie i cieszyła się z jej przyjazdu przez wzgląd na Nicole, ale wiedziała, jak trudno będzie jej spojrzeć w oczy.

Nicole wreszcie się odwróciła i pozwoliła dojść do głosu emocjom.

– Oczywiście dla ciebie to będzie krępująca sytuacja, ale nie obchodzi mnie to. Powinnas się czuć winna za każdym razem, gdy na nią spojrzysz. Mam nadzieję, że będziesz cierpiała.

Charlotte martwił nie tyle ból, co nienawiść – uczucie do tej pory obce Nicole. Świadomość, że doprowadziła ją do takiego stanu, była czymś okropnym.

– Tobie też będzie trudno znieść moją obecność – powiedziała łagodnie Charlotte. – Jesteś pewna, że tego chcesz?

Nicole kiwnęła głową wolno i z namysłem.

– Chcę dokończyć pisanie książki. Poza tym jeśli wydaje ci się, że zwiejesz z tymi komórkami, to się mylisz. Julian ich potrzebuje. – Przez chwilę milczała w oszołomieniu. – Zawsze go pragnęłaś?

– Nigdy go nie pragnęłam.

– A więc to była zazdrość. Nie miałaś nikogo i nie chciałaś, żebym ja miała, więc zrobiłaś wszystko, co mogłaś, żeby zniszczyć moje małżeństwo?

– Gdyby tak było, już dawno bym ci powiedziała. Wiem, że próbujesz zrozumieć, jak do tego doszło, Nicole, ale powiedziałam ci wszystko, co mogłam. Byłam samotna i za dużo wypiałam. Julian był nie bardziej świadomy tego, co robi, niż ja.

Nicole popatrzyła na nią zimnym wzrokiem.

– Ale nie wykrzyczał mojego imienia, kiedy się kochaliście.

– My się nie kochaliśmy. Nie padły żadne słowa. To był akt czysto fizyczny.

Nicole ponownie zapatrzyła się w ocean, a gdy już doszła do siebie, zapytała:

– Byłaś u Leo, prawda?

– Nie miałam dokąd pójść. Jednak do niczego między nami nie doszło. – Musiała o tym wspomnieć. – Byłam zdenerwowana, a on zachował się jak przyjaciel.

– Powiedziałaś mu?

Charlotte chciała skłamać, ale czułaby się wtedy jeszcze bardziej winna.

– Tak. – Nicole posłała jej zaniepokojone spojrzenie, więc dodała: – Nikomu nie powtórz.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Podzielił się ze mną pewnym sekretem. Jeśli zaczniesz plotkować, zdradzę go całemu światu.

– A kogo interesuje Leo Cole? – zapytała z pogardą Nicole.

W innej sytuacji Charlotte zwróciłaby jej uwagę, lecz byłoby to nierozsądne, skoro i tak stąpała po cienkim lodzie. Zaczekała, aż Nicole wygodniej ułoży się na kanapie, i powiedziała:

– Akurat to by ich zainteresowało.

– Cały świat? Co ty opowiadasz?

– To on jest autorem *Salt*.

Nicole prychnęła.

– A ja jestem Lady Gaga.

– Widziałem jego gabinet i książki, włącznie z egzemplarzami w miękkiej oprawie, których jeszcze nie ma na rynku. Na początku byłam równie sceptyczna jak ty, Nicole, ale pomyśl tylko – mówiła, nie mogąc powstrzymać emocji – Leo wie wszystko o życiu na wyspie.

– I o tym, jak zatroszczyć się o kobietę?

– Wszystkie złe rzeczy, które słyszałyśmy na jego temat, to plotki. On jest zupełnie inny.

– Tak twierdzi, ale mężczyźni kłamią. – Posłała Charlotte ostre spojrzenie. – Obydwie o tym wiemy.

I tym razem Charlotte nie dała się sprowokować.

– Czy Julian kiedykolwiek cię okłamał? – zapytała, lekko poirytowana. Zaczynała się nad sobą litować, co nie pasowało do jej charakteru. – Zapytałaś go, czy ze mną spał? Albo czy w ogóle mnie lubi?

– Tak, zaraz po tym, jak się poznaliście. Byłaś moją najlepszą przyjaciółką, zależało mi na tym, żeby cię polubił. Nie chciał, żebyś mi pomagała przy pisaniu książki ani przyjeżdżała tu do mnie na lato. Myślę, że nigdy za tobą nie przepadał. – Wbiła jej szpilę.

– No właśnie. – Charlotte się nie poddawała. – To, co wydarzyło się między nami, było bezosobowe. To był tylko ten jeden, bezmyślny raz.

– O jeden za dużo.

Charlotte nie wiedziała jak zareagować; mogła tylko przypomnieć powód, dla którego rozpętała całą tę burzę.

– Musisz powiedzieć Julianowi o komórkach macierzystych.

– Niczego nie muszę.

– W porządku, masz rację. Ale powiedziałaś, że Julian może umrzeć. Gdyby z nich skorzystał, ryzyko odrzucenia przeszczepu byłoby mniejsze.

– Jeśli będą zgodne.

– Będą zgodne przynajmniej w pięćdziesięciu procentach, skoro Julian jest ojcem.

– Czy jesteśmy tego pewne?

Charlotte nagle poczuła się zmęczona tą rozmową.

– Och, na litość boską! Jeśli masz wątpliwości, zrób test DNA. Czy naprawdę sądzisz, że kłamałabym w kwestii, którą można sprawdzić – pstryknęła palcami – ot tak? Bank, z którego skorzystałam, zrobił test DNA przed zamrożeniem krwi pępowinowej. Porównaj wyniki z testem DNA Juliana i będziesz miała dowód.

Nicole milczała. Chociaż jej kawa musiała już dawno wystygnać, wypila kolejny łyk. Charlotte uzmysłowiła sobie, że chociaż jej przyjaciółka przechodzi ciężkie chwile, trzyma się znacznie lepiej, niżby można się spodziewać. Z drugiej strony nie sądziła też, że Nicole będzie w stanie stworzyć tak popularny blog. Tyle że ta sytuacja była inna, w grę wchodziły emocje. Być może te cztery lata ukrywania choroby Juliana dały jej wewnętrzną siłę.

Charlotte czekała, aż Nicole zada jeszcze jakieś pytanie, lecz w końcu sama się odezwała:

– I co teraz?

Nicole popatrzyła na nią.

– Teraz?

– Pewnie nie masz ochoty grać ze mną w scrabble, więc co dalej? Chętnie wynajmę pokój w miasteczku, jeśli tak wolisz. Powiedz mi, co mam zrobić.

Nicole milczała przez chwilę.

– Zostań tutaj. Dom jest wystarczająco duży dla nas dwóch. Dzisiaj Dzień

Niepodległości. Możesz go spędzić, jak chcesz, ale wieczorem powinniśmy pójść na grilla.

– Razem? – zdziwiła się Charlotte.

Nicole pozostała niewzruszona.

– Nie mam na to ochoty tak samo jak ty, ale musimy udawać, że nic się nie stało. Nie chcę, by ktokolwiek zwątpił w powstanie naszej książki. Zachowujmy się jak profesjonalistki.

– Będziesz potrafiła?

– Z łatwością. Jestem świetna w udawaniu; nic innego nie robię od czterech lat.

Odkąd Julianowi postawiono diagnozę.

– A jeśli chodzi o te komórki...

– Myślisz czasem o niej? – przerwała jej Nicole, zrzucając na chwilę maskę obojętności.

– Zastanawiasz się, jak wygląda?

Córka Charlotte.

– Staram się tego nie robić.

– Jesteś jej matką.

– Biologiczną.

– Ale musisz o niej myśleć.

– Zrzekłam się tego prawa, podpisując dokumenty.

– A jeśli Julian będzie chciał się czegoś o niej dowiedzieć?

Charlotte powinna się wcześniej domyślić, do czego zmierza Nicole. To jasne, że się martwiła. Nagle to uczucie udzieliło się również Charlotte.

– Mam nadzieję, że nie.

– Dlaczego?

– Ona ma własne życie.

– A jeśli sama będzie tego chciała?

– Ma dopiero dziewięć lat, jest za mała. Poza tym czy Julian naprawdę będzie się nią interesował? Nie chciał, żebyś zaszła w ciążę, ponieważ bał się, że nie podoła roli ojca.

– To co innego. Dziecko jest już na świecie. Czy nazwisko Juliana znalazło się na akcie urodzenia?

– Nie. Powiedziałam, że nie wiem, kto jest ojcem.

– Zachowałaś po niej jakąś pamiątkę: czapeczkę lub kocyk?

Charlotte pokręciła głową.

– Tylko komórki macierzyste. Powiedz o nich Julianowi, Nicole. Tylko wtedy to piekło będzie miało sens.

Nicole wstała z kanapy.

– Muszę wziąć prysznic. Czuję się brudna. Spróbuj porozmawiać z Rose Mayes. Jej przepis na surówkę z kapusty pekińskiej może nam się przydać do kilku rozdziałów. Weź go przy okazji i sprawdź składniki. Przekonamy się, co tym razem zmalował twój kochany Leo Cole.

– Leo niczego nie...

– Spotkajmy się w domu o szóstej. Zanim dotrzemy na grilla, zabawa zdąży się rozkręcić.

## Rozdział 17



W domu Mayesów było tyle dzieci i wnuków, że Rose, zadziwiająco energiczna siedemdziesięciopięciolatka, mimo szczerych chęci nie mogła udzielić wywiadu. Akurat przyrządzała swoją słynną surówkę, więc Charlotte mogła spisać leżący na kuchennym stole przepis. Uważnie przyglądała się, jak Rose miesza sos, zastanawiając się, czy i ona należy do osób bojących się Cecily do tego stopnia, żeby zachować recepturę w sekrecie. Jeśli nawet tak było, ktoś musiał ją przekonać, że nie ma niczego złego w dzieleniu się przepisami. Rose zdradziła bowiem, że używa ziaren gorczycy pochodzących od Cecily, a reszta składników sałatki też jest organiczna i świeża.

Charlotte uznała, że powinna pochwalić Leo przed Nicole, jednak nie zastała jej w domu. Laptop również zniknął – jego właścicielka najwidoczniej przeniosła się w miejsce, gdzie mogła popracować, nie patrząc na przyjaciółkę. I chociaż Charlotte zrobiło się przykro, niewielka częśćka niej poczuła ulgę. Już samo to, że miały się razem wybrać na grilla, było wystarczająco stresujące.

Zrobiła sobie kanapkę z szynką, wyjęła swój egzemplarz *Salt* spod poduszki na kanapie i wyszła na taras. Lektura książki tym razem okazała się całkowicie nowym przeżyciem. Po pierwsze Charlotte знаła zakończenie, więc nie musiała się niepokoić. Po drugie, skoro знаła autora, mogła spojrzeć na styl, język i fabułę pod zupełnie innym kątem. Kilka razy przerywała czytanie, by zestawić jakąś uwagę czy epizod z tym, co wiedziała na temat Leo. Najczęściej jednak budziły w niej one jeszcze więcej pytań.

Chociaż była na nie przygotowana, i tak rozplakała się, czytając zakończenie. Bohaterowie byli tak dobrze sportretowani, że czuła to samo co oni i bolało ją ich rozstanie. Wydarzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin dały jej porządnie w kość, a bohaterowie książki wydawali jej się szczególnie bliscy.

Placz ukołysał ją do snu. Gdy zbudziła się późnym popołudniem, poczuła silny podmuch wiatru i zorientowała się, że nie ma przy niej Leo, który mógłby ją ogrzać. Drzwi balkonowe albo zasunęły się same – wydawało się to mało prawdopodobne – albo zamknęła je Nicole. Charlotte przestraszyła się, że znów utknęła na dworze, i szybko sprawdziła drzwi. Na szczęście się otworzyły.

Nicole siedziała przy kuchennym stole nad laptopem. Charlotte zapytałaby, jak się czuje, lecz Nicole stuknęła w klawisze, otwarcie ją ignorując. Nie miała też ochoty na rozmowę podczas jazdy samochodem do miasteczka. Kiedy Charlotte skomplementowała jej czerwoną bluzkę bez rękawów, ze wstawkami z koronki, tylko kiwnęła głową. Podobnie zareagowała na pytanie, czy umieściła kolejny wpis na swoim blogu.

Milczenie było czymś tak dla nich nietypowym, rażącym i smutnym, że Charlotte znowu zachciało się płakać. Zaparkowały samochód i poszły w kierunku tłumu na placu obok kościoła. Nicole wypatrzyła znajomych, posłała przyjaciółce zdawkowy uśmiech i odpłynęła w ich kierunku.

Na szczęście Charlotte zabrała ze sobą aparat. Na wypadek gdyby Nicole chciała umieścić w książce zdjęcia z imprezy na wyspie, sfotografowała wszystko, co miała w zasięgu

wzroku. Wokół placu ustawiono ogromne grille serwujące hot dogi, hamburgery i kurczaki z różną. Na długich stołach przykrytych ceratą w czerwono-białą kratę stały talerze z bułeczkami, koszyki pełne frytek i rozmaitych dodatków. Jeszcze ciekawsze wydały się Charlotte rzędy półmisków z potrawami, które miały się znaleźć w książce. Były wśród nich sałatki makaronowe i warzywne, w tym surówka pani Mayes jako jedna z kilku surówek z kapusty pekińskiej, a także zapiekanki z fasolą w wersji mięsnej i wegetariańskiej.

Charlotte zrobiła zdjęcia wszystkim potrawom. Sfotografowała też grupki osób siedzących na rozłożonych na trawie kocach, stojących w kolejkach po napoje gazowane i piwo oraz bawiące się w berka dzieci.

W końcu zrobiło się zbyt ciemno, żeby dalej fotografować. Charlotte zastanawiała się, co by tu zjeść i do której z grupek dołączyć, kiedy dostrzegła Leo. Ubrany w koszulę w szkocką kratę i džinsy, siedział sam na ogrodzeniu, na dalekim końcu placu. Mogłaby go nie zauważyć w cieniu nisko zwisających gałęzi drzew, gdyby nie to, że się za nim rozglądała. Siedział ze stopami opartymi na najniższej poprzeczce ogrodzenia, z szeroko rozstawionymi nogami i łokciami opartymi na kolanach.

Charlotte wzięła pierwszy głęboki oddech od momentu, kiedy rano opuściła dom Leo. Pomyślała, że on też może być głodny. Nałożyła na talerz porcję smakołyków dla dwojga i ruszyła przez plac. Odstawiła talerz na płaską część słupka w ogrodzeniu, stanęła między kolanami Leo i go objęła.

Jego uśmiech był ledwie widoczny, za to tak uroczy, że Charlotte zabrakło tchu. Pocałował ją delikatnie, a kiedy się odsunął, odwzajemniła mu się podobnym uśmiechem.

– Przyszedełś – powiedziała.

– Rzadko bywam na takich imprezach.

Domyślała się tego. Nawet na pikniku trzymał się z dala od ludzi.

– Dlaczego akurat dzisiaj?

– Chciałem cię zobaczyć.

Charlotte zrobiło się cieplej na sercu i zabrakło jej słów. Uśmiech na twarzy Leo zbladł.

– Jak ci poszło?

Pytał o konfrontację z Nicole. Na te kilkanaście sekund Charlotte całkowicie o niej zapomniała.

– Jakoś – odparła wreszcie, odzyskując głos.

– Krępująca sytuacja?

– Bardzo.

– Jeśli Nicole nie chce cię pod swoim dachem, możesz zamieszkać u mnie.

Charlotte chętnie by się zgodziła, lecz przysięgła sobie, że tym razem nie ucieknie.

– Niedługo przyjeżdża jej matka; chcę być na miejscu, żeby w razie czego pomóc Nicole.

– Spodziewasz się kłopotów?

– Niewykluczone. Matka nie wie o mnie i Julianie, ale się dowie. Nicole na pewno nie zatrzyma tego dla siebie. – Charlotte sięgnęła po talerz i usiadła obok Leo. – Możliwe, że jeszcze skorzystam z twojego zaproszenia – dodała kwaśno.

Leo zaczął jeść hamburgera.

– Myślałaś o tej drugiej sprawie? – zapytał.

– Której? – zdziwiła się Charlotte.

Leo wyglądał na skrępowanego.

– Moim pisaniu.

Charlotte przełknęła kęs i powiedziała:

– Skończyłam ją czytać dziś po południu. Jest świetna.

– Nie chodzi mi o *Salt*. Pytałem, czy myślałaś o mnie jako o pisarzu.

– Staram się tego nie robić.

– Bo to zbyt skomplikowane?

Przytaknęła.

– Potrzebuję teraz prostoty. I przyjaźni.

I seksu – dodały jego ciemne oczy. To też – odpowiedziała mu spojrzeniem. Czują pożądanie nawet w tym momencie, kiedy siedzieli na ogrodzeniu, dotykając się udami. Tego wieczoru jego włosy były uczesane nie tylko przez wiatr. Miał mocno zarysowany nos, kości policzkowe i szczękę. Nie był klasycznie przystojny, ale emanował męskością, przynajmniej w odczuciu Charlotte.

Kończył hamburgera, patrząc w kierunku tłumu.

– Wiesz, że ludzie się na nas gapią?

– Jestem zaskoczona, że jeszcze cię nie obstąpili.

– Wiedzą, że bym uciekł. – Sięgnął po garść frytek. – Przebywanie w moim towarzystwie może ci zepsuć reputację.

Roześmiała się.

– Przykro mi, ale dawno ją straciłam.

Nie odzywali się, dopóki z talerza nie zniknęła reszta frytek, fasoli i sałatki. Leo podał Charlotte swój kufel i powiedział:

– Idzie tutaj.

Zakrzuszyła się piwem i otarła usta grzbietem dłoni.

– Nicole? – szepnęła, a Leo przytaknął. – Wygląda na wściekłą? – Dopiero kiedy pokręcił głową, ośmieliła się odwrócić.

Dla kogoś nieznanego sytuacji Nicole wyglądała jak uosobienie sukcesu. Jej blond włosy swobodnie układały się wokół twarzy, miała na sobie elegancką czerwoną bluzkę i białe spodnie. Nawet w zapadającym zmierzchu bił od niej blask. Nikt poza Charlotte nie domyśliłby się przyczyny, dla której jej tusz do rzęs był lekko rozmazany, ani też nie dostrzegłby kryjącej się za błyskiem zielonych oczu niechęci.

Nicole wbiła wzrok w Leo.

– Charlotte twierdzi, że to ty jesteś Chrisem Mauldinem – powiedziała dość uprzejmie.

Leo nieznacznie wzruszył ramionami.

– *Salt* – kontynuowała. – Skąd taki pomysł?

– Skojarzenie z morską solą, żeglarzem, łzami. – Nie powiedział jej nic nowego.

Podobnych odpowiedzi udzielił już na wielu internetowych forach.

– Chodziło mi o pseudonim. Chris Mauldin.

– Książka telefoniczna.

– W jednym z postów napisałeś, że to prawdziwe imię i nazwisko.

– Ale nie moje.

– Szukałeś w książce telefonicznej Quinipeague?

Charlotte była pewna, że jej przyjaciółka później to sprawdzi. Jednak Leo pokrzyżował jej szyki.

– W bibliotece można znaleźć książki telefoniczne z całego Maine. Wybrałem na chybił trafił. Nie pamiętam nazwy miasta.

Nicole wydała z siebie mruknięcie, które równie dobrze mogło oznaczać podziw co rozczarowanie, ale jej następne zdanie rozwiało wszelkie wątpliwości.

– Słyszałam, że mają na jej podstawie nakręcić film.

Charlotte o tym nie słyszała. Leo najwyraźniej też.

– Nic mi o tym nie wiadomo – powiedział.  
– Powinni to zrobić – nie ustępowała Nicole. – Jak można się oprzeć takiej historii miłosnej? Jedno pochodzi z Arizony, drugie z Maine, trudno o dwa bardziej skrajne miejsca!  
– Ona pochodzi z Teksasu – poprawił ją Leo.

Charlotte była pewna, że Nicole wie, skąd pochodzi bohaterka. Sprawdzała Leo, i to niezbyt subtelnie.

– A jej matka? – drażyła temat. – To dopiero twarda sztuka. Nikt nie zlekceważyłby jej opinii, a już na pewno nie rodzona córka.

– Nicole – upomniała ją łagodnie Charlotte.

Leo był bardziej bezpośredni.

– Oboje wiemy, że matka bohaterki nie żyje – powiedział lekko poirytowany. –

W porządku, nie musisz mi wierzyć.

– Musisz przyznać, że historia tych dwojga jest dość groteskowa.

– Podobnie jak twoja – odparował Leo.

Oto cały Leo, pomyślała Charlotte. Sprowokowany, potrafił się odgryźć. Wcale jej to nie przeszkadzało. Podobało jej się, że mówi to, co myśli.

Nicole straciła grunt pod nogami i z gwiazdy wieczoru znów stała się kobietą, która w ostatnim czasie przeżyła serię przykrych wstrząsów.

– Ja bym swojej nie wymyśliła.

– Mógłbym powiedzieć to samo o sobie. – Nie doczekawszy się odpowiedzi, dodał: – Uznajmy, że jest remis.

Nicole nie zareagowała.

– Czy Cole mógłby cię odwiedzić do domu? – zwróciła się do Charlotte, wyraźnie urażona.

– Matthewsowie zaprosili mnie na kawę po pokazie sztucznych ogni.

– Mogę to zrobić – odparł Leo, zanim Charlotte zdążyła otworzyć usta.

– Świetnie – rzuciła Nicole, odwróciła się i odeszła.

Charlotte zeskoczyła z ogrodzenia i pobięła za nią.

– Dobrze się czujesz? – zapytała, chwytając ją za ramię.

Nicole zatrzymała się i popatrzyła na przyjaciółkę.

– Co za podły człowiek. Nazwał moją historię groteskową, jakbym to ja ponosiła odpowiedzialność za to, co się stało.

– Zaatakowałeś go, więc ci się odplacił. Nie jest aż tak gruboskórny, jak ci się wydaje.

– A więc tacy mężczyźni ci się podobają? – Nicole wyswobodziła ramię i odeszła.

Charlotte przez chwilę za nią patrzyła. Było jej żal przyjaciółki, ale nie potrafiła jej pomóc. Mogła za to pomóc Leo. Wróciła do ogrodzenia i znów stanęła pomiędzy jego kolanami.

– Przepraszam – powiedziała miękko.

– Nie przepraszaj. Mogło być gorzej.

– Nicole poczuła się ośmieszona.

– Bo jej mąż poszedł z tobą do łóżka, zanim się pobrali?

– Bo nie była tego świadoma, a teraz wiesz o tym również ty.

– Słowem na ten temat nie wspominałem – powiedział obronnym tonem.

Charlotte objęła go ramionami w pasie.

– Nicole po prostu poczuła się obnażona.

Leo prychnął.

– Znam to uczucie.

Charlotte przyjrzała się jego twarzy. W słabym świetle rysy Leo jeszcze bardziej się wyostrzyły, jak podczas pierwszych wieczorów, które spędziła w jego domu. Tak niewiele



wiedziała wtedy na jego temat i tak dużo zostało jej do odkrycia.

– Kim ona była? – zapytała łagodnie. Leo nie kwapił się z odpowiedzią, więc dodała: – Pisząc *Salt*, na pewno opierałaś się na własnych doświadczeniach.

Leo popatrzył na ich stykające się ciała, chociaż nie było w tym nic erotycznego.

– Pochodziła z Teksasu? – zapytała, żeby łatwiej mu było zacząć.

– Z Arizony. Czy to nie ironia losu? – Nicole użyła nazwy właśnie tego stanu, żeby przyłapać go na kłamstwie. – Przyjechała tu na wakacje.

– Przyjeżdżała co roku?

Pokręcił głową.

– Była tu ze swoją rodziną, jeden jedyny raz.

– Kiedy to się stało? – zapytała Charlotte.

Leo wreszcie się otworzył i odwzajemnił jej spojrzenie.

– Dwa lata po tym, jak wróciłem na wyspę. Mieszkałem w miasteczku, łapałem różne zajęcia. Jej ojciec był przedsiębiorcą budowlanym, kierował wielką firmą. W sierpniu kupił dom i postanowił w nim zrobić gruntowny remont. Często mu pomagałem.

W *Salt* ojciec bohaterki był bankierem inwestycyjnym, a ona partnerem w jego firmie; ich dom też wymagał remontu.

– Poznaliśmy się. Coś między nami zaiskrzyło. Mieliśmy romans.

– Jak wyglądała?

– Fizycznie przypominała Nicole: była drobna i pełna wdzięku. Nie nadawałaby się do pracy w finansach. Nie była dość twarda. – Zawiesił głos. – Za to jej ojciec był twardy za nich oboje.

– A co z matką? Chyba nie umarła? – Charlotte przypuszczała, że akurat ten szczegół był wymyślony.

– Równie dobrze mogłaby nie żyć. Była słodką idiotką. Pewnie tylko w ten sposób mogła uniknąć ciężkiej ręki swojego męża, no wiesz, wyłączała się. Nie wiedziała, co ze sobą zrobić, poza siedzeniem na słońcu i opalaniem się na skwarce. Przez pewien czas po wyspie kręciło się jeszcze dwóch braci, ale w tej rodzinie pierwsze skrzypce grał ojciec i jego mała córeczka.

– Ile miała lat?

– Dwadzieścia siedem.

– Nie była małą dziewczynką.

Leo wyglądał na skołowanego.

– Do pewnego momentu jej ojciec akceptował nasz związek. Nie wściekał się, kiedy spotykała się ze mną wieczorami ani wtedy, gdy powiedziała mu, że mnie kocha. Ślub, dzieci – to co innego.

– Powiedziała ci, że jest na to gotowa?

– Wiele razy. Nienawidziła swojego życia, całej tej presji i oczekiwań wobec niej.

Nienawidziła tego, że ojciec ją faworyzuje. Chciała otworzyć niewielkie biuro w miasteczku, nadal pracować dla rodzinnej firmy, ale wyrwać się spod wpływu ojca. Byłem jej ucieczką.

– Tak twierdziła?

– Tak właśnie było. – Popatrzył na Charlotte. – Ale Quinnipeague to nie jest prawdziwy świat. Po wyjeździe stąd nawet najszczerze intencje przestają się liczyć. – Wsunął palce w jej włosy i położył dłoń na karku Charlotte. Nie mógł jej wysłać bardziej czytelnego komunikatu.

– Niczego nie mogę ci obiecać – szepnęła.

– Wiem. – Opuścił głowę, rozchylił usta i całował ją tak długo, że ugięły się pod nią kolana. – Czy mogę cię odwiedzić do domu? – zapytał schrypniętym głosem.

Fajerwerki rozświetlały wsteczne lustro w samochodzie Leo, ale w domu Nicole nie paliły się żadne światła. Charlotte wahała się tylko przez chwilę. Nicole miała wrócić późno, a ona pragnęła Leo zbyt mocno, żeby czekać. Zaprowadziła go więc na górę, zamknęła drzwi do swojego pokoju i szybko się rozebrała.

Leo obserwował ją, oczarowany, chociaż w tym, co robiła, nie było nic uwodzicielskiego. Kiedy już sama była naga, pomogła mu zdjąć ubranie, całując jego kark, klatkę piersiową i brzuch, a kiedy wreszcie ich ciała się złączyły, przez długą chwilę trwali w bezruchu, nim zaczęli się poruszać w namiętnym rytmie. Kochali się oparci o drzwi, leżąc na podłodze, potem na łóżku. Brakowało w tym akcie łagodności, za to była w nim otwartość, potrzeba bycia razem i wyzwolenia się. Charlotte nigdy wcześniej nie doświadczyła niczego tak intensywnie i szczerze.

Kiedy skończyli, leżeli razem tylko przez kilka minut, świadomi bliskiego powrotu Nicole. Później cicho się ubrali i trzymając się za ręce, wyszli z domu. Leo usiadł za kierownicą, Charlotte stanęła na stopniu z boku nadwozia i znów zaczęli się całować, gdy nagle Leo mruknął cicho. Charlotte oderwała usta od jego warg.

– Prawie bym zapomniał – powiedział, zdejmując ją ze stopnia. Wysiadł z kabiny, obszedł samochód i wziął z platformy trzy doniczki z roślinami o wysokich, smukłych łodygach. Nad liśćmi przypominającymi liście paproci rosły kępki białych kwiatów. – To do ogrodu Nicole – powiedział.

Zapach, który poczuła Charlotte, był słodki, ale nie rozbudzał zmysłów jak jaśmin.

– Mmm, co to takiego?

– Waleriana. Jej korzenia używano podczas pierwszej wojny światowej do leczenia zespołu stresu pourazowego. Nie trzeba jej nawet dotykać, zwykle wystarczy sam zapach. Planowałem podarować te sadzonki Nicole jako gałązkę oliwną, ale sądząc po jej wyglądzie i zachowaniu, działanie waleriany może się okazać za słabe. Nie jestem nawet pewien, czy moja matka ma taką moc – dodał pół żartem, pół serio. – Posadź je na słońcu, a o resztę zadba Cecily. Wiem, że cię lubi.

Zanim zdążyła go zapytać, skąd o tym wie, Leo zaniósł doniczki do ogrodu, postawił je ostrożnie na ziemi, wyprostował się i otrzepał ręce.

Charlotte odprowadziła go do samochodu i pocałowała, zanim wsiadł. Patrzyła za pick-upem, dopóki tylne światła nie zniknęły za drzewami, a potem jeszcze długo stała na ścieżce. Wcześniej powiedziała, że nie może mu nic obiecać, ale widząc, jak odjeżdża, pożałowała swoich słów.

## Rozdział 18



Nicole zajechała pod dom wykończona. Udawanie, że wszystko gra, nie było łatwe, szczególnie że targały nią sprzeczne uczucia. Tęskniła za Julianem, lecz bała się z nim spotkać. Tęskniła za Charlotte, ale nie miała ochoty z nią rozmawiać. Chciała o wszystkim powiedzieć swojej matce i jednocześnie ukryć przed nią prawdę.

Nigdy nie uważała się za wyniosłą, ale była zbyt dumna, by zwierzyć się matce z małżeńskich problemów. Nigdy nie myślała o sobie, że jest nierozsądna, ale nie mogła już słuchać przeprosin Charlotte. A Julian? Nie wiedziała nawet, od czego zacząć. Nigdy nie uważała się za osobę cyniczną, ale zastanawiała się, dlaczego w ogóle ją poślubił; nigdy nie myślała o sobie jako o kobiecie nieufnej, lecz teraz dręczyła ją myśl, czy miał w pracy kochankę; nie widziała się w roli kobiety zawistnej, a mimo to nie potrafiła mu powiedzieć o komórkach. Była na niego wściekła, lecz nie umiała przestać o nim myśleć. Telefon od niego odebrała u Matthewsów, co mogło tłumaczyć jej powściągliwy ton, ale nie zaproponowała, że oddzwoni.

Weszła frontowymi drzwiami i udała się prosto do kuchni. Torebka leżała na blacie, co oznaczało, że Charlotte wróciła do domu i położyła się spać. Nicole oddałaby wszystko za spokojny sen. Miała ciężkie powieki i mętlik w głowie, lecz czuła się wewnętrznie rozedrgana. Kawa do deseru okazała się kiepskim pomysłem.

Pomyślała o blogu, lecz nie miała nastroju, żeby pisać, ani tym bardziej sprawdzać wiadomości od Sparrow, które przecież mogły poczekać. Szukanie organicznej herbaty w internecie też mijało się z celem, skoro miała już najlepsze gatunki u siebie w kuchni.

Zaparzyła sobie passiflory wyhodowanej przez Cecily, przeszła z kubkiem przez salon, wysunęła jedno ze stojących na tarasie krzeseł i usiadła na nim w ciemności. Fale oceanu miękko przelewały się po nocnym piasku. Nicole wzięła głęboki, uspokajający oddech, później następny i, zaskoczona, odwróciła się w kierunku ogrodu. Poczowała piękny zapach, lecz to nie była lawenda. Wstała i podeszła do trzech doniczek, które nie stały tam wcześniej. Dotknęła zielonych liści, pochyliła się nad kępkami białych kwiatów i głęboko zaciągnęła ich zapachem. Nie była pewna, co to za roślina, ale wiedziała, skąd się wzięła, i chociaż jakaś część Nicole miała ochotę cisnąć ją do morza, zdrowy rozsądek wziął górę. Usiadła na ścieżce, nie przejmując się białymi spodniami, i skupiła na oddychaniu: wdech, wydech, wdech. Po pewnym czasie ogarnął ją spokój, być może dlatego że się dotleniła, a być może – co bardziej prawdopodobne – dzięki roślinom. Tym razem musiała schować dumę do kieszeni. Kwiaty najwyraźniej miały działanie lecznicze, poza tym były śliczne, a Nicole miała dość złośczenia się. Wytłumaczywszy sobie, że skoro już pije herbatkę z passiflory, to może przyjąć jeszcze jeden podarunek od Cole'ów, popatrzyła na kwiaty i wdychała ich zapach, dopóki nie uspokoiła się na tyle, żeby położyć się do łóżka.

\*

W tym tygodniu weekend zaczął się dwa dni wcześniej z powodu święta. Oznaczało to, że promy kursowały rzadziej niż zwykle, o czym Nicole dowiedziała się dopiero po dwudziestu minutach czekania w porcie.

– Następny kurs o jedenastej – oznajmił kapitan portu, Roy Pepin, zmierzając w stronę kuchni Chowder House z kubkiem w jednej kościstej dłoni i do połowy zjedzonym pączkiem w drugiej. – Zrobię sobie dziesięć minut przerwy i pójdę poplotkować z Dorey.

Nicole uśmiechnęła się i kiwnęła głową, zadowolona, że Roy nie próbował się z nią wdać w pogawędkę. Jako kapitan tak małego portu nie miał zbyt wiele do roboty i był jeszcze bardziej skory do plotek niż inni mieszkańcy Quinnipeague. Podczas wakacji rzadko widywało się go w porcie, a jeśli już, to pogrążonego w rozmowie.

Nicole nie była w nastroju do pogawędek, nawet z Dorey. Próbowwała się psychicznie przygotować na przyjazd matki i zastanawiała się, co i kiedy powinna jej powiedzieć. Zanim wyszła z domu, napełniła ceramiczny wazon świeżo ściętymi peoniami z ogrodu i zerwała kilka gałązek waleriany. Tak, waleriany, zapewniła ją Charlotte. Nicole wyjęła je teraz z kieszeni i przyłożyła do nosa. To, że nadal pachniały, zawdzięczała Cecily, podobnie jak to, że już sam zapach, a nie napar z korzeni tej rośliny, przyniósł jej ulgę. Nicole nie chciała mieć długu wdzięczności wobec Leo, a tym bardziej wobec Charlotte, lecz musiała przyznać, że tego ranka jej gniew jakby zelżał. Pozostała uraza połączona z pewnym rodzajem obrzydzenia. Śniadanie okazało się jednak mniej krępujące niż poprzedniego dnia. Oczywiście Nicole skończyła jeść, zanim Charlotte zeszła na dół, więc nie musiała ani dla niej gotować, ani dzielić z nią posiłku.

Nicole nie czuła się już dłużniczką Charlotte, że ta zgodziła się przypląć na wyspę. Kilka sylwetek do książki kucharskiej było niczym w porównaniu z krzywdą, którą wyrządziła jej przyjaciółka. Nicole nie miała już poczucia winy. Rano zapytała Charlotte, skąd w jej ogrodzie wzięły się doniczki z kwiatami, a gdy dowiedziała się, że przywiózł je Leo, kazała mu podziękować.

Dowiedziawszy się od Charlotte, że nie udało się przeprowadzić rozmowy z Rose Mayes w długi weekend, zasugerowała zamiast tego wywiad z pastorem i jego żoną, którzy nie mieli dzieci, co oznaczało brak gości i dużo wolnego czasu. Ze względu na rozliczne wydarzenia organizowane przez kościół, pastorostwo odgrywali ważną rolę w życiu społecznym Quinnipeague, nie mówiąc już o tym, że pastorowa przyrządzała pyszne bananowo-malinowe koktajle jako alternatywę dla popcornu podczas wieczorów filmowych.

Wiatr rozwiewał jej włosy, a Nicole nadal przykładła płatki kwiatów do nosa. Kiedy na horyzoncie wreszcie zamajaczył prom, poczuła tęsknotę. Potrzebowała matki, chciała porozmawiać z nią o SM, dzieciach i przyszłości – na te wszystkie tematy, które Julian zabronił jej poruszać. Tak, chciała też porozmawiać o Charlotte i Julianie. Angie była przecież jej matką.

Ale to nie Angie wysiadła z promu, który w końcu przybił do brzegu, tylko przybrana córka Nicole, Kaylin. Długie ciemne włosy związała w koński ogon, ale kilka kosmyków powiewało na wietrze. Miała na sobie dzinsy, podwójny top i wysokie buty marki UGG. Z jednego ramienia zwisała jej duża brezentowa torba, a z drugiego plecak.

Pomimo zaskoczenia Nicole podbiegła do Kaylin i uściśnęła ją, lecz zaraz potem popatrzyła na prom. Reszta przyjezdnych wysiadła na brzeg. Na pokładzie nie było nikogo więcej.

– Miała przypląć do mnie mama – powiedziała z niepokojem Nicole.  
Kaylin, która spędziła z Angie wiele wspólnych wakacji, kochała ją jak babcie.  
– Przyplynie w niedzielę – odparła.  
– Nie, jestem pewna, że mówiła o dzisiejszym dniu.  
– Chciała to zrobić – wyjaśniła pospiesznie Kaylin – ale kiedy zobaczyła mnie w porcie w Rockland, powiedziała, że tobie i mnie przyda się trochę czasu razem.

Nicole nic z tego nie rozumiała. To właśnie obecność matki była jej najbardziej potrzebna.

– Gdzie ona się teraz podziewa?

– Jeździ po wybrzeżu.

– Sama?!

– Ucieszyła się na mój widok. Powiedziała, że potrzebuje więcej czasu, żeby zebrać się na odwagę i tu przypląnąć. Nie martw się, Nicki...

Ale Nicole już wybierała numer i chwilę później usłyszała to samo wytłumaczenie od matki. Rozmowa trwała krótko. Wyglądało na to, że Angie nic nie jest.

Nicole poczuła jednocześnie ulgę i rozczarowanie, lecz nie mogła się zastanowić nad żadnym z tych uczuć, ponieważ Kaylin odezwała się zduszonym głosem:

– Tata zadzwonił i powiedział, że choruje na SM, Nicole. Nie mogę w to uwierzyć.

Dzięki Bogu, że nie byłam akurat w pracy, bo całkiem się rozsypałam. Nie znam nikogo, kto by na to chorował, ale dużo słyszałam o SM, a teraz ma to mój ojciec. Po prostu nie mieści mi się w głowie.

Nicole wzięła od niej plecak.

– Jak się czuł, kiedy do ciebie dzwonił?

– Był zmęczony. Zauważyłam, że drżą mu dłonie, ale myślałam, że pije za dużo kawy.

No i te problemy z równowagą. Widziałam, jak kopie dywan, jakby to on zawinił, ale wydawało mi się, że to po prostu starość. Przez telefon sprawiał wrażenie załamane. Choruje od czterech lat, a ja nic o tym nie wiedziałam?! Co on sobie wyobrażał?

– Próbował cię chronić.

– Czy ja mam dziesięć lat? – rzuciła Kaylin z rozdrażnieniem. Ciemne oczy i włosy odziedziczyła po ojcu, zaś tupet po matce. – Mam dwadzieścia jeden lat. W przyszłym roku kończę college.

Tupet przydał się Monice podczas wspinania się po korporacyjnej drabinie; Kaylin nie była jeszcze na tym etapie.

– A skoro już o tym mowa, dlaczego nie jesteś teraz w Nowym Jorku? – zapytała Nicole.

– Mówiłaś, że stażysty nie dostają urlopów.

Dziewczyna dostała się na staż do jednej z największych stacji telewizyjnych, więc nie planowała przyjazdu na Quinipeague.

– Po telefonie taty odeszłam stamtąd i nie zamierzam wracać. Miałaś rację: brakuje nam wolnego czasu. Miasto jest gorące i duszne, a my ganiamy z miejsca na miejsce w poszukiwaniu kuchennych podkładek w brązowo-białe groszki na jakiś plan zdjęciowy albo czerwonego Inianego szala dla tej czy innej osobowości telewizyjnej, jak nazywa je mój szef, chociaż poza anteną zdecydowanie brakuje im charakteru. Traktują nas tam jak meble.

Nicole zaczęła boleć głowa. Przez całą noc przygotowywała się do roli córki i nie miała teraz siły udawać matki. Usłyszała w myślach słowa swojego ojca i wypowiedziała je na głos:

– To się nazywa płacić frycowe.

– Tata też tak powiedział, ale ja tam siedziałam cały miesiąc, Nicki. Wystarczająco długo, żeby się dowiedzieć, czego nie chcę robić. Poza tym jego choroba stawia wszystko w zupełnie innym świetle.

– Nic mu nie będzie – powiedziała Nicole.

– Odniosłam inne wrażenie.

W drodze do domu Kaylin nie zamykały się usta.

– Podobno tata bierze udział w jakiejś eksperymentalnej terapii – powiedziała na koniec.

– Takiej, która daje największe szanse na wyzdrowienie, ale wiąże się z dużym ryzykiem.

– Powiedział ci o tym?

– Nie miał wyboru. Zmusiłam go. – Kaylin była zawzięta jak jej matka.

Nicole już kilka razy była buforem w relacjach Juliana z córką. Teraz jednak wcale mu nie współczuła. Sam sobie nawarzył piwa, jak mawiał Bob.

– A może ojciec wyolbrzymia niebezpieczeństwo? Jak sądzisz? – Buńczuczność Kaylin nagle zastąpił strach.

– Pewnie przedstawił ci najgorszy możliwy scenariusz.

– Zaproponowałam, że zostanę dawcą, ale komórki macierzyste krwi pępowinowej są podobno bardziej skuteczne. Czy to prawda?

Zamiast jasno powiedzieć, co o tym sądzi, Nicole podzieliła się z pasierbicą tym, co wiedziała. Nie wdając się w szczegóły kuracji z wykorzystaniem komórek macierzystych z krwi pępowinowej, starała się podkreślić zalety bardziej konwencjonalnych metod. Jednak Kaylin najbardziej interesował przeszczep.

Po przyjeździe do domu Nicole przygotowała lemoniadę i zaprowadziła dziewczynę do ogrodu.

– Porozmawiajmy tutaj – poprosiła. – Muszę przesadzić te kwiaty.

Chciała uspokoić skołatane nerwy i przy okazji pomóc Kaylin. Poza tym praca w ogrodzie miała działanie terapeutyczne. W Filadelfii Nicole nie miała ogrodu, więc uprawiała go wyłącznie na wyspie, i to tylko wtedy, gdy w pobliżu nie kręcił się George Mayes, który lubił dorzucać swoje trzy grosze. Oberwała przekwitnięte pączki z czerwonej lwiej paszczy zasadzonej przez matkę i uschnięte liście z fioletowych lizantusów, lecz jej głównym celem było posadzenie białych kwiatów waleriany. Dobrze się czuły w doniczkach, lecz Nicole wiedziała, że w ziemi będzie im jeszcze lepiej, i chociaż wątpiła, żeby gleba w jej ogrodzie była odpowiednia, wierzyła w opiekuńczego ducha Cecily.

Być może Cecily próbowała ją zmusić, żeby cieplej pomyślała o związku Leo i Charlotte, ale Nicole też była sprytna. Potrafiła udawać, że go akceptuje. Była dobra w ukrywaniu różnych rzeczy, a kwiaty naprawdę jej się podobały.

– Gdzie je posadzić? – zapytała, dając Kaylin do wyboru dwa miejsca.

– Tam – wskazała dziewczyna, która miała zdanie na każdy temat. – Tata nie powinien być teraz sam.

– Nie jest sam – odparła Nicole, sięgając po pazurki ogrodnicze. – Jest w Durham, otoczony lekarzami.

– To jego zawód. Czy nie powinnaś być teraz przy nim?

Nicole zabrała się do pracy.

– Julian choruje od czterech lat, Kay. Oboje wiemy, czego się spodziewać. – Popatrzyła na nią. – Czy zadzwonił do twojego brata?

– Do Johnny’ego? – prychnęła Kaylin. – Żadna z niego pomoc. Pracuje na farmie kuzyna naszej mamy, dwie godziny drogi od Des Moines. Akurat byli w samym środku sojowego kataklizmu.

Nicole obracała narzędzie w ziemi.

– Jak to przyjął?

– Och, prawdziwy z niego luzak. Powiedział, że tata jest lekarzem i wie, co robi. Mnie też się tak zawsze wydawało, chociaż uważam, że popełnił błąd, nic nam nie mówiąc. W końcu nas też to dotyczy, no nie?

Nicole wskazała Kaylin rydel, a gdy dziewczyna jej go podała, zrobiła w ziemi dziurę dostatecznie dużą, by pomieścić korzenie trzech sadzonek.

– Nie zostało naukowo potwierdzone, że choroba jest dziedziczna.

– Ani wykluczone – odparła Kaylin. – Skoro SM atakuje system autoimmunologiczny, ten sam problem może się u mnie rozwinąć w całkiem inną chorobę.

Znowu wyglądała na przestraszoną i wyraźnie potrzebowała matczynego wsparcia. Tylko że Nicole nie była do cholery jej matką i sama znajdowała się w rozsypce. To Julian powinien tu teraz być i odpowiadać na pytania córki, nie mówiąc już o pytaniach Nicole.

Ale go nie było. A Kaylin była.

Rozpaczliwie szukając ratunku, Nicole przeniosła wzrok na walerianę. Podała dziewczynie torebkę z nawozem i poprosiła:

– Dodaj trochę do ziemi, a ja pójdę po wodę.

– Czy ja też zachoruję? – zapytała Kaylin, gdy Nicole podstawiała konewkę pod najbliższy kran.

– Nie wiem – odparła po powrocie. – W kwestii zdrowia nigdy nic nie wiadomo. Mój tata zmarł, chociaż nic mu wcześniej nie dolegało.

– Właśnie o to mi chodzi – powiedziała z przejęciem Kaylin. – Mogę się zaharowywać jak tata, a później zachorować i umrzeć.

– Wybacz – odezwała się Nicole, zerkając na nią co jakiś czas – ale twój ojciec nadal może pracować, a gdyby nawet musiał zakończyć karierę, to i tak przysłużył się swojej dziedzinie bardziej niż niektórzy lekarze w ciągu całego życia. – Nicole mogła powiedzieć wiele złego na temat postępowania Juliana w życiu osobistym, ale nie na temat jego pracy. – Dokonał przełomowego odkrycia, które całkowicie zrekompensowało mu wcześniejszy wysiłek, i nikt mu już tego nie odbierze, nawet jeśli niczego więcej nie dokona.

– Cóż, miał szczęście, że zachorował dopiero jako czterdziestodwulatek. Większość osób zaczyna chorować na SM po dwudziestce lub trzydziestce, a ja mam dwadzieścia lat, więc znajduję się w grupie ryzyka. Jeśli okaże się, że moje dni są policzone...

– Nic takiego się nie okaże! – zawołała Nicole, nie mogąc znieść tej myśli. Sięgnęła po jedną z doniczek, zbliżyła kwiaty do nosa i głęboko zaciągnęła się ich zapachem.

– A jeśli się mylisz – odezwała się Kaylin nieco spokojniejszym głosem – to czy nie powinnam robić tego, co lubię? Nigdy nie będę prowadzić wiadomości ani programów talk-show, a o projektowaniu planów zdjęciowych wiem więcej niż moi szefowie, którzy nie ukończyli tych kursów co ja. Ten staż był do kitu.

Po kolejnym wdechu, Nicole delikatnie wyjęła roślinę z doniczki, umieściła korzenie w dołku i obłożyła je ziemią. Uporawszy się z pierwszą sadzonką, sięgnęła po następną.

– Na pewno przyniosłby ci jakieś korzyści.

– O tak! Linijkę w życiorysie i może referencje, ale jeśli moja kolejna praca ma być podobna do tej, to jaki w tym sens? Zero zabawy!

Nicole podała jej doniczkę i sięgnęła po trzecią sadzonkę.

– W życiu liczy się nie tylko dobra zabawa.

– Ale spójrz na siebie. Ty się bawisz, a tata został w domu sam.

Bawi się? Nicole rozśmieszyła ironia tych słów, ale nie parsknęła śmiechem, bo świadczyłoby to o hysterii i mogłoby ją sprowokować do poruszenia tematów, których absolutnie nie powinna dotykać z Kaylin. Dlatego też opróżniła doniczkę, umieściła sadzonkę w ziemi i przysiadła na piętach. Dopiero gdy się trochę uspokoiła, odniosła się do krytycznych słów Kaylin.

– Chciałam z nim zostać, ale wolał zadzwonić do was bez świadków.

– Miałam na myśli całe lato. Wiedziałaś, że jest chory. Jak mogłaś przyjechać na Quinnipeague?

Pytanie było tak podobne do tego, które zadała jej wcześniej Charlotte, że Nicole nie zdziwiłaby się, gdyby w tym właśnie momencie jej przyjaciółka wróciła z miasteczka. Kiedy uniosła wzrok, Kaylin odwróciła głowę i krzyknęła:

– O mój Boże! Charlotte?!

Spędziły razem tylko jedno lato, kiedy Nicole i Julian brali ślub. Kaylin i John byli tu wtedy po raz pierwszy, poznawali wyspę, Angie i Boba, a nawet Nicole, ale dziesięć tygodni mieszkania pod wspólnym dachem potrafi zbliżyć ludzi.

Charlotte uśmiechnęła się, lecz zamiast wdawać się z Kaylin w uprzejmą pogawędkę, przeszła od razu do rzeczy:

– Twój tata miał napięty grafik zajęć w Durham i chciał, żeby Nicole tu przyjechała. To nie był jej wybór. – Popatrzyła na przyjaciółkę. – Przepraszam, usłyszałam fragment waszej rozmowy. Chcecie zostać same?

– Nie – odparła Nicole.

Najpierw waleriana od Cecily, teraz Charlotte... Nicole była gotowa przyjąć każdą pomoc. Kaylin nie dała za wygraną – wzięła na widelec Charlotte.

– Mógł tak powiedzieć, ale ja mu nie wierzę.

– Chciał, żeby Nicole pracowała nad swoją książką.

– Musi mu doskwierać samotność, bo inaczej dlaczego tak nagle wyznałby prawdę Johnowi i mnie?

– Nie powiedział wam? – zdziwiła się Nicole.

– Niby o czym?

Nie zamierzała dłużej chronić Juliana, tym bardziej że wyjaśnienie nasuwało się samo. Zabierając Kaylin ostatnią doniczkę, powiedziała:

– Julianowi zaczęła drżeć ręka w obecności innych lekarzy, a plotki szybko się roznoszą. Chciał wam powiedzieć sam, zanim usłyszycie o jego chorobie od kogoś innego.

Miała na myśli Monicę, która była żoną Juliana dostatecznie długo, żeby poznać jego kolegów z Filadelfii. Każdy z nich mógł się lada moment dowiedzieć o chorobie.

– A właściwie dlaczego ty do niego nie pojechałaś, skoro martwisz się, że został sam? – zapytała Charlotte, wcielając się w rolę złego policjanta; Nicole miała być tym dobrym.

– Zaproponowałam mu to, ale się nie zgodził, więc przyjechałam tutaj, żeby namówić Nicole do powrotu.

Nicole odstawiła doniczkę i chwyciła dziewczynę za rękę.

– On sobie tego nie życzy.

Twarz Kaylin spochmurniała.

– Rozstajecie się?

Nicole lekko potrząsnęła jej dłonią.

– Nie, jesteśmy w stałym kontakcie.

– Czy ty też uważałaś, że nie powinien nic mówić Johnny’emu i mnie?

Chociaż Nicole gniewała się na Juliana, nie chciała o nim źle mówić przy córce. Jednak to pytanie dotyczyło samej Nicole, nie jej męża.

Puściła dłoń Kaylin, wyjęła sadzonkę z doniczki i powiedziała cicho:

– Nie.

Charlotte była mniej dyskretna.

– Ludzie różnie sobie radzą z problemami. Nicki chciała zostać w Durham, on wolał, żeby przyjechała tutaj. Ona uważała, że mieliście prawo wiedzieć od początku, twój tata postanowił inaczej.

– Ale w kwestii stażu się nie mylił – wtrąciła Nicole, bo kiedyś mówił jej, że Kaylin narzeka na swoją pracę. – Kazał ci go dokończyć, prawda?

Kaylin przytaknęła i powiedziała nieco spokojniej:

– Jego zdaniem działałam zbyt impulsywnie, ale ojciec nie ma pojęcia, co czuję.



Próbowałam mu wytłumaczyć, ale bez skutku. Bob by mnie zrozumiał.

– Co takiego? – zachnęła się Nicole. – Pan praworządny? Był wyrozumiały dla ciebie i Johnny’ego, bo nigdy nie wystawiliście jego cierpliwości na próbę, ale to już nie jest zabawa. To właśnie by ci powiedział, gdyby żył. Uważał, że jeśli się do czegoś zobowiązesz, musisz dotrzymać słowa.

– I zapłacić frycowe – dodała Charlotte.

Nicole z uśmiechem umieściła roślinę w ziemi.

– To samo jej mówiłam.

– Nie zaszkodzi powtórzyć – odparła Charlotte, patrząc na Kaylin. – Zanim sprzedałam swój pierwszy artykuł poważnemu magazynowi i zaczęłam dostawać porządne zlecenia, pracowałam dla nikomu nieznanego tytułu i pisałam artykuły, których nikt nie czytał. Na początku kariery zawsze miałam w pamięci słowa Boba.

Kaylin wiedziała, jak wielki sukces odniosła Charlotte. Nicole powiedziała jej o tym wiosną, zaglądała nawet dziewczynie przez ramię, gdy ta czytała artykuły Charlotte. Nicole mogła krytykować moralność przyjaciółki, lecz doceniała jej sukcesy zawodowe.

Dziewczyna przygasła.

– Wrócisz na staż? – zapytała Nicole, uklepując ziemię wokół sadzonki.

– Nie mogę – odparła potulnie Kaylin.

– Dlaczego?

– Dzisiaj rano zadzwoniłam do szefa. – Widząc przerażenie w oczach Nicole, dodała szybko: – I tak został mi już tylko miesiąc. Staże kończą się w drugim tygodniu sierpnia, żeby można było jeszcze odpocząć przed rozpoczęciem szkoły.

A więc nie było odwrotu. Nicole usiadła z powrotem na piętach, oszołomiona.

– Co na to twój ojciec?

– Nie powiedziałam mu.

– Może da się to jeszcze odkręcić?

– Rozmowa z szefem nie była zbyt przyjemna – wyznała Kaylin ze skrucą. –

Powiedziałam mu, że mam kłopoty rodzinne. Zapytał jakie. Nie mogłam mu powiedzieć o tacie, więc przez chwilę się jąkałam, aż wreszcie powiedziałam szefowi, że to nie jego sprawa. Od początku nie mieliśmy dobrych relacji – zakończyła cicho.

Nicole uklepywała dłońmi resztki luźnej ziemi. Zastanawiała się, czy Kaylin celowo powiedziała jej o tym jako pierwszej, wiedząc, że wykaże się większym zrozumieniem niż rodzice. Pochlebiali jej to, chociaż rozumiała, że w tej sytuacji to ona będzie musiała zadzwonić do któregoś z nich. Z drugiej strony Kaylin była pełnoletnia i decyzja należała do niej.

– Nie możesz tu zostać – oznajmiła Nicole, zbierając narzędzia. Nie chciała, by Kaylin dowiedziała się o Charlotte i Julianie.

– Dlaczego?

Istniało wiele niewinnych powodów.

– Niedługo wystawiamy dom na sprzedaż, musimy go opróżnić i wysprzątać. Poza tym lato dopiero się zaczyna. Nie możesz nic nie robić przez sześć tygodni.

Powiedziała to, co na jej miejscu powiedziałyby Julian. Akurat w tej sprawie się zgadzali. Nie zamierzała pozwolić na to, żeby Kaylin kręciła się po domu i węszyła, skoro już zaczęła się martwić, że jej ojca czeka drugi rozwód. Byłoby to ponad siły Nicole.

– Mogłabym pracować w Island Grill, jak kiedyś – zaproponowała Kaylin.

Nicole wstała z ziemi.

– Sezon już się zaczął. Dawno zatrudnili pracowników.

– Mogłabym ci pomóc przy książce.

– Od tego mam Charlotte. – Nicole sięgnęła wolną ręką po konewkę.  
– Albo przy opróżnianiu domu. Mogłabym się zająć Angie – dodała nieśmiało.  
– Angie nie zostanie tu długo – odparła Nicole, chociaż prawdę mówiąc nie miała bladego pojęcia, ile czasu jej matka zamierza spędzić na wyspie.

Nagle dotarło do niej, że lada dzień może mieć na głowie dwoje gości – nie wiadomo na jak długo – którzy będą obserwować każdy jej ruch w najgorszym okresie jej życia.

Po raz pierwszy od momentu, gdy Kaylin wysiadła z promu, Nicole ogarnęła panika.

– Mogę pracować z Kaylin – zaproponowała cicho Charlotte. – Potraktujmy to jako staż dziennikarski. Wielu mieszkańców wyspy, chociażby Oliver Weeks czy Isabel Skane, ma do opowiedzenia ciekawe historie niezwiązane z naszą książką. Kaylin może z nimi przeprowadzić wywiady albo wyszukać w internecie materiały do moich jesiennych zleceń.

Nicole miała wątpliwości, ale była w kropce. Czuła się zraniona, lecz kochała Kaylin, która niczemu nie zawiniła. Zasługiwała na to, żeby ojciec lepiej ją traktował. Poza tym Nicole musiała przyznać – chociaż z ciężkim sercem – że plan Charlotte ma sens.

\*

Nie była typem popychadła, lecz gdy zdecydowały, że Kaylin zostanie na wyspie, wiedziała, że musi zadzwonić do Juliana. Kaylin oczywiście mogła to zrobić sama, ale Nicole i tak była mu winna telefon; teraz mieli przynajmniej jeden w miarę neutralny temat do rozmowy.

Nie chciała, żeby ktoś ją podsłuchał lub zaskoczył, więc poszła na plażę, stanęła twarzą w kierunku domu i wybrała numer komórki Juliana. Z każdą cyfrą denerwowała się coraz bardziej, ale nie próbowała się uspokoić. Gniew sprawiał, że miała proste plecy, pewne dłonie i niezachwiane postanowienie.

Julian odebrał już po pierwszym sygnale.

– Cześć, zaczynałem się martwić. Wszystko w porządku?

Poprzedniego wieczoru była na niego zła i nie oddzwoniła. Na dźwięk jego głosu tamte emocje wróciły. Chciała mu powiedzieć, że zachował się jak drań, nakrzyczeć na niego za to, że ją zdradził. Może by tak zrobiła, gdyby nie miała za plecami oceanu, elementu świata, w którym czuła się bezpiecznie na długo, zanim dołączył do niego Julian, zaś gniew, zamiast wpędzić ją w histerię, pozwalał zachować kontrolę nad sytuacją.

Nie przeprosiła za to, że nie oddzwoniła wcześniej, ani nie zapytała go, jak się czuje.

– Kaylin tu jest – powiedziała tylko.

Julian przez chwilę milczał.

– Domyślałem się tego – przyznał z rezygnacją. – Chce przerwać staż. Nie była zachwycona, kiedy jej tego zabroniłem.

– Ona ma dwadzieścia jeden lat.

– I wydaje jej się, że pozjadała wszystkie rozumy. Pewnie kazałaś jej wrócić do domu.

– Stanęło na tym, że jednak tu zostanie.

– Przez resztę lata? Kto o tym zdecydował? – zapytał oburzony. Ojciec, którego dziecko było niegrzeczne.

Nicole nie położyła uszu po sobie; ona nie była jego dzieckiem.

– Kaylin. Jest dorosła. – Nicole nie miała ochoty więcej tego powtarzać. – Zanim tu przyjechała, zadzwoniła do szefa i się zwolniła. Charlotte zaproponowała jej staż. Kaylin pomoże jej przy wywiadach.

– Na wyspie?!

– Tak.

Jeśli zdenerwował się, że jego córka będzie pracować z Charlotte, to trudno. Po chwili milczenia zapytał:

– Dobrze się czujesz? Mówisz jakoś inaczej.

Nie jak dziecko? To zabawne, że zawód, który przeżyła, pozwolił Nicole tak szybko dojrzeć. Zdrada Juliana była dla niej czymś pod wieloma względami gorszym niż SM. Za chorobę nie ponosił winy.

– Nic mi nie jest – powiedziała. Gniew sprawiał, że czuła się pewniej. Siły dodawało jej również to, że wiedziała o komórkach, a Julian nie.

– Jesteś pewna?

– Absolutnie.

– Czy to ma jakiś związek z Charlotte? – zapytał w sposób, który Nicole uznałaby za niezobowiązujący, gdyby nie wiedziała, co wydarzyło się pomiędzy jej mężem i przyjaciółką.

– Dlaczego w ogóle przyszło ci to do głowy?

Nie potrafiła się powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

Mógł powiedzieć, że z powodu ich wspólnej pracy nad książką lub mieszkania pod jednym dachem, uciążliwego na dłuższą metę, lecz Julian odparł tylko:

– Bez powodu. Po prostu masz dziwny głos. Martwię się o ciebie.

To oczywiście, że się martwił, a Nicole nie powiedziała nic, co mogłoby go uspokoić. Jeśli nawet Julian zaczął się czegoś domyślać, nie zdradził się przed żoną. Czy Nicole mściła się na nim? Tak. Czy nienawidziła siebie za to? Tak. Czy mogła się wycofać? Nie. Zbyt długo czuła się bezsilna, żeby tak łatwo zrezygnować z poczucia władzy.

Zresztą może i lepiej, że chociaż raz to on się o nią martwił. Przez cztery lata koncentrował się wyłącznie na sobie. Cztery? A może dziesięć? Nie zastanawiał się nad tym, jak podle poczuje się Nicole na wieść o tym, że uprawiał seks z jej najlepszą przyjaciółką, i to tuż przed ich ślubem. Tak właśnie się czuła: poniżona i bez wartości.

Jednak wcale taka nie była. Rodzice wpajali jej, że jest ważna, zasługuje na szacunek i miłość. To Julian zachował się źle. Oskarżał Monicę o to, że wykluczyła go ze swojego życia, a czy nie postąpił tak samo z Nicole? Czy przypadkiem nie w nim tkwił problem? Czy w ogóle się nad tym zastanawiał? Jeśli nie, przyszedł czas, żeby to zrobić.

A właściwie było już za późno.

Determinacja Nicole trwała krótko, tylko do końca rozmowy. Później wszystko wróciło niczym fala przyływu: podstępna choroba, psujące się małżeństwo i niepewna przyszłość. Julian mógł być największym dupkiem świata, lecz był jej mężem. Jeśli nawet miała asa w rękawie w postaci komórek, nie mogły jej one zrekompensować utraconej miłości. Miłość była jedyną rzeczą, na której jej zależało.

Odwróciła się w kierunku morza i rozpląkała się.

\*

Zanim Nicole uspokoiła się na tyle, żeby wrócić do domu, Charlotte postanowiła po nią wyjść. Spotkały się na tarasie. Nicole miała już dosyć udawania idealnej gospodyni, która wita wszystkich uśmiechem i miłym słowem. Otuliła się szczerzej swetrem i czekała, aż przyjaciółka do niej podejdzie.

– Kaylin widziała, jak płaczesz – powiedziała cicho Charlotte. Z dłońmi wciśniętymi głęboko w kieszenie dzinsów i gładko zaczesanymi włosami sprawiała wrażenie przygaszonej. – Jest przekonana, że nie powiedziałaś jej prawdy o sobie i Julianie.

Nicole spojrzała w stronę domu. Kaylin stała za szklanymi drzwiami na taras.

– Myślisz, że jesteśmy w separacji? Może ma rację.

– A więc mu powiedziałaś...  
– Że o was wiem? Nie. Jeśli moje małżeństwo ma się rozpaść, to nie z tego powodu, tylko dlatego że mój mąż jest durniem, który wyklucza żonę ze swojego życia.

– On jest chory, Nicki. Sama mi to powiedziałaś. Nie jest sobą.

Nicole pamiętała te słowa, które teraz nabrały zupełnie nowego znaczenia.

– Nagle zaczęłam się zastanawiać nad tym, czego do tej pory nie dostrzegałam. Nie szukałam w Julianie wad. Robiłam to, czego ode mnie oczekiwał. Byłam zbyt łagodna.

– Wszyscy cię za to kochamy!

Nicole miała ochotę powiedzieć, że nie wyszła na tym najlepiej, i zapytać Charlotte, co powinna teraz zrobić: postępować zgodnie z wolą Juliana czy wrócić do Durham; zostać na wyspie i pomóc mężowi przejść przez przeszczep komórek, czy nadal mu się sprzeciwiać. Miała ochotę się rozplakać i wyzalić Charlotte, tak jak kiedyś, nie tylko latem. W dzieciństwie rozmawiały ze sobą przez telefon także w innych porach roku. Charlotte wiedziała o pierwszym biustonoszu Nicole, jej pierwszym pocałunku i pierwszym poważnym zauroczeniu. Pomagała Nicole pisać eseje w college'u i była pierwszą osobą, do której ta zadzwoniła po dostaniu się do Middlebury. Na drugim roku spędzały za kółkiem długie godziny, żeby spotkać się w połowie drogi pomiędzy szkołami i zedrzeć gardła na koncercie Shanii Twain. Nicole brakowało tej bliskości. Charlotte była mądra, na pewno znalazłaby wyjście z sytuacji.

Ale była jej wrogiem. Nicole chciała jej przebaczyć, lecz nie potrafiła.

– Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego nasze drogi się rozeszły – powiedziała ze smutkiem. – Wmawiałam sobie, że chciałaś mi dać więcej przestrzeni; wiedziałaś, że nie możesz być częścią mojego małżeństwa i dlatego się wycofałaś. Kiedy nasze relacje jeszcze bardziej się pogorszyły, zrzuciłam winę na twoją pracę i wreszcie na nasze tak różne od siebie style życia. Jednak przez cały ten czas chodziło o coś innego.

Charlotte patrzyła na nią pustym wzrokiem. Nicole ponownie załała fala bólu.

– Byłaś moją najlepszą przyjaciółką.

– Nadal nią jestem.

– Najlepsza przyjaciółka powinna być lojalna, szczerą, wyrozumiałą i wspaniałomyślną. Powinna poświęcić to, na czym jej zależy, jeśli wie, że w przeciwnym razie skrzywdzi tę drugą.

– Tak właśnie zrobiłam – powiedziała bezradnie Charlotte.

– Wcale nie.

– Popełniłam błąd i byłam wtedy tak pijana, że nie wiedziałam, co robię. Ty nigdy nie popełniłaś błędów?

O tak, pomyślała Nicole, ślepo ci zaufałam. Nie zamierzała go powtórzyć.

– Nie mów Julianowi o komórkach, Charlotte. Na razie nie musi o nich wiedzieć.

– Czy nie powinien przynajmniej zdawać sobie sprawy z takiej możliwości?

– Najpierw powinien wziąć pod uwagę inne metody.

– Przecież chciał od razu wypróbować komórki macierzyste.

– Na pewno to zrobi, jeśli dowie się, że je masz. Nie rozumiesz, że nawet jeśli użyje komórek własnego dziecka, i tak może umrzeć?

– Przejmujesz się tym?

– Tak! – krzyknęła Nicole i dodała ciszej: – Chociaż nie powinnam.

Przez chwilę stały naprzeciwko siebie w milczeniu. Słychać było tylko dudnienie oceanu i krzyk mew. W końcu Charlotte zapytała:

– Boisz się, że będzie chciał poznać dziecko?

Nicole zamyśliła się nad odpowiedzią. Chętnie by zaprzeczyła, ale jej gniew nie był aż tak silny.

- Może.
  - Warunki adopcji nie pozwalają nam się z nią skontaktować.
  - Tobie, ale nie jemu.
  - Nam obojgu. Rodzice mają moje zamiary, ale nigdy się do mnie nie odezwali.
  - Dlaczego pozwolili ci zatrzymać komórki?
  - Moja córka może z nich skorzystać. Był to jeden z punktów naszej umowy.
  - Ale dlaczego w ogóle chciałaś je zatrzymać? Żeby mieć po niej pamiątkę?
- Charlotte wyglądała na poruszoną.
- Pomyślałam, że jeśli będę miała dzieci...
  - Tak, już to mówiłaś – przerwała jej Nicole z lekkim zniecierpliwieniem. – Ale czy nie chciałaś raczej zachować jakiejś jej drobnej cząstki?
- Po chwili milczenia Charlotte niechętnie przyznała:
- Być może podświadomie tak, ale komórki są twoje, Nicole. Mówię poważnie. Nie umiem sobie wyobrazić, żeby można je było lepiej wykorzystać.
- Nicole pragnęła, żeby Charlotte zrozumiała swoje uczucia i przyznała się do nich, a gdy wreszcie to się stało, wycofała się.
- Nie są mi potrzebne.
  - Julian może chcieć z nich skorzystać. Proszę, powiedz mu.
  - Nie mogę.
  - Nikt nie musi się dowiedzieć – przekonywała ją Charlotte niskim, zagłuszonym przez wiatr głosem. – Możesz powiedzieć, że użył komórek anonimowego dawcy. Tylko my troje znalibyśmy ich prawdziwe pochodzenie.
- Nicole wiedziała, że to nie będzie takie proste. Kaylin była na wyspie; teraz nie spuszczała z nich oka, stojąc za drzwiami tarasu. Wkrótce miała się zjawić Angie. Byli też Johnny, rodzice Juliana, Monica oraz dziesiątki przyjaciół i kolegów, którzy zadawali pytania, gdyby przeszczep się nie powiódł.
- Nie. Nie mogła wybiegać myślami tak daleko. Stać ją było wyłącznie na małe kroki.
- Powinnam porozmawiać z Kaylin. – Ruszyła przed siebie, lecz po chwili zatrzymała się i odwróciła w stronę Charlotte.
  - A co z Leo? Czy twoja współpraca z Kaylin nie przeszkodzi wam w spotkaniach?
  - Nie. Leo ma się czym zająć.
- Nicole nadal nie bardzo rozumiała, co Charlotte widzi w Leo Cole'u. Wydawał jej się szorstki, ale nie zdołała go jeszcze zdemaskować.
- Czy to naprawdę on jest autorem *Salt*?
  - Tak.
  - Sprzedał już prawa do drugiej książki?
- Charlotte pokręciła głową.
- Dlaczego? – drążyła Nicole.
  - Nie podjął jeszcze decyzji.
  - W sprawie napisania drugiej książki czy wyboru wydawcy?
  - W obydwu tych kwestiach.
  - Skoro wszyscy już wiedzą, że Chris Mauldin jest mężczyzną, to dlaczego ukrywa się na Quinnepeague?
  - Bo to jego dom.
  - Nigdzie się stąd nie rusza. Ma agorafobię?
  - Nie, po prostu lubi tu mieszkać.
  - Nie interesuje go poszerzanie horyzontów, literacki rozwój?

– Nie chce za to płacić zbyt wysokiej ceny. Uważa, że równie dobrze może się rozwijać tutaj, dalej pisząc.

Nicole pomyślała, że to wielka strata. W najśmielszych snach nie marzyła o tym, że wydawcy będą się bili o prawo do wydania jej drugiej książki. Leo Cole był albo geniuszem, albo idiotą. Oczywiście nie mogła tego powiedzieć Charlotte, która nie była w tej sprawie obiektywna.

– A tak przy okazji, dziękuję ci, że zaproponowałaś Kaylin pracę – powiedziała tylko.

– Nie dziękuj mi – odparła Charlotte – tylko skorzystaj z mojej pomocy, dobrze?

\*

Nicole wiedziała, że Charlotte dręczy poczucie winy. Cóż, ją też dręczyło. Powinna powiedzieć Julianowi o komórkach, lecz zwyczajnie nie była na to gotowa. Postanowiła działać inaczej. W ramach zwalczania sentymentalizmu spakowała do toreb ubrania, których nie nosiła od lat. W sobotę przetrząsnęła z Kaylin szafki w salonie i spakowała dziecięce gry, układanki, stare kasety i płyty. Po obiedzie w Chowder House – Charlotte z nimi nie było, a Nicole nie chciała wiedzieć, gdzie przyjaciółka się podziewa – umieściła na blogu wpis poświęcony bułeczkom z homarem, opatrzyła go zdjęciem i przez kilka godzin czytała magazyny rolnicze.

Przeszło jej przez myśl, że w tej sytuacji Charlotte może wyjechać z wyspy zaraz po przeprowadzeniu wywiadów. Kaylin mogłaby pomóc Nicole w uporządkowaniu materiałów do książki, a jeśli nie ona, to redaktorzy z wydawnictwa – czyż nie tym się zajmowali? Wiedziała, że za daleko wybiega myślami, ale miło było mieć wybór.

Poczucie, że kontroluje sytuację, pozwoliło jej się smacznie wyspać; niedzielny poranek powitała w dobrym nastroju, który nieco przygasł w drodze na przystań. Znowu zaczęła się zastanawiać, co powinna powiedzieć matce. Jednak dopiero kiedy opuszczono pochylnię promu i na brzegu stanęła Angie, pewność siebie Nicole całkowicie się ulotniła.

Jej matka nie wybrała się na przejażdżkę po wybrzeżu sama.

## Rozdział 19



Nicole знала tego wysokiego i postawnego mężczyznę. Tom Herschel był jednym z partnerów w kancelarii prawnej Boba i wieloletnim przyjacielem rodziny. Jego żona trzy lata wcześniej zmarła na raka piersi. Można by pomyśleć, że ostatnie dwa dni – i noce w motelu na wybrzeżu – spędzili całkiem niewinnie, gdyby nie mina Angie. Oczywiście miała większe niż zwykle i to nie dzięki makijażowi, chociaż była w nim mistrzynią. Świetnie też znała się na modzie i chociaż tego lata ważyła dwa i pół kilograma więcej niż rok temu, nadal wyglądała znakomicie, ubrana w sweter i dopasowane spodnie. Pierwszą rzeczą, na którą zwróciła uwagę Nicole, była nerwowość matki. Być może jej niepokój wynikał z tego, że przyplłynęła na wyspę po raz pierwszy od śmierci Boba, a może martwiła się o kondycję psychiczną Nicole?

– Pamiętasz Toma – odezwała się Angie, gdy już się uściskały.

Jej pytanie zabrzmiało idiotycznie, wzięwszy pod uwagę to, że Tom prawie nie ruszał się z ich domu w ponurych tygodniach po nagłej śmierci Boba. Nicole wszystkiego się domyśliła. Jak powinna się zachować? Oniemiała z wrażenia, w dalszym ciągu obejmując matkę prawym ramieniem, wyciągnęła lewą dłoń, żeby przywitać się z Tomem.

– Zjeżdżiliście wybrzeże?

Angie uśmiechnęła się niepewnie.

– Byliśmy w Bar Harbor; Acadia cudownie się nadaje do pieszych wędrówek.

Nicole nie miała pojęcia, że jej matka lubi piesze wędrówki, lecz nie mogła tego powiedzieć w obecności Toma. Do głosu doszła jej wrodzona uprzejmość; Nicole z uśmiechem skinęła głową. Angie zamknęła ją w matczynym uścisku i zrećnie zmieniła temat.

– Martwię się o ciebie, odkąd dowiedziałam się o Julianie. Rozmawiałam z nim dzisiaj rano. On też się o ciebie niepokoi. – Odsunęła się od Nicole. – Jestem na niego wściekła, że tak długo kazał ci trzymać chorobę w tajemnicy. Nie było powodu, żebyś to przede mną ukrywała, biedactwo.

Nicole wołała się nie zastanawiać, co mogła mieć na myśli matka, nazywając ją biedactwem. Sięgnęła po jej torbę, zanim Tom zdążył to zrobić, i zaprowadziła ich do samochodu. Gdy tylko włączyła silnik, Angie wróciła do tematu.

– Przez telefon wydawało się, że nic mu nie dolega, ale oczywiście to nie to samo co rozmowa na żywo. Musiałaś żyć w wielkim stresie. Julian słusznie kazał ci tu przyjechać, chociaż domyślałam się, że nie było ci łatwo. Cóż, być może ja to odbieram inaczej. Moje wspomnienia sięgają daleko w przeszłość. Nawet płynąc promem i patrząc na znikające w oddali Rockland, zastanawiałam się, ile razy podróżowaliśmy w ten sposób z twoim ojcem. – Głośno westchnęła. – Odpoczęłaś chociaż trochę?

Nicole spojrzała w lusterko i skrzyła w lewo. Nie zdążyła odpowiedzieć, bo Angie kontynuowała monolog:

– Oczywiście masz na głowie pisanie książki. To musi być miła odmiana. Jak ci idzie? Czy mieszkańcy wyspy okazali się pomocni? Domyślałam się, że tak, chociaż proszenie o coś tak osobistego jak przepisy musi być dla ciebie wyzwaniem. Przepisy są czymś intymnym, nie uważasz? Wiele z nich krąży w rodzinach od pokoleń. Opowiadałam o tym Tomowi. Podobno

trzeba uzyskać pisemną zgodę na wykorzystanie przepisów w książce od wszystkich autorów. Pomyślałaś o tym?

– Mój wydawca pomyślał. Dali mi specjalny formularz.

– Aha. Myślisz, że to wystarczy? – zawołała do siedzącego na tylnym siedzeniu Toma. – Czy powinniśmy pokazać ten formularz komuś z kancelarii?

– Jestem pewien, że to zbyteczne – uspokoił ją Tom, tak jak dziesiątki razy podczas przygotowań do pogrzebu.

Nicole zaświtała w głowie myśl, która przyprawiłaby ją o apopleksję, gdyby nie była tak oszołomiona. Czy to możliwe, żeby Angie i Tom byli ze sobą jeszcze przed śmiercią Boba? Nie mogła w to uwierzyć!

Angie mówiła o wszystkich mijanych domach, pytała, jak się miewają Warrenowie, McKenzie, Matthewsowie... Paplała jak najęta. Nicole zwykle też była rozmowna, ale tym razem to Angie przejęła pałeczkę. W jej głosie dało się jednak wyczuć niepewność, skrępowanie, a może wyrzuty sumienia.

\*

Kiedy dotarli do domu, Nicole bolała głowa. Nalała wody do szklanki i połknęła dwie tabletki przeciwbólowe, a jej matka otworzyła lodówkę, przejrzała jej zawartość i wyciągnęła pojemniki z jagodami, malinami i truskawkami. Włożyła durszlak do zlewu i wstawiła owoce pod strumień wody.

Przerwała tylko na chwilę, żeby zapytać:

– Nie myślaś ich, prawda?

– Nie. Mamo... – Jak miała jej to powiedzieć? – Zamierzałam usmażyć na kolację steki, ale nie wystarczy ich dla pięciu osób.

– Żaden kłopot. I tak planowałam, że wybierzemy się na kolację do baru.

Nicole przełknęła ślinę.

– Okej. A jak zamierzasz rozwiązać kwestię noclegu? Sypialnia małżeńska jest jedynym wolnym...

Angie przestała myć owoce i ciężko westchnęła.

– Och, nie mogłabym tam spać. Wspomnienia nie pozwoliłyby mi zasnąć! Kiedy twój ojciec i ja opuszczaliśmy we wrześniu tę sypialnię, nie mieliśmy pojęcia, że nigdy więcej do niej nie wrócimy. – Zajęła się owocami.

– Więc postanowiłaś wrócić z Tomem? – zapytała Nicole. Owoce nic nie znaczyły w porównaniu ze wspomnieniem jej ojca, zepchniętym w ciemny zakurzony kąt.

Angie uciszyła córkę i spojrzała w stronę drzwi.

– Nie oceniaj mnie tak pochopnie, skarbie. Tom nie musiał tu przyjeżdżać, ale wiedział, że będę się czuła nieswojo.

– Cóż, nie możecie spać oboje w mojej sypialni – powiedziała Nicole w osłupieniu.

– A czemu mielibyśmy to robić, skoro w domu jest sześć wolnych pokoi?

\*

Planowali nocować w jednej czy w dwóch sypialniach? To pytanie nie dawało spokoju Nicole. Jednak dopiero po lunchu i wyczerpaniu tematu choroby Juliana, historii leczenia oraz aktualnych symptomów została z Angie sama i mogła je wreszcie zadać. Charlotte zaproponowała, że razem z Kaylin pokażą Tomowi wyspę.

Angie przestawiała meble na tarasie, jakby nic się nie stało, chociaż dla Nicole nic już nie było takie jak powinno. Z rosnącym zdumieniem obserwowała, jak jej matka zagląda pod stół,



szukając na kamieniach wytartych śladów w miejscu, gdzie poprzednio stał mebel. Przesuwała krzesła jedno po drugim, ignorując Nicole, która nie mogła sobie poradzić z emocjami.

– Co to ma znaczyć, mamó? – odezwała się wreszcie. – Spotykasz się z Tomem?

Odsunawszy wszystkie sześć krzesel, Angie zaczęła się mocować ze stołem.

– Bądź tak miła i złap z tamtej strony.

Nicole pomogła jej przesunąć stół, po czym opuściła ręce i zapytała:

– No więc?

Angie wróciła do przesuwania krzesel.

– Czy to by było takie straszne?

– Oczywiście, że tak! Tata zmarł pół roku temu!

– Minęło już siedem miesięcy i trzy tygodnie.

– Podobno go kochałaś.

Angie wpatrywała się w córkę.

– Bo tak było. Kochałam go całym sercem.

– Czy zawsze miałaś słabość do Toma?

– Nicole – skarciła ją matka. – Bardzo się mylisz. Zawsze kochałam Toma jak przyjaciela. Twój ojciec też. Twoje insynuacje są krzywdzące dla nas wszystkich.

Nicole знаła swoją matkę na tyle dobrze, żeby rozpoznać u niej szczerą gniew, ale wcale jej to nie uspokoiło. Nie potrafiła sobie wyobrazić Angie umawiającej się na randki.

– Nie było go przy tobie, kiedy ostatnio się widziałyśmy. Myślałam, że jesteś sama.

– Mówiłam ci o kolacjach z przyjaciółmi.

– Zakładałam, że masz na myśli pary, na przykład Farringtonów, czy Spraguesów. –

W głowie zaświtała jej nowa straszna myśl. – Czy w kancelarii o was wiedzą? A co z przyjaciółmi taty?

– Nie zastanawiają się, dlaczego Tom tak mnie wspiera. Cieszą się, że mają mnie z głowy, poza tym ufają Tomowi. – Angie sprawiała wrażenie coraz bardziej przybitej. – Wiedziałam, że się zdenerwujesz.

– Jak miałabym się nie zdenerwować?! – krzyknęła Nicole.

– Tom jest moim przyjacielem, kochanie. Kiedy ktoś umiera, wszyscy wspierają jego bliskich przez pierwszy tydzień, a później stopniowo odchodzą. Tom przy mnie został.

– Jest zupełnie inny niż tata.

Bob był przebojowy, energiczny i towarzyski, Tom wprost przeciwnie.

– W tym rzecz. Nie szukam kogoś, kto zastąpiłby mi twojego ojca.

Nicole prawie jej nie słuchała.

– Wydawało mi się, że kochasz tatę.

– Bo kochałam – Angie podniosła głos. – Posłuchaj mnie, Nicole. To nie ma nic wspólnego z twoim tatą. On nie żyje. – W jej oczach pojawiły się łzy. Ścisnęła oparcie krzesła tak mocno, że zbieleły jej knykcie. – Może nie powinnam była zabierać Toma, ale chciałam tu z tobą być i wiedziałam, że nie poradzę sobie sama. Popatrz na ten stół. Pamiętam, jak kupiliśmy go z twoim ojcem. A ta sadzarka, lampki w kształcie grzybów? W domu zajmowałam się wszystkim sama, bo twój ojciec pracował, ale tutaj wszystko robiliśmy razem. Możliwe, że ten dom nie przypomina domu zbudowanego przez twoich dziadków, ale dla mnie są bardzo podobne. To tutaj wzięliśmy ślub.

Nicole usiłowała to zrozumieć, lecz nie mogła się pozbyć myśli o Bobie obserwującym z nieba jednego ze swoich najlepszych przyjaciół, który spędzał czas w jego domu, z jego żoną. Czy zdrada Angie nie była podobna do tego, co zrobili Julian i Charlotte?

Była bliska płaczu. Angie objęła ją ramieniem.

– Przykro mi, skarbie. Nie sądziłam, że tak źle to przyjmiesz.

Nicole nie mogła wydobyć głosu.

– Tyle się ostatnio dzieje w twoim życiu – przemawiała łagodnie Angie. – Potrafię zrozumieć, dlaczego jesteś oszołomiona.

Nicole pomyślała histerycznie: oszołomiona? Po czterech latach od postawienia diagnozy? Nie! Oszołomił ją raczej widok matki z innym mężczyzną po zaledwie siedmiu miesiącach od śmierci ojca!

Oczywiście nie był to jedyny powód. Nicole głęboko zaczerpnęła powietrza, czując silną pokusę, żeby opowiedzieć matce o Charlotte i Julianie, zaufaniu i zdradzie, o tym, jak niewiele Angie wie o jej problemach, lecz zauważyła kątem oka ruch w salonie. Spacer po wyspie najwyraźniej dobiegł końca.

Angie po raz ostatni uścisnęła jej ramię.

– Do naszego kościoła chodzi mężczyzna, którego żona chorowała na SM przez trzydzieści lat. Nigdy byś się nie domyśliła, że dolega jest coś więcej niż starość. Julianowi nic nie będzie, skarbie, zobaczysz.

– Skąd możesz to wiedzieć? – zapytała Nicole, świadoma tego, że nie istniały dwa jednakowe przypadki SM. Chwytała się jednak wszystkiego, co choć na moment podniosłoby ją na duchu.

– Bóg nie odebrałby ci za jednym zamachem ojca i męża.

– Mamo...

– Pamiętasz, co mówił ojciec, kiedy sprawy nie układały się po jego myśli? Co nas nie zabije, to nas wzmocni.

Nicole oniemiała. Wzmianka o śmierci jakoś nie poprawiła jej samopoczucia.

Angie niewłaściwie odczytała reakcję córki. Najwyraźniej uznała, że Nicole potrzebuje chwili dla siebie, bo przyłożyła policzek do jej policzka i po chwili weszła do domu.

Nicole patrzyła zrozpaczona, jak Angie uśmiecha się do Toma. A może do Charlotte lub Kaylin? Nie wiedziała już, co myśleć.

Ruszyła ścieżką do ogrodu i usiadła wśród roślin. Waleriana pięknie rozkwitła. Podobnie lawenda. Nicole nie była pewna, która z tych dwóch roślin bardziej jej pomaga; grunt, że działały.

Chwilę później dołączyła do niej Charlotte.

– Przepraszam. Próbowałam przeciągnąć nasz spacer, ale na wyspie nie ma zbyt wiele do oglądania. – Usadowiła się na ścieżce w bezpiecznej odległości od przyjaciółki, by nie naruszyć jej osobistej przestrzeni i jednocześnie nie zostawić jej samej.

– Jesteś zgorzonna? – zapytała Nicole, spoglądając na nią z ukosa.

– Przyjazdem Toma? Raczej zaskoczona.

– Myślisz, że Angie źle postępuje?

– Nie mnie to oceniać. – Charlotte miała dość przyzwoitości, żeby to powiedzieć.

– Ale co o tym myślisz?

Ktoś inny powiedziałby Nicole to, co chciała usłyszeć, lecz Charlotte zawsze była z nią szczerą i dlatego Nicole zadała jej to pytanie.

Ciemne włosy Charlotte szarpał wiatr, spojrzenie jej brązowych oczu było powściągliwe.

– Myślę, że oboje są samotni – powiedziała wreszcie. – Nie łamię żadnych zasad.

– A co z pamięcią o tacie?

– Pozostanie żywa.

– Chociaż w życiu Angie pojawiają się nowi mężczyźni?

Charlotte uśmiechnęła się smutno.

– To i tak nieuniknione. Angie jest młoda...  
– Ma sześćdziesiąt dwa lata.  
– Jest młoda – powtórzyła Charlotte. – W Appalalach, Etiopii czy Zimbabwie sześćdziesiątka oznacza dla kobiety starość, ale nie tutaj. Angie nadal żyje aktywnie. Nigdy nie zapomni Boba, ale nie możesz od niej oczekiwać, że zamknie się jak małż i będzie czekać na śmierć. Nie chciałabyś tego.

Nicole niechętnie przyznała jej rację.

– Ale żeby tak szybko?

– Tom pomógł jej przetrwać najtrudniejsze chwile. Sprawia sympatyczne wrażenie.

– To nudziarz.

– W porównaniu z Bobem każdy facet wydałby ci się nudny.

Charlotte ma rację, pomyślała Nicole. Mimo to przyjazd Angie w towarzystwie innego mężczyzny nie był tym, czego właśnie potrzebowała.

– Powinna była mnie ostrzec. Przez wszystkie te miesiące nie puściła pary z ust. Czy musiała to przede mną ukrywać?

– Próbowalas ją o to zapytać? – zapytała łagodnie Charlotte. – Chroniła cię, Nicki. Pomyśl tylko: czy dwa-trzy miesiące temu byłoby ci łatwiej pogodzić się z sytuacją?

Nicole musiała przyznać, że nie. Przez chwilę obserwowała pszczołę kołującą nad goździkiem w pełnym rozkwicie. Falbaniaste krawędzie płatków mieniły się głębokimi odcieniami różu. Bzyczenie owada było tak głośne, że zagłuszało szum fal. Nicole wsłuchiwała się w nie, wdychając mocny zapach waleriany i morskiej bryzy.

Jedno trzeba było Charlotte przyznać: wiedziała, kiedy zamilknąć. Oczekwała całe pięć minut, pozwalając Nicole się uspokoić, zanim cicho spytała:

– Powiedziałaś jej?

O wspólnie spędzonej nocy i dziecku.

– Nie.

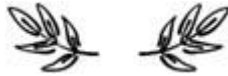
– Zrobisz to?

Była blisko, ale coś ją powstrzymało, i to nie tylko powrót domowników ze spaceru.

– Tak, jeśli zdecyduję się powiedzieć jej o komórkach – odparła, chociaż Charlotte przekonywała ją wcześniej, że nikt nie musi znać tożsamości dawcy.

W bankach komórek anonimowość była czymś pożądanym. Julian naturalnie musiałby się dowiedzieć, ale raczej nie rozgłaszałby prawdy, podobnie jak Nicole. To, co się wydarzyło, było dla niej wystarczającym upokorzeniem. Nie miała jednak zamiaru dzielić się swoimi przemyśleniami z Charlotte, która zasłużyła na to, żeby się trochę pomartwić.

## Rozdział 20



W poniedziałek rano Charlotte niepewnie weszła do kuchni, zastanawiając się, czy wieczorem Nicole nie wygadała się Angie i jak wielkiego potępienia powinna się w związku z tym spodziewać. Jednak Angie uśmiechnęła się do niej pogodnie zza blatu, gdzie kroїła kiwi. Ktoś musiał pojechać do miasteczka, ponieważ Tom czytał nowy numer „Wall Street Journal”, a Nicole przekrawała świeżutkie bajgle wyjęte z torby Quinnie Café.

Kaylin jeszcze nie zeszła na śniadanie; zwykle wstawiała po dziesiątej. Charlotte pewnie też poleżałaby dłużej w łóżku, gdyby nie przejmowała się tym, że Nicole i Angie są na dole same. Jeśli Nicole zdecyduje się powiedzieć matce, Charlotte i tak jej nie powstrzyma, ale wolałaby przynajmniej przy tym być i móc się bronić.

Na szczęście w kuchni był jeszcze Tom. Nicole nie puściłaby przy nim farby, a on towarzyszył Angie przy śniadaniu, porannej kawie na tarasie i zmywaniu naczyń. Zanim Angie zabrała go na zakupy, obudziła się Kaylin, więc Charlotte przez jakiś czas mogła się czuć bezpieczna.

Pod pretekstem szukania kandydatów do wywiadu zostawiła Nicole i Kaylin na skąpanym w słońcu tarasie i poszła odwiedzić Isabel Skane. W sklepie było kilka klientek: dwie myszkowały w koszach z włóczką, trzy siedziały przy stole, robiąc na drutach. Charlotte przyniosła swój sweter, który wywołał więcej ochów i achów, niż na to zasługiwał, wzięwszy pod uwagę liczbę błędów, a Isabel szybko dostrzegła problem z warkoczem.

– Kiedy już założysz oczka na agrafkę, to właśnie od jej położenia, z przodu lub z tyłu robótki, zależy ostateczny wygląd warkocza. Widzisz te wcześniejsze? – Isabel wskazała na dolną część rękawa. – Konsekwentnie skręcają w lewo, czyli musiałas umieścić agrafkę z przodu, ale w tym miejscu się pogubiłaś.

Charlotte nie spodobało się to, co usłyszała.

– Czyli muszę to wszystko spruć?

– Nie, jeśli myślisz jak rdzenne Amerykanki – odparła łagodnie Isabel – które celowo robiły błędy w swoich robótkach, by obdarowywane nimi osoby wiedziały, że wydziergano je ręcznie i z miłością.

– Mogłabym tak zrobić, gdyby nie dwie rzeczy. Po pierwsze to siebie zamierzałam obdarować, a po drugie ja swoich błędów nie popełniłam celowo.

Kobiety przy stole cicho się roześmiały i porozumiewawczo kiwnęły głowami.

– Prujemy? – szepnęła Isabel.

Charlotte zdążyła się już przekonać, że Isabel jest perfekcjonistką – widziała próbki jej robótek w witrynie sklepu. Każda z nich była bezbłędna. Charlotte nie sądziła, by sama kiedykolwiek miała osiągnąć podobną biegłość w robieniu na drutach.

– Świetnie sobie radzisz – pochwaliła ją Isabel, sięgając po rękaw. – Ten wzór i mnie sprawiłby trudność.

Charlotte szczerze w to wątpiła, lecz komentarz Isabel otworzył jej drogę do dziewiarskiej przeszłości właścicielki sklepu. Dwie klientki, nieświadome profesjonalnego charakteru tej rozmowy, przyłączyły się do niej. Przyjechały tu tylko na wycieczkę i jako zapalone amatorki

dziergania zadawały Isabel pytania, które Charlotte nigdy nie przysłyby do głowy. Słuchała odpowiedzi ze szczerym zaciekawieniem.

Isabel przerwała wywiad, żeby obsłużyć klientki. Zanim spruła rękaw do pierwszego błędu w warkoczu, Charlotte zdążyła zjeść trzecią czekoladową ciągutkę nadziewaną migdałem i całkowicie zapomniała o bólu.

\*

Ból oczywiście nie zniknął na długo. Mijając w drodze powrotnej domy przy plaży, Charlotte myślała wyłącznie o tym, czy Nicole wyznała prawdę Angie i czy nadal zataja ją przed Julianem. W każdym razie spodziewała się w domu napiętej atmosfery.

Jednak lunch, podobnie jak reszta dnia, upłynął bez spięć. Zjedli solidne kanapki z indykiem na grubych kromkach chleba z melasą, upieczonego przez Melissę Parker. Nicole przez chwilę przeglądała z Angie przepisy, po czym wszyscy wybrali się na plażę. Tylko Charlotte została w domu, żeby obrobić zdjęcia, a gdy wrócili, z niepokojem przyjrzała się ich twarzom.

Rzeczywiście, coś się w nich zmieniło. Nicole dyskretnie opowiedziała Charlotte, że podczas spaceru Angie usilnie nakłaniała ją do powrotu do Durham. Chociaż Julian sobie tego nie życzył, żona powinna przecież trwać przy mężu. Nicole chciała poznać zdanie przyjaciółki na ten temat.

Charlotte uznała, że to dobry pomysł. Miała nadzieję – lecz nie powiedziała tego na głos – że jeśli Nicole znajdzie się blisko Juliana, będzie bardziej skłonna wyznać mu prawdę na temat dziecka i komórek macierzystych z krwi pępownikowej. Charlotte zaczynała się zastanawiać, czy sama nie powinna mu o tym powiedzieć, i to nie tylko dla dobra Juliana. Jej przyjaciółka męczyła się, dusząc to w sobie.

Nicole postanowiła jednak sama wybrać stosowny moment, a ponieważ Charlotte nie chciała jej zdradzić po raz drugi, cierpliwie czekała.

\*

Zanim stojący na tarasie grill ostygł i zmyto naczynia po obiedzie, Charlotte poczuła wielką chęć, żeby wyrwać się z domu. Powinna trwać przy Nicole, ale stres zaczynał dawać się jej we znaki. Kiedy któryś z domowników wyciągnął z pudełka grę planszową „Zalóż się!”, postanowiła nie psuć im zabawy, oznajmiła, że przyda jej się spacer, i wyszła z pokoju.

*Mogę przyjechać?* – wystukała na klawiaturze telefonu, wchodząc na górę po sweter.

*Odkąd to musisz pytać?* – odpisał Leo, a po chwili dodał: – *Masz ochotę pożeglować?*

*Teraz?*

*Dlaczego nie?*

*Czy żeglarze nie wracają na noc do portu?*

*Ja nie. Dobrze znam te wody. Ufasz mi?*

Charlotte przypomniała sobie, jak płynęli na złamanie karku z Quinnipeague do Rockland po Nicole, jak wypłakiwała się przy nim, zwracając mu się z najbardziej intymnych spraw i jak uwierzyła we wszystkie nieprawdopodobne rzeczy, które jej powiedział. Czy mu ufała? Chyba tak.

*Będę za pięć minut* – napisała i, chowając telefon do kieszeni, poszła po kluczyki.

\*

Po raz pierwszy minęła zakręt przed domem Cole’ów i wjechała na piaszczystą drogę między zadbanymi rzędami kwiatów i ziół. Dostrzegła ciemną sylwetkę Leo na frontowych

schodach. Na jej widok wstał i pokazał gestem, żeby zaparkowała z boku domu. Kiedy zatrzymała się obok jego pick-upa, otworzył drzwi, pomógł jej wysiąść, po czym przycisnął Charlotte do samochodu i zaczął niespiesznie, lecz namiętnie całować. Kiedy pomyślała, że chyba zrezygnował z żeglowania, on chwycił jej dłoń, zaprowadził na tyły domu i podniósł z ziemi brezentowy worek.

– Zapakowałem kurtki i koce – wyjaśnił. – Na wypadek, gdybyś zmarzła.

Po tak namiętnym pocałunku nie groziło jej to przez długi czas, zresztą i tak zabrała swój rybacki sweter. Opiekuńczość Leo była jednak czymś uroczym, podobnie jak troska, z jaką przeniósł na łódź Niedźwiedzia, który przyczłapał za nimi do przystani.

Leo wrzucił worek na pokład, wciągnął odbojniki i rozwiązał liny. Po przekręceniu kluczyka włączyły się światła nawigacyjne, a kiedy nacisnął guzik, Charlotte usłyszała głośny pomruk.

– Silnik? – zdziwiła się, ponieważ wiatr był dość silny.

– Tylko dopóki nie minie skał – wyjaśnił Leo, kiedy wypływali z przystani. – Bywają zdradliwe.

Jedna z nich właśnie się pojawiła, kilkadziesiąt centymetrów od Charlotte, chociaż nie zauważyłaby tej kanciastej bryły mokrego granitu, gdyby nie Leo. Ominął ją bez problemu, podobnie jak kilka innych skał, nim wreszcie zgasił silnik i rozwinął dwa żagle, jeden na dziobie, drugi na rufie.

Miarowe podmuchy wiatru odpychały ich coraz dalej od Quinipeague. Kiedy odpłynęli od wyspy tak daleko, że ledwie mogli usłyszeć dźwięk fal rozbijających się o brzeg, Leo skierował łódź pod wiatr, aż żagle zaczęły łopotać, po czym zwinął je i zabezpieczył linami. Wyciągnął z worka termos z kakao i napełnił nim kubki.

– Ciepło ci? – zapytał, sadowiąc się obok Charlotte na wyściełanej ławce.

– Mam Niedźwiedzia u stóp, kubek kakao w dłoni i gorącego faceta u boku. – Westchnęła z zadowoleniem, spojrziała w górę na rozgwieżdżone niebo i poprosiła: – Powiedz mi, na co patrzę.

Leo wskazał na niebo.

– O tej porze Saturn wisi zbyt nisko, ale tu mamy Jowisza, widzisz? A tam rumaka, Pegaza. – Przesunął palec i zakreślił nim w powietrzu koło. – Wielki Wóz. Mały Wóz.

Charlotte musiała się mocno skoncentrować, żeby dostrzec każdą z konstelacji. Po chwili zauważyła coś jeszcze.

– Spadająca gwiazda. – Zacisnęła powieki, a gdy je otworzyła, napotkała wzrok Leo.

– Czego sobie zażyczyłaś?

– Jeśli ci powiem, to się nie spełni.

– Powiedz.

Nie miała zamiaru. Przynęła się bliżej – gdyby Leo znał ją nieco lepiej, domyśliłby się, jak brzmiało jej życzenie – i powiedziała:

– Miło tak dryfować. – Zaczęła nasłuchiwać. Woda uderzała o kadłub, takielunek łagodnie pobrzękiwał w rytm kołysania się łodzi, Niedźwiedź cicho pochrapywał, a serce Leo biło miarowo. – Jak tu cicho.

– W przeciwieństwie do domu?

– Atmosfera jest napięta. Nicki nadal nie powiedziała Julianowi o komórkach do przeszczepe.

– A ty nie możesz tego zrobić?

– Próbuje uszanować jej wolę, ale ona nie może w nieskończoność trzymać tego w sekrecie. Te komórki są niezwykle cenne.

– A Nicole właśnie je wykorzystuje.  
Charlotte już miała zaprzeczyć, kiedy zrozumiała, co miał na myśli Leo.

– Przeciwko Julianowi.  
– Chce go ukarać za zdradę.  
Charlotte uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

– Skąd wiesz?  
Leo wzruszył ramionami.

– Po prostu zgaduję.  
– Masz wrodzoną intuicję, tak jak bohater *Salt*. Pracowałeś ostatnio nad nową książką?  
– Trochę. Rozkojarzyły mnie e-maile od wściekłych czytelników.  
– Co piszą?  
– Jakiś facet twierdzi, że ukradłem mu historię, i żąda udziału w zyskach, bo inaczej spotkamy się w sądzie. Inny twierdzi, że moja książka zawiera merytoryczne błędy, bo gdyby ktoś zbudował łódź w podany przeze mnie sposób, utonąłby razem z nią.

– Ludzie uwielbiają doszukiwać się błędów. W takiej żyjemy kulturze.  
– Ty nie dostajesz podobnych wiadomości.  
– Tylko dlatego że nie jestem sławna. Założę się, że twoja korespondencja składa się w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach z miłych listów.

– Martwi mnie ten jeden procent. Jakaś kobieta zarzuca mi, że jestem nieodpowiedzialny, bo nie propaguję w książce bezpiecznego seksu. – Popatrzył na nią.

– Przecież już ci mówiłam.  
– Powiedz jeszcze raz.  
– Nie jestem łatwowierną młodą dziewczyną. – Potrafiła się skutecznie zabezpieczyć przed ciążą.

– Los dał ci nauczkę?  
– Można tak powiedzieć. A skoro już o tym mowa, nie miałam zbyt wielu facetów.  
– Nie pytałem cię o to.  
– Chcę, żebyś wiedział. Jestem typem monogamistki.  
Noc była jasna. Charlotte dobrze widziała wyraz jego oczu.

– Gdybyś chciała urodzić moje dziecko, nie zostawiłbym cię samej.  
Serce Charlotte zatrzymało się na krótki moment. Uwaga Leo mogłaby się wydać niewinna, gdyby nie jego przenikliwe spojrzenie.

– Uważaj, co mówisz – upomniała go delikatnie.  
– Mówię poważnie – odparł. – Ale ty nie zostaniesz na wyspie. – To nie było pytanie.  
– Polecisz ze mną we wrześniu do Paryża? – zapytała, choć i ona nie oczekiwała odpowiedzi. Przytuliła się więc do niego jeszcze mocniej.

Wypili kakao i przez chwilę dryfowali na falach. Później Leo postawił żagle i wrócili do przystani.

– Wpadnij do mnie na chwilę – szepnął, gdy znaleźli się na plaży.  
Jak mogła odmówić? Nie potrafiła nazwać swoich uczuć do Leo Cole'a, na szczęście seks nie wymagał żadnych tłumaczeń.

## Rozdział 21



Angie została na wyspie cały tydzień. Nicole nie mogła jej poprosić, żeby wyjechała, skoro dom należał do niej, chociaż zaczęło między nimi dochodzić do coraz poważniejszych spięć – nie o drobiazgi, które były powodem ich sprzeczek, kiedy Nicole dorastała, takie jak muzyka, makijaż czy ciuchy. W dorosłym życiu różnie pojmowały rolę żony. Nicole uważała, że Angie zachowuje się nielojalnie, zaś Angie obwiniała Nicole o zaniedbywanie małżeńskich obowiązków. Bob zawsze potrafił je ze sobą pogodzić i Nicole tym bardziej za nim tęskniła. Na domiar złego nadal miała przed matką sekrety, więc było jej ciężko za każdym razem, kiedy rozmawiały.

We wtorek Angie znów poruszyła temat powrotu córki do Durham, Nicole odburknęła, że Julian też może do niej przyjechać, co z kolei przywołało temat obecności Toma na wyspie i doprowadziło do kolejnej kłótni.

W środę Angie zapytała, jak czuje się Julian. Nicole powiedziała, że jeszcze z nim tego dnia nie rozmawiała, a gdy matka zapytała dlaczego, odparła:

– Mamo, jest dopiero ósma. Julian potrzebuje snu. Nie będę go budzić.

Na uwagę, że Julian zawsze był rannym ptaszkiem, Nicole powiedziała: „ale już nie jest” i wybiegła z pokoju.

W czwartek Angie powstrzymywała się aż do lunchu, ale przez to jej słowa zabrzmiały potem jeszcze ostrzej:

– Czy ty w ogóle dzwonisz do Juliana?

A gdy Nicole powiedziała, że rozmawia z nim co wieczór, Angie odparła:

– Słysząc, że jesteś zła; mam nadzieję, że nie na niego. On nie prosił się o chorobę, Nicole, a skoro nie gniewasz się na niego, to w takim razie na mnie. Skąd się u ciebie wziął ten egoizm?

Nicole poczuła się urażona tą uwagą. Uniosła ręce w obronnym geście i odeszła.

\*

– Mama się o ciebie martwi – próbowała jej później wytłumaczyć Charlotte, a kiedy i ona zapytała, jak się czuje Julian, Nicole przybrała ton defensywny.

– Mogłabym do niego wydzwaniać po dziesięć razy dziennie, a i tak nie dowiedziałabym się niczego nowego. Julian jest zmęczony, jak zawsze. Koniec dyskusji.

Na domiar złego Kaylin oświadczyła, że wraca do Nowego Jorku.

Nicole nie wiedziała, co o tym myśleć.

– Przecież nie masz pracy.

– Mogę się zatrudnić jako kelnerka.

– A co z pracą dla Charlotte?

– Ona mnie nie potrzebuje, Nicki. To miłe, że zaoferowała mi staż, ale zawsze pracuje sama, a z książką kucharską też świetnie sobie radzicie. – Machnęła końskim ogonem, lecz po chwili znowu się odwróciła i dodała: – I nie pytaj, co powie tata, bo kelnerowanie to bardzo odpowiedzialne zajęcie, poza tym mama już się zgodziła.



\*

Nicole poczuła się do tego stopnia pominięta i wykluczona, że nikomu nie powiedziała o SMS-ie, który krótko po rozmowie z Kaylin przysłał jej Julian. Wracał do Filadelfii. Załatwił większość spraw w Durham i nie miał siły, żeby tam dłużej zostać.

Był zmęczony. Wiecznie zmęczony.

Jednak tym razem Nicole wydało się to podejrzane.

*Jak to nie masz siły?* – odpisała.

*Tak po prostu.*

*Czy to wina tych nowych leków?*

*Chyba zwyczajnie chcę wrócić do domu.*

Koniec dyskusji.

\*

Nicole martwiła się tym, że stan Juliana się pogorszył.

Tym, że wszyscy już wiedzą o jego chorobie, co dodatkowo pogarszało jego nastrój.

I wreszcie tym, że Julian ma w Filadelfii kochankę, za którą tak naprawdę się stęsknił.

Mimo to nie potrafiła się zmusić, żeby do niego zadzwonić. Tylko się zdenerwuje – tłumaczyła sobie. – Wpadnie w gniew i nasze relacje jeszcze się pogorszą. Powinna zaproponować, że też wróci do domu, ale gdyby się teraz zobaczyli, zapytałaby go o Charlotte, na co wciąż nie była przygotowana.

\*

Uciekając w pracę, Nicole przejrzała listę załatwionych spraw i zorientowała się, że spis rzeczy do zrobienia liczy znacznie więcej punktów. Była przerażona, że tak mało zrobiły. Zajęły się rozdziałami: *Brunch*, *Chowdery*, *Ryby* i *Desery*, ale nie dostała do nich wszystkich przepisów, poza tym zostało jeszcze sześć rozdziałów, których nawet nie tknęła, a termin oddania książki upływał za miesiąc.

– Zdążymy? – zapytała, pokazując przyjaciółce obydwie listy, kiedy ta zjawiała się na tarasie. Charlotte rzuciła na nie okiem.

– Oczywiście.

Jednak Nicole czuła, że przewraca jej się w żołądku, tak jak wtedy, gdy miała osiem lub dziesięć lat i musiała stawić czoło nowemu wyzwaniu. Od dawna nie ogarnęła jej tak silna panika. Charlotte musiała to zauważyć. Chwyliła przyjaciółkę za ramię, popatrzyła jej w oczy i powiedziała cicho:

– Masz za sobą ciężki tydzień. Kocham twoją mamę, ale trzeba przyznać, że przywiozła ze sobą jeszcze więcej problemów i obudziła w tobie dawno uśpione lęki. Kaylin też mnie rozczarowała, ale ta dziewczyna nikogo nie słucha. Obie wyjeżdżają w sobotę. Kiedy wszystko wróci do normy, załatwimy resztę spraw z listy. Miewałam już napięte terminy i zapewniam cię, że ze wszystkim zdążymy.

Ze wszystkim zdążymy – powtórzyła w myślach Nicole i od razu poczuła się lepiej.

Jednak najwięcej sił czerpała z Nickidostołu.com. Blog był jej ucieczką.

Rozpowszechnianie i wspieranie idei lokalnych upraw, z których pochodziły zdrowe, nieskażone produkty, było jej misją. Niezależnie od tego, czy opisywała świeżo złowionego łupacza, którego upiekły na kolację i podały z kukurydzianą salsą, prezentowała ręcznie plecione maty, które można było kupić w sklepiku na wyspie, czy też chwaliła powrót przydrożnych budek z jedzeniem, poruszała się w znanym sobie i przyjaznym środowisku. Lubiła siadać z laptopem

na tarasie. Zajęta pracą, nie odrywała wzroku od klawiatury, za całe towarzystwo mając szum fal.

\*

Charlotte przyzwyczaiła się do pisania w domu Leo, chociaż tam praca nie była tak wydajna, jak mogłaby być na tarasie u Nicole. Leo przesunął swój komputer, żeby zrobić na biurku miejsce na laptopa Charlotte, i dostawił drugie krzesło, co bardzo ją rozczuliło. Jednak siedząc tak blisko niego, nie mogła się skoncentrować – najpierw rozpraszały ją okulary, które Leo zakładał do pracy przy komputerze, później szybkość, z jaką uderzał w klawisze, oraz sposób, w jaki odchyłał się na krześle po napisaniu kilku zdań, by je bezgłośnie przeczytać, w jaki pochylał się nad klawiaturą i pisał dalej, całkowicie pochłonięty kreowanym przez siebie światem, nawet jeśli jego skupienie nie trwało długo.

Rzeczywiście, szybko się zniechęcał. Chociaż nie rozmawiał z Charlotte o szczegółach i nie pozwalał jej czytać tego, co napisał, wcześniej czy później dopadała go frustracja. Charlotte słyszała, jak Leo przeklina i nerwowo stuka w klawisze, by wreszcie zająć się promocją swojej pierwszej książki. Tym chętnie się z nią dzielił: pokazywał jej wpisy na Facebooku, odpowiadał na pytania fanów na swojej stronie internetowej, wyszukiwał recenzje *Salt* i dziękował ich autorom, włączał się do dyskusji na temat bohaterów czy fabuły jego książki. Kiedy Charlotte zapytała, dlaczego zadaje sobie tyle trudu, odpowiedział, że robi to dla *Salt*, a gdy spytała, dlaczego to takie ważne, skoro książka i tak odniosła oszałamiający sukces, wyjaśnił, że chce w ten sposób wynagrodzić swojemu wydawcy brak trasy promocyjnej, do której ten usilnie go namawiał.

Pod koniec tygodnia Leo położył przed Charlotte grubą teczkę. Sięgnęła po nią po chwili wahania.

– Kolejna porcja przykrych e-maili? – zapytała z niepokojem.

Leo pokręcił głową i skinął podbródkiem w kierunku teczki.

Wewnątrz znajdowały się dziesiątki listów od wydawnictw i firm producenckich, zaadresowanych na jego skrytkę pocztową w Portland. Niektóre listy pochodziły z tego samego źródła i zawierały coraz korzystniejsze propozycje. Kwoty były tak astronomiczne, że Charlotte zakręciło się od nich w głowie.

– Oto spełnienie marzeń każdego pisarza – powiedziała z podziwem.

Leo wyglądał na przestraszonego.

– Tak myślisz?

– Oczywiście. – Sięgnęła po list z błyszczącym nagłówkiem. – To jest propozycja nakręcenia filmu. I tu też – powiedziała, wskazując kolejny list. – A to? – Wyciągnęła jeszcze kilka kartek. – Same najlepsze nowojorskie wydawnictwa. – Popatrzyła na niego. – Oddzwoniłeś do któregoś z nich?

– Nie, tym zajmuje się mój prawnik, który wie, że nie jestem gotowy, by podpisać następny kontrakt, ani z moim obecnym wydawcą, ani z żadnym innym. Lubię sam sobie szefować i pracować we własnym tempie. Skończę drugą książkę, kiedy będę gotów. A jeśli przestaną się mną interesować, zawsze mogę wypuścić nowego e-booka.

– A co z filmem? Nie nakręcisz go sam.

– Czy z mojej książki koniecznie musi powstać film?

– Nie. – Charlotte ułożyła listy i zamknęła teczkę.

– Myślisz, że oszalałem.

Krótkie, nastroszone, ciemne włosy, mocno zarysowana linia szczęki i wąskie wargi nadawały Leo twardy wygląd, jednak oczy zdradzały wrażliwość, która nie umknęła uwadze Charlotte. Wyczuła jednak, że tym razem chodziło o coś więcej; Leo miał na myśli nie tylko

swoją przyszłość jako pisarza, lecz także ich wspólną.

– Wcale nie – zaprzeczyła. – Nikt, kto oferuje ci taką wielką sumę pieniędzy, nie pozwoli ci zachować anonimowości. Jeśli przyjmiesz którąś z tych ofert, twoje życie nieodwracalnie się zmieni.

Leo wreszcie się rozluźnił.

– Poza tym rozumiem, że chcesz być sam sobie szefem – dodała. – Tak właśnie wygląda moja praca i za to ją uwielbiam. Nie przyplęnęłabym tutaj, gdybym nie miała tego poczucia wolności. Żałuję tylko, że...

– Że co?

Żałowała, że Leo nie chce pójść na kompromis, że nie zgodził się polecieć z nią do Paryża lub przynajmniej odwiedzić jej w Nowym Jorku. Co do reszty, nie przejmowała się bardziej niż on. Pewnie, że mógł sporo zarobić, lecz najwyraźniej mu na tym nie zależało. Kochała go takim, jakim był – uczciwego i niezepsutego, na swój sposób naiwnego wrażliwca. Mógłby stracić wszystkie te cechy, gdyby świat dowiedział się, kim jest, i co wtedy stałoby się z jej bezpieczną przystanią?

Charlotte wstała od biurka, objęła Leo w pasie i położyła głowę na jego piersi.

– Jak miło – powiedziała, a on wydawał się zadowolony z takiej odpowiedzi.

\*

Chwilę później, w drodze do domu, Charlotte zastanawiała się nad swoimi słowami. Lubiała pracować z Leo. Mimo problemów z koncentracją, była zadowolona z efektów. Niezależnie od tego, co stanowiło źródło jej inspiracji: mężczyzna, jego piękny gabinet, czy stary biedny Niedźwiedź, który nauczył się zasypiać przy nodze Charlotte, okazało się ono niezwykle skuteczne.

\*

Nicole też to zauważyła: wywiady Charlotte okazały się bardzo dobre. Dziennikarka uchwyciła w nich ducha Quinnepeague w sposób, który dla Nicole byłby nieosiągalny, co dowodziło, że Nicole miała rację, nalegając, żeby przyjaciółka została na wyspie. Nie mówiąc już o tym, że Charlotte była teraz dla niej jedynym wsparciem. Pałący gniew zastąpiło uczucie dotkliwego zranienia, lecz nawet ono bledło w porównaniu z irytującymi uwagami Angie.

Po każdej kłótni Nicole robiła wszystko, żeby wziąć się w garść i udowodnić matce swoją dojrzałość i opanowanie. Jednak wraz z upływem dni Angie coraz rzadziej wspominała o tym, jak smutno zrobiło się w domu na wyspie po śmierci Boba, jak bardzo doskwiera w nim jego nieobecność, i co powinny zrobić z jego ubraniami. Nicole wydawało się to podejrzanе.

W sobotę rano, kiedy były same w kuchni i Angie wspomniała, że nie jest tu tak najgorzej, że powinny się wstrzymać z pakowaniem i że pomysł sprzedaży domu był zbyt pochopny, Nicole nie wytrzymała.

– Pochopny?! – krzyknęła. – Mówisz o tym od śmierci taty. Ani przez chwilę nie miałas wątpliwości, że sprzedaż domu to dobry pomysł. Jedyne, co się od tej pory zmieniło, to twój związek z Tomem.

Angie poczuła się dotknięta.

– Czyżby Tom sprawił ci jakąś przykrość? Wchodził ci w drogę? Wiem, że omijałaś z daleka zachodnie skrzydło domu, ale gdybyś chociaż raz się tam pofatygowała, zobaczyłabyś, że Tom i ja nie spaliliśmy w jednym pokoju, a gdyby nawet, to co w tym złego? Czy to byłoby takie straszne, gdybym zatrzymała dom i spędzała w nim czas z kimś innym niż twój ojciec? Bob tak lubił przyjmować gości.

– Tom nie jest zwykłym gościem – odparła kwaśno Nicole.  
– Masz rację. Tom jest wyjątkowy. To jedyna osoba, której opiece powierzyłby mnie twój ojciec. Tom mnie zna. Szanuje to, co łączyło mnie z Bobem, i pozwala mi o tym mówić. Nigdy nie kazałby mi zrezygnować z tych wspomnień, tak jak ja nie oczekuję, że on zapomni o Susan, świeć Panie nad jej duszą. Ostatni tydzień był naprawdę przyjemny, więc postanowiłam nie sprzedawać domu.

Nicole z trudem przełknęła ślinę. Angie podjęła tę decyzję bez niej.

– To twój dom, możesz z nim zrobić, co chcesz. Nie muszę tu przyjeżdżać.

Angie wyglądała na wstrząśniętą.

– Nie chciałabyś, żeby twoje dzieci poznały Quinnipeague?

– Ja nie mam dzieci! – wrzasnęła Nicole, zaskoczona gruboskórnością matki.

– Ale będziesz miała.

– Kiedy? Mój mąż jest chory. Może umrzeć.

Angie wyprostowała się.

– Zamierzasz siedzieć z założonymi rękami i czekać na jego śmierć?

– Mamo!

– Mówię poważnie. Liczysz na to, że umrze?

Nicole gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Proszę, nie wymawiaj tego słowa.

– W takim razie jakie są wasze plany na jesień? – zapytała Angie z pozornym spokojem.

– Julian twierdzi, że czeka go tydzień pracy w Kalifornii, a wiosną wyjazd do Chin. Ty też się wybierasz? Chiny to piękny kraj. A może boisz się cokolwiek planować? – Jej twarz nagle stężała, zmarszczki wokół ust stały się bardziej widoczne. – Życie nie będzie takie, jak je sobie zaplanujesz, Nicole. Sprawy nie ułożyły się po twojej myśli, ale musisz je zaakceptować...

– Nie mogę.

– Zaakceptować i żyć dalej – dokończyła Angie.

– Czy to właśnie robisz: zapominasz o wszystkim, co było w twoim życiu dobre?

Charlotte, która właśnie wchodziła do kuchni, stanęła jak wryta. Na jej widok Nicole wzięła głęboki oddech, uniosła dłonie i zaczęła się wycofywać.

– O nie! Nie uciekaj! – zawołała Angie. – Musimy o tym porozmawiać tu i teraz. Jesteś więźniem przeszłości, Nicole. Twój ojciec nie żyje i nic nam go nie przywróci.

– Nigdy go nie zapomnę.

– Zapamiętaj sobie jedno – kontynuowała podniesionym głosem Angie. – Bob nie był idealny. Nigdy nie słał łóżka ani nie robił prania, nawet wtedy, gdy byłam chora. Jadaliśmy posiłki w pięciogwiazdkowych restauracjach, a on wycierał nos w eleganckie lniane serwetki, chociaż nie potrafię powiedzieć, ile razy prosiłam, żeby tego nie robił. – Jej głos coraz bardziej się podnosił. – Nigdy nie chciał słuchać moich skarg, ponieważ moje problemy były niczym w porównaniu z jego problemami. Bywał krytyczny i niecierpliwy. My mogliśmy na niego czekać, on na nas nie. Poza tym mnie zostawił, Nicole – dodała piskliwie. – Zmarł akurat wtedy, gdy zbliżaliśmy się do najspokojniejszego okresu naszego życia. Czasami jestem na niego wściekła – dodała z rezygnacją. – Czy to znaczy, że go nie kochałam? Nie. Kochałam go, razem z jego wadami i zaletami.

Pomimo gniewu Nicole zrozumiała każde jej słowo. Nie wiedziała tylko, dokąd zmierza ich rozmowa.

– Co to ma wspólnego ze mną?

– Kochasz Juliana?

– Oczywiście, że tak.

– W takim razie walcz o swoje małżeństwo. – Słowa zawisły w powietrzu, razem z niewypowiedzianą przez Nicole prawdą na temat jej związku z Julianem. Właśnie zastanawiała się, czy wyprzeć się problemów, czy też do nich przyznać, kiedy Angie dodała: – A skoro już rozmawiamy o twoim ojcu, powiem ci jeszcze jedno. Przeżyłam z nim dziesiątki procesów sądowych i zawsze powtarzał jedno: musisz umiejętnie wykorzystać karty, które dał ci los. W ten sposób wygrywał. Sprawdź, jakie masz karty, Nicole, i wykorzystaj je najlepiej, jak potrafisz. Bądź panią swojego losu!

\*

Nicole nie mogła być panią swojego losu, skoro miała na głowie tyle innych spraw. Postanowiła rozprawić się z nimi po kolei, dlatego zrobiła pranie, ugotowała obiad, pogodziła się z Kaylin, kiedy ta się pakowała, i o umówionej godzinie w sobotnie popołudnie odwiozła całą trójkę na prom. Uprzejmie pożegnała się z Tomem, lecz dopiero po pożegnaniu z Kaylin poczuła prawdziwe emocje. Jak miała się zachować wobec matki? Od tak dawna pragnęła powiedzieć Angie o chorobie Juliana, a gdy wreszcie to zrobiła, ani trochę jej nie ulżyło. Angie musiała to wyczuć, ponieważ przepuściła resztę przodem i chwyciła Nicole za rękę. W jej starannie umalowanych oczach czaił się smutek.

– Nie mogę wiedzieć, co przeżywasz – powiedziała łagodnym głosem. – I nie powinnam. Jesteś dorosłą kobietą. Ale zawsze byłaś tolerancyjna, a ostatnio to się zmieniło. Kochanie, życie nie jest czarne albo białe. Nie istnieje tylko jeden idealny jego obraz. Rzecz w tym, żeby łączyć ze sobą różne odcienie szarości, tworząc coś wspaniałego. Życie ciągle się zmienia. Oto kolejna ze złotych myśli taty. Pamiętasz jego cienie na oceanie? Za każdym razem, kiedy cień się przesunie, powstaje nowy obraz. Tylko że czasem chmury nie chcą się poruszyć, więc to my musimy się przesunąć, żeby go zobaczyć.

\*

W którymś momencie nocy Nicole zmieniła swój punkt widzenia i o świcie dostrzegła zupełnie inny obraz. Angie miała rację – Nicole była dorosłą kobietą. Postanowiła nie kierować się dłużej tym, co jej matka uznaje za słuszne, ale jedna z jej rad mocno utkwiała Nicole w pamięci: bądź panią swojego losu.

Wtedy właśnie doszła do wniosku, że powinna wrócić do domu.

\*

Charlotte odwiozła Nicole do portu.

– Na pewno nie mogę z tobą pojechać? – zapytała, wyjmując z bagażnika jej walizkę.

Nicole zastanawiała się nad tym, ale doszła do wniosku, że ona i Julian muszą sami uporać się z tym, co wydarzyło się przed ich ślubem. A także porozumieć się w kwestii ich przyszłości.

– Muszę to załatwić sama.

– Jeśli chcesz, żebym z nim porozmawiała, to pojedę.

– Zależy mi na tym, żebyś zajęła się naszą książką – odparła Nicole. – Zaczynam tracić głowę. Trudno wyobrazić sobie gorszy moment na kończenie tak ważnego projektu. Jadłospisy są już gotowe, a jeśli szybko nie wrócę, możesz skorzystać z moich notatek. – Pisała jeszcze przy śniadaniu. – Zajmiesz się wszystkim?

– Oczywiście – oświadczyła pewnym głosem Charlotte. – Zrobię, co mi każesz, Nicki. Wystarczy jedno twoje słowo. Mogę nawet prowadzić twojego bloga.

Nicole smutno się uśmiechnęła.

– I pozbawić mnie jedynej rzeczy, którą robię dobrze? – Spontanicznie uścisnęła przyjaciółkę i dopiero po chwili uświadomiła sobie, że pewnie nie powinna była tego robić. Cóż, stało się, Angie z pewnością byłaby zadowolona z takiego przejawu tolerancji. Nicole nadal jednak nie czuła się gotowa, by przebaczyć. Najpierw musiała wysłuchać wersji Juliana. Przytulenie Charlotte wypełniło w niej jednak pewien rodzaj pustki.

– Nie doceniasz siebie! – zawołała Charlotte, kiedy Nicole weszła na pokład. Chwilę później prom odpłynął z buczeniem silnika.

## Rozdział 22



Raz podjąwszy decyzję o powrocie do Filadelfii, Nicole pragnęła się tam znaleźć jak najszybciej. W Rockland nie mogła złapać taksówki, musiała więc poczekać najpierw na autobus, a później na samolot z Portland Jetport. Wylądowała w Filadelfii dopiero wczesnym wieczorem, lecz nawet po tylu godzinach podróży nie zmieniła zdania. Kiedy zbliżała się do ich mieszkania, niepokoiło ją tylko jedno – czy Julian będzie sam. Nie uprzedziła go o swoim przyjeździe. Nie miała mu nic do powiedzenia przez telefon.

Czuła zbliżając się migrenę, lecz zignorowała to i uśmiechnęła się do portiera, który wyjął z bagażnika jej walizkę i zaniósł ją do budynku.

– Miło panią widzieć, pani Carlisle. Czy mam zawieźć pani bagaż na górę?

– Nie, dziękuję, Johnie – odparła, sięgając po rączkę walizki, i weszła do windy. – Jest lekki. – Spakowała tylko niezbędne przedmioty, takie jak kosmetyki do makijażu i kilka ulubionych ciuchów, chociaż tu ubierała się inaczej niż na wyspie. Nie wiedziała, jak długo zostanie w Filadelfii. Wszystko zależało od Juliana.

John nacisnął guzik osiemnastego piętra i, nieświadomy trudnej sytuacji Nicole, uśmiechnął się do niej jak zwykle, kiedy drzwi windy się zamykały. Zanim ponownie się otworzyły, Nicole wyjęła klucz z torebki.

Cichutko otworzyła drzwi. Portfel i klucze Juliana leżały na kredensie, ale nigdzie nie zauważyła śladów obecności innej kobiety: torebki, butów czy rozrzuconych ubrań. Nie uprzedziła Juliana o swoim przyjeździe między innymi dlatego, że chciała go sprawdzić, i chociaż nienawidziła się za tę podejrzliwość, był to jeden z problemów, z którymi musieli się zmierzyć.

Nie zastała go w salonie. Z pozostałych pomieszczeń też nie dobiegały żadne dźwięki – szum telewizora, muzyka, szuranie kroków w kuchni. Podejrzewając, że Julian pracuje, położyła torebkę na dywanie, obok walizki, i ruszyła korytarzem do gabinetu, który również okazał się pusty.

Kiedy się odwróciła, zobaczyła swojego męża. Stał w drzwiach sypialni, ubrany w spodnie koloru khaki i mokasyny. Miał rozpiętą koszulę, potargane włosy i bladą skórę. Jednak najbardziej zastanawiający był strach w jego oczach. Czyżby spowodowany tym, że nie był w sypialni sam?

Nie. W jednej sekundzie Nicole zrozumiała, że Julian jest przejmująco samotny. Dostrzegła wzbierające w jego oczach łzy. Kochała go tak irracjonalną miłością, że nie zdołał jej zabić nawet gniew.

– Przepraszam – powiedziała, błyskawicznie wchodząc w rolę uległej Nicole, której zabroniono tu przyjechać. – Nie mogę cię zostawić samego. Muszę tu być.

Ruszyła w jego stronę, a on wyciągnął do niej ręce. Przyciągnął ją do siebie i przytulił z siłą, o którą nigdy by go nie podejrzewała.

– Przyjechałaś – wymamrotał drżącym głosem, tuląc twarz do jej włosów. – Nie byłem pewien, czy przyjedziesz.

– Nie prosisz mnie o to – powiedziała ze zdziwieniem, odsuwając się od niego. W oczach

Juliana nadal czaił się strach.

– Wydawałaś się taka zdystansowana. Sądziłem, że chcesz być sama.

– Myślałam, że ty tego chcesz.

– Kiepsko sobie radzę z rozmawianiem na pewne tematy – przyznał, lecz zanim zdążyła powiedzieć, że to się musi zmienić, pochylił głowę i pocałował ją z równoczesnym lękiem i ulgą, lecz także z czułością, jak za starych dobrych czasów. Kiedy skończyli się całować, przez chwilę tulił ją do siebie w drzwiach sypialni. A gdy pocałował ją jeszcze raz i Nicole poczuła, że jej mąż, po raz pierwszy od wielu miesięcy, jest podniecony, jej ciało odpowiedziało tym samym.

W tamtej chwili nie liczyło się nic – Charlotte, komórki ani nawet drżenie pieszczącej ją dłoni. Nicole dała Julianowi to, czego pragnął, lecz żądza ogarnęła ich oboje i nawet jeśli Nicole odczuwała podświadomie gniew, to zamienił się on w pożądanie. Nigdy wcześniej nie była tak śmiała w łóżku. Na nowo poznawała smak i zapach jego skóry, przejmowała inicjatywę, kiedy Julian opadał z sił, i nie pozwoliła mu odpocząć, dopóki oboje nie zaznali spełnienia.

Jest tylko mój. Nicole powtarzała sobie w myślach te słowa, kiedy już leżała obok niego w łóżku, wsłuchując się w coraz spokojniejszy – podobnie jak jej własny – rytm jego serca. Zmęczony czy nie, Julian obejmował ją ramieniem, tuląc do siebie, a kiedy wreszcie zasnął, Nicole również odpłynęła w sen.

\*

Po przebudzeniu ujrzała światła miasta błyszczące na tle purpurowiejącego nieba. Zerwała się do pozycji siedzącej i zobaczyła, że Julian nie śpi, tylko ją obserwuje.

– Jak długo spaliśmy?

– Kilka godzin – odparł, po czym cicho dodał: – Nie czułem się tak dobrze od wielu dni.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Nicole głęboko odetchnęła, a kiedy Julian pociągnął ją na łóżko, położyła się z powrotem przy jego boku. Za nic w świecie nie zamierzała poruszać tematu Charlotte i psuć uroku tej chwili. Pragnęła odzyskać to, co ich kiedyś łączyło. Gdyby tylko mogła, cofnęłaby czas do dni poprzedzających chorobę Juliana. Wiedziała, że to niemożliwe, lecz z jakiegoś powodu łącząca ich intymność przetrwała, a Nicole bardzo jej teraz potrzebowała.

Najwyraźniej Julian też, ponieważ tulił ją do siebie w milczeniu. Wypuścił ją z objęć tylko po to, żeby mogła im przynieść coś do jedzenia – grillowane kanapki z serem i rukolą – lecz po posiłku na nowo zapragnął bliskości.

Nicole była tak wyczerpana i odprężona, że przespała w jego ramionach całą noc. Jednak kiedy nastał ranek, nie mogła dłużej odwlekać rozmowy. Leżeli razem w łóżku, a Julian delikatnie gładził jej ramię.

– Powiedz mi, co się wydarzyło między tobą i Charlotte – powiedziała, opierając głowę o jego tors.

Palce Juliana zastygły w bezruchu. Kiedy Nicole nie wycofała się z pytania, westchnął zrezygnowany.

– Wiedziałem, że musi istnieć jakiś powód, dla którego inaczej się zachowujesz.

– Chcę usłyszeć twoją wersję – powiedziała Nicole z determinacją, siadając na łóżku, i zakryła się prześcieradłem. Tak naprawdę nie chciała niczego słuchać, lecz skoro już poznała wersję Charlotte, postanowiła dać Julianowi szansę, żeby się wytłumaczył.

Zaczął od oczywistości – wyczerpanie pracą i przygotowaniem do ślubu, za dużo alkoholu. Następnego dnia pamiętał niewiele, poza tym, że postąpił źle. Okazało się jednak, że miał też głębsze refleksje.



– Podświadomie bałem się tego drugiego małżeństwa – przyznał ze skrepowaniem. – Łatwo było obwinać Monicę o to, że się nam nie udało, ale do małżeństwa trzeba dwojga. Ty byłaś młodsza i wrażliwsza. Czuję się za ciebie bardziej odpowiedzialny. – Jego głos zadrżał. – Nie byłem pewien, czy sprostam zadaniu. I oto zbliżał się dzień naszego ślubu, przygotowania szły pełną parą. Spanikowałem i wypilem za dużo. Próbowalem zapomnieć o strachu.

– Miałaś nadzieję, że do ślubu nie dojdzie, jeśli prześpisz się z kimś innym? – zapytała Nicole. Uznała to za logiczny wniosek płynący ze słów Juliana. Musiała go o to zapytać, bo inaczej nigdy nie przestałaby się zastanawiać.

– Nie, na Boga! – odparł z przejęciem, chwytając żonę za rękę. – To było czyste wariactwo, zwierzęca żądza, która nie miała nic wspólnego z tym, czego naprawdę pragnąłem.

– Czy nasze wesele było zbyt wystawne? – drążyła temat Nicole, starając się zrozumieć.

– Nie, nie, skarbie. Było idealne. Problem tkwił we mnie. Sytuacja mnie przerosła i zrobiłem coś, czego od tamtej pory żałuję. Nie wiesz nawet, jak mi przykro. – Zawsze był skromny, ale pokorny? Zawstydzony? Nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło. – To najgorsza rzecz, jakiej się dopuściłem. Wmówiłem sobie, że nie złamałem przysięgi małżeńskiej, skoro nie zdążyliśmy jej złożyć, ale to tylko formalne rozróżnienie. Zachowałem się źle. – Odwrócił wzrok, by po kilku sekundach ponownie spojrzeć jej w oczy. – Miałem nadzieję, że nigdy się o tym nie dowiesz.

Być może tak właśnie by było, gdyby nie dziecko, o którym Nicole nie chciała na razie wspominać.

Julian podciągnął się do pozycji siedzącej i oparł o poduszki. Nie wyglądał już na zrelaksowanego.

– Kiedy się dowiedzia... – urwał. – No tak, tuż przed czwartym lipca, to wtedy zamknęłaś się w sobie.

Nicole nie zamierzała go przeproszać ani w ogóle się odzywać. W porannym świetle wyraźnie widziała żółte zabarwienie skóry Juliana, lecz nie była jeszcze gotowa, by go o to zapytać. Nadal miał jej sporo do wyjaśnienia i chociaż był tym wyraźnie skrepowany, nie miała zamiaru niczego mu ułatwiać.

Julian westchnął i odwrócił wzrok.

– Ledwie ją znałem. Poznaliśmy się tamtego lata, a ja przyjeżdżałem na wyspę tylko w weekendy. Nie planowałem tego. – Popatrzył z niepokojem na Nicole. – A ona?

– Nie. – Nicole wierzyła przyjaciółce. – Ona też tego żałuje.

– Dlaczego ci powiedziała?

Bo nie miała wyboru – mogłaby powiedzieć Nicole. – Bo odchodziłam od zmysłów, wiedząc, że jesteś wystarczająco zdesperowany, by poświęcić życie i poddać się eksperymentalnej metodzie leczenia, i chciała mi przywrócić nadzieję.

Zatrzymała to jednak dla siebie. Nie rozmawiali teraz o komórkach macierzystych, tylko o swoim małżeństwie.

– Myślała pewnie, że już wiem – odparła po prostu.

– Kazałaś jej wyjechać?

– Nie. Potrzebowałam pomocy przy książce.

– Jak możesz znieść jej widok?

– A twój? Staram się zrozumieć, Julianie. Powtarzam sobie, że minęło tyle lat, ale nagle zaczynam widzieć wszystko w innym świetle.

– Na przykład co?

– Twoje przesiadywanie do późna w pracy. Podróże służbowe.

Julian gwałtownie potrząsnął głową.

- Nie zdradziłem cię ani razu.
- Nawet wtedy, gdy spędzałam na wyspie długie tygodnie?
- Ani razu – powtórzył.

Nicole zaczęła się kołysać do przodu i do tyłu. Nie potrafiła się uspokoić.

– A jednak zrobiłeś to z Charlotte, moją najlepszą przyjaciółką. – Jej oddech stał się urywany, kiedy do głosu doszły mroczne, głęboko skrywane lęki. – Znam kobiety zdradzane przez mężów. Nigdy nie widziałam się w tej roli. A jednak. Jestem jedną z tych kobiet.

Julian nachylił się w jej stronę.

– Nie miałem romansu. Nie chciałem tego...  
– Czy to przeze mnie? – Musiała zapytać. – Czy nie byłam dostatecznie silna, mądra lub niezależna?

Ujął jej twarz trzęsącymi się dłońmi.

– To nie przez ciebie. Jesteś wszystkim, czego pragnąłem. To ja czułem, że nie jestem dość dobry, i byłem na tyle głupi, że próbowałem utopić swoje lęki w alkoholu.

– Ty? Nie dość dobry?

– Wyniosłaś mnie na piedestał, Nicki. Ale zdążyłem już spieprzyć jedno małżeństwo, zanim się poznaliśmy. Czyżbym spieprzył i drugie?

– Nie wiem – przyznała. Pozostała im do omówienia kwestia choroby, ale nie skończyli jeszcze pierwszego tematu. – Wysłuchałam waszych wyjaśnień, a Charlotte robi wszystko, żeby mi pomóc, ale nadal czuję się zdradzona i wściekła.

– Przykro mi – powtórzył, lecz sama wzmianka o wściekłości wyprowadziła Nicole z równowagi, więc sięgnęła po szlafrok i wyszła do kuchni.

Chwilę później, z nożem w dłoni, wyjmowała z lodówki jabłka, gruszki, kiwi i ananasa. Pokroiła owoce na drobne kawałki, wrzuciła do miski, dodała sok z limonki i słodzik i wstawiła miskę do lodówki. W dziesięć minut zamieniła mrożone bagietki we francuskie tosty z cynamonem, nałożyła na talerze porcje owocowej salsy i postawiła je na stole śniadaniowym – nie dlatego, że Julian na to zasłużył, lecz z powodu terapeutycznego wpływu, jaki miało na Nicole gotowanie.

Obserwował ją, stojąc bosy w drzwiach, ubrany w bluzę i dzinsy, z dłońmi wsuniętymi pod pachy.

– Lepiej się czujesz? – zapytał, kiedy skończyła nakładać jedzenie na talerze.

Gdyby był pewny siebie, Nicole straciłaby nad sobą panowanie, bo nadal tliły się w niej resztki gniewu. Jednak ton jego głosu zdradzał, jak dobrze Julian zna charakter Nicole, i uświadomił jej, że są małżeństwem od dziesięciu lat, a ona nie jest gotowa go zakończyć.

Owszem, czuła się lepiej; może nie całkiem dobrze, ale lepiej. Kiwnęła głową, wsunęła rękę do kieszeni i popatrzyła na Juliana.

– Bóg mi świadkiem, Nicole, że nie było żadnej innej kobiety. To, co wydarzyło się tamtej nocy, podziało na mnie jak kubeł zimnej wody.

– Miałeś przede mną inne kobiety...

– Ale nie podczas małżeństwa z Monicą – przerwał jej – ani wtedy, gdy byłem twoim mężem. Od naszego wesela nie miałem żadnego kontaktu z Charlotte.

Nicole czuła, że jej mąż mówi prawdę. Gdyby wiedział o dziecku, nie zdołałby tego przed nią ukryć.

Kawa. Potrzebowała kawy. Odwróciła się plecami do Juliana i zabrała się do parzenia. Podszedł do niej od tyłu, objął ramionami w talii i zatopił twarz w jej włosach.

– Nie chcę cię stracić, Nicole – powiedział zduszonym głosem. – Jesteś najlepszym, co mnie w życiu spotkało.

Te słowa ją prześladowały. Skończyła robić kawę i odwróciła się.

– Powiedziałbyś tak, nawet gdybym nie dowiedziała się o tobie i Charlotte?

– Tak. Usłyszałaśbyś te słowa już wczoraj, gdybyśmy nie zasnęli.

– Dlaczego musiałam się od ciebie odsunąć, żebyś to sobie wreszcie uświadomił? Bo z natury jestem ufna i miła? A może dziesięć lat temu byłam tak głupia i naiwna, że w ogóle się nad tym nie zastanawiałeś?

– Nie – odparł, ujmując jej twarz w dłonie, ale znów miał zmartwioną minę. – I wcale nie jesteś głupia. Jesteś niewiarygodnie mądrą kobietą, która nigdy tak o sobie nie myśli. Nigdy o nic nie prosiłaś. Uważałem nasz związek za rzecz oczywistą. A kiedy zachorowałem, byłaś jedyną osobą, na której mogłem wyładować swój gniew.

– I pozbyłeś się go?

– Nie, ale muszę podjąć decyzję, i nie mogę tego zrobić sam.

– Inni ludzie już wiedzą o twojej chorobie – zauważyła. – Możesz porozmawiać z nimi.

– Oni nie są tobą. Potrzebuję cię po swojej stronie. Ostatnie dni były dla mnie koszmarem.

Chciała w to wierzyć. Chciała myśleć, że łzy, które ostatniej nocy widziała w jego oczach, były wyrazem ulgi wywołanej jej przyjazdem. To taka pokrzepiająca myśl!

Nicole dała mężowi znak, żeby usiadł, nalała soku do szklanek i właśnie niosła kubki z kawą, kiedy Julian włożył do ust porcję salsy i odłożył widelec. Drzenie dłoni nasiliło się.

– Żadnej poprawy? – zapytała łagodnie, siadając na taborecie obok niego.

Pokręcił głową.

– Jak zareagowali twoi rodzice?

– Ze stoickim spokojem. – Julian ujął kubek z kawą obiema dłońmi. – Tata milczy, a matka nie chce przyjąć do wiadomości, że choroba odbije się na mojej karierze. Nie dzwonił do ciebie? – zapytał po chwili wahania.

Nicole pokręciła głową. Nigdy nie utrzymywała bliskich kontaktów z rodzicami Juliana i zawsze uważała, że traktują ją z pobłażliwością. Być może sprawiał to jej dziecięcy głos lub fakt, że nie dała im wnuka. Kupowała im gwiazdkowe prezenty, wysyłała kartki urodzinowe i stawiała na rzesach, żeby ich odpowiednio ugościć, kiedy przyjeżdżali do Filadelfii, chociaż rzadko się to zdarzało. Poza tym miała własnych rodziców, niewiele ponad godzinę drogi od domu.

– Nic nie szkodzi – powiedziała z przekonaniem. – Radzą sobie, tak jak ty. W szpitalu już wiedzą?

– Niektórzy. Zjawiłem się tam dopiero w piątek koło południa. Odwiedziło mnie kilku przyjaciół. Byli skrupowani, dopóki nie przekonali się, że to nadal ja i że z tym – poklepał się w głowę – wszystko w porządku. – Dan w Durham zachował się wspaniale, a Antoine chce ze mną grać w golfa. Twierdzi, że to dla mnie dobre, ale wydaje mi się, że przemawiają przez niego wyrzuty sumienia. Ale przynajmniej mnie nie unika. – Urwał gwałtownie.

– W przeciwieństwie do...? – zapytała.

Julian uniósł dłoń i wyszedł z pokoju lekko chwiejnym krokiem, który zwykle starał się ukryć. Wrócił chwilę później w wełnianych skarpetkach.

– Kto cię unika? – powtórzyła Nicole.

– Personel pomocniczy. Byłem w pracy raptem pół dnia, więc nie zdążyli się oswoić z myślą o mojej chorobie. Nie wiedzą, co powiedzieć. Można by się spodziewać, że lepiej się odnajdą w sytuacji, zważywszy na ich zawód. Ale tym razem nie chodzi o pacjenta, tylko o mnie.

– A co z chodzeniem?

– Sama widziałaś. Raz lepiej, raz gorzej. Czuję ulgę, bo nie muszę się już martwić, że

ktoś zauważy. – Ponownie wstał, ruszył w stronę salonu i zaczął regulować termostat.

Kiedy wrócił, Nicole dotknęła jego dłoni. Była lodowata.

– Miewam zimne dreszcze – przyznał cicho i sięgnął po tosta.

Zimne dreszcze były efektem ubocznym leków, które przyjmował. Jeśli dodać do tego żółtawe zabarwienie skóry i nasilające się drżenie dłoni, było jasne, że nie pomagają.

Przez krótką chwilę Nicole jadła w milczeniu, ciesząc się, że oboje okazują dobrą wolę, że Julian je z apetytem, sprawia wrażenie bardziej zrelaksowanego w jej towarzystwie i w pewnym stopniu przypomina dawnego siebie. Czy sprawił to seks? Być może. Mężczyźni byli dumni ze swoich łózkowych wyczynów.

Nie mogła jednak pominąć pewnej sprawy, która wisiała nad nimi niczym gradowa chmura. Przerwała jedzenie, chociaż na jej talerzu zostało dobre pół porcji, i zapytała:

– A co z tą drugą kuracją? Zrobiłeś coś w tej sprawie?

– Masz na myśli przeszczep komórek? – Julian popatrzył na jej grzanekę i zapytał: – Będziesz to jadła?

Nicole przysunęła talerz bliżej niego i zaczęła, aż zjadł prawie wszystko, co na nim było. Z natury szczupły, Julian był teraz szczuplejszy niż kiedykolwiek. Czy to z powodu tęsknoty za nią? Braku apetytu? Mdłości, które byłyby kolejnym efektem ubocznym przyjmowania leków?

– Przeszczep komórek – ponagliła go łagodnie, przygotowując się na to, co bała się usłyszeć. Nadciągająca katastrofa. Minęło tyle czasu, odkąd użyła tego określenia w rozmowie z Charlotte. Zdążyła o niej na chwilę zapomnieć, lecz oto znowu pojawiła się w jej myślach, jasno i wyraźnie.

Julian przestał jeść, położył drżącą rękę na kolanie i spojrzał na żonę.

– Nie, jeszcze nic nie zrobiłem.

– Dlaczego? – zdziwiła się. Był taki zdeterminowany, gdy ostatnio o tym rozmawiali.

Sięgnął po kubek, lecz zanim zdążył go podnieść, Nicole dołała mu świeżej, gorącej kawy. Tak jak poprzednim razem, Julian chwycił go obiema dłońmi.

– Dlaczego nie, Julianie?

Dziwnie jej się przyglądał.

– Nie chcesz o tym rozmawiać.

– Wiem, ale nie chcę też, żebyś mnie dłużej ignorował.

– Nigdy tego nie robiłem. – A po chwili zastanowienia dodał: – Po prostu się wycofałem, kiedy powiedziałaś coś, co mi się nie spodobało.

– Jeśli chcesz, żebym była częścią twojego życia, musisz mnie do niego wpuścić.

– Bardzo tego chcę. Między innymi dlatego nic nie zrobiłem. Wiedziałem, że jesteś przeciwna przeszczepowi.

Och!

– Czy to ma dla ciebie znaczenie? – spytała.

Popatrzył na nią przenikliwie.

– Tak, i to duże.

– Bo chcesz mieć we mnie oparcie?

– Nie, bo chcę znać twoją opinię. Polegam na twoim zdrowym rozsądku.

– Naprawdę? Przecież to ty jesteś lekarzem. Wiesz więcej ode mnie.

– Może na temat medycyny, ale nie życia.

Nicole nie wiedziała, co o tym myśleć. Nie mieściło jej się w głowie, że Julian mógłby polegać na jej opinii.

Kiedy tak mu się przyglądała, Julian poczuł się skrępowany.

– Sam też mam wątpliwości. To niełatwa decyzja. – Wyrzął przez okno i ponownie przeniósł wzrok na żonę. – Pójdziemy na spacer?

– Nie musisz jechać do szpitala?

– Po co?

W jego głosie zabrzmiała gorycz. Nicole była ciekawa, czy to uczucie zamieni się w gniew i obróci przeciwko niej, lecz Julian po prostu dał temu spokój.

– Mam pacjentkę o czternastej – przypomniał sobie, stając się na powrót dawnym Julianem, profesjonalnym i opanowanym. – To jej pierwsza ciąża, a u płodu wystąpiły symptomy hipoplazji lewej komory serca. Jak się domyślasz, kobieta odchodzi od zmysłów. Nie mogę sam przeprowadzić operacji, ale skoro znam się na tej technice jak mało kto, mogę ją przynajmniej uspokoić. Moje nazwisko nadal coś znaczy. – Wstał od stołu. – Idziemy?

\*

Szli wolnym krokiem. Choć było gorąco i parno, znajome otoczenie dawało im oparcie wśród ciągłych zmian, których ostatnio doświadczali. Julian wziął Nicole za rękę, a później przełożył ją tak, żeby trzymała go pod ramię. Najwyraźniej pragnął kontaktu, podobnie jak Nicole, która skoncentrowała się na tej jednej chwili.

W końcu dotarli do parku przy placu Rittenhouse i znaleźli pustą ławkę obok fontanny, w której kojąco pluskała woda. Po parku spacerowało niewiele osób, lecz ich obecność także działała na nich uspokajająco. Julian wyprostował nogi, skrzyżował je w kostkach i chociaż splótł ramiona na piersi, nie wypuścił ręki Nicole.

Na pytanie o Kaylin Nicole rzeczowo opisała jej wizytę. Zachowała spokój nawet wtedy, gdy Julian zapytał ją o Angie. Z perspektywy Filadelfii i spotkania z mężem sprawa Toma nie wydawała jej się już taka istotna, chociaż Julian zadał wszystkie właściwe pytania dotyczące lojalności wobec Boba i decyzji o niesprzedawaniu domu, której Nicole nadal nie potrafiła zrozumieć.

Julianowi wyczerpały się pytania. Nicole oderwała wzrok od fontanny i zorientowała się, że mąż się jej przygląda. Roześmiała się zawstydzona.

– Twój głos brzmi inaczej – zauważył Julian. – Wyrażasz się mniej emocjonalnie.

– Bardziej jak Charlotte? – zapytała Nicole w przypiływie czułości, do której, jak jeszcze niedawno sądziła, nie jest zdolna. Albo trudno jej się było pozbyć dawnych nawyków, albo stała się bardziej skłonna do przebaczenia.

Julian na krótką chwilę zmarszczył brwi i odparł:

– Trudno mi powiedzieć. Ledwie ją znam.

Przyjmując to wreszcie do wiadomości, Nicole wyjaśniła:

– Charlotte wiele w życiu przeszła, więc nie marnuje słów. Kiedy już coś mówi, wszyscy jej słuchają. Mam wrażenie, że ludzie czasami puszczają moje słowa mimo uszu. Wydaje mi się, że muszę czymś wypełnić ciszę, niezależnie od tego, czy mam coś do powiedzenia, czy nie. Świadczy to o moim braku pewności siebie.

– Raczej o tym, że jesteś towarzyska. Poza tym lubię twój głos – dodał łagodnie Julian. – Jest wyjątkowy.

– Dziecinny?

– Rozkoszny.

Nicole westchnęła.

– Pora wrócić do rzeczywistości.

Czekała. Julian wyglądał na rozdartego, lecz musieli omówić jego dalsze leczenie. Ławka w cichym publicznym ogrodzie o poranku nadawała się do tego równie dobrze jak każde inne

miejsce.

Julian wypuścił rękę żony, pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach i splótł palce. Cedził każde słowo, jakby toczył ze sobą wewnętrzną walkę, nie wiedząc, od czego zacząć.

W końcu posłał Nicole szybkie spojrzenie i powiedział:

– Śledzę blogi poświęcone SM.

Nicole zaskoczyło to wyznanie. Julian zawsze się przed tym wzbraniał.

– Mówiłeś, że nie mają nic wspólnego z tobą.

– Nie z zawodowego punktu widzenia. To moja praca sprawia, że jest mi tak ciężko. Ale inni też mają problemy i nie wszyscy dostają się do takich specjalistów, do jakich ja mam dostęp.

Nicole mogła mu przyznać rację, powiedzieć, że już najwyższy czas, żeby przestał się nad sobą użalać i zobaczył coś więcej niż czubek własnego nosa. Ale wtedy znów zagłuszałaby ciszę, a przecież postanowiła z tym skończyć. Julian potrzebował się wygadać, więc czekała, aż znowu się odezwie. W końcu to zrobił, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– Czuję się tak, jakbym stał na skraju przepaści. Wiem, że brzmi to melodramatycznie, ale nigdy wcześniej nie byłem w podobnej sytuacji. Moi pacjenci owszem. Powierzają mi życie swoich dzieci, a przynajmniej kiedyś to robili. Miałem nad wszystkim kontrolę, ale to już przeszłość. Nie mam kontroli nad swoim lekarzem, procesem leczenia ani jego wynikami. Czytam te blogi i powtarzam sobie, że jeśli będę się trzymał konwencjonalnych metod, mogę żyć przez długie lata i mój stan nie musi się bardzo pogorszyć. A później przypominam sobie wszystkie te rzeczy, które kocham i których nie będę mógł robić. – Zmarszczył ciemne brwi. – Proszę moich pacjentów, by podjęli ryzyko, podczas gdy sam nie jestem do niego zdolny? – Zastanowił się nad tym, zaciskając palce. – Stoję na krawędzi przepaści, wiedząc, że jeśli zdecyduję się skoczyć, to polecę jak ptak albo runę w dół. – Spojrzał na żonę, powstrzymując łzy. – Do diabła, nie wiem, co powinienem zrobić.

Wstrząśnięta tym widokiem, Nicole pochyliła się tak, by siedzieli ramię przy ramieniu, udo przy udzie, i przez kilka minut przyglądała się Julianowi. W końcu przekreśliła głowę i z bólem serca powiedziała:

– Nadal chcesz się poddać tej terapii.

Kiedy ich spojrzenia się spotkały, w oczach Juliana zobaczyła strach.

– Tak – odparł cicho.

Nie wiedzieć czemu jego lęk stłumił obawy Nicole.

– Z wykorzystaniem komórek macierzystych krwi pępowinowej? – upewniła się.

Julian kiwnął głową.

– Jeśli już zdecyduję się na przeszczep, chciałbym maksymalnie zwiększyć swoje szanse.

– Pomimo ryzyka? – zapytała, wstrzymując oddech.

Po chwili zawahania Julian wyjaśnił łagodnie:

– Zależy mi na lekarstwie. Powtarzam sobie, że nie ono się liczy, tylko to, że nadal żyję.

Ale to nieprawda. Pragnę go dla siebie, lecz także dla ciebie, dla nas, żebyśmy mogli być takim mężem, na jakiego zasługujesz. A także dla innych, którzy walczą z tym samym co my. Oto kolejna różnica między mną a tymi blogerami – dodał cicho. – Na własne oczy widziałem znakomite rezultaty leczenia nowymi metodami. Wiem, jak dochodzi do przełomowych osiągnięć w medycynie; ktoś musi podjąć ryzyko.

– Przeszczep może się nie udać – szepnęła Nicole, która czuła się tak, jakby stała razem z mężem na krawędzi przepaści. Julian potrzebował jej wsparcia, tymczasem to właśnie ona mogła go pchnąć w dół.

– Wiem o tym i boję się jak diabli, ale leki nie działają. Nie potrzebuję badań krwi, żeby wiedzieć, co się dzieje w moim organizmie. Jeśli szybko ich nie odstawię, wątroba mi wysiądzie.

– Jego oddech stał się urywany. – Chcę spróbować, Nicole.

I oto stanęła przed wyborem tak oczywistym jak jej miłość do męża i pragnienie, żeby był szczęśliwy. Los rozdał im karty, z których wynikało, że jeśli Julian miał mieć szansę na wyzdrowienie, potrzebował jej pomocy.

Jego oczy odzwierciedlały tę potrzebę. Nicole zatraciła się w nich na ostatnią, błagalną chwilę, zanim się poddała.

– W takim razie powinieneś to zrobić.

Julian drgnął, wyraźnie zaskoczony.

– Wcześniej tak nie uważałaś.

– Nie rozumiałam, jak bardzo czujesz się rozdarty. Nie byłam pewna, czy dobrze to sobie przemyślałeś.

– Och, możesz mi wierzyć, że tak. O niczym innym nie myślę od niedzieli. Istnieje kilka możliwości. Mogę umrzeć. Mogę przeżyć, wyleczyć się i mimo to nigdy nie wrócić na salę operacyjną. Mogę doznać poważnego uszczerbku na zdrowiu. Mogę się zamienić w warzywo. Jestem świadomy ryzyka.

Ostatnie słowo należało do Nicole. Wiedziała, że jeśli je wypowie, nie da się go cofnąć. Jednak tylko w ten sposób mogła spełnić pragnienie Juliana.

Zaczerpnęła powietrza, przełknęła ślinę i ostrożnie wyznała:

– Istnieje coś, co może je zmniejszyć. – Kochała go i była mu to winna. Raz kozie śmierć.

– Charlotte urodziła dziecko.

Twarz Juliana nie wyrażała żadnych emocji. Co to ma wspólnego ze mną? – zdawała się pytać. Jednak po chwili milczenia przestał być obojętny.

– Urodziła moje dziecko? – szepnął z przerażeniem, wyprostował się i gwałtownie zaczerpnął powietrza. – Moje dziecko?

– W tym momencie nie jest ani twoje, ani jej.

Wyjaśniła mu to w kilku słowach. Szok na twarzy Juliana ustąpił miejsca konsternacji.

– Nic mi nie powiedziała.

– A co miała ci powiedzieć? Pomyśl tylko, jaki miała wybór?

Julian ponownie opadł na ławkę, oszołomiony.

– I to na pewno ja jestem ojcem?

– Charlotte twierdzi, że z nikim innym nie była. Gdyby kłamała, gdyby istniał choć cień podejrzenia, że dziecko nie jest twoje, nie przyznałaby się, że ma komórki.

– Komórki dziecka gwarantują przynajmniej częściową zgodność tkankową. – Myśli Juliana zaprzętało jednak coś innego. – Nosila moje dziecko przez dziewięć miesięcy i nic mi nie powiedziała? Kto jej pomagał?

– Nikt. Była sama.

Julian przez chwilę zastanawiał się nad tym w milczeniu.

– Walczyłbyś o nią? – zapytała w końcu Nicole, bo to dotyczyło również jej. Aborcja nie wchodziła w grę. Żadne z nich by jej nie chciało. Gdyby jednak Julian zabrał dziecko, życie Nicole radykalnie by się zmieniło, nie tylko dlatego że musiałyby je wychować. Wychowywanie dzieci z pierwszego małżeństwa to jedno, ale dziecka poczętego w wyniku zdrady? Charlotte na zawsze stałaby się częścią życia Nicole i Juliana. Ich małżeństwo mogłoby tego nie przetrwać.

Po chwili zastanowienia pokręcił głową.

– Chcesz poznać to dziecko? – zapytała ostrożnie Nicole.

Ponownie się zamyślił, lecz w końcu zaprzeczył.

– Nie mógłbym. Nie teraz. Opowiedz mi o komórkach.

– Są zamrożone. Należą do Charlotte, dopóki dziecko nie osiągnie pełnoletności.

Julian westchnął.

– Nie jestem pewien, czy to mi ułatwi, czy utrudni podjęcie decyzji.

– Dlaczego miałyby utrudnić? – zdziwiła się Nicole.

– Nagle to wszystko stało się realne. – Nietypowym dla siebie gestem przeczesał włosy i przycisnął dłoń do karku. – Jeśli komórki okażą się zgodne, nie będę mógł sobie darować takiej szansy. Ale przeszczep i tak nie musi się udać. – Popatrzył na Nicole. – Nadal mogę umrzeć.

– Nie powinieneś tak mówić – upomniała go Nicole. – Ufasz Hammonowi?

– Tak.

Chwyliła go za rękę – znowu zimną jak lód – i przyłożyła ją do puls na swojej szyi.

– Tak jak pacjenci ufają tobie? – Kiedy kiwnął głową, dodała: – W takim razie jeśli ktokolwiek jest w stanie zminimalizować ryzyko, to właśnie on.

\*

Wracali do domu w milczeniu. Julian nie kwapił się, żeby chwycić za telefon; siedział w salonie, zatopiony w rozmyślaniach. Nicole zgadywała, że jakaś jego drobna cząstka próbowała przyswoić fakt, że dziesięć lat wcześniej on i Charlotte spółdzili dziecko. Jednak sądząc po malującej się na jego twarzy niepewności, najintensywniej zastanawiał się nad tymi kilkoma możliwymi konsekwencjami przeszczepu w kontekście nowych informacji.

Kiedy przysiadła na oparciu fotela, Julian objął ją ramieniem w talii, a gdy przyniosła mu lunch, zjadł wszystko co do okruszka. Później Nicole uściskała męża i pozwoliła mu pójść do szpitala na spotkanie o czternastej. Nie pytała, co postanowił, chociaż umierała z ciekawości. W końcu uwierzyła, że tkwią w tym razem. Znała swojego męża. Był niezależnym człowiekiem. Wiedziała, że kiedy będzie jej miał coś do powiedzenia, zrobi to.

\*

Tak też się stało po powrocie Juliana ze szpitala. Zadzwoił stamtąd do Nowego Jorku. Peter Keppler przyznał mu rację co do problemów z wątrobą i domyślając się dalszych konsekwencji kuracji, zalecił przyjmowanie łagodniejszego leku. Julian zadzwonił też do Marka Hammona, który na początku rozmowy opowiadał się za przeszczepem autologicznym, dopóki nie uzyskał drogą elektroniczną dostępu do najświeższych wyników badań krwi Juliana.

– Mam za słabe wyniki – oznajmił Nicole mąż. – Nie uda nam się pozyskać odpowiedniego zestawu komórek ode mnie, więc potrzebuję dawcy. Jeśli Charlotte mówi prawdę, te komórki macierzyste z krwi pępowinowej spadły nam jak z nieba. Mark nie krył przede mną podekscytowania. Nigdy go takim nie słyszałem. Mimo to jest ostrożny. Chce, żebym ponownie to wszystko przemyślał i zregenerował siły. Chciałbym pojechać na Quinipeague, Nicki – dodał ostrożnie. – To najlepsze miejsce do wypoczynku. Poza tym jest tam Charlotte. Mamy ze sobą do pogadania.

Pierwszą reakcją Nicole na ten pomysł było przerażenie. Dopiero co odzyskała męża i nie mogła ryzykować, że straci go na rzecz kobiety, z którą ją zdradził. Oglądanie ich z osobna to jedno, ale razem, i do tego na wyspie? Jej wyspie? Jej przystani, która przestała się kojarzyć Nicole z bezpieczeństwem właśnie przez tych dwoje? Po chwili jednak do głosu doszła dojrzała część Nicole, która przekonała ją, że owszem, Julian musi porozmawiać z Charlotte, skoro dowiedział się o komórkach. Charlotte i Juliana łączyła mocna więź i nie zanosilo się na to, żeby można ją było w najbliższym czasie zerwać.

Nicole nie była pewna, co przeraża ją bardziej – przeszczep Juliana czy jego spotkanie z Charlotte. I jedno, i drugie było częścią nowej rzeczywistości. Jeśli Angie miała rację, Nicole musiała tę rzeczywistość zaakceptować i żyć dalej. Charlotte miała odegrać w tym nowym życiu



ważną rolę. Krew pępowinowa mogła ocalić lub zabić Juliana. Skoro Nicole już zachęciła męża do skorzystania z niej, czuła na sobie ciężar odpowiedzialności i zapragnęła się nim podzielić z kobietą, która dała temu wszystkiemu początek.

## Rozdział 23



Charlotte również czuła na sobie ciężar. Dźwigała go na barkach przez ponad miesiąc, szczególnie od momentu, gdy powiedziała Nicole o dziecku. Teraz było jej z tym jeszcze gorzej. Godzina po godzinie czekała na sygnał od przyjaciółki. Umierała z niepokoju, co się wydarzyło między Nicole i Julianem, lecz nie chciała im przeszkadzać. I bez tego przeżywali dostatecznie ciężkie chwile.

Kiedy wreszcie w środę rano dostała SMS od Nicole, poczuła ogromną ulgę, która ulotniła się z chwilą przeczytania jego treści. Siedząc przy biurku Leo, Charlotte ze smutkiem przeczytała wiadomość raz jeszcze i wyciągnęła przed siebie telefon.

– Czekam na sygnał od Nicole od dwóch dni i co dostaję? – jęknęła. – Powrót jutro, możesz wyjechać na przystań?

– Odpisz jej – poradził Leo.

Było to najrozsądniejsze, co mogła zrobić, tylko że od wyjazdu przyjaciółki Charlotte nie potrafiła kierować się rozsądkiem. Stawka była zbyt wielka: zdrowie Juliana, małżeństwo Nicole, nie wspominając już o ich dalszej przyjaźni.

*Co się stało?* – odpisała.

*Opowiem ci jutro* – brzmiała odpowiedź. Charlotte ciężko westchnęła.

Leo przeczytał treść SMS-a przez jej ramię.

– Napisz coś jeszcze.

*Czy on wie?* – zapytała Charlotte.

*Tak.*

*I...?*

*Jutro. Nie mogę teraz rozmawiać.*

Charlotte cisnęła telefon na biurko i zawołała do Leo:

– Ta kobieta potrafi opisać jedną rzecz na milion sposobów podczas krótkiej rozmowy, a teraz nagle nabrała wody w usta! Czy ona nie wie, że siedzę tu jak na szpilkach?

– Ale jesteś tu tylko ciałem – zauważył Leo, ciężko opadając na fotel.

Charlotte popatrzyła na niego z urazą.

– Kpisz sobie ze mnie?

– Nie, ale myślami jesteś daleko stąd. – Spojrzała na jej laptopa. – Napisałaś coś dzisiaj? Albo wczoraj?

– Wiesz, że nie – odparła – ale sam też nie jesteś lepszy. Nie pozwalasz mi przeczytać swojej nowej powieści, bo podobno jest do bani, więc nie mogę ci nawet powiedzieć dobrego słowa. W przeciwieństwie do ciebie ja potrzebuję zachęty, Leo. – Jeśli czekała ich wspólna przyszłość, musiała uświadomić mu pewne rzeczy. – Tego mi właśnie potrzeba.

Leo zmarszczył brwi, zastanawiał się przez chwilę i w końcu powiedział:

– Myślę, że postąpiłaś słusznie.

Charlotte westchnęła.

– No co? – Zdziwił się.

– Powiedz mi, że między Nicole i Julianem wszystko się ułoży.

– Chcesz, żebym cię okłamywał? Nie wiem, co ich czeka. – Ściągnął brwi jeszcze mocniej. – A właściwie dlaczego tak cię to obchodzi? Nie widziałaś jej przez dziesięć lat. Wasze drogi się rozeszły.

– Z mojej winy – przyznała Charlotte. – Bardzo tego żałuję i miałam nadzieję, że jeśli przyjadę tu na wakacje, zdołam wszystko naprawić. Nicole to moja jedyna przyjaciółka, z którą znam się od dzieciństwa. To wiele znaczy.

Leo poprawił swój fotel.

– Nie znam się na tym – odparł cicho, świdrując Charlotte wzrokiem. – Ale z rodzicami też nie byłaś szczególnie blisko.

– Przyganiał kocioł garnkowi – odparowała. – Moi rodzice i twoja mama nie żyją, za to twój ojciec ma się dobrze. Czym właściwie się zajmuje? Kiedy byliśmy z Nicki w Rockland, wypatrywałam na ulicach kogoś podobnego do ciebie.

– Niesłusznie. Mój ojciec chodzi ubrany w spodnie khaki, czapkę z daszkiem i przeciwsłoneczne okulary, na rękawie ma policyjną naszywkę, a przy boku broń.

– Jest gliną?

– Szefem policji.

– Poważnie? – Ale przecież Leo nie żartowałby w takiej sprawie. Jego ojciec szefem policji? No, no. – Kiedy z nim ostatnio rozmawiałaś? – A gdy Leo milczał, indagowała: – Nie sądzisz, że powinieneś? Czy twój ojciec nie ma prawa wiedzieć, co zrobiłeś ze swoim życiem? To ktoś ważny dla ciebie. Czy nie sądzisz, że byłby z ciebie dumny?

Wbił w nią wzrok.

– Nie sądzę.

– Dlaczego?

– Bo powiedział, że nigdy niczego nie osiągnę, jeśli zostanę na wyspie, więc musiałby się przyznać do błędu, a to nie w jego stylu.

Leo rzadko wspominał swojego ojca, tak jak Charlotte rzadko opowiadała o swoich rodzicach. Tylko że ojciec Leo żył i mówienie o nim wyraźnie sprawiało mu przykrość. Niektóre elementy przeszłości Leo były tak samo ciemne jak jego oczy, w których malował się ból.

Charlotte ze skrucną sięgnęła po jego dłoń.

– Przepraszam, nie chciałam naciskać.

– Wprost przeciwnie – odparł zimno. – Nie możesz się od tego powstrzymać.

– Być może, ale to nie moja sprawa.

Nic nie powiedział, tylko wpatrywał się w nią z miną, która mówiła, że owszem, to jest jej sprawa, ponieważ to, co ich łączy, z każdym dniem staje się mocniejsze. Musieli się lepiej poznać, jeśli mieli zrozumieć, dlaczego on za żadne skarby nie chce się wyprowadzić z Quinipeague, a ona nie może tu zostać.

Tyle niewypowiedzianych słów. Charlotte również zdawała sobie z nich sprawę. Ojciec Leo policjantem? Niesamowite.

– Czego w nim najbardziej nienawidzisz?

Leo w końcu zamrugał, odetchnął i spuścił wzrok na ich splecione palce, jakby ten widok go uspokajał.

– Tego, że nigdy tu nie przyjechał, jakby szkoda mu było czasu. – Przyglądał się ich palcom, splecionym tak ciasno, że trudno je było od siebie rozróżnić.

– Musiał tu przyjechać, skoro cię spłodził.

– To się stało poza wyspą.

– Skąd wiesz?

Popatrzył na nią.

– Kiedy zorientowałem się, że ludzie nie pączkują jak rośliny, zapytałem o to Cecily.  
– Ile miałaś lat, kiedy powiedziała ci, skąd się biorą dzieci?  
– Nie, nie, tego dowiedziałem się od innych dzieciaków. Śmiały się ze mnie, że jestem w tych sprawach zielony, chociaż same niewiele wiedziały. Nie miały pojęcia, jakie to może być piękne. – Uniósł ich dłonie i rozdzielił je na tyle, żeby mógł pocałować palce Charlotte.  
Jej serce ponownie się ścisnęło. Leo, jak żaden inny mężczyzna, potrafił zamienić dystans w coś niewyobrażalnie miłego. Być może w ten właśnie sposób wyrażał miłość, którą wyraźnie w nim wyczuwała.

– Przepraszam – powtórzyła. – Czasami zachowuję się jak jędra.  
– Na szczęście nie zawsze. – Uśmiechnął się do niej tym swoim twardym, smutnym uśmiechem.

Po chwili Charlotte popatrzyła z niechęcią na telefon.  
– Powtarzam sobie, że jestem tylko posłańcem. Jeśli Nicole i Julian powiedzą mi, że chcą wykorzystać komórki, zadzwonię do banku i na tym moja rola się skończy. Tylko że to nieprawda. Przejmuję się tym, co będzie później. – Zamyśliła się. – No i pozostaje kwestia książki. Spodziewałam się, że Nicole nie będzie cały tydzień. Masz rację, niewiele napisałam.  
– Za to robiłaś na drutach. – Torba z włóczką leżała na podłodze. Charlotte wreszcie nabrała wprawy w dzierganiu warkoczy i właśnie kończyła drugi rękaw. – Dla kogo to?  
– Chyba dla mnie – odparła, wdychając. – Przynajmniej sama czynność. Robienie na drutach mnie uspokaja, tak jak ciebie struganie w drewnie.

Dla Leo struganie było wymarzoną zajęciem. Chociaż nigdy niczego nie skończył, radził sobie całkiem dobrze. Charlotte zawsze potrafiła odgadnąć, co chciał wyrzeźbić.

– Tylko że ja nie strugam, zamiast snuć się bez celu.  
– A ja tak?  
– Czasami. – Potrząsnął leciutko jej ręką. – Zadzwon do niej i szczerze powiedz, że to czekanie cię wykańcza.

Charlotte przez chwilę rozważała ten pomysł.  
– Ale jeśli będzie z nią Julian, to i tak nie będzie mogła rozmawiać. Poza tym moja niecierpliwość jest niczym w porównaniu z tym, przez co przechodzą oni.

Leo ponownie odchylił się w fotelu, ale nie tak nonszalancko jak wcześniej. Wyglądało na to, że chce jej pomóc, tylko nie wie jak.

– Jesteś dobrą przyjaciółką – powiedział w końcu i Charlotte rzeczywiście poczuła się lepiej, szczególnie patrząc na jego melancholijny uśmiech.

Włosy Leo były zmierzwiłone, a spojrzenie szczerze i bezpośrednie. Miał na sobie czarne sportowe spodenki i podkoszulek bez rękawów, spod którego wystawało trochę włosów na klatce piersiowej i mnóstwo ciała. Był boso, tak jak lubił, zresztą Charlotte też nie miała na nogach butów. Dzień był ciepły, drzwi tarasowe otwarte. Nie dalej niż piętnaście metrów od nich fale oceanu wlewały się na brzeg, kierując w ich stronę słodki zapach morskiej bryzy.

Podniecona obecnością Leo i otaczającą ich sceną, Charlotte przestawiła swój fotel, tak by ich twarze znalazły się bardzo blisko siebie, wsunęła mu dłonie w szorty i westchnęła.

– No co? – zapytał z rozbawieniem Leo, który potrafił czytać w jej myślach, tym razem bardzo nieprzyzwoitych.

Pozycja, w której siedział, cień na jego szczęce i żarliwe spojrzenie sprawiły, że miała ochotę go schrupać.

Ale zrobiła to już wcześniej.

Seks z Leo nie przestawiał jej zadziwiać. Podobnie jak jego – seks z nią. Wiele z tego, co wspólnie robili, było dla Leo nowością. Pod tym względem idealnie do siebie pasowali.

Seks to jednak za mało, by utrzymać związek, szczególnie jeśli mieszka się daleko od siebie. Charlotte spędziła na Quinnepeague cztery tygodnie, zostało jej drugie tyle. Później wybierała się do Paryża i Toskanii, które uwielbiała.

Ponownie westchnęła.

– Zrobimy coś razem?

Leo uśmiechnął się znacząco.

– To?

– Nie, myślałam raczej o żeglowaniu.

Zastanawiał się przez chwilę.

– A co powiesz na przejażdżkę skutermem wodnym?

Charlotte popatrzyła na niego podejrzliwie.

– Nie zauważyłam u ciebie skutera.

Leo pomógł jej wstać, pocałował ją mocno w usta i powiedział:

– Bycie autorem bestsellera ma swoje zalety. Ludzie chętnie mi pomagają. Wiem, od kogo moglibyśmy pożyczyć skuter. Zainteresowana?

Charlotte nie wahała się ani chwili.

– Pewnie.

\*

Przejażdżka skutermem wodnym wokół wyspy pozwoliła Charlotte zapomnieć o kłopotach. Podobnie jak kolacja w Chowder House, która potwierdziła to, o czym wiedziała już większość mieszkańców wyspy: że Charlotte i Leo są parą. Nawet ściągnięte brwi Dorey Jewett wyrażające raczej zainteresowanie niż ostrzeżenie sprawiły, że Charlotte zrobiło się cieplej na sercu.

Nie mówiąc już o seksie na plaży poprzedniej nocy i tym, jak później leżeli nago pod gwiazdami. O splukiwaniu z siebie soli w jacuzzi i ponownym kochaniu się w łóżku.

Wszystko to odciągnęło uwagę Charlotte od problemu, chociaż na krótko. Środa nastąpiła zbyt szybko i Charlotte obudziła się zaniepokojona. Leo zaprowadził ją ogrodem do lasu. Szukał czegoś przez kilka minut, zanim Niedźwiedź wreszcie to wywęszył. Leo rozsunął liście paproci, odsłaniając skupisko czerwonych czterolistnych koniczynek. Wyglądały niezwykle tajemniczo.

– Co to takiego? – zapytała Charlotte, kucając obok rośliny.

– Nie wiem, ale potrafią spełniać życzenia.

– Mówisz poważnie?

– Cecily tak twierdziła. Ukryła je w różnych częściach lasu.

Charlotte była zachwycona tym, że jeszcze na chwilę może odsunąć od siebie rzeczywistość, i zauroczona słowami Leo.

– Spełniają życzenia, tak?

– Podobno.

– Tak jak te zwykle, zielone czterolistne koniczynki?

Leo wzruszył ramionami.

– A więc nie jesteś pewien?

– Czy działają? Zdaniem Cecily tak. Dawała je tylko wyjątkowo lojalnym przyjaciołom, którzy nikomu nie zdradzili tej tajemnicy. – Zerwał jedną z koniczynek, trzymając ją za maleńką łodyżkę. – Zamknij oczy i pomyśl życzenie.

Charlotte zamknęła oczy i pomyślała o Leo, po czym spojrzała na kobierzec płatków. Zielona czterolistna koniczynka zdarzała się jedna na dziesięć tysięcy zwykłych, a tymczasem patrzyła na setki czerwonych czterolistnych koniczynek.

– Czy mogę pomyśleć jeszcze jedno życzenie?  
Leo wsunął pierwszą koniczynkę pod koronkę biustonosza Charlotte, tuż przy sercu, i zerwał następną.  
– Zamknij oczy.  
Charlotte zrobiła to i poprosiła o lekarstwo na SM.  
– Jeszcze jedno?  
Tym razem życzyła sobie, żeby Nicole i Julian żyli długo i szczęśliwie.  
Miała teraz w biustonoszu trzy czterolistne koniczynki, lecz kiedy chciała je stamtąd wyjąć, Leo chwycił jej dłoń.  
– Muszą tam zostać przez trzy dni.  
– W biustonoszu?  
– Albo w kieszeni.  
– Co się stanie po tych trzech dniach?  
– Uschną, ale do tego czasu będzie już wiadomo, czy życzenie się spełni, czy nie.  
Charlotte popatrzyła na niego sceptycznie.  
– Żartujesz sobie ze mnie?  
– Czy ryzykowałbym, że ściągnę na siebie gniew Cecily, kłamiąc? – zapytał ze śmiertelną powagą.  
Chyba nie. Mimo to Charlotte trudno było uwierzyć w czerwone roślinki spełniające życzenia.  
– Czy mogę zabrać małą kępkę i posadzić ją w ogrodzie Nicole?  
Leo miał taką minę, jakby zamierzał jej odmówić.  
– Myślę, że tak – odparł po chwili namysłu, marszcząc brwi. – Waleriana nadal kwitnie. – Powstrzymał ją gestem dłoni i poszedł po narzędzia ogrodnicze.

\*

Charlotte starannie przesadziła kępkę koniczyny i otoczyła ją kawałkiem siatki, żeby któryś z Mayesów nie uznał, że to chwast i jej nie wyrwał. Po raz ostatni przyklepała ziemię, podlała wodą i weszła do domu, żeby się umyć. Wyjęła z biustonosza koniczynki, wzięła prysznic, przebrała się w czystą koszulkę i szorty, i wsunęła roślinki do kieszeni. Wiedły tak samo szybko jak zwykła koniczyna. Charlotte nie była pewna, czy mają w sobie coś magicznego, ale czy mogła ryzykować i je wyrzucić?

\*

Prom miał przypląć o drugiej i rzeczywiście, kilka minut przed tą godziną pojawił się na horyzoncie, pozostawiając za sobą pianisty ślad w kształcie litery V. Dopłynął do brzegu i ostrożnie zatrzymał się przy pomoście.

Nicole przyciągała wzrok w grupie kilkorga pasażerów czekających na szczycie pochylni. Ubrana w białe spodnie capri, jedwabną turkusową bluzkę przywiezioną z Filadelfii i kolorową apaszkę przytrzymującą włosy lekko zmierzwiłone wiatrem, była elegancka jak zawsze. Z oczami utkwionymi w Nicole, Charlotte czekała, aż pozostała czwórka pasażerów zsiądzie z promu.

Wtedy zauważyła Juliana. Zaskoczona, wstrzymała oddech.

A przecież można było przewidzieć, że on zechce przyjechać, by z nią porozmawiać. Charlotte nie miała na to specjalnej ochoty i pewnie dlatego wykluczyła możliwość przyjazdu Juliana, a Nicole też o tym nie wspomniała. W ogóle niewiele jej powiedziała.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat – w tym czterech lat choroby – Julian mocno się postarzał. Nadal miał prostą sylwetkę, był zadbany i dobrze ubrany, jednak schodził z rampy

z nienaturalną ostrożnością i sprawiał wrażenie wyczerpanego. Nie powstrzymało go to od przyglądania się Charlotte pytającym i nieco oskarżycielskim wzrokiem.

Poczuła się tym spojrzeniem urażona – widzieli się po raz pierwszy, odkąd Julian dowiedział się, że zaszła z nim w ciążę, i miał chęć ją o coś oskarżać? A co z nim? Podczas gdy on rozkoszował się małżeńskim ciepłem, ona zmagala się z samotnością, strachem i bólem. Dlaczego nie założył prezerwatywy? Odpowiedzialny mężczyzna – pijany czy nie – tak by postąpił, a przynajmniej tak to sobie tłumaczyła – dość nielogicznie – kiedy los wydawał jej się szczególnie ciężki. Oddawszy dziecko do adopcji, pozostawiła gniew za sobą i żyła dalej. Teraz to uczucie powróciło ze zdwojoną siłą.

Co powinna zrobić? Przyłożyła policzek do policzka Nicole w geście powitania. A co z Julianem? Ile zdoła znieść? Skinienie głowy? Uścisk dłoni?

Nie zrobiła nic, podobnie jak Julian. Ignorując go najlepiej jak potrafiła, wzięła torbę Nicole i zanosła do samochodu.

\*

Kiedy jechali do domu, gniew Charlotte częściowo się ulotnił, głównie dlatego że przez całą drogę powtarzała sobie w myślach: Już po wszystkim, Charlotte. Odpuść sobie. Sama zdecydowałaś, że zamroziś krew pępowinową. Skoncentruj się na tym.

Julian usiadł na miejscu obok kierowcy, żeby mieć więcej miejsca na nogi. Nicole postanowiła wypełnić niezręczną ciszę; pochyliła się do przodu, wsunęła głowę między przednie siedzenia i rozmawiała z Julianem o zmianach, które zaszły na wyspie. Charlotte powinna poprosić przyjaciółkę, żeby zapięła pas, ale była jej wdzięczna za to, że rozdzieliła ją i Juliana. Za każdym razem, kiedy czuła na sobie wzrok mężczyzny, miała ochotę krzyknąć: Tak, urodziłam twoje dziecko i je oddałam, ale przecież miałeś żonę, a ja byłam całkiem sama! Jednak za każdym razem powracała do swojej mantry: Już po wszystkim, Charlotte. Odpuść sobie.

Ogarniające ją na zmianę złość i wyrzuty sumienia tworzyły atmosferę skrepowania, której nie potrafiły rozwiać ani wpadające przez otwarte okno podmuchy oceanicznego powietrza, ani widok koralowych i jaskrawoczerwonych kwiatów rosnących przy drodze. Kiedy wreszcie dotarli do domu, Julian usadowił się na tarasie, a Nicole przeglądała zawartość lodówki, zastanawiając się, co zrobić na kolację.

– Mam sobie pójść? – zapytała ją Charlotte. – Mogę się zatrzymać u Leo. Mielibyście cały dom dla siebie.

– A ty jak byś wolała? – zapytała z roztargnieniem Nicole.

– Zapytałam pierwsza.

Nicole zajrzała najpierw do pojemnika z warzywami, a później do zamrażalnika.

– Julian potrzebuje czerwonego mięsa – wymamrotała, prostując się. Jedną rękę oparła o drzwi lodówki, drugą przeczesła włosy. – Brakuje mi świeżych produktów. Muszę wrócić do miasteczka.

– Ja pojedę – zaproponowała Charlotte, może nieco zbyt gorliwie, lecz skoro nie doczekała się odpowiedzi, potrzebowała się wyrwać z domu.

Nicole zamknęła lodówkę i wyszła do ogrodu. Charlotte poszła za nią, czekając na listę zakupów, i zobaczyła przyjaciółkę pochylającą się nad kwiatami waleriany.

– Pięknie rosna – zauważyła Nicki, przykładając nos do płatków, i zaciągnęła się ich zapachem. Nadal pochyłona nad rośliną, popatrzyła na Charlotte. Roztargnienie zniknęło bez śladu. – Jak się poczułaś na jego widok? Bądź ze mną szczerą. Muszę to wiedzieć.

A więc o to chodziło. Charlotte uderzyła myśl, że Nicole właśnie dlatego nie uprzedziła jej o przyjeździe Juliana. Prawdopodobnie i on nie wiedział, że Charlotte zjawi się na przystani.

Nicole zależało na szczerych reakcjach.

Tak jakby Charlotte była w stanie ukryć to, co przeżywała.

– Poczulałam się nie najlepiej – przyznała.

Nicole taksowała ją stalowym spojrzeniem zielonych oczu.

– Gorzej niż na weselu?

– O wiele gorzej. Julian patrzył na mnie jak na potwora, chociaż wina nie leży wyłącznie po mojej stronie. On też zachował się lekkomyślnie...

– Wydawało mi się, że był pijany.

– Upicie się było lekkomyślne! – krzyknęła Charlotte, nie dbając o to, czy Julian ją usłyszy. – Łatwo jest rzucić całą winę na mnie. To ja wzięłam na siebie ciężar tamtej nocy... i ty też, skoro jej konsekwencje niemal zabiły naszą przyjaźń. Julian wcale nie ucierpiał. Nie musiałam wspominać o tych komórkach, Nicole. Jeśli Julian zdecyduje się z nich skorzystać, powinien mi być cholernie wdzięczny.

Nicole była zszokowana jej słowami.

– Nie wiedziałam, że nosisz w sobie tyle gniewu.

– No cóż, widok Juliana sprawił, że wszystko do mnie wróciło. Masz swoją odpowiedź. – Pochyliła się nad lawendą, przymknęła oczy, zaciągnęła się zapachem i powoli zaczęła się uspokajać. Kiedy się wyprostowała, czuła się lepiej, chociaż wcale nie żałowała swojego wybuchu. Katharsis można osiągnąć na wiele sposobów. – Poza tym – podjęła – podczas wesela mogliśmy udawać, że nic się nie stało. Teraz nie. – Już po wszystkim, Charlotte. Opuść sobie. – Czy Julian będzie chciał skorzystać z krwi?

Nicole po raz ostatni zaciągnęła się zapachem waleriany i również się wyprostowała.

– Tak. Przyjechaliśmy na wyspę, ponieważ najpierw musi wypocząć. Walczy z chronicznym zmęczeniem, poza tym widziałas, że ma żółtaczkę. Neurolog zapisał mu bezpieczniejsze leki. Julian musi się ustabilizować i odzyskać siły, zanim przystąpi do nowej kuracji.

Nowej kuracji. Charlotte próbowała zinterpretować ton przyjaciółki, ale był on mniej jednoznaczny niż do tej pory.

– Nadal jesteś przeciwna? – zapytała.

– Jestem przerażona – jęknęła Nicole. – Czyżbyśmy podpisali wyrok śmierci na Juliana?

– Rozpaczliwie szukając ukojenia, popatrzyła na kwiaty. – Ale jak mogłabym mu odmówić, skoro to dla niego takie ważne? – Przeniosła wzrok na ogrodzoną rabatkę. – Co to takiego?

– Czerwona koniczyna.

Charlotte wytłumaczyła Nicole, skąd ta roślina wzięła się w jej ogrodzie. Zerwała jedną roślinkę, podała ją przyjaciółce i powiedziała:

– Pomyśl życzenie.

– Wierzysz w takie rzeczy?

– A ty nie? – Zdziwiła się Charlotte, ponieważ to Nicole słynęła z naiwności. – To od Cecily.

Nicole ciężko westchnęła.

– Odkąd dojrzałam, nie wierzę już we wszystko, co usłyszę. – Przyglądała się jednak koniczynie z pewnym rodzajem tęsknoty. W końcu chwyciła roślinkę i powiedziała: – Do diabła z tym. Spełnienie życzenia jest dokładnie tym, czego teraz potrzebuję. – Mocno zacisnęła powieki, a gdy je otworzyła, wyglądała na spokojniejszą.

Charlotte skorzystała z okazji i powtórzyła pytanie:

– Czy mam się zatrzymać u Leo, dopóki jest tu Julian?

– Mieszkaliście razem pod moją nieobecność?



- W zasadzie tak.
- Co ty w nim widzisz?
- Czasami nie mam bladego pojęcia. Ten facet dźwiga na barkach wielki ciężar.
- Ale z nim sypiasz.
- Kocham go.

Nicole szerzej otworzyła oczy.

- Naprawdę?

Zszokowana swoim wyznaniem, Charlotte poważnie się nad nim zastanowiła. Myśl, że kocha Leo, to jedno, ale wypowiedzenie jej na głos... Zmusiła się, żeby zaczerpnąć powietrza i powiedziała:

- Chyba tak.
- Przecież wyjeżdżasz za cztery tygodnie.
- Wiem.
- A on tu zostanie.
- Tak.

Nicole postanowiła zmienić temat.

- A jak praca nad książką?
- Posuwa się do przodu.
- Ile nam zostało?

Charlotte usiłowała zbagatelizować liczbę nieodhaczonych punktów na liście, ale biorąc pod uwagę to, że nadal musiały przygotować większość przepisów na dania główne i związanych z nimi wywiadów, nie wspominając już o wstępach, łącznikach i zakończeniach, czekało je mnóstwo pracy.

Nicole westchnęła z przestrawieniem.

- Poradzimy sobie – uspokoiła ją Charlotte.

– Możliwe, że znowu będę musiała wyjechać – uprzedziła przyjaciółkę Nicole. – Jeśli lekarze zalecą Julianowi wyjazd do Chicago, nie zostawię go samego. Czy mam poprosić wydawcę o przesunięcie terminu?

- Nie.

Takie rozwiązanie nie urządziło Charlotte. Za cztery tygodnie musiała wsiąść na pokład samolotu.

– Zdążę ze wszystkim, choćbym miała zarywać noce – obiecała. Chodziło nie tylko o profesjonalizm, lecz także o odkupienie win.

Po tej rozmowie Charlotte poczuła, że ich troje w jednym domu to o jedną osobę za dużo. Napięcie między nią i Julianem mogło przemienić nadchodzące dni w piekło.

- Chętnie popracuję u Leo.

– Nie – odparła Nicole, nagle zdecydowana. – Pracuj tutaj. Julian i tak musi się z tobą rozmówić. Między innymi dlatego przyjechał.

\*

Julian zdecydował się na rozmowę dopiero następnego ranka. Charlotte zdążyła już wrócić z miasteczka, gdzie przeprowadziła wywiad, i siedziała przy stole na tarasie, wklepując tekst do laptopa, kiedy w drzwiach pojawił się Julian. W stylowych szortach bojówkach i wełnianym swetrze z okrągłym wycięciem pod szyją – zapewne wybranych przez Nicole – wyglądał na nieco bardziej wypoczętego.

Charlotte skończyła zapisywać myśl, po czym usiadła wygodnie w fotelu i czekała. Po tym wszystkim, co dla niego zrobiła, Julian był jej coś winien.

– Przepraszam – powiedział powoli, świadomy jej irytacji. – Zrobiłaś to dla Nicole?  
– Nie próbuj mnie oceniać – zwróciła mu delikatnie uwagę. – Moje współczucie dla ciebie też ma swoje granice.

Julian popatrzył na stojący najbliżej niej leżak.

– Mogę usiąść?

Charlotte nieznacznie skinęła głową. Rób co chcesz.

Julian wyciągnął się na leżaku, skrzyżował nogi w kostkach i wsunął ręce do kieszeni. Skoro to on rozpoczął rozmowę, Charlotte postanowiła ją kontynuować.

– Ostatnią rzeczą, którą powinienś do mnie czuć, jest złość – powiedziała. – Zrobiłam to, co musiałam. Chciałam, żeby Nicole była szczęśliwa.

Julian wyprostował się na leżaku, zamyślony. Charlotte przyglądała mu się, po raz tysięczny zastanawiając się, jak to możliwe, że kiedykolwiek znalazła się w jego ramionach. Ani trochę nie pociągał jej fizycznie.

– Nie miałem pojęcia o dziecku – wyznał w końcu.

– Właśnie o to chodziło. Nie chciałam zniszczyć waszego małżeństwa.

Julian wydał sardoniczne prychnięcie.

– Zabawne, jak problemy ze zdrowiem potrafią przyćmić wszystko inne.

Nie musiał rozwijać tematu. Mimo gniewu i tłumionego współczucia Charlotte nie mogła nie zauważyć drżenia jego dłoni, kiedy jadł, sposobu, w jaki oszczędzał prawą nogę, czy – niby mimochodem – przytrzymywał się oparcie mijanych krzeseł.

– Czy była podobna do kogoś z nas? – zapytał cicho.

Czując ukłucie dawnego bólu, Charlotte posmutniała.

– Nie wiem. Była pokryta mazią, a ja płakałam, więc wszystko widziałam jak przez mgłę. Zabrali ją tuż po urodzeniu.

– Czy kiedykolwiek tego żałowałaś?

– Oczywiście. Była moim dzieckiem, ale gdybym ją zatrzymała, postąpiłabym źle. Tak uważałam wtedy i nie zmieniałam zdania. – Zaciskała kurczowo palce na metalowych podłokietnikach. Musiała się świadomie zmusić, żeby je rozluźnić. – Co się stało, to się nie odstanie. Możesz mnie nienawidzić do końca życia, ale nasza córka jest szczęśliwa.

Julian nadal sprawiał wrażenie zatroskanego.

– Czy kiedykolwiek myślałaś o tym, żeby ją odnaleźć?

– Nie wolno mi tego zrobić. Tobie też nie. – Popatrzyła na pergolę oplecioną gałązkami z drobnymi brzoskwiniowymi pączkami róż, lecz ich zapach nie zdołał ukoić jej nerwów.

– Nawet gdybyś tylko pojechała do jej szkoły i poobserwowała, jak się bawi, nie mówiąc, kim jesteś?

Charlotte musiała się bardzo starać, żeby nie wybuchnąć.

– Chcę ci powiedzieć, Julianie, że oddanie dziecka było najtrudniejszą rzeczą, jaką w życiu zrobiłam, ale to już nie jest moja córka. Czy czasami o niej myślę? Nie byłabym człowiekiem, gdybym nie myślała. Ale szpiegowanie i zostawienie jej po raz drugi? – Wolno pokręciła głową.

– A jeśli któregoś dnia sama cię odnajdzie?

– Proszę, nie rozmawiajmy o tym. Nie chodzi o dziecko, tylko o krew pępowinową.

– Łatwo ci mówić – odparł z irytacją Julian. – W przeciwieństwie do mnie miałaś dziesięć lat, żeby oswoić się z tym, co się stało.

Popatrzył na Charlotte, która odwzajemniła jego spojrzenie.

– Czy ona wie o komórkach macierzystych? – zapytał w końcu.

– Nie sędzę.

– Jeśli w przyszłości będzie ich potrzebować i jej rodzice zgłoszą się do ciebie, to co zrobisz?

– Jeśli nadal będę mieć te komórki, to je oddam. Jeśli przedtem ty je wykorzystasz, nie będę mogła tego zrobić.

– Czy ona jest zdrowa?

– Nie wiem. Nie mamy ze sobą kontaktu.

Chyba wreszcie to do niego dotarło, gdyż ponownie przeniósł wzrok na ocean, zanim jeszcze raz popatrzył na Charlotte.

– Co musisz zrobić, żeby dostać krew pępowinową?

Na to pytanie łatwiej jej było odpowiedzieć. A może po prostu poczuła ulgę.

Wyładowanie gniewu na Julianie pozwoliło jej zamknąć temat tamtej nocy na plaży. Musiała tylko zrobić następny krok.

– Muszę zadzwonić do banku krwi, który przechowuje wszelkie potrzebne materiały genetyczne. Zamrażają również mililitrowe próbki krwi do badań DNA. Przyjmując krew pępowinową, przeprowadzili również to badanie.

– Czy to standardowa procedura?

– Nie wiem, jak w innych bankach, ale w tym tak. Wykorzystują wyniki przede wszystkim do celów identyfikacyjnych, trochę jak numer seryjny, więc jeśli masz wątpliwości, czy to twoje dziecko...

Machnął ręką, odrzucając tę możliwość. Wdzięczna choćby i za to, Charlotte lekko się rozluźniła.

– Powinieneś wiedzieć, Julianie, że nie zamierzałam o tym mówić Nicole.

Julian przełknął ślinę.

– Wszystko się jakoś ułożyło. Jesteśmy teraz silniejsi, ona i ja.

– Cieszę się. Nicole jest moją najlepszą przyjaciółką. Zrobiłabym dla niej wszystko.

Mężczyzna głęboko odetchnął i popatrzył na Charlotte.

– Podjąłem decyzję; chcę skorzystać z krwi pępowinowej. Zadzwonisz do banku?

## Rozdział 24



Charlotte wyszukała drobną prostokątną zawieszkę na swoim breloczku do kluczy, zadzwoniła pod wskazany na niej numer i podała niezbędne informacje. Po przesłaniu faksu potwierdzającego jej tożsamość, próbka została wysłana do Chicago.

– Nie zostało nic więcej do zrobienia.

Julian skontaktował się z lekarzem już wcześniej, lecz zadzwonił do niego ponownie, żeby omówić szczegóły dostarczenia próbki. Nicole siedziała obok niego na tarasie i ze ściśniętym gardłem przysłuchiwała się ostatecznym ustaleniom. Zostawiła męża tylko na chwilę: poszła do ogrodu, zerwała koniczynkę i szybko wróciła.

A Charlotte? Odegrawszy swoją rolę, poszła na plażę i szła tak długo, aż znalazła osłonięty głąz. Usiadła na nim, objęła ramionami kolana i zapatrzyła się w dal. Miarowe podmuchy wiatru zamieniły ocean w masę spienionych fal, które rozbijały się o brzeg. Charlotte nie czuła się wzburzona, ani też zadowolona z siebie. Siedząc samotnie na zimnym piasku, z granitowym gładem za plecami, smagana podmuchami wiatru, który zwiewał jej kosmyki włosów na twarz, nie była pewna, co właściwie czuje.

– Wszystko w porządku? – zapytała Nicole.

Wyglądała zaskakująco mocno i stabilnie w starciu z siłami natury, ubrana w dżinsy, sweter i gruby szal.

Charlotte poczuła się lekko rozdrażniona. Zostawiła Nicole i Juliana na tarasie, żeby dać im nieco prywatności, i oczekiwała od nich tego samego.

– A u was? – odparła uprzejmie, jakby chciała powiedzieć: jeśli mnie nie potrzebujesz, odejść, proszę.

– Chyba tak. Gdy tylko Hammon dostanie komórki, przystąpi do pracy w laboratorium.

Charlotte nieznacznie skinęła głową i ponownie utkwiała wzrok w oceanie, ale jej sugestia była chyba zbyt delikatna, gdyż Nicole, zamiast odejść, mówiła dalej:

– Musi wyodrębnić z krwi regulatorowe limfocyty T, które mogą wyleczyć Juliana i występują wyłącznie w krwi pępowinowej. Wiesz dlaczego? Nie musi być zgodności między matką a niemowlęciem – mogą mieć na przykład różne grupy krwi – a regulatorowe limfocyty T pozwalają mu przeżyć mimo to. Z tego samego powodu podczas przeszczepu z wykorzystaniem tych komórek nie jest potrzebna pełna zgodność tkankowa. Komórki T działają wprost magicznie. Dopiero zaczynamy rozumieć, jak wiele chorób można dzięki nim wyleczyć.

Charlotte przytrzymała niesforne włosy i popatrzyła za przelatującą mewą, lecz i ten subtelny sygnał został przegapiony.

– Hammon hoduje i namnaża komórki T w niewiarygodnych ilościach – kontynuowała Nicole. – Z oryginalnej próbki powinno mu się udać wyodrębnić kilka milionów. Przez następne dziewiętnaście dni zwiększy ich liczbę tysiąc razy, żeby starczyło na przeszczep dla dorosłej osoby. Ten facet potrafi zdziałać cuda, Charlotte. Dla niego to wciąż etap badań, więc prowadzi szczegółowe notatki. We wrześniu zaplanował wyjazd, więc chce przeprowadzić przeszczep do połowy sierpnia, żeby przez dwa-trzy tygodnie dopilnować stanu zdrowia Juliana.

Nicole starała się mówić z przekonaniem, jakby chodziło o kolejną standardową formę

terapii, i liczyła na to, że przyjaciółka doda jej otuchy, jednak Charlotte nie była w nastroju do pocieszenia. podniosła się i powiedziała:

– Muszę się przejść.

– Masz ochotę na towarzystwo? – zawołała za nią zaniepokojona Nicole.

– Nie. – Charlotte nie była pewna swoich uczuć, lecz wiedziała, że chce zostać sama.

Zmierzając w stronę końca wyspy, mijała po drodze łąchy piasku oraz mniejsze i większe głazy. Zatrzymała się w miejscu, w którym uprawiała seks z Julianem. Wspomnienie tamtej nocy przestało być dla niej bolesne. Nicole wiedziała, co się wtedy stało, i czerpała z tego korzyści.

Jednak Charlotte cierpiała z innego powodu. Przez chwilę stała w miejscu i mierzyła się ze swoim problemem, nie zważając na silny wiatr, zanim ruszyła dalej.

Im bardziej zbliżała się do ziemi Cole'ów, tym droga stawała się trudniejsza. Charlotte mijała coraz większe głazy, niektóre z nich sięgały aż do morza. Zastanawiała się, czy ich nie opływać. I tak już brodziła po płyciźnie, jej buty i dolna część nogawek dżinsów zdążyły przemoknąć. Co by się stało, gdyby zmoczyła resztę ubrania? Wcześniej czy później wyschnie.

Z drugiej strony, nie była przecież samobójczynią. Woda jest nieujarzmiona, skały nie wiadomo jak duże, mógł ją też wciągnąć wir. Zamiast więc wchodzić do oceanu, oddaliła się od brzegu. Wspinała się na granitowe skały, brodząc wśród wrzosów i trawy, po czym schodziła z nich, gdy pojawiał się piasek. Zrobiła to cztery razy, przy czym ostatni okazał się najtrudniejszy. Natrafiła na porośnięte lasem miejsce, za którym leżał skrawek plaży, gdzie pierwszy raz pływała z Leo. Skały były tu bardziej postrzępione, a drzewa rosły gęsto. Charlotte potykała się o korzenie i splątane rośliny, a najtrudniejszą część trasy pokonała na czworakach, zanim znowu znalazła się na poziomie morza.

Fragment plaży, na której się kochali, był zalany wodą. Charlotte przeszła przez nią, pokonała kamienistą część ścieżki, schylając się pod zwisającymi gałęziami drzew, wyszła zza zakrętu i dotarła na kraniec wyspy, gdzie stał dom Leo.

Drzwi do gabinetu były otwarte. O tej porze Leo powinien pracować. Charlotte nie weszła jednak do środka. Tu nie chodziło o Leo, lecz o emocje, których nie potrafiła nazwać, i o potrzebę znalezienia się w najbardziej kojącym miejscu na wyspie. Zawędrowała więc na sam koniec pomostu, usiadła po turecku i oparła łokcie na kolanach. Ocean był tak samo wzburzony jak przedtem, lecz ostatnie skupisko skał, które pokonała, chroniło przystań przed wysokimi falami. Przycumowana łódź Leo delikatnie kołysała się na wodzie.

Nie, tu nie chodziło o niego, lecz Charlotte poczuła, że całkiem się uspokaja, dopiero gdy usłyszała za plecami jego kroki.

Najpierw zobaczyła bosc stopy. Leo pogłaskał czubek jej głowy i pochylił się nad Charlotte.

– Wszystko w porządku? – Chociaż użył dokładnie tych samych słów co Nicole, ich efekt był zupełnie inny. Charlotte zwiesiła głowę i rozplakała się.

– Hej...

Leo przykucnął obok i zaczął delikatnie głaskać ją po karku, pozwalając jej się wypłakać. Po chwili Charlotte wzięła urywany oddech i, ocierając twarz, podniosła głowę.

– Mój Boże – szepnęła zawstydzona. – Skąd u mnie taka reakcja?

Leo nic nie powiedział, tylko usiadł, skrzyżował nogi i popatrzył na nią.

– Julian zdecydował się na przeszczep, więc zadzwoniłam do banku komórek – wyjaśniła Charlotte, unikając wzroku Leo. – Powinam się cieszyć, że mogłam mu pomóc, albo odetchnąć z ulgą, że już po wszystkim. – Oczy ponownie napełniły jej się łzami. Mówiła wysokim, łamiącym się głosem. – Dlaczego nic nie czuję?

– Tylko pustkę.

Charlotte zakryła oczy dłońmi.

– Tak.

– Przez cały ten czas komórki należały do ciebie, Charlotte, a teraz ich nie ma.

– Przecież to tylko krew zamrożona w jakiejś anonimowej przechowalni.

– I łącząca cię z twoją córką.

– Oddałam ją i świetnie sobie bez niej radziłam.

– Ta krew była waszym łącznikiem – powtórzył cicho.

– Tak – przyznała łagodnie, nie odrywając dłoni od twarzy. Teraz już nic nie łączyło jej z córką. – Chociaż nie dlatego zachowałam te komórki... – zastrzegła się. – A może tak, tylko nie byłam tego świadoma? Bo jak inaczej wytłumaczyć moje zdenerwowanie?

Leo rozkrzyżował nogi, przyciągnął do siebie Charlotte i mocno objął ramionami. Kiedy opłotła palcami jego nadgarstki, krzyknął przestraszony:

– Jezu! Co ci się stało w ręce?!

Charlotte wyprostowała ręce i dokładnie się im przyjrzała. Pokrywały je zadrapania: niektóre nienaturalnie białe, inne bardziej różowe, a niektóre zdążyły już podejść krwią.

– Wspiniałam się po skałach, żeby tu dotrzeć. Mogłam przyjść pieszo lub przypłynąć wpław.

– Nie lepiej było przyjechać samochodem?

– I popsuć moją dramatyczną wędrówkę? – zapytała, kpiąc z samej siebie. – Nigdy w życiu!

– Musimy przemyć te zadrapania – powiedział Leo, ale kiedy próbował wstać, Charlotte powstrzymała go.

– Posiedźmy jeszcze kilka minut, dobrze?

\*

Po dokładnym przemyciu zadrapań mydłem i po filizance naparu z passiflory na ukojenie nerwów Leo odwiózł Charlotte do domu. Nicole siedziała przy kuchennym stole z laptopem i wyczekująco spoglądała w stronę drzwi, ale kiedy przyjaciółka wreszcie się w nich pojawiła, nic nie powiedziała, za co Charlotte była jej wdzięczna. Komórki zniknęły i nic nie mogło jej ich przywrócić.

– Blogujesz? – zapytała Charlotte.

– Właśnie skończyłam. W dzisiejszym wydaniu „Wall Street Journal” ukazał się ciekawy artykuł porównujący łososia dzikiego z hodowlanym. To interesujący temat, więc napisałam też kilka słów o polichlorowanych bifenylach. Nie wiemy, na ile są szkodliwe, ale z pewnością występują w rybach hodowlanych. Właśnie piszę wstęp do rozdziału *Ryby*.

Charlotte wyczuła nerwowość w jej paplaninie, ale była w stanie przymknąć na nią oko, jeśli tematem rozmowy miały pozostać ryby.

– Oczywiście składniki naszych przepisów są w pełni naturalne – ciągnęła Nicole – lecz zastanawiam się, czy nie zmienić tytułu na *Owoce morza*. Wielu ludzi rozróżnia ryby o białym mięsie oraz te z miękką skórą i skorupiaki, takie jak kraby czy małże, ale nie chciałabym tworzyć dwóch osobnych rozdziałów, a owoce morza wyczerpują temat, nie sądzisz?

– Tak.

Nicole zmarszczyła brwi w zamyśleniu.

– W zasadzie to dobry temat na wpis: ryby kontra skorupiaki. Książki kucharskie czasami je mylą, a różnica jest zasadnicza.

Usta jej się nie zamykały. Charlotte zorientowała się, że jej przyjaciółkę rozpiera nerwowa energia. Czuła, że Nicole martwi się drogą, którą miały przebyć komórki, oraz

zastanawia nad tym, czy najbliższe tygodnie okażą się najlepszymi w ich małżeństwie, i czy po przeszczepie Julian odzyska dawną sprawność.

Gdyby Charlotte była równie nerwową osobą, pewnie też paplałaby jak najęta, skrętnie omijając temat strachu o zdrowie Juliana i smutku po stracie komórek. Zaczynała coraz lepiej rozumieć swoje emocje i chociaż się tego nie spodziewała, rzeczywiście było jej przykro, że zerwała jedyną więź, łączącą ją z córką. Musiała się z tym jednak pogodzić i żyć dalej.

Nerwowość Charlotte objawiała się w inny sposób niż u Nicole i miała mniej wspólnego z komórkami macierzystymi, a więcej z nieubłaganiem mijającym czasem. Wyjeżdżała za cztery tygodnie. Towarzystwo Leo było dla niej cudownie kojące i niczego bardziej w tej chwili nie potrzebowała. Wiedziała, że pod tym względem nie zastąpi go żaden inny mężczyzna. Spędziła na wyspie dostatecznie dużo czasu, by to wiedzieć. Jednak za każdym razem wracali do punktu wyjścia: Leo nie chciał się wyprowadzić z Quinnepeague, a Charlotte nie mogła tu zostać. Co im pozostało?

– Ziemia do Charlotte... – odezwała się łagodnie Nicole.

Charlotte zamrugnęła.

– Przepraszam. Co mówiłaś?

– Powiedziałam, że musimy wszystko zaplanować. Odchodzę od zmysłów na myśl o tym, jak wiele rzeczy musimy zrobić w tak krótkim czasie, i jedyny sposób, żeby nam się udało, to spisać wszystko w punktach, ustalić grafik prac i ściśle się go trzymać. Wydawca chce dostać skończony maszynopis do piętnastego sierpnia, a mnie tu już chyba wtedy nie będzie. Czy możemy opracować nowy grafik i przyspieszyć z robotą?

\*

*Przesiedziałyśmy dwie godziny nad kalendarzem – napisała Charlotte w e-mailu do Leo tego samego popołudnia, porządkując wywiady na laptopie. – Ustaliłyśmy szczegółowy grafik prac nad książką. Nicole wydrukowała go w czterech egzemplarzach: po jednym dla każdej z nas, trzeci do przypięcia na tablicy w kuchni i czwarty dla niej do torebki. Nicole jest świetnie zorganizowana.*

*Aż za bardzo? – odpisał Leo.*

*Być może, ale czy mam prawo ją oceniać? Sama ledwie prześlizgnęłam się przez Yale, a Nicole ukończyła Middlebury z najwyższym wyróżnieniem, więc najwyraźniej jej się to opłaca.*

*Ja nie skończyłem studiów. Nawet nie poszedłem do college'u.*

*I spójrz, ile osiągnęłaś – odpisała Charlotte, wiedząc, że Leo sprawdza, czy jego brak wykształcenia jej przeszkadza. – Odniosłaś większy sukces niż my obie razem wzięte.*

*Szczęście nowicjusza. Dzisiaj pisanie idzie mi jak po grudzie.*

*To dlatego że jesteś zajęty odgrywaniem roli mojego psychologa. Dziękuję Ci, Leo. Bardzo mi pomogłeś.*

*Zawsze do usług, Charlotte. Kolejna sesja dziś wieczorem?*

Charlotte chciała być dobrym człowiekiem: starała się poświęcać uwagę Nicole, być może z poczucia winy, że nadal ma do niej żal, a być może dlatego że książka kucharska była również jej projektem.

Mimo to czuła, że kończy jej się czas.

*Będę u ciebie o dziewiątej.*

*Zjemy późną kolację?*

*Chętnie.*

\*

Leo potrafił gotować. Serwował proste dania – tego wieczoru upiekł na grillu steki – ale po mistrzowsku je przyrządził. Nie żeby Charlotte była tym zdziwiona, biorąc pod uwagę jego korzenie. Mimo to widok jego szczupłych, długich palców wprawnie trzymających nóż i pachnącej świeżością, nowoczesnie urządzonej kuchni tak bardzo kontrastował z brudnymi palcami trzymającymi młotek, pełnymi odcisków palcami wciągającymi żagle i wreszcie z palcami pisarza wystukującymi słowa książki, że przyglądała się im z jednoczesnym zachwytem i niedowierzaniem. Leo stał boso, ubrany w dżinsy i rozpiętą pod szyją koszulę. Kiedy przyłapała się na myśleniu o tym, jak doskonale wpasowałby się w jej brooklyńskie środowisko, szybko przywołała się do porządku, koncentrując na bieżącej chwili, czyli roztopiającym się na mięsie estragonowym maśle, sałacie z dodatkiem szczypiorku, bazylii oraz kilku innych ziół, których nie potrafiła nazwać.

– Pietruszkę znasz – powiedział Leo, pokazując jej kolejno koper, majeranek i rukolę.

– Rukola? Hmm. Też wygląda jak ziele.

– Bo nim jest.

– Myślałam, że to rodzaj sałaty...

Popatrzył na nią pobłażliwie swoimi ciemnoniebieskimi oczami i pokręcił głową.

– Uprawiasz ją w swoim ogrodzie?

Przytaknęła rozbawiony.

Charlotte znów spróbowała sałaty. Sos był zwykłą mieszaniną oliwy ze świeżo wyciśniętym sokiem cytrynowym. Leo dodał do niego świeżo zmielony pieprz, ale pominął sól. Smak sałaty wcale na tym nie ucierpiał.

– Czy mogę wykorzystać ten przepis w naszej książce?

Pokręcił głową.

– Nawet gdybym nie podpisała go twoim nazwiskiem?

Znowu zaprzeczył.

– Dostaniecie wiele podobnych przepisów. Quinipeague słynie z ziół.

\*

*Znowu miałaś rację – napisała do niego następnego ranka, tym razem z miasteczka. – Właśnie przeprowadziłam wywiad z Carrie Samuels, która podzieliła się ze mną trzema różnymi przepisami na ziołowe sałaty.*

*Aż trzema? – odpisał.*

*Z pietruszką, mieszanką ziół i koprem włoskim.*

*Koper włoski – sprytnie. Dlaczego z nią rozmawiałaś?*

*Ze względu na jej wiek i rodzinę. Jest młodsza ode mnie, ale dzięki szóstej rocznicy i pokaźnej gromadce ciotek, wujków i kuzynów ma bardzo silne korzenie. Zazdrościsz jej tego.*

*Korzeni?*

*Tak. Ja ich nie mam.*

*Korzenie bywają czasem kulą u nogi.*

Charlotte zawahała się z odpowiedzią. Czyżby Leo się skarżył? Jeśli chciał się odciąć od swoich korzeni, mogła mu w tym pomóc.

Zanim jednak zdążyła odpisać, Leo wysłał wiadomość:

*Moje korzenie są bardzo silne, mogę się z tobą podzielić.*

Charlotte westchnęła.

*Ty jesteś przywiązany do wyspy, ja nigdzie nie mogę zagrzać miejsca. Czy da się to jakoś pogodzić?* Wysłała pytanie, lecz w obawie przed niewygodną dyskusją lub nie daj Boże kłótnią, szybko napisała: *O co chodzi z tym koprem włoskim? Carrie dała mi porcję zupy z koprem dla*



*Juliana. Podobno ma działanie lecznicze.*

*Owszem – odpisał – ale nie na SM. Zapytaj ją o ciążę jej matki.*

Temat ciąży matki Carrie nie został poruszony podczas wywiadu, ale skoro Leo o nim wspomniał, warto by o to zapytać. Charlotte wyskoczyła z jeepa, wróciła biegiem do małego domku, w którym Carrie mieszkała wraz z mężem i trójką dzieci, zapukała do drzwi i zapytała z przepraszającym uśmiechem:

– Czy mogę zadać jeszcze jedno pytanie?

\*

Po chwili wsiadła z powrotem do samochodu i napisała: *Uciążliwe poranne mdłości, na które pomaga tylko koper włoski – matka Carrie urodziła siedmioro dzieci w ciągu dwunastu lat, więc zna ten problem od podszewki. Carrie była ciekawa, skąd wiedziałam, żeby o to zapytać, a kiedy próbowałam wymyślić odpowiedź, powiedziała, że i tak się domyśla. Czy jest coś, o czym nie wiem, Leo Cole'u?*

*Kiedyś przywoziłem jej matce koper. Carrie chodziła za mną krok w krok.*

*Szczenięca miłość?*

*Phi!*

*No cóż – odpisała – nie potwierdziłam, ani nie zdementowałam, że byłeś moim źródłem, więc twoja reputacja nie doznała uszczerbku.*

*Dziękuję, Charlotte.*

*Dziękuję za wskazówkę, Leo.*

\*

Tego popołudnia Charlotte rozpierała energia. Jadę na wywiad z Mary Ellen Holloway – wysłała mu e-mail, zanim wyłączyła laptopa. Czy powinnam jej zadać jakieś szczególne pytanie?

*Mistrzynie dań z cukinii? Wydawało mi się, że dzisiaj zajmujesz się salatkami.*

*Nicole twierdzi, że zostało nam tak dużo do zrobienia, że musimy nadgonić robotę.*

*A co z grafikami?*

*Znowu go zmieniła. Nicole zbiera w miasteczku przepisy, a ja rozmawiam z każdym, kto znajdzie dla mnie czas. Założyła na naszych komputerach jednakowe foldery, żebyśmy się nie pogubiły. Cukinia to jednocześnie dodatek do dań głównych i przekąska. Nigdzie nie jadłam lepszych frytek z cukinii niż na Quinneepeague. (Westchnienie). Dlaczego nie pracujesz???*

*Be mejluję z tobą.*

*W ten sposób nie zapłacisz rachunków.*

*Nowa powieść też mi w tym nie pomoże. Mówiłem ci, że jest do kitu.*

*Kiedy pozwolisz mi ją przeczytać?*

*Kiedy będzie coś warta. (Westchnienie). Zapytaj Ellen o kwiaty.*

*Kwiaty?*

*Kwiaty cukinii. Smaży je.*

\*

*O mój Boże – napisała do Leo dwie godziny później, kiedy po spotkaniu z Mary Ellen wróciła do jeepa. Kwiaty cukinii są NIESAMOWITE. Przed chwilą je dla mnie usmażyła. Dlaczego dotąd nie miałam o nich pojęcia?*

*Bo nie robi ich na lokalne imprezy. Nicole też o nich nie wiedziała?*

*Najwyraźniej nie, skoro nie umieściła ich na liście. Mary Ellen pozwoliła mi zabrać do domu to, czego nie zdołałyśmy zjeść, plus chleb z cukinią dla Juliana. Wie o jego chorobie.*

*Mieszkańcy Quinnie mają długie języki. Przyjedziesz wieczorem?  
Nicole chce pracować, ale powiedziałam jej, że jutro nie będzie mnie w domu. Masz wolny wieczór?*

\*

Sobotni wieczór spędzili na plaży, piekąc kielbaski nad ogniskiem, a później kochali się w blasku i ciepłe ognia. Schroniwszy się przed nocnym chłodem w sypialni Leo, Charlotte zasnęła w jego ramionach, podczas gdy on czytał najnowszą powieść Grishama. Leżeli przytuleni, dopóki nie zbudziło ich niedzielne słońce, a gdy Charlotte poczuła dotyk jego dłoni na swojej skórze, znowu była gotowa na miłość.

– Jak ty to robisz? – wydyszała po orgazmie, który okazał się mocniejszy, głębszy i bardziej oszalałający niż wszystkie poprzednie razem wzięte.

Serce Leo dudniło tuż pod jej policzkiem.

– Co takiego? – zapytał schrypniętym głosem.

– Sprawiasz, że tak mocno wszystko odczuwam.

Z początku nie odpowiedział, tylko rozprostował owłosioną nogę leżącą pomiędzy jej nogami. Jego puls stopniowo się uspokajał.

– Naprawdę?

Odchyliła głowę i nastroszyła palcami jego wilgotne włosy. Rysy twarzy Leo wydawały się łagodniejsze, ale jego oczy barwy nocnego nieba pociemniały, i to nie od pożądania. Charlotte dostrzegła w nich niepokój.

– Co się stało? – zapytała miękko.

Chciała, żeby to powiedział: że ją kocha i że powinna z nim zostać. Nie pisali SMS-ów, tylko leżeli obok siebie, nadzy. Mogli o tym teraz porozmawiać. Jednak Leo tylko przyciągnął Charlotte, ucałował czubek jej głowy i tulił ją, dopóki nie nadszedł czas, żeby przynieść jej śniadanie do łóżka.

\*

Charlotte spędziła poniedziałek z Eleanor Bailey, właścicielką przepisu na kraba w cieście i kobietą o największym sercu na całej wyspie. Gdyby na Quinnieague istniał oficjalny komitet życzliwości, Eleanor by mu przewodniczyła. Jej chęć niesienia pomocy stanowiła klucz do całego wywiadu, więc wspólnie z Charlotte zjeździły całą wyspę, odwiedzając ludzi, którzy nie mogli się ruszyć z domu, dowożąc im zakupy; raz nawet przygotowały lunch dla czwórki dzieci kobiety, której większość czasu pochłaniała opieka nad najmłodszą pociechą.

Eleanor chowała właśnie resztki posiłku do lodówki, kiedy rozległ się sygnał wiadomości w telefonie Charlotte.

*Jak leci?* – napisał Leo.

*Jestem z Eleanor u Blodgettów. Tak tu głośno, że trudno zebrać myśli. Odezwę się później.* Po godzinie napisała: *Niezły mamy tu cyrk.*

*Pełno dzieciaków?*

*Tak. Co u ciebie?*

*Kiepsko. Spadłem w rankingu najlepiej sprzedających się książek.*

*Dlaczego?* Kiedy wymienił tytuł najnowszej premiery, odpisała: *No tak. Ten autor to prawdziwa szychta. Za tydzień czy dwa Salt znowu pójdzie w górę. Piszesz?*

*Nie. Liczę zyski. Czy można coś takiego pisać? Co jest bezpieczniejsze: e-maile czy SMS-y?*

*SMS-y. Przechodzą przez łącza telefoniczne i nie są zapisywane nigdzie poza twoim telefonem. E-maile tkwią na serwerze.*

*Dlaczego nie rozmawiamy przez telefon?*

*Eleanor jest tuż obok.*

*Mam nadzieję, że nie prowadzisz samochodu.*

*Ona prowadzi.*

*Jeździ jak szalona.*

*Nie musisz mi mówić.*

*Przyjedziesz do mnie później?*

*Testujemy z Nicole przepisy.*

*W takim razie dużo później.*

*Jasne.*

*Dziesiąta? Będę na ciebie czekał między tymiankiem i kurkumą.*

*Kurkuma brzmi seksownie.*

*Tobie wszystko wydaje się seksowne. Masz kosmate myśli.*

*Swój pozna swego. Nigdy nie widziałam kurkumy.*

*Jest spokrewniona z imbirem. Jej kłącze leczy artretyzm.*

*Kłącze?*

*Korzeń.*

*Nadal nie wiem, jak cię znaleźć – napisała.*

*– To z pracy – zwróciła się do Eleanor. – Zaraz skończę.*

*Opisz mi nadziemną część rośliny.*

*Ma falliczny kształt.*

*Parsknęła śmiechem.*

*Ha, ha.*

*Poważnie.*

*A więc przypomina ciebie?*

*Czyżbym był falliczny?*

*Pewna część twojego ciała.*

*Czy właśnie piszemy do siebie erotyczne wiadomości?*

*Nie, przecież nie wysyłamy obrazków.*

*Może zaczniemy?*

*Żartowniś.*

*A więc nie?*

*W żadnym wypadku. Ty może jesteś anonimowy, ale ja nie. W jej wiadomości pobrzmiwała nutka urazy, więc szybko wysłała następną: Przyjechałyśmy do Eleanor. Muszę kończyć. Do zobaczenia o dziesiątej.*

\*

Kiedy wieczorem Charlotte wychodziła z domu, Nicole i Julian siedzieli na piętze. Nie powiedziała im, dokąd się wybiera. Nie musiała się tłumaczyć Nicole, szczególnie po ciężkim dniu pracy, a kiedy we wtorek wczesnym rankiem zakradła się do domu, kuchnia była pusta.

Czując się winna z powodu swoich negatywnych myśli, Charlotte nastawiła kawę. Właśnie kończyła ją parzyć, kiedy w kuchni zjawiła się Nicole w swoim puchatym szlafroku i kapiach. Jej twarz była blada, oczy zmęczone. Sięgnęła po kubek.

– Spędziłaś noc poza domem.

– Mhm.

– Słyszałam dźwięk zamykanych drzwi.

Wydawało się, że chce powiedzieć coś jeszcze, ale się rozmyśliła, co zdaniem jej przyjaciółki było słusznym posunięciem, i sięgnęła po śmietankę. Charlotte nie miała najmniejszego zamiaru rozmawiać na temat Leo. Nie chciała się tłumaczyć ani wysłuchiwać krytyki.

Nicole martwiła się jednak z innego powodu. Przytrzymując swoje blond włosy, powiedziała:

– Wiem, że jesteś na mnie wściekła, Charlotte, chociaż nie mam pojęcia dlaczego. Podskakuję na każdy dzwonek telefonu, bo jeśli okaże się, że to Hammon, będziemy musieli wyjechać. Potrzebuje czasu, żeby wyhodować komórki, ale jeśli postanowi zbadać Juliana przed upływem tych dziewiętnastu dni i jeśli wyjadę do Chicago, przyszłość książki stanie pod znakiem zapytania. Oczywiście to teraz najmniejszy z naszych problemów, ale... – Jej zielone oczy zaszyły mgłą. – Oddałam jej część siebie i muszę ją dokończyć, jeśli mam to wszystko przetrwać. – Skrzywiła się i wyciągnęła z kieszeni garść czerwonych listków. Niektóre były uschnięte, inne wyglądały świeżo. – Czy one rzeczywiście działają? – zapytała zniechęcona.

– Nikt tego nie wie – odparła Charlotte, zamykając dłoń Nicole na listkach koniczyny. – Wzięliśmy się ostro do roboty...

– Ale nadal mamy surowe materiały. Zostało jeszcze tyle do napisania. – Odgarnęła włosy, nerwowo strzelając oczami. – Pięć rozdziałów jest gotowych, ale zostało nam drugie tyle, nie wspominając o wyczerpującym i błyskotliwym wstępie i posłowiu, na które liczy mój wydawca.

– Napisz je teraz – poradziła jej ze spokojem Charlotte.

– Nie czuję się dziś szczególnie błyskotliwa.

– Podrasujesz je później.

– A jeśli nie będę potrafiła? – W jej oczach czaił się strach przed paralizem, śpiączką, śmiercią Juliana.

– Musisz myśleć pozytywnie, Nicki. Prześlij mi wstępy do rozdziałów, które są już gotowe – poprosiła, wcielając w życie plan awaryjny. – Jeśli będziesz musiała wyjechać, wykorzystam je jako wzorzec i napiszę resztę sama.

Nicole przez chwilę przyglądała jej się w milczeniu, w końcu westchnęła.

– Ale bałagan. Nie powinnam była podpisywać umowy. Wiedziałam, że Julian jest chory.

– Właśnie dlatego ją podpisałaś. I postąpiłaś słusznie – przekonywała przyjaciółkę Charlotte, chwytając ją za ramiona. – Nie zadręczaj się. Zobowiązałaś się, że napiszesz książkę, i musisz to zrobić.

– Ale ty ciągle jesteś z Leo.

Zapadła cisza.

Charlotte opuściła ręce, zaskoczona.

– Przez większość czasu, który z nim spędzam, pracuję nad książką, poza tym ty jesteś wtedy z Julianem. Po co miałabym wam siedzieć na głowie? Oddałam wam komórki. Odpokutowałam swoje winy. Nie mieszaj w to Leo.

– Tak czy owak, straciłam cię.

Cisza, która zapadła tym razem, była dużo smutniejsza. Charlotte to wyczuła i cichutko westchnęła.

– Nie, Nicki, to nieprawda. Po prostu trudno mi zaakceptować, że straciłam komórki, ale powtarzam sobie to samo co tobie: klamka zapadła, weź się w garść.

– To jakiś koszmar.

– A nawet coś gorszego – zauważyła Charlotte, myśląc o braku przyszłości dla siebie

i Leo – ale damy sobie radę. Zaufaj mi. Przetrwalam gorsze rzeczy.

\*

Środowy ranek okazał się chłodny i pochmurny, więc pojechały do sklepu przepełnionego ciepłem i zapachem palonej w kominku sosny. Chociaż wiedziały, że wszyscy je tu zobaczą, musiały porozmawiać z Bew Simone, która jako właścicielka sklepu i kawiarni spotykała każdego dnia prawie tyle samo ludzi co listonosz. Rzeczywiście, w ciągu tych kilku godzin spędzonych u niej Bev rzadko znajdowała chwilę, żeby usiąść. Opowiadała Charlotte i Nicole o ewolucji swojego sklepu, z łokciami na oparciu wygodnego fotela. Gdy tylko rozległ się dźwięk wiszącego nad drzwiami dzwonka, zrywała się z miejsca, lecz zawsze wracała z czymś przydatnym – kartką z przepisem, podpisaną zgodą na użycie przepisu w książce lub paczuszką ze smakołykiem dla Juliana.

Mieszkańcy wyspy byli ciekawscy, lecz taktowni. Potrafili przegadać godzinę o pogodzie, zbiorze rzodkiewki lub rozchwianych deskach na pomoście, lecz ucinanie sobie tego rodzaju pogawędek z Nicole w jej obecnej sytuacji, byłoby uznane za nietakt, podobnie jak robienie wielkiego halo z podarunku w postaci talerza ciasteczek, miski świeżo zerwanych truskawek czy brytfanki z lazanią. Chociaż z natury ciekawska, Bev zadowoliliła się strzępkami informacji, które przekazała jej Nicole.

*Zapytałaś Bev o jej artretyzm?* – napisał około południa Leo w e-mailu do Charlotte, na który odpowiedziała:

*Nie musiałam pytać. Bev wie, że się spotykamy, i od razu o nim wspomniała. Diabelski pazur. Podobno pochodzi z Południowej Afryki, lecz w takim razie jakim cudem Cecily go uprawiała?*

*W szklarni. Kiedy ją rozebrałem, posadziłem korzenie w ziemi, a one nie przestały rosnąć. Ta roślina jest brzydka jak diabli, ale nie ma na nią mocnych. Będziemy razem?*

Nagła zmiana tematu nie zaskoczyła Charlotte, która sama nie potrafiła przestać o tym myśleć.

*Tak, jeśli polecisz ze mną do Paryża.*

*Nie znam francuskiego.*

*Ale ja znam.*

*Nie mam walizki.*

*Pożyczę ci swoją.*

*Ani paszportu.*

*Jeśli szybko złożysz wniosek, wydadzą ci go na czas.*

Nic jej nie odpisał, wieczorem też się nie spotkali. Charlotte i Nicole pracowały do późna, a gdy skończyły, marzyła już tylko o tym, by położyć się spać. W czwartek rano obudziła się, myśląc o Leo, i bardzo chciała mu to wyznać, ale to on musiał napisać do niej pierwszy. Była jego kolej.

\*

*Jesteś bardzo milcząca* – napisał wreszcie późnym rankiem, który dłużył się Charlotte niemiłosiernie.

*Czekałam na wieści w sprawie paszportu* – odpisała. Potrafiła zająć myśli pracą, lecz na widok SMS-a od Leo znów zalała ją fala emocji. Czowała ulgę, zniecierpliwienie i tęsknotę, tworzące niezwykle drażniącą mieszankę.

*Dlaczego Paryż?*

*Bo mam tam zlecenie.*

*Po co ja miałbym go oglądać?*

*To nie musi być Paryż. – Konieczność odpisania na wiadomość powstrzymała Charlotte od wyrzucenia rąk w górę w geście frustracji. – To może być Toskania, Montreal, Boston lub Brooklyn. Rzecz w tym, że nie Quinnepeague. Skoro tego nie rozumiał, przeceniła jego inteligencję.*

*Co jest nie w porządku z Quinnepeague?*

*NIC!!! Po prostu nie mogę tu ciągle mieszkać. Raz na jakiś czas owszem, ale jeśli ty nie możesz czasem stąd wyjechać, to nie mamy wspólnej przyszłości.*

Przez chwilę nie odpisywał. Charlotte zastanawiała się, czy nie przesadziła, ale przecież nie postawiła mu ultimatum.

A jednak.

*Dlaczego poruszyłaś ten temat właśnie teraz?*

*Bo jest mi z tym ciężko. Kocham cię.*

Gdy tylko nacisnęła WYŚLIJ, natychmiast tego pożałowała. Miłości nie powinno się wyznawać SMS-em. Ale było już za późno, żeby się wycofać.

## Rozdział 25



Charlotte napisała te dwa słowa pod wpływem impulsu, a SMS rzeczywiście nie był najlepszym sposobem, by deklarować miłość, i to po raz pierwszy, ale czy jej wyznanie nie było czystą formalnością? Leo napisał *Salt*, był wrażliwy i przenikliwy; musiał się domyślać, co do niego czuła.

Jednak wymiana SMS-ów nagle ustała, pozostawiając Charlotte w stanie zawieszenia i niepewności, czy aby się nie pomyliła, zakochując w facecie z nieodwracalnie zepsutą duszą lub, co byłoby jeszcze gorsze, całkowicie pozbawionym uczuć.

Postanowiła jednak nie wycofywać się ze swoich słów. Mierz wysoko, sięgaj daleko, jak powtarzał Bob Lilly, a Charlotte wreszcie zaczęła wcielać tę zasadę w życie. Nigdy się nie zakochała – nie czuła tęsknoty za żadnym mężczyzną, nie chciała z nikim dzielić życia, mieć dzieci, wspólnie się zestarzeć, ani zmieniać swoich przyzwyczajzeń, żeby to wszystko mogło się ziścić. Nagle tego doświadczyła i nie dopuszczała do siebie myśli, że mogłoby to być jednostronne. Odludek, który swego czasu oskarżył ją o wtargnięcie na jego teren i kazał jej się wynosić, otworzył się przed nią. Abstrahując od pociągu fizycznego, zdawał się być zafascynowany jej osobowością, chętnie jej słuchał i dzielił z nią czynności, które sprawiały mu największą przyjemność. Zaprosił ją do swojej prywatnej przestrzeni, pozwolił jej się w sobie zakochać. Nie zrobiłby tego wszystkiego, gdyby chociaż w niewielkim stopniu nie czuł tego samego co ona. Jednak z każdą minutą jego milczenia niepokój Charlotte stawał się coraz silniejszy.

Po okrągłej godzinie Leo przysłał jej SMS: *Już to kiedyś słyszałem*. W tym momencie Charlotte przestała udawać, że pracuje, wyszła z domu i zadzwoniła do niego.

Ledwie zdążył odebrać, powiedziała:

– Wiem, że już to słyszałeś, ale tamta dziewczyna nie była z tobą szczerą. Ja staram się być, ze względu na nas oboje. Jeśli nasz związek się rozpadnie, będę bardzo cierpieć, bo nigdy wcześniej nie czułam tego co teraz. Nie chcę, żebyś mnie zranił, Leo. Nie mogę znowu wszystkiego stracić.

– A ja twoim zdaniem mogę? – odparł chłodno. – Dla mnie to też niełatwe.

– Dlaczego? – Powiedz to, błagała w myślach, wstrzymując oddech. No powiedz!

Leo milczał. W końcu zapytał:

– Mogę do ciebie przyjechać?

Charlotte wypuściła powietrze i spuściła głowę.

– Nie, nie teraz. Muszę pracować, a ty powinieneś się nad sobą zastanowić.

\*

Po południu wysłał jej SMS: *Jak ci idzie?*

*Jakoś* – odpisała.

*Zobaczymy się wieczorem?*

*Nie, ja też muszę pomyśleć.*

\*

Przez większość nocy Charlotte robiła jak szalona na drutach – najpierw w łóżku, potem siedząc zwinięta w kłębek w fotelu, a później stojąc obok lampy, kiedy poszła sobie nalać szklankę wody i nie miała ochoty wracać do łóżka. Nie najlepiej jej szło: pracowała teraz nad przodem swetra i ciągle popełniała błędy. Dziergając kolejne ścięgi i warkocze, myślała o Leo, lecz mimo że nieustannie rozważała temat ich związku, nic nowego nie przyszło jej do głowy. Kochała go. Na ile sposobów mogła przeanalizować to uczucie? Nie chodziło przecież o fizykę kwantową.

W piątkowy poranek była zła jak osa. Pewnie miała to wypisane na twarzy, kiedy po dwóch godzinach snu obudził ją zapach kawy.

Julian czytał gazetę, a Nicole smażyła bekon i górę naleśników, której nie byliby w stanie zjeść we dwoje.

– Z jagodami – zwróciła się do Charlotte, wskazując talerz. – Często się. – Po chwili dodała: – Kiepsko wyglądasz.

Charlotte nalała sobie kawy do największego kubka, jaki znalazła.

– Nie wyspałam się.

– Wychodziłaś wieczorem?

– Nie.

– Problemy z Leo?

Co za intuicja, pomyślała cierpko Charlotte, zastanawiając się, czy nie usłyszała w głosie przyjaciółki satysfakcji. Zresztą nie miała wątpliwości, że Nicole ucieszy się z ich zerwania. Od początku była przeciwna ich związkowi. Charlotte nie chciała o tym teraz dyskutować, więc powiedziała:

– Co mamy na dzisiaj zaplanowane?

Pytanie było idiotyczne, zważywszy na liczbę wydrukowanych planów zajęć. Ale skoro Leo był tematem tabu, to co innego jej pozostało? Tylko praca mogła ją ocalić. Jak zawsze zresztą. W końcu czy nie dlatego tak kochała podróże? Przecież nie miała domu, w którym chciałyby zostać.

\*

*Cześć – napisał do niej o dziesiątej. To wszystko, zwykle „cześć”.*

*O jedenastej wysłał kolejny SMS: Jesteś tam?*

*Tak.*

*Ignorujesz mnie?*

*Staram się. Mam dużo roboty.*

*Cierpię.*

*Leo żartował. Ona nie.*

*Ja też.*

*Zjemy razem lunch?*

*W miasteczku? Nie zniosłaby tego. A może u niego? Na gruzach ich szczęścia i z Niedźwiedziem – nie cierpiała psów, ale jego kochała – leżącym u jej stóp? Jeszcze gorzej.*

*Muszę pracować, Leo, naprawdę.*

*Odpychasz mnie.*

*Tak, żebym mogła pracować. Proszę, uszanuj to w końcu.*

*W końcu?*

*Charlotte westchnęła i wysłała ostatnią wiadomość:*

*Zapomnij, że to napisałam. Porozmawiamy o tym kiedy indziej. Teraz naprawdę muszę się*



*skupić na pracy. Proszę.*

Schowała telefon do kieszeni, postanawiając, że nie będzie go więcej odbierać. Usiłowała przekonać samą siebie, że właśnie na tym polega piękno spotkania się bez zobowiązań – nie była nikomu nic winna. Oczywiście ten układ miał również poważną wadę – czuła się niekochana i dlatego co jakiś czas sprawdzała, czy Leo nie odpisał. Kiedy wreszcie to zrobił, znów była na niego wściekła.

*Czy mogę liczyć na wspólną kolację?*

Gdyby odpisał wcześniej, pewnie by się nad tym zastanowiła, ale kiedy on się namyślał, Charlotte już coś sobie zaplanowała.

*Nie mogę. Jedziemy do Warrenów.*

*W takim razie później. Przyjadę po ciebie.*

Tylko że Nicole potrzebowała jej tego wieczoru, a Charlotte miała zamiar wypić tyle wina, żeby zaraz po powrocie do domu położyć się do łóżka i zasnąć, nie zastanawiając się nad tym, dlaczego Leo nie potrafi się zaangażować.

*Dziś nie mogę, Leo. Przykro mi.*

\*

Wieczorem Charlotte wystroiła się, co według wyspiarskich standardów oznaczało włożenie bluzki i spódnicy. Spódnica była krótka, a sandały na koturnie, więc miała poczucie, że mogłaby poderwać faceta, gdyby tylko u Warrenów pojawił się ktoś interesujący. Tak się jednak nie stało. Plan upicia się również nie wypalił, przede wszystkim dlatego że widok Juliana przypominał Charlotte o przykrych konsekwencjach spożycia zbyt dużej ilości wina. Skończyło się więc na tym, że często się śmiała, kiwała głową i odpowiadała na pytania, tak naprawdę jednak nie miała serca do zabawy. W drodze powrotnej czuła się pusta i tak ją to zirykowało, że kiedy przyjechali pod dom i zauważyła na końcu podjazdu granatowego pick-upa, odkryła w sobie pokłady nowej energii. Gdy tylko zaparkowali, wyskoczyła z samochodu i nie zwracając uwagi na trzask zamykanych drzwiczek za plecami, ruszyła w kierunku domu. Była w połowie drogi, kiedy Leo chwycił ją za ramię.

– Musimy porozmawiać – powiedział.

Charlotte wbiła wzrok w jego dłoń.

– Nie dzisiaj.

– Nie odtrącaj mnie.

Popatrzył na nią, jednak w ciemności jego oczy były nieprzeniknione. Szczęki miał zaciśnięte, twarz chowała się w cieniu.

– Chcesz rozmawiać o tym, kto tu kogo odtrąca?

– Możemy porozmawiać o wszystkim.

Charlotte przez większość dnia prowadziła wyczerpujący monolog wewnętrzny, poza tym czy nie powiedziała mu, że to nie jest dobry moment na rozmowę?

– Jestem zmęczona.

Mimo to Leo nie zwolnił uścisku, który niemal sprawił Charlotte ból, kiedy pociągnął ją w stronę furgonetki.

– Hej! – zawołała Nicole. – Nie możesz jej tak traktować. Której części słowa „nie” nie zrozumiałeś? Ona nie chce z tobą iść.

Leo zatrzymał się i wymamrotał pod nosem:

– Powiedz jej, żeby pilnowała własnych spraw.

– Nicole mnie kocha – odparła Charlotte.

Mężczyzna opuścił rękę i zacisnął usta w gniewną kreskę.

– W porządku. A więc to z nią wiążesz swoją przyszłość? Niech ci będzie. Tylko jej potrzebujesz? Świetnie. – Cofnął się o krok.

Serce Charlotte ścisnęło pożądanie i tęsknota.

– Nie wiąże swojej przyszłości z Nicole i to nie jej potrzebuję, ale jest moją przyjaciółką i mnie kocha, więc się o mnie troszczy.

– Tak jak ja.

– Czy tylko na to cię stać?

– Nie.

Charlotte przypatrywała mu się, myśląc o tym, że jedno czy dwa słowa nie wystarczą. Wiedziała, że kryje się w nim znacznie więcej i że nie może od niego tak po prostu odejść. Posłała Nicole wymowne spojrzenie, uniosła dłoń, rzuciła krótkie: „Nic mi nie jest” i ruszyła przez trawnik. Przecięła drogę, obeszła furgonetkę, oparła się o drzwi i z wściekłością skrzyżowała ramiona na piersi.

Leo dołączył do niej w okamgnieniu. Przycisnął ją biodrami do karoserii, podniósł jej rękę, przytrzymał je nad głową Charlotte jedną dłonią, a drugą objął jej twarz. Wycisnął na ustach Charlotte gniewny pocałunek, natarczywy jak nigdy przedtem. W ciągu tych kilku sekund wcielił się w rolę niebezpiecznego odludka, który groził nieproszonym gościom i strzelał dla sportu do mew.

Charlotte pragnęła mężczyzny, którego poznała później. Odpowiedziała więc agresją na agresję, domagając się więcej. Wyswobodziła ręce, żeby mogła go nimi dotykać. Chwyliła Leo za włosy, kiedy jego usta odnalazły jej szyję, a kiedy dłonie mężczyzny zacisnęły się na jej piersiach, wsunęła palce pod jego dżinsy i przyciągnęła do siebie. Całowali się namiętnie, a kiedy Leo zaczął coraz mocniej się o nią ocierać, wsunęła dłonie pomiędzy ich złączone ciała i dotknęła go tam.

– Jeezu – jęknął Cole i zakrył jej dłoń swoją, przytrzymując ją. Próbuje odzyskać nad sobą panowanie, przytulił się do Charlotte, przyciskając usta do czubka jej głowy.

Charlotte gwałtownie zaczerpywała powietrza, z każdym oddechem coraz bardziej upajając się jego obecnością. Zawsze pachniał świeżo, chociaż nie była to woń ziół, tak jak to sobie kiedyś wyobrażała. Mógł dodawać do jej kąpieli mięty i szalwii, ale sam pachniał mydłem Irish Spring. Charlotte odchodziła od zmysłów z podniecenia.

– Zrób to – powiedziała przez zaciśnięte zęby, ciągnąc go za rozporek.

Leo cicho zaklął, kiedy jej dłoń się zacisnęła.

– Tutaj?

– Przecież weszli do domu. Zrób to – ponagliła, nie mogąc się dłużej opanować. Jeśli był to jedyny sposób, w jaki potrafili się komunikować, postanowiła go wykorzystać, chociażby po to, żeby się przekonać, czy nadal tak jest.

Leo gorączkowo podciągnął spódnicę Charlotte, szarpnięciem rozerwał jej majtki i uniósłszy jej nogi, wtargnął do środka.

Charlotte jęknęła, oszołomiona nagłym doznaniem, i po raz drugi, kiedy uderzyła plecami o karoserię, ale gdyby Leo spróbował zwolnić, nie pozwoliłaby mu. Był ostry, ale właśnie tego potrzebowała. Zresztą nie pozostawała mu dłużna: całowała go, szarpała za koszulę i ujeżdżała szaleńczo, dopóki z gardła Leo nie wyrwał się głęboki dźwięk; w tym samym momencie i ona rozpadła się na kawałki.

Po spełnieniu długim jak wieczność Leo oparł się o Charlotte, przytrzymując ją, kiedy osłabła. Przez chwilę pozostał w środku, dysząc coraz wolniej, zanim w końcu się z niej wysunął, lecz nawet wtedy nie przestał jej tulić.

Furgonetka, stłumione uderzenia fal oceanu o brzeg, ich nagość, jej gniew... Charlotte

z wolna odzyskiwała świadomość. Nagle przyszło jej do głowy, że Leo karał ją za to, co sam wycierpiał wiele lat temu, ale jeśli nawet tak było, nic nie mogła na to poradzić. Musieli iść dalej.

Pozwoliła swoim nogom zsunąć się w dół, przycisnęła twarz do jego klatki piersiowej i wsłuchiwała się w rytm jego serca, który nieco się uspokoił, ale wciąż był przyspieszony.

– Nie mogę wypowiedzieć słów, które chciałabyś usłyszeć – odezwał się wreszcie.

Charlotte stała bez ruchu.

– Bo nie czujesz tego, co ja?

– Po prostu nie mogę. Nie wiem, dokąd to wszystko zmierza.

– Ale co czujesz?

– Czuję... że robię coś, czego przysiągłem sobie, że nie powtórzę. Postanowiłem, że nigdy więcej się tak mocno nie zaangażuję.

Nie była to deklaracja, którą chciała usłyszeć, ale zawsze to jakiś początek.

– Ludzie się zmieniają.

– Naprawdę? Spójrz na mnie. Jestem taki jak zawsze. – Przeczesał palcami krótkie ciemne włosy w geście nie tyle frustracji, ile niedowierzania. – Nie spodziewałem się tego wszystkiego: książki, ciebie. Jestem w kropce, Charlotte. Nie mam pojęcia, jak do cholery powinienem się zachować.

Przypominając sobie słowa Angie, Charlotte powiedziała:

– Życie jest jak gra w karty. Nie wiesz, jakie karty dostaniesz. Ale zamiast myśleć o tym, co było kiedyś, Leo, pomyśl o tym, co masz teraz.

– Patrzę na to, co mam – szepnęła, a Charlotte utonęła w chmurnych niebieskich oczach ukochanego mężczyzny.

Objęła dłońmi jego twarz i całowała tak długo, aż jego wąskie wargi poddały się pocałunkom. Nie powiedziała ani słowa więcej. Leo nie lubił dużo mówić, a ona nie chciała zepsuć tej chwili. Kiedy jednak wrócili do jego domu, Charlotte przebrała się w bluzę Leo i poszli razem na pomost, pomyślała o tych kilku tygodniach, które jej zostały. Nie musiała nic mówić, mogła mu pokazać, co czuje. Zapaść w serce tak głęboko, żeby zatęsknił za nią, jeszcze przed jej wyjazdem. Przeżył już coś podobnego, jednak tym razem była gotowa spotkać się z nim w połowie drogi.

Wybór należał do niego.

\*

Nicole stała w ciemności przy frontowym oknie długo po tym, jak furgonetka odjechała. Zatopiona w myślach, podskoczyła nerwowo, kiedy Julian objął ją w pasie. Przytuliła się do niego z wdzięcznością.

Quinnipegue miało na niego dobry wpływ. Po dziewięciu dniach pobytu na wyspie Julian sprawiał wrażenie bardziej wypoczętego i silniejszego. Odzyskał nawet parę kilogramów straconych podczas kuracji feralnym lekiem. Objawy choroby pozostały bez zmian. Nawet teraz czuła drżenie jego dłoni, ale przytrzymała ją swoją. Julian nie był poważnie osłabiony, a ona pogodziła się z myślą o przeszczepie komórek macierzystych. W końcu sama mu go umożliwiła. Mimo to jakaś drobna jej częśćka żałowała, że tak się spieszą, że nie oswoili się z jego chorobą przed podjęciem tego ryzykownego kroku.

Julian błędził gdzieś myślami, opierając podbródek na głowie żony.

– Dlaczego jesteś taka wściekła?

Nicole westchnęła. Powodem był Leo.

– Bo on nie jest dla niej odpowiednim mężczyzną.

– Skąd wiesz?

– W niczym nie przypomina ciebie.

– Nicki – upomniał ją ze śmiechem. – Dlaczego miałby być taki jak ja? Jesteście z Charlotte jak ogień i woda. Ty jesteś słodka i wspaniałomyślna, ona niezależna i porywcza.

– Brakuje ci we mnie którejs z tych cech? – zapytała Nicole.

Nigdy nie pozbędzie się z głowy ich obrazu jako pary oraz myśli, że pod pewnymi względami nie sprawdziła się jako kobieta.

– Nie. Kocham cię taką, jaka jesteś.

Nicole czuła, że często będzie potrzebowała podobnych zapewnień. Zamknęła oczy i przysunęła twarz do szyi Juliana. Ostatnie dziewięć dni miało dobry wpływ również na ich małżeństwo. Rozmawiali, kochali się, spali blisko siebie. Bali się tego, co miało nastąpić, lecz im silniejszy stawał się Julian, tym większą miał szansę, że przeszczep się uda. Mimo to Nicole zastanawiała się, czy dni jej męża nie są policzone. Domyślała się, że on też się tym martwi; stał się spokojniejszy, łagodniejszy, bardziej ugodowy.

I skłonny do wybaczenia.

Kiedy mu o tym powiedziała, zapytał Nicole, co ma na myśli.

– Dziecko Charlotte – odparła.

– To było również moje dziecko – zauważył łagodnie. – Muszę zaakceptować fakt, że nigdy go nie poznałem, ale Charlotte zachowała się wspaniałomyślnie, ofiarowując mi te komórki. Nie musiała tego robić, podobnie jak nie musiała tu przyjeżdżać.

– Od początku byłeś temu przeciwny.

– To prawda – przyznał ze wstydem. – Ale wszystko dobrze się ułożyło. A teraz Charlotte zasługuje na szczęście, nie sądzisz?

Nicole szczerze pragnęła, żeby jej przyjaciółka była szczęśliwa, ale jakoś nie potrafiła znaleźć z Leo wspólnego języka.

– I twoim zdaniem Cole ją uszczęśliwi?

– Nie mam pojęcia, ale ty też tego nie wiesz. Tylko Charlotte może znaleźć odpowiedź na to pytanie.

Nicole odchyliła głowę, usiłując zobaczyć w ciemności jego twarz.

– Twierdzi, że go kocha. Po pięciu tygodniach? Bo właśnie tyle to trwa, Jules: pięć tygodni. Widziałeś, jak agresywnie się z nią dzisiaj obchodził?

– Nie tak znów agresywnie, poza tym dała sobie z nim radę.

– Kim on właściwie jest? W porządku, udało mu się napisać *Salt*, ale czy będzie w stanie powtórzyć sukces? Ludzie może i kupią jego następną książkę, ale jeśli nie okaże się dobra, to się od niego odwrócą. Zresztą jak może być dobra? Facet mieszka na Quinnipeague, Jules. Kocham tę wyspę, ale skoro nigdy nie wyściubił stąd nosa... O, przepraszam, spędził trochę czasu w więzieniu, zapomniałam. Chyba nie napisze drugiej części *Salt* na podstawie swoich przeżyć? Akcję pierwszej powieści umieścił na wyspie takiej jak ta. Nie zdoła tego powtórzyć. O takich ludziach jak on mój ojciec mówił, że porywają się z motyką na słońce.

– Nieprawda – odezwał się cicho Julian. – Twój ojciec byłby nim zaintrygowany.

Zaprosiłby go na kolację, żeby porozmawiać o tym, jak udało mu się odnieść tak spektakularny sukces.

Nicole była zszokowana.

– Chcesz, żebym zaprosiła Leo na kolację? Mój Boże, Julian! W ten sposób dałabym Charlotte sygnał, żeby robiła z nim, co tylko zechce.

Julian westchnął.

– Maleńka, nie jesteś jej matką.

– Ale ją kocham, a ona zachowuje się, jakby straciła rozum. Leo wykorzystuje ją, póki

może.

– Możliwe, że się mylisz – odezwał się bardziej zdecydowanym tonem, co sprawiło, że Nicole poczuła się urażona. Zgodziła się na kurację, na której mu zależało, chociaż sama była jej przeciwna, a Julian i tak miał do niej pretensje.

– Mylę się? Tak jak wtedy, kiedy powstrzymałam cię od walki? Kiedy nie pozwalałam ci się leczyć?

Julian zacisnął usta.

– Mówiąc to, wyładowałem na tobie swoją frustrację. Teraz ty robisz dokładnie to samo. Denerwujesz się książką kucharską, gniewasz się na swoją matkę i oboje wychodzimy ze skóry, czekając na sygnał od Hammona, ale Leo nie jest niczemu winien. Traktujesz go jak uosobienie wszystkiego, co złe w naszym życiu. To nieuczciwe, Nicki.

Nicole nie była pewna, czy się z nim zgadza, ale nie chciała się więcej kłócić. Tak dobrze im się ostatnio układało, poza tym szkoda jej było czasu, którego być może nie zostało im wiele. Obróciła się więc w ramionach męża i pocałowała go.

– Kocham cię – szepnęła.

Wyczuła na jego ustach uśmiech.

– Czy to ma sprawić, żebym się zamknął?

– Tak. – A po chwili namysłu dodała: – Ostatnio wiecznie się ze wszystkimi kłócę: z Charlotte o Leo, z Leo o Charlotte, z mamą o tatę, Toma i dom, a raczej kłóciłabym się z nią, gdybyśmy zaczęły się do siebie odzywać. Kłócę się nawet z Kaylin, która nie robi nic, tylko się bawi na Manhattanie, dopóki nie zacznie się rok akademicki, a kiedy próbuję ją o to zapytać, schodzi na temat SM i nie możemy się dogadać. Nie chcę się kłócić jeszcze i z tobą.

Julian nie dyskutował z nią o tym, tylko zaprowadził ją do sypialni, chociaż kiedy zachwiał się na schodach, to ona musiała mu pomóc.

Nicole wiedziała, że temat nie został zamknięty. Jeśli rano wrócą do tej rozmowy, Julian nadal będzie obstawał przy swoim. I niewykluczone, że miał rację. Być może demonizowała Leo, chociaż sama w to nie wierzyła. Martwiła się o przyjaciółkę. W każdym razie wolałyby umrzeć, niż zachęcić Leo Cole'a do spotkania się z Charlotte.

\*

Charlotte nie musiała go do niczego zachęcać. Chociaż nie wypowiedział tych dwóch wyjątkowych słów, okazywał jej mnóstwo zainteresowania i czułości: podwoził do miasta i przygotowywał do wywiadów, zadał sobie trud, by porozmawiać z innymi wyspiarzami podczas niedzielnego festynu pod koniec lipca, kochał się z nią pod prysznicem, w wannie, w łóżku i na łodzi; był interesującym towarzyszem rozmów, oddanym pomocnikiem i świetnym kochankiem. Jak na ironię losu Charlotte angażowała się coraz bardziej, chociaż zależało jej na tym, by to on mocniej się zaangażował.

Cieniem na ich związku kładła się postawa Nicole, która nie cierpiała Leo i trzymała go na dystans, ilekroć ich drogi się przecięły. Charlotte wmawiała sobie, że o to nie dba, lecz w głębi duszy zależało jej na błogosławieństwie przyjaciółki. Czy Nicole nie traktowała Charlotte jak siostry, zawsze biorąc jej stronę w konfrontacji z Angie i Bobem? Teraz Charlotte związała się z Leo, była sama przeciwko światu i miała nadzieję, że ktoś ją zrozumie. Wiedząc, że tym kimś nie będzie Nicole, nie prosiła jej o wsparcie. Kiedy były razem, koncentrowała się na pracy. Ignorowanie tematu Leo wydawałoby się jej komiczne, gdyby nie to, że sprawiło jej przykrość. Charlotte spędzała z nim przecież cały swój czas poza pracą i spotkaniami z Nicole: większość wieczorów i niektóre noce. Częściej czesała włosy, używała tuszu do rzęs, kupowała swetry, apaszki i naszyjniki w miejscowym sklepie; zaczęła bardziej dbać o wygląd. Nicole musiała to

zauważyć, ale nic nie powiedziała.

– Ma teraz głowę zaprzątniętą różnymi problemami – powiedziała Charlotte do Leo, kiedy w środę wieczorem przyjechał po nią, żeby zabrać ją na kolację. – Martwi się przeszczeniem Juliana. Nie jest sobą.

– Hej – odezwał się Leo, otwierając drzwi furgonetki. – Nie musisz się przejmować moimi zranionymi uczuciami. Nic mi nie jest.

Skoro tak, pomyślała, nie będzie dłużej tłumaczyć zachowania przyjaciółki.

– Cóż, ja w każdym razie czuję się zraniona. Dlaczego ma z tobą problem?

– Może nie chodzi o mnie, tylko o ciebie.

Zaczekała, aż Leo okrąży samochód i usiądzie za kierownicą.

– Dlaczego? – zapytała z oburzeniem. – Ja też mogłabym mieć do niej żal. Dlaczego nie została z nami na plaży tamtego wieczoru? Bała się, że pobrudzi sobie piaskiem swoje śliczne pantofelki?

– Nicole jest wściekła z powodu tego, co zdarzyło się tamtej nocy, dziecka, którego ona pragnęła, a które ty urodziłaś, i wreszcie dlatego że dostarczyłaś Julianowi komórek macierzystych, które mogą mu uratować życie. – Objął dłońmi twarz Charlotte i pogłaskał ją za uszami. – Nie zadręczaj się tym, Charlotte. Ona się po prostu boi. Nie może się złościć na Juliana, więc wyładowuje się na tobie.

– Raczej na tobie – poprawiła go Charlotte. Z resztą jego słów się zgadzała.

– Może i tak, ale ja mam grubą skórę. – Zapalił silnik. – I jestem bardzo głodny.

\*

Island Grill był pełen gości. Szczęśliwie kilka minut po przyjeździe Charlotte i Leo zwolnił się stolik przy oknie. Widok na ocean dodawał uroku błękitnemu obrusowi, misie z kwiatami i zapachowi skwierczących steków. Leo jadł stek poprzedniego wieczoru, więc tym razem zamówił miecznika, Charlotte przegrzebki i zjedli swoje dania na spółkę. Podczas kolacji podeszły do nich trzy osoby, żeby dyskretnie zapytać, czy Julian doczekał się już telefonu ze szpitala. Wszyscy troje byli wieloletnimi przyjaciółmi rodziny, co wyjaśniało, dlaczego są tak dobrze poinformowani.

Ludzie ci nie mieszkali na wyspie przez cały rok, a mimo to nie mieli najmniejszego problemu z Leo, skonstatowała Charlotte. Leo był dobrze ubrany, umiał się zachować i wyglądał dziesięć razy lepiej niż reszta mężczyzn w lokalu, więc zaczęła się zastanawiać, czy Nicole nie jest po prostu zazdrosna. W Julianie nie było nic zawadiackiego. Owszem, był dystyngowany, ale nie wzbudzał większych emocji.

Leo był ekscytujący, przynajmniej dla Charlotte, lecz ona wiedziała, jaki potrafił być, kiedy zostawali sami. W Island Grill zachowywał się uprzejmie, lecz powściągliwie. Wydawało się, że nie dba o to, czy ktokolwiek podejdzie do ich stolika. Nie rozglądał się w poszukiwaniu znajomych twarzy, nie potrzebował towarzystwa innych ludzi. Nie zamówił najdroższego wina z karty, chociaż bez problemu mógłby sobie na nie pozwolić. Mimo że sprawiał wrażenie dobrze sytuowanego, żaden przyjezdny nie wzięby go za autora bestsellera z listy „New York Timesa”, co bardzo mu odpowiadało.

Truskawkowo-rabarbarowy deser z dwiema łyżeczkami, przyniosła im sama właścicielka restauracji. Michaela Bray nigdy nie przestała zadziwiać Charlotte. W Island Grill podawano wyłącznie proste, nieskomplikowane potrawy, tymczasem pięćdziesięcioletnia właścicielka lokalu miała krótkie, siwe włosy z różowymi pasemkami, starannie pomalowane na niebiesko powieki i tatuaż na szyi. Niedawno wróciła na wyspę z Sacramento, gdzie opiekowała się chorą matką, więc Charlotte nie zdążyła z nią jeszcze przeprowadzić wywiadu. Ustaliły już termin

i Charlotte uznała, że Michaela przyniosła im deser do stolika, żeby potwierdzić spotkanie.

Właścicielka wysunęła jednak krzesło, nachyliła się nad nimi i wymamrotała:

– Nie odwracajcie się, ale przy stoliku w kącie sali siedzi kobieta w czerwonej bluzce. To dziennikarka.

Charlotte popatrzyła na Leo, który ledwie zerknął we wskazanym kierunku. Chociaż nie okazał zdenerwowania, Charlotte poczuła, że noga, którą jej dotykał, nerwowo się napina.

– Po co przyjechała? – zapytał, spoglądając na Michaelę.

– Jej rodzice wynajęli tu domek na kilka tygodni.

– A więc nie pracuje – zauważyła Charlotte, bagatelizując zagrożenie.

– Oficjalnie nie, ale rozpowiada wszem i wobec, że właśnie skończyła pisać artykuł o Clooneyu dla „People” – ostrzegła Michaela szeptem. – Takie jak ona chwytają za aparat, gdy tylko zwęszą temat: świętek, piątek czy niedziela. Żaden z mieszkańców wyspy nie powie jej, kim jesteś, a ty potrafisz zachować dyskrecję, więc nie dowie się przez przypadek. Chciałam was tylko uprzedzić. – Wyprostowała się i już normalnym głosem powiedziała do Charlotte: – Widzimy się w piątek o dziesiątej.

Charlotte kiwnęła głową.

– Będę na pewno.

Deser był świetny, lecz żadne z nich nie zdołało się nim w pełni nacieszyć; Leo za bardzo starał się udawać obojętność, a Charlotte przez cały czas zastanawiała się, jak mu pomóc.

Kiedy wsiedli do samochodu, zapytała:

– Często ci się to zdarza? No wiesz, wścibscy ludzie spoza wyspy?

Leo wyjechał z parkingu, wzruszył ramionami i, zmieniając bieg, ruszył w kierunku domu.

– Czy to by było takie straszne, gdyby świat się o tobie dowiedział? – naciskała Charlotte.

– Nie wiem. – Przez chwilę prowadził w milczeniu, aż w końcu odbił piłeczkę: – A dla ciebie?

– Nie.

Jechali teraz wzdłuż kolonii małży.

– Ale jeśli się ujawnię i na wyspę zaczną się zjeżdżać tabuny czytelników, nie tylko ja na tym ucierpię. Turystyka jest czymś wspaniałym, pod warunkiem, że nie niszczy miejscowych walorów. Właśnie dlatego mieszkańcy Quinnie dotrzymują mojego sekretu. Oni też się boją.

Charlotte zaświtała w głowie pewna myśl.

– A więc dążysz do tego, żeby twoja pisarska kariera się skończyła? – Leo spiorunował ją spojrzeniem, ale nic nie odpowiedział, więc mówiła dalej: – Nie chcesz wydać drugiej powieści?

– Nadal milczał. – A co z ofertami, które dostałaś? Już raz udało ci się zachować anonimowość. Tym razem też możesz ją sobie zastrzec w umowie.

– Nie byłbym tego taki pewien – odparł Leo. – Mój prawnik twierdzi, że wydawca nie daje mi spokoju. Podobno domaga się mojego udziału w trasie promocyjnej, kiedy na rynku ukaze się wersja *Salt* w miękkiej oprawie.

– Jeśli zależy im na drugiej książce, zgodzą się na wszystko, co zechcesz, a jeśli nie, zrobi to inny wydawca.

– Przecież nie mam na razie drugiej książki, którą mógłbym im sprzedać – wymamrotał pod nosem. – Chcę tego, Charlotte, ale po prostu brakuje mi weny.

– A co cię zainspirowało do napisania *Salt*? Ta książka jest wspaniała. Zawdzięczasz to wszystko panienci z Phoenix?

Leo skrzywił się, słysząc ten epitet.

– Nie.

– W takim razie czemu?  
– Moim marzeniom. – Nie spuszczał wzroku z drogi.  
– A więc to, co was łączyło, nie było prawdziwe? – zdziwiła się Charlotte.  
– Wydawało mi się, że jest, ale z perspektywy czasu... – Pokręcił głową. – To wszystko było marzeniem: ona, *Salt*. Gdybym mógł, zmieniłbym zakończenie, ale reszta tej opowieści jest moim marzeniem o tym, co mogłoby się zdarzyć.

Charlotte była głęboko poruszona. Leo nie patrzył na nią i wyraźnie czuł się skrępowany. Przypomniała sobie pierwsze zdanie *Salt*: „Każdy człowiek pragnie miłości, jeśli zdoła pokonać strach przed obnażeniem”. Leo właśnie się przed nią obnażył. *Salt* mógł być dziełem wyobraźni, lecz jego autor okazał się wrażliwym, skomplikowanym człowiekiem. Pozostawała też kwestia spojrzenia „z perspektywy czasu”. Jeśli Leo twierdził, że to Charlotte nauczyła go, czym jest prawdziwa miłość, jego wyznanie miało wielką wartość.

Zaparkował za domem, pomógł jej wysiąść z samochodu, po czym – zatopiony w myślach – odszedł. Charlotte ruszyła za nim do ogrodu, w którym dominował zapach lawendy.

Usiadła obok niego na ziemi i wsunęła rękę Leo w zgięcie swojego łokcia.

– Nie musisz się ukrywać, Leo. Powinieneś być dumny z tego, co osiągnąłeś.

– Z jednej jedynej rzeczy.

– Wcale nie z jednej.

Leo przyglądał się jej palcom, pocierając długim kciukiem kciuk Charlotte.

– Zawiodłem cię bardziej niż innych.

– Bardziej niż ją? – zapytała Charlotte, chcąc to wreszcie potwierdzić.

– Paniękę z Phoenix? – Uśmiechnął się do niej gorzko. – Nie ma między wami porównania. Byłem wtedy młody. Gdybym był chociaż trochę mądrzejszy, wiedziałbym, że ze mną nie zostanie. Mogłem się tego domyślić. Nie lubiła mieszkańców wyspy. Nie cierpiała Niedźwiedzia. Miała alergię na ryby. – Uśmiechnął się smutno. – Nigdy nie rozmawiałem z nią tak jak w książce.

– A więc dialogi w *Salt* są wymyślone.

– Brzmiały tak, jak je sobie wymarzyłem.

My tak rozmawiamy – pomyślała Charlotte, lecz wiedziała, że i on to wie.

– Jestem teraz inny, co? – zapytał.

– Niż tamten gburowaty facet na dachu?

Jego uśmiech w ciemności był równie piękny jak sierp księżycy.

– Gburowaty?

– Opryskliwy, zamknięty w sobie milczek. Rzeczywiście zrobiłeś postępy. – Zamilkła, przypominając sobie pierwsze dni ich znajomości, i skinęła głową w kierunku ziół. – Kiedy pozwolisz mi je sfotografować?

– Może jutro?

Charlotte z wrażenia odebrało mowę. Myślała, że Leo się nie zgodzi.

– Mówisz poważnie?

– Ziola trzeba rozsadzić. Muszę pojechać do sklepu żelaznego po narzędzia, przesadzić zioła do doniczek i je rozwieźć.

– Rozwieźć?

– Zawieźć mieszkańcom wyspy, którzy posadzą je w swoich ogródkach.

– I pozwolisz mi wykorzystać zdjęcia w książce? – Wolała się upewnić, że dobrze ją rozumiał.

Kiwnął głową.

– Robisz to dla Nicole?



– Robię to dla ciebie. Przyjedź o świcie. Wtedy jest najlepsze światło.

\*

Nie mogła się doczekać, żeby powiedzieć o wszystkim Nicole. Nie tylko dlatego że koniec końców to ona, Charlotte, miała rację. Przede wszystkim jednak wiedziała, że Nicole przestanie się tak martwić o książkę i spojrzy przychylniejszym okiem na Leo.

Nicole czekała na nią przy kuchennym stole, zaciskając palce na garści maleńkich czerwonych listków. Kiedy się odezwała, jej głos był cichy i przestraszony.

Wcześniej tego wieczoru zadzwonił Mark Hammon i poprosił, żeby następnego dnia Julian przyjechał do Chicago.

\*

Pośród gorączkowego pakowania, wydawanych w ostatniej chwili instrukcji i odwożenia Nicole i Juliana do portu Charlotte odsunęła wszystko inne na dalszy plan. Zdjęcia ziół były piękne, ale ta sprawa dotyczyła życia i śmierci.

Nicole miała wszystko pod kontrolą, podczas gdy jej mąż był dziwnie rozkojarzony. Kiedy łódź pocztowa zawinęła do portu i Julian wsiadł na pokład, Charlotte mocno przytuliła Nicole.

– Jesteś niesamowita – powiedziała cicho. Kiedy Nicole poddała się uściskowi i zaczęła się trząść z nerwów, dodała: – Jesteś silna. Julian sobie poradzi, pomożesz mu przez to przejść. – Odsunęła się i spojrzała przyjaciółce w oczy. – Nie spieraj się ze mną. Podjęłaś słuszną decyzję i nigdy nie przestanę cię kochać.

Nicole patrzyła na nią wzrokiem pełnym niepewności. Kurczowo trzymała się Charlotte, dopóki kapitan łodzi nie zatrąbił na nią ponagląco.

– Jesteś najlepsza – szepnęła w końcu i, cofając się o krok, głęboko odetchnęła. Przybrała pewną siebie minę, odwróciła się i wsiadła do łodzi.

## Rozdział 26



Obserwując w czwartkowy poranek znikającą za horyzontem łódź, Charlotte zastanawiała się, w jakim stanie będzie Julian, kiedy znowu go zobaczy. Biorąc pod uwagę, że przeszczepy komórek macierzystych z krwi pępowinowej nadal były w fazie eksperymentalnej, mógł równie dobrze wyzdrowieć, jak i umrzeć. Jeśli dodać do tego badania, czekanie i martwienie się o wynik przeszczepu, Charlotte bała się, że dni będą jej się niemiłosiernie dłużyć.

Leo odłożył rozsadzanie ziół na następny dzień, wiedząc, że Charlotte nie będzie miała serca, żeby je fotografować, więc zajęła się załatwianiem najpilniejszych spraw: przeprowadziła kilka wywiadów, upomniała się o zaległe przepisy, sprawdziła, czy dotarły do nich wszystkie zgody na wykorzystanie materiałów w książce, i pojechała po te, których brakowało. Nadal musiała opisać większość bohaterów książki, lecz wiedziała, że najlepiej będzie to zrobić pod presją czasu, gdy już załatwi resztę.

Zajęła się również tym, co było najpilniejsze i najbardziej stresujące dla Nicole – czytaniem jej tekstów. Nie wymagało to zbyt wielkiego wysiłku. Nicole dobrze pisała. Jej styl był ciepły i osobisty, podobny do tego na blogu, i nadawał książce odpowiedni charakter. Charlotte co chwilę się uśmiechała, słysząc w głowie entuzjastyczny głos Nicole. Była pod wielkim wrażeniem, biorąc pod uwagę zgryzoty, z którymi musiała się zmierzyć jej przyjaciółka, pisząc te słowa. Charlotte usunęła kilka literówek i pojawiające się gdzieś słowa „jakby” i „to znaczy”, które zaburzały płynność tekstu, ale bardzo się starała nie zmieniać jego stylu.

Po wysłaniu zredagowanych plików do Chicago zabrała się do lektury pozostawionych przez Nicole notatek. Potem napisała wstępy do kilku ostatnich rozdziałów, naśladowując styl przyjaciółki. Okazało się, że nie miała z tym większych problemów.

Później przyszła kolej na zdjęcia. Leo miał rację co do pory dnia: o świcie ogród spowijała magiczna poświata. Z kolei światło późnego poranka okazało się korzystne dla wyższych roślin, zaś popołudniowe dla tych o dużych liściach. Ostatecznie Charlotte zrobiła setki zdjęć ogrodu i pracującego w nim Leo. Oczywiście jego wizerunek nie mógł pojawić się w książce; Leo zastrzegł to sobie na samym początku.

– Zaufaj mi – powiedziała Charlotte. – Te zdjęcia są dla mnie.

Nie kłamała. Przegrała fotografie na osobną kartę pamięci i przez długie godziny pracowała nad resztą.

Kiedy już wysłała Nicole dostatecznie dużo materiału, żeby podnieść ją na duchu, Charlotte zajęła się własną pracą i zbieraniem informacji o południowo-zachodniej Francji. Od wielu tygodni nie myślała o swoim następnym zleceniu, ale teraz przyszedł ten czas. Po dwudniowym pobycie w Paryżu miała pojechać szybkim pociągiem do Bordeaux i przeprowadzić wywiady z właścicielami niewielkiej winnicy. Jej wydawca zadzwonił, by potwierdzić szczegóły podróży, więc Charlotte spędziła przy komputerze kilka godzin, wyszukując informacje źródłowe. Wysłała e-mail do swojej *amie Parisienne*, Michelle, u której planowała się zatrzymać na początku i na końcu swojego pobytu we Francji, a ponieważ później wybierała się do Toskanii, skontaktowała się też z wydawcą, który finansował jej pobyt we Włoszech.

Łącznie miało jej nie być przez trzy tygodnie. Po raz pierwszy w życiu przerażała ją perspektywa tak dalekiego i długiego wyjazdu, i winiła za to Leo. Obserwując go, pochylonego nad komputerem lub telefonem, jego wyciągnięte nogi i zręczne palce, słyszała w głowie tykanie zegara tak głośne, że zastanawiała się, czy nie przełożyć lotów i nie zostać na Quinnepeague aż do Święta Pracy. Ale to by było tylko odwiekanie nieuniknionego. Praca stanowiła nieodłączną część jej charakteru.

Po wyjeździe Nicole Charlotte nie miała zamiaru spać sama. Każdego dnia zaglądała do dużego białego domu, którym opiekowała się pod nieobecność właścicielki. Leo często jej towarzyszył, ale nie czuł się tam swobodnie. Jego dom był jego twierdzą i to w nim czuł się bezpiecznie. Miał też sporo pracy. Jeśli nie analizował wyników sprzedaży e-booków, nie omawiał ze swoim prawnikiem lub wydawcą szczegółów wprowadzenia na rynek książki w miękkiej oprawie i nie szukał w internecie nowych sposobów na wypromowanie *Salt*, wówczas sprzątał dach po letnich burzach lub czyścił łódź. Wyglądało na to, że chwilowo dał sobie spokój z pisaniem nowej książki, chociaż Charlotte podejrzewała, że właśnie o tym myślał, spacerując nocą po domu w samych spodenkach lub bez nich. Regularnie zamawiał nowe książki i kiedy Charlotte spała, czytał je, zostawiając na łóżku kolejne powieści, wspomnienia czy biografie. A rano, kiedy się budziła, zawsze czekał na nią ze śniadaniem.

Trzy tygodnie bez Leo, trzy tygodnie takiego życia, jakie wiodła, zanim się poznali, trzy tygodnie bez gwarancji, że ją zechce, kiedy znowu do niego wróci – strach ani przez moment nie opuszczał Charlotte. Wiedziała, że Leo też go odczuwa. Jego zagubione spojrzenie sprawiało, że kochała go jeszcze bardziej.

Był też Niedźwiedź – pod pewnymi względami bardziej komunikatywny niż jego pan – którego warczenie zamieniało się w błogi pomruk, kiedy głaskała go po nodze lub po jedwabście miękkiej sierści na uszach. Nie mogła uwierzyć, że kiedyś bała się tego psa. Był pieszczochem, niestety niemłodym. Martwiła się o niego, martwiła się o Leo, kiedy Niedźwiedź umrze, i o siebie, kiedy się o tym dowie.

O tak, Niedźwiedź niewątpliwie odgrywał ważną rolę w jej pragnieniu pozostania na Quinnepeague, podobnie jak sama wyspa. W sierpniu było tu bajecznie zielono, z drzew zwisały gąsienice miernikowca, a liści było tak dużo, że ich wyjedzone części ledwie dało się zauważyć. Porankami gęsta mgła osiadała na dachach, rozmywając szarość sfatygowanych gontów, lecz nie odbierając intensywności różowym *rosa rugosa* i niebieskim hortensjom. W deszczowe dni powietrze przenikał zapach palonego drewna, w słoneczne – sosnowej żywicy, a niezależnie od pogody – morskiej bryzy.

W ogrodzie Leo zawsze najbardziej intensywnie czuć było woń ziół. Charlotte wiedziała, że za nią też będzie tęsknić.

O nie; czas jej się nie dłużył. Wymykał się z alarmującą szybkością.

\*

Ostatnio Nicole często myślała o rzeczach, które jej się wymykały. Wspomnienia o ojcu, umiejętność porozumienia się z matką, zainteresowanie jedzeniem, modą, a nawet swoją książką kucharską – traciła kontakt z tym, co znajome.

Po części dlatego że opuściła wyspę, która była jej łącznikiem z przeszłością.

Po części dlatego że jej matka się nie odzywała.

Po części dlatego że spędzała długie godziny w szpitalu, gdzie indywidualizm ustępował miejsca praktycznym kitlom i sterylnym fartuchom.

Przed wszystkim jednak dlatego że odkąd wylądowali w Chicago, Julian coraz bardziej zamykał się w sobie. Coraz częściej zastawała go wpatzonego tępo w dywan, w okno czy ekran

telewizora. Kiedy włączał iPada, na ogół pozostawał na stronie startowej, zamiast przeczytać któryś z załadowanych wcześniej dzienników. Odpowiadał na pytania żony, nawiązywał z nią kontakt wzrokowy i nawet się uśmiechał, ale nigdy nie rozpoczął rozmowy.

Nicole zaproponowano pomoc terapeutę. Choroba zwykle odbija się bardziej na członkach rodziny niż samym pacjentem – mówili, ale Nicole w to nie wierzyła. Julian cierpiał emocjonalnie. Nie potrzebowała terapeuty, by wiedzieć, że jest przerażony, ale kiedy przypominała mu, że może się jeszcze wycofać, upierał się przy swoim. W najtrudniejszych chwilach zastanawiała się, czy to, że jej się wymykał, miało być zapowiedzią tego, co wkrótce nastąpi.

\*

W piątek rano członkowie zespołu Hammona prześwietlili mózg i rdzeń kręgowy Juliana. Badanie było szybkie i bezinwazyjne. Przeprowadzone po południu nakłucie łądźwiowe okazało się bardziej skomplikowane. Julian dobrze zniósł i sam zabieg, i leżenie przez półtorej godziny pod opieką pielęgniarki, która ciągle pytała – wręcz zadreślała go pytaniami – czy nie boli go głowa, czy nie czuje mrowienia lub drętwienia kończyn. W końcu nie wytrzymał i krzyknął, że jest lekarzem i wie, czego się spodziewać. Nicole mogłaby mu przypomnieć, że pielęgniarka wykonuje tylko swoją pracę, że od członków własnego zespołu sam oczekiwał podobnego zaangażowania i że lekarze pacjenci potrafią być prawdziwym utrapieniem, ale nie chciała go jeszcze bardziej denerwować. Na szczęście nie pojawiły się bóle głowy, zaś przyczyną drętwienia i mrowienia kończyn była tylko choroba.

W sobotni rano, po tym jak pobrano Julianowi krew, zaczęła mu odmawiać posłuszeństwa lewa noga. Nicole nie wiedziała, czy to objaw SM, czy skutek osłabienia po oddaniu wielu fiolek krwi, ale nie chciała narzekać. Mark najwyraźniej wolał się upewnić, czy wszystkie najważniejsze organy Juliana funkcjonują prawidłowo przed rozpoczęciem ryzykownego przeszczepu.

Podczas badań Nicole siedziała w pobliskiej poczekalni lub stała samotnie w korytarzu tuż obok sali, w której leżał Julian. Czekanie nie było takie złe. Chociaż wiedziała, że każde badanie przybliży ich do przeszczepu, miała przynajmniej pewność, że Julian nie umrze, dopóki trwają testy. Poza tym kiedy inni opiekowali się jej mężem, ona mogła przez chwilę odpocząć, bo chociaż to Hammon kierował całym przedsięwzięciem, Nicole była jego katalizatorem. Miała rozpisany grafik i obowiązek pilnowania, żeby Julian docierał w odpowiednie miejsca o odpowiedniej porze. Było to bardzo trudne, zważywszy na jego rozkojarzenie.

„Dobrze się czujesz?“, pytała go na początku, lecz po kilku dniach był to już bardziej sposób okazywania czułości niż pytanie, na które oczekiwałyby odpowiedzi. Nie, Julian nie czuł się dobrze. Jechał pociągiem w nieznanym im obojgu kierunku, a pociąg coraz bardziej się rozpędzał. Julian był fizycznie rozedrgany i coraz bardziej zmęczony. Brakowało mu spotkań z pacjentami, martwił się o dzieci i nie mógł się tym z nimi podzielić. Nicole zaproponowałyby mu wizytę u terapeuty, lecz wiedziała, że i tak odmówi. Julian, którego znała, był dumny ze swojej samowystarczalności. Teraz, kiedy zespół Hammona wziął pod lupę każdą z funkcji jego organizmu, odzierając Juliana z godności, nie mogła go zmuszać jeszcze i do tego.

\*

Niedziela była dniem odpoczynku. Zdecydował o tym Hammon, a Julian był zbyt zmęczony, żeby się z nim spierać. Oznaczało to jednak mnóstwo wolnego czasu do zagospodarowania w obcym hotelu, w którym nic nie chroniło go przed niepożądanymi myślami. Podczas pobytu na wyspie kontaktował się z kolegami z pracy, chociaż robił to coraz rzadziej.

Wiedzieli, gdzie teraz przebywa i dlaczego, i przysyłali mu liściki ze słowami wsparcia. Jego największą pasją była jednak praca z pacjentami. Skoro nie dane mu było przeżywać związanej z nią satysfakcji, kontakt z kolegami przypominał mu tylko o tym, co stracił.

Gdyby Julian czuł się lepiej, Nicole zabrałaby go do Instytutu Sztuki. Nigdy nie odwiedziła skrzydła poświęconego sztuce współczesnej, chociaż przestudiowała wiele zgromadzonych w instytucie dzieł i mogłaby wystąpić w roli eksperta, odwracając uwagę swoją i męża od choroby. Hammon zasugerował jednak, żeby Julian porządnie się wyspał, gdyż sprawiał wrażenie wycieńczonego. Nicole zostawiła go więc w sypialni z zaciągniętymi zasłonami, a sama usiadła w salonie, żeby nadgonić pracę, która stała się dla nich drażliwym tematem, odkąd przyjechała tu z Julianem. Chciała jednak dotrzymać terminu, poza tym praca sprawiała jej przyjemność.

Koncentrując się na bieżących sprawach, zamieściła na blogu wpis o tym, jak to postanowili przełamać tradycję i poprzedniego wieczoru zjedli na kolację jajka sadzone z bekonem i pszennymi grzankami. Wyjaśniła, jak rozpoznać organiczne jajka, czym organiczny bekon różni się od zwykłego i gdzie można kupić wieprzowinę wolną od antybiotyków i hormonów.

Julian nadal spał, więc postanowiła się zająć książką kucharską. Charlotte wysłała jej teksty: zredagowane po niej i te, które napisała sama, ale Nicole nie miała wcześniej siły, żeby się nimi zająć. Termin złożenia książki upływał za jedenaste dni, więc przeczytała wszystkie pliki, dopisała swoje komentarze i odesłała Charlotte. *Świetnie się spisałaś* – napisała w wiadomości. Czy to możliwe, żeby nowe wstępy do rozdziałów były dziełem jej przyjaciółki? Trudno było w to uwierzyć. *Czy Michaela podała ci przepisy, o które ją prosiłyśmy?*

*Tak* – odpisała po chwili Charlotte. – *Wysłałam ci je do Nowego Jorku.*

*Dlaczego dzisiaj pracujesz?*

*Z tego samego powodu co ty.*

*Wątpię, chyba że Leo śpi.*

Nicole wysłała ostatnią wiadomość, zastanawiając się, czy Charlotte jej odpowie. Imię Leo nie pojawiała się w ich korespondencji, a Nicole wcale nie próbowała wyciągnąć z przyjaciółki informacji. Jednak przez kilka ostatnich dni Charlotte wydawała się dziwnie zatroskana; wysyłała Nicole SMS-y z pytaniami, jak się oboje czują i o wyniki badań Juliana. Drobną wzmianką o Leo wydała się Nicole czymś właściwym.

*Nie śpi, tylko czyta książkę Sue Grafton* – odpisała Charlotte, jakby rozmowa o Leo była najnormalniejszą rzeczą pod słońcem. *Wie, że chce się uporać z robotą. Julian śpi?*

*Dwa dni badań ścięły go z nóg. Przynajmniej ma to już za sobą. Jutro poznamy wyniki. Trzymaj kciuki, żeby Hammon nie dopatrywał się nieprawidłowości, które mogłyby opóźnić przeszczep.* A tym samym odebrać im nadzieję i zniszczyć komórki, których nie można było ponownie zamrozić. *Myśl o tym spędza mi sen z powiek.*

*Dlaczego się martwisz?* – odpisała Charlotte. – *Jedynym szwankującym organem u Juliana była wątroba, ale te objawy już ustąpiły. Hammon nie zabrnąłby tak daleko, gdyby miał wątpliwości, czy Julian jest gotowy do przeszczepu. W dalszym ciągu namnaża komórki, prawda?*

*Tak. Powinny być gotowe na czwartek. Najpierw poda Julianowi odpowiednie leki i jeśli wszystko będzie w porządku, przeszczep odbędzie się w piątek. Żołądek skręcił jej się z nerwów. To już za pięć dni!*

*Co to za leki?*

*Chemioterapia, która osłabi system odpornościowy i obniży ryzyko odrzucenia przeszczepu. Komórki nie są idealnie zgodne, tylko cztery na sześć, jak to u ojca i córki* – dodała na wszelki wypadek, by Charlotte nie pomyślała, że ktokolwiek to kwestionował. – *Hammon*

nawet woli takie częściowe dopasowanie, nie bardzo rozumiem dlaczego. Wiem, że jeśli dziecko odziedziczy chorobę genetyczną, nie można użyć jego komórek do przeszczepu, więc być może w przypadku Juliana to właśnie te niezgodne komórki dają największą nadzieję. Hammon uważa wręcz, że regulatorowe limfocyty T mogą zadziałać nawet w przypadku całkowitej niezgodności, lecz na tym etapie Agencja Żywności i Leków nie pozwoliłaby mu użyć takich komórek. Potrzebują dodatkowego zabezpieczenia.

Nicole wysłała wiadomość, myśląc o tym, jak wiele wie o całej tej procedurze i że na nic się to nie zda, jeśli eksperyment zawiedzie. Musiała być silna dla Juliana, ale i tak dopadały ją czarne myśli.

Usłyszała sygnał przychodzącej wiadomości.

*Czy masz tam dostatecznie dobre Wi-Fi, żeby odebrać bardzo ciężki plik?*

*Oczywiście* – odpisała. Rozpaczliwie potrzebowała czegoś, co podniosłoby ją na duchu. – *Jeśli prześlesz mi brownie z orzeszkami macadamii, zjem je do ostatniego okruszka.* Ciepły aromat brownie miałby szansę zabić woń szpitala, która wypełniała ostatnio jej dni.

Rzecz jasna Charlotte nie mogła przesłać czekoladowych ciastek. Zastanawiając się nad tym, co też zawiera tajemniczy plik, Nicole czekała na sygnał wiadomości. Kiedy wreszcie się rozległ, znalazła w skrzynce folder ze zdjęciami. Na widok jego nazwy odebrało jej mowę. *Ogród Cecily Cole.* W środku znajdowały się zdjęcia pojedynczych roślin oraz skupisk ziół i kwiatów przypominających grupki gości na przyjęciu. Jedne rośliny były wysokie, inne niskie, liście niektórych szerokie i rozłożyste, innych wąskie, jednych spiczaste, innych napuszone. Mieniły się wszystkimi odcieniami zieleni, od oliwki, przez groszek, aż po limonkę. Kwiaty znajdowały się w różnym stopniu rozkwitu, ale wszystkie wyglądały bujnie, zdrowo i tak bardzo kojarzyły się z Quinipeague, że Nicole zalała fala tęsknoty za domem, która wycisnęła z jej oczu łzy. Cóż to była za przyjemność, przenieść się tam na kilka chwil, choćby za pośrednictwem zdjęć!

Wiedziała, że będą się znakomicie prezentowały w książce kucharskiej.

Nicole złapała telefon i wybrała numer Charlotte.

– Pozwolił ci zrobić zdjęcia – powiedziała bez tchu.

– W końcu tak.

– I możemy je wykorzystać w książce?

– Oczywiście. W przeciwnym razie nie pozwoliliby mi ich zrobić.

– Musimy mu za nie zapłacić?

– Nie musimy mu płacić ani grosza.

– Postawił jakieś warunki?

– Tylko jeden: chce zachować anonimowość. Możemy je opisać jako rośliny Cecily, jednocześnie sugerując, że zdjęcia zostały zrobione na całej wyspie. Leo nie chce, żeby czytelnicy – jego i naszej książki – przyjeżdżali do jego domu.

– Rozumiem – odparła Nicole, myśląc o tym, że łatwo będzie spełnić jego życzenie.

Na początku lata obawiała się, że Cole zniweczy ich wysiłki, co mógłby zrobić bez większego trudu, skoro jego zioła były kluczowe dla wyspiarskiej kuchni. Aż do tego dnia wierzyła, że to on był odpowiedzialny za podburzanie mieszkańców Quinipeague. Fakt, że im teraz pomagał, świadczył o skrzesze, jego uczuciach wobec Charlotte albo o wspaniałomyślności. Jeśli chodzi o to ostatnie, potrafił również przebaczać, bo trzeba przyznać, że Nicole nie była dla niego szczególnie miła.

Zawstydziło ją to, lecz dźwięk głosu Charlotte, ciepły i kojący, wszystko jej wynagrodził. Pragnęła, żeby jej przyjaciółka była szczęśliwa. Wydarzenia sprzed dziesięciu lat były tak odległe! Poza tym Charlotte przez całe lato bardzo jej pomogła, i nie chodziło wyłącznie

o komórki macierzyste. Zdjęcia ogrodu uczynią jej książkę wyjątkową.

– Leo nie jest złym człowiekiem – odezwała się łagodnie Charlotte.

Nicole nie była jeszcze gotowa, żeby to przyznać.

– Podziękuj mu w moim imieniu – poprosiła. – I... Charlotte?

– Tak?

– Zerwiesz dla mnie jeszcze jedną koniczynę? – zapytała cicho.

– Codziennie to robię.

\*

Nicole uparła się, żeby zjedli lunch w hotelowej restauracji, gdzie zamówili grillowaną sałatę dla niej i żeberka dla Juliana. Opisała i obfotografowała obydwie potrawy, twierdząc, że to na blog. Była to dobra wymówka, żeby wyciągnąć Juliana z pokoju chociaż na chwilę, ale nie naciskała na więcej. Hammon zalecił im spokojny dzień, a nie istniało nic spokojniejszego niż golf. To był ukochany sport Juliana, a że właśnie trwały mistrzostwa PGA, po lunchu wrócili na górę, żeby obejrzeć relację w apartamencie.

Nicole nie chciała pracować w obecności Juliana, a ponieważ bała się zostawić go samego, odpadały takie zajęcia jak zakupy, spacer czy kino. Nie była fanką golfa, siedziała więc obok męża, usiłując się wciągnąć w grę, lecz błędziła myślami gdzie indziej.

Sięgnęła po iPada i ściągnęła z internetu ciekawie zapowiadającą się książkę. Zaczęła czytać, ale akcja zupełnie jej nie zainteresowała. Próbowwała przeglądać stale powiększającą się kolekcję czasopism na iPadzie; artykuły prasowe były dostatecznie krótkie, żeby się na nich skoncentrować. Problem w tym, że zdążyła już przeczytać te najciekawsze.

W końcu otworzyła katalog ze zdjęciami od Charlotte i pokazała je Julianowi. Zdjęcia ziół zaciekały go jednak w podobnym stopniu, co ją golf, więc szybko wrócił do śledzenia turnieju.

Przeglądając kipiące zielenią zdjęcia, Nicole poczuła spływający na nią spokój, co z kolei sprowadziło ją myślami na Quinnipeague i do domu, którego ostatecznie nie miała sprzedać. Jej stosunek do całej tej sprawy zmienił się, odkąd wróciła na wyspę z Julianem. W przeszłości w domu zawsze byli jej rodzice, ale spędzanie tam czasu sam na sam z Julianem wydawało się całkiem przyjemne – a przynajmniej mogłoby takie być, gdyby nie wiszący nad ich głowami miecz.

Miecz, który z każdą upływającą minutą stawał się coraz cięższy.

\*

W poniedziałek rano okazało się, że wyniki badań są dobre, i wskazówki zegara zaczęły się przesuwać jeszcze szybciej. Kiedy Julian wyraził ustną zgodę na przeszczep, Hammon wyjął stertę papierów.

*Nie spodziewałam się tego – napisała później Nicole w e-mailu do Charlotte. – W przeciwieństwie do Juliana, którego pacjenci podpisywali podobne zgody. Jego zdaniem służą one w równym stopniu poinformowaniu pacjenta, co uniknięciu przez szpital pozwu sądowego, ale Jezus, serce podeszło mi do gardła. Podpisujesz cyrograf, i to w wielu kopiach. Oczywiście wiedzieliśmy o większości możliwych skutków ubocznych, ale zobaczyć je, spisane czarno na białym, to było okropne.*

*W waszej sytuacji wszystko wydałoby Ci się okropne – odpisała Charlotte trafnie. Właśnie takiej odpowiedzi spodziewała się Nicole i dlatego do niej napisała. – Przeszczep w piątek?*

*Chyba że wydarzy się coś złego, ale nie zanosz się na to. W zasadzie się cieszę, bo przecież po to tu przyjechaliśmy. I zachowuję spokój – byłabyś ze mnie dumna.*

*Ale czy JESTEŚ spokojna?  
Żartujesz? Raczej przerażona!  
A Julian?*

Nicole zastanawiała się przez chwilę. *Już nie. To dziwne. Odkąd dostaliśmy telefon, całkowicie się wyłączył, jakby rzeczywistość go przerosła i oszłomiła. Podpisanie papierów podziało na niego jak zimny prysznic. Oprzytomniał i nabrał energii. Myślałam, że może tylko udaje przy Hammonie, ale kiedy Hammon wyszedł, Julian spojrział na mnie trzeźwym wzrokiem i uśmiechnął się, jakby do mnie wrócił.*

*Nie przejmuj się ryzykiem?*

*Umiarkowanie. Twierdzi, że to tak jak z jego pacjentami. Boi się, kiedy wypróbuję nową metodę, ale jeśli przeprowadził wcześniej badania i przetrenował technikę, jeśli zdaje sobie sprawę z ryzyka i wie, jak sobie z nim poradzić, zaczyna się ekscytować. Tak mi powiedział. Ale czy to nie wariactwo ekscytować się czymś, co może cię zabić?*

*Julian wierzy w sukces tej metody.*

*O tak! On i Mark ciągle dyskutują o tym, co ten przeszczep może oznaczać dla ludzi chorych na SM. Tylko że Julian nie jest dla mnie jakimś tam pacjentem! – Wróciła dawna Nicole, która potrzebowała wsparcia. – A co jeśli zabieg się nie uda, Charlotte?*

*Uda się. Kiedy Julian zacznie przyjmować lek?*

*Właśnie zaczęli mu go podawać! Nazywa się fludarabina. Zatrzymają go w szpitalu na kilka godzin, by upewnić się, że nie jest na nią uczulony. Jak na razie to ja doznałam silnej reakcji: zakręciło mi się w głowie i zbladłam. Kazali mi poczekać na korytarzu. Pewnie powinnam tam już wrócić.*

*Julianowi nic nie będzie, Nicki, i tobie też.*

*Powinnaś mi to częściej powtarzać.*

*I będę. Buziaki.*

\*

Charlotte wysłała wiadomość, ciężko westchnęła i wyciągnęła ręce wysoko do góry, żeby pozbyć się napięcia z ramion. Leo stanął za jej plecami, nachylił się i przeczytał na monitorze ostatnią wymianę wiadomości. Charlotte splotła palce wokół jego karku i patrzyła, jak czyta. Czyżby i jej groził zawrót głowy? Z tej pozycji widziała tylko jego kwadratową szczękę i mocną szyję. Uwielbiała świeży zapach i siłę Leo.

Kiedy skończył, chwycił Charlotte za ramiona i popatrzył na nią.

– Założę się, że chciałabyś z nią teraz być.

– Oczywiście. Los ciężko ją ostatnio doświadczył, a ona dzielnie to znosi. Wiem, że jest z Julianem, ale kiedy dopadnie ją strach, nikt jej nie pomoże.

– To dlaczego nie pojedziesz?

– Bo ty nie chcesz mi towarzyszyć. – Kiedy jego oczy pociemniały jak wody oceanu, dodała: – Czy to by było takie złe? Mógłbyś włożyć czapkę z daszkiem i okulary przeciwsłoneczne. Nikt by cię nie rozpoznał; ludzie nie wiedzą, że to ty jesteś Chrisem Mauldinem, ani nawet jak on wygląda! Poza tym byłabym z tobą i zadbałabym o twoją prywatność.

– Nie lubię opuszczać wyspy – odparł swoim dawnym, nieznoszącym sprzeciwu tonem, jakby stawał między nimi mur.

Charlotte odwróciła się i uklękła na krześle, twarzą do Leo.

– Nie znasz żadnych innych miejsc, poza więzieniem i placem budowy kierowanym przez jędzę. Znasz ojca, który nigdy się o ciebie nie troszczył. Świat poza wyspą nie jest taki zły, jak ci



się wydaje. Mogę ci go pokazać.

Leo posmutniał.

– Nie lubisz Quinneeague?

– Kocham Quinneeague, ale kocham również Nowy Jork i Paryż, Nome, Rio i Oslo.

Kocham różnorodność.

Zastanowił się nad jej słowami, wyraźnie zaniepokojony.

– Czy ja cię nudzę?

Charlotte bezradnie westchnęła.

– Ani trochę, ale można przepadać za małżami przygotowywanymi na dziesięć różnych sposobów i jednocześnie lubić steki. – Ujęła twarz Leo w dłonie. – Wiesz, co jest najlepsze w podróżowaniu do różnych miejsc?

Leo znał odpowiedź. Czytał książki, miał swoje marzenia, był inteligentny, jednak w tym momencie ogarnął go osli upór i strach. Nie odrywając oczu od twarzy Charlotte, pokręcił głową.

– Powrót do domu – odparła łagodnie. – Moje brooklyńskie mieszkanie to klitka. Jest skromnie urządzone, pachnie tym, co akurat gotuje mój sąsiad z dołu, a chmury w Nowym Jorku w niczym nie przypominają tych na wyspie. Wszystkie moje meble są z drugiej ręki, a lodówka może się okazać zepsuta, kiedy wrócę. Poza tym mam karaluchy. – Wzdrygnęła się na samo wspomnienie. Leo też się skrzywił, lecz mówiła dalej: – Brooklyn nie jest tak piękny jak Paryż, Toskania, Irlandia czy Bali, ale to tam zapaściłam korzenie.

– Korzenie można zapaścić wszędzie – odparł niewzruszony. – Pomyśl o ziołach, które ciągle przesadzam.

– Właśnie – powiedziała dobitnie Charlotte, wpatrując się w jego oczy.

Leo był uparty.

– Jestem, jaki jestem. Gdybyś mnie kochała, nie próbowałabyś mnie zmieniać.

Charlotte poczuła, że jedno z jej marzeń właśnie się rozwiewa. Skoro po kilku ostatnich dniach Leo nadal miał wątpliwości, czy Charlotte go kocha, był bardziej niewzruszony niż mur, który wokół siebie wznosił w obronie przed światem. Okazywała mu swoje uczucia nie tylko podczas seksu.

Nadszedł czas próby. Charlotte gwałtownie wypuściła z płuc powietrze.

– Mogłabym powiedzieć to samo.

– Nigdy nie usłyszałaś ode mnie tych słów – zauważył.

Przysiadła na piętach.

– Znowu masz rację.

Leo oblał test. Charlotte obróciła się na fotelu, wstała i ruszyła w kierunku drzwi.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał z niepokojem.

– Na pomost.

W połowie drogi Leo chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie.

– Przecież się nie kłócimy. Nie jesteśmy tacy.

– A jacy jesteśmy? – zapytała słabo.

Fala zmyła piasek na brzegu oceanu i ponownie się cofnęła.

– Nie wiem – wyszeptał jej w końcu do ucha. – Próbuję się tego dowiedzieć.

\*

Tej nocy Charlotte nie mogła zasnąć; biła się z myślami. Martwiła się o Nicole i czuła się winna, że do niej nie pojechała. Martwiła się, że odziedziczyła po rodzicach niezdolność do okazywania uczuć. A kiedy próbowała sobie wyobrazić, co ją czeka w Bordeaux, myślała tylko o skrzepowaniu, które towarzyszyło jej pierwszego dnia w nowym miejscu.

Myślała również o Leo. Wyobraziła sobie, jakby to było spędzić resztę życia na Quinipeague, i rozumiała, że ma problem – potrafiła to zrobić z łatwością. Kiedy tak leżała w łóżku, przytulona do jego pleców i obejmowała go w ciemności, czuła nieodpartą chęć zapuszczenia korzeni. Tego lata poznała wyspę lepiej niż kiedykolwiek, dzięki książce kucharskiej, dzięki Leo, dzięki swojej własnej dojrzałości. Lubiła mieszkańców Quinipeague, tutejsze tempo życia i słodką morską bryzę oraz uczucie, że wreszcie odnalazła swoje miejsce na ziemi.

Nadal jednak istniała reszta świata, którą Charlotte kochała. Poza tym miała dość podróżowania w pojedynkę i lubiła podróżować z Leo – o ile wypad do miasteczka można było nazwać podróżą – więc to z nim miała ochotę poznawać nowe miejsca.

Leo wiedział, co czuje do niego Charlotte, i mimo to nie chciał zmienić zdania. A co będzie, kiedy Charlotte opuści wyspę? Może Leo przejrzy na oczy, będzie za nią tak tęsknił, że wreszcie coś zrobi. Albo zagryzie zęby i poradzi sobie sam. Kto wie, może nawet wyda drugą książkę, jeśli pisanie było jego katharsis, jeśli postanowi ukarać Charlotte, jeśli okaże się, że wcale jej tak mocno nie kochał.

Ostatnia możliwość przypominała ziarno grochu pod materacem księżniczki. Skąd jej to przyszło do głowy? Charlotte musiała chwilę pogrzebać w pamięci, aż wreszcie sobie przypomniała. Jej matka lubiła bajki. Spodobałoby jej się Quinipeague, z jego drzewnym dymem, ziołami o magicznej mocy uzdrawiania i symbiozą z oceanem; to miejsce w istocie było bajkowe.

Jak to pogodzić z prawdziwym życiem? Charlotte nie potrafiła znaleźć odpowiedzi, która przekonałaby Leo, mogła więc tylko leżeć i wsłuchiwać się w łagodny, miarowy rytm jego oddechu.

\*

Nicole z drżącym sercem wsłuchiwała się w oddech Juliana. Hammon nie podejrzewał, by niewielka dawka fludarabiny, którą mu przepisał, mogła wywołać negatywną reakcję, a pielęgniarki, które monitorowały stan Juliana przez kilka godzin po podaniu leku, nie zauważyły niczego niepokojącego. To Nicole wyobrażała sobie jego nagłą śmierć i dlatego przez cały czas dotykała męża jakąś częścią ciała – nogą, ręką lub biodrem – sprawdzając, czy jego skóra jest ciepła.

Spojrzała na zegarek, który wskazywał drugą dwadzieścia siedem w nocy. Położyła głowę na poduszce i zaczęła nasłuchiwać, ale oddech Juliana był spokojny.

Zdrzemnęła się, lecz zaraz obudził ją dźwięk, który wzięła za rżenie. Okazało się, że był to czyjś śmiech w korytarzu.

Odplynęła w sen; tym razem obudził ją odgłos dławienia się; w rzeczywistości był to stukot ciężarówki.

Nicole niczym mantrę powtarzała sobie słowa Nicole: „Julianowi nic nie będzie, i tobie też”. Mogła liczyć na wsparcie roślin z Quinipeague: kojącej nerwy lawendy, podnoszącej na duchu waleriany oraz czerwonej czterolistnej koniczyny, która podobno miała moc spełniania życzeń. Nie powiedziała o nich Julianowi; był naukowcem i nie wierzył w żadne magiczne moce. Nicole nie była tak zasadnicza jak jej mąż. Gdyby znajdowała się teraz na wyspie, nadal zrywałaby czerwone koniczynki i nie rozstawała się z nimi przez trzy dni, żeby jej życzenie się spełniło. Ujęło ją, że Charlotte robiła to pod jej nieobecność. Od piątku dzieliły ją już tylko trzy dni i potrzebowała pomocy w każdej możliwej formie.

## Rozdział 27



We wtorek wczesnym rankiem Julian dostał drugą dawkę chemioterapii i kiedy po raz kolejny nie wystąpiły żadne problemy, stwierdził, że się nudzi. Nie mógł biegać ani pracować. Nie interesowało go muzeum sztuki ani planetarium, poza którymi niewiele miejsc mogli odwiedzić. Hammon nie chciał, żeby za bardzo się oddalali, na wypadek gdyby doszło do opóźnionej reakcji na lek. Musieli też unikać zatłoczonych miejsc, w których Julian mógłby złapać infekcję.

Nicole potraktowała znalezienie odpowiedniej rozrywki dla męża jak wyzwanie i chętnie się go podjęła. Biorąc sobie do serca radę matki dotyczącą kreatywności, wspólnie z hotelowym konsjerżem opracowała pewien plan.

We wtorek przed południem pojechali wynajętym samochodem wyposażonym w GPS i pudełka z lunchem do zoo w Brookfield, a w środę do ogrodu botanicznego. Julian miał kłopoty z chodzeniem, być może z powodu zmęczenia, które starał się lekceważyć, ale ponieważ szli ramię przy ramieniu, jakoś sobie poradził. Oba miejsca znajdowały się na otwartej przestrzeni, były ciche i interesujące. Wieczorami Nicole i Julian oglądali filmy w swoim pokoju lub spali, co pozwalało im na chwilę zapomnieć o ważnym wydarzeniu, jak nazywała je w myślach Nicole w chwilach, kiedy udawało jej się zachować trzeźwość umysłu. Kiedy traciła opanowanie i ogarniał ją strach, pisała SMS-y do Charlotte, która była bardzo zaangażowana w tę sprawę i potrafiła uspokoić przyjaciółkę.

W czwartek Julianowi nie podano leku. Hammon chciał go po raz ostatni przebadać i omówić z nim szczegóły zabiegu. Oznaczało to dla nich kolejne wolne popołudnie. Spędzili je na spacerze w Navy Pier. Zatrzymywali się, kiedy Julian się zmęczył, a poza tym po prostu szli. Zjedli kolację w restauracji, o której słyszała Nicole, przy dyskretnie oddalonym od reszty sali stoliku, a wieczorem obejrzel w pokoju kolejny film. Tej ostatniej nocy przed przeszczepem trudniej im było odsunąć od siebie myśl o tym, co czekało ich nazajutrz. Julian ze smutkiem objął żonę ramieniem. Tym razem to on zabiegał o jej bliskość.

Nastał piątkowy poranek. Zgodnie z poleceniem lekarza stawili się w szpitalu o szóstej. Juliana przyjęto na oddział, położono w sali, podłączono do monitorów i kroplówki. Pod kontrolą Hammona zażył doustnie pastylkę tylenolu, dostał też dziesięciominutową kroplówkę z benadrylu. Obydwa leki miały go uchronić przed reakcją na regulatorowe limfocyty T. Po benadrylu Julian zrobił się bardzo senny, co ucieszyło Nicole, ponieważ sama była kłębkim nerwów. Najgorsze zaczęło się wtedy, kiedy zaczęto Julianowi podawać właściwe komórki. Nicole obserwowała najpierw jego, a później Marka, doszukując się reakcji na to, co wreszcie się rozpoczęło.

Julian był ospały i trudno było stwierdzić, co czuje.

Za to Mark był skupiony. Kiedy tak stał przy stojaku kroplówki po przeciwnej stronie łóżka, Nicole nie potrafiła powiedzieć, czy był tak mocno skoncentrowany, czy śmiertelnie przerażony. Wiedziała, że więcej myślał niż mówił, ale musiała się dowiedzieć, czy jest pewien tego, co robi.

– Dopadły cię wątpliwości? – zapytała głośno.

Głos Nicole wyrwał lekarza z zamyślenia. Popatrzył na nią, lecz dopiero po chwili uniósł brwi i głębiej wsunął okulary na nos.

– Zawsze je mam. Gdybym nie miał wątpliwości, to by nie był eksperyment.

Nie była to krzepiąca odpowiedź, jakiej potrzebowała Nicole. Chciała usłyszeć coś bardziej konkretnego.

– Boisz się?

– Jak zawsze. – Lekarz popatrzył na monitor pokazujący parametry życiowe Juliana. – To dlatego tak uważnie monitorujemy stan pacjentów.

– Nic mi nie jest – wymamrotał sennie Julian.

Nicole pogłaskała go po ramieniu.

– Mark właśnie zamierzał mi to powiedzieć. – Popatrzyła wyczekująco na lekarza. Nie obchodziło ją, czy Mark skłamię. Chciała tylko usłyszeć potwierdzenie, ze względu na siebie i Juliana.

Hammon znowu poprawił okulary i w końcu powiedział:

– Gdybym nie wierzył w limfocyty regulatorowe T, nie próbowałbym ich przeszczepiać. Testy laboratoryjne wypadły pomyślnie, podobnie jak pierwsze próby na ludziach.

– Tamci pacjenci nie chorowali na SM – szepnęła Nicole.

– To prawda – przyznał Mark. – Julian będzie pierwszy.

Na dźwięk swojego imienia Julian otworzył oczy.

– Jak sobie radzę? – zwrócił się do Marka, jakby umknęła mu część ich rozmowy.

Wyciągnął ramię z rękawem do mierzenia ciśnienia i chwycił żonę za rękę.

– Jak na razie dobrze – odparł Hammon.

Julian wydał pomruk zadowolenia i znowu zamknął oczy. Był blady, lecz spokojny, a jego stan stabilny.

– Nie bierz mojego rozkojarzenia za niepewność – odezwał się Mark do Nicole, wreszcie się przed nią otwierając. – Korzystam w swojej pracy z tak wielu danych i ciąży na mnie tak ogromna odpowiedzialność, że czasami czuję się przytłoczony. Julian wie, jak to jest. On też nie boi się podejmować ryzyka.

Nie otwierając oczu, Julian kiwnął głową. Nicole pomyślała, że ci dwaj mężczyźni są albo bardzo odważni, albo lekkomyślni. Kiedy tak obserwowała powolne przetaczanie komórek, była kłębkim nerwów. Prawie poprosiła lekarza o niewielką dawkę benadrylu dla siebie.

Przez pewien czas stali w milczeniu, Nicole po prawej stronie łóżka, Hammon po lewej. Nicole przenosiła wzrok z kroplówki na Juliana, na Marka i z powrotem na kroplówkę.

Po piętnastu minutach znaleźli się na półmetku przeszczepu.

– Kiedy nastąpi poprawa, jeśli w ogóle? – zapytała Marka Nicole.

O dziwo nikt w szpitalu nie rozmawiał z nimi o efekcie zabiegu. Na tym etapie chodziło wyłącznie o to, żeby Julian go przetrwał.

Mark zmarszczył brwi.

– Poprawa może przyjść w dowolnym momencie: w tej chwili, dziś wieczorem, jutro.

Wszystko zależy od organizmu. U niektórych pacjentów nie wystąpiła żadna reakcja.

A u innych tak, pomyślała Nicole. Udar, zawał, niewydolność oddechowa – to były trzy najgorsze powikłania, ale lista obejmowała dziesiątki innych, od łagodnych po zagrażające życiu. Julian podpisał się pod nią, tak jakby komplikacje po przeszczepie były czymś absolutnie możliwym i dopuszczalnym. Rzecz jasna nie miał innego wyboru. Bez jego podpisu odwołano by zabieg.

Przeszczep dobiegł końca. Stan Juliana się nie zmienił. Mark obserwował go przez chwilę, po czym wrócił do swojego gabinetu na końcu korytarza, żeby stamtąd monitorować jego

parametry życiowe.

Nicole trzymała męża za rękę. Co jakiś czas Julian otwierał oczy i słabo się do niej uśmiechał.

– Dobrze się czujesz? – pytała, a on za każdym razem przytakiwał. Nalała wody do szklanki i pozwoliła mu się napić przez słomkę. Sama też się napiła, ale nie zdołała się uspokoić.

W pewnym momencie zakreśliło jej się w głowie. Nie chciała zostawiać męża samego, więc to zignorowała, lecz zawroty głowy nie ustąpiły. Kiedy świat zasnuła mleczna biel, Nicole usiadła na krześle, zwiesiła głowę, żeby napłynęła do niej krew, i skoncentrowała się na miarowym oddychaniu. W końcu poczuła się na tyle dobrze, żeby podnieść głowę. Julian nadal spał.

Nicole wyjęła telefon i napisała SMS do Charlotte: *Julian przetrwał podanie komórek. Czekamy teraz na reakcję organizmu. Powiedz mi, że postąpiliśmy słusznie.*

*Szybkość, z jaką odpisała Charlotte, świadczyła o tym, że czekała na wiadomość. Na pewno tak. Julian tego chciał. Denerwuje się?*

*Nie, spi. Podali mu dużą dawkę benadrylu.*

*Kiedy będziesz wiedziała, czy przeszczep się udał?*

Nicole westchnęła. Zadała podobne pytanie nie tylko Markowi, lecz także członkom jego zespołu i pielęgniarkom, lecz od żadnej z tych osób nie uzyskała satysfakcjonującej odpowiedzi. *Wszystko zależy od organizmu Juliana. Może dostać drgawek albo udaru.*

*Dlaczego spodziewasz się najgorszego?*

*Bo jestem przerażona. Tak wiele zależy od tego zabiegu.*

*Ale już po wszystkim. Nie możesz cofnąć czasu. Musisz patrzeć przed siebie z optymizmem.*

\*

Charlotte odłożyła telefon. Siedziała po turecku na stopniu przed gabinetem Leo, który, stojąc po kolana w oceanie, piaskował drewno pomostu.

Obiecała, że mu pomoże. Teraz jednak marzyła o tym, żeby znaleźć się w Chicago, i nie miało to nic wspólnego ze żmudnymi pracami takimi jak konserwowanie drewna. Skoro Julian spał, a lekarz koncentrował się na monitorowaniu jego stanu, to kto wspierał Nicole?

Leo napotkał wzrok Charlotte i przywołał ją do siebie.

Charlotte uniosła dłoń, dając mu do zrozumienia, że za chwilę przyjdzie, wybrała numer z listy kontaktów w komórce i przycisnęła guzik z zieloną słuchawką.

\*

Nicole była wykończona. Nie miała już zawrotów głowy, ale bolał ją brzuch, nie chciała jednak wyjść z sali. Musiała zostać, na wypadek gdyby coś się stało jej mężowi.

Julian rozbudził się na tyle, żeby poprosić o włączenie telewizora. Nicole wybrała kanał informacyjny, ale Julian po chwili znowu przysnął. Zjawiała się pielęgniarka, żeby sprawdzić kroplówkę, która okazała się działać bez zarzutu. Przynieśli choremu galaretkę i pudding, zaś Nicole – chowder z krakersami. Zjadła z konieczności, chociaż był to najgorszy chowder, jaki kiedykolwiek miała w ustach. Naturalnie porównywała go z chowderem z Quinipeague, dokąd chętnie by się przeniosła.

Napisała SMS do Charlotte: *Pracujesz?*

*Tak. Wysłałam ci wstęp do DODATKÓW i PRZEKĄSEK. Tylko ich teraz nie czytaj.*

Nicole czuła się rozdarta. Sercem była z Julianem, a myślami jak najdalej od książki kucharskiej, lecz Nickidostołu próbowała dojść do głosu, wskazując na komputer i powtarzając,

że powinna się wziąć do pracy. *Może wieczorem* – odpisała. – *Wydawca chce mieć komplet materiałów do czwartku.* Tak bardzo skupiła się na odliczaniu dni do przeszczepu, że dała sobie spokój z książką. Jednak od czwartku dzielił ją niespełna tydzień.

*Wydawca zajmie się nimi dopiero po Święcie Pracy* – napisała Charlotte. – *Możesz mi wierzyć, że dwa ostatnie tygodnie sierpnia to w Nowym Jorku martwy okres. Pozwól mi do niej zadzwonić i wyjaśnić sprawę. Masz aż za dużo powodów, żeby poprosić o dodatkowy czas na dokończenie książki.*

*Nie chcę tego robić. To by o mnie źle świadczyło.*

*Żartujesz?! Wszyscy pisarze się spóźniają. Terminy są po to, żeby je przekraczać. Redaktorzy wyznaczają je, licząc na pierwszą transzę tekstu najwcześniej po miesiącu.*

Nicole poczuła silną pokusę, żeby ulec przyjaciółce. Za sześć dni Charlotte miała wyjechać z wyspy, a wtedy Nicole zostanie ze wszystkim sama.

*Co nam zostało?*

*Musisz sprawdzić ostatnie przepisy, a ja napisać wstęp do ZAPIEKANEK, odebrać zgodę na wykorzystanie przepisów od trzech osób, opisać dwie sylwetki do działu DESERY i to wszystko.*

Nicole była pełna podziwu dla Charlotte. Przyjaciółka zrobiła kawał dobrej roboty, a przecież w jej życiu też dużo się działo. Z pewnością martwiła się swoim związkiem z Leo, skoro do wyjazdu z Quinipeague zostało jej raptem sześć dni. Chociaż Nicole zaczynała się powoli przyzwyczajać do myśli, że Charlotte i Cole są razem, nadal nie mogła jej o to zapytać. *Co ja bym bez ciebie zrobiła?* – napisała po prostu.

*Przesunęłabyś termin złożenia tekstu. Zresztą i tak powinnaś. Musisz przeczytać to, co napisałam, i wprowadzić poprawki. Staralam się zachować twój styl, ale to ty jesteś autorką. Mogę zadzwonić do twojego wydawcy?*

Nicole niepewnie westchnęła i napisała: *Jeszcze nie. Zaczekajmy kilka dni i zobaczymy, co się stanie.*

Wysłała wiadomość, ale nadal wpatrywała się w słowa na wyświetlaczu. *Zobaczymy, co się stanie.* Jeśli Julian dozna udaru, minie wiele dni, zanim będzie się mogła skoncentrować na pisaniu. A jeśli zostanie sparaliżowany, dostanie zawału albo umrze?

Bezpieczniej będzie skończyć książkę przed wyjazdem Charlotte.

\*

Nicole spędziła wieczór przed laptopem w sali Juliana, czytając to, co przysłała jej Charlotte. Za każdym razem, kiedy jej mąż się poruszył, zrywała się z fotela i pochylała nad łóżkiem, pytając, jak się czuje, i zapewniając, że świetnie sobie radzi.

Mark, który zaglądał do nich przez cały dzień, przyszedł do pokoju około dziesiątej wieczorem i powiedział, że wychodzi do domu na kilka godzin, żeby się przespać. Nie wyglądał tak schludnie jak zwykle. Nicole podejrzewała, że rzadko przebywał w szpitalu o tak późnej porze.

– Denerwujesz się? – szepnęła znowu, nie chcąc, żeby Julian ją usłyszał.

– Nie ma powodów do obaw – odpowiedział równie cichym głosem, pewnie bardziej ze zmęczenia niż dyskrecji.

– Czy to oznacza, że kuracja się powiodła?

Popatrzył na nią znad okularów.

– Jeszcze za wcześnie, by to stwierdzić. Ty też powinnaś się przespać. Czy mogę cię podwieźć do hotelu?

– Nie, zostanę tu jeszcze chwilę.

– Zadzwoń do ciebie w razie komplikacji. Hotel jest tylko pięć minut drogi stąd.

Pielęgniarka z nocnej zmiany powiedziała jej to samo chwilę później i jeszcze raz po upływie godziny. Zanim zdążyła to powtórzyć po raz trzeci, Nicole zasnęła, zwinęta w fotelu. Zbudził ją dotyk czyjeś dłoni na ramieniu.

– Nadal śpi – poinformowała ją pielęgniarka. – I całe szczęście, bo gdyby zobaczył tu panią o tak późnej porze, zmartwiłby się.

Nicole podeszła do łóżka, przekonała się na własne oczy, że Julian śpi spokojnie i w końcu się poddała.

\*

Telefon zadzwonił o piątej rano w sobotę. Nicole zasnęła trzy godziny wcześniej, więc spała jak zabita. Ocknęła się dopiero po minucie. Przez kolejną minutę szukała telefonu w pościeli.

– Tak? – odezwała się do słuchawki, siadając na łóżku. Trzęsła się w równej mierze z powodu nagłego wyrwania ze snu, co ze strachu.

– Temperatura gwałtownie wzrosła – odezwał się napiętym głosem Mark. – Jestem w szpitalu. Co prawda to jeszcze nie kryzys, ale umówiliśmy się, że poinformuję cię o wszelkich zmianach.

– Gwałtownie wzrosła... – powtórzyła Nicole i przełknęła ślinę, starając się nie wpaść w panikę. – Co to oznacza?

– W organizmie rozwinęła się jakaś infekcja. Możliwe, że nic gorszego już go nie czeka. Nicole wiedziała, że może to być też początek prawdziwych problemów. Odsunęła kódrę.

– Ale możecie zbić gorączkę, prawda?

– Zwiększyłem dawkę paracetamolu, jednak musimy być ostrożni.

Nie musiał nic więcej dodawać. Nicole wiedziała, że bał się uszkodzić wątrobę Juliana, która nie zdążyła się zregenerować po ostatnim leku na SM.

Powinni byli poczekać z przeszczepem. Wiedziała o tym, wiedziała! Za miesiąc Julian byłby silniejszy, a co dopiero za dwa miesiące.

– Jest przytomny? – zapytała, wyjmując bluzkę z szafy.

– Tak. Mówi, że dobrze się czuje.

To oczywiście, że pan Oaza Spokoju tak powiedział. Pan Ryzykant dodałby pewnie, że to element gry.

Nicole nie była ani spokojna, ani opanowana. I nie znosiła ryzyka.

– Już jadę – powiedziała i, kończąc połączenie, pobiegła się ubrać. Nie pozwoliła Markowi odpowiedzieć, nie wiedziała więc, czy nie kazałby jej zaczekać w hotelu i przyjechać do szpitala o ósmej. Nie miało to dla niej znaczenia. I tak by już nie zasnęła.

Słońce jeszcze nie wzeszło, kiedy przecięła lobby i wyszła przez obrotowe drzwi hotelu. Wskoczyła do taksówki, przycisnęła torebkę do piersi, ledwie zwracając uwagę na rozjaśniające się niebo pomiędzy budynkami po wschodniej stronie. Błyskawicznie dotarła do szpitala i wjechała windą na właściwe piętro.

Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało normalnie – nad wejściem do sali nie paliły się ostrzegawcze czerwone światła, nigdzie nie było widać sprzętu do reanimacji. Pod drzwiami stał Mark w towarzystwie dwóch lekarzy z jego zespołu. Na widok Nicole poprawił okulary i odłączył się od kolegów. Zauważyła na jego twarzy niepokój i zmęczenie, ale nie panikę. Jeszcze nie.

– Jak on się czuje? – zapytała bezgłośnie. Piętro nadal działało w trybie nocnym – światła

były przygaszone, dźwięki stłumione, ale Nicole kierowała się nie tyle troską o innych, co po prostu była zbyt zdenerwowana, żeby wydobyć z siebie głos.

– Nadal gorączkuje – odparł cicho lekarz.

– Temperatura się podniosła?

– Nieznacznie.

Nicole wciąż kurczowo ścisnęła torbę, jakby potrzebowała namiastki oparcia, skoro nagle straciła grunt pod nogami.

– Nie tego się spodziewaliśmy.

– To prawda.

Cóż więcej mogli powiedzieć? Nicole weszła ze strachem do pokoju. Julian miał zamknięte oczy i nadal był półprzytomny po benadrylu. Jego twarz nad cieniem zarostu pokrywały czerwone plamy, czoło było wilgotne.

Otworzył oczy, zobaczył Nicki i posłał jej słaby uśmiech.

– Hej.

– Hej – odparła pogodnie.

– Która godzina? – zapytał niewyraźnie.

– Jeszcze wcześniej. – Nie chciała go niepokoić: była dopiero za dziesięć szósta. Zsunęła torebkę na ziemię, pochyliła się nad łóżkiem i delikatnie pocałowała Juliana. Jego wargi okazały się równie mocno rozpalone jak policzki. – Nie mogłam spać. Jak się czujesz?

– W porządku.

– Wyglądasz, jakbyś właśnie skończył biegać.

– Chciałbym – wymamrotał i wyciągnął do niej drżącą rękę.

Miał długie i szczupłe palce chirurga. Nicole zawsze lubiła ich ciepło, bo sama zwykle miała zimne dłonie, ale teraz palce jej męża okazały się nieprzyjemnie gorące.

Wmówiła sobie, że jego ręka trzęsie się z powodu gorączki, nie SM.

Julian zamknął oczy.

– To chwilowe pogorszenie. Przejdzie mi.

– Na pewno – odparła i przyłożyła jego dłoń do swojej szyi. – Mark spodziewał się takich objawów. – Popatrzyła na składany stolik, na którym stał dzbanek i plastikowy kubek do połowy wypełniony wodą. – Czy ta woda jest nadal zimna? – Julian powinien teraz pić zimne napoje.

– Jest w porządku – powiedział.

Nicole nie chciała puścić jego dłoni.

– Pozwalają ci już jeść?

– Tylko galaretkę.

Nie zauważyła jej na stoliku.

– Przynieść ci?

Julian pokręcił głową, nie otwierając oczu. Skoro nie mogła mu przynieść jedzenia ani picia, mogła przynajmniej schłodzić mu twarz. Przesunęła dłonią wzdłuż linii szczęki, do skroni, ponad brwiami i w dół. Julian zamruczał z zadowoleniem.

Nicole powtórzyła czynność trzy razy i jej dłoń zrobiła się gorąca. Nigdy wcześniej nie widziała męża tak rozpalonego.

Przyciskając jego rękę do swojej szyi, oparła się łokciami o poręcz łóżka i przyglądała się Julianowi. Nie spał, ale balansował na granicy jawy i snu. Co jakiś czas otwierał oczy, uśmiechał się do niej i znowu odpływał. Nicole nie ruszyła się ze swojego miejsca, kiedy najpierw pielęgniarka, a później Hammon przyszli sprawdzić, czy stan Juliana się nie pogorszył. Liczyła jego oddechy, które na szczęście były miarowe. Nie podobał jej się za to kolor jego policzków, które zdawały się płonąć, szczególnie w porównaniu z bledością reszty jego ciała. Nicole



przysunęła fotel bliżej łóżka i nie wypuszczając dłoni Juliana, przyłożyła czoło do chłodnego metalu poręczy i zamknęła oczy.

– Zmęczona? – wymamrotał.

– Mhm.

– Idź po kawę.

Nicole podniosła wzrok.

– Dla ciebie?

– Nie, dla ciebie – odparł sennie Julian.

Jednak została przy nim. Po chwili odpłynęła w sen. Docierało do niej, że ludzie wchodzą do pokoju i z niego wychodzą, lecz była tak zmęczona i uspokojona dotykiem dłoni Juliana, że nie zwracała uwagi na otoczenie.

Po jakimś czasie zaczęła się kręcić, czując, że powinna się przeciągnąć i pójść do toalety.

Przyszedł SMS od Charlotte: *Jak się czuje Julian?*

*Ma gorączkę.*

*Czy to reakcja na przeszczep? Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz mogła.*

Nicole wstała i pochyliła się nad łóżkiem.

– Jules? – szepnęła.

Kiedy z wyraźnym wysiłkiem otworzył oczy, zapytała:

– Jak się czujesz?

– Okej – powiedział bezgłośnie i ponownie odpłynął, ale nie wyglądał już tak spokojnie, jak przedtem. Jego skóra była wilgotna, brwi zmarszczone, jakby się nad czymś koncentrował, a może starał się zbić gorączkę siłą woli? Dotknęła jego rozpalonego policzka.

– Pójdę po tę kawę – powiedziała łagodnie. – Chcesz coś? – Ledwie zauważalnie pokręcił głową. Pocałowała go w czoło. – Zaraz wracam – szepnęła i wymknęła się z pokoju.

\*

– Mam tylko chwilę – uprzedziła, gdy Charlotte odebrała telefon. – Kiedy przyjechałam do szpitala, Julian miał trzydzieści dziewięć stopni gorączki, a teraz już trzydzieści dziewięć i siedem. Lekarze nie potrafią jej zbić. Proponowałam obłożenie go zimnymi kompresami, ale się nie zgodzili. – Nicole chciała zrobić cokolwiek, byle nie siedzieć z założonymi rękami.

– Co na to Hammon?

– Niewiele mówi, bo taki już ma charakter, ale kiedy rozmawialiśmy przed chwilą, cedził słowa jak nigdy przedtem. Powiedziałam, że nie wygląda to dobrze. Przyznał mi rację.

Zapytałam, czy nie można Julianowi jakoś pomóc. Odparł, że jeszcze nie. Moim zdaniem gorączka świadczy o tym, że ciało reaguje na przeszczep, ale kiedy spytałam Marka, czy to dobrze, czy źle, powiedział: wkrótce się dowiemy. To aż trzy słowa, prawdziwy sukces!

– Masz prawo być zdenerwowana...

– Przestraszona.

– Przestraszona, ale dopóki jedynym objawem jest gorączka, nie dzieje się nic strasznego. Jestem pewna, że Hammon robi, co w jego mocy – tłumaczyła Charlotte.

Gdyby to samo powiedział ktoś inny, Nicole natychmiast podałyby dziesięć argumentów świadczących o tym, że Mark wiedział, co może spotkać Juliana, i powinien był się przygotować. Chodziło o zwykłą gorączkę i jeśli szpital uniwersytecki nie potrafi sobie z nią poradzić, to świadczy o poważnym problemie i być może także o tym, że Mark wcale nie jest takim genialnym lekarzem. Ale rozmawiała z Charlotte, której głos działał na nią kojąco.

– Szkoda, że cię tu nie ma – powiedziała błagalnym tonem. – Nie ma na to szans?

Po chwili w słuchawce rozległo się ciche:

– Nie mogę, Nicki.  
– Z powodu Leo? – Musiała o to zapytać.

Charlotte nie próbowała zaprzeczać.

– Zostało nam tylko pięć wspólnych dni – powiedziała zasmucona. – Potrzebujemy ich.

Poza tym – dodała szybko – w tych okolicznościach to by było niezręczne. Nadal żałuję tego, co się wydarzyło tamtej nocy. Nigdy nie przestanę.

– A ja nie – wyznała Nicole. – Julian tak czy inaczej zachorowałby na SM. Przeszczep też był nieunikniony; gdyby nie te komórki, skorzystałby z pomocy niespokrewnionego dawcy. Lepiej, że użył komórek z krwi pępowinowej. Chcę, żeby mu się udało, Charlotte. Nie mogę przestać myśleć o tym, co będzie, jeśli kuracja nie zadziała. Julian włożył w nią całe serce. Jeśli straci nadzieję, to co mu pozostanie?

– Będzie żył...

– Będzie załamany. Postawił wszystko na jedną kartę, ale prawda jest taka, że innych możliwości nie ma.

– Ale się pojawią. – Charlotte nie dawała za wygraną. – Trwają badania. Jeśli ta kuracja nie zadziała, pojawi się następna, bardziej skuteczna. Musisz to sobie stale powtarzać.

– W porządku, ale co powiem Julianowi?

\*

Załamana Nicole kupiła kawę, muffinkę i wróciła na górę. Hammon właśnie wychodził z pokoju. Wyraźnie zarysowane zmarszczki na jego twarzy świadczyły o braku poprawy.

Nicole położyła jedzenie na stole, usiadła po tej stronie łóżka, przy której barierka była opuszczona, chwyciła gorącą dłoń Juliana jedną ręką, a drugą skubała babeczkę i sięgała po kubek z kawą. Gdy zjadła, przycisnęła palce Juliana do swoich ust pachnących kawą i jagodami. Palce Juliana miały antyseptyczną woń, ale to nie było dla Nicole niczym nowym, zważywszy na jego zawód. Poza tym zapachem wszystko inne było dziwne, począwszy od jego rozpalonej skóry, na całkowitym bezruchu skończywszy. Nicole powtarzała sobie, że Julian oszczędza w ten sposób energię, koncentrując się na przyjęciu nowych komórek do swojego organizmu, lecz niewielka to była pociecha.

Temperatura nadal rosła. W południe wyniosła czterdzieści stopni Celsjusza, a trzeciej była o dwie dziesiąte stopnia wyższa.

– Ile jeszcze może podskoczyć? – zapytała w panice Nicole.

– Sporo – odparła ze spokojem pielęgniarka, najwyraźniej przyzwyczajona do wysokich temperatur.

Zwiększono dawkę paracetamolu. Hammon pojawiał się i znikał, zapewniając Nicole, że organizm Juliana jest dostatecznie silny, żeby zwalczyć infekcję, widziała jednak, że lekarz się martwi.

– Czy naprawdę nie możemy zrobić nic więcej, żeby zbić gorączkę? – zapytała błagalnym tonem.

– Jeszcze nie – odparł i nie chciał powiedzieć nic więcej.

Na co czekacie? – myślała gorączkowo Nicole, kiedy po raz kolejny została sama z mężem, który dryfował gdzieś nad ziemią, przywiązany do łóżka płataniną kabli, czujników i miarowym szumem szpitalnych maszyn.

W końcu Nicole zrozumiała, na co czekali, czy raczej czego się obawiali. Oprócz dźwięków aparatury słyszała coś jeszcze. Z początku wydawało jej się, że to chrapanie, więc lekko potrząsnęła ramieniem Juliana. Kiedy jednak otworzył oczy, wyraźnie słyszała jego każdy łapany z trudem oddech.

– Zawołaj Hammona – wyrzucił.

Biegła korytarzem, rozglądając się w panice na boki, kiedy minęła ją pielęgniarka, która również zauważyła problem Juliana. Po chwili zjawił się Hammon ze swoim zespołem.

Nicole weszła za nimi do pokoju, ale trzymała się z daleka od łóżka, kiedy lekarze wsłuchiwali się w oddech Juliana, obserwowali parametry życiowe i dyskutowali nad tym, co powinni w tej sytuacji zrobić. Poza wystąpieniem problemów z oddychaniem spadło ciśnienie krwi, co wzbudziło w lekarzach podejrzenie wstrząsu anafilaktycznego. Od czasu do czasu Julian odzywał się niskim, świszczącym, a mimo to mocnym głosem. Najwyraźniej miał własną opinię i na ten temat, której Nicole mogła się tylko domyślać.

Hammon odłączył się od reszty zespołu i podszedł do niej.

– Możemy mu podać sterydy, które zapobiegną dalszej reakcji, lecz także mogą zabić limfocyty regulatorowe T.

– Julian chce zaczekać.

– Tak, jest świadomy ryzyka.

Julian bał się, że kuracja nie zadziała, ale ryzyko było znacznie większe i w chwili paniki Nicole nie potrafiła się skoncentrować na niczym innym.

– Sądysz, że jego życiu grozi niebezpieczeństwo? – zapytała piskliwie.

– Jeszcze nie. Sprawdzimy, jak długo uda mu się powalczyć.

Nicole ugryzła się w język. Odchodziła od zmysłów i trudno jej było wytrzymać w świecie nauki, skoro aż kipiało w niej od emocji.

Hammon wrócił do łóżka Juliana. Nicole zrobiło się słabo, stanęła więc przy ścianie obok drzwi i słuchała lekarzy omawiających wszystkie za i przeciw. Po pewnym czasie przestała rozróżniać słowa, słyszała tylko okropny dźwięk wydawany przez walczącego o każdy oddech Juliana.

Trwało to bardzo długo. W końcu jedna z pielęgniarek zauważyła, że Nicole zrobiło się słabo, delikatnie wzięła ją za ramię i wyprowadziła na korytarz, żeby mogła zaczerpnąć świeżego powietrza. Nicole nie chciała wody ani herbaty. Stała na korytarzu, przestraszona i samotna, obejmując się ramionami dla dodania sobie otuchy. A kiedy pielęgniarka zapytała, czy jest ktoś, do kogo mogłaby zadzwonić, żeby do niej przyjechał, Nicole pokręciła głową.

Owszem, miała przyjaciół, rodzinę i grono wiernych fanów, którzy czytali każde jej słowo na blogu. Tylko że przyjaciele byli w Filadelfii i myśleli, że Julian spędza wakacje w Maine. Nie mieli o tym wszystkim pojęcia. Podobnie jak Kaylin i John, którzy powinni tu teraz być. Wiedzieli, że ich ojciec był na konsultacji lekarskiej w Chicago i zastanawiał się nad nową kuracją, ale nic ponadto.

A reszta? Ci ludzie znali Nickidostołu, a nie Nicki Carlisle.

Gdyby żył ojciec, zadzwoniłaby do niego. On potrafiłby ją podnieść na duchu. Chociaż może i nie... Nicole nie miałaby teraz ochoty słuchać haseł w stylu: mierz wysoko, sięgaj daleko i co cię nie zabije, to cię wzmocni. Nie tego potrzebowała. Bob był wspaniały, ale jego optymizm sięgał czasami granic absurdu. Przyszło jej do głowy, że gdyby wziął na poważnie problemy z sercem, które występowały w jego rodzinie, mógłby nadal żyć.

Za to jej matka twardo stąpała po ziemi. Nicole potrzebowała Angie. Chociaż rozstały się w gniewie, wypowiadając wiele przykrych, niepotrzebnych słów, to za nią najbardziej tęskniła. Popatrzyła w kierunku windy na końcu korytarza, modląc się, żeby wysiadła z niej jej matka.

I nagle ją zobaczyła, rozmazany przez łzy obraz, który musiał być wytworem jej wyobraźni, a jednak z sekundy na sekundę stawał się bardziej rzeczywisty.

Nie rozmawiały od czterech tygodni, odkąd Angie wyjechała z Quinipeague, ale nawet cztery tygodnie nie mogły przekreślić trzydziestu czterech lat.

– Mamo – wyszeptala Nicole. Wystarczyło jedno słowo, żeby wrócić do ich dawnej bliskości.

Na twarzy Angie malowała się głęboka troska. Rozłożyła ramiona, Nicole przytuliła się do niej i zaczęła łkać, niczego więcej nie potrzebując. Była silna dla Juliana, wspierała jego decyzje, pomagała mu zachować równowagę, wypełniała wolny czas i zwierzała się Charlotte, jednak nic nie mogło się równać z tym.

Angie była jej matką i tylko przy niej Nicole mogła wszystko z siebie wyrzucić. Płacz był pierwszym etapem. Później nadszedł czas na rozmowę. Gdy siedziały obok siebie na kanapie, Nicole opowiedziała jej o swoich lękach – rosnącej gorączce, spadającym ciśnieniu, problemach z oddychaniem, które mogły być początkiem wstrząsu anafilaktycznego, złowieszczym drżeniu ręki, dylematach związanych z podaniem sterydów.

Angie bardzo jej współczuła, ale była realistką. Nie próbowała odpowiadać, po prostu słuchała i zadawała pytania. Już sam jej przyjazd podziałał na Nicole krzepiąco i nie mógł się zdarzyć w bardziej odpowiednim momencie. Nicole właśnie miała zaprowadzić matkę do pokoju Juliana, kiedy w korytarzu pojawił się Mark.

– Zabieramy Juliana na oddział intensywnej terapii – powiedział cicho.

Nicole zerwała się z miejsca.

– Czy jego stan się pogorszył?

– Nie, ale tam będziemy go mogli lepiej monitorować.

– Nadal odmawia przyjęcia sterydów?

Julian był z natury ostrożny, ale kiedy już się na coś zdecydował, nie miał zamiaru się wycofywać.

– Nadal ma nadzieję, że uda mu się ocalić limfocyty T.

– Ty też w to wierzysz?

– Rozumiem jego punkt widzenia, ale dostrzegam również ryzyko. Jestem rozdarty i dlatego chcemy dokładnie monitorować jego stan. Jeśli znacznie się pogorszy, nie będziemy mieli wyboru.

– Może sama z nim porozmawiam? – zapytała Nicole i od razu odpowiedziała sobie na pytanie. – Nie, to bez sensu. Skoro nie posłuchał ciebie, mnie też nie posłucha.

Mark lekko się uśmiechnął.

– Pewnie masz rację. Podziwiam go. Jest gotów poświęcić życie dla tej kuracji.

Poświęcić życie – powtórzyła w myślach Nicole i popatrzyła z paniką na matkę.

Angie wstała i położyła rękę na jej ramieniu w uspokajającym geście. Przedstawivszy się lekarzowi, zapytała:

– Czy mogę jakoś pomóc, kiedy będziecie przenosić Juliana na OIOM?

– Może pani zabrać Nicole na kolację.

\*

Nicole nie zgodziła się opuścić szpitala, więc poszły do stołówki, ale nie miała ochoty nic jeść. Siedziała przy stole ze splecionymi dłońmi, podczas gdy Angie napełniła tacę, zapłaciła kasjerce i postawiła jedzenie przed córką. Jednak Nicole słyszała w głowie tylko jedno słowo: OIOM.

– Nie jest tak źle, jak ci się wydaje – powiedziała łagodnie Angie, dzieląc serwetki, sztucce i jedzenie. – To tylko środek ostrożności.

– A jeśli Julian umrze? – zapytała Nicole. Z nikim innym nie zdobyłaby się na podobną szczerłość.

– Nie myśl o tym, skarbie. Daleko mu do śmierci.

Nicole nie potrafiła się pozbyć tej myśli. Skoro lekarze zdecydowali się umieścić Juliana na OIOM-ie, brali pod uwagę, że może umrzeć. Wiedziała, że istnieje takie ryzyko, ale nie potrafiła sobie wyobrazić przyszłości bez niego. Powinna mu była o tym powiedzieć w Filadelfii, kiedy byli razem na wyspie, i w piątek rano w hotelu, zanim to wszystko się zaczęło. Powinna sprawić, żeby bardziej zaciekle walczył. Zrobiłaby to, gdyby nie starała się być dla niego silna. I oto trafił na OIOM.

– OIOM to po prostu oddział z bardziej specjalistyczną aparaturą – powiedziała Angie, nabierając na widelec sałatki z kurczaka. – Doktor Hammon chce zebrać jak najwięcej informacji. Ubezpiecza się jak może i nie mówię tego, żeby go krytykować. Nie wygląda mi na lekarza, który pozwoliłby swojemu pacjentowi umrzeć, nie wypróbowałszy wszelkich możliwych sposobów, żeby go ratować. Przekona Juliana do swoich racji, kiedy uzna, że nadszedł na to czas. – Popatrzyła na niezbyt smakowicie wyglądający kawałek ryby i przesunęła talerz z sałatką z kurczaka w stronę Nicole. – Zjedz coś, proszę.

Nicole sięgnęła po bułeczkę, ale zaraz odłożyła ją na tacę i popatrzyła na Angie z rozpaczą w oczach.

– Przez całe wakacje, mało tego: przez cały rok starałam się być realistką. To się nazywa przyspieszony kurs dorosłości.

– Och, skarbie, dorolaś już jakiś czas temu. Przypomnij sobie cztery ostatnie lata. Trzymałaś chorobę Juliana w sekrecie, znosiłaś jego fizyczne ograniczenia, poradziłaś sobie z objawami SM, blogiem i książką. Nie doceniasz siebie.

Charlotte powiedziała to samo. Nicole nie potrafiła jednak myśleć o swoich osiągnięciach, kiedy Julian był w drodze na OIOM.

– Jak można się przygotować na coś takiego?

– Nie można. Liczy się to, jak zareagujesz w obliczu problemu.

– Nie tego chciałam.

– Oczywiście, że nie – powiedziała z uśmiechem matka. – Ale spójrz na to tak: gdybyś zmarła w wieku dwudziestu pięciu lat, nie musiałabyś się z tym wszystkim mierzyć.

– Co za okropne słowa!

Jednak Angie ich nie cofnęła. Wyprostowała słomkę w swojej dietetycznej coli i pociągnęła łyk napoju. Po chwili Nicole uzmysłowiła sobie, że jej matka jak zawsze ma rację. Ich sprzeczki zwykle kończyły się w ten sam sposób: kiedy spierały się o chłopców, uprawianie sportu, a już na pewno w przypadku kłótni o Toma.

– Nie byłam dla ciebie miła, kiedy przyjechałaś na Quinnipeague – odezwała się łagodnie Nicole.

– Nie byłaś.

– Przepraszam.

– Przeprosiny przyjęte.

– Tak po prostu? Bez dyskusji? – zapytała po chwili Nicole.

– Tak, przynajmniej na razie. Wiem, co czujesz, skarbie. Wierz mi, przeżywałam podobne emocje co ty. Rozumiem, że jesteś przerażona. Myślisz, że nie możesz stracić Juliana, że bez niego twoje życie będzie zupełnie puste, że na pewno jest coś, co mogłabyś dla niego zrobić, tylko nie wiesz co. Zastanawiasz się, co by było gdyby.

Nicole była zdumiona jej przenikliwością.

– Skąd o tym wszystkim wiesz?

– Kochałam twojego ojca, tak jak ty kochasz Juliana. On też leżał na OIOM-ie, tyle że w przeciwieństwie do Juliana Bob praktycznie już nie żył, kiedy tam trafił. Ciebie i Juliana czeka wspólne życie, skarbie. Ja w to wierzę i ty też wkrótce uwierzysz.

Nicole głęboko odetchnęła. Angie nie mogła być pewna, że Julian przeżyje. Poza tym istniało wiele poziomów przetrwania, które mogły na zawsze zmienić ich życie i okazać się gorsze niż stan Juliana sprzed przeszczepu. Ufała jednak matce i chciała jej wierzyć. Wyciągnęła rękę, splótła palce z palcami Angie, tak jak wtedy, gdy była małą dziewczynką, i szepnęła:

– Jak długo możesz zostać?

– Jak długo zechcesz, skarbie. Jestem tu dla ciebie.

\*

Chwilę później, kiedy Angie poszła wyrzucić resztki jedzenia i kupić przekąski na później, Nicole wyjęła telefon.

*Dziękuję* – wystukała krótką wiadomość i wcisnęła „wyślij”.

## Rozdział 28



Charlotte wiosłowała. Łódź była stara i drewniana, Charlotte wypatrzyła ją w szopie Leo, a ponieważ, w przeciwieństwie do żaglówki, mogła nią sama kierować, namówiła go, żeby ją stamtąd wyjął. Leo, jak na złotą rączkę przystało, wypaskował, odmalował łódź oraz sprawdził jej szczelność, zanim wpuścił Charlotte na pokład, i chociaż pozwolił jej wiosłować, uparł się, że popłynie razem z nią.

Słońce powoli chowało się za horyzontem, barwiąc na złoto fale pod ciemniejącym niebem. Fale nie były duże, a łódź bardziej się na nich kołysała niż posuwała do przodu dzięki wiosłowaniu Charlotte, której po raz pierwszy tego dnia udało się czymś zająć myśli.

Kiedy jednak poczuła wibrowanie telefonu w kieszeni, natychmiast przypomniała sobie o Chicago. Odłożyła wiosła, wyjęła telefon, przeczytała SMS od Nicole i uśmiechnęła się z ulgą.

– Matka Nicole dotarła na miejsce – domyślił się Leo. Siedząc na rufie z szeroko rozstawionymi bosymi stopami, otworzył butelkę wina i zadziwiająco sprawnie, zważywszy na kołysanie łódki, napełnił nim do połowy dwa plastikowe kubeczki.

*Dobrze to wymyśliłam?* – napisała.

*Bardzo dobrze* – odpisała Nicole.

Zadowolona z siebie Charlotte wzięła od Leo kubeczek, a kiedy się nimi stuknęli, upiła łyk wina.

– Jak się czuje Julian? – zapytał Leo.

Charlotte ponownie spojrzała na wyświetlacz, zanim schowała telefon do kieszeni.

– Pewnie bez zmian, skoro Nicole nic nie napisała.

– Sama powinna była zadzwonić do matki. – Pomimo współczucia Leo nadal nie przepadał za Nicole.

– Mhm – mruknęła Charlotte, sącząc wino. – Oboje coś na ten temat wiemy. – Leo nadal nie zadzwonił do swojego ojca.

Mężczyzna posłał jej spojrzenie mówiące „wiesz, co miałem na myśli”, sięgnął do plastikowej torby i przygotował przekąskę: ser z plasterkami gruszki dla Charlotte oraz krakersy z serem dla siebie.

Charlotte ugryzła kęs i powiedziała:

– Na jej miejscu zadzwoniłabym też do Kaylin i Johna. Powinni tam z nimi być. Nicole potrzebuje teraz wsparcia. – Wsunęła resztę przysmaku do ust.

Leo patrzył na nią ze spokojem.

– Jedź do niej.

Charlotte pokręciła głową, spojrzała na Leo i przełknęła jedzenie.

– Wybieram ciebie. – Było to mniej żarliwe wyznanie od „kocham cię”, które wypowiadała wyłącznie w chwilach namiętności, gdy traciła nad sobą kontrolę. W innych sytuacjach mogłoby się okazać zbyt groźne, chociaż Leo i tak wiedział, co Charlotte do niego czuje.

Wiosła głośno stuknęły o burty. Leo pochylił się do przodu, wciągnął je do łodzi i sięgnął do torby po dokładkę.

– Może nie powinnaś – odezwał się wreszcie. – Tyle nas dzieli.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem.

– Dzieci – odparował.

No, no, tego jeszcze nie słyszała. Leo nigdy nie wspominał o dzieciach. Akcja *Salt* nie zabrnęła tak daleko, a Charlotte nie ośmieliła się o nie zapytać.

– Chcesz mieć dzieci?

– Tak – odparł, wyraźnie urażony, że tego nie wiedziała. – To część mojego marzenia, ale nie możemy ich mieć, jeśli będziesz latać po całym świecie.

Samo to, że o nich myślał, wiele dla Charlotte znaczyło; tylko czy był to krok naprzód, czy kolejna cegła w murze?

– A więc to ja jestem problemem.

– Nie, ja. Jestem wyspiarzem z krwi i kości.

– Kiedy piszesz, jesteś inteligentny, wykształcony i obyty w świecie. W prawdziwym życiu mógłbyś być taki sam. – Nie ustępowała.

Leo upierał się przy swoim.

– Nawet jeśli będziesz tu wracać, czekają nas wielotygodniowe rozłąki. To prosta droga do rozstania.

– Daj spokój, Leo – powiedziała łagodnie – takie rzeczy widzi się w telewizji i w książkach, w których musi się wydarzyć jakiś dramat, żeby nie było nudno. Znam wiele par, które mają rodziny, pracę i mimo to podróżują. Każde z czegoś rezygnuje, i jakoś im się udaje. Ale jeśli myślisz o dzieciach, musiałbyś pójść na kompromis.

– Nie chcesz mieć więcej dzieci?

– Oczywiście, że chcę, ale już raz przechodziłam przez to sama i nie chcę tego powtarzać. Zresztą gdzie miałabym urodzić te dzieci? – Zmarszczyła brwi. – Na wyspie nie ma szpitala.

Dzieci mieszkańców Quinneeague zwykle przychodziły na świat w szpitalu na kontynencie, tym samym, w którym umarła Cecily, gdy Leo ją tam zaciągnął, o co do tej pory miał do siebie żal.

Leo wyglądał na skonsternowanego – tego najwyraźniej nie przemyślał. Zmarszczył brwi, pochylił się do przodu, znowu się wyprostował, oparł łokcie o pawęż i wyciągnął swoje długie nogi obok nóg Charlotte. Jego poza była raczej prowokująca niż rozluźniona.

– A jeśli ktoś się dowie, kim jestem? Byłby to dla ciebie problem jako dla mojej dziewczyny, żony, matki moich dzieci...

– Wcale nie. Tylko ty masz problem ze swoim sukcesem.

– Okej, odwróćmy sytuację. A jeśli nie będę w stanie napisać kolejnej książki? Jeśli pieniądze zarobione na *Salt* będą ostatnimi zarobionymi przeze mnie pieniędzmi? Jeśli nie będę potrafił utrzymać żony i dzieci?

Charlotte przyglądała mu się ze zdumieniem.

– Posłuchaj tego, co mówisz, Leo. Wymyślasz problemy. Pieniądze to nie kłopot. Masz ich dostatecznie dużo, żeby do końca życia nie pracować, i to jeszcze zanim wydano *Salt* w miękkiej oprawie, nie wspominając już o tym, ile mógłbyś zarobić, sprzedając prawa filmowe. Widziałam, jak inwestujesz. Zarabiasz pieniądze.

– Martwię się.

– Ja też, ale czymś zupełnie innym. Martwię się, że Julian Carlisle może umrzeć. Żadne pieniądze nie uchroniły go przed zachorowaniem na SM i nie dadzą mu pewności, że przeżyje.

Na samą myśl o tym przeszył ją dreszcz, chociaż może sprawiła to szara chmura, która przesłoniła zachodzące słońce. Ich łódź znalazła się w cieniu. Charlotte musiała z niego uciec, ale dokąd?



\*

Nicole powiedziałyby, że tylko naiwniacy wierzą w cienie na morzu, bo chociaż starała się być dobrej myśli – tłumaczyła sobie, że reakcje na przeszczep są częścią większej całości, zapowiedzią poprawy – w niedzielę rano stan Juliana nadal się nie polepszał. Tak jak mówiła Angie, na OIOM-ie było dużo więcej sprzętu medycznego, a personel sprawdzał stan Juliana tak często, jakby pacjent miał opłaconą prywatną opiekę. Gorączka nadal była wysoka, a problemy z oddechem wyczerpały go znacznie bardziej niż senność po benadrylu.

Mimo to Julian odmawiał przyjęcia sterydów.

W poniedziałek rano, kiedy jego stan nadal się nie poprawiał, Nicole była tak zmartwiona, sfrustrowana i rozgniewana, że poszła za radą Charlotte i podjęła własną decyzję. Rodzice Juliana mieszkali w San Diego, zbyt daleko, żeby przyjechać, w przeciwieństwie do jego dzieci. Były dorosłe – lub prawie dorosłe – i miały prawo być przy ojcu.

\*

Charlotte ciągle sprawdzała telefon, ale poza zdawkowymi wiadomościami: *Bez zmian* lub *Żadnej poprawy*, wysyłanymi spoza OIOM-u, gdzie nie można było korzystać z telefonów komórkowych, Nicole nie odzywała się do niej aż do poniedziałkowego popołudnia.

*Zadzwoń do Kaylin i Johna – napisała wtedy. – Będą tu jutro. Julian się wścieknie, ale mam to w nosie. Postąpiłam słusznie.*

*Oczywiście, że tak. Powinni tam być. Dobrze zrobiłaś, Nicki. Jest jakaś poprawa?*

*Nie. Hammon nadal upiera się przy sterydach. Poda je Julianowi, gdy tylko ten się zgodzi. Mówię ci, mój mąż ma popieprzone priorytety.*

Nicole zwykle nie przeklinała, pewnie teraz odchodziła od zmysłów. Charlotte nie miała jednak zamiaru zwracać jej uwagi, szczególnie że sama myślała podobnie o priorytetach Leo. Wiedziała, że ją kocha, ale czy dostatecznie mocno, żeby się do tego przyznać? Gdyby wyznał jej miłość, musiałby pójść na pewne ustępstwa, na co wciąż nie był gotowy.

\*

Termin złożenia książki zbliżał się wielkimi krokami. W poniedziałek Charlotte pracowała do późnej nocy, a we wtorek oderwała się od komputera dopiero po południu, żeby zadzwonić do Nicole.

– Jak on się czuje? – zapytała, bo to stan zdrowia Juliana był teraz najważniejszy.

– Bez zmian – odparła Nicole podenerwowanym głosem. – Kay i Johnny właśnie wylądowali. Będą tu lada chwila. Ich widok nie ucieszy Juliana. Próbuję się na to psychicznie przygotować, więc powiedz mi coś miłego.

– To chyba koniec.

Nicole przez chwilę milczała, by wreszcie zapytać:

– Między tobą i Leo?

– Pracy nad książką! – wyjaśniła Charlotte podekscytowana.

Mimo wszystkich ciemnych chmur, które się nad nią zebrały, poczuła się spełniona, kiedy w końcu zamknęła ostatni plik i zdjęła dłonie z klawiatury. Leo też był w dobrym nastroju, dzielił radość z Charlotte. Wiedział, że będzie chciała zadzwonić do Nicole, więc pojechał do miasteczka po składniki na uroczystą kolację.

– Poważnie? – ucieszyła się Nicole.

– Przed chwilą wysłałam ci ostatnie pliki.

– O mój Boże! Jesteś niesamowita!

– Nie mów tego, dopóki nie przeczytasz tekstów. Jestem zadowolona z sylwetek, ale może będziesz chciała zmienić ich kolejność i zmodyfikować jadłospisy. Pozostaje też kwestia twojego stylu pisania, który starałam się podrobić.

– Przczytałam dopiero połowę; jestem daleko w tyle!

– To jeszcze nie koniec dobrych wiadomości – ciągnęła podekscytowana Charlotte. – Masz więcej czasu.

Nicole roześmiała się nerwowo.

– Nie rozumiem.

– Zadzwoiłam do mojej ulubionej redaktorki. Świetnie się dogadujemy, chodzimy na lunche, zapytałam więc, czy zna twoją wydawczynię. Okazuje się, że są bliskimi przyjaciółkami. Wiesz o dziecku?

– Tak – odparła niepewnie Nicole. – Urodzi się pod koniec września.

– Urodziło się w zeszłym tygodniu. Na pewno wysłała ci e-maila w tej sprawie.

W słuchawce zapadła cisza, a po chwili rozległo się zdumione westchnienie.

– A więc tego dotyczył jej e-mail... – Nicole przełączyła się na głośnik, żeby sprawdzić skrzynkę, nie przerywając rozmowy. – Nie otworzyłam go, bo miałam wyrzuty sumienia, że jeszcze nie skończyłam książki. – Westchnęła po raz drugi. – Dziewczynka, dwa i pół kilograma. Termin oddania tekstu przesunięty na koniec września, bo wtedy moja wydawczyni zacznie pracować z domu. – Wydała z siebie długie westchnienie ulgi. – Nie mogę w to uwierzyć. To wspaniale!

\*

Po skończonej rozmowie Nicole miała dwie dobre wiadomości, którymi mogła się podzielić z Julianem. Wiedziała, że się ucieszy, ale nie zdążyła mu przekazać wieści, ponieważ gdy tylko się rozłączyła, w szpitalu zjawili się Kaylin i John. W obcisłych džinsach, luźnej bluzce i niewiarygodnie wysokich szpilkach Kaylin wyglądała jak rasowa mieszkanka Nowego Jorku. John, z niewpuszczoną w spodnie koszulą i bladą twarzą, wyglądał po prostu na przerażonego.

Nicole zadzwoniła do nich ze względu na Juliana. Kiedy jednak zobaczyła ich w korytarzu, poczuła podobną ulgę jak na widok Angie. To była jej rodzina i czuła się mniej samotna, mając ich przy sobie.

Rodzeństwo przywitało się z Angie, lecz to Nicole wyjaśniła im, co się dzieje. Wcześniej opowiedziała im przez telefon o przeszczepie i tym, jak zareagował na niego organizm Juliana. Teraz opisała im szczegółowo symptomy, nie wspomniała jednak o tym, że ich ojciec może umrzeć.

– Brzmi to znacznie gorzej niż jest w rzeczywistości – powiedziała, co niekoniecznie było prawdą, ale oboje byli już dostatecznie przestraszeni.

Kazała im zdezynfekować ręce i zaprowadziła ich do pokoju Juliana. Pochyliła się nad łóżkiem i delikatnie potrząsnęła ramieniem męża. Julian otworzył oczy, lecz dopiero po chwili skoncentrował wzrok na dzieciach. Uśmiechnął się, lecz szybko dotarło do niego, co się stało, i posłał Nicole zdumione spojrzenie.

– Nie chciałem ich martwić – wychrypiał pomiędzy kolejnymi oddechami.

– Przyjechali, żeby podnieść cię na duchu. – Nicole wycofała się, żeby dać każdemu z dzieci możliwość spędzenia chwili z ojcem. Kaylin potrzebowała więcej czasu. Ze spokojem powiedziała mu, jak bardzo się cieszy, że Nicole do niej zadzwoniła, bo chciała tu być. Julian nie musiał jej nic odpowiadać. John okazał się bardziej podminowany, a jego nastrój udzielił się ojcu.

– Nic mi nie będzie – zdołał wydusić Julian, walcząc z dusznościami i nadmiarem emocji.

Jednak kiedy dzieci wyszły z pokoju, a ich miejsce zajęła Nicole, wyglądało na to, że wstąpiła w niego nowa energia. Jego brązowe oczy, nadal zasnute gorączką, rzucały gniewne błyski. – Prosiłem, żebyś do nich nie dzwoniła. – Słowa zabrzmiały ostro na tle świszczącego oddechu. – Zabroniłem ci.

– Oni cię kochają.

– A czym jest miłość – zachnął się. Nie pytał Nicole, tylko ją zbywał i poczuła się urażona.

– Wszystkim – powiedziała, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczami. – To z jej powodu jestem tu z tobą od półtora tygodnia, chociaż uważałam, że powinieneś się wstrzymać z przeszczepem, i to właśnie z powodu miłości musisz dalej walczyć.

– To... nie dotyczy dzieci.

– Wprost przeciwnie – odparła z żarliwością, na którą nie odważyłaby się jeszcze dzień czy dwa wcześniej, ale jeśli nie teraz, to kiedy? To była jej rzeczywistość. Tego lata nabrała dojrzałości i siły, co bardzo jej odpowiadało. – Oni cię kochają. Chcą być częścią twojego życia, a więc również choroby. Nie są już dziećmi, Jules. Są dorośli, mają mnóstwo zdrowego rozsądku i dobrej energii, i kochają cię. – Julian wpatrywał się w Nicole, oszołomiony jej głosem, wsłuchując się w jej słowa z trzeźwą świadomością, po raz pierwszy od piątku. Nicole poczuła przypływ sił. – Są tutaj, bo do nich zadzwoniłam. Tak postępują kochający się ludzie, tak postępuje rodzina. Nie uważasz się za szczęściarza, że ich masz? Niektórzy mogą ci tylko zazdrościć. – Przycisnęła dłoń do piersi. – Czuję się szczęśliwa, że są tu ze mną, i ty też powinieneś, a jeśli nie jesteś w stanie tego docenić, to znaczy, że na nas nie zasługujesz. – Zaciśnęła dłoń, pochyliła się do przodu i mówiła dalej, z determinacją, na którą nigdy wcześniej się nie zdobyła: – Jeśli nie potrafisz zawalczyć o siebie, walcz o nas. Nie rezygnuj, Julianie Carlisle. Nie zachowuj się jak totalny... fiut.

Julian gapił się na nią zdumiony. Jego czoło nadal było wilgotne, a policzki rozpalone, ale spojrzenie złagodniało, usta zadrżały.

– Fiut?

Nicole się speszyła. To było mocne słowo.

– Chciałam powiedzieć duppek, ale wyszło inaczej.

Julian wydał z siebie zduszony dźwięk, który mógł być chichotem.

– Fiut, powiadasz?

– Czasami nim bywasz – odparła łagodnie.

– A ty i tak mnie kochasz.

– Kocham.

Julian z uśmiechem zamknął oczy i nic więcej nie powiedział. Leżał bez ruchu, nie wydając z siebie dźwięku.

Żadnego dźwięku.

Nicole zmroziło krew w żyłach.

Przerażona, pochyliła się nad mężem i mocno potrzęsła jego dłoń.

– Julian!

Otworzył oczy.

– Tylko odpoczywam. Czy możesz się obchodzić łagodniej z moją ręką?

\*

*Julian czuje się lepiej!* – napisała Nicole nieco później. *Rzęzenie, ciśnienie, gorączka – wszystkie objawy złagodniały. Minie trochę czasu, zanim całkiem dojdzie do siebie, ale Hammon nie posiada się ze szczęścia. Nie mogę w to uwierzyć. Więcej szczegółów później. Wracam do*

*niego.*

Ze łzami w oczach i ściśniętym gardłem Charlotte pokazała wiadomość Leo, który tulił ją do siebie, dopóki nie rozdzielił ich dźwięk kuchennego minutnika. Poza szczęściem dzielonym z Nicole Charlotte poczuła niewyobrażalną ulgę, jakby to piekielne lato – wspomnienie romansu, gniew Nicole, utrata jedyne go łącznika ze swoim dzieckiem – wydarzyło się nie bez przyczyny. Skończyły pisać książkę, a Julian przetrwał najgorsze, mieli więc podwójny powód do świętowania.

Po południu Leo kupił świeżego homara i ugotował go żywcem. Charlotte nie stosowała tej metody, odkąd wiele lat wcześniej usłyszała drapanie szczypiec o ściany garnka. Leo upiekł też na grillu kukurydzę i pociętą na plasterki cukinię, świeżo zebrane z pól Quinnipeague, zaś Charlotte przygotowała grzanki z masłem z chleba z dodatkiem rozmarynu upieczonego przez Melissę Parker.

Milczenie nigdy nie było dla nich problemem, tego wieczoru również. Charlotte nie mogła zapomnieć o Julianie i co jakiś czas uśmiechała się z ulgą, ale jej myśli coraz częściej krążyły wokół Leo. Jego rysy były łagodne, podobnie jak ciemnoniebieskie oczy. Założył Charlotte kosmyk włosów za ucho, ona starła mu z wargi resztkę masła. Raz po raz wznosili kieliszki z winem w milczącym toaście, a kiedy skończyli jeść kolację, usiedli z Niedźwiedziem na pomoście i wypili kawę. W pewnym momencie Charlotte oparła głowę na szyi psa i jej oczy napelniły się łzami. Zanim się wyprostowała, nie został po nich ślad. Nie chciała płakać tej wyjątkowej nocy.

Podczas odpływu, kiedy księżyc wisiał wysoko na niebie, wybrali się na spacer plażą. Szli po piasku, puszczać swoje dłonie tylko wtedy, gdy musieli ominąć większe kamienie. W końcu dotarli do miejsca, gdzie kochali się pierwszy raz siedem tygodni wcześniej. Możliwe, że od początku był to cel ich spaceru, ale nie przyznali się do tego. Zostawili ubrania na plaży i weszli do wody. Leo utrzymywał ich na powierzchni, zaś Charlotte oplotła go nogami w pasie, chwyciła za szyję i zaczęła się całować.

Kochali się najpierw w wodzie, a później – wolniej i z większym namaszczeniem – na plaży. Gdy skończyli, zostali na niej, dopóki nie zrobiło się im zimno od chłodnej oceanicznej bryzy. Trzymając się za ręce wrócili do domu, gdzie przez długi czas leżeli w łóżku przytuleni. Oddech Leo stał się w końcu równie miarowy jak szum fal. Charlotte nie spała. Wsłuchiwała się w szum oceanu, oddech mężczyzny i bicie własnego serca. Mijały minuty, później godziny. Jeśli nawet się zdrzemnęła, to nie na długo. Ważniejszy niż sen był dla niej dotyk włosów na klatce piersiowej Leo na jej policzku, jego silne udo pod jej udem i jego zapach.

Tuż przed świtem zostawiła Leo w łóżku; leżał z głową odwróconą w drugą stronę. Niedźwiedź popatrzył na nią z podłogi, lecz wystarczyło dotknąć jedwabistej skóry między jego oczami, żeby ponownie zasnął. Na krześle leżał marynarski worek Charlotte. Nigdy oficjalnie nie wprowadziła się do Leo, więc także się nie rozpakowała, co ułatwiło jej teraz zadanie. Włożyła ostatnie ubrania i kosmetyki do worka i zaniósła go do kuchni. Chciała zostawić Leo kilka słów, więc wyjęła kartkę i długopis z szuflady, ale nic nie przyszło jej do głowy. W końcu napisała tylko „Całuję”, zostawiła liścik na poduszce, wyszła frontowymi drzwiami i z przewieszonym przez ramię workiem ruszyła w kierunku domu Nicole.

\*

Leo nie poszedł za nią, ani nie zadzwonił, ale wcale tego nie oczekiwała. Nie była nawet pewna, czy spał, kiedy się pakowała. Oboje wiedzieli, że ich rozstanie jest nieuniknione. Mimo to czuła wewnętrzną pustkę. Próbowwała ją wypełnić, robiąc pranie i sprzątając pokój, ale szybko się z tym uporała. Zaczęła więc dziergać sweter. Po lecie spędzonym na wyspie doskonale знаła

wzór i o dziwo nie zrobiła ani jednego błędu. Wczesnym popołudniem pojechała do Isabel Skane, która wyjaśniła jej, jak połączyć ze sobą elementy swetra. Charlotte zrobiła szczegółowe notatki, spodziewając się, że to będzie bardzo trudne. Okazało się, że wprost przeciwnie, zwłaszcza że nie miała nic innego do roboty, jak tylko szyć na tarasie, szukając ukojenia w widoku ostatnich tego lata róż pnących się po pergoli, zapachu bryzy i dudnieniu fal.

Kilka razy chodziła do ogrodu, gdzie kwitły lawenda, waleriana i czerwona koniczyna. Ucieszyło ją, że pozostały świeże, chociaż spełniły już swoje zadanie. Wieści z Chicago były dobre. Julian czuł się coraz lepiej, dochodził do siebie po przeszczepie. Nicole twierdziła, że objawy SM też są łagodniejsze, chociaż potrzeba czasu, by stwierdzić, czy ten efekt jest stały i czy komórki macierzyste zdołały odbudować mielinę zniszczoną czterema latami choroby. Nicole nie przejmowała się tym jednak – odzyskała swojego mężczyznę i była najszczęśliwszą kobietą na świecie.

Charlotte przyszło nagle do głowy, że rośliny zachowały świeżość ze względu na nią. Pod wpływem impulsu zerwała koniczynkę, pomyślała życzenie i schowała ją na sercu. Nie była pewna, czy w to wierzy. Bardzo często w swoim życiu zamykała się głęboko w sobie, co działało podobnie uspokajająco jak te rośliny. Czy Julian poczuł się lepiej dzięki czerwonej koniczynie, czy dzięki osiągnięciom medycyny? Czy Leo powiedział Charlotte, że ją kocha? Nie, pomimo wszystkich zerwanych przez nią koniczynek i wypowiedzianych życzeń!

Zniechęcona, wróciła do zszywania swetra. Pracowała do samego wieczora, póki nie ogarnęło jej zmęczenie. Poprzedniej nocy nie zmrużyła oka, więc teraz spała jak zabita, co uznała za dobry znak. W czwartek rano po raz ostatni obeszła dom, spakowała bagaże do jeepa i odjechała.

Dotarła na przystań przed przyplłynięciem promu, tak jak sobie zaplanowała. Zabrała zawinięty w bibułę pakunek z tylnego siedzenia samochodu i poszła do Chowder House. Już od progu uderzył ją zapach zupy i smażonych małży. Dorey była w kuchni, szykowała się do przyjęcia gości w porze obiadowej. Wystarczyło jedno spojrzenie na Charlotte, żeby wytarła rękę w ściereczkę i odeszła od kuchni.

– Wyglądasz, jakbyś straciła najlepszego przyjaciela – zauważyła ze współczuciem.

– Właściwie mam dobre wiadomości.

I Charlotte z uśmiechem opowiedziała jej o Julianie.

– Dobre, ale nie zaskakujące – powiedziała Dorey. – Czuwał nad nim duch Quinnepeague.

– Zawiesiła głos. – Nad tobą też będzie czuwał.

Charlotte z trudem powstrzymywała łzy.

– Zrobisz coś dla mnie? – wydusiła, podając Dorey paczkę. Nie musiała mówić, dla kogo była przeznaczona. Dorey skinęła głową, wzięła paczkę i popatrzyła na Charlotte błagalnym wzrokiem.

– Jesteś pewna, że nie możesz zostać?

– Tak. Mam pracę.

– Wrócisz do nas?

– Nie wiem. – Ze ściśniętym gardłem ruszyła w stronę wyjścia. Kiedy poczuła uścisk pulchnych ramion, zatrzymała się i utkwiała wzrok w drewnianej podłodze.

– I pomyśleć, że to o niego się martwiłam – powiedziała współczująco Dorey. – Dbaj o siebie, dziewczyno. Gorący chowder zawsze będzie tu na ciebie czekał.

*Czau-da* – wypowiedziane z akcentem z Maine słowo dźwięczało w głowie Charlotte, póki nie zagłuszył go dźwięk syreny promu. Wjechała jeepem na pokład, a kiedy podniesiono pochylnię, zajęła miejsce na rufie. Czy mogła nie patrzeć w stronę jego domu, z nadzieją, że Leo jednak zmienił zdanie? Czy mogła nie wyobrażać sobie szczęśliwego zakończenia w miejscu,

które pod tak wieloma względami było bajkowe?

Ale widziała tylko wyspę, coraz mniejszą i mniejszą...

\*

Jakoś przetrwała podróż do Rockland, później do Nowego Jorku i wreszcie na Brooklyn, do mieszkania na trzecim piętrze, z zepsutą klimatyzacją. Na zewnątrz panowała duchota. Charlotte zadzwoniła do właściciela mieszkania, poszła na kolację do swojego ulubionego baru sushi, a później do ulubionej kawiarni po dużą szklankę mrożonej malinowej herbaty na wynos. Po powrocie do mieszkania przejrzała szafę, szukając w niej odpowiednich ubrań na wyjazd do Francji.

Wypakowując z torby rzeczy z Quinnipeague, natrafiła na coś twardego. Zdziwiona, wyjęła przedmiot, który okazał się piętnastocentymetrowym kawałkiem sosnowego drewna. Wyrzeźbiono w nim sylwetkę Niedźwiedzia, od nosa po ogon. Było to dzieło osoby, która znała tego psa najlepiej. Serce Charlotte zaczęło bić jak szalone. Leo rozpoczął tego lata tyle rzeźb, przez cały czas twierdził, że nie jest w tym dobry, i że – tak jak w przypadku robótki Charlotte – liczy się sama czynność, a jednak stworzył coś doskonałego.

Trzymając w dłoni figurkę psa z niewielkimi, szeroko rozstawionymi uszami, mocnym grzbietem i smukłymi łapami, przypomniała sobie Niedźwiedzia i jego pana, i rozpłakała się.

## Rozdział 29



W Paryżu Charlotte czuła się tak, jakby ktoś odebrał jej duszę. Przez dwa dni spotykała się z przyjaciółmi, uśmiechała się i potakiwała, słuchając francuskiej paplaniny. Nie opowiedziała nikomu o Leo, nie chciała o nim rozmawiać, a im wystarczyło samo towarzystwo Charlotte, którą zabierali w rozmaite miejsca: na bazyry, do kafejek i klubów.

Czy myślała o nim? Oczywiście, że tak. Specjalnie spakowała do Paryża inne ubrania niż te, które nosiła na Quinnepeague, ale zabrała ze sobą figurkę Niedźwiedzia – nie mogła jej zostawić w domu, a tym bardziej bez niej zasnąć – i myślała o Leo za każdym razem, kiedy ogrzewała dłońmi drewno. Zadał sobie wiele trudu, szczególnie żeby oddać szczegóły psiej głowy, a ponieważ drewno sosnowe jest miękkie i pełne sęków, zastanawiała się, ile razy musiał zaczynać od nowa. Czyżby rzeźbił, kiedy spała? A może wtedy, gdy była u Nicole albo w miasteczku? Czy figurka była prezentem na czas rozłąki, czy ostatecznym pożegnaniem? Charlotte nie potrafiła sobie odpowiedzieć na te pytania.

Myślała o Leo za każdym razem, kiedy Nicole przysyłała jej wiadomości, czyli często. W czwartek wieczór Juliana przeniesiono z OIOM-u na zwykły oddział, a kiedy wczesnym sobotnim rankiem Charlotte wylądowała w Paryżu, w skrzynce czekał na nią e-mail z informacją, że Julian wstał z łóżka i chodzi o własnych siłach. Charlotte cieszyła się ich szczęściem.

W poniedziałek Julian został wypisany ze szpitala, a Charlotte była już w drodze do Bordeaux. Pośród imponujących *château* i zielonych winnic skoncentrowała się na artykule; to było jej oczko w głowie. Miała opisać amerykańską rodzinę, która niedawno kupiła w Bordeaux niewielką winnicę. Ten niesamowity trzypokoleniowy klan: dziadkowie, dwóch synów i ich żony oraz siedmioro dzieci w wieku poniżej dziesięciu lat, stanął przed nie lada wyzwaniem. Wcześniej byli właścicielami mniejszej winnicy w Kalifornii, ale postanowili pójść o krok dalej, by spełnić swoje marzenia, i chociaż poprzedni właściciele byli na miejscu i w razie czego mogli im pomóc, interes od początku układał się inaczej, niż to sobie zaplanowali. Ze względu na słabnącą gospodarkę oraz konkurencję ze strony zagranicznych firm i tych lokalnych, z doskonałymi tradycjami, zostali zmuszeni do przemyślenia swoich celów. Musieli być atrakcyjni dla klienta, co oznaczało obniżenie cen i konieczność dalszego rewidowania marzeń, a to wiązało się ze stresem. Mimo tego wszystkiego byli szczęśliwi. Podczas dziesięciu dni, które Charlotte spędziła w wiekowym *château*, na każdym kroku zaskakiwał ją ich optymizm.

Nicole i Julian zostali w Chicago pięć dni i każdego z nich jeździli do szpitala na kontrolę. Kiedy Charlotte wyjechała z Bordeaux, oni byli już z powrotem w Filadelfii. Dzięki SMS-om od przyjaciółki Charlotte podtrzymywała więź z przeszłością. Wiedziała, kiedy Nicole przepełniona nadzieją wróciła do swojego mieszkania, poszła na zakupy do zaprzyjaźnionych rolników i – nie pierwszy raz – zorientowała się, że żaden ze sprzedawanych przez nich produktów nie jest tak świeży jak na Quinnepeague.

Toskania była pełna świeżości, ale w zupełnie innym tego słowa znaczeniu niż Bordeaux. Zamiast równiutkich rzędów zielonej winorośli porastającej zbocza wzgórz Charlotte zastała w niewielkiej włoskiej wiosce dość zaniedbane przestronne gaje oliwne. Toskania nie była tak wilgotna jak Bordeaux, tutejsze powietrze wydawało jej się bardziej suche, a zapachy – focacci,

rybnego lub mięsnego gulaszu gotowanego z dodatkiem oliwy z pierwszego tłoczenia – kręciły ją w nosie.

Wyzwaniem dla tutejszych rodzin nie był optymizm, lecz ewolucja. Tym razem Charlotte pisała artykuł o uprawie oliwek i prowadzącej ją od pokoleń włoskiej rodzinie. Ciągłe zmiany zachodzące na farmie miały więcej wspólnego z osobistymi zainteresowaniami członków rodziny niż ekonomią. W tej rodzinie nie liczyły się pieniądze, lecz próbowanie w życiu nowych rzeczy. Właśnie otwierali szkołę gotowania, by oddać hołd tokańskiej oliwie.

Charlotte spędziła długie godziny w towarzystwie pracowników farmy, od osób sadzących krzewy oliwkowe, przez te, które o nie dbały i zbierały owoce, aż po ludzi tłoczących oliwę. Przeprowadziła wywiady z miejscowymi szefami kuchni i uczniami szkoły. Tak jak podczas ostatnich dni na Quinipeague, wybierała przepisy do swojego artykułu, kiedy Nicole i Julian wrócili na wyspę.

*Wyniki Juliana są dobre – napisała Nicole. – Zdaniem Hammona ryzyko odrzucenia przeszczepu jest niewielkie. Julian nadal jest osłabiony, ale na razie nie wiadomo, czy powodem jest przeszczep czy SM.*

*Jest przygnębiony?*

*Trudno powiedzieć. Chyba nie myślał jeszcze o powrocie do pracy. Na razie koncentruje się na chodzeniu. Jest zdeterminowany, żeby w przyszłym tygodniu zacząć biegać. To jego test zdrowia.*

Charlotte wyobraziła ich sobie na drodze, tarasie, plaży i zatęskniła za wyspą. *Jak tam teraz jest?*

*Cudownie. Noce są chłodniejsze i szybciej zapada zmrok, ale nie ma już tłumów. Zabieram laptopa do kawiarni i tam pracuję. Prawie skończyłam książkę. Nie wprowadziłam żadnych – ŻADNYCH – zmian w tym, co napisałaś. Jak mam Ci podziękować za całą tę pracę? I za komórki?*

*Julian poradziłby sobie i bez nich.*

*Dzięki nim ostatnie tygodnie nabrały większego znaczenia.*

*Ale też były dla Ciebie bardziej bolesne...? Charlotte musiała o to zapytać. Nic nie było zdolne wymazać związanej z tymi komórkami zdrady.*

*Może trochę – przyznała Nicole. – Ale będąc tutaj, tęsknię za Tobą. Dobrze się czujesz?*

*U mnie wszystko w porządku – odpisała Charlotte. – Wróciłam do dawnego trybu życia. – Ale to nie była prawda. Nie udawało jej się czerpać radości z podróży, chociaż się starała. Całe dni spędzała w towarzystwie ludzi, lecz i tak czuła się samotna. I jeszcze ta figurka psa...*

*Leo się do Ciebie odzywa?*

Charlotte poczuła ukłucie bólu.

*Nie utrzymujemy ze sobą kontaktu.*

*Dlaczego?*

*Odpoczywamy od siebie. Łagodnie mówiąc.*

**ZERWALIŚCIE?**

*Nie. Tak. Może. Sama nie wiem. – Charlotte napisała te słowa pod wpływem impulsu i już miała je skasować, ale uzmysłowiła sobie, że doskonale oddają to, co w tej chwili czuje: całkowite skołowanie. Kochała Leo, lecz nie wiedziała, co zrobić z tym uczuciem. Miała nadzieję, że do niej napisze, zadzwoni lub nawet – w przypływie odwagi – wsiądzie do samolotu i zaskoczy ją miłosnym wyznaniem na brzegu Sekwany, w winiarni w Bordeaux lub pod drzewem oliwnym w Toskanii.*

Tylko że takie romantyczne gesty nie były w jego stylu. Charlotte lubiła o nich czytać w książkach, ale w prawdziwym życiu...?



Ostatecznie nie skasowała tych słów, tylko dopisała:

*To tak jak z Julianem – czas pokaże.*

*Czyli po powrocie z Włoch nie wybierasz się na wyspę?*

*Nie. W środę wracam pociągiem do Paryża, a w piątek lecę do Nowego Jorku. Trochę tam popracuję.*

*Przyślę Ci kwiaty. O której lądujesz?*

*Nie przysyłaj. – Kwiaty nie były jej potrzebne. – Nie musisz mi dziękować. –* Charlotte uważała, że nie zasługuje na nie.

*Kiedy lądujesz?*

Nicole i tak by to sprawdziła, spieranie się z nią było bez sensu, a kwiaty mogły nieco ożywić nowojorską klitkę, więc Charlotte napisała: *Piątek, 13:25.*

\*

Ostatecznie przyleciała dzień wcześniej. Kiedy już znalazła się w Paryżu, poczuła tęsknotę za amerykańską ziemią, więc przebukowała bilet. Lot przebiegł bezproblemowo i pomimo wiatrów czołowych samolot wylądował wcześniej, niż było zaplanowane. Jej walizka pojawiła się na taśmie jako jedna z pierwszych. Charlotte przeszła przez odprawę bagażową i zdążyła wsiąść do taksówki, jeszcze zanim rozpoczęły się popołudniowe korki. Klimatyzacja działała bez zarzutu i szybko schłodziła brooklyńskie mieszkanie. Charlotte błyskawicznie się rozpakowała, schowała czyste ubrania do szafy, a brudne wrzuciła do kosza na pranie. Laptopa, aparat fotograficzny oraz teczkę z notatkami położyła na blacie w kuchni.

Co teraz?

Poczuła, że musi odnowić dawne kontakty, zaczęła więc obdzwaniać znajomych; z niektórymi nie rozmawiała od wiosny. Nagrała trzy wiadomości, aż wreszcie, spragniona dźwięku ludzkiego głosu, zadzwoniła do swojej przyjaciółki redaktorki, pojechała metrem na Manhattan i spotkała się z nią na drinka. Tłocząc się w metrze, na ulicy, czy ignorując spojrzenia mężczyzn w barze, czuła się dobrze. To był jej świat, hałaśliwy, gwarny i znajomy. Cieszyła się, że do niego wróciła.

Nie zdążyła się jeszcze przestawić z francuskiego czasu na amerykański, więc zasnęła przed dwudziestą, a następnego dnia umówiła się z jedną z przyjaciółek na śniadanie, z inną na kawę. Wyszukiwanie sobie zajęć zdawało się dobrym rozwiązaniem, więc po powrocie do mieszkania zrobiła pranie, posprzątała i odkurzyła. Po sprawdzeniu e-mailów poszła na lunch. Kawiarenka na dole była znajomym miejscem, ale sklep dziewiarski musiał się otworzyć niedawno. Charlotte weszła do środka, przedstawiła się i przejrzała asortyment, ale wyszła z pustymi rękami, ponieważ żadna z włóczek nie dorównywała tym od Isabel Skane.

Po powrocie do domu zrzuciła buty, włożyła szorty, spięła niesforne włosy szylkretową spinką, otworzyła teczkę i zaczęła przeglądać notatki z Bordeaux.

Nie miała serca do pracy, więc rozejrzała się za innym zajęciem, ale nic do niej nie przemawiało. Zniechęcona podeszła do okna, skrzyżowała ramiona i wyjrzała przez cienie zasłony, nie koncentrując wzroku na niczym szczególnym. Dopiero po chwili dostrzegła mężczyznę w czapce bejsbolowej, ciemnych okularach, džinsach i sportowych butach, opartego o ścianę ratusza. U jego stóp leżał plecak. Mężczyzna wpatrywał się uważnie w jej okno. Wzięłaby go za włamywacza, gdyby nie bukiet żółtych kwiatów, który facet trzymał w ręce. Od Nicole? Raczej nie. Coś w jego postawie – ułożenie džinsów na biodrach, ustawienie nóg, jakby siedział na łodzi – wydało się Charlotte znajome. No i ten sweter...

Serce prawie jej przestało bić, kiedy zauważyła ten szczegół. Marzyła o tym, ale nie ośmieliła się mieć nadziei. Romantyzm miał niewiele wspólnego z rzeczywistością, a to nie było

Quinnipeague w mglisty, pachnący drzewnym dymem letni poranek, tylko Brooklyn w ciepłe wrześnieowe popołudnie.

W ułamku sekundy, z szaleńczo bijącym sercem, Charlotte uświadomiła sobie, ile musiał go kosztować przyjazd tutaj. Mimo to jeszcze przez chwilę przyglądała mu się z niedowierzaniem, ze stopami przyrośniętymi do wysłużonego dywanu.

Zamrugła oczami, lecz mężczyzna nie zniknął.

Naprawdę tam stał.

Wybiegła z mieszkania jak na skrzydłach, pokonując bosą dwa piętra. Otworzyła frontowe drzwi i wyskoczyła z budynku, ale zatrzymała się na najwyższym stopniu schodów. Ubrany w okulary, czapkę, džinsy i adidasów mógłby być każdy, ale żaden inny mężczyzna nie nosiłby ręcznie wydzierganego swetra z irlandzkiej wełny w dwudziestopięciostopniowym upale, a już na pewno nie swetra z pomylonym wzorem i odstającymi ramionami.

Przytrzymując się poręczy z kutego żelaza, Charlotte zeszła powoli ze schodów, ani na chwilę nie odrywając wzroku od mężczyzny, jakby się bała, że zniknie. Nie zatrzymała się na chodniku, tylko przeszła przez ulicę, nawet się nie rozejrzawszy.

Jego twarz była opalona po lecie spędzonym na wyspie, a policzki dodatkowo zaczerwienione. Chociaż głęboko nasunięta na czoło czapka zacięniała większość twarzy, szczeka i skrawek wystającej spod swetra szyi sprawiały wrażenie wilgotnych.

– Czy ja pana znam? – zapytała Charlotte ze ściśniętym gardłem.

– Mam nadzieję, że tak – odparł niskim, drżącym głosem. – Bo ja siebie nie poznaję.

– Czujesz się nieswojo?

– Bardzo.

– Z powodu miasta?

– Częściowo.

Pomyślała z niepokojem, że przyjechał się z nią pożegnać.

– Przyleciałeś samolotem?

– Wiesz, że nie latam.

– Z tego co wiem, w ogóle nie ruszasz się z wyspy – przypomniała mu łagodnie, przysuwając się o krok; nadzieja dodała jej siły. – A więc przyjechałeś samochodem.

Spojrzał nerwowo na zaparkowanego w dole ulicy granatowego pick-upa. Charlotte przypomniała sobie, jak kochali się, oparci o samochód, i ogarnęło ją pożądanie.

Przysunęła się jeszcze bliżej, spragniona dotyku, lecz ostrożna, i powiedziała:

– Dostaniesz mandat za parkowanie tutaj.

– Nie szkodzi. Czy mogą odholować samochód?

– To zależy, jak długo będziesz tu stał. – Nie chciała ciągnąć tego tematu. – Co u Niedźwiedzia?

– Węszy za tobą po całym domu.

Charlotte poczuła ucisk w gardle, jak zawsze na wspomnienie o nim. Dlaczego reagowała tak na myśl o psie, a nie o jego właścicielu? Być może dlatego że miłość Niedźwiedzia była bezwarunkowa i że odwzajemnienie jej nie wiązało się z żadnym problemem.

Jednak to nie Niedźwiedź przed nią stał, tylko Leo, i chciała móc sobie pozwolić również na miłość do niego. Ze łzami w oczach zacisnęła wargi, żeby przestały drżeć, ale to nie pomogło. Wspięła się na palce, objęła Leo za szyję i przycisnęła do niej twarz. Pachniał potem i mydłem – a także balsamicznym powietrzem, sosną, lawendą, walerianą, szalwią, tymiankiem i miętą, smażonymi małżami, chowderem, plażą i oceanem. Pachniał Quinnipeague, bo uosabiał tę wyspę.

Nie mogąc się dłużej powstrzymać, zaczęła płakać – ona, która nigdy nie płakała przy

ludziach, nie licząc jego. Leo wydał z siebie gardłowy dźwięk, objął Charlotte ramieniem, mocno ją do siebie tuląc, a drugą odgarnął jej włosy z twarzy. Całował te włosy, a gdy zbliżył się do skroni, Charlotte odsunęła głowę.

– Co tak długo? – zapytała zduszonym głosem.

Mógł powiedzieć, że wcześniej nie było jej w domu, zresztą to przecież ona wyjechała z wyspy, na co Charlotte zauważyłaby, że mógł do niej zadzwonić, wysłać e-mail albo SMS.

Zamiast tego Leo odparł krótko:

– Wolno się uczyć.

Tym jednym zdaniem skruszył gniew i roztopił serce Charlotte. Ujęła ją taka szczerość. A skoro już o szczerości mowa, wydusiła przez łzy:

– Wyglądam okropnie.

– Wyglądasz pięknie. – Nie odrywał od niej wzroku.

Jego oczy były niewyraźnymi kształtami pośród czerni. Charlotte uniosła jego ramię i odebrała jej mowę. Oczy Leo miały zachwycający odcień granatu, bez cienia uporu czy niechęci. Mur runął, pozostało tylko głębokie pragnienie i strach.

Usta Leo poruszyły się. Gdyby Charlotte nie miała w oczach łez, mogłaby odczytać słowa z ich ruchu, ale wszystko widziała zamazane.

– Co takiego? – zapytała.

Tym razem je wyszeptał.

Serce podskoczyło jej w piersi.

– Powtórz – poprosiła, również szeptem.

– Kocham cię – powiedział i było to tak intymne, szczere wyznanie – tak bardzo w jego stylu – że musiała mu uwierzyć.

Znowu zebrzało jej się na płacz, ale oczy Leo pozostały tak ciemne i pełne strachu, że mogła tylko zamrunąć i wstrzymać oddech.

– Czy ty nadal to czujesz? – zapytał tym samym cichym głosem.

– Nigdy nie przestanę, Leo – odparła z uśmiechem. – Od dawna próbowałam ci to powiedzieć. Prawdziwa miłość nie przemija.

– A nasza jest prawdziwa?

Charlotte kiwnęła głową. Przeniosła wzrok na bukiet kwiatów, które nadal trzymał w dłoni, i nagle zmarszczyła z namysłem brwi.

– Kiedy tu przyjechałeś?

– Godzinę temu. Myślałam, że przyjedziesz taksówką. Twój samolot musiał wylądować wcześniej.

– Nicole ci powiedziała.

– Tak – przyznał Leo z zażenowaniem, które bardzo jej się podobało. – Chociaż nadal mnie nienawidzi.

– Nieprawda. Jestem pewna, że w grę wchodzi co najwyżej chorobliwa duma i upór. Ale skoro zadzwoniła do ciebie z informacją, kiedy ląduję, i poradziła ci, żebyś przywiózł kwiaty...

– Kwiaty wymyśliłem sam – powiedział i jakby na poparcie jego słów w ulicę wjechała furgonetka z logo kwiaciarni.

Chwilę później Charlotte trzymała ogromne naręcze polnych kwiatów. W tym otoczeniu wyglądały dziwnie. Nicole z pewnością chciała jej w ten sposób pokazać, że polne kwiaty najpiękniej prezentują się jesienią na Quinipeague i że Charlotte powinna tam pojechać i sama się przekonać.

– Niedługo przekwitną – powiedziała i przeniosła wzrok na żółte róże – w przeciwieństwie do nich. Trzeba je wstawić do wody. Wejdiesz na górę?

– Chryste – sapnął Leo. – Myślałem, że nigdy tego nie zaproponujesz. Gorąco tu jak diabli.

– To dlatego że masz na sobie ten sweter. Dlaczego włożyłeś go w taki upał?

– Bo tylko dzięki niemu jakoś to wszystko zniosłem.

\*

Ledwie wstawili róże do wody, zabrali się do ściągania z siebie ubrań: swetra, a później koszulek, spodni i całej reszty, wszystko to przy idealnie działającej klimatyzacji. Czuli wielką potrzebę bycia razem. Kochali się na dziesiątki sposobów, na podłodze, łóżku i pod prysznicem. Charlotte nigdy nie była tak nienasycona, z drugiej strony nigdy wcześniej nie była tak mocno zakochana i nie przeżywała miesięcznej rozłąki z ukochanym mężczyzną.

Leo w niczym jej nie ustępował. Był niesamowity i przy okazji gadatliwy – raz za razem powtarzał Charlotte, że ją kocha. Nie sądziła, by słuchanie tych wyznań kiedykolwiek mogło jej się znudzić.

Kiedy popołudnie zamieniło się w wieczór, musieli się zająć praktycznymi sprawami, takimi jak zaparkowanie pick-upa i kupienie czegoś na kolację, lecz szybko się z tym uporali. Samochód stanął za jeepem, kilka ulic dalej, obok domu przyjaciółki Charlotte, a na kolację zamówili tajskie jedzenie. Leo nigdy wcześniej go nie próbował, więc Charlotte wybrała kilka różnych potraw. Niektóre smakowały mu bardziej, inne mniej. Zanim wszystko zjedli, Leo zrobił się senny. Przeprowadził się z Quinnepeague do Rockland poprzedniego dnia po południu, a w dalszą drogę wyruszył o trzeciej nad ranem, żeby uniknąć korków na drogach i związanego z nimi stresu.

Tym sposobem Leo, nocny marek z Quinnepeague, zaciągnął Charlotte do łóżka na Brooklynie, gdzie kochał się z nią raz jeszcze, a później zasnął. Charlotte nie była senna. Miała w sobie za dużo energii, żeby zasnąć, nie chciała też pozbawiać się widoku leżącego obok niej Leo.

Poza tym chwilę przed zaśnięciem Leo sięgnął do plecaka i wyjął z niego maszynopis.

– Twoja nowa książka? – zapytała z podekscytowaniem Charlotte.

Leo pokręcił głową, podał jej plik kartek, położył się twarzą do niej, poprawił poduszkę i zamknął oczy.

Charlotte przyglądała mu się przez chwilę, a kiedy stało się jasne, że niczego więcej jej nie wyjaśni, bo smacznie zasnął, spojrzała na tytułową stronę. *Korzenie i inne takie* – przeczytała i odwróciła pierwszą stronę. *Dla Charlotte*.

Przełknęła ślinę i zaczęła czytać.

\*

Było oczywiste, że ta książka nigdy nie zostanie opublikowana, chociaż była piękna. Charlotte już od pierwszej strony wiedziała, że Leo ma niezwykły talent. Napisał kilkaset stron tekstu w ciągu zaledwie trzech tygodni. Styl był podobnie liryczny jak w *Salt*, chociaż Charlotte wiedziała, że Leo nie miał czasu na redagowanie. W jego słowach odnalazła katharsis w najbardziej pierwotnej formie, opis trzydziestu ośmiu lat drobnych zwycięstw w cieniu gniewu, rozżalenia i strachu.

Była to jego własna, niezwykle osobista historia, którą może i zaczął pisać dla Charlotte, ale skończył dla siebie. Już wcześniej opowiadał Charlotte o sobie, ale w tej książce szczegółowo opisał swoje uczucia do matki i wyspy. Pisał o tęsknocie za ojcem, buncie i rozpacz, niepewności i miotaniu się. Pisał o dziewczynach z wyspy, seksie i kochance z Phoenix. Charlotte nie poczuła się urażona, bo wiedziała o niedoskonałości tych związków i знаła tego

mężczyznę. Leo pisał o pierwszym spotkaniu z Charlotte na ciemnym podjeździe, o tym, ile dla niego znaczyło ich wspólnie spędzone lato, jak po jej wyjeździe czuł się najpierw sparaliżowany, a później zniesmaczony swoim postępowaniem i strachem, aż wreszcie wziął się w garść i zaczął działać.

Najpierw pojechał w odwiedziny do swojego ojca. Dla żadnego z nich nie było to łatwe spotkanie. Od lat nie mieli ze sobą kontaktu i nikt ich nie nauczył relacji ojciec–syn, ani studzenia gromadzonych latami emocji. Leo był brutalnie szczery, rozgniewany i arogancki, gdy powiedział ojcu o *Salt*. Nie planował tego, bo bał się ujawnienia i nie ufał temu obcemu mężczyźnie. Mimo to doszedł do wniosku, że *Salt* – z jego przywiązaniem do morza, tęsknotami i marzeniami – był ważnym elementem jego tożsamości.

Ojciec był starszy, niż zapamiętał go Leo, i niedawno przeszedł na policyjną emeryturę. Podczas ich rozmowy czasem próbował się bronić, lecz przede wszystkim słuchał. Czy mieli szansę na pojednanie? Leo nie był pewien, ale godziny szczerej rozmowy – akt wyrwania złych korzeni i pozostawienia oczyszczonej, gotowej na przyjęcie nowej rośliny ziemi – były konieczne, skoro zamierzał opuścić Maine po raz pierwszy w życiu.

Musiał przynajmniej wiedzieć, że jest zdolny wyjechać. Przejąwszy się argumentami Charlotte, zwymyślał się od tępaków, egoistów i tchórzy. Pozbawiony pewności siebie, tak samo jak w dzieciństwie, kiedy jeździł po wyspie z ziołami, w swoim tekście nie przedstawiał siebie w najlepszym świetle, nawet pomimo sukcesu *Salt*. Jednak w oczach Charlotte był bohaterem.

Czytała do trzeciej w nocy. Przy lekturze kilka razy się popłakała. Leo wszystko to przespał. Charlotte najpierw to zdziwiło. Czy nie był ciekawy jej reakcji? Zrozumiała jednak, że nie w tym rzecz. Uciekł w sen, by nie widzieć jej łez i się o nią nie martwić. Jednak przez cały czas jej dotykał, nie tracąc z nią fizycznego kontaktu.

Później – jakby wyczuł, że skończyła czytać – przeciągnął się i otworzył najpierw jedno, potem drugie oko. Czekał, aż Charlotte odezwie się pierwsza, ale co mogła powiedzieć? Leo przeżył tak trudne chwile, że nie potrafiła ich sobie nawet wyobrazić, chociaż i jej doskwierała samotność. A jego ojciec? Podobno Cecily groziła mu, że rozpęta piekło, jeśli będzie się wtrącał w życie Leo, a on jej uwierzył. Cecily nie miała pojęcia, że to on wynajął prawnika, dzięki któremu Leo spędził za kratkami pięć lat zamiast dziesięciu i nie poszedł do więzienia za drugim razem, kiedy został fałszywie oskarżony.

Leo wyciągnął rękę i otarł łzy z twarzy Charlotte, ale nie chciała, by ją pocieszał, podobnie jak nie miała ochoty na seks. Wsunęła jedno ramię pod plecy Leo, a drugim mocno go objęła, by wiedział, że nigdy go nie zostawi. Po jakimś czasie zamienili się rolami i to on tulił ją do siebie, a ona spała z głową na jego piersi.

Kiedy wreszcie się obudziła, promienie południowego słońca padały na dywan. Leo oznajmił, że chce się wybrać do miasta.

– Na Manhattan? – zdziwiła się Charlotte. Sądziła, że będzie wolał poznawać miasto krok po kroku, zaczynając od najbliższej okolicy. Manhattan szokował nawet ludzi z innych dużych miast, a co dopiero tych z maleńkich wysepek.

Leo kiwnął głową.

– Na Piątą Aleję – odparł z przekonaniem.

Kiedy jednak wsiedli do metra, trzymał dłoń Charlotte tak mocno, jakby zależało od tego jego życie. Gdy dotarli do śródmieścia, jego oczy wyrażały strach i podziw, ale starał się zachować spokój. Zdradzało go tylko nerwowe przełykanie śliny podczas studiowania oznaczeń ulic. Najwyraźniej odrobił pracę domową, ponieważ znał układ ulic w mieście. Kiedy minęli kilka przecznic, zaczął sprawdzać numery. Odnalazłszy właściwy adres, szeroko otworzył przed nią drzwi i odsunął się na bok.

Charlotte popatrzyła na nazwę sklepu i posłała Leo pytające spojrzenie. Ten tylko kiwnął głową, dając jej znak, żeby weszła. Kiedy znaleźli się w środku, Leo podszedł do stojącej najbliżej pracownicy i zapytał o Victorię Harper, kierowniczkę sklepu, z którą rozmawiał wcześniej przez telefon. Charlotte była pod wrażeniem jego *savoir-vivre* 'u, jeszcze zanim kobieta zaprowadziła ich do przeszklonej gabloty z pierścionkami. Elegancka pani Harper wyjęła ze środka kilka sztuk, o których rozmawiała wcześniej z Leo.

Charlotte przycisnęła drżące palce do ust, chociaż i tak nie byłyby w stanie wydobyć z siebie głosu. Przez chwilę wpatrywała się w pierścionki, po czym przeniosła wzrok na Leo, którego uśmiech wyrażał jednocześnie nieśmiałość, podekscytowanie i dumę.

– Czego się spodziewałaś? – zapytał.

Charlotte po omacku odszukała jego rękę, która wydawała jej się jedyną pewną rzeczą w tym miejscu.

– Ja... nie... Nie planowałam...

– Czy to odmowa?

– Nie, nie, ale... Pierścioneł od Tiffany'ego? – pisnęła i dodała zdumionym szeptem: – Są za drogie.

– Nie dla mnie – odparł. – Nie jeśli któryś z nich ci się podoba.

Kochała Leo i nie potrzebowała pierścionka, ale on wszystko skrupulatnie zaplanował i wiedział dokładnie, co robi. Jeśli nawet uczył się elegancji od bohaterów książek, okazał się bardzo pojętnym uczniem. Jego oczy były szczere; zależało mu na jej szczęściu.

Charlotte uważnie przyjrzała się pierścionkom. Każdy był zachwycający. Większość kobiet nie mogła sobie wybrać pierścionka zaręczynowego. Charlotte doceniała gest Leo. Z ręką przyciśniętą do piersi oglądała je po kolei, ale nie potrafiła się zdecydować.

– Jeśli te ci się nie podobają, obejrzymy inne – powiedział Leo, podenerwowany. – Możemy też zaprojektować model specjalnie dla ciebie.

– Mój Boże, nie – odparła Charlotte, przykładając dłoń do szyi. – Są przepiękne.

– Pan Cole doskonale wiedział, czego chce – wtrąciła Victoria z lekkim brytyjskim akcentem. – Ma świetny gust.

Charlotte nie była pewna, czy jej gust jest równie dobry, ale ciągle wracała spojrzeniem do jednego z pierścionków z brylantem w kształcie łyzy i dwoma podłużnymi po bokach. Podobała jej się jego prostota i błysk klejnotu.

Chwilę później pierścioneł znalazł się na jej palcu.

Trzeba go było dopasować, ale Leo pomyślał i o tym. Pierścioneł trafił na godzinę do umówionego wcześniej jubilera. Wyszli ze sklepu i Leo po raz pierwszy mógł w pełni docenić uroki Manhattanu, w szczególności Rockefeller Center i katedry Świętego Patryka. Tym razem to Charlotte kurczowo trzymała się jego ręki i jego boku, bardziej zafascynowana odwagą swojego mężczyzny niż miejskimi atrakcjami.

Kiedy wrócili do Tiffany'ego, pierścioneł leżał i błyszczał w wyściełanym aksamitem pudełeczku. Charlotte westchnęła z zachwytem. Po raz kolejny pomyślała, że jest zbyt drogi, zbyt duży i zdecydowanie zbyt nieskazitelny dla kogoś, kto ma tyle wad co ona, ale Leo wyjął go z pudełka i przyklęknął na jedno kolano. Nie musiał nic mówić. Wyczytała słowa oświadczenia z nieśmiałego i zaniepokojonego wyrazu jego twarzy.

Charlotte z uśmiechem wystawiła drżący palec. Leo włożył jej pierścioneł, wstał, wsunął dłonie w jej włosy, uniósł jej twarz i złożył na ustach delikatny i szczery pocałunek. Dopiero wtedy usłyszała wiwaty gapiów i, rozkosznie zawstydzona, wtuliła twarz w jego szyję.

Tak pięknej sceny nie zdołałyby opisać nawet sam Leo Cole.

## Epilog



Czerwiec od zawsze był ulubionym miesiącem Charlotte na Quinneeague. Rozkoszowała się świeżo rozkwitłymi kwiatami w odcieniach fioletu i rózu oraz zapachem wilgotnej ziemi. Kochała morze spienione po deszczowym dniu. Wczesnym rankiem, zanim uniosła się mgła i wyspę ogrzały promienie słońca, nie było nic przyjemniejszego niż usiąść przed kominkiem w wełnianych skarpetach, z filiżanką gorącej czekolady w dłoni.

Tego ranka miała kubek gorącej czekolady, ale w łóżku leżał Leo, nie potrzebowała więc kominka ani skarpet. Oparty o zagłówek, stukał w klawisze laptopa, lecz uniósł znad nich wzrok, kiedy poczuł, że ona mu się przygląda.

– Wszystkiego najlepszego z okazji naszej rocznicy – szepnęła Charlotte. Leżała na boku i ścisnęła w dłoniach kubek.

Leo uniósł brew.

– To dopiero w październiku.

– Dokładnie rok temu przyszedłem tu i zobaczyłem cię pracującego na dachu.

– Minął tylko rok?

– Dziwne, prawda?

Leo przyciągnął ją do siebie. Czy nie byli ze sobą od zawsze? Nie. Pochodzili z dwóch całkowicie różnych miejsc, co mogło stanowić pewne wyzwanie dla ich związku. Charlotte szybko zrozumiała jego punkt widzenia i z wielkim zadowoleniem odkryła, że Leo też był gotowy na ustępstwa.

W kwestii szybkiego ślubu na Quinneeague byli całkowicie zgodni. Jemu zależało na skromnym ślubie, a ona była gotowa się pobrać choćby na przystani lub w ogrodzie. Mieszkańcy wyspy wyraźnie dali im jednak do zrozumienia, że chcą wziąć udział w uroczystości, a Charlotte kochała tę małą społeczność.

– Chcą ci w ten sposób oddać hołd – wyjaśniła narzeczonemu, kiedy ten zaczął narzekać na tłumy na weselu. – Wiedzą, że twoje dzieciństwo było piekłem, jest im przykro, że ci nie pomogli, i naprawdę cię lubią.

Mieszkańcy wyspy sami zajęli się organizacją wesela, co było na rękę Charlotte, która nie miała pojęcia o organizowaniu imprez większych niż kolacja dla czterech osób... i to z zamówionym jedzeniem. Nicole pomogła Charlotte wybrać suknię ślubną, lecz sama była zajęta kursowaniem między Filadelfią a Nowym Jorkiem, pracą z redaktorem nad książką kucharską i wspieraniem Juliana w chwilach, kiedy ważyła się jego przyszłość.

Ceremonia odbyła się w kościele. Charlotte włożyła olśniewającą białą suknię i był to jedyny ukłon w stronę tradycji; miała rozpuszczone włosy, pomalowane na niebiesko paznokcie, a do ołtarza poprowadził ją Niedźwiedź. Szli powoli: Niedźwiedź z powodu artretyzmu, Charlotte – dziesięciocentymetrowych szpilek, na które uparła się Nicole. Oczywiście zdjęła niewygodne buty na dalszą część uroczystości, na którą składał się toast wzniesiony szampanem na schodach kościoła, przystawki w Island Grill, kolacja w Chowder House i tańce w podgrzewanym namiocie na tarasie Nicole.

Ojciec Leo, chociaż przez wiele lat pracował w służbie publicznej w stanie Maine, czuł

się skrępowany towarzystwem wyspiarzy. Znał wielu miejscowych, ale ci mieli do niego żal, jeśli nie o porzucenie Cecily, to o zostawienie Leo. Byli uprzejmi, lecz powściągliwi. Julian, który nie znał zbyt wielu mieszkańców Quinnie i lubił rozmawiać o egzekwowaniu prawa, chętnie spędzał czas w towarzystwie emerytowanego policjanta.

– O czym myślisz? – szepnął Leo, kładąc rękę na mocno zaokrąglonym brzuchu Charlotte. Była w siódmym miesiącu ciąży. Planowali spędzić na wyspie jeszcze cztery tygodnie, a później przenieść się na bliżej nieokreślony czas do Nowego Jorku.

– O twoim tacie. Powinniśmy go zaprosić na kolację, zanim wyjedziemy.

– Dlaczego?

Charlotte go uszczypnęła.

– Bo to twój ojciec i dziadek ML.

ML był skrótem od Mały Leo, chociaż Cole był przeciwny nazywaniu dziecka na swoją cześć. Wolał imię Ethan, to samo, które nosił bohater *Salt*. Charlotte również się podobało, ale wolała nazywać maleństwo ML.

Leo nie odpowiedział. Charlotte wiedziała, że jej mąż wcześniej czy później oswoi się z obecnością ojca, chociaż rzadko się widywali. Cole senior nie odgrywał w ich życiu zbyt wielkiej roli. Mimo to mieli z Leo wspólne geny. Z natury ciekawska Charlotte szybko znalazła z teściem wspólny temat w postaci kopalnictwa granitu, które stanowiło część historii środkowego Maine i o którym pan Cole wiedział zadziwiająco dużo.

Charlotte wreszcie zaczęła zapuszczać korzenie. Była tym faktem zachwycona i wcale się tego nie wstydziła. Jeszcze mocniej przytuliła się do Leo, który odsunął głowę, żeby zobaczyć jej twarz.

– A cóż to znowu za przebiegły uśmiech?

Charlotte wzruszyła ramionami i popatrzyła na jego komputer.

– Myślę o tym, jak daleko zaszedłeś.

– W sensie dosłownym?

– Też.

Pisał kolejną książkę – trzecią po *Salt* – i jeśli wierzyć temu, co widziała na ekranie, właśnie zaczynał szesnasty rozdział. Twierdził, że Charlotte jest jego muzą, lecz ona wiedziała, że nie w tym rzecz. Leo wreszcie pozbył się demonów przeszłości, dzięki czemu jego umysł się otworzył. Nigdy nie będzie kochał podróży równie mocno, jak kochał swoją wyspę, ale jego świat powoli zaczął się rozszerzać. Po Nowym Jorku przyszedł czas na miesiąc miodowy w Nowej Zelandii, a później tydzień w Europie Wschodniej, gdzie Charlotte zbierała materiały do artykułu, i na Islandii. Chociaż nigdy by się do tego nie przyznał, nowe miejsca inspirowały go. Kiedy tylko dziecko będzie dostatecznie duże do nosidelka, będą podróżować nie ze względu na pracę Charlotte, lecz na jego pisanie.

Z pomocą prawnika Leo wynajął agenta, który sprzedał drugą powieść Chrisa Mauldina za sumę przechodzącą jego najśmielsze oczekiwania. Powstała w zaledwie cztery zimowe miesiące. Udowodniwszy sobie raz, że jest do tego zdolny, Leo podpisał kolejny kontrakt. W umowie było jasno napisane, że Chris Mauldin nie pojedzie w trasę promocyjną i nie zrobi niczego, co mogłoby zdradzić jego tożsamość, i chociaż wydawcy nie było to na rękę, Cole nie ustąpił. Co więcej, spotykał się ze swoim agentem i wydawcą wyłącznie w biurze prawnika. Czy miał lekką paranoję? Być może, ale wydawnictwu tak bardzo zależało na jego nowej książce, że zgodziło się na wszystkie warunki.

Za zaliczkę na poczet drugiej książki Leo kupił dom na Brooklynie, gdzie pracowali z Charlotte przy ustawionych naprzeciwko siebie biurkach. Niedźwiedź przesypiał większość długich podróży samochodem. Był zbyt stary, żeby przejmować się zmianą miejsca pobytu czy



nawet chodzeniem na smyczy. Leo przejmował się tym bardziej niż pies, którego wyprowadzał na coraz dłuższe spacerzy. Pogodziwszy się z tym, że Charlotte nie chce urodzić w domu, jeździł z nią do szpitala i szkoły rodzenia, powoli oswajając się z rolą ojca. Pomagała im też świadomość, że Nicole i Julian przeżywają to samo w Filadelfii; Nicole miała urodzić dziecko trzy tygodnie później niż Charlotte.

A Julian? Osiem miesięcy po przeszczepie czuł się zdumiewająco dobrze. Objawy choroby złagodziły się, jednak władze szpitala nie pozwoliły mu wrócić do operowania. Chociaż się tego spodziewał, ciężko to przeżył. Na szczęście otworzyły się przed nim nowe możliwości. Częściej występował w telewizji jako ktoś w rodzaju rzecznika SM i rozwoju badań nad alternatywnymi formami terapii, a także mówca motywacyjny na konferencjach. Wszystko to przysłużyło się popularności bloga Nickidostołu.com i jej książki kucharskiej.

Charlotte usłyszała buczenie telefonu na nocnym stoliku. Odstawiła kubek i sięgnęła po komórkę.

– Chciałam tylko usłyszeć twój głos – odezwała się w słuchawce Nicole. Była tak podekscytowana ciążą, że jej głos znowu stał się piskliwy, ale nie paplała już tyle co kiedyś. W ciągu minionego lata dojrzała i wyszło jej to na dobre.

Charlotte też na tym skorzystała. Kontaktowały się ze sobą codziennie – często po kilka razy – dzieląc się radami, troskami i obawami. Charlotte nadal intensywnie pracowała, więc krótkie telefony lub SMS-y sprawdzały się najlepiej.

– Dobrze się czujesz? – zapytała przyjaciółkę.

– Nie przepadam za dodatkowymi kilogramami, ale mam dobrą wiadomość – powiedziała Nicole, starając się ukryć podekscytowanie. – Właśnie robimy trzeci nakład. – Książka kucharska ukazała się tuż przed Dniem Matki, a promocja miała się zacząć dopiero latem. Wyglądało na to, że i bez niej książka radziła sobie całkiem nieźle. – Moja wydawczyni jest zachwycona. A tak przy okazji, powiedziała mi, że zgaga nie musi oznaczać, że dziecko będzie miało włosy. Ona miała zgagę przez całą ciążę, a jej córeczka urodziła się łysa.

Charlotte się roześmiała.

– Ja nie mam zgagi, tylko czkawkę. Co to znaczy? – Leo przysunął się do niej.

– ADHD? – zastanawiała się głośno Nicole.

– Mam nadzieję, że nie – odparła Charlotte, przykrywając swoimi dłońmi dłonie Leo, które położył na jej brzuchu.

– Może będzie tancerzem.

– Na miłość boską, Nicole!

– Stepującym tancerzem.

– Czy tego byś chciała dla swojego syna?

– Nigdy w życiu! Jeśli urodzę chłopca, będzie wynalazcą, podobnym do swojego taty.

A jeśli dziewczynkę, będzie mogła zostać tancerką.

Charlotte usłyszała tylko fragment ostatniego zdania. Leo zaczął pieścić ustami jej ucho.

– Muszę kończyć, Nicki. Pogadamy później. – Rozłączyła się, schowała telefon pod poduszkę i uśmiechnęła się. – Co ty kombinujesz?

– Nic takiego – odparł, chociaż Charlotte wyraźnie czuła, że jednak coś się dzieje. Leo wsunął rękę pod jej podkoszulek, który tak naprawdę należał do niego, i pogłaskał jej pierś. – Długo jeszcze?

– Nie – wymamrotała Charlotte, której niewiele było trzeba, wystarczyły jego zręczne palce i elastyczne biodra.

Poczuła ciepły oddech na swoim uchu i usłyszała śmiech Leo.

– Pytałem o przyjazd Nicole.

– W przyszłym tygodniu – wydyszała.

Angie już była na wyspie, nie mogąc się doczekać aż dwóch porodów, i rozpoczęła letni sezon. Tom przyjechał, żeby jej pomóc, ale miał się wynieść z Quinnie przed przyjazdem Nicole, która powoli dochodziła do siebie po śmierci Boba. Minęło już osiemnaście... dwadzieścia... dwadzieścia parę miesięcy – Charlotte nie potrafiła trzeźwo myśleć z dłonią Leo między nogami. Kiedy uniósł jej nogę i wszedł w nią od tyłu, jęknęła z rozkoszy. Od początku była między nimi fizyczna chemia, lecz dopiero w połączeniu z chemią emocjonalną Charlotte poczuła się całkowicie spełniona. Nie zaznała niczego podobnego z żadnym innym mężczyzną.

Chociaż Leo prawie się w niej nie poruszał, była coraz bardziej podniecona. Słyszała jego urywany oddech, czuła unoszenie się i opadanie wilgotnego torsu za swoimi plecami i słabnące spazmy wewnątrz własnego ciała.

Kiedy wreszcie ustały, przekręciła się, ujęła podbródek Leo i spojrzała w jego ciemnoniebieskie oczy. Tak bardzo chciała, żeby odziedziczył je ich syn!

– Uwielbiam na ciebie patrzeć – szepnęła.

– Nie chcę, żeby cokolwiek nas rozdzieliło.

– Nawet nasz syn?

– Nawet on – odparł Leo i się uśmiechnął. Często to robił, ale nie był to już złośliwy grymas faceta z chipem pod skórą i strachem przed lataniem, lecz zadowolony uśmiech spełnionego człowieka.

Charlotte utonęła w tym uśmiechu. Mogłaby bez końca na niego patrzeć i rozkoszować się łączącą ich miłością.

Leo uniósł brew i nadstawił ucho w jej stronę.

– Nie masz mi nic do powiedzenia?

Charlotte odwzajemniła uśmiech, równie szczęśliwa jak on, i pokręciła głową.

## Podziękowania

Powieścią *Słodka morska bryza* rozpoczynam nowy etap kariery i współpracę z utalentowanym i pełnym energii zespołem wydawnictwa St. Martin's Press. Chciałabym podziękować wielu osobom, przede wszystkim jednak mojej redaktorce, Hilary Rubin Teeman, która dostarczyła mi materiału do głębokich przemyśleń, oraz mojemu wydawcy, Matthew Shearowi, który zapytał mnie, dokąd zmierzam, i równie szybko wskazał mi właściwy kierunek. Ponadto dziękuję mojej agentce, Amy Berkower, za mądre rady i nieustające wsparcie, zarówno w życiu zawodowym, jak i politycznym.

Jestem bardzo wdzięczna mojej asystentce, Lucy Davis, za skontaktowanie mnie z wyjątkową osobą – doktorem Johnem Wagnerem, któremu serdecznie dziękuję za poświęcenie się badaniom komórek macierzystych z krwi pępowinowej. Poprosiłam go, by podzielił się ze mną swoimi refleksjami na temat przyszłości medycyny, a on spełnił moją prośbę. Miałam nadzieję, że zanim moja książka zostanie opublikowana, opisane w niej formy leczenia zdążą się upowszechnić. Niestety tak się nie stało, ale wszystko idzie w dobrym kierunku.

Nie mogłabym nie podziękować ponad dwóm milionom ludzi cierpiących na stwardnienie rozsiane. Pomogliście mi zrozumieć frustrację, cierpienie i strach towarzyszące tej chorobie. Życzę wam wszystkiego, co najlepsze, w oczekiwaniu na kolejne przełomy w medycynie.

Kieruję również wyrazy wdzięczności do moich czytelników za lojalność i cierpliwość, dzięki którym mogę pisać coraz lepsze książki.

Na koniec jak zawsze dziękuję mojej rodzinie za miłość, którą mi okazuje. Jestem bardzo szczęśliwym człowiekiem i codziennie rano budzę się z tą świadomością.

